



CATHY KELLY



Przyjaciółki od serca

Prolog

Uczesz się, umyj zęby, zapomnij o eyelinerze, wystarczy tusz do rzęs i odrobina brązującego pudru. Deodorant... kurczę, pusty. Dopisać do listy zakupów. A tak w ogóle to gdzie się podziewa ta lista...?

Gdy Sally Richardson pospiesznie zapinała koszulę i wciągała czarne spodnie na ciało jeszcze wilgotne po prysznicu, przez jej głowę przebiegało milion myśli.

Piątkowe ranki w domu Richardsonów były jeszcze bardziej szaleńcze niż zazwyczaj, gdyż w piątki i soboty The Beauty Spot, należący do Sally salon piękności otwierano o dziewiątej zamiast o wpół do dziesiątej. „Te dodatkowe pół godziny czyni naprawdę kolosalną różnicę”, myślała Sally za każdym razem, gdy nadchodził piątek. By zdążyć odwiedzić chłopców do przedszkola, przy drzwiach musiała się zjawiać dokładnie za kwadrans dziewiąta zamiast o spokojniejszej dziewiątej piętnaście, jak w pozostałe dni tygodnia.

Nie było czasu na guzdranie się z tostami i kawą - co nie znaczy, by u Richardsonów kiedykolwiek był na to czas, jako że oboje rodzice pracowali.

Sally wyznała przyjaciółkom, że nigdy nie miała fantazji, w których Jude Law zrywa z niej wszystkie ubrania i oświadcza, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziały jego oczy. Nie, jej fantazje dotyczyły gospodarstwa domowego, działającego według ścisłego harmonogramu, w którym ona wyskakuje dziarsko z łóżka i o wpół do ósmej jest już po kąpieli (pomalowana, uczesana i bez oczek w rajstopach), gotowa, by wyciągnąć trzyletniego Daniela z łóżka (czteroletni Jack zdążyłby już wstać i właśnie pozbawiałby głów kilku Action Manów). Ubieranie dzieci i przygotowywanie śniadania obyłyby się bez płatków na podłodze i bez sprzeczek chłopców, i może nawet znalazłby się czas na to, by Sally mogła wypić kawę ze Steve'em, zanim wybiegłby z domu o ósmej dwadzieścia. Oczywiście, były to tylko marzenia, jak często wyznawała swej teściowej, Delii. (Już miała jej powiedzieć o Judzie Law, jednak zdążyła ugryźć się w język. Zresztą Delia i tak wołała Seana Connery'ego).

- Na wizerunek salonu piękności nie wpłynie dobrze to, że właścicielka zjawi się zdyszana, bez odrobiny makiżu i w krzywo zapiętej koszuli - stwierdziła kiedyś Sally.

Jednak Delia, która wiedziała, jak ciężko pracuje jej synowa, i uważała, że wygląda wystarczająco ładnie z kremową cerą i błyszczącymi ciemnymi oczami i że nie potrzebuje kosmetyków, roześmiała się i powiedziała, iż wczesnoporanne spieszenie się stanowi codzienny maraton pracującej matki.

- Kiedy Steve i Amy byli mali, byłam równie szczupła jak ty, a teraz przyjrzyj mi się - rzekła z zalem. - Nabite biodra i ramiona jak u ciężarowca.

- Wyglądasz super - pocieszyła ją Sally. Uwielbiała teściową i traktowała ją jak zastępczą matkę. Biologiczna zmarła na raka, kiedy Sally miała zaledwie dwadzieścia lat.

„Dzieci zdecydowanie pomagają w zachowaniu linii”, uznała Sally tego piątkowego ranka w lutym. Już od godziny była na nogach i jak na razie nie udało jej się nawet wypić herbaty, ponieważ Danny wyrócił miseczkę z płatkami Rice Pops i jej zawartość znalazła się na dżinsach i swetrze, przez co trzeba go było całego przebrać. Toster postanowił dzisiaj zastrajkować i spalił grzanekę Steve'a na węgiel, wskutek czego uruchomił się czujnik dymu.

- Cholera! - dobiegł z korytarza zduszony głos Steve'a, który próbował uciszyć alarm.

- Cholera, cholera, cholera - powtórzył radośnie Danny Siedział przy kuchennym stole i całkiem nieźle szło mu dalsze rozsypywanie płatków.

- Cholera, cholera, cholera - przyłączył się Jack, uderzając łyżką o miskę, która na szczęście była już pusta.

Sally westchnęła, przewidując nadejście „cholernych” poranków, popołudni i wieczorów.

- Język - powiedziała bezgłośnie do Steve'a, gdy się pojawił chwilę później, mocując się z mankietami.

- Przepraszam - rzekł. - Zapomniałem. Kiedy sięgałem ręką do góry, odpadł guzik. Gdzie są nici?

Sally wskrobała z tosteru resztki węgla.

- Prawdę mówiąc, większa jest szansa na to, że znajdziesz w tym domu jeszcze jedną koszulę niż igłę i nici. Wyprasować ci drugą?

- Nie, skarbie, dzięki. Nie masz czasu. Sam to zrobię. - Steve pochylił się nad filigranową żoną i złożył pocałunek na czubku jej głowy.

Miał sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, Sally mierzyła natomiast niecałe metr sześćdziesiąt.

- Dopóki nie zobaczyłam naszych ślubnych zdjęć, nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak śmiesznie razem wyglądamy - żartowała.

Pomijając wzrost, tworzyli bardzo ładną parę - drobna, ciemnowłosa i ciemnooka Sally stanowiła ciekawy kontrast z mężem o wyrazistych rysach twarzy, jasnych włosach i intensywnie brązowych oczach. Chłopcy byli podobni do mamy, a w ich atramentowo czarnych oczach błyszczały figlarne ogniki.

Steve nie miał zbyt często do czynienia z żelazkiem i gderał, walcząc z pogniecioną koszulą:

- Że też akurat dzisiaj, kiedy szef wyjeżdża, jestem aż tak spóźniony...

- Jeśli najgorsze, co się dzisiaj przytrafi, to urwany guzik od koszuli i ta para krzycząca „cholera”, gdy po południu przyjdzie się nimi opiekować twoja mama, nie będzie wcale tak źle - zauważyła Sally

Steve żartobliwie pokiwał głową.

- Masz rację, Pollyanno.

- Nie jestem Pollyanną - zaprotestowała. - Po prostu mama zawsze mówiła, że należy dziękować...

- ...Bogu. Wiem. - Steve założył świeżo wyprasowaną koszulę, a potem dopił kawę.

- Nie chcę być wrzodem, wiesz gdzie - kontynuowała poważnie Sally. - I zawsze widzieć jasną stronę, jak jakiś wzór wszelkich cnót.

- Nie jesteś - odparł Steve, odstawiając z hałasem deskę do prasowania. - Ale optymizm jest jedną z cech, które w tobie kocham. Chodź do mnie.

Tym razem pocałowali się porządnie.

- Mamusiu, a co to jest wrzód wiesz gdzie? - zapytał niewinnie Jack.

Rodzice roześmiali się, po czym Steve zdjął marynarkę z oparcia krzesła.

- Cześć, smarkacze - rzekł, całując ukochanych synów.

- Cześć, tatusiu - odpowiedzieli chórem.

- Cześć, Pollyanno. - Uchylił się, jakby oczekiwał, że Sally czymś w niego rzuci.

- To ty jesteś smarkaczem! - zawołała wesoło.

Trzasnęły drzwi, a Sally zerknęła na zegarek. Ósma trzydzieści dwie. Było już strasznie późno, a Danny zjadł dopiero odrobinę płatków. Usiadła obok młodszego syna i próbowała go popędzić. Jak można było przewidzieć, jeszcze bardziej zwolnił tempo. Z Danny'ego był niezły uparciuch.

Przeczesał czule dłonią jego niesforne włosy, pomyślała, jaka z niej szczęściara, że ma Steve'a i chłopców Steve mógł się z nią czasem przekomarzać na ten temat, ale jej mantrą zawsze było to, że niczego w życiu nie powinno się brać za pewnik.

Jak mawiała jej mama: nigdy nie wiadomo, co się kryje za rogiem.

Rozdział pierwszy

Abby wpatrywała się w zimną głębię lustra fryzjerskiego. Jakby nie miała wystarczająco wielu problemów, była pewna, że widzi nowe zmarszczki, rozchodzące się promieniście od oczu. „Starzenie się jest niczym uskok San Andreas”, pomyślała ponuro, „nigdy się nie wie, gdzie się pojawi kolejna szczelina”. Przekroczenie czterdziestki zdecydowanie rozpoczęło jazdę po równi pochyłej. Od tamtej pory - co nastąpiło niewiarygodne dwa lata temu - czuła, jakby cała jej twarz zaczęła się sypać.

Stojąca obok niej Cherise, która po cichu uważała, że Abby w rzeczywistości wygląda jeszcze atrakcyjniej niż w telewizji, przyjrzała się krytycznie jej nowej fryzurze.

Cherise, jak wszystkie inne pracownice Salonu Gianni's, była młoda i miała olśniewającą cerę. Miała na sobie fryzjerski mundurek, składający się z czarnych biodrówek, seksownego T-shirtu i kolczyka w pępku. Abby oderwała pełne zazdrości spojrzenie od płaskiego, ładnie umięśnionego brzucha Cherise i uśmiechnęła się do lustra. Zmarszczki posłusznie uśmiechnęły się razem z nią. Pomimo uroczej nowej fryzury, eleganckiej koszuli od Armaniego i podziwu w oczach większości obecnych w salonie osób, które rzecz jasna rozpoznały Abby i przyglądały jej się z zainteresowaniem, udając, że ich spojrzenia są przyklejone do trzymany na kolanach egzemplarzy „Hello”, Abby poczuła skurcz w brzuchu. Boże, robiła się stara. Wyglądała na starą i zmęczoną. Czterdzieści dwa lata. To brzmiało staro. Inni mówili, że tak jej się tylko wydaje.

- Podoba się pani? - Cherise czekała niecierpliwie na jakąś reakcję.

- Dzięki, Cherise, jest świetna - odparła uprzejmie Abby i pożałowała natychmiast, że wcześniej nie powiedziała niczego miłego.

Abby była uprzejma dla każdego. To, jak stwierdził producent programu *Porządki: w twoim domu i w twoim życiu*, stanowiło o jej uroku i niewątpliwie było kluczem do sukcesu. Nie była to uprzejmość udawana, lecz autentyczna. Dowodziły tego wskaźniki oglądalności *Porządków*. W ciągu zaledwie dwóch sezonów Abby Barton z mamy prowadzącej w wolnych chwilach małą firmę przekształciła się w gwiazdę telewizji.

Jej nowatorskie usługi polegające na przywracaniu porządku nie mogły nadążyć z zaspokajaniem popytu. Mówiono, że Abby napisze książkę, która nawiązywałaby do programu, a wkrótce miało się rozpocząć kręcenie trzeciej serii. Uwielbiali ją zarówno widzowie, jak i spece z telewizji, bank zamiast zagniewanych pism przysyłał teraz kartki świąteczne i zdarzało się, że ludzie, których znała zaledwie przelotnie, machali do niej histerycznie, gdy ich samochody mijaly się na ulicy.

Jednak w środku czuła się taka sama jak wcześniej. Jak oświadczyła przyjaciółkom, czekała na to, że do ludzi dotrze to, że jest oszustką i że nie zasługuje na świeżo zdobytą sławę i pieniądze.

- Sława przemija, brak pewności siebie pozostaje na zawsze - żartowała, a wszyscy zwijali się ze śmiechu.

- Nikt nie może powiedzieć, że woda sodowa uderzyła ci do głowy - stwierdził kiedyś uczciwie jej mąż Tom.

Tom miał niesforne ciemne włosy poprzetykane siwizną, pociągłą, inteligentną twarz i szczupłą sylwetkę, którą zawdzięczał temu, że nigdy nie ulegał pokusie zagładania do puszki z herbatnikami ani wypicia zbyt wielu kieliszków wina (w przeciwieństwie do Abby). Było w nim coś lekko purytańskiego, pewna surowość, która czyniła go idealnym materiałem na wicedyrektora szkoły, ale także sprawiała, że nie akceptował ludzi, którzy nie cenili wartości ascetycznych.

Znienawidziłby Abby, gdyby z nieco roztrzepanej kobiety, którą znał, zmieniła się w prawdziwą gwiazdę z obsesją na punkcie ciuchów, samochodów i wakacji.

Jednakże, niezwykle inteligentny, lecz nieco naiwny, nigdy nie zdawał sobie sprawy z tego, że Abby, mimo że w cięższych czasach z radością wyszukiwała sobie ubrania w sklepach z używaną odzieżą, zawsze w tajemnicy lubiła wydawać pieniądze na fryzury i absurdalnie drogie kosmetyki. I że jedną z zalet odniesionego niedawno sukcesu finansowego było to, że nie musiała już równoważyć kosztów wizyt u fryzjera i nowych ubrań kupowaniem tańszych porcji mięsa i warzyw w promocji. Było jasne, że gdyby Tom miał pojęcie, ile kosztował dzisiejszy wypad do Salonu Gianni's, utyskiwałby na temat wyrzucania pieniędzy w błoto.

Ostatnimi czasy pieniądze w rodzinie Bartonów stanowiły drażliwy temat. Po latach zarabiania naprawdę niewielkich kwot Abby wyobrażała sobie, że jej nowe, wyższe dochody uczynią ich życie znacznie prostszym. Zamiast tego w pewien sposób jeszcze je utrudniły, głównie z powodu wizji, jaką miał Tom, przedstawiającej jego jako głowę rodziny i jej żywiciela.

Może w szkole był postrzegany jako nowoczesny nauczyciel z mnóstwem nowatorskich pomysłów, jednak uważał, że w domu powinien być zachowany tradycyjny podział ról. Pomimo zwiększonej ilości obowiązków zawodowych Abby nadal zajmowała się zakupami i praniem, co zaczynało ją nieco drażnić. I wiedziała, że Tom, podobnie jak wielu mężczyzn, nie czuje się dobrze z tym, że jego żona zarabia więcej od niego.

- Uważam, że pasują pani te pocienione pasma wokół twarzy - oświadczyła teraz Cherise, dotykając postrzępionych końcówek i dokonując ostatnich poprawek. - Czynią linię szczęki bardziej delikatną. - Uśmiechnęła się i zrobiła krok w tył, by z odległości podziwiać sławną klientkę. - Wie pani, ta fryzura ujmuje pani lat!

Abby nagle przypomniała sobie, jak ona mówiła to samo cioci Sadie, kiedy ta po pięciu dekadach używania czerwonej szminki wreszcie przerzuciła się na subtelnie ciepły róż. Siwowłosa Sadie, patrząca w lustro z dezaprobatą na swe usta pozbawione szkarłatu, w rzeczywistości wyglądała praktycznie tak samo. Nadal miała siedemdziesiąt sześć lat, jedynie odcień szminki był nieco bardziej twarzowy. Młodzieńcza Cherise myślała o Abby pewnie w taki sam sposób, w jaki Abby myślała o cioci Sadie: starsza damulka, której próżność nakazywała próbować oddalać od siebie starość. Jednak żadne pieniądze ani sława nie były w stanie tego sprawić.

Gdy Abby wyszła z Gianni's z reklamówką pełną produktów do pielęgnacji włosów, zatrzasnęła tylne drzwi lśniącego czarnego auta terenowego - którego zakup o mały włos nie doprowadził do wybuchu wojny w rodzinie Bartonów - otworzyła drzwiczki od strony kierowcy i wślizgnęła się na fotel. „Fryzura jest całkiem niezła”, pomyślała, zerkając krytycznie we wsteczne lustro. Te kasztanowe pasma rzeczywiście ładnie podkreślały zielonkawy odcień jej oczu.

Do wnętrza samochodu zajrzał przechodzień. W oczach mężczyzny Abby dostrzegła znajomy błysk rozpoznania. Posłała mu zawodowy uśmiech i dodała gazu, mając nadzieję, że uda jej się wymanewrować auto z parkingu, nim on sobie uświadomi, że nie uśmiechnął się do znajomej - jak na początku sądziła większość ludzi - ale do Abby Barton, gwiazdy telewizji i poradnikowego guru.

Bycie rozpoznawaną wciąż ją szokowało. Choć minęło już osiemnaście miesięcy, nadal nie była przyzwyczajona do tego, że zupełnie obce osoby kłaniają jej się w supermarkecie, po czym wyraz ich twarzy ulega zmianie, gdy dociera do nich prawda. To nie był ktoś mieszkający na ich ulicy ani kobieta, którą mijali codziennie w szkolnej bramie. To ta gwiazda, jak też ona się nazywa, ta, która prowadzi program, gdzie radzi innym, w jaki sposób mogą uporządkować swoje życie.

Kiedy córka Abby, Jess, była razem z nią, zdawała relację na żywo z tego, co dana osoba myśli.

- Co ona robi w supermarkecie? Czy sławni ludzie nie zatrudniają kogoś, kto robi za nich zakupy? - mruczała Jess, a jej matka śmiała się wesoło, podczas gdy pospiesznie jechały z wózkiem między alejkami. - I popatrzcie tylko na

te spodnie. Sądziłam, że te wielkie gwiazdy telewizyjne są nadziane, a ona ma na sobie spodnie od dresu, w dodatku dziurawe. To prawdziwy skandal.

Dzięki ciętemu językowi Jess i jej umiejętności dostrzegania komizmu jakoś wytrzymała to, że inni wpatrują się w nią w miejscach publicznych. W innych przypadkach, bez towarzystwa mającej baczenie na wszystko piętnastolatki, nie zawsze było tak zabawnie - zwłaszcza, o czym ze zdumieniem przekonała się Abby, że ludzie uważali, iż powiedzenie sławnym osobom wszystkiego jest w porządku, nawet tym tylko nieco sławnym, takim jak ona.

Pewnego dnia, gdy stała przy regale z tamponami, zastanawiając się ze znużeniem, które wybrać z tak szerokiej oferty, aż podskoczyła, gdy jakaś kobieta oświadczyła:

- O rany! W telewizji wygląda pani na dużo młodszą. Muszą pewnie używać niesamowitych kosmetyków do makijażu.

W tym momencie musiała włożyć nieco wysiłku w przywołanie legendarnej uprzejmości pani Barton.

- Zgadza się. Używają ich całe mnóstwo - odpowiedziała przez zaciśnięte zęby i wybrała pierwsze z brzegu tampony. Nie te, co trzeba, jak się później okazało. Sława wcale nie była taka fajna, jak się wszystkim mogło wydawać.

W chwili gdy wyjechała z miasta, jej nastrój uległ poprawie. Nie sposób się smucić w taki piękny marcowy dzień, kiedy w powietrzu unosiła się obietnica lata. Pobocza były udekorowane kępami żonkili, które razem przekrzywiały swe długie szyje, jakby chciały popatrzeć na przejeżdżające samochody. Pomiędzy wielkimi szarymi chmurami ponad łagodnymi wzgórzami otaczającymi miasto Cork można było dostrzec fragmenty błękitnego nieba.

Zostawiając za sobą spokojne przedmieścia, Abby zjechała z autostrady na drogę prowadzącą do Dunmore. Luksusowe Dunmore było kiedyś miasteczkiem portowym, ukrytym na peryferiach Cork, jednak teraz większe miasto wyciągało po nie swoje łapska. Abby oczami wyobraźni widziała, jak wielkie osiedla mieszkaniowe pokryją pewnego dnia piękne zielone łąki, otaczające miasteczko, nieuchronnie i bezlitośnie łącząc je z Cork.

Na razie jednak Dunmore pozostawało zupełnie niezależne z własnymi bankami, sklepami, przedsiębiorstwami, niedawno odnowioną przystanią i silnym poczuciem więzi społecznych pomiędzy pięcioma tysiącami mieszkańców.

Minęło sześć miesięcy, odkąd rodzina Bartonów przeprowadziła się tutaj. Abby uwielbiała niewielki port w kształcie podkowy i historyczny rynek ze starym gmachem sądu (w którym obecnie mieścił się bank), hotel przy stacji kolejowej i uroczy niewielki kościółek z iglicą, kryjący się pomiędzy wielkimi domami bogatych mieszkańców. Ponad sto lat temu, w czasach wiktoriańskich, Dunmore było czymś w rodzaju kurortu dla zamożnych, którzy przyjeżdżali tutaj z powodu siarkowych wód. To oni zbudowali potężne wille na Knock Hill, skąd mogli patrzeć ponad swymi wysadzonymi rododendronami ogrodami na poszarpaną linię wybrzeża. Budynki przekształcono w niewielkie hotele, centra konferencyjne oraz biura i zaledwie kilka pozostało prywatnymi rezydencjami. Miejscową wodę leczniczą sprzedawano na całym świecie, a fabryka zajmująca się jej butelkowaniem zapewniała okolicznym mieszkańcom stałe zatrudnienie. Zamożni mieszkańcy Dunmore nie byli już wcale leniwymi bogaczami, lecz ludźmi, którzy muszą ciężko pracować, by nadal móc mieszkać w tej tak bardzo prestiżowej okolicy. Przejeżdżając przez ładne, starannie utrzymane centrum miasteczka, Abby zawsze odczuwała wdzięczność za to, że udało jej się zajść aż tak daleko.

Mała Annie Costello z osiedla Sielski Dom, co było mylącą nazwą dla nędznego szeregu budynków komunalnych w niewielkim miasteczku wiele kilometrów od Cork, nigdy nie przypuszczała, że tyle uda jej się osiągnąć. Rodziny, które zamieszkiwały Sielski Dom, uważały się za szczęśliwe, jeśli wiedziały, skąd będą miały pieniądze na następny posiłek. Teraz Abby Barton, dawniej Annie Costello, mogła zamawiać jedzenie w firmach cateringowych, jeśli tylko miała taką ochotę. Cieszyła się okazałym kontem w banku, sławą i powszechnym poważaniem, a dom w Dunmore był dla niej dopełnieniem szczęścia.

Rodzice nie dożyli jej sukcesu. „Mama byłaby taka zadowolona”, myślała często ze smutkiem, wyobrażając sobie twarz matki dumnej z tego, jak daleko udało się zejść jej Annie. Ojca natomiast nie obchodziłoby, jak duży sukces odniosła jego córka, o ile tylko nadal miałby w kieszeni wystarczającą sumę pieniędzy na codzienną porcję alkoholu.

Następnym przystankiem Abby był supermarket. W pierwszych latach małżeństwa ona i Tom weekendowe zakupy zawsze robili wspólnie, ale obecnie, kiedy była bardziej zajęta niż kiedykolwiek wcześniej, nigdy nie proponował pomocy.

Dosłownie przebiegła między alejkami, mając nadzieję, że zdąży odebrać z pociągu Jess. Stację od ich domu na Briar Lane dzielił zaledwie dziesięciominutowy spacer, jednak Jess wyglądała na zmęczoną dźwiganiem każdego dnia torby z podręcznikami. Abby musiała przygryźć wargę, by nie powiedzieć na ten temat ani słowa. Kiedy ostatnio zaproponowała, że ją odbierze, Jess oświadczyła z oburzeniem, że ma dość traktowania jej jak dziecka.

- Lubię mieć trochę spokoju - warknęła, przeczesując palcami rudawozłoty koński ogon. - Sama muszę chodzić rano na dworzec, więc równie dobrze mogę sama wrócić do domu.

To zabolalo. Jess była jedyną osobą w rodzinie, która nie chciała się wyprowadzić ze skromnego, czteropokojowego bliźniaka, w którym mieszkała od dnia narodzin. Miała stamtąd blisko do przyjaciół i do szkoły, gdy tymczasem dom w Dunmore znajdował się wiele kilometrów dalej i czuła się odcięta od swego poprzedniego życia.

Dzisiaj, w piątek, Jess na pewno była bardzo zmęczona. „Nie odmówi podwiezienia”, pomyślała Abby. Być może porozmawiałyby z sobą w drodze do domu i byłoby tak jak za dawnych czasów. Zanim praca zabrała jej tak dużo czasu i zanim przeprowadzili się do Dunmore, Abby często odbierała ze szkoły Jess i jej najlepszą przyjaciółkę, Steph. Dziewczęta piały z radości na widok zaparkowanego przed szkolną bramą ubłoconego starego fiata Abby, a kiedy już wrzuciły do bagażnika sportowe torby, brudne tenisówki i książki z biblioteki z pozaginanymi rogami, trąkotały radośnie przez całą drogę do domu, opowiadając, jak paskudna jest Saffron Walsh z ich klasy, uważając się za Bóg wie kogo tylko dlatego, że ma różowy zegarek Guess, jak bliźniacy O'Brien mieli być wydalenii ze szkoły za palenie i jak panna Aston z całą pewnością podkocha się w nowym nauczycielu historii, panu Lanoix, ponieważ w jej oczach pojawia się rozmarzenie za każdym razem, gdy wpadnie na niego na korytarzu.

Jednak kiedy Abby zrobiła zakupy, na przeszkodzie jej planom stanęła długa kolejka do kasy, a potem na dziesięć minut wstrzymała wszystkich kobieta z wózkiem pełnym zakupów, ale za to bez portfela. Kiedy Abby wreszcie wrzuciła zakupy do samochodu, w ścisłym ekspresowym tempie pojechała na małą stację, rozglądając się za tyczkowatą, jasnowłosą postacią w szarej spódnicy i rozpinanym swetrze, dźwigającą wypchany szkolny plecak. Jednak poza parą wciągającą po schodkach stacji ogromną walizę nie było tam nikogo.

Wiedząc, że Jess pójdzie do domu na skróty przez centrum handlowe, a potem uliczkami, gdzie samochody nie mają wjazdu, Abby odjechała. Jej córka znajdzie się w domu przed nią, a to oznaczało, że straciły szansę na pogawędkę. W samochodzie Jess była mimowolnym słuchaczem. Gdy po szkole zjawiała się w domu, miała w zwyczaju głośno zatrząskiwac za sobą drzwi od swego pokoju i włączać odtwarzacz CD. Abby nie była pewna, czy takie zachowanie było spowodowane buzującymi w nastolatce hormonami, czy też to z jej winy nie udawało jej się nawiązać więzi z tą nową Jess, zadziorną dziewczyną, która się wydawała pełna determinacji, by doprowadzić rodziców do ostateczności. W pewien sposób czuła, że ją traci.

Na szczęście, kiedy wjechała na Briar Lane, jak zwykle poprawił jej się humor. Gdy jeep podskakiwał na „policjantach”, odczuwała delikatne ukłucie dumy, że zaprowadziła ich wszystkich tutaj jej ciężka praca.

Poprzedni dom był uroczy dzięki jej talentom dekoracyjnym. Jednak Gartland Avenue to była bardzo zwyczajna, osiedlowa ulica, a mając za sąsiadów niesfornych Milliganów, wrzeszczących na siebie dzień i noc, nie można było uznać tego miejsca za wymarzone.

Briar Lane - o, to była zupełnie inna bajka. Kręta ulica wysadzana dostojnymi jaworami i przerośniętymi krzewami wawrzynu stanowiła spełnienie marzeń każdego miłośnika domów - znajdowały się na niej różnego rodzaju nieruchomości, od nowych, inspirowanych czasami regencji domów do niskich, rozłożystych, starych wiejskich posiadłości, a pomiędzy nimi można było spotkać kilka ekscentrycznych zabudowań.

Abby zakochała się w Lyonnais od pierwszego wejrzenia. Kiedyś była to stróżówka, którą rozbudowano do rozmiarów sporej rezydencji, a teraz, po wielu przeróbkach, był to duży biały dom z dwuspadowym dachem i wielodzielnymi oknami, porośnięty pnąciami różami.

Nawet Tom, którego trudno było posądzić o sentymentalizm, kiedy przed kilkoma miesiącami oglądali posesję, a agent nieruchomości deptał im po piętach, stwierdził, że w tym domu panuje cudowna atmosfera.

Abby ścisnęła z podekscytowaniem dłoń męża.

- Piękny, prawda? - powtarzała, pomimo jego wcześniejszego ostrzeżenia, by nie wyglądali na zbyt zainteresowanych domem, bez względu na to, jak bardzo im się spodoba. To był właśnie dom, w którym powinna mieszkać gwiazda telewizji - nie dwudziestoletni bliźniak wyglądający jak każdy inny dom na osiedlu, lecz to cudownie niezwykle gmaszysko z przestronnymi, widnymi pokojami i zakamarkami, intrygującą spiżarnią z ukrytym kredensem oraz wielkim ogrodem z pozbawionym rąk posągiem jakiejś greckiej bogini, kryjącej się nieśmiało za zasłoną z listków bluszczu. Abby wyobrażała już sobie, jak go urządzi, gdzie porozkłada rzeczy i na jakie kolory pomaluje ściany

- Znacznie przekracza nasze możliwości finansowe - oświadczył stanowczo Tom, kiedy oglądali sypialnię na poddaszu, sądząc po pajęczynach zamieszkiwaną przez całą kolonię pajaków. Zdecydowanie przekraczała możliwości finansowe zastępcy dyrektora szkoły i miał problem z patrzeniem na to w jakikolwiek inny sposób. Nieważne, jak często Abby powtarzała, że to właśnie dzięki jego dochodom żyli przez wszystkie te lata, więc jakie to ma znaczenie, że teraz jej stały się wyższe. Dla Toma miało. - Nie możemy sobie na niego pozwolić - powtórzył później, zaciskając usta w pełną dezaprobaty linię, przez co wyglądał dokładnie jak jego stary, zrzedliwy ojciec.

Abby to nie obchodziło. Choć raz zignorowała dezaprobatę Toma i zawalczyła o to, czego pragnęła. Jakoś sobie poradzą. Będzie brała więcej prywatnych zleceń i z całą pewnością jej program telewizyjny przyniesie kolejne lukratywne korzyści, takie jak występy publiczne - mimo że nie znosiła tego typu wystąpień. Była jednak gotowa na wszystko, byle tylko kupić Lyonnais. Nie mogli pozwolić, by ten dom przeszedł im koło nosa. Będą tutaj tacy szczęśliwi, była tego pewna. Jedyne, czego potrzebował Tom, to przestać się dąsać, myśląc, kto więcej zarabia.

Westchnęła, kiedy zaparkowała jeepa na podjeździe, jak zawsze podziwiając rosnące obok wjazdu drzewo magnolii. Właśnie przepięknie zakwitło. Rzeczywiście pokochała to miejsce, ale odkąd się tutaj przeprowadzili, życie wcale nie było łatwe. Pogorszyły się jej relacje z Tomem, a z Jess zdawały się żyć na różnych planetach. Wtedy właśnie, gdy życie rodziny Bartonów powinno być idealne, wydawało się dziwnie pozbawione równowagi.

Rozdział drugi

Tego popołudnia Jess Barton zerknęła ukradkiem na klasowy zegar. Za dziesięć trzecia. Jeszcze czterdzieści minut chemii. Nuda. Odnosiła wrażenie, że życie nastolatki jest wypełnione nudą. Aparat korekcyjny na zębach był paskudny, egzaminy okropne, i jeszcze to, że inni nieustannie nią dyrygują, ale dwie z rzędu lekcje chemii były zdecydowanie najnudniejsze. Widząc, że spojrzenie panny Kevin błądzi po klasie, Jess posłusznie pochyliła się nad podręcznikiem, starając się sprawiać wrażenie, jakby bez reszty pochłaniał ją zawily problem, jaka substancja chemiczna powstanie, jeśli się połączy siarkę, tlen i wodór. Nikt nie potrafił udawać posłusznego zainteresowania lepiej niż Jess Barton. Zasługiwała za to na nagrody i była potencjalną zdobywczynią Oscara.

- Chodzi o kąt nachylenia głowy - wyjaśniała często swej najlepszej przyjaciółce, Steph Anderson, którą zawsze pierwszą wywoływano z miejsca i wypraszano za drzwi za niezwracanie na coś uwagi. - I o ssanie ołówka. W tym ssaniu jest coś takiego, że wygląda się na niezwykle pochłoniętego tematem. Musisz pochylić się nad książką i wyglądać tak, jakby cię to interesowało, Steph.

Według Jess marzeniem każdego nauczyciela była klasa pełna uczniów pochylonych nad ławkami pod kątem czterdziestu pięciu stopni i ssących w zamyśleniu ołówki. Wiedziała to od taty Powiedział, że nie każdy uczeń przez cały czas uważa na lekcji, ale najbardziej lubi te dzieciaki, które umieją się odpowiednio zachowywać.

Jess to umiała. Rozumowała w ten sposób, że myślami można być miliony lub choćby dziesięć kilometrów dalej, w Szkole Świętego Michała dla Smakowitych Chłopców, ale dopóki trzymało się opuszczoną głowę, sprawiało się wrażenie pilnego ucznia. Jak na razie ten system zdawał egzamin. Jess Barton nigdy nie musiała stać za drzwiami, co było karą, do której dodatkiem było także dziesięć punktów ujemnych.

Wzory chemiczne były rzecz jasna daleko poza obszarem jej zainteresowania. Jess pochłaniały myśli o Ianie Greenie. Olśniewającym Ianie, który przesywał spojrzeniem swych błękitnych oczu i na którego idealnej twarzy widniał cień ciemnego zarostu. Steph oświadczyła, że zarost jest już niemodny i że najfajniejsi faceci to ci ogoleni zupełnie gładko, ale Jess w głębi duszy pragnęła poczuć, jak to jest całować się z facetem i ocierać policzkiem o jego męski, dorosły zarost, tak jak w pełnej namiętności scenie z filmu. Spędziła wiele rozkosznie przyjemnych godzin na snuciu marzeń o sobie i Ianie, wielokrotnie powtarzając w głowie tę właśnie scenę. Ian był także wysoki. Wysoki na tyle, że musiałby się nachylić, by ją pocałować, co byłoby fajne, gdyż i Jess była wysoka. Był tylko jeden mały problem. A właściwie dwa. Pierwszy to taki, że Ian uczęszczał do Szkoły Świętego Michała dla Smakowitych Chłopców, a nie do Bradley College, gdzie uczyła się Jess. Chłopcy w Bradley byli w większości porażająco nudni. Po drugie, miał dziewczynę, Saffron Walsh, która miała prawie szesnaście lat, chodziła do klasy razem z Jess i była Dziewczyną z Przyszłością.

- Jej przyszłość to co najwyżej praca w charakterze telewizyjnej pogodynki o ptasim mózdzku - parsnęła kiedyś lekceważąco Steph.

Niektórzy mogli uważać, że Steph rywalizowała z Saffron, jako że obie były blondynkami o idealnych figurach. Jednak

Jess, absolutnie najlepsza przyjaciółka Steph jeszcze od czasów przedszkola, wiedziała, że niechęć Steph bierze się z faktu, że Saffron była wyraźnie niewystarczająco dobra dla Iana. Gdyby Ian uzmysłowił sobie, jaką lalunią jest jego dziewczyna, mógłby ją rzucić i w jakiś cudowny sposób zakręcić się wokół Jess. „Cudowny”, pomyślała Jess, „jest w tym przypadku słowem jak najbardziej właściwym”.

Jess nie była blondynką i nie miała idealnej figury Uważała się bardziej za dziewczynę w stylu „można na niej polegać i wybierać do gry w siatkówkę”. Tyczkowata jak jej ojciec, bez żadnych krągłości, niepotrzebny był jej stanik i

nigdy nie udawało jej się kupić dzinsów o wystarczająco długich nogawkach. Miała ładne oczy - ale ukrywała je za nudnymi okularami, gdyż po tacie odziedziczyła wadę wzroku. Jej włosy były nieciekawie proste i miały nijaki kolor mokrego piasku, natomiast reszta twarzy była zwyczajna przez duże „Z”: zwyczajny nos, zwyczajne usta, zwyczajny, lekko spiczasty podbródek. Wszystko to składało się na typ osoby, której nikt nie dostrzegał. I wcale nie pomagał fakt, że miała sławną mamę. Ludzie się spodziewali, że córka olśniewającej Abby Barton jest równie olśniewająca.

- A potem poznają mnie - mówiła Jess, gburowatością zakrywając smutek.

Steph się upierała, że to nieprawda, i zawsze twierdziła, że bardzo zazdrości Jess tego, iż jest wysoka i szczupła, że ma fantastyczne kości policzkowe i piękne oczy, w których pojawiały się iskierki, kiedy była czymś bardzo przejęta.

- Ja to dopiero mam oczy jak szparki - utyskiwała Steph, nakładając jeszcze jedną warstwę cienia Mac, by zapobiec dostrzegalnemu opadaniu powiek. - Ale twoje są wielkie i masz takie długie rzęsy Poczekaj, aż dostaniesz szkła kontaktowe i zdejmą ci z zębów aparat. Nie odgonisz się wtedy od facetów.

Jednak Jess uważała, że Steph jest po prostu miła. Wiedziała, że chłopcy lubią dziewczyny, które wyglądają jak dziewczyny, to znaczy mają piersi. Wzrost, tyczkowatość i piersi w rozmiarze mniejszym niż A czyniły z niej konia nie biorącego udziału w gonitwie, bez względu na to, jak ładne były jej kości policzkowe.

To w gruncie rzeczy prowadziło do trzeciego problemu. Nigdy nie zamieniła ani słowa z Ianem. Oczywiście, spotykał się z ludźmi z jej szkoły, ponieważ chodził z Saffron, ale to nie byli ludzie, którzy interesowali się kimś pokroju Jess. To byli ludzie, którzy nosili właściwe dzinsy, właściwe buty i mieli pieniądze na to, by w weekendy jeździć do centrum i świetnie się tam bawić, chodząc po kafejkach i kupując płyty. Jess nie miała pojęcia, jak poruszać się w ten oszały, pewny siebie sposób, który dziewczyny takie jak Saffron miały opanowany do perfekcji.

Co gorsza, teraz, kiedy Bartonowie przeprowadzili się do Dullsville, vel Dunmore, jej szanse na przypadkowe wpadnięcie na Iana jeszcze bardziej zmaleły.

„Ian & Jess”, napisała w notesie. Obramowała to maleńkimi serduszkami. Następnie zamazała długopisem, by nie zobaczył tego Gary, który siedział obok niej. Gary był dobry z chemii, ale kiepski w życiu, i można się było po nim spodziewać, że o gryzmołach Jess dowiedzieliby się wszyscy bez wyjątku. Jess chyba by umarła, gdyby ktokolwiek poza Steph odkrył, co czuje do Iana.

- Praca domowa - oświadczyła radośnie panna Nevin. - Na następną lekcję przygotowałam listę trzydziestu pytań. Nie są zbyt trudne, sprawdzają po prostu to, czego się nauczyliście w tym tygodniu. Rozdajcie te arkusze, dobrze?

Gdy pytania podawano z ławki do ławki, było słycać wiele westchnień, wydawanych głównie przez uczniów, którzy wcześniej mieli historię i którzy na poniedziałek musieli napisać obszerne wypracowanie na temat osiemnastego wieku. Prawda była taka, że żyjący w osiemnastym wieku nic nie robili, tylko prowadzili wojny. Co z nich byli za ludzie? Nigdy nie słyszeli o ONZ?

Jess otworzyła zeszyt, w którym zapisywała prace domowe, i przyjrzała się posepnie temu, co zadano im dzisiaj, w piątek. W czerwcu czekały ich egzaminy, pierwsze państwowe egzaminy, i nauczyciele dokładali im niesamowicie dużo pracy. Oprócz wypracowania z historii trzeba było napisać drugie z angielskiego na temat *Raju utraconego* (zadał im to pan Redmont, który najwyraźniej uważał, że piętnastolatki nie mają w weekend nic lepszego do roboty, jak analizowanie każdego słowa, kiedykolwiek napisanego przez Milтона), a poza tym na poniedziałkowy test z geografii trzeba było powtórzyć cztery rozdziały, co dowodziło, że pan Metcalfe nie jest przy zdrowych zmysłach, gdyż były to najobszerniejsze cztery rozdziały w całym podręczniku. Była także spora praca domowa z matematyki, nie wspominając o stro- nie ćwiczeń z francuskiego (nie tak źle) i materiałach z historii sztuki do przeczytania (łatwizna).

Jess napisała: „Chemia - 30 pytań na wtorek” i westchnęła głośno, po czym rozległ się dzwonek.

- Kim my jesteśmy? Małymi Einsteinami? - marudziła Steph, gdy upychały do plecaków podręczniki do chemii. - Dlaczego wybrałyśmy chemię? - Zadawała to pytanie przynajmniej raz w tygodniu. - Mogłyśmy się zdecydować na zajęcia z gospodarstwa domowego i wyrabiać sobie teraz nazwiska jako projektantki mody.

- Na zajęciach z gospodarstwa domowego nie robi się tego - zaprotestowała Jess. - Uczy się o ośmiu miliardach witamin i minerałów, które pomagają zachować zdrowie, a to po prostu biologia, która jest nauką ścisłą, a nauką ścisłą jest też...

- ... chemia i dlatego właśnie ją wybrałyśmy - dokończyła Steph. - Zresztą i tak nie znoszę szycia. Pomyśl tylko, co się stało, kiedy próbowałam przerobić dzinsy Cekiny powinno się przyklejać, a nie przyszywać.

Jess pokiwała głową.

- Jakie masz plany na wieczór? - zapytała Steph.

- Pewnie telewizja - odparła Jess z zalem. Jak nic jest jedyną dziewczyną w klasie, którą czeka nudny piątkowy wieczór. Nie, nie w klasie, na całej planecie.

- Z wielką ochotą pooglądałabym dzisiaj telewizję - jęknęła Steph. - Impreza u babci to będzie katastrofa. Cała rodzinka będzie mi powtarzać, jak urosłam i że pamiętają, jak jeszcze niedawno byłam niemowlęciem, któremu zmieniali pieluchy. Kurczę, to przecież chore, no nie?

Jess roześmiała się wbrew sobie. Steph miała ogromną rodzinę i opowiadała o niej w bardzo zabawny sposób. Dzisiaj jej babcia obchodziła urodziny i cały klan Andersonów będzie je świętował w restauracji „Głodny Myśliwy”. Mama Steph bardzo chciała, by jej córka założyła tę wstrętą szafirową bluzkę i skromną spódniczkę, żeby sprawić przyjemność babci, Steph natomiast zdążyła już sobie przygotować modną bluzkę z szyfonu, przez którą lekko prześwitywał stanik, oraz obcisłe dzinsy do połowy łydki. Będzie tam przybrany syn jej wujka, a on był po prostu „cudowny”, jak twierdziła z zachwytem Steph. Planowała wyglądać nonszalancko i niezwykle, tak jakby zawsze ubierała się jak prezenterka MTV

- Przynajmniej gdzieś wyjdiesz - rzekła Jess.

- No tak - odparła przeproszającym tonem Steph. - Ale przecież jutro idziemy na imprezę do Michelle. Mogłabyś się dzisiaj zastanowić, co założysz. Pożyczę ci mój Wonderbra, jeśli chcesz.

Jess była wzruszona. Ten stanik był najbardziej cennym elementem garderoby jej przyjaciółki. Jednak noszenie go przez Jess nie miało sensu.

- No to ja już lecę - dodała Steph. - Muszę coś zrobić z włosami.

Przed szkolną bramą przyjaciółki się rozdzieliły: Steph skrzyła w lewo, a Jess w prawo.

Poszła na przystanek, by poczekać na autobus, który miał ją zawieźć na stację. Rozplątała słuchawki od discmana, a potem umieściła je w uszach. Kiedyś ona i Steph razem wracały do domu, gdy jeszcze obie mieszkały na Gartland Avenue, zanim mama stała się sławna i się przeprowadzili. I co z tego, że Dunmore było urocze niczym pudełko z czekoladkami? Jess nie знаła tam nikogo i z Cork do domu musiała wracać pociągiem. Na Briar Lane nigdy nie dostrzegła żadnych nastolatków. Było tam dużo dzieciaków, które chodziły do tej pretensjonalnej, wymuskanej szkoły w centrum miasteczka i podczas weekendów przez całe dni jeździły na rolkach albo na różowych rowerach Barbie. Nie było jednak ani jednej osoby w jej wieku. Nie mogła nawet po szkole połączyć gdzieś ze Steph i porządnie się nagadać, bo jeśli się spóźniła na pociąg, na następny musiała czekać aż półtorej godziny. Przeprowadzka do tego wstrętnego Dunmore zrujnowała jej życie.

Jeszcze jedna osoba z jej szkoły dojeżdżała pociągiem do Dunmore, ale ten chłopak był o rok wyżej, w upragnionej, wolnej od egzaminów klasie piątej, i był wyraźnie zbyt luzacki, by się do niej odezwać. Przez pierwsze dni Jess siedziała niedaleko niego, gdyż był jedynym znajomym elementem w tym zupełnie nowym krajobrazie, on jednak nigdy nie

zwrócił na nią uwagi, przez cały czas siedząc ze spuszczoną głową i grając w głupiego Game Boya. Więc teraz ona także go ignorowała i z wawym krokiem mijała jego siedzenie, by usiąść w następnym wagonie, celowo nonszalancko odrzucając koński ogon, gdy go mijała, by pokazać, że ma go gdzieś. Dzisiaj nawet on nie czekał na przystanku autobusowym.

Gdy wsiadła do autobusu, pogłośniła muzykę i zakryła usta i nos szkolną apaszką. Czuła się nieszczęśliwa. Steph uważała, że to super mieć mamę, która pracuje w telewizji. Wcale nie.

Mama nie czekała na nią na stacji w Dunmore, nie było także nikogo w domu, kiedy wreszcie tam dotarła. „Nic nowego”, westchnęła, wygodnie zapominając, że zaledwie przed tygodniem pokłóciła się z mamą o to, że nie chce, by traktowano ją jak dziecko. Jej matka ciągle się zamartwiała, gdzie się podziewa Jess, a ona miała dość mówienia jej, że inni ludzie z klasy mieli znacznie więcej swobody i musieli tylko dzwonić i mówić, dokąd się wybierają. Jednak mama była niczym Interpol i pragnęła znać szczegóły każdej chwili w życiu Jess.

- Lubię odbierać cię ze stacji - oświadczyła tonem w stylu „jesteś-przecież-moim-dzieckiem”, który doprowadzał Jess do szału. - Martwiłabym się o ciebie, gdybym tego nie zrobiła. Tam się kręci naprawdę wielu nieciekawych ludzi.

No i rozpoczynała się kolejna kłótnia. Tak jakby Jess nie była wystarczająco rozgarnięta, by nie rozpoznać na swojej drodze dziwaków Litości.

- Mam prawie szesnaście lat - upierała się. - Nie jestem dzieckiem.

Tata wstawiał się za nią, a w rezultacie mama posyłała mu coś, co Jess nazywała „laserowym spojrzeniem”. Ostatnimi czasy takie spojrzenia nie należały do rzadkości. Tak więc Jess wygrała i mogła wracać do domu sama. Jednak byłoby fajnie, gdyby dzisiaj nie musiała iść do domu pieszo...

Zerknęła na terminarz mamy, zostawiony na blacie obok lodówki, i otworzyła go na dzisiejszej dacie. „Fryzjer o 12.00”. Mama to ma dobrze, pomyślała Jess. Jak fajnie by było, gdyby to ona mogła wyjść sobie ze szkoły jak gdyby nigdy nic i udać się prosto do fryzjera.

Nie było też śladu po Wilburze. Ten dziesięcioletni kot Jess miał niezwykle szare plamki i wielki, puszysty ogon, wystrzeliwujący w górę, gdy był zdenerwowany. Jego przytulne posłanie na kuchennym kaloryferze było puste i przywoływanie go nie miało sensu. Spał sobie pewnie gdzieś, gdzie nie powinien: zwinięty w kłębek pomiędzy ręcznikami w szafce, w swoim ulubionym, zakazanym miejscu.

Jess usadowiła się za wyblakłym stołem z drewna sosnowego, rozłożyła przed sobą podręczniki, a potem włączyła przenośny telewizor. Właśnie leciała powtórka *Sabryny, nastoletniej czarownicy*. Wzięła do ręki długopis, otworzyła książkę na stronie, gdzie robiła notatki do wypracowania o Miltonie, i zaczęła oglądać telewizję.

Dziesięć minut później do domu dotarła obładowana zakupami Abby. Kiedy tylko zamknęła za sobą drzwi, z ulgą rozpięła kozaczki na wysokim obcasie. Będąc osobą raczej niską, zawsze czuła potrzebę noszenia wysokich obcasów, zabójczych dla jej stóp.

- Jess! - zawołała, zdejmując jednocześnie zakiet. - Jesteś w domu?

Żadnej odpowiedzi. Serce Abby zamarło na moment. Dunmore trudno nazwać zagłębieniem przestępczym, ale nigdy nic nie wiadomo. Wszystko mogło jej się przytrafić...

Abby poszła w samych skarpetkach do kuchni. Zastąpiła w niej pograżoną w pracy Jess i wyłączony telewizor.

- Cześć, skarbie, pracuś z ciebie - rzekła, uśmiechając się z ulgą na widok pochylonej głowy córki. Kiedyś natychmiast uściskałaby ją, ale ostatnimi czasy Jess unikała przytulania, tak jakby nie mogła znieść tego, że ktoś jej dotyka.

- Jest nastolatka, czego się spodziewasz? - odparł ostrym tonem Tom, kiedy Abby powiedziała mu, gdy coś takiego miało miejsce po raz pierwszy. - W szkole przez cały czas mam okazję przyglądać się czemuś takiemu.

- Wiem - odpowiedziała zwięźle Abby, niezadowolona z tego, że dawał jej do zrozumienia, iż skoro jest nauczycielem, to wie więcej o nastolatkach, a w szczególności o Jess, niż jej własna matka.

Abby wiedziała, że lata dorastania córki będą ciężkie, nie przypuszczała jednak, że jej kochana Jess zmieni się w przeciągu kilku miesięcy z najlepszej przyjaciółki w najgorszego wroga.

Powstrzymała teraz chęć wyciągnięcia ręki i pogłaskania włosów córki.

- Zadali nam na weekend strasznie dużo pracy domowej - oświadczyła ponuro Jess, nawet nie podnosząc głowy - No i muszę powtarzać. - Im częściej myślała o egzaminach, tym większą miała chęć wyładowania się na kimś.

- Podjechałam na stację, bo pomyślałam, że możesz być zmęczona - rzekła z wahaniem Abby, nie chcąc wszczynać kłótni. - Ale musiałyśmy się minąć.

Jess podniosła głowę znad podręczników i wreszcie skupiła uwagę na mamie.

- Nowa fryzura - zauważyła beznamiętnie.

- Podoba ci się? - Abby z niepokojem przeczesowała palcami włosy

- Tak - przyznała Jess. - Jest super. Mamo, chciałabym znowu pofarbować moje. - Jej pierwszy domowy eksperyment z włosami przeprowadzony z udziałem Steph okazał się kompletnym fiaskiem. Dziesięć razy droższe okazało się łagodzenie tego słomkowego odcienia.

- Zabiliby cię w szkole - odparła radośnie mama, uszczęśliwiona tym, że Jess wydawała się mieć dobry humor. Gdy w szkole pojawiło się kilka różowych fryzur, dyrektor zakazał farbowania włosów wszystkim z wyjątkiem piątych i szóstych klas.

- Delikatne pasemka - błagała Jess. - Tym razem poszłabym do fryzjera. Nikt by się nie dowiedział. Pan Davies zauważa jedynie punkowo czarne i jaskrawo różowe. Kilku blond pasemek w ogóle by nie dostrzegł. Mnóstwo ludzi ma jasne włosy.

- Porozmawiamy o tym. - Abby gotowa była obiecać wszystko, byle tylko utrzymać stan zawieszenia broni.

- Tak właśnie zawsze mówisz - stwierdziła Jess.

- Tak, jestem okropną matką, wiem o tym.

Abby zabrała się za chowanie zakupów do szafek, a Jess pospiesznie się odwróciła i położyła pilota na blacie za sobą. Jeśli chodziło o oglądanie telewizji, mama była całkiem w porządku. Wielu rodziców jej kolegów zrzędziło niemilośnie, ciągle przypominając, że są w czwartej klasie i powinni się uczyć do małej matury. Jednak nawet mama nie pochwałała uczenia się przy włączonym telewizorze, a ceną za jutrzejszą imprezę u Michelle było odrobienie pracy domowej do sobotniego popołudnia.

- Kupiłam makaron i mogę ci zrobić na obiad czosnkowo-grzybowe tagliatelle - rzekła Abby, zaglądając do lodówki.

Twarz Jess rozjaśniła się.

- Super - stwierdziła. Od ponad dwóch lat była wegetarianką i wciąż próbowała przekonać mamę, by też nią została. Czy ludzie nie zdawali sobie sprawy z tego, że zwierzęta także mają swoje prawa?

- Obawiam się, że tata i ja musimy wyjść - ciągnęła Abby. Nie widziała, jak wyraz twarzy Jess się zmienia. - To impreza firmowa. Dziesiąta rocznica powstania Beech. Najpewniej ser i kiepskie wino - roześmiała się. Beech, firma producencka, która tworzyła jej program telewizyjny, była znana z tego, że nie wydawała pieniędzy na luksusy - Musimy tam iść, ale jeśli ugotuję grzyby teraz...

- Nie jestem głodna - przerwała jej Jess.

Abby z niepokojem podniosła głowę.

- Musisz coś zjeść.

- Jak zgłodnieję, zadzwonię po pizzę.

- Jeśli nie chcesz być sama, to jestem pewna, że Jennifer zostałaaby z tobą do naszego powrotu - rzekła z wahaniem Abby. Jennifer, dwudziestodwuletnia studentka mieszkająca cztery domy dalej, by zarobić trochę pieniędzy, chętnie bawiła się w nianię.

- Nie chcę tutaj Jennifer! Nie jestem dzieckiem, mam. Sądziłam, że zgodziłyśmy się co do tego. Skoro Sally Richardson uważa, że jestem wystarczająco dorosła i godna zaufania, by pilnować jej dzieci, to dlaczego ty nie uważasz, że jestem wystarczająco dorosła, by zostać w domu bez opieki? - Jess była wściekła.

Tym razem to Abby wyglądała na zmartwioną. Nie lubiła, gdy Jess dzwoniła po pizzę, kiedy była sama w domu. W gazetach czyta się takie straszne rzeczy. To, że w domu był zainstalowany alarm, a Jess miała nie otwierać drzwi nikomu obcemu, nie oznaczało wcale, że nie może się przytrafić nic złego. A jeśli facet rozwożący pizzę był gwałcicielem albo mordercą? Przez głowę Abby przemykały przerażające możliwości. Kiedy Jess skończyła czternaście lat, ostro zaprotestowała przeciwko zatrudnieniu dla niej opiekunki, a wyrażenie zgody na tę dodatkową niezależność stanowiło dla Abby duży krok naprzód. Teraz sama zaczęła się dorywczo opiekować małymi chłopcami Sally. Nie późno w nocy ani nie jakoś specjalnie długo, po prostu raz na jakiś czas przez godzinę albo dwie, ale i tak Abby trudno się było pogodzić z tym, że jej dziecko samo było teraz opiekunką.

- Wiesz, że nie lubię, gdy coś zamawiasz, kiedy nas tutaj nie ma.

Jess siedziała z ponurą miną i Abby wiedziała, że znalazła się w sytuacji, z której nie uda jej się wyjść zwycięsko.

- Czy tata Steph nie mógłby jej tu dzisiaj przywieźć? - zapytała jeszcze przed uzyskaniem odpowiedzi, wiedząc, że Steph nie może przyjechać, w przeciwnym razie Jess sama by to zaproponowała. Łatwiej było organizować życie towarzyskie Jess, kiedy mieszkali zaledwie kilka domów od jej najlepszej przyjaciółki.

- Jest zajęta - warknęła Jess. - Dzisiaj jej babcia ma urodziny. Nie znam nikogo innego w tej zabitej dechami dziurze.

Abby zamknęła ze znużeniem lodówkę. Nie potrzebowała, by jej o tym przypominano. Już i tak dręczyło ją wystarczająco duże poczucie winy.

Westchnęła. Mimo iż uwielbiała ich nowy dom, fakt, że przez niego Jess czuła się wyizolowana, zdecydowanie nie poprawiał ich stosunków. A może chodziło jedynie o to, że jej córka jest nastolatką.

Abby zostawiła na blacie w kuchni pieniądze na pizzę i poszła na górę, by się przygotować. Wpół do siódmej, za pół godziny powinni wyjeżdżać, a jej męża jeszcze nie było.

Abby nie była tym faktem zdziwiona. Po niemal siedemnastu latach małżeństwa doskonale wiedziała, że jeśli chodzi o pośpiech, to Toma można przyrównać do mieszkańca bezludnej wyspy. Co zresztą najpewniej było powodem, dla którego tak dobrze do siebie pasowali. Ona była wybuchowa i łatwo się denerwowała, Tom stanowił natomiast uosobienie monastycznego spokoju.

„Nie powinnaś się tak wszystkim ekscytować”, odpowiadał za każdym razem, kiedy Abby wpadała w panikę, że się spóźnią. Oczywiście, przez to jeszcze bardziej się denerwowała. Czy on nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo jest irytujący?

Poczuła ulgę, gdy znalazła się w ich pokoju. To była bardzo ładna sypialnia, jedno z pierwszych pomieszczeń, jakie urządziła po przeprowadzce. Szafy wysokie aż do sufitu („niezbędne do ukrywania rupieci”, jak to sama określiła) i łóżko ze znajdującym się pod nim schowkiem. Wszystko było w kolorze kremowym i zielonym, a aury klasycznego spokoju nie burzyła ani jedna rzucona gdzieś gazeta. Utrzymywanie sypialni w takim stanie było istnym koszmarem. Jako że zawodowo Abby popierała używanie różnego rodzaju dekoracyjnych pudeł do ukrywania rupieci, czuła, że sama także musi ich używać, jednak nie była w stanie zapamiętać, co schowała do którego pudła. Zawsze kończyło się to tak, że

otwierała jakieś w poszukiwaniu biżuterii, a zamiast tego znajdowała kosmetyki. I nigdy, ale to nigdy nie udawało jej się znaleźć długopisu. Może i herezją było takie myślenie, ale niemal tęskniła za słoikiem po dżemie wypełnionym pokrzywionymi długopisami, który stał na toaletce w ich dawnym domu, zanim jeszcze się nauczyła, jak się pozbywać niepotrzebnych rzeczy.

Tak naprawdę wszystko zaczęło się od szaf Abby Nie od szaf z ubraniami - które niedawno pokazano w magazynie „Style” - ani szafek w łazience - sanktuarium w stylu zen, które kosztowało fortunę - ale od szaf w kuchni, gdzie prosty system rotacyjny, polegający na wstawianiu nowych puszek i słoików do tyłu, oznaczał, że nic nigdy nie trzeba było wyrzucać tylko dlatego, że data ważności minęła kilka miesięcy temu. Pomagała w tym także lista na tablicy korkowej. Każda rzecz brana z lodówki, spiżarni albo szafki była zapisywana w poręcznym notesie z przytwierdzonym długopisem, więc kiedy Abby raz w miesiącu robiła większe zakupy, dokładnie wiedziała, co jest potrzebne.

Będąc z natury osobą lubiącą porządek, wpadła na pomysł proponowania swych usług innym, by pomóc im w lepszej organizacji życia. Kiedy Jess skończyła dziesięć lat, Abby odkryła, że ma w końcu nieco wolnego czasu.

Na początku zaczęła porządkować szafy z ubraniami: pomagała kobietom w szeregowaniu pod względem przydatności identycznych czarnych ubrań i wyrzucaniu wszystkiego, czego nie nosiły od lat. Tak naprawdę było to zajęcie dodatkowe - kilka przedpołudni w tygodniu, podczas których wlewała w swe klientki odwagę do wyrzucenia ukochanych, lecz totalnie znoszonych ciuchów i sprzedaży tych w ogóle nie noszonych. Nie była stylistką, powtarzała klientkom, ale po prostu specjalistką od pozbywania się rupieci.

- Po wszystkim same możecie kupić sobie nowe ubrania, ja jedynie pomagam wam w pozbywaniu się staroci.

Przełom nastąpił po dwóch latach, kiedy jedna z klientek z westchnieniem popatrzyła na nieskazitelny stan szafek w kuchni Abby i wyznała, że chciałaby być równie dobrze zorganizowana.

Abby zaproponowała, że zapisze jej swój system na kartce.

- Nie, proszę to dla mnie zrobić - błagała tamta kobieta.

Wkrótce Abby organizowała systemy funkcjonowania bez bałaganu dla domowych biur i porządkowała domy pełne różności, w których nikt już nie mógł niczego znaleźć. Była bezlitosna dla starych widokówek, wycinków z gazet i listów od dawnych ukochanych, ale łagodnie się obchodziła z osobą niechętnie wyrzucającą wszystkie swoje skarby

- To nie ty z tego korzystasz, lecz dajesz się wykorzystywać - to była jej mantra. - Jeśli coś nie jest ci potrzebne ani piękne, wyrzuć to! Poczujesz się znacznie lepiej, gdy twoje życie będzie pozbawione śmieci.

Kiedy oczyściła ze zbędnych rzeczy gabinet dziennikarki, która napisała później do swojej gazety artykuł o inspirującym doświadczeniu, jakim było wyrzucanie worków pełnych rupieci, do drzwi Abby zapukała sława.

Kilka minut przed siódmą przed domem zatrzymało się dziesięcioletnie volvo Toma.

- Przepraszam! - zawołał, zatraskując za sobą drzwi wejściowe. - Utknąłem na kółku teatralnym.

Na górze ubrana i zerkająca na zegarek Abby westchnęła. Cały Tom. Nadzorowanie kółka teatralnego nie należało nawet do jego obowiązków. Jaki sens miało bycie wicedyrektorem, skoro trzeba było robić tyle innych rzeczy, zamiast przerzucić je na inne osoby? W domu nigdy się nie zawahał przed poproszeniem Abby, by coś dla niego zrobiła, w pracy jednak przeobrażał się w pana „pozwólcie-że-ja-to-zrobię”.

Po kolejnych pięciu minutach czekania na to, by Tom przyszedł na górę i się przebrał, Abby pomaszerowała na dół. Nie miała zamiaru niczego mówić, ale była gotowa i powinni już wyjeżdżać.

Tom i Jess zaśmiewali się w kuchni z jakiegoś żartu.

- Tato, ty stary hipisie - mówiła właśnie czule Jess. Krzesło, na którym siedziała, było odsunięte od stołu, a stopy oparła na drugim, wyciągając przed siebie nogi w czarnych rajstopach. - Idź i posłuchaj swoich starych płyt Jethro Tull, OK? Nigdy nie będziesz modny

- Mogę przecież oglądać MTV - odparł łagodnie Tom. Udał, że daje Jess klapsa w rękę. - Powiedziałem jedynie, że podoba mi się ta piosenka Chada Krugera. Nie wysyłaj mnie jeszcze do domu starców.

- W takim razie w przyszłym tygodniu - uśmiechnęła się szeroko Jess. - No dobra. Muszę się zająć pracą domową z chemii, a ty jakimś wytwornym przyjęciem.

Tom zmierzwił włosy Jess, a ona nie uchyliła się. Uśmiechnęła się do ojca.

Abby przyglądała się im w milczeniu, zadowolona, że tak dobrze się dogadują, ale jednocześnie zazdrosna, że jej relacje z żadnym z nich nie są już takie swobodne. Wyglądało to tak, jakby Jess i Tom tworzyli zamkniętą, małą rodzinę, a ona pozostawała na uboczu.

Selina Carson prześlizgiwała się przez tłum ludzi z wyćwiczoną swobodą osoby, która z zamkniętymi oczami potrafi wyprawić przyjęcie dla trzystu osób. Jako dyrektor ds. promocji w Beech Productions wiedziała lepiej niż ktokolwiek inny, w jaki sposób rozciągać przewidziany budżet i wypraszać przysługi. Bez jej pomocy przyjęcie z okazji dziesięciolecia istnienia firmy odbyłoby się pewnie w jakimś obskurnym pubie, gdzie do jedzenia podawano by kielbaski i chipsy, a do picia po kieliszku kiepskiego szampana. Dzięki niej znajdowali się teraz w przepięknie urządzonej nowej galerii. Ściany zdobiły ekstrawaganckie przykłady sztuki współczesnej, wśród których były obrazy przedstawiające nowoczesne wariacje na temat ponętnych pań z haremu Ingesa, pożeranych wzrokiem przez wielu obecnych w galerii mężczyzn, gdy sądzili, że nikt na nich nie patrzy.

Wino było dobre („Pomyśl o reklamie, kochany!”, oświadczyła importerowi win, do którego najczęściej dzwoniła, gdy urządziła przyjęcia) i wyglądało na to, że ta nędzna suma przeznaczona na dzisiejszy wieczór została spożytkowana doskonale. Selina miała jedynie nadzieję, że nikt nie ulegnie zatruciu pokarmowemu, jako że firma cateringowa była nowa i dziwnie tania. Na czymś przecież trzeba było oszczędzić.

- Abby, kochanie, cudownie cię widzieć. I ciebie także, Tom.

Selina z ulgą przyjęła pojawienie się Abby, gdyż zaczynała jej brakować gwiazd, które mogła dzisiaj przedstawić ważnym reklamodawcom i sponsorom. Abby będzie idealną osobą do wmieszania się w nieco znudzone grupki i sprawienia, że goście poczują się niczym główni rozgrywający. Co więcej, Selina mogła to jej wyjaśnić na ucho i Abby będzie od razu wiedziała, jak to zrobić. Była stuprocentową profesjonalistką, co Selina uważała za bezpośredni efekt tego, że sława przyszła do niej, kiedy nie miała już dwudziestu lat.

- Fantastyczna fryzura.

- Dzięki, Selino - uśmiechnęła się szeroko Abby.

Nigdy do końca nie wierzyła, gdy ludzie prawili jej komplementy. Tę cechę odziedziczyła po niej Jess. Uważała, że ci ludzie starają się być mili i tyle. Czyż nie wiedzieli, że jest gospodynią domową po czterdziestce, której po prostu się poszczęściło?

- Tom, świetnie wyglądasz. A teraz, Abby... - Selina ujęła swoją gwiazdę pod ramię, wyszeptała jej coś szybko do ucha, a następnie poprowadziła w kierunku niewielkiej grupy mężczyzn w garniturach. - Panowie, musicie poznać Abby Barton.

Raczący się cygarem potentat z branży reklamowej, który miał dosyć tego, że musi prowadzić towarzyską rozmowę o niczym z osobami zajmującymi niższe od niego stanowiska, chwycił dłoń Abby i potrząsnął nią mocno.

- Cudownie panią poznać. Moja żona uwielbia pani program - oświadczył.

- Niezwykle miło mi to słyszeć - odparła Abby. Selina coś takiego traktowała jak pracę, ale to wcale nią nie było. Ludzie byli naprawdę tacy sympatyczni.

W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku Selina uchwyciła ramię Toma i poprowadziła go na przeciwległy koniec galerii, gdzie na skraju tłumy znajdowały się niewielkie grupki ludzi. Na lewo stały dwie bardzo młode kobiety

Rozmawiały z sobą, jednakże rzucały spojrzenia ku pozostałym, tak jakby pragnęły się stać częścią tej grupy, ale były zbyt nieśmiałe, by wykonać pierwszy krok.

- Wyświadc mi przysługę i porozmawiaj z tymi dwiema, dobrze? - poprosiła Selina. - Ta ruda to siostrzenica jednego z naczelników dyrektorów. W przyszłym tygodniu rozpoczyna u nas pracę jako asystentka, ale jak na razie nikogo nie zna i on chciałby, żebym miała na nią oko.

- Będą chciały prawdziwych ludzi z telewizji. - Tom uśmiechnął się leniwie do Seliny - Stary i nieciekawym nauczyciel zanudzi je na śmierć.

- Przestań domagać się komplementów - odparowała, myśląc, jaka z tej Abby Barton szczęściara. Ze zmierzwiionymi, siwiejącymi włosami, pociągłą twarzą i atramentowymi oczami Tom Barton zdecydowanie nie pasował do stereotypu starego i nieciekawego nauczyciela. To, że nie miał w sobie ani grama próżności i wyraźnie było widać, że nigdy go nie obchodziło w co był ubrany, wcale nie oznaczało, że nie był atrakcyjnym mężczyzną. „Jest coś seksownego”, pomyślała Selina, „w zarabianiu na życie mózgiem”, a to jego oderwanie od rzeczywistości przypominało jej patrycjuszowskiego Rycerza Okrągłego Stołu, zawsze obierającego trudną ścieżkę, ponieważ cierpienie było szlachetniejsze. Tak bardzo się różnił od chorobliwie ambitnych młodzieniaszków, pracujących w telewizji i noszących garnitury znacznie lepsze od szarego, sfatygowanego garnituru Toma, ale potrafiących rozmawiać jedynie o swoich nowych samochodach albo telefonach komórkowych będących ostatnim cudem techniki. Tom potrafił urzec słuchacza, we frapujący sposób opowiadając o upadku Bizancjum. Selina miała okazję się o tym przekonać - spijała z jego ust każde słowo podczas tamtej pamiętnej rozmowy, co było dziwne, gdyż nigdy wcześniej nie interesowała się historią. Poza tym im był starszy, tym lepiej wyglądał. Farciarz Tom. „Nie”, poprawiła się w myślach, „farcziara Abby”.

Gotowa była się założyć, że w domu jest naprawdę kochany. Tacy mężczyźni zawsze biegli, by otworzyć drzwi i wnieść za ciebie zakupy. Selina nie była z nikim związana i niestety sama musiała dźwigać zakupy z samochodu do domu.

Przez trzy kwadranse Tom i Abby w ogóle się nawzajem nie widzieli. Abby obdarzała swym urokiem kolejne grupki osób, świadoma tego, że jej mąż doskonale da sobie radę w pojedynkę. Twierdził, że lata siedzenia na wywiadówkach oznaczają, iż nie ma takiej okazji towarzyskiej, podczas której nie wiedziałby, co powiedzieć.

Była prawie dziewiąta, kiedy Abby udało się uciec ostatniej grupie rozbawionych i nieco wstawionych ludzi, którzy już planowali, dokąd udadzą się dalej. Ona poprzestała na jednym małym kieliszku wina - dzisiaj była jej kolej na pełnienie funkcji kierowcy. Rozejrzała się po sali i wreszcie udało jej się odnaleźć Toma. Stał w kącie w towarzystwie dwóch atrakcyjnych młodych kobiet. Miały po dwadzieścia kilka lat i były wystrojone w tańsze wersje markowej spódnicy z zamszu i kaszmirowego sweterka, które miała na sobie Abby

Wyglądało na to, że cała trójka świetnie się bawi. Śmiali się w głos, jakby znaleźli więcej tematów do rozmowy niż telewizyjne wskaźniki oglądalności i ulgi podatkowe dla firm producenckich. Blondynka była niemal równego wzrostu z Tomem i z punktu widzenia Abby zdecydowanie go prowokowała, wysuwając w jego stronę kościstą miednicę, uśmiechając się, a nawet kokieteryjnie dotykając swoich włosów.

Abby poczuła ukłucie irytacji. Nie znaczy to, że niepokoiła się o Toma - o nie, nic z tych rzeczy. Jej mąż był wyjątkowo odporny na flirtowanie. Gdyby miał wybierać pomiędzy intelektualną dyskusją na mało ważny temat a namiętą sesją w łóżku z supermodelką, bez wahania zdecydowałby się na to pierwsze. Jednak ta dziewczyna powinna się nieco opamiętać. Jeśli przysunie się jeszcze odrobinę bliżej Toma, praktycznie na niego wejdzie.

- Witam - odezwała się pogodnie Abby i wsunęła rękę pod ramię męża. - Gotowy do wyjścia?

- Och, nie możecie teraz iść - jęknęła blondynka, a na jej ładnej twarzy pojawiło się dziecinne rozdrażnienie. - Tak dobrze się bawimy. W szkole nikt nigdy nie wyjaśniał mi różnych rzeczy tak jak Tom. Opowiada nam właśnie o dziewczynach z haremu, takich jak na tamtym obrazie.

Abby zastanawiała się, kim ona jest. Czyjaś dziewczyną, modelką? Potencjalną gwiazdką telewizyjną?

- Moja żona mówi, że musimy iść, więc musimy iść - odparł Tom, obdarzając blondynkę ciepłym uśmiechem.

Poziom irytacji Abby jeszcze bardziej się podwyższył. W ustach Toma zabrzmiało to tak, jakby była służbistką odciągającą go od zabawy. Brakowało jej już jedynie wałka do ciasta, by mogła zdzielić go nim po głowie, i obraz jej postaci byłby kompletny

- Nie będę cię przecież na siłę odrywać, kochanie - rzekła, kładąc nacisk na słowo „kochanie”.

- Tak, zostańcie jeszcze trochę - błagała blondwłosa i długonoga część jego widowni. - Chociaż na jeszcze jednego drinka.

- Tak, proszę - odezwała się druga dziewczyna.

Tom posłał spojrzenie swej żonie. Urzeczona widownia była jego słabością.

- Oczywiście, zostaniemy - odparła swobodnie Abby z pozostającą na miejscu maską profesjonalistki. - Zresztą i tak z wieloma osobami muszę jeszcze porozmawiać. Sądziłam po prostu, że powinniśmy wrócić w miarę wcześniej do Jess. Naszej córki - wyjaśniła grzecznie blondynce.

Z płonącymi policzkami odwróciła się z powrotem w stronę tłumu i odnalazła Seline.

- Jest ktoś jeszcze, z kim mam porozmawiać? - zapytała.

- Jesteś cała zarumieniona, Abby - odparła ze zdziwieniem Selina. - Wszystko w porządku?

Powrót do domu upłynął w milczeniu. Abby, zadowolona z tego, że musi się skupić na jeździe, patrzyła ponuro na drogę i powtarzała sobie w myślach, że przesadza. Tom był po prostu uprzejmy. Wyjaśnił jej, że to Selina go poprosiła, by porozmawiał z tymi dziewczynami.

„Jedyne, co zrobił, to wypił relaksujący kieliszek wina po długim dniu”, pomyślała Abby Nic więcej. I najpewniej było mu miło, gdy przebywał w towarzystwie ludzi, którzy go słuchali: zawsze mówił, że uczniowie w męskiej szkole, w której pracował, byli tak skupieni przed egzaminami, że chcieli słuchać jedynie rzeczy, które mogli wykorzystać właśnie podczas ich zdawania.

- Jestem zmęczony - rzekł i ziewnął szeroko, nie kłopotząc się zasłanianiem ust. - Te służbowe przyjęcia zawsze mnie wykańczają.

Gniew Abby ponownie odnalazł drogę na powierzchnię i musiała zagryźć wargę, by nie zauważyć głośno, że wcześniej nie wydawał się ani odrobinę wykończony.

- Mmm - mruknęła jedynie.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Boli mnie głowa. - „I to wcale nie jest kłamstwo”, pomyślała. Gdy była zirytowana, zawsze bolała ją głowa od ciągłego zaciskania zębów.

- Och. - Z tym krótkim słowem Tom oparł głowę o zagłówek i zamknął oczy. Był w stanie zasnąć dosłownie wszędzie.

Abby chwyciła mocno kierownicę i jechała przez ciemną noc, obmyślając inteligentne odpowiedzi, jakich powinna była udzielić, by pokazać tej dwudziestoletniej blondwłosej laluni, gdzie jej miejsce. Gdyby tylko jej Tom poświęcał tyle uwagi.

Rozdział trzeci

Weekend upłynął rodzinie Bartonów w taki sposób, że każdy z jej członków zajmował się swoimi sprawami. Jess większość soboty spędziła w swoim pokoju, ucząc się, a później Abby odwiozła ją do Steph, by razem mogły się przygotować do imprezy u koleżanki. Abby wcześniej pozwoliła, by została u Steph na noc, i nie bardzo miała możliwość zaprotestować, kiedy w niedzielę zadzwoniła mama przyjaciółki jej córki, by przekazać informację, że całą rodziną wybierają się na obiad i bardzo by chcieli, by towarzyszyła im Jess.

Tom całą sobotę spędził na próbie szkolnej grupy teatralnej, szykującej się do wystawienia sztuki, i do domu wrócił późno. W niedzielę oświadczył Abby, że przez cały dzień będzie sprawdzał prace domowe, po czym usadowił się przy stole w kuchni, rozłożył przed sobą zeszyty i przybrał poważny wyraz twarzy. Z poczuciem dziwnego opuszczenia, Abby wycofała się wraz z gazetami do salonu, co skończyło się na drzemce przed telewizorem, którą pod wieczór prze-rwał powrót Jess.

- I jak impreza? - zapytała z przejęciem Abby, wychodząc na korytarz, by się z nią przywitać.

Jess posłała mamie spojrzenie pełne irytacji.

- Nudna - odparła.

Cóż, bo rzeczywiście była nudna. Byli tam co prawda chłopcy, Jess ich nie знаła, ale nie wykazali nawet najmniejszego zainteresowania rozmową z nią. Steph natomiast cieszyła się dużym powodzeniem, przez co Jess poczuła się jeszcze bardziej upokorzona. Ona i Steph, odkąd skończyły pięć lat, wszystko robiły razem, a teraz jej przyjaciółka została jakoś tak bez wysiłku wpuszczona do tego wspaniałego klubu dorosłych, podczas gdy Jess pozostała na zewnątrz, zaglądając jedynie do środka, niczym dziecko z nosem przyklejonym do szyby w sklepie ze słodyczami. Tak czy inaczej nie było sensu mówić mamie o tym wszystkim. Nie zrozumiałyby.

- Idę do mojego pokoju - powiedziała i pomaszerowała na górę, pozostawiając zasmuconą Abby na korytarzu.

Nadszedł poniedziałek i Abby się obudziła, gdy Tom postawił obok budzika jej poranny kubek z herbatą. Ogólnie bardzo niewiele pomagał w domu, jednak akurat to robił nawet po siedemnastu latach małżeństwa.

- Kwadrans po siódmej - rzekł zwięźle.

Otumaniona od snu po niespokojnej nocy, Abby jęknęła i zastanowiła się, czy by nie poleżeć sobie jeszcze chociaż przez pięć minut. Jednak nie, to by było fatalne w skutkach. Usiadła i pociągnęła łyk bardzo gorącej herbaty. Lubiła pić niemal wrzątek i Tom był jedną z niewielu osób, które przygotowywały herbatę w dokładnie taki sposób. Był porannym ptaszkiem, i kiedy zeszła na dół, on już zdążył zrobić sobie grzanekę, zaparzyć kawę i przeczytać połowę gazety. Kiedyś Jess rozbawiała innych stwierdzeniem, że powodem, dla którego jej rodzina była taka szczęśliwa, jest to, że mama jest normalną, dzienną osobą, Jess sową, a Tom jest na nogach od szóstej rano, a więc ich trójka nigdy się z sobą nie widuje. Ostatnimi czasy nie mówiła już tego.

Abby przelknęła jeszcze jeden łyk herbaty i sięgnęła po pilota. Uwielbiała telewizję śniadaniową, ale wiedziała, że jest równie niebezpieczna jak dodatkowe pięć minut w łóżku. Każdy odcinek kończył się reklamą czegoś znacznie bardziej interesującego i niezwykle łatwo było leżeć i planować, że się wstanie, gdy tylko skończy się program o modzie na wiosnę. Albo odcinek o kuchni cajun, albo, och, spójrzcie tylko, o wakacjach w Austrii, to naprawdę ciekawe...

Zwlokła się z łóżka i podreptała do łazienki, by umyć zęby. Z lustra patrzyła na nią kobieta ze zbyt puszystymi włosami, podkrążonymi oczami, zmęczoną cerą i bladymi ustami, które zdawały się ginąć w jej twarzy. Gdy była bez makijażu, nowe miedziane pasemka nadawały jej wygląd klauna Bobo.

Wizyta w salonie Sally była jej bardzo potrzebna.

Zarówno Jess, jak i Tom wyglądali na zdziwionych, kiedy dwadzieścia minut później Abby zeszła na dół w pełnym makijażu, dzinsach i jednym z najlepszych sweterków, golfie z anory w kolorze toffi.

- Myślałem, że dzisiaj rano nie idziesz do pracy - powiedział Tom, który właśnie smarował masłem ostatnią grzanekę.

Abby posłała mu ostre spojrzenie, ale on w międzyczasie zdążył się już z powrotem skryć za gazetą.

- Wydawało mi się, że mówiłaś, iż dzisiaj pracujesz w domu - odezwała się Jess.

- Bo tak jest - odparła Abby, uśmiechając się radośnie do córki. - Jednak to przecież nie powód, by nie wyglądać ładnie. Zbyt łatwo jest snuć się w byle jakim ubraniu, kiedy się pracuje w domu.

Wyjęła blender i otworzyła zamrażarkę, by poszukać jakichś owoców na koktajl.

- To głupie stroić się, kiedy się siedzi w domu. Marnotrawienie czasu - rzekł z roztargnieniem Tom, nie podnosząc głowy znad gazety

- A jeśli ktoś zadzwoni do drzwi? Nie chcę niechlujnie wyglądać - odpowiedziała Abby

- Po co się ubierać wyjściowo jedynie na wypadek, gdyby ktoś zadzwonił? - zapytał Tom. - Ty zawsze dobrze wyglądasz.

Dłoń Abby zatrzymała się w połowie drogi po maliny, a palce zrobiły się równie sztywne jak zmarznięte owoce. Dobrze? Zawsze *dobrze* wygląda? Dlaczego to zdanie zabrzmiało tak ponuro? Dlaczego ton głosu Toma był taki zawodowy? *Postępy pani syna są dobre, pani X, nie porywające, ale dobre.*

Abby nie chciała wyglądać dobrze. Pragnęła wyglądać olśniewająco pięknie, jak ta jasnowłosa lalunia, która gruchała do Toma na imprezie Beech. Wyszarpnęła z zamrażalnika torebkę malin i rzuciła je na blat. Czy jej mąż zawsze był tak mało wrażliwy, czy też stał się taki dopiero niedawno?

Kiedy Tom i Jess wyszli, Abby godzinę zajęło sprzątnięcie domu i nastawienie prania. Następnie usiadła przy dużym, kremowym biurku w gabinecie i przekartkowała terminarz z umówionymi spotkaniami. Miała teraz dwa terminarze. Ten oficjalny prowadziła Katya, jej asystentka. Była to duża księga oprawiona w zamsz. Drugi był tylko dla niej, mniejszy, w kwiecistej oprawie, w którym zapisywała, co musi zrobić i o czym pamiętać, jak na przykład co założyć na jutrzejsze zebranie w Beech z nową kierowniczką produkcji, jakąś ważniaczką, która będzie także zarządzać nowo powstałym działem zleceń.

Katya pracowała jedynie przez dwa dni w tygodniu, kiedy Abby nie była zajęta, a trzy, gdy była. Młodej matce dwójki małych dzieci takie rozwiązanie pasowało idealnie. Kiedy Abby kręciła kolejny odcinek, Katya była na jej każde zawołanie, pomagając jej i zajmując się telefonami, listami od fanów i nowymi zleceniami. Gdy Abby nie miała zdjęć, Katya pracowała w swoim domu i odbierała telefony szefowej.

Dzisiaj Katya była w domu, gdy tymczasem Abby powinna ostro pracować nad pomysłami na przemowę podczas wystawy pod tytułem „Idealny Dom”, która miała się odbyć za trzy miesiące. Jednak akurat tym razem lotny umysł zawiódł Abby. Zazwyczaj wchodziła do czyjegoś domu i natychmiast dostrzegała, co trzeba zrobić, aby ułatwić życie jego mieszkańcom. Miała niezawodne oko, jeśli chodzi o wyłapywanie sedna problemu. Tyle że dzisiaj nie była w nastroju. Spróbowała więc zrobić to, co zawsze czyniła, kiedy czuła, że opuściła ją inspiracja: otworzyła jeden z notesów i jasnoniebieskim długopisem napisała na środku słowo „pomysły”.

Kremowa, czysta kartka papieru zazwyczaj stanowiła zaproszenie do kreatywności. Jednak nie dzisiaj. Po kilku liniijkach z bazgrołami Abby dała za wygraną i przejrzała najnowsze numery „House Today”, mając nadzieję, że może w nich znaleźć jakieś inspiracje. Jeden z magazynów zamieścił sesję zdjęciową prezenterki telewizyjnej o imieniu Candy, pracującej w popołudniowym talk-show. Abby spotkała ją kiedyś w Dublinie i niewinnie oczekując swego poczucia koleżeństwa, jako że obie były gwiazdami telewizyjnymi, ze zdumieniem napotkała lodowatą wyniosłość.

- Pani jest z tego słodkiego programiku o sprzątaniu domów, prawda? - wycodziła złośliwie Candy. - Bardzo lubię obserwować sukcesy nowicjuszy W tej branży trzeba jednak siedzieć naprawdę długo. Widzi się tak wielu ludzi przychodzących, a później odchodzących, kiedy notowania spadają. - A potem ćwierkała o swojej pełnej sukcesów karierze, wyraźnie dając do zrozumienia, że gwiazda prezenterki *Porządków* nie będzie świecić zbyt długo.

Abby była zbyt wrażliwa i niepełna siebie, by zachowywać się równie jędrzowato, jednak nie zamierzała być dla tej kobiety popychadłem.

- To prawda, nigdy nie wiadomo, kiedy program zacznie tracić widzów - oświadczyła i niewinnie zatrzepotała rękami. - Notowania są bardzo wysokie, wyższe niż podczas ostatniego odcinka pierwszej serii *East Eanders*, ale nie możemy spocząć na laurach. Do widzenia, miło było panią poznać. Od zawsze uważam panią za niezatapialną, skoro aż tyle lat jest pani w tym biznesie. - Z tymi słowami oddaliła się, pozostawiając Candy miotającą się z wściekłości zarówno z powodu wspomnianych wysokich notowań, jak i sugestii, że się starzeje. „Niemniej jednak z całą pewnością nie wyglądała staro w tym magazynie”, pomyślała ponuro Abby.

„Candy zaprasza »House Today« do swojego uroczego domu” - napisano w artykule wstępnym pod dwoma wielkimi zdjęciami kuchni i sypialni. Z całą pewnością obydwa te pomieszczenia zostały wysprzątane przez armię filipińskich sprzątaczek, a granitowe blaty w kuchni lśniły nienaturalnie.

Spojrzenie Abby wyjątkowo nie koncentrowało się na domu, w poszukiwaniu elementów, których nie znosiła, jak na przykład upiętych zasłon, tak bardzo przez wszystkich lubianych. Zamiast tego wpatrywała się w Candy, która wyglądała strasznie młodo z tymi swoimi długimi, opalonymi nogami, dużymi niebieskimi oczami i cerą równie świeżą jak dopiero co zerwana brzoskwinia.

- Ona ma czterdzieści osiem lat albo i więcej - powiedziała z rozdrażnieniem Abby - Wyretuszowali te fotki.

Wyrzebała z szuflady lupę i zaczęła uważnie oglądać zdjęcie po zdjęciu: Candy w dżinsach biodrówkach z rondlem w jednej dłoni; Candy bosa i skulona w ogromnym fotelu. Przyglądała się uważnie, ale nigdzie nie dostrzegła ani jednej zmarszczki. Małpa. Musiała dać sobie coś zrobić, a właściwie to nawet bardzo dużo. Abby zamknęła ze złością gazetę i popatrzyła na ścianę za biurkiem. Wisiało na nim wielkie „Świadectwo Gwiazdy”, które dostała w ramach żartu od ekipy *Porządków* na zakończenie ostatniej serii.

„Dzięki, Abby” - było tam napisane. - „Uwielbiamy pracę z Tobą. Jesteś prawdziwą gwiazdą”. Nad słowami widniała duża, złota gwiazda. Abby naprawdę się tym wtedy wzruszyła.

Popatrzyła na nią z przygnębieniem. „Jesteś gwiazdą”.

- Dzisiaj za cholerę nie czuję się jak gwiazda - prychnęła gniewnie.

We wtorek rano to Abby wstała pierwsza z łóżka. Chciała wyglądać wyjątkowo dobrze, gdyż miała się spotkać z nowym kierownikiem produkcji i działu zleceń, dopiero co zatrudnionym przez Beech, kobietą, Roxie O'Halloran, która najwyraźniej aż się paliła, by „podzielić się kilkoma nowymi pomysłami odnośnie do programu”. Abby dręczyły w związku z tym niedobre przeczucia. Może i nie miała zbyt wielkiego doświadczenia, jeśli chodzi o tego typu zebrania, ale instynkt jej podpowiadał, że to „dzielenie się kilkoma nowymi pomysłami odnośnie do programu” w języku tej branży oznaczało „zmianę wszystkiego od A do Z”. Wcześniej zadzwoniła do Flory, kierowniczki programu i dobrej koleżanki, ale ona niczego nie wiedziała i beztrząsco stwierdziła, że Beech nie będzie przecież zmieniał formuły, która odniosła taki sukces.

- Przestań się zamartwiać, Abby. Nasza formuła jest zwycięska, a ty jesteś jej wielką częścią.

W tylnej części łazienkowej szafki Abby odszukała niesamowicie drogi i rzadko używany płyn do mycia twarzy i krem nawilżający Eve Lom. Uznała, że skoro był wystarczająco dobry dla wielkich gwiazd, był dobry i dla niej. Staranne oczyszczanie było odpowiedzią na problem bronienia się przed zmarszczkami.

- Co ci się stało, że tak wcześnie wstałaś? - mruknął Tom, wchodząc dziesięć minut później do łazienki. Spod zbyt obszernego T-shirtu wystawały jego nogi, chude i blade. Lubił kiedyś żartować, że ma nogi biegacza długodystansowego. Ciekawe, czy zrobiłoby mu się przykro, gdyby powiedziała, że jego nogi są „w porządku” zamiast „seksowne”, co kiedyś powtarzała zawsze, gdy jęczał, że są za chude.

Powróciła do wytrwałego wsmarowywania w ramiona i plecy pachnącego balsamu do ciała. Tom nie zapytał, czy chciałaby, żeby jej pomógł z trudno dostępnymi miejscami. Dawniej byłby bardziej niż chętny, by to zrobić, i powoli wmasowywałby balsam w te bardziej interesujące fragmenty ciała. Abby starała się przekonać samą siebie, że to nie ma znaczenia.

- Mam rano zebranie ekipy produkcyjnej. Będziemy omawiać pomysły na program - odparła oschle.

Uwielbiała zebrania. Była niczym bizneswoman, gdy siedziała razem z innymi przy długim stole w nowoczesnym biurze Beech na nadbrzeżu wszyscy mieli przed sobą butelki z wodą mineralną i czyste notesy, przerzucali się pomysłami, a atmosfera kreatywności była niemal namacalna. To wszystko sprawiało, że czuła się jak Melanie Griffith w *Pracującej dziewczynie* - pięknie ubrana, ale nieco oszukująca. Miała nadzieję, że dzisiejsze zebranie także będzie przyjemne. Flora miała rację: najpewniej niepotrzebnie się tak przejmowała tą nową kierowniczką produkcji.

- Kiedy później będziesz w sklepie - odezwał się Tom, odkręcając kurek pod prysznicem - nie zapomnij, że potrzebne mi nowe ostrza do maszynki. Wiesz, jakie lubię. I kończy się nam kawa.

Wszedł pod prysznic.

Abby poczuła się tak, jakby zaraz miała się rozpląkać. Nie dlatego, że jej mąż sprawiał wrażenie zupełnie nieświadomego systemu, który oznaczał, iż nigdy nie skończą im się podstawowe produkty, takie jak kawa czy ostrza do maszynek, a to przecież, o ironio, stanowiło podstawę jej sukcesu zawodowego, a co za tym idzie, ich dostatniego życia. Wreszcie do niej dotarło, w kogo się przekształciła: w jego matkę. Jedyna różnica to fakt, że czasami - bardzo rzadko - uprawiali seks. Nie zwracała sobie nawet teraz głowy przypomnianiem, kiedy robili to po raz ostatni. Pomijając seks, była „klonem” zmarłej pani Beryl Barton, dostarczycielką ostrzy do maszynek i aniołem zajmującym się praniem, który w celu sprawnego działania wymagał jedynie raz na jakiś czas jakiegoś komplementu.

„W porządku. Wyglądasz w porządku”.

Abby zaczęła wściekle nakładać podkład z łatwością, jakiej jej nauczyło przyglądanie się pracy makijażystek w *Porządkach*. Może i nie była dwudziestolletnią, długonogą blondynką, ale nadal była w stanie wyglądać lepiej niż „w porządku”.

Przynajmniej dziarska, młoda recepcjonistka w siedzibie Beech ucieszyła się na jej widok.

- Witaj, Abby! - Livia uśmiechnęła się zza eleganckiego biurka ze szkła i chromu. - Czekają na ciebie w sali konferencyjnej. Mam zadzwonić, żeby ktoś po ciebie zszedł, czy chcesz pójść na górę sama?

- Po nikogo nie dzwoń, Livia - zbesztła ją Abby. - Nie znoszę robić zamieszania.

- Wiem - westchnęła Livia. Abby była uroczą osobą i świetnie się z nią pracowało, co w tej branży należało do rzadkości. Nigdy niczego nie żądała, nie tak jak niektóre gwiazdy, które wbiegały i wybiegały z siedziby Beech, niegrzecznie domagając się natychmiast taksówki i traktując Livię tak, jakby była osobą, której zmysł słuchu działa poprawnie tylko wtedy, gdy się na nią wrzeszczy

Gdyby Abby potrzebowała taksówki, grzecznie zapytałaby Livię, czy zadzwonienie po nią nie sprawi jej zbyt dużego kłopotu. I podziękowałaby Zawsze pamiętała, by zapytać o matkę Livii, która uwielbiała *Porządki* i była uszczęśliwiona, kiedy otrzymała kopię ostatnich nagrań z biletym grzecznościowym Beech, osobiście podpisanym przez Abby.

Abby udała się pospiesznie do sali konferencyjnej, nie słysząc niczego oprócz głośnego szelestu swojej długiej, skórzanej spódnicy. W domu strój ten wydawał się jak najbardziej odpowiedni - klasyczny, ale nowoczesny, z obcisłymi kozaczkami z lycry i szykowną białą koszulą z wielkimi mankietami - ale zdążyła już zapomnieć, jak ta spódnica potrafi hałasować. Z każdym krokiem miała wrażenie, jakby cały legion sobowtórów Russella Crowe'a maszerował hałaśliwie ku bitwie o chwałę Rzymu.

W sali konferencyjnej znajdowały się cztery osoby: Stan, kierownik produkcji; Flora, reżyser; Brian, dyrektor naczelny Beech; oraz Roxie, nowy kierownik produkcji. Abby świetnie się dogadywała z pierwszą trójką, ale widok tej nowej kobiety natychmiast sprawił, że poczuła onieśmienie. Roxie, ubrana w elegancki garnitur od Gucciego, wyglądała olśniewająco. Miała wyraziste rysy twarzy i z pewnością nie sprawiała wrażenia takiej, co to w świecie biznesu czuje się jak oszustka.

Abby miała nieco mgliste pojęcie na temat roli Roxie w Beech i tego, co będzie chciała zrobić z *Porządkami*.

Nie musiała długo czekać, by się dowiedzieć więcej.

Po dziesięciu minutach wzajemnego poklepywania po plecach za to, jak dobrze wypadła ostatnia seria, Roxie objęła przewodnictwo. Dziarsko wcisnęła przycisk opuszczający żaluzje, które zasłaniały teraz spektakularny widok na rzekę, i włączyła inny przycisk, uruchamiając w ten sposób panoramiczny ekran telewizyjny

- To amerykański program o formule dość podobnej do *Porządków* - oświadczyła, kiedy pojawiły się napisy początkowe. - Sądzę, że szybko zrozumiecie, o co mi chodzi.

O co jej chodzi? Abby poczuła się z lekka niedoinformowana.

Program miał zdecydowanie taki sam format jak jej - ludzie oddawali swoje domy w ręce ekspertów z *Jazda mi stąd!*, pozbywających się rupieci. Tyle że ekspertami były trzy młode i piękne kobiety - zapewne były cheerleaderki - i w żaden sposób nie oszczędzały przeciwnika. Zamiast łagodnie odciągnąć klienta od ukochanych stert pamiętek lub ubrań, które należały do dawno nieżyjącego rodzica, dziewczęta zmuszały daną osobę do pozbycia się rupieci, zachowując się niczym prześladowczyni ze szkoły średniej, otaczające w szatni klasową ofiarę.

- Po co komuś coś takiego? - zapytała jedna z nich, podnosząc do góry wypłowiałego pluszowego misia, którego zalana łzami klientka przechowywała odkąd jej obecnie trzydziestoletni syn był niemowlęciem.

„Ponieważ on coś dla niej znaczy”, rzekła w duchu Abby

- Co my mu mówimy? - zapytała amerykańska piękność, wymachując pluszakami.

- Jazda mi stąd! - zawołały chórem jej dwie towarzyszki.

- Ten program to spory hit - oświadczyła Roxie, przewijając reklamy. - Jest agresywny, to prawda, ale wskaźniki oglądalności są wysokie, ponieważ każdemu podoba się obserwowanie, jak ktoś inny zbiera cięgi. I o to właśnie chodzi.

Abby przyglądała się małej, lisiej twarzy Roxie z uczuciem bliskim niechęci. Nie była w stanie wyobrazić sobie, by ta kobieta kiedykolwiek przechowywała u siebie plik starych listów albo zepsuty kolczyk nie do pary, ponieważ dostała go od dawnego ukochanego. Nie można było oczyszczać czyjegoś życia ze śmieci bez choćby pobieżnego zrozumienia tego, co dla ludzi jest ważne. Pamiętki były cenne, a wyśmiewanie się ze skarbów innych ludzi jest po prostu okrutne. Leczenie za pomocą skalpela.

Roxie jeszcze nie skończyła. Wcisnęła „play” i program ponownie pojawił się na ekranie. Abby zaczęła zapisywać to, co jej się w nim nie podobało.

„Ludzie są traktowani zbyt ostro. Bardzo antypatyczny.

Trudno pozyskać nowych chętnych do wzięcia w nim udziału, kiedy zobaczą, jakie to wszystko jest bolesne”.

Rzuciła ukradkowe spojrzenie Stanowi, Brianowi i Florze, zakładając, że przyznają jej rację. Jednak cała trójka oglądała z przejściem program, a Flora obsesyjnie ciągnęła za swój długi, czarny warkocz i wyglądała na urzeczoną.

- Oto sposób na zdobycie większej oglądalności - oznajmiła Roxie. - Nie krytykuję tego, co robiliście do tej pory, ale musimy przeskoczyć na inny poziom. W przypadku siedemdziesięciu procent programów telewizyjnych kręci się tylko dwie serie, nie licząc tych naprawdę słynnych quizów. Pragniemy być wśród tych wygrywających trzydziestu procent z programem, który trwa i trwa. Nowa seria okaże się dla nas rozstrzygająca. Musimy ją nieco odświeżyć.

Abby siedziała sztywno na krześle, czekając, aż ktoś się odezwie, aż powie: „Nie, w *Porządkach* wcale nie o to chodzi”.

Jednak wszyscy z namysłem kiwali głowami.

Abby poczuła, jak do jej twarzy dopływa strumień krwi. W pracy nigdy nie traciła panowania nad sobą, jednak teraz miała wrażenie, że balansuje na krawędzi. To niemożliwe, by oczekiwali od niej, że stanie się taką telewizyjną jędzą. Nie jest w stanie tego zrobić - i nie robi.

- Nie mogę zachowywać się w taki sposób, nie potrafię - oświadczyła gorączkowo, wstając i kierując spojrzenie na troje ludzi, o których sądziła, że są po jej stronie. - Ludzie mi ufają; wiedzą, że leży mi na sercu ich dobro i że chcę im pomóc, czyniąc ich życie prostszym. O tym właśnie jest ten program: o pomaganiu ludziom, a nie ich niszczeniu ani wyśmiewaniu się z nich. - Ten program był jej dzieckiem; to ona sprawiła, że był tym, czym jest. Odejdzie, jeśli będą chcieli go zniszczyć. - Wolałabym odejść niż wrednie się zachowywać.

- Abby, my to rozumiemy - rzekła Roxie przesłodzonym tonem. - Częścią twego uroku jest delikatność i uprzejmość.

Abby skrzywiła się. Roxie powiedziała to w taki sposób, jakby uprzejmość była czymś równie przyjemnym jak opryszczka.

- Nie ma mowy, byś odeszła - oświadczył stanowczo Brian. - *Porządki* to ty, Abby

- Sprawiasz, że ludziom robi się w środku ciepło i przyjemnie, to jest super - dodała Roxie. - Ale musimy iść do przodu. Potrzebne nam coś ostrzejszego. Ktoś ostrzejszy

Gniew Abby oddalił się równie szybko, jak się pojawił. Wpatrywała się teraz w Roxie z poczuciem zagrożenia.

- Mój plan jest taki, by zwerbować jednego lub dwóch nowych prezenterów, którzy by pracowali razem z tobą, Abby Ty pozostaniesz gospodynią, oczywiście, ale potrzebujemy świeżych twarzy. Tak sobie myślę o młodej ekipie, może damsko-męskiej - rzekła, zwracając się teraz do Stana i Flory. - Abby będzie gospodynią i do niej będą należeć główne wątki, ale zainteresowanie widzów wzbudzą dwie nowe osoby. Przy większej ilości osób moglibyśmy w ciągu jednego odcinka załatwić cały dom. A to - dodała triumfująco - stanowiłoby największą zmianę: przedłużenie programu do całej godziny. Reklamodawcy będą nas uwielbiać.

„Nie musiała opowiadać tego wszystkiego Brianowi”, uświadomiła sobie Abby, ogarnięta złymi przeczuciami. Siedział odchylony na fotelu, obserwując reakcje swojej ekipy. Wiedział już wcześniej, o czym mówi Roxie, i wyraźnie się z nią zgadzał.

- Pomyślcie o tym - kontynuowała Roxie. - Podniesiemy atrakcyjność programu, sprawimy, że między dwojgiem nowych prowadzących zaiskrzy, a poza tym będziemy mieć więcej czasu antenowego plus zwiększone wpływy z reklam. Pomyślcie o trzech przerwach na reklamy zamiast tylko jednej.

Abby czuła się jak Kojot, patrzący, jak wielki kamień spada na jego głowę, podczas gdy Struś Pędziwiatr wydaje w oddali okrzyki radości. Ona nie będzie się zachowywać agresywnie, więc znajdą ludzi, którzy to zrobią - dała się wprowadzić prosto w pułapkę.

- Nie wiem - rzekł Stan. - Czy ten program się sprawdzi w formacie jednogodzinnym? A jeśli chodzi o tych nowych prezenterów, to nie powinniśmy najpierw wysondować, czy widzowie mają ochotę na tego typu zmianę? Nie chcę za dużo kombinować z formułą programu. Po co naprawiać coś, co się nie zepsuło?

Roxie, rzecz jasna, miała gotową odpowiedź także i na to.

- Zawsze możemy nakręcić kilka odcinków pilotażowych, by się przekonać, jak ten pomysł sprawdzi się w praktyce - rzekła gładko.

- Młodość jest kluczem do sukcesu - stwierdził filozoficznym tonem Brian, odchylając się na skórzanym fotelu, dzięki czemu wszyscy mieli jeszcze lepszy widok na jego brzuch, który napierał na guziki koszuli marki Charvet.

„Nie był w stanie pozwolić sobie na szyte na miarę francuskie koszule, zanim *Porządki* nie odniosły tak wielkiego sukcesu i nie wpłynęły tak znacząco na wynik finansowy Beech”, pomyślała z wściekłością Abby

- Zdecydowanie. Młodość dodaje telewizji magii - dodał. - Bez urazy, Abby

- Nie gniewam się - odparła przez zaciśnięte zęby

- Prezenterzy są coraz młodszy - wtrąciła Roxie.

- Młodość jest kluczem do wszystkiego - powtórzył pompatycznie Brian.

Wszyscy pokiwali mądrze głowami.

Abby wpatrywała się w nich bez słowa. Młodość? Co oni wiedzieli o młodości? Brian to bezdzietny facet tuż po pięćdziesiątce z przerzedzającymi się włosami, a jedyne ćwiczenia, jakie wykonywał, to podpieranie baru po obejrzeniu meczu piłki nożnej. Stan był chudym singlem zbliżającym się do czterdziestki, spalającym dziennie dwie paczki papierosów i kochającym niezdrowe jedzenie, a bladość skóry sugerowała, że jego arterie pokrywają się osadem z prędkością auta pędzącego w wyścigu Formuły 1. Flora niedawno świętowała czterdzieste urodziny. Wyprawiła wielką, suto zakrapianą alkoholem imprezę i uparła się, żeby wszyscy ubrali się na czarno, co miało stanowić symbol żałoby po jej utraconej młodości.

Bycie młodym było dla nich wszystkich zaledwie wspomnieniem, a mimo to potrafili rozprawiać na temat jej wieku. Jedynie Roxie, która miała najwyżej dwadzieścia pięć lat i której nieposkromiona pycha charakterystyczna dla młodości sprawiała, że pewnie uważała, iż tylko inni się starzeją, mogła twierdzić, że rozumie kulturę młodych.

Po krótkiej dyskusji na temat castingu na prezenterów, podczas której Abby siedziała z uśmiechem przyklejonym do twarzy, zebranie się zakończyło.

- Super było cię poznać - rzekła Roxie do Abby. - Uwielbiam to, co robisz.

- Dzięki - odparła mechanicznie. Była zbyt wytrącona z równowagi, by powiedzieć cokolwiek innego. Przeszła przez korytarz w kierunku damskiej toalety, za nią zaś udała się Flora.

- Wiem, że to trudne - rzekła Flora, kiedy wyszła z kabiny, by umyć ręce - ale Roxie dobrze mówi, Abby. Młodość jest w modzie.

- Wiem o tym - odparła i jakoś udało jej się ukryć, jak bardzo czuje się zraniona tymi słowami.

- Nie chcemy cię denerwować. Jesteś naszą przyjaciółką, Abby, i to także poza telewizją.

- Wcale się nie zdenerwowałam. - Jej dłonie drżały, gdy wyjmowała z torby kosmetyczkę. Nie śmiała użyć konturówki do ust. W lustrze widziała swoją twarz, pobladłą i z napiętymi mięśniami. Jej nowe kasztanowe pasemka wydawały się absurdalnie jaskrawe w porównaniu z bladą cerą. Poprzedni płowy odcień bardziej do niej pasował.

Flora przyglądała jej się uważnie. Abby jakoś udało się odzyskać równowagę.

- To przecież praca, a wymagania w pracy się zmieniają. Jestem profesjonalistką, Floro. Powinnaś o tym wiedzieć - rzekła.

- Przepraszam. - Flora uściśnęła serdecznie ramię Abby. - Zapomniałam. Nie bez przyczyny nazywana jesteś najbardziej twardo stającą po ziemi prezenterką.

Abby starała się z całych sił, by wyglądać na twardo stającą po ziemi, mimo że miała ochotę położyć się na posadzce w damskiej toalecie, walić piętami i wrzeszczeć, że to wszystko jest niesprawiedliwe.

- Wiesz, jeśli mam być z tobą szczerą, to na początku nie byłam pewna, czy lubię Roxie - oświadczyła Flora, zaplatając na nowo warkocz. - Jednak trzeba przyznać, że ma świetne pomysły i pod tą maską twardzielki jest całkiem w porządku.

- Tak, jasne. - Abby zamknęła torebkę. - Muszę lecieć, Floro. Niedługo się do ciebie odezwę, dobrze?

Jakoś udało jej się zejść na dół, nie wpadając po drodze na Briana ani Roxie.

- Och, Abby - zaszczębiotała Livia, gdy mijala recepcję. - Szukał cię pan Redmond.

- Nie mogę zostać. Przepraszam, Livio - odparła grzecznie Abby Nie była w stanie stanąć w tej chwili twarzą w twarz z Brianem Redmondem. - Pa.

Udała się pospiesznie na parking, a wokół nóg powiewała jej skórzana spódnica. Dopiero kiedy znalazła się w samochodzie i minęła bariery ochrony, pozwoliła popłynąć całemu strumieniowi łez.

Rozdział czwarty

Tego samego popołudnia w przychodni lekarskiej w centrum Dunmore Lizzie Shanahan szukała w stosie korespondencji skierowania do specjalisty Przed biurkiem stała pani Pender, z wyrazem zaledwie nieco mniejszego szoku na twarzy niż wczoraj, kiedy ona i jej mąż wyłonili się z gabinetu po usłyszeniu wiadomości, że pan Pender musi się spotkać ze specjalistą w celu dokładniejszego omówienia wyników badań krwi w kierunku raka prostaty

Lizzie znalazła skierowanie wraz z dołączoną karteczką samoprzylepną, na której napisano uwagi dla lekarza specjalisty

Uśmiechnęła się ciepło do pani Pender, starając się emanować zarówno spokojem, jak i zupełną ignorancją odnośnie tego, co się znajdowało w skierowaniu do specjalisty Lizzie wiedziała dokładnie, co w nim jest, gdyż to ona je wypisała, a poza tym recepcjonistka знаła niemal tyle samo sekretów, co lekarz. Jednak lepiej było, jeśli pacjenci nie zdawali sobie z tego sprawy

Ta pacjentka była zbyt zaniepokojona, by chować się za fasadą nienaruszalności tajemnicy gabinetu.

- Nie zmrzyłam oka, odkąd się o tym dowiedziałam - rzekła pani Pender słabym głosem. - Sądzi pani, że to źle, jeśli termin wizyty wyznaczono mu tak szybko?

Lizzie, której kazano prosić przez telefon o jak najszybsze umówienie na wizytę, ponieważ wyniki testu krwi pana Pendera sygnalizowały raka prostaty, poczuła, że bardzo żałuje tej kobiety, udało jej się jednak wyglądać na nieco zaskoczoną tym pytaniem.

- Może ktoś inny wcześniej odwołał swoją wizytę, pani Pender - odparła życzliwie, zastanawiając się, czy skłamać. Uznała, że ta biedna kobieta jutro prawdopodobnie usłyszy w gabinecie specjalisty wystarczająco złe wieści, więc lepiej oszczędzić jej bezsenne leżenie przez całą noc i denerwowania się.

Bezsennosc była problemem, o którym Lizzie wiedziała wszystko. I była świadoma tego, że kobiety martwiły się pięć razy bardziej o zdrowie swych mężów niż o własne. Co już z kolei nie należało do problemów Lizzie.

- Tak, odwołana wizyta, na pewno o to właśnie chodzi. - Pani Pender odeszła zadowolona z pismem w dłoni.

Lizzie rozejrzała się po recepcji. Była za piętnaście piąta. Czekali jeszcze dwie osoby Jedna z nich to starszy pan, który z zadowoleniem dowiedział się, że dzisiaj przyjmuje doktor Morgan. Drugą pacjentką była młoda kobieta, wyglądająca na wykończoną. Na kolanach trzymała dziecko, które miało czerwoną twarz. Małeństwo bez przerwy płakało, były to łzy bolesnego ząbkowania, a płacz osiągał naprawdę wysoki poziom decybeli. Gdy zaniósł się kolejnym atakiem rozpaczliwego łkania, kobieta posłała Lizzie przeproszące spojrzenie. Lizzie miała w przeszłości okazję przekonać się na własnej skórze, co to znaczy ząbkujące dziecko, i w odpowiedzi uśmiechnęła się ze zrozumieniem do młodej matki.

Jej uśmiech należał do zaraźliwych. Miało to coś wspólnego z połączeniem jej szerokich, uśmiechniętych ust, różowych policzków, których kolor przebijał się przez warstwy wszelkich kosmetyków, i żywych, czekoladowobrazowych oczu, błyszczących pod puszystą, przetykaną blond pasemkami grzywką.

Była za dziesięć piąta, kiedy doktor Morgan otworzyła drzwi gabinetu i wezwała do siebie starszego mężczyznę. Lizzie kończyła pracę o piątej i Clare Morgan, najbardziej liczący się z innymi pracodawca, z jakim miała okazję pracować, wychyliła się zza drzwi i rzekła:

- Zamknij za sobą drzwi, gdy wyjdiesz, Lizzie. Wypuszczę pacjentów, gdy skończę.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością i zaczęła sprzątać, pozostawiając listę wieczornych pacjentów dla doktora Jonesa, który pracował od siódmej do dziewiątej. Wieczorami nie było tutaj recepcjonistki, i mimo że Lizzie przydałyby się zarówno dodatkowe pieniądze, jak i możliwość spędzania czasu poza domem, nigdy nie zasugerowała, że mogłaby pracować także wieczorem. Doktor Morgan, która od czasu rozwodu była dla niej wyjątkowo miła, byłaby zszokowana pomysłem spędzania całego czasu w pracy. Doktor Morgan, rozwiedziona matka dorosłych dzieci, mocno wierzyła, że ponownie wolne kobiety muszą stworzyć sobie nowe, ekscytujące życie. Lizzie na zewnątrz zgadzała się z tym wszystkim, a w duchu zastanawiała się, czy Clare Morgan także planowała sobie w sobotę to, co obejrzy w telewizji w ciągu następnego tygodnia, zakreślając w programie odpowiednie pozycje i stawiając gwiazdki przy interesujących programach dokumentalnych. Pewnie nie.

Lizzie zamknęła drzwi od przychodni i dwadzieścia minut później przechadzała się z koszykiem w ręce po supermarkecie na Cork Road, zastanawiając się, co kupić na kolację. „To jeden z miłych aspektów mieszkania w pojedynkę”, pomyślała, „by podnieść się na duchu”. Można było jeść to, na co się miało ochotę. Myles nie znosił tuńczyka z puszki, podczas gdy Lizzie mogła się nim zajadać co wieczór. Preferował także porządne obiady, a nie coś przygotowanego naprędce, jak na przykład fasolka z grzankami. Teraz mogła jeść fasolkę i tuńczyka razem, jeśli tylko przyszła jej ochota. Minęła lodówkę z mrożonymi pizzami i wpadła na Josephine, mieszkającą cztery domy od niej. Josephine, plotkarka na naprawdę profesjonalnym poziomie, pchała załadowany wózek, który obwieszczał światu, że ma do nakarmienia męża i czterech rośłych synów. Jedne na drugim znajdowały się ułożone chwiejnie bochenki chleba i wielkie opakowania mięsa. Gdyby jej wózek mógł mówić, oświadczyłby głośno: „Mam swoje życie”.

- Och, witaj, Lizzie. Jak miło cię widzieć.

Lizzie podjęła nagłą decyzję. Nie była w stanie znieść delikatnego sondowania Josephine. Jej jednoosobowy koszyk wyraźnie udowodniał, że nie posiada życia towarzyskiego, a karafka z czerwonym winem, które było w specjalnej promocji, dawała do zrozumienia, że z problemem braku rozrywek radziła sobie dzięki opróżnianiu litrowych butelek alkoholu.

- Cudownie cię widzieć! - odparła radośnie, nie zatrzymując się. - Przepraszam, ale się spieszę. Mam mieć gościa, a już jestem spóźniona! - Uśmiechnęła się szeroko, co miało sugerować, iż wie dzie intensywnie, pełne wydarzeń życie, które nie pozostawia czasu na rozmowy o niczym w dziale mrożonek.

Kątem oka dostrzegła, że do wózka wolnym krokiem zbliża się gadatliwy mąż Josephine. Dzięki Bogu, udało jej się uciec. Nie byłaby w stanie stawić czoła im obojgu. Skręciła pospiesznie w następną alejkę z kawą i herbatą, wiedząc dokładnie, co powiedziałyby Josephine:

- Biedna Lizzie, jednak wspaniała z niej kobieta, nieprawdaż?

Lizzie wiedziała, że tak właśnie mówili o niej ludzie: „Czyż nie jest wspaniała?”, jakby była jakimś prostaczkiem, który wreszcie nauczył się wiązać sznurowadła. Tak naprawdę mieli na myśli: „To świetnie, że się nie zrobiła zgorzkniała ani nie jedzie na prozacu, odkąd ją zostawił Myles, prawda?”. Nie na darmo przez całe życie obserwowała innych ludzi. Intuicja podpowiadała jej, co tak naprawdę myślą, i miała tego dosyć. Wiedziała, że część przyjaciół i znajomych spo-

dziewała się, iż nie poradzi sobie z tym, że pięć lat temu ona i Myles się rozstali. Udowodniła im jednak, że nie mieli racji. Nie schowała głowy w piasek i nie opowiadała ludziom, że „postanowili nieco od siebie odpocząć”, jak jedna z sąsiadek, która ślepo upierała się, że jej mąż, dentysta, jedynie pracuje daleko od domu, podczas gdy wszyscy naokoło włącznie z ich prawnikiem wiedzieli doskonale, że zamieszkał z koleżanką z pracy o apetycznie zaokrąglonych kształtach.

Wykręcanie się od jasnej odpowiedzi nie było w stylu Lizzie. Kiedy Myles się wyprowadził, powiedziała wszystkim prawdę. No cóż, większość prawdy.

- Bierzemy rozwód. Obawiam się, że to już koniec - oświadczyła wtedy pogodnie.

Nie powiedziała natomiast o tym, jak zszokowana i zrozpaczona się poczuła i jak ją upokorzył ten nagły koniec ich małżeństwa.

Wymowne było to, że nikt nie wydawał się zaskoczony. Ani przyjaciele, ani rodzina. Wszyscy sprawiali wrażenie, jakby spodziewali się czegoś takiego. Oprócz Lizzie, która zawsze się szczyciła tym, że jest osobą praktyczną.

- Wiem, że już od lat niezbyt dobrze się u was działo - rzekła pocieszającym tonem jej starsza siostra, Gwen. - Tak będzie najlepiej.

Lizzie, której nieczęsto zdarzało się nie wiedzieć, co powiedzieć, tym razem milczała. Gwen od zawsze była staromodną orędowniczką małżeństwa i uważała, że kobiety, które nie wyszły za mąż, miały zmarnowane życie i należało ich żałować. Cóż za desperacki brak harmonii musiał być widoczny w małżeństwie Mylesa i Lizzie, skoro nawet Gwen uważała, że lepiej im będzie osobno.

Niestety, w ciągu kilku miesięcy, które nastąpiły po odejściu Mylesa, Lizzie miała wiele czasu na rozmyślanie o tym wszystkim.

Katalizatorem zmian był moment, gdy ich młodsze dziecko, Debra, skończyło osiemnaście lat i przeprowadziło się do Dublina. Aż do wtedy wszystko w rodzinie Shanahanów zdawało się być w porządku. Byli właścicielami ładnego domu na niewielkim osiedlu na jednej ze starszych, wysadzanej drzewami ulic w Dunmore: bliźniaka z czerwonej cegły z czterema sypialniami, jadalnią, trzeba przyznać coraz rzadziej używaną, i niewielkim ogrodem, w którym Lizzie spędzała coraz więcej czasu. Miała swoją pracę, swoich przyjaciół, swój ogród, a Myles miał swoją pracę w departamencie planowania w radzie miejskiej i swoich kumpli w klubie, gdzie grał w squasha.

Nawet jeśli życie nie było jakoś szczególnie ekscytujące, Lizzie pocieszała się, że stanie się takie, kiedy ich dwójka dzieci opuści dom.

Ona i Myles byli, lub tak też przez cały czas wierzyła, w godnej pozazdrosczenia sytuacji, polegającej na tym, że dzieci urodziły im się wcześniej. „Bardzo wcześniej”, śmiała się kiedyś często na wspomnienie siebie samej w rajstopach ciążowych podczas własnego ślubu. Jednak miało to swoje zalety. Podczas gdy dwudziestojednoletni Joe studiował sztukę w Londynie, a Debra zaczęła szkołę pielęgniarstwa w Dublinie, ponownie byli dla siebie tylko Lizzie i Mylesem. Ledwie była sobie w stanie przypomnieć, jak wyglądało jej życie bez dzieciaków.

Jednak w jej domu nie miał się pojawić syndrom opuszczonego gniazda. O nie, nie. Nie dla niej omiatanie zrezygnowanym spojrzeniem pustych miejsc przy stole. Uwielbiała dzieci, naprawdę je uwielbiała, lecz nie cieszyłyby się, gdyby się przekształciła w pełną urazy starszą kobietę tylko dlatego, że wyprowadziły się i dorosły. Lizzie i Myles Shanahan mieli zamiar żyć pełnią życia.

W tym nowym pełnym zapału stanie ducha zastanawiała się, czy nie mogliby zbudować sobie oranżerii lub pojechać na jakieś wymarzone wakacje, które zawsze sobie obiecywali, lecz nigdy nie mogli sobie na nie pozwolić, bo zawsze były ważniejsze wydatki. „Safari”, pomyślała, z rozmarzeniem wyobrażając sobie przemierzającego trawiasty teren jepea, tak jak w programach telewizyjnych o wakacjach.

Poza tym Lizzie dbała o siebie. Nie było mowy, by stała się flejtuchowatą starszą panią. Kiedy siwe pasma zaczęły zakradać się do jej puszystych, jasnobrązowych loków, poszła do fryzjera i kazała zrobić sobie pasemka. Myles wydawał się z tego zadowolony.

„On także nie pozwalał sobie na przedwczesne starzenie się”, myślała z aprobatą Lizzie. Oboje mieli po czterdzieści cztery lata. Niektórzy w ich wieku dopiero rozpoczynali życie małżeńskie albo borykali się z wychowywaniem małych dzieci, a oni mieli już to wszystko za sobą!

Zaopatrzyła się w broszurki na temat zakładania oranżerii, a pewnego dnia, tak dla zabawy, wróciła do domu także z kilkoma folderami o safari.

Tamtego wieczoru Myles siedział w swoim fotelu przed kominkiem i przyglądał się bez słowa broszurom, które wcześniej podekscytowana Lizzie zostawiła na ławie. A potem powiedział cichym głosem, że chce rozwodu, że jest mu przykro, ale czy nie zdawała sobie z tego wcześniej sprawy? Czy nie zgadza się z nim, że to najlepsze, co można zrobić?

Lizzie, która zdążyła już zajrzeć do terminarza męża, by sprawdzić, czy będzie miał możliwość wzięcia urlopu w czasie najlepszym na safari, stała jak skamieniała obok gzymsu kominka, z jedną dłonią zaciśniętą na porcelanowej foce, którą dostała kiedyś od Joego po jego wyprawie do zoo.

- Myślałem, że wiesz; myślałem, że się ze mną zgadzasz - dodał błagalnie Myles. - Ty miałaś swoje życie, a ja swoje. Byliśmy razem tylko z powodu dzieci, a teraz, kiedy dorosły, cóż...

Ze straszliwą jasnością Lizzie uświadomiła sobie, że on mówi jak najbardziej poważnie.

- Zbyt wcześnie się pobraliśmy, Lizzie - rzekł ze smutkiem. - Nie mieliśmy czasu, by pomyśleć o przyszłości ani o tym, czy tak naprawdę pasujemy do siebie. Gdybyś nie była w ciąży z Joem, nigdy byśmy tego nie zrobili, prawda?

Lizzie wpatrywała się w niego bez słowa. Szok, który właśnie przeżyła, przypominał jej inny: kiedy odkryła, że jest w ciąży Stała wtedy w ubikacji w restauracji, w której pracowała, i uważała, że test musi się mylić, na pewno się myli. Myles był jedynym chłopakiem, z którym spała, a znała dziewczyny, które spały z mnóstwem facetów, dlatego więc to ona musiała być tą, która wpadła w tarapaty? Cienka nitka niezależności, która przebiegała przez nią, zadrżała na myśl o poradzeniu sobie z tym, co jej się przytrafiło. Jej rodzice to dobrzy i sympatyczni ludzie, ale byli uwięzieni w moralności z dawnych czasów. Ich ukochana córka w ciąży - w ciąży i niezamężna. Coś takiego wstrząsnęłoby ich światem.

Lizzie nigdy nie zapomni ulgi, jaką poczuła, kiedy Myles oświadczył, z trudem wypowiadając te słowa, że wezmą ślub i że będzie utrzymywał ją i dziecko z pensji, jaką otrzymywał w radzie miejskiej.

Teraz Myles był ponownie poważny, jakby chciał ją przekonać siłą swych argumentów.

- Lizzie, ja nie twierdzę, że tego żałuję, ale my przecież *musieliśmy* wziąć ten ślub. Wtedy wydawało się to jedyną możliwą opcją. Zrobiliśmy to i byliśmy z sobą, ale oboje wiedzieliśmy, że to nie jest to, czego pragnęliśmy. Czy nie myślałaś zawsze, że powinno być coś więcej?

Nigdy nie myślała, że powinno być coś więcej. To prawda, w jej głowie nie rozbrzmiewała skrzypcowa muzyka, gdy Myles ją całował, lecz czy w głowie jej rodziców w ciągu tylu lat ich małżeństwa słychać było skrzypce? Małżeństwo nie polegało przecież na tym, prawda? Czy jej radośnie sprzeczący się siostra i szwagier trzymali się potajemnie za ręce, kiedy nikt na nich nie patrzył? Akurat. Skrzypce słychać w cikliwych filmach, nie w prawdziwym życiu.

- Jesteśmy nadal na tyle młodzi, by cieszyć się życiem - rzekł Myles, desperacko próbując sprawić, by to wszystko zrozumiała. - Możemy nadgonić stracony czas.

- Jak się nazywa? - wyrzuciła z siebie Lizzie, nagle odzyskując głos. - Jak ona się nazywa?

- Och, Lizzie... - Spojrzenie, które posłał jej Myles, pełne było żalu. - Nie ma innej kobiety Dunmore jest zbyt małym miastem, by ukryć tego typu sekret. Chcę po prostu stać się wolny, zanim będę na to za stary, zanim stracę odwagę, by to zrobić.

I właśnie to było z tego wszystkiego najbardziej bolesne. Nie było żadnej innej. Żadna inna kobieta nie sprawiła, że Myles postanowił zostawić żonę. Jediną obecną w tym wszystkim kobietą była ona sama. Bódcem stała się natura ich małżeństwa.

Przez wiele miesięcy po jego odejściu zadawała sobie pytanie, jak to możliwe, że ona, uważająca się za uważną obserwatorkę otaczającego ją świata, nie dostrzegła tego, co było oczywiste dla wszystkich innych - że w małżeństwie potrzebny jest jakiś magiczny składnik i że w ich przypadku go zabrakło?

Raz za razem odtwarzała w myślach słowa Mylesa: „Czy tego właśnie pragniesz, Lizzie? Byśmy byli z sobą z konieczności i z powodu dzieci, nie będąc w stanie żyć wspólnie pełnią życia, ale nie mając odwagi, by żyć osobno?”.

Debra była zdruzgotana i natychmiast przyjechała do domu ze szkoły dla pielęgniarek, trzęsąc się i płacząc.

- Jak mogliście nam to zrobić? - zawołała na powitanie do matki. - Jak mogliście?

A Lizzie, która pragnęła, by Myles został, ale bez względu na wszystko nie trzymałaby go przy sobie wbrew jego woli, odpowiedziała spokojnie córce, że ludzie się od siebie oddalają i że lepiej przyznać się do tego, zamiast żyć w kłamstwie.

- Życie toczy się dalej - rzekła ze spokojem, którego nie czuła. - To jest nadal wasz dom, tyle że nie będzie już w nim mieszkał wasz ojciec. Jego dom będzie dla was jak drugi dom.

- Lizzie nie miała pojęcia, jak udało jej się zachować wyważony ton w stylu „wszystko będzie dobrze”, ale jednak to zrobiła. Szlochanie Debry osłabło, tak jak wtedy, gdy była dzieckiem i skaleczyła się, i tylko Lizzie potrafiła ją utulić. „Czy matki kiedykolwiek przestają matkować?”, zastanawiała się, gładząc głowę córki.

Reakcja Joego była zupełnie inna. Ich dwudziestojednoletni syn przyjechał wtedy do domu na kilka dni z Londynu, a kiedy Lizzie przyznała się do szoku i zdumienia, jakie przeżyła w związku z tym, co się stało, Joe na chwilę zaniemówił - zdarzyło się to chyba po raz pierwszy w jego życiu.

- Och, mamó - rzekł ze smutkiem. - Nawet gdy byłem młodszy, wiedziałem, że ty i tata jesteście razem dla mnie i Debs. Sądziłem, że to wasza wspólna decyzja.

Lizzie patrzyła się na niego bez słowa. Był taki podobny do ojca: żyłasta sylwetka, przerzedzające się na skroniach włosy, takie same łagodne brązowe oczy. Nawet on to widział.

Nigdy nikomu nie powiedziała o tym, co usłyszała od Joego. Od tamtej pory, gdy ktoś ją pytał o rozstanie, zachowywała stoicyzm.

- Ludzie się zmieniają i idą do przodu - mówiła, kiedy natrafiała na współczucie.

- Myles i ja mieliśmy dobre chwile, ale wiesz przecież, że biorąc ślub, byliśmy zbyt młodzi i robiliśmy to z niewłaściwych powodów - oświadczyła swej siostrze, Gwen.

- Co w naszym wieku mogliśmy wiedzieć na temat miłości? Powinno istnieć prawo zakazujące ludziom brać ślub przed ukończeniem trzydziestego roku życia!

- Powinniśmy się byli rozstać już wiele lat temu - powiedziała do doktor Morgan.

Przed wszystkimi skrywała żal i pełne oszołomienia zdumienie.

Myles ułatwił im wszystko, przenosząc się z Dunmore do miasta i tym, że w jego życiu nie było żadnej innej kobiety - choć na początku nikt za bardzo w to nie wierzył.

- Musi być inna kobieta - mówili podejrzliwie, a wszystkie samotne kobiety z klubu, gdzie grał w squasha, miały dość wypytywania o Mylesa Shanahana.

- Nie był typem podrywacza - upierały się. - Był słodki i taki jakiś samotny

Jednak gdy z biegiem czasu stało się jasne, że Myles jest autentycznie szczęśliwy, lecz sam, plotki w Dunmore przycichły.

Myles i Lizzie stali się hasłem przewodnim nowoczesnego świata: dokonali odważnych wyborów i żyli z ich konsekwencjami. Mieli odwagę, by zamienić dwie pary kapci przed kominkiem na życie w pojedynkę.

Myles zainteresował się żeglarstwem i na czas miesięcznego urlopu został członkiem załogi biorącej udział w wielkim wyścigu jachtowym. Kto by pomyślał? Spokojny Myles stawiający czoło Atlantykwowi, wracający do domu przepelniony energią i z wysmaganą wiatrem twarzą. Zniknęło gdzieś charakterystyczne dla wieku średniego zeszywnienie i wyglądał dziesięć lat młodziej.

Nie było także problemu z rozmawianiem o tym z Lizzie. Wiedziała o wszystkim. Ona, Myles i dzieciaki nadal jadali wspólnie bożonarodzeniowy obiad w Dunmore. Chodzili na niego do hotelu w rynku. Pierwszego roku ludzie wpatrywali się w rodzinę, uśmiechając się do siebie ponad indykiem i przyodzianą w papierowe kapelusiki, tak jakby nic się nie wydarzyło. Zachowywali się w sposób cywilizowany, tak to można było opisać jednym słowem. Wszyscy w Dunmore ich podziwiali, nikt nie miał jednak pojęcia, w jaki sposób im się to udawało.

Kiedy Lizzie otworzyła drzwi, w domu było cicho jak w grobie. „Patrz na pozytywny aspekt tego wszystkiego”, nakazała sobie stanowczo. Cichy dom oznaczał, że nie przeszkodziła w niczym gangowi naćpanych włamywaczy, na próżno plądrujących dom w poszukiwaniu pieniędzy.

Automatyczna sekretarka mrugała radośnie i Lizzie poczuła, jak poprawia jej się nastrój. Może to Debra. Nie dzwoniła już od kilku dni, ale brak kontaktu z jej strony nigdy nie trwał dłużej niż tydzień.

Nie zdejmując płaszcza, Lizzie wcisnęła przycisk i uśmiechnęła się, gdy korytarz wypełnił dźwięczny głos jej córki.

- Cześć, mamó. O Boże, nie uwierzysz, po prostu nie uwierzysz. Siostra Barry'ego jest wprost niemożliwa. Nie podoba jej się wybrany przeze mnie model sukienki dla drużyny. Linia A pasuje każdemu - nie rozumiem w czym problem. Ona po prostu wszystko utrudnia. Mówi, że sama kupi sobie sukienkę, ale nie możemy na to pozwolić. Nie będzie to tak, jak bym chciała. Chyba ją walnę. Mogę przyjechać i pogadać z tobą?

Kochana Debra.

Niesamowicie ironiczne było to, że Debra, niebędąca w ciąży i należąca do pokolenia, które mogło radośnie mieć całe stadko dzieci bez potrzeby wychodzenia za ich ojca lub choćby przedstawiania go reszcie rodziny, miała wkrótce poślubić swego ukochanego z dzieciństwa. Już same słowa „ukochany z dzieciństwa” sprawiały, że Lizzie przechodził dreszcz.

Zarówno ona, jak i Myles delikatnie sugerowali Debrze, że być może powinna najpierw pomieszkać z Barrym przez jakiś czas. To, że byli z sobą od czasów szkoły i od pięciu lat wspólnie wyjeżdżali na wakacje, nie oznaczało wcale, że wszystko się uda bezproblemowo.

Jednak Debra nawet nie chciała o tym słyszeć.

- Małżeństwo jest teraz modne - oświadczyła matce, tak jakby rozmawiała z kimś bardzo starym i bardzo głupim.
- Zaangażowanie jest bardzo ważne. Nie sądzę, by starsi ludzie to rozumieli. Z tym całym terroryzmem i wszystkim innym to młodzi wiedzą, co ma znaczenie. Barry i ja jesteśmy sobie oddani, a ślub stanowi tego dowód. Próbuje się dowiedzieć, czy podczas ceremonii możemy mieć także gołębie, gdyż one symbolizują pokój. A to, że jesteś uprzedzona do małżeństwa, mamó - dodała cierpko - nie jest wystarczającym powodem do tego, byś mnie zniechęcała.

Lizzie, którą dotknęła sugestia, że może być uprzedzona do czegokolwiek bądź że mogłaby skrzywdzić Debrę z powodu własnych problemów, dała spokój z delikatnymi obiekcjami i zaczęła pomagać w planowaniu wesela.

- Zobowiązanie, zobowiązanie - rzekł gorzko Myles, rozmawiając później z Lizzie przez telefon. - Mam wielką ochotę przypomnieć jej, że jakoś nie okazała się w tym zbyt dobra, jeśli chodzi o szkołę pielęgniarstwa.

Debra pracowała teraz w biurze w firmie wstawiającej okna i mieszkała w domu wynajmowanym do spółki z przyjaciółmi.

- Nie możesz jej tego powiedzieć - odparła Lizzie. - Bardzo by to przeżyła.

- Mam na to wielką ochotę - powtórzył Myles, ale oboje wiedzieli, że nie zrobiłby tego. Debra od zawsze była córeczką tatusia.

Lizzie wybrała numer komórki córki.

- Cześć, skarbie, możesz przyjechać. Jestem w domu.

- Tak naprawdę, to jestem już w drodze - odparła Debra. - Będę za pięć minut.

- Super. Zrobię herbatę.

Lizzie pospiesznie poprawiła poduszki i sprawdziła, czy to miejsce nadal wygląda jak przytulny dom, w którym dorastała Debra. Pomalowała szminką usta, by siebie także upiększyć, i była gotowa wraz z herbatą i kruchymi herbatnikami domowej roboty (ulubione ciastka Debry zawsze na nią czekały, na wypadek gdyby akurat zajrzała do domu), gdy minimorris jej córki zatrzymał się na podjeździe. Samochód, w przyciągającym spojrzenia kolorze czerwonym, był jej wielką radością i dumą, a patrząc na niego, Lizzie zawsze odczuwała zadowolenie, że ona i Myles byli w stanie dołożyć się do jego kupna. Udział Lizzie stanowiły pieniądze, które zaoszczędziła na naprawienie szczeliny w dachu nad kuchnią, ale przecież było mnóstwo czasu, by sobie z tym poradzić. Szczęście Debry było ważniejsze niż odrobina wilgoci.

Debra weszła do domu, otwierając drzwi własnym kluczem, i natychmiast udała się do kuchni.

- Nie powinnam jeść żadnych ciastek - oświadczyła tytułem powitania. Wrzuciła do herbaty dwie kostki cukru, dodała mleko i poczęstowała się herbatnikiem.

- Jak się masz, kochanie? - zapytała Lizzie, nie chcąc brzmieć niczym zbyt troskliwa matka. Debra nie znosiła tego.

- Dobrze - odparła z buzią pełną okruchów. - Co ja mam zrobić z Sandrą? Niezła z niej druhna. Można by pomyśleć, że będzie zadowolona z tego, że ktoś kupuje jej sukienkę. Ta głupia dziewczyna ma gabaryty słonia.

- Nie każdy jest tak szczupły jak ty. - Lizzie szkoda było Sandry, łagodnej dziewczyny, która zewnątrz nie prezentowała się równie dobrze jak jej brat.

- To nie moja wina - odparła Debra z lekceważeniem charakteryzującym osoby, które zawsze patrzą w lustro z zadowoleniem. Skończyła herbatnika i sięgnęła po następnego. - Nie chcę po prostu, by z tego powodu zrujnowała mój dzień. Zostało nam już tylko kilka miesięcy. Można by sądzić, że wcześniej coś powie, no nie? Jednak to typowe u Sandry Zawsze sprawia kłopoty

Twarz Debry zaróżowiła się z emocji i Lizzie zrobiła to, co zawsze, gdy jedno z jej dzieci było zmartwione: zabrała się za pocieszanie.

- Wszystko będzie dobrze, skarbie. Barry porozmawia z Sandrą. Wyjaśni jej, że to twój szczególny dzień, że wszystko musi być idealne i że to ty chcesz wybrać sukienki.

Lizzie przypomniał się jej naprędce organizowany ślub, podczas którego panna młoda miała na sobie sukienkę o dwa rozmiary za dużą, by ukryć rosnący brzuch, a na twarzach rodziców pary młodej widniały uśmiechy pełne oszołomienia. „Wtedy czasy były inne”, powiedziała sobie stanowczo w myślach Lizzie. Nikt nie miał pieniędzy na weselisko z trzema druhnami, pięciopiętrowym tortem i zespołem grającym przeboje Abby. Właściwie to dzisiaj też nikt

nie miał na to pieniędzy. Jednakże Debra uparła się, by urządzić wesele w połowie lipca, i ani Lizzie, ani jej były mąż nie mieli serca, by zaprotestować.

I właśnie wtedy przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

- Pamiętasz te śliczne sukienki dla drухen w salonie ślubnym niedaleko Patrick Street? Mogłybyśmy tam jechać i jeszcze raz je obejrzeć.

- Sądziłam, że nie możemy sobie pozwolić, by kupić te, które mi się podobają. - W głosie Debry słychać było podejrzliwość. Myślała o kompromisie, który musiał zostać zawarty, gdy koszt przyjęcia weselnego zaczął przekraczać ustaloną kwotę. Gdzieś trzeba było obciąć koszty i Debra uznała, że bez ryzyka dla niej samej drухny mogą mieć sukienki uszyte przez krawcową. Kto będzie patrzył na nie? To ona była gwiazdą dnia. Jej droga suknia warta była swoich pieniędzy, ale wydawanie zbyt dużo na drухny było ich niepotrzebnym marnowaniem. - Krawcowa jest dobra, naprawdę. To tylko Sandra ma jakiś problem.

- Cóż, może mogłybyśmy pozwolić Sandrze mieć sukienkę ze sklepu. Wszystkie trzy drухny i tak będą miały suknie w innych kolorach... - zaczęła Lizzie.

- Nie wiem - odparła Debra, ponownie poirytowana zachowaniem swej przyszej szwagierki. - Nie znoszę wesel, poważnie. To prawdziwy koszmar. Mam wielką ochotę powiedzieć Barry'emu, że wszystko odwołuję.

Lizzie westchnęła. Debra była tak przewrażliwiona, że czasami nie zauważała punktu widzenia innych ludzi. W przeciwieństwie do swej matki, która dostrzegała punkt widzenia wszystkich. Może i z wyglądu były do siebie podobne - te same wielkie oczy i okrągłe, otwarte twarze - ale charaktery miały zupełnie różne. Lizzie kiedyś żałowała, że Debra jest tak bezkompromisowa, ale patrząc na to z perspektywy czasu, zmieniła zdanie. Bycie łagodną i zgodną nie prowadziło w życiu do niczego dobrego.

Środa była w przychodni dniem szaleńczym. Najpierw dokładnie o dziewiątej w drzwiach pojawiła się pani Donaldson, potężna matrona o nalanej twarzy, stanowiąca filar miejscowej społeczności, i jej córka, Anita, niespełna trzydziestoletnia nieśmiała kobieta w zaawansowanej ciąży, która cieszyłaby się najzupełniej prawidłową ciążą, gdyby nie jej wścibska matka. Pani Donaldson, mająca pięcioro dzieci i kompleks wyższości, upierała się, by zawsze przyjmowała je doktor Morgan, ponieważ była przekonana, że lekarze mężczyźni nie wiedzą niczego na temat kobiecych narządów, ale rzecz jasna uważała się za eksperta w dziedzinie ginekologii.

Ona osobiście była „delikatna”, co na początku ciąży Anity oświadczyła zaskoczonej Lizzie.

- W mojej rodzinie wszystkie kobiety miały drobne kości i ciąża była dla nich strasznym obciążeniem - westchnęła pani Donaldson, krzyżując potężne ramiona na pokaźnych rozmiarów biuście, podkreślonym jedwabną bluzką z niezbyt pasującą kokardką. - Doktor Morgan nie widzi, że z moją Anitą jest identycznie. To biedne jagniątko potrzebuje więcej opieki przedporodowej i częstszych wizyt. Ja to widzę, więc dlaczego nie dostrzega tego jej głupia położna?

Tymczasem Anita uśmiechała się słodko do wszystkich i potulnie wchodziła za matką do gabinetu na każdą niepotrzebną wizytę.

Clare Morgan, zazwyczaj uosobienie dyskrecji, jeśli chodzi o pacjentów, przyznała się, że nie znosi widoku pani Donaldson.

- Z Anitą jest wszystko w jak najlepszym porządku i jestem przekonana, że ciągły niepokój jej matki wywołuje u niej większy stres niż sama ciąża - oświadczyła.

Dzisiaj pani Donaldson była cała rozgorączkowana, gdyż w pobliżu suszącego się prania Anity zauważono czającego się kota sąsiadów.

- Toksoplazmoza - oznajmiła złowieszczo pani Donaldson. - Wszystkie koty powinno się uścić.

Spojrzenie Lizzie pomknęło natychmiast na parapet, gdzie rudy kot Clare Morgan, Tygrysek, lubił siadać i miauczeć żałośnie, prosząc o wpuszczenie do środka, mimo że doskonale wiedział, iż nie ma wstępu do przychodni. Na szczęście nie znajdowała się tam żadna futrzana kulka. Pani Donaldson była zdolna do tego, by wybiec i dzielić go torebką.

- Pani doktor jest dzisiaj rano bardzo zajęta, ale jestem pewna, że jakoś panie wciśnie w grafik - rzekła Lizzie, wiedząc, że nie ma sensu mówić czegokolwiek innego. Pani Donaldson nie przyjmowała do wiadomości, że ktoś może jej odmówić.

O wpół do dwunastej, kiedy minął gorączkowy ranek z mnóstwem kichających i oddychających chrapliwie pacjentów, z których jeden był biały na twarzy i wciąż biegał do ubikacji, Lizzie odnosiła wrażenie, jakby miała zupełnie zszargane nerwy. Każda wizyta była opóźniona i zawsze znalazło się kilku niecierpliwych pacjentów, uważających, że to wina Lizzie, i wpatrujących się w nią z wściekłością podczas czekania na swoją kolej. W końcu jednak tłum się przerzedził i do gabinetu właśnie weszła ostatnia osoba. Lizzie udała się do niewielkiego aneksu kuchennego i nalała sobie szklankę soku porzeczkowego, po czym dołąła szczerze echinacei. Nie wiedziała czy to dzięki lekarstwu wspomagającemu odporność, czy też temu, że każdego dnia była wystawiona na działanie wirusów, sama bardzo rzadko chorowała.

Delektując się ciszą, oparła się o krzesło i przeciągnęła.

Rozległ się dzwonek przy drzwiach przychodni. Lizzie natychmiast wyprostowała się czujnie.

- Cześć, Sally - rzekła pogodnie i ponownie się odprężyła. Sally Richardson była zarówno pacjentką, jak i jej przyjaciółką. Ona, Steve i ich dwaj chłopcy od czterech lat mieszkali na ulicy sąsiadującej z ulicą Lizzie. Znali się z przychodni, zdarzało się też, że wpadali na siebie w niewielkim sklepie osiedlowym, gdzie kupowali gazety i awaryjne kartony mleka. Brała udział w wielu organizowanych przez nich imprezach, aczkolwiek niestety nie udało jej się zjawić na urodzinowym przyjęciu Steve'a sześć miesięcy temu, które zdążyło już obrosnąć legendą. A kiedy Lizzie pozwalały na to fundusze, z przyjemnością chodziła na zabiegi kosmetyczne twarzy do uroczego salonu piękności Sally, The Beauty Spot.

- Witaj, Lizzie - odparła ze znużeniem Sally, ciągnąc niechętnego chłopczyka za rękaw kurtki. Jego młodszy brat przywierał noskiem do szyi swojej mamy i patrzył złowrogo na Lizzie. - Znowu zapalenie migdałków. Obaj rano byli trochę nie w formie, ale teraz Daniel zaczął wymiotować.

Z wysokości ramion Sally Daniel wystawił język, by pokazać, jak bardzo jest chory, wyraźnie przyzwyczajony do robienia tego w taki sposób, by można było popatrzeć na jego migdałki.

- Biedny Daniel - głos Lizzie miał kojące brzmienie. - Boli cię gardelko?

Pokiwał żałośnie głową, a jego duże brązowe oczy wyglądały jak u smutnego psiaka.

- Ty też jesteś chory, Jack? - zapytała Lizzie.

- Tak - wychrypiał malec, wyglądający równie żałośnie jak jego brat.

„Obaj są dużymi dziećmi, zbyt dużymi, by dźwigała ich filigranowa Sally”, pomyślała Lizzie. Wyglądała na wykończoną.

Wyjęła zza recepcji pudło z zabawkami, które wcześniej zdążyła posprzątać. Jack był wystarczająco zdrowy, by rzucić się radośnie na kolorowy pociąg-dżunglę, i po chwili uderzał w każde ze zwierząt, każąc im wyć, ryczeć albo skrzeczeć. Jednak Daniel pozostał przytulony do mamy i nie pozwalał się postawić na ziemi.

- Nie będziesz musiała długo czekać - uspokoiła ją Lizzie.

- Czuję się okropnie. Od razu powinnam była ich tutaj przyprowadzić. - Na twarzy Sally widniało wielkie poczucie winy - Pomyślałam, że zostanę dzisiaj w domu, by zobaczyć, jak będą się czuli, a potem Daniel zaczął

wymiotować i za każdym razem, kiedy go przebierałam, znowu wymiotował, więc wyjście z domu zabrało nam półtorej godziny A Steve jest kompletnie załamany, bo w pracy jest koszmarnie, odkąd w zeszłym miesiącu odszedł jego szef i to on musi się wszystkim zajmować. - Wyglądała bardzo mizernie, jej zazwyczaj błyszczące, ciemne włosy były związane w luźny węzeł, a na rękawie szarego polaru widniały ślady po wymiocinach. Lizzie uznała, że pora na środki zaradcze.

- Herbata dobrze ci zrobi - oświadczyła.

Podeszła szybko do czajnika i włączyła go. Następnie wyjęła z szafki niezawodną łąpówkę w postaci czekoladowych dropsów, a Daniel niechętnie dał się postawić na podłodze i zaczął się bawić z Jackiem pociągami.

- Są miękkie, więc nie będą was bolały od nich gardła - rzekła, dzieląc dropsy między chłopców, po czym podała Sally duży kubek herbaty i owsiane ciasteczko.

- To moje lekarstwo. - Uśmiechnęła się, siadając obok.

- Jesteś taka miła, Lizzie. Podejrzewam, że pewnie dlatego ludzie ci się zwierniają - rzekła Sally, z wdzięcznością pijąc herbatę.

- Tobie także - zauważyła Lizzie. - Twój salon jest niczym konfesjonał, gdzie ludzie wyjawiają ci różnego rodzaju sekrety, leżąc, podczas gdy ty ich dopieszczasz.

Na ustach Sally pojawił się błydy uśmiech.

- Myślę, że w tym tygodniu jestem zbyt rozstrojona, by ktokolwiek miał ochotę zdradzać mi swoje tajemnice - stwierdziła. - Martwię się o chłopców i ich migdałki i martwię się biednym Steve'em. Pracuje do upadłego. Powinnam też sama umówić się na wizytę - dodała. - Ostatnio czuję się nieszczęśliwie. Nic wielkiego - kontynuowała. - Po prostu jestem trochę zmęczona. Zresztą jak chyba każdy, no nie?

- Cieszę się, że w końcu przejmujesz się trochę także i sobą. - Lizzie zajrzała do terminarza wizyt. - Zbyt dużo pracujesz, Sally. Prowadzisz salon, opiekujesz się chłopcami i Steve'em...

Sally się roześmiała.

- Nie pracuję zbyt dużo - zaprotestowała. - Nie robię nawet połowy tego, co powinnam. Gdybyś zobaczyła stertę, jaka czeka do prasowania...

- Nigdy nie odpoczywasz - rzekła stanowczo Lizzie.

- Nie zwracaj sobie głowy umawianiem mnie na wizytę - odparła Sally - Zadzwoń do ciebie, kiedy znajdę trochę czasu. Ruby wyjechała, więc w salonie jest zatrzęsienie pracy, a Delia, matka Steve'a, niedługo wyjeżdża na wakacje i nie będzie mogła zajmować się chłopcami, tak więc przez kilka najbliższych tygodni będę biegać wkoło niczym kurczak bez głowy. Przyjdę do lekarza, jak to się skończy

- Powinnaś się troszczyć o własne zdrowie - oświadczyła Lizzie, grożąc jej palcem z udawaną dezaprobatą.

- Obiecuję, że zadzwonię do ciebie, kiedy wszystko się uspokoi.

Drzwi od gabinetu otworzyły się i pojawił się w nich ostatni pacjent, za którym wyszła doktor Morgan.

Lizzie wstała, by odprowadzić pacjenta do drzwi, a Clare Morgan zaprosiła przejętego Jacka do gabinetu.

- Dzięki, Lizzie, jesteś wspaniała - wyszeptła Sally, wstając i kierując się do gabinetu z Danielem.

Czwartek Lizzie miała wolny. Przyjechała Gwen, by zabrać ją na zakupy Nie szukały niczego dla Lizzie, która zdążyła już sobie kupić strój na ślub - cytrynową garsonkę, która stała się dla niej powodem wielu żartów. Co kilka tygodni otwierała szafę i przyglądała się jej z nadzieją, że żółty kolor nie jest tak ostry i intensywny, jakim go zapamiętała. Wyglądał dobrze w sklepie podczas szaleńczych dni wyprzedaży w sierpniu, kiedy myśl o upolowaniu okazji przeważała wszystkie inne wątpliwości. Teraz nie była już taka pewna.

- A może zamieściłabym ogłoszenie, że chcę ją sprzedać? - zapytała. - Strój matki panny młodej. Nienoszony. Sprawia, że MPM wygląda jak na zdjęciu „przed” w tych artykułach z metamorfozami.

- Nie dostałabyś tyle pieniędzy, ile jest warta - odparła Gwen. - Trochę mocniej się pomalujesz na ślub i będziesz dobrze wyglądać.

Celem dzisiejszej wyprawy do sklepów był zakup strojów na rejs Gwen i Shaya. Na te dziesięć dni na „Śródziemnomorskiej Gwieździe” potrzeba będzie wielu ubrań, a Gwen, którą zazwyczaj ani trochę nie interesowało to, co na siebie zakłada, przyjęła pomysł rejsu z wielkim zapalem i wigorem. Przeczesała lokalne sklepy w poszukiwaniu ubrań w stylu żeglarskim i posunęła się nawet tak daleko, że sporządziła listę odpowiednich strojów wieczorowych, które wiszą w jej szafie, tak by mieć pewność, że nie kupi czegoś podwójnie.

Lizzie uznała to za zaskakujące. Życie Gwen nie obracało się wokół sukienek koktajlowych. Jej siostra była zapaloną dziewiarką, lubującą się w jasnobezowych, nadających się na arktyczne mrozy swetrach. W przeciwieństwie do Lizzie, która nigdy nie mogła się oprzeć pokusie kupna kolorowych topów i powłóczystych, cygańskich spódnic, Gwen wolała ubrania praktyczne. Nawet jej włosy były praktyczne: krótko obcięte i bez żadnych prób tuszowania siwizny

- Shay narzeka, że musi sobie kupić smoking - rzekła Gwen, kiedy siedziały już w jej samochodzie i w spokojnym tempie jechały ulicą, przy której mieszkała Lizzie. - Oświadczyłam mu, żeby zamknął jadaczkę i przestał biadolić. I że ty pojedziesz ze mną zamiast niego. To go uciszyło.

Lizzie uśmiechnęła się szeroko. Gwen i Shay już wcześniej zaproponowali jej, by popłynęła razem z nimi, argumentując, że od wielu lat nie miała przecież wakacji i że bardzo chętnie zabiorą ją z sobą.

- Wcale mnie nie chcecie - upierała się Lizzie. - Oboje oszczędzaliście na to od lat i ten rejs jest dla was czymś wyjątkowym.

Nie dodała, że poza faktem, iż jest kompletnie splukana, nie znosiła czuć się jak piąte koło u wozu, a nawet Gwen i Shay, których trudno było nazwać młodą parą zakochanych i którzy przekomarzali się z sobą dwadzieścia cztery godziny na dobę, doskonale się obejdą bez przyzwoitki. Ostatnimi czasy świat wydawał się pełen par i Lizzie bardzo często czuła się jak przyzwoitka.

- Mówiłam ci o bluzie, jaką dostałam w Marksie? - kontynuowała Gwen. - Bawelniana, w bładoniebieskie prążki. Dziewczyna przy kasie stwierdziła, że jest bardzo w stylu Ralphi Lauren, kimkolwiek by on był. Powiedziałam jej, że wybieram się w rejs. Zazdrościła mi jak diabli, mówię ci. Każdy jest zazdrosny!

W centrum handlowym Gwen udała się prosto do luksusowego sklepu z odzieżą, w którym nie była jeszcze nigdy w życiu. Minęła praktyczne płaszcze i tweedowe spódnice, kierując się do stojaków z połyskującymi sukniami wieczorowymi. Nie minęło kilka minut, a miała na sobie długą do ziemi szafirową suknię z dżerseju opinającą jej krągłości, a wokół niej zgromadziły się trzy sprzedawczynie, zastanawiające się, o ile centymetrów należałoby ją skrócić.

- Wybieram się w rejs - poinformowała je poważnie Gwen. - Ta suknia musi być idealna.

Potrzeba było dziesięciu minut i mnóstwa mruczenia pod nosem, by taka się stała.

- Nie może być za długa, inaczej nie da się w niej tańczyć tanga - rzekła Lizzie z poważną miną.

Oczy trzech sprzedawczyń rozszerzyły się.

- Ona jest fantastyczną tancerką - dodała Lizzie. - Jej mąż natomiast...

Kolumna odziana w niebieski dżersej zaczęła się trząść ze śmiechu. Shay po raz ostatni tańczył na własnym weselu i od tamtej pory nie zgadzał się postawić choćby jednej stopy na jakimkolwiek parkiecie.

- Nie zwracajcie uwagi na moją siostrę - rzekła Gwen. - To prawdziwa zmora. Tango, dobre sobie. Kto grał w tym filmie *Ostatnie tango*? Burt Reynolds, no nie? I wybuchł wtedy jakiś skandal z margaryną, prawda? Jak to możliwe, że trochę margaryny narobiło tyle zamieszania? Nie mam pojęcia. Choć trzeba przyznać, że ciężko jest sprać z ubrań ślady po tłuszczu...

Lizzie trzymała głowę opuszczoną.

Zanim stamtąd wyszły, sprzedawczynie i Gwen uznały, że szafirowy będzie się idealnie nadawał na kolację kapitańską i że srebrnoszary szal będzie świetnie wyglądał z długą czarną spódnicą i bladoniebieską bluzką z krepy

- Wyobraź sobie tylko mnie na kolacji kapitańskiej - westchnęła Gwen. - Kto by pomyślał, że Shay i ja popłyniemy kiedyś w rejs?

- Będiesz gwiazdą całego statku - odparła czule Lizzie, ujmując siostrę pod ramię. - Ta szafirowa suknia będzie olśniewająca, po prostu idealna. - A potem zamilkła. Ona i Myles nigdy nie popłynęli w żaden rejs. I już nigdy tego nie zrobią razem... To Gwen była osobą żeglującą w kierunku nieznanych wód, osobą, która się dowiędzie wszystkiego na temat dawania obsługi na statku napiwków i tego, jak wygląda menu w bufecie o północy. Lizzie pozostawała w cieniu. - Będziesz musiała mi wszystko dokładnie opowiedzieć - kontynuowała po chwili. - Chcę usłyszeć szczegółowe sprawozdanie ze wszystkiego, począwszy od wielkości kajuty, aż do tego, jakie ubrania obowiązywały wieczorami.

- Mogłabyś też przecież popłynąć.

- Nonsens - odparła dziarsko Lizzie. - Mam tutaj naprawdę masę spraw do załatwienia. Ślub Debry jest tuż-tuż, a na zorganizowanie tego wszystkiego potrzeba naprawdę sporo czasu.

Gwen, która miała dwóch synów i jakoś jej się udało ożenić ich bez szczególnego zamieszania, ugryzła się w język, nie mówiąc na głos, jakie jest jej prywatne zdanie na temat Debry. Wiedziała, że prawda jest taka, iż Lizzie nie może sobie pozwolić na to, by popłynąć w rejs, bo musi płacić za ekstrawaganckie wymysły córki.

Kawa ożywiła je obie i Lizzie zaczęła relacjonować siostrze najnowsze wieści związane ze ślubem.

- Nie rozmawiałam z Mylesem o tych dodatkowych kosztach, ale wiem, że nie będzie miał nic przeciwko - zakończyła Lizzie. - Oboje chcemy, by ten dzień był dla Debry wyjątkowy, a skoro sprawi to inna sukienka drużny, niech tak będzie.

Gwen obrzuciła młodszą siostrę uważnym spojrzeniem. Ich matka była wspaniałą kobietą, i przy tym wyjątkowo szczerą.

- Aż do bólu - przyznawały kiedyś zgodnie Lizzie i Gwen.

Obie świadomie żyły w taki sposób, by nie uciekać się do aż takiej szczerości. W przypadku Lizzie przełożyło się to na łagodność w stosunku do innych ludzi i wyjątkowo rozwiniętą intuicję, choć, jak pomyślała siostra, zabrakło jej, jeśli chodzi o najbliższą rodzinę.

Podczas gdy Gwen była znana z bezpośredniości, Lizzie zawsze się starała, by nikogo nie ranić swymi uwagami. Dzisiaj jednak, przyglądając się, jak dobra, grzeczna Lizzie robi z siebie głupca dla tej swojej zepsutej córeczki, Gwen aż się paliła, żeby powiedzieć, co myśli.

- Żal patrzeć, jak oboje wydajecie tyle pieniędzy na ten ślub - rzekła, starając się być delikatna.

- Jeśli nie można wydać pieniędzy na ślub jedynej córki, w takim razie na co je wydać? - zapytała lekko Lizzie.

- Ale, Lizzie... - Gwen urwała, nie chcąc palnąć przemowy w stylu ich matki: gdyby Debra była przyzwoitym dzieckiem, zrozumiałyby, że jej rodzice nie mają zbyt dużo pieniędzy, i dopasowałyby do tego swoje plany. Czy Debra nie miała pojęcia, jak bardzo rodzice musieli zaciskać pasa, by podarować jej to wielkie, efekciarskie wesele? - Także bym chciała, by ten dzień był dla Debry niezapomniany - kontynuowała Gwen, starając się wyłuszczyć, o co jej chodzi, i nie brzmieć jednocześnie nazbyt krytycznie. - Ale w grę wchodzi akurat pieniądze, Lizzie, i może powinniście powiedzieć Debrze, że nie możecie sobie pozwolić na wydawanie aż tak wielu...

- Przestań się martwić - odparła spokojnie Lizzie. - Oczywiście, że stać nas na to. Debra zasługuje na to, żeby mieć naprawdę wspaniały ślub.

Gwen pomyślała, że właśnie na tym polegał problem z jej siostrą. Lizzie tak wiele czasu poświęcała innym, że zaniedbywała siebie. Jej uwadze umknęło nawet to, co się dzieje w jej własnym małżeństwie. Teraz przelała swoją

energię na dzieci, czy też na Debrę, jako że Joe był daleko, a poza tym nie wymagał opieki. W jej życiu nie było niczego innego.

- A może naprawdę popłyniesz z nami w ten rejs? - zapytała. - Jest jeszcze czas na dokonanie rezerwacji. Zawsze ktoś przecież rezygnuje i teraz też nic nie wiadomo.

- Nie, Gwen - odparła stanowczo jej siostra. - To są wasze wielkie wakacje. A poza tym - zdjęła płaszcz z oparcia sąsiedniego krzesła - nie mogę sobie na to pozwolić. Za rok to ja będę miała wakacje życia i zgorszę was wszystkich, ucząc się egzotycznych tańców czy czegoś w tym rodzaju!

- Shay ma trochę pieniędzy odłożonych na czarną godzinę - nie dawała za wygraną Gwen. - Mogłabyś nam potem zwrócić. Bardzo bym chciała, żebyś odpoczęła.

- Dzięki, ale naprawdę nie. Już ci powiedziałam, Gwen, za rok - odparła Lizzie. - Następny rok będzie należał do mnie.

Posłała siostrze radosny uśmiech, ale wymagało to od niej sporo wysiłku. W głębi duszy nie uważała, by następny rok miał należeć do niej bardziej niż obecny. Tkwiła tak głęboko w dołku, że potrzebny byłby jej sprzęt wspinaczkowy, by dać radę się z niego wydostać. Nie miała zielonego pojęcia, w jaki sposób rozwiązać ten problem, wiedziała jednak jedno: że wydawanie pieniędzy, których nie ma, nie okazałoby się w niczym pomocne.

Rozdział piąty

Podróżni udający się w tamten sobotni poranek lotem nr 706 z Chicago do Cork przyglądali się z zainteresowaniem wysokiej, eleganckiej młodej parze. Oboje zdecydowanie byli *kimś*, choć mieli na sobie wygodne wyblakłe dżinsy i nie robili zamieszania ani niczego w tym rodzaju, kiedy z powodu opóźnienia samolotu przed przejściem utworzyła się gigantyczna kolejka.

Martine Brady, lecąca do domu do Cork, spędziwszy zimniejszy, niż się spodziewała, miesiąc u siostry w Stanach, obserwowała ich z zazdrością. W ciągu całego spędzonego tutaj czasu nie spotkała ani jednej sławnej osoby. Ani śladu Oprah, choć przecież wszyscy wiedzą, że jest mieszkanką Chicago z krwi i kości. Martine dzieliło od tej olśniewającej pary pięcioro ludzi. Nudziła się, więc obserwowała ją z nieskrywaną ciekawością.

Ta kobieta była jak nic z telewizji. Miedziane włosy miała bardziej błyszczące niż sierść czystej krwi konia Kentucky, twarz z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi była promienna i subtelnie umalowana. A ten karmelowy płaszcz, który miała na sobie, by nie dać się chicagowskiemu zimnu, był z całą pewnością kaszmirowy. Martine bardzo by chciała mieć taki płaszcz, mimo że aby dobrze w nim wyglądać, trzeba być wysoką i szczupłą. I bogatą. Prezenterka wiadomości, tak jest. Wyglądała na prezenterkę wiadomości - wytworna i inteligentna, mimo że miała najwyżej kilka lat więcej niż dwudziestopięcioletnia Martine. Martine uznała, że nie była gwiazdą filmową. Gwiazdy filmowe były zawsze idealnie piękne, a o tej kobiecie nie dało się tego powiedzieć. Nos miała za duży i twarz odrobinę zbyt pociągłą. Wyglądała raczej interesująco niż pięknie. Towarzyszący jej mężczyzna był przystojny, ale nie aż tak wytworny. Miał na sobie obszerny, granatowy płaszcz, w którym większość mężczyzn mogłaby się utopić, on jednak był wysoki i szeroki w ramionach i wyglądał w nim całkiem nieźle. Włosy miał atramentowo czarne i bardzo krótko obcięte. Może to jakiś znany sportowiec, którego Martine nie rozpoznawała - piłkarz albo ktoś w tym rodzaju. Ci amerykańscy piłkarze byli potężni niczym czołgi. To z całą pewnością Amerykanie. Bogate Amerykanki miały w sobie pewien charakterystyczny blask i Martine zastanawiała się, w jaki sposób mogłaby go sama uzyskać. Te wszystkie wizyty u manikiurzystki i bieganie co pięć minut do fryzjera.

Kolejka ruszyła się i para wsiadła do samolotu. Kiedy wchodzili do środka, mężczyzna uśmiechnął się do swojej towarzyszki i przepuścił ją przodem. Był to uśmiech pełen podekscytowania i dla Martine było już najzupełniej jasne, że oni wcale nie są małżeństwem, lecz wybierają się właśnie w podróż służbową i bynajmniej nie same interesy im w głowie. Oczy kobiety lśniły, gdy odpowiedziała mu uśmiechem. „Bingo”, pomyślała Martine. W wyobraźni zobaczyła kolacje w wykwintnych restauracjach, a później pokusa biurowego romansu stanie się dla nich zbyt duża i skończy się to tak, że będą spędzali wieczory w jednym pokoju, pijąc szampana i próbując nie odbierać telefonów, gdyż to na pewno dzwoniłby ktoś z domu i zżerałoby ich poczucie winy, i...

- Numer pani miejsca? - zapytała stewardesa.

Martine oderwała wzrok od części samolotu dla podróżujących w klasie biznes, gdzie zaprowadzono właśnie obserwowaną przez nią parę.

- Pięćdziesiąt sześć - odparła, wracając do rzeczywistego świata.

- Po prawej stronie, z tyłu - uśmiechnęła się stewardesa.

- Z tyłu - powtórzyła Martine. Pewnego dnia będzie siedzieć z przodu, tak jak ta kobieta z błyszczącymi, miedzianymi włosami i olśniewającym towarzyszem.

Erin zdjęła nowy kaszmirowy płaszcz i pogłaskała go niemal z respektem. To była najpiękniejsza część garderoby, jaką zdarzyło jej się mieć, i nadal wzdrygała się na myśl o cenie. Wczoraj wieczorem Greg zjawił się w drzwiach razem z nim, kunsztownie zapakowanym w bibułę i spoczywającym w wielkim pudle z Bloomingdale'a.

- Prezent na podróż w ramach podziękowania za to, że lecisz razem ze mną do Irlandii - oświadczył, całując ją.

- Musiał kosztować majątek - wyjąkała Erin, gdy wyjęła płaszcz z pudła. - Jest przepiękny, Greg.

Przejrzała się w lustrze w szafie, która była wbudowana w ścianę i jako jeden z nielicznych mebli pozostała w mieszkaniu, podczas gdy wszystko inne wczoraj wysłano statkiem. Płaszcz pięknie podkreślał jej szczupłą sylwetkę, przekształcając ją w mgnieniu oka ze zwykłej kobiety w dżinsach i bluzie w damę, która wyglądała tak, jakby od stóp do głów była odziana w markowe ubrania, łącznie z bielizną.

- Jest przepiękny - powtórzyła - ale nie możemy sobie na niego pozwolić.

Nie należeli do biednych, ale bogaci też nie byli. Z całą pewnością nie mogli sobie pozwolić na kaszmirowe płaszcze. Należący do Erin czarny płaszcz z wełny w zupełności wystarczyłby jej jeszcze na jakiś czas.

- Nowy płaszcz na nowy początek - upierał się Greg. - I chcesz przecież olśnić wszystkich w domu, prawda?

Teraz zaczęła składać ostrożnie płaszcz, tak by móc go położyć na torbie podręcznej w schowku nad głową, ale ładna, jasnowłosa stewardesa pojawiła się przy niej i zaproponowała, że go powiesi.

- Jest zbyt piękny, by miał się pognieść - rzekła.

- Prawda? - odpowiedziała z żalem Erin, myśląc o stanie ich konta.

- Rozpoznaję ten akcent. Państwo jesteście Irlandczykami? - zapytała stewardesa. Ona też miała delikatną, śpiewną intonację gdzieś z Irlandii Północnej.

- Zgadza się - odparła Erin.

- Byli państwo na wakacjach w Chicago? Strasznie zimno, prawda? W Chicago jest zawsze najzimniej podczas międzylądowań. - Stewardesa zadrżała w eleganckiej zielonej garsonce, jakby nadal czuła przenikliwy chłód wiatru.

- Nie byliśmy na wakacjach. Prawdę mówiąc, mieszkaliśmy w Chicago przez pięć lat. A wcześniej przez cztery lata byłam w Bostonie - rzekła Erin w odpowiedzi na życzliwość tej kobiety. - Opuszczamy Stany i wracamy do Irlandii, gdyż mój mąż dostał w Cork nową pracę.

- A więc wracacie - westchnęła stewardesa, odwracając się w stronę długiego schowka nad głowami. - Witamy w domu!

- Dzięki.

Erin usiadła w fotelu i wyciągnęła przed siebie długie nogi. Pod siedzeniem przed nią znajdowała się olbrzymich rozmiarów damska torebka, ale mimo to było mnóstwo wolnego miejsca - cóż za przyjemna odmiana po klasie ekonomicznej. Greg usiadł w sąsiednim fotelu i chwycił ją mocno za ramię.

- Nareszcie - rzekł. Jego twarz promieniała. - Nareszcie wyruszamy. Wszystko zaczyna się tutaj.

- Szampan czy sok? - zapytała inna stewardesa. Uśmiech Grega stał się jeszcze szerszy. Wziął dwa kieliszki z szampanem i podał jeden Erin.

- Wypijmy za klasę biznesową - oświadczył radośnie. - Nie tylko jest tu miejsce na nogi, ale także są darmowe bąbelki! Miejmy nadzieję, że od teraz tylko w taki sposób będziemy podróżować. Za nasze nowe życie.

Erin uśmiechnęła się do niego i pociągnęła łyk.

- Rzeczywiście, tak to można latać - przyznała, myśląc o ich normalnych wakacyjnych lotach, podczas których Greg musiał wciskać swoje potężne ciało w niewielki fotel. - Gdyby twoi nowi przełożeni nie płacili za bilety, pewnie popłynęlibyśmy do Irlandii wpław, a to zniszczyłoby mój nowy, cudowny płaszcz.

- Wyglądasz w nim jak milion dolarów - stwierdził. - I wcale nie mam na myśli tego, że jesteś zielona i pomarszczona.

- Tak czy inaczej nie możemy sobie na niego pozwolić - rzekła, ściskając dłoń męża.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to możemy. Sprzedałem Joshowi moje specjalne wydanie kolekcji płyt winylowych Davida Bowie. Męczył mnie o nią już od wielu lat. Jest tylko pięćset kopii albumu *Ziggy Stardust*.

- Och, Greg - westchnęła Erin, niesamowicie wzruszona. - Nie powinienś być tego robić. - Wiedziała, jak kochał tę cenną kolekcję płyt.

- A co tam, i tak mamy wystarczająco dużo gratów. - Greg pociągnął kolejny łyk. - Dobry ten szampan - stwierdził.

- Chyba poproszę o jeszcze jeden kieliszek.

Erin posłała mu udawanie surowe spojrzenie.

- Gregu Kennedy, jeśli urzniesz się i zaczniesz posyłać stewardesom całusy, a samolot zmieni kierunek lotu i wylądaje w Nowej Fundlandii, gdzie cię aresztują, pamiętaj, że ja umyvam ręce.

- Tak jest, proszę pani - zsalutował Greg. - Jeszcze jeden kieliszek, a potem już tylko woda. Obiecuję nie przynieść ci wstydu.

Erin pocałowała go pod wpływem impulsu. Greg może i wyglądał na poważnego mężczyznę, idealnego pracownika jakiejś potężnej korporacji, lecz w rzeczywistości był pełen energii. Lubił głupie żarty, godzinami chichotał nad komiksami Gary'ego Garsona, uwielbiał komedie, a relację z meczu bejsbolowego w wykonaniu duetu Abbott i Costello był w stanie wyrecytować przez sen.

Przepelniał go także chłopięcy entuzjazm, jeśli chodzi o ich przeprowadzkę. Dla Grega to była przygoda, w takim samym stopniu, w jakim przygodą był heliskiing. Uwielbiał w Erin to, że zazwyczaj entuzjazm udzielał się także i jej i zawsze była równie chętna na spływ górską rzeką lub na coś podobnego. Tyle że tym razem ona nie czuła się równie podekscytowana tym nowym posunięciem: powrotem do domu, do Europy, po wielu latach spędzonych w Stanach. Robiła to dla niego.

Na początku ten pomysł nawet jej się spodobał. Nowa praca była tym, na co czekali od czasu, kiedy w firmie, dla której oboje pracowali, wybuchł skandal z akcjami, a jej status wiodącego przedsiębiorstwa uległ poważnemu zachwianiu. Mówiło się o zakrojonych na szeroką skalę redukcjach etatów i ani Greg, który wcześniej prężnie wspinał się

po szczeblach korporacyjnej kariery, ani Erin, która pracowała w dziale zasobów ludzkich, nie mogli traktować swoich posad jako pewne.

- To sygnał do przebudzenia - oświadczył poważnie Greg, kiedy siedzieli do późna w nocy w ich jeszcze niespłaconym mieszkaniu i próbowali ustalić, jak wyglądałaby ich sytuacja finansowa, gdyby firma splajtowała. Erin wiedziała, że jej mąż ma rację. I właśnie wtedy zaczął tęsknie przebąkiwać o powrocie do domu.

Domem dla Grega było Wicklow, tętniące życiem miasto, gdzie mieszkał jego ojciec, kierownik poczty, który niedawno przeszedł na emeryturę. Nie był tam od czterech lat, ale za to jego cała rodzina zjawiała się w Chicago na ślubie. Byli grzecznie zaciekawieni przyczyną nieobecności rodziny Erin. Ona jednak była do tego przyzwyczajona.

- Wychowywała mnie babcia, a ona jest już za stara na taką podróż - taka była jej szablona odpowiedź. I jednocześnie nieprawdziwa.

Powód, dla którego Erin nie była w rodzinnym Dublinie od dziewięciu lat, i powód, dla którego nikt z jej rodziny nie przyleciał do Chicago na jej ślub, nie miał absolutnie nic wspólnego z wiekiem jej babci. Erin porzuciła dom i Irlandię w wieku osiemnastu lat, by uciec od rodziny. Nigdy tam nie wróciła. Teraz miała dwadzieścia siedem lat i poczucie winy, które dręczyło ją z powodu tego nagłego wyjazdu, zdążyło się przekształcić w wielką, pełną bólu zadrę. Kiedy zerwała wszelkie kontakty z rodziną, nie mogła przewidzieć, że będzie się później czuła tak dziwnie zagubiona. Jednak nie sposób było wyjaśnić to uczciwej i szczerzej rodzinie Kennedych. Greg jednak znał prawdę. Dla jego rodziców korzenie i rodzina miały fundamentalne znaczenie. Musiało być coś nie tak z ludźmi, którzy nie doceniali własnej rodziny.

Erin uwielbiała ich syna i pragnęła, by czuli, że poślubiając ją, dokonał właściwego wyboru. Nie mogła powiedzieć im prawdy.

- Babcia bardzo chciała się tutaj zjawić, ale podróż byłaby dla niej zbyt męcząca - rzekła, paskudnie czując się z tym, że musi kłamać.

- W takim razie pewnie jeszcze w tym roku polecicie do domu - rzekła z nadzieją pani Kennedy, myśląc, że gdyby nowożeńcy zjawili się w Dublinie, z całą pewnością przyjechaliby na kilka dni także i do Wicklow.

- Zobaczymy - odparła grzecznie Erin. Osobiście była przekonana, że szanse na jej przyjazd do domu, na łono rodziny, są równe temu, że zostanie wybrana do drużyny New York Yankees. Nie mieliby ochoty jej widzieć. Zresztą, dlaczego mieliby mieć? Owszem, została przez nich bardzo mocno zraniona, ale która rodzina, nawet tak poplątana jak jej, mogła wybaczyć ucieczkę i brak kontaktu - poza kilkoma telefonami na samym początku, by dać im znać, że jest cała i zdrowa? No i wyraźnie jej nie wybaczyli. Kiedy ona i Greg zaręczyli się, tęsknota za domem stała się wyjątkowo silna i Erin napisała kilka listów do rodziny. Na żaden nie otrzymała odpowiedzi.

Cztery lata po ślubie sytuacja Erin i Grega uległa zmianie.

Dzień po ich szczerzej rozmowie na temat finansów Greg dowiedział się od znajomego *headhuntera* o pracy polegającej na kierowaniu irlandzką filią międzynarodowej spółki telekomunikacyjnej. Chciano zatrudnić kogoś z jego międzynarodowym doświadczeniem. Można to było uznać za dobry omen.

Kompensacja za przeprowadzkę wystarczy im na pokrycie długów, zanim nie uda im się sprzedać mieszkania, a ich znajomy, *headhunter*, zapewnił Erin, że menedżer działu zasobów ludzkich z jej doświadczeniem znajdzie tam pracę bez absolutnie żadnego problemu. Co więcej, ludzie z Cuchulainn Telecoms, nowi przełożeni Grega, obiecali na pierwsze sześć miesięcy wynająć dla nich piękny dom.

Ta praca stanowiła wyzwanie, co tak bardzo lubił Greg. Poza tym usłyszał wiele dobrego na temat swojej kadry kierowniczej, zwłaszcza swego niedawno awansowanego, potencjalnego zastępcy, faceta, który nazywał się Steve Richardson. No i lokalizacja: zabytkowe miasteczko tuż pod Cork. Greg i Erin przyjrzeni mu się w Internecie i wyglądało naprawdę niesamowicie. Żadne z nich nie było wcześniej w Dunmore, ale słyszeli o tym miejscu.

Greg powiedział w firmie, że muszą się nad tym zastanowić.

- To wielka zmiana, kochanie - rzekł do Erin. - Nie chcę cię zmuszać do powrotu do Irlandii z mojego powodu.

- Ach tak, a kto powiedział, że mam zamiar przeprowadzić się razem z tobą? - przekomarzała się. - Mogę zostać tutaj i lekką ręką wydawać pieniądze, podczas gdy ty będziesz harował w Irlandii.

- Pieniądze? To my mamy pieniądze? - odparł, trącąc nosem jej ucho.

- Słoik z dwudziestopięciocentówkami w kuchni staje się coraz cięższy. Jest tam przynajmniej czterdzieści dolarów

- Czterdzieści dolarów! Ty latawico. Mogłabyś nieźle zaszaleć z taką kasą, przepuścić ją na wino, mężczyzn i śpiew. Nie mogę zostawić cię tutaj samej. Musisz jechać. Bez ciebie uschnę z tęsknoty.

Erin popatrzyła na niego z czułością. Cokolwiek było nie tak z resztą jej życia, poznanie Grega traktowała niczym trafienie szóstki w totka. Inny facet mógłby biadolić z tego powodu, że to on więcej zarabia i że ona musi jechać tam, gdzie zabiera go jego praca, tak jak kobiety wędrujące za żołnierzami, którzy z kolei podążają za dźwiękiem bębna. Jednak mimo że Greg zarabiał więcej od Erin, nie miało to nigdy żadnego znaczenia, ani w przypadku sposobu, w jaki wydawali pieniądze, ani jeśli chodzi o równowagę sił w ich związku. Gdyby Erin uparła się przy pozostaniu w Stanach, a jedyną pracą, jaką mógłby znaleźć Greg, byłoby wywożenie śmieci dla sieci McDonald's, zostałby najlepszym śmieciarzem w kraju - tak bardzo ją kochał.

Ta miłość i poczucie, że zawsze będzie wobec niej stuprocentowo lojalny, sprawiły, że Erin w końcu przestała biec przez życie na oślepie. Kiedy poznała Grega Kennedyego, zrozumiała, że dzięki bliskiej osobie można mieć poczucie powrotu do domu, a dla niej dom był tam, gdzie Greg. Pomocne rzecz jasna okazywało się to, że był niezmiernie przystojny. Erin była wysoka, ale Greg potrafił unieść ją, jakby ważyła tyle co dziecko. Kiedy przynosił ją przez próg mieszkania po ich powrocie z miesiąca miodowego, czuła się tak, jakby była bohaterką jakiejś baśni.

Podjęła decyzję. Czego jak czego, ale uchylania się od nowych wyzwań nikt nie mógł jej zarzucić.

- A co tam - rzekła. - Możliwe, że za te czterdzieści dolców w Cork zaszaleję bardziej niż tutaj. A o powrocie do domu mówisz, od kiedy cię poznałam. Zróbmy to.

Kiedy uzgodniono już wszystkie szczegóły nowej pracy Grega, w ich starej firmie rozpoczęły się zwolnienia. Erin sprzedała swój samochód, przez co - jak stwierdziła cierpkim łonem - będzie musiała nosić rajstopy, dopóki nie zdobędzie nowej pracy. Spakowali wszystkie rzeczy z mieszkania, zjedli z przyjaciółmi całe mnóstwo pożegnalnych kolacji, załatwili zmianę adresu i kont bankowych. Oboje byli strasznie zajęci i żadne z nich nie miało czasu, by czuć smutek z powodu opuszczania miasta, które tak długo nazywali domem.

A potem, tydzień przed wyjazdem, wydarzyło się coś dziwnego. Erin stała w kolejce w pralni chemicznej Stuker's, by odebrać kilka garniturów. Przez jedno ramię miała przewieszoną torebkę, w czerwonym notesie odkreślała kolejne sprawy do załatwienia, i nagle dotarła do niej powaga i ogrom tego wszystkiego. Poczwała, jak kurczą jej się płuca, jakby wyssano z nich powietrze. Zachwiała się i niemal upadła, gdyż ugięły się pod nią kolana.

- Siada panienska, siada - rzekła miła Koreanka, która prowadziła pralnię. Posadziła Erin na plastikowym krześle, co nawet w jej obecnym stanie wydawało się dziwaczne, jako że ona miała metr siedemdziesiąt, a Koreanka sięgała jej zaledwie do ramion.

- Ty w ciąży?

Erin zaśmiała się ze szczerym rozbawieniem. Na szczęście nie było takiej możliwości. Zanim wzięli ślub, Erin otwarcie oświadczyła Gregowi, że nie jest pewna, czy w ogóle chce mieć dzieci po tym, co zrobiła jej matka. Nie znaczy to, że nie lubiła dzieci, po prostu nie była pewna, czy stanowi właściwy materiał na matkę. A on stwierdził, że to rozumie. Wiedziała, że to kolejny powód, by go kochać, ponieważ była pewna, że niełatwo mu było zaakceptować jej decyzję.

Potrząsnęła więc teraz głową.

- W żadnym wypadku, po prostu zakręciło mi się w głowie - odparła. - Niski poziom cukru we krwi.

Pozostali ludzie, stojący w kolejce, obeznani z podobnymi medycznymi problemami, wrócili do swoich myśli. Erin wydawała się niemal niewidoczna, siedząc na plastikowym krześle niczym jakaś naćpana bogaczka. Pozwoliła panice odpłynąć ze swego ciała, aż w końcu była w stanie przyjrzeć się problemowi z dystansu.

Jechała do domu, czego tak naprawdę nigdy nie planowała. Zgoda, mówiła o tym. Kto zresztą tego nie robił? Dla tak wielu przyjaciół jej i Grega dom był niczym jakiś magiczny i niezmienny świat dzieciństwa. Szkoci, Australijczycy, Irlandczycy, Włosi, każda możliwa narodowość - wszyscy opowiadali o swoich ojczyznach w taki sposób, jakby patrzyli na nie zamglonymi, bezkrytycznymi oczami. W domu nie tylko trawa była bardziej zielona, ale życie ogólnie było prostsze.

- Inne czasy - wzdychali wszyscy, kiedy włali już w siebie wystarczająco dużo alkoholu, a z odtwarzacza CD sączyła się smętna muzyka z rodzinnych stron.

Erin przez długi czas podejrzewała, że ci, którzy rzeczywiście wrócili do domu, doprowadzali wszystkich we Włoszech bądź Australii do szewskiej pasji, opowiadając im, jak cudowna jest Ameryka i jak za nią tęsknią, i że lepsze są tam drogi, szpitale czy kawa.

Ona, z drugiej strony, nigdy nie dała się ponieść nostalgii do kraju, w którym przyszła na świat. Co nie znaczy, by ktokolwiek zwracał na to uwagę. Mając takie imię i kurtyne niesfornych, jedwabście miedzianych włosów, wyglądała na stuprocentową Irlandkę. Ludzie zakładali, że w duchu pragnie siedzieć w irlandzkim pubie podczas Dnia Świętego Patryka, dumnie prezentując przypiętą koniczynkę i wzdychając żałośnie do kufla z guinnessem. Nie wiedzieli, że ona sama uważa, iż lekkomyślnie odrzuciła całą swoją irlandzkość w dniu, w którym porzuciła rodzinę.

Kiedy ich przyjaciele dowiedzieli się, że ona i Greg wyjeżdżają ze Stanów, wszyscy stwierdzili to samo:

- Wiedzieliśmy, że to zrobicie.

Erin miała ochotę odpowiedzieć, że w takim razie wiedzieli więcej niż ona sama.

W pralni nie było już kolejki, lecz Erin nie miała energii, by podnieść się z krzesła i odebrać swoje rzeczy. Wracała do domu i nie miała pojęcia, w jaki sposób poradzić sobie z poczuciem winy.

Greg zasnął w połowie nowego filmu Spielberga. Erin, która na swoim niewielkim ekranie oglądała jakąś nowość z Nicole Kidman, pochyliła się i delikatnie zdjęła mu słuchawki. Podciągnęła w górę szary, samolotowy koc, przykrywając mu ramiona, by nie zmarzł, i zabrała pustą szklankę na swoją tacę, by jej przypadkiem nie stracił. Uśmiechnęła się, myśląc o tym, że instynktowi macierzyńskiemu wobec Grega poddawała się tylko wtedy, gdy jej mąż spał.

Nie chcąc doprowadzić się do odwodnienia, wypła jeszcze trochę wody i ponownie ułożyła się wygodnie na fotelu, by oglądać film, ale jakoś nie mogła się na nim skoncentrować.

Podczas gdy samolot leciał przez ciemną noc, Erin cofnęła się myślami do swoich ostatnich godzin w domu. Przypomniała sobie pełną bólu twarz kobiety - którą zawsze nazywała mamą, ale która tak naprawdę była jej babcią - kiedy wykrzyczała, że wyjeżdża, ponieważ okłamywano ją przez całe życie. Pamiętała, że opuszczając ze wzburzeniem dom, zostawiła za sobą wiele skarbów z dzieciństwa, pragnąc zademonstrować głębię swego odrzucenia. Jednak najbardziej pamiętała ból, jaki poczuła, kiedy się dowiedziała, że najważniejsi ludzie w jej życiu - matka, ojciec i siostra - nie byli tymi, za których się podawali. Wskutek tego szokującego odkrycia wszystkie rodzinne relacje uległy zachwianiu. Tata był tak naprawdę jej dziadkiem, kłótliva Kerry nie siostrą, lecz ciotką, a od dawna nieobecna siostra Shannon, dzikuska, która nigdy nie przyjeżdżała do domu, ale jedynie przysyłała kartki z egzotycznych miejsc, kiedy nasza ją taka ochota, była tak naprawdę matką Erin.

Pierwszym, co zaskoczyło Erin, kiedy ona i Greg wyszli za szoferem z Cuchulainn z lotniska w Cork na parking, było panujące na dworze ciepło. Ani śladu zacinającego deszczu, który stanowił część jej wspomnień. Zamiast tego jej twarz omiatał łagodny, wiosenny wietrzyk przypominający jedwabną apaszkę dopiero co wyjętą z suszarki. Ostre smaganie chicagowskiego wiatru zdawało się być odległe od nich o całe lata świetlne.

- Śliczny dzień - oświadczył z zachwytem Greg, nabierając do płuc haust czystego powietrza po tak wielu godzinach spędzonych w dusznej kabinie samolotu.

Drugim, na co zwróciła uwagę Erin, był fakt, iż kierowca nie pasował do stereotypu gadatliwego irlandzkiego taksówkarza. Nie było spodziewanego przez nią bajerowania, maglowania i prób wysondowania skąd oni są, czy mają rodzinę w Cork i czy znają w Chicago tego i tego, a właśnie coś takiego Erin pamiętała z dawnych lat. No cóż, wzruszyła ramionami. Ona się zmieniła, więc trzeba zakładać, że z Irlandią stało się dokładnie to samo.

Mając wielką ochotę przyjrzeć się nieco okolicy, Greg poprosił o okreśną trasę, więc zamiast jechać bezpośrednią drogą do Dunmore, która omijała centrum miasta, kierowca powiózł ich wzdłuż Patrick Street, pokazując miejsca godne uwagi.

Erin starała się na nie patrzeć, ale jej uwagę wciąż rozpraszali stylowo ubrani ludzie, którzy równie dobrze mogliby się teraz przechadzać ulicami Manhattanu. Tego też nie pamiętała z przeszłości.

Jasne, tu i ówdzie było widać przechodniów w marynarkach tak starych, że mogły wziąć udział w wystawie z okazji stulecia ubrań, ale w większości mieszkańcy Cork wyglądali... cóż, fantastycznie.

Kiedy wreszcie dotarli do Dunmore, ono także wyglądało fantastycznie: urocze w taki pocztówkowy sposób, jak bogate miasteczka, które ona i Greg odwiedzili podczas podróży poślubnej.

- W Internecie Dunmore wyglądało uroczo, ale te zdjęcia nie oddawały jego całego piękna - oświadczył Greg, podziwiając wiktoriański rynek, zdominowany przez złowrogi szary pomnik jakiegoś dawno nieżyjącego burmistrza. - Nie mogę się doczekać, by zobaczyć nasz dom.

Po wszystkich tych pięknych budynkach, które minęli w Dunmore, dom, który wynajęła dla nich firma, okazał się zdecydowanym rozczarowaniem. Przypominający pudełko segment na zaniedbanym osiedlu z lat osiemdziesiątych był tak mały, że w całości wypełniały go ich skrzynie z rzeczami i meble dostarczone poprzedniego dnia. Nie uśmiechnęli się nawet po przeczytaniu listu z przeprosinami od agenta, który znaleźli na kuchennym blacie, wyjaśniającego, że z powodu nieprzewidzianych okoliczności wynajęcie domu, który zamierzano przeznaczyć dla nich, okazało się niemożliwe.

- „Przepraszamy zarówno Pana, jak i Panią Kennedy” - przeczytał na głos Greg - „ale jeśli zdecydują się Państwo zatrzymać tutaj na kilka kolejnych tygodni, do tego czasu znajdziemy bardziej odpowiednie miejsce”. Lepiej powiadomię o tym Steve'a Richardsona. To jego biuro miało załatwić kwestię domu. Och, i w liście jest jeszcze napisane, że w ramach rekompensaty w lodówce znajduje się szampan - dodał, poweselawszy nieco po przeczytaniu ostatniego akapitu.

Erin rozejrzała się po kuchni, która mimo heroicznego wysiłków, jakie podjęto w ostatniej chwili, wyraźnie przez wiele lat była wynajmowana ludziom nieobeznanym z podstawowymi środkami czystości. Przy jednej ze ścian z całą pewnością stał wcześniej stół, gdyż biegła przez nią linia podejrzanych czerwonych plam niemożliwych do usunięcia szorowaniem. Musztardowo żółte szafki i pomalowane na różowo ściany świadczyły o tym, że ktoś miał przynajmniej poczucie humoru. Jednak z góry roznosił się zapach kocura.

- Lepiej, żeby tam były dwie butelki szampana - rzekła Erin, obejmując Grega w pasie. - Bo jeśli się okaże, że kot sikał w sypialni, będę wściekła, i uda nam się zasnąć tylko dzięki butelce na głowę.

Greg podniósł ją bez wysiłku i posadził na blacie, tak że nogami mogła swobodnie opleść go w pasie.

- Pragnę posiąść cię tutaj, w kuchni, moje irlandzkie dziewczę - oznajmił, muskając nosem jej szyję. - Ale sądzę, że najpierw musimy posprzątać.

- Dobry pomysł, Casanovo - odparła Erin, całując go w usta. - Kto wie, co można tutaj złapać, i nie zdejmę majtek, dopóki nie będzie idealnie czysto.

- Och, proszę tu nie świntuszyć - jęknął Greg.

- Później. - Przytuliła się mocno do niego, czując bicie jego serca tuż przy swoim. - Otwórz szampana, a ja poszukam kartonu z gumowymi rękawicami.

Trzy dni później Erin miała dosyć. Nazajutrz po ich przylocie ni stąd, ni zowąd zrobiło się zimno, a ogrzewanie w domu było albo niezwykle tajemniczym systemem, którego normalni ludzie nie byli w stanie rozpracować, albo po prostu nie działało.

Greg przez pół wieczoru majstrował przy timerze, ale tak był wyczerpany połączeniem zmiany strefy czasowej i rozpoczęciem nowej pracy, że nie przyniosło to żadnych pozytywnych rezultatów.

- Przykro mi, skarbie - rzekł. - Wiem, że jest ci zimno. Jutro pójdziemy do agencji. - A potem zapadł w głęboki sen, gdy tymczasem leżąca obok Erin trzęsła się, mimo że ubrała skarpetki i ciepłą koszulę.

W agencji powiedzieli, że przyślą kogoś od konserwacji, nikt się jednak nie zjawił. Następnego ranka ponownie do nich zadzwoniła i obiecali, że jeszcze tego dnia ktoś się pojawi.

Erin, która była zupełnie nie w sosie i wciąż nie doszła do siebie po zmianie strefy czasowej, wcale to nie ucieszyło.

- Usłyszałam to od was wczoraj - odparła sucho. - Czy odbywa się tutaj jakieś losowanie? Wrzucacie wszystkie nazwiska do kapelusza i kiedy wylosowane zostanie moje, to wtedy rzeczywiście kogoś przyślecie? Czy o to właśnie chodzi?

Pani w agencji sprawiała wrażenie nieco nadętej i oświadczyła, że z powodu dwóch dni mrozów w kilku należących do nich nieruchomościach popękały rury i że ludzie od konserwacji byli przez to zajęci.

- Popękane rury? - zapytała Erin. - Jeśli to właśnie ma sprowadzić waszych ludzi do mnie, proszę mi tylko powiedzieć, gdzie one się znajdują, a sama je porozbijam. Okej?

Rozłączyła się i rozejrzała po pustej kuchni. Od nastania chłódów było zbyt zimno, by wszystko wypakować. Otworzyła jedynie pudła w salonie, gdyż znajdował się tam piecyk gazowy. A poza tym, skoro niedługo mieli się przeprowadzić do lepszego domu, wyciąganie wszystkiego było pozbawione sensu. W ramach dogrzewania się zrobiła jeszcze jeden kubek kawy i przeszła do salonu, zatrzymując się po drodze, by zdjąć z poręczy starą czapkę narciarską Grega i założyć ją na głowę.

Pod spodniami od dresu miała legginsy, a poza tym dwa swetry i jaskrawoniebieską, pikowaną kurtkę narciarską. Wiedziała doskonale, że wszystko to razem wygląda idiotycznie. Jednak kogo to obchodziło? Nie знаła nikogo w tym miasteczku, więc nikt nie musiał się zastanawiać, co takiego stało się z normalnie zadbaną Erin Kennedy, że przemieniła się w taką flądę.

Usiadła po turecku na podłodze i otworzyła pudło z rzeczami do przyszłego gabinetu. Pochłaniała ją właśnie sterta wycinków z gazet, które, była pewna, wyrzuciła w Chicago, kiedy rozległ się dzwonek.

Super. Widać nieco opryskliwości wobec agencji nieruchomości nie poszło na marne.

Jednak w drzwiach nie stał nikt z agencji, lecz drobniutka wróżka, która miała okrągłe, ciemne oczy, gęste mahoniowe loki i czerwony wełniany płaszcz z kapturem, przez co wyglądała jak sobowtór Czerwonego Kapturka.

- Nie wiem, czy zaprosić cię do środka, czy też powiedzieć, że babcia jest chora, a w pobliżu kręci się duży i zły wilk - stwierdziła Erin, zanim zdążyła się ugryźć w język.

Kobieta się roześmiała: był to głęboki, gardłowy śmiech, który dziwnie kłócił się z jej wizerunkiem Czerwonego Kapturka.

- Będę musiała wyrzucić ten płaszcz! - zawołała, zdejmując z głowy kaptur.

- Przepraszam - rzekła szybko Erin.

- Nie, masz rację - upierał się Czerwony Kapturek. - Dorosłe kobiety nie powinny kupować ubrań tylko dlatego, że są śliczne. Wtedy inni ciebie też nazywają ślicznym, a tego nie znoszę. „Śliczny” to nadużywane słowo. A tak przy okazji to jestem Sally. Sally Richardson, żona Steve'a. - Jako że na twarzy Erin malowała się konsternacja, dodała: - Steve Richardson pracuje z Gregiem w Cuchulainn.

Erin skrzywiła się na myśl o własnej głupocie. Greg każdego dnia rozprawiał o Stevie Richardsonie, swym pracowitym zastępcy, który, ku uciesze jej męża, nie ubiegał się wcześniej o główne stanowisko, jako że sam niedawno awansował, i dzięki temu nie chował żadnej urazy do swego nowego przełożonego.

- Jeszcze raz przepraszam - rzekła Erin. - Ostatnio mój mózg nie funkcjonuje właściwie. Zmiana czasu. Albo może hipotermia. Ogrzewanie nie działa.

- Słyszałam. Steve mówi, że Greg strasznie się martwi tym, że siedzisz w tym domu i zamarzasz.

- Mam na sobie dość sporo ciuchów - Erin wskazała na swój strój à la ludzik Michelina. - Nie myślałam, że będzie aż tak zimno.

- Pogoda zwariowała, to najniższe temperatury w marcu od pięćdziesięciu lat - wyjaśniła Sally. - Zazwyczaj nie jest tutaj tak naprawdę mroźno, gdyż znajdujemy się blisko morza. Masz ochotę wybrać się ze mną na lunch? Steve zadzwonił, by mi powiedzieć, że kazał Cindy z działu personalnego zadzwonić do szefa firmy wynajmującej dom i zamienić z nim słówko. Cindy kocha wyzwania. - Sally uśmiechnęła się szeroko. - Człowiek od konserwacji zjawi się u ciebie o wpół do trzeciej.

- Z wdzięczności mogę zaproponować mu seks - odparła ze śmiertelną powagą Erin. - Przepraszam, to był żart. Tonaprawdę miłe ze strony twojej i Steve'a. Z przyjemnością pójde z tobą na lunch.

Sally usiadła w kuchni pomiędzy kartonami, a tymczasem Erin pobiegła na górę, by się przebrać w coś nie tak pogrubiającego. Od dnia wyjazdu nie myła włosów i wiedziała, że są tłuste. Założyła więc czarny filcowy kapelusz. Jeszcze odrobina czarnego tuszu do rzęs i szminki, i była gotowa.

- Och, tak bym chciała móc nosić kapelusze - oświadczyła Sally ze szczerym podziwem, kiedy na dole pojawiła się Erin. W sztruksowym płaszczu w kolorze kawy wyglądała bardzo smukło, a jej odziane w zamszowe kozaczki nogi zdawały się nie mieć końca. - Jestem za niska, ale ty jesteś taka elegancka i pełna gracji, że możesz sobie na niego pozwolić.

Erin się uśmiechnęła.

- To fryzura kobiety leniwej. Jest za zimno na mycie włosów, więc kapelusz to jedyna możliwa opcja.

- Cóż, jeśli tak wyglądasz bez żadnego starania się, to przy odrobinie wysiłku musisz zwałać z nóg.

Udały się do przytulnego pubu, w którym usadowiły się w pobliżu kominka z trzaskającym ogniem i zamówiły sobie chilli wraps i frytki.

Sally zdawała się wyczuwać, że Erin nie ma ochoty na wypytywanie o to, skąd ona i Greg przyjechali i dlaczego.

Zaznajomiła ją więc z ciekawostkami na temat Dunmore i Cork, wyjaśniając, że ludzie z Cork patrzą z góry na Dunmore, które uważają za śpiącą miejscinę, natomiast mieszkańcy Dunmore patrzą z góry na Cork, ponieważ to duże miasto.

- Wiesz, dorastałam w Cork i uwielbiam to miasto - stwierdziła. - Tam się naprawdę dużo dzieje. Jednak Dunmore także uwielbiam. Jest tutaj tak spokojnie. Czujesz się tak, jakbyś należała do niewielkiej społeczności, a wystarczy kilka mil i już jesteś w dużym mieście. To najlepsze, co może być, naprawdę. Przeprowadziliśmy się tutaj,

ponieważ marzyłam o otwarciu własnego salonu piękności, i dowiedzieliśmy się, że na Lee Road w Dunmore jest lokal naprawdę idealny na ten cel.

Erin, która wcześniej zdecydowanym tonem oświadczyła Gregowi, że nie ma ochoty bratać się z miejscowymi ludźmi, dopóki nie odnajdzie dla siebie tutaj miejsca, usłyszała wypowiedziane przez siebie słowa, że z największą przyjemnością zajrzy wkrótce do salonu.

- Od dwóch tygodni nie robiłam manikiuru, a dłonie zrobiły mi się szorstkie od zimna - rzekła pośpiesznie, przyglądając się swym długim, szczupłym palcom.

Pożałowała tych słów od razu, gdy je wypowiedziała. Teraz Sally przyczepiła się do niej i nie dała spokoju, dopóki nie umówiła jej u siebie na wizytę.

Tak się jednak nie stało.

- Zajrzyj, kiedy będziesz gotowa - powiedziała spokojnie. - Najpierw się zadomów. Z pewnością nie chcesz pozostać z marszu masy nowych ludzi, a potem przez następne dwa lata starać się ich pozbyć ze swego życia.

Dokładnie tego obawiała się Erin i teraz wpatrywała się w swoją nową znajomą z otwartymi ustami.

- Wiem, jak to jest przeprowadzić się w zupełnie nowe miejsce - wyjaśniła Sally. - Ludzie chcą być przyjacielscy i kończy się to tak, że zanim minie pierwszy tydzień, nawiązujesz bliskie kontakty z połową miasteczka, a z drugą połową obiecujesz wybrać się na drinka.

- To wreszcie przypomina mi Irlandię, którą znam i kocham - stwierdziła cierpko Erin. - Pochodzę z Dublina i tam, gdzie mieszkałam, kiedy sprowadzała się nowa rodzina i w ciągu tygodnia nie zapraszała sąsiadów na herbatę i wysłuchanie historii życia, była uważana za wyjątkowych dziwaków.

Sally uśmiechnęła się szeroko.

- Tak samo było tam, skąd ja pochodzę. Najchętniej zamieszkaliby ci w uchu. Moja mama mówiła często, że nie ma potrzeby wydawania lokalnej gazety, wystarczy przejść się do sklepu na rogu, aby usłyszeć nowiny z pięciu najbliższych parafii.

Zaśmiały się konspiratorsko i wkrótce wymieniały się opowieściami o plotkujących sąsiadach, którzy potrafili zwiertzyć plotkę szybciej niż radar w łodzi podwodnej był w stanie zlokalizować inny okręt.

- Kiedy poznałam Steve'a, miał starą, zdezelowaną furgonetkę. Pierwszego wieczoru odwiózł mnie nią do domu i przez godzinę siedzieliśmy przed moim domem rozmawiając - opowiadała Sally. - Nazajutrz sąsiadka mojej mamy wychyliła się przez okno, kiedy wychodziłam do pracy, i oświadczyła, że wyglądał całkiem nieźle, i zapytała, czyż nie jest podobny do młodego, blondwłosego Rocka Hudsona i czy to coś poważnego.

- Blondwłosy Rock Hudson, tak? - Erin nie była w stanie powstrzymać uśmiechu.

Sally skinęła głową.

- Kochała go, biedactwo. Nie myśl sobie, że choć raz dotarło do niej, że nie jest on typem macho, dla którego straciła głowę w jednym z tylnych rzędów w kinie.

- Kurczę, ale z niego był przecież niezły przystojniak. Czy Steve naprawdę jest do niego podobny?

Tym razem to Sally się uśmiechnęła.

- Jeszcze przystojniejszy, choć ma już w blond czuprynie nieco siwych włosów i uwielbiam się z nim o to droczyć.

- Bez śladu skrepowania zaczęła opowiadać, jak się poznali, zakochali w sobie i pobrali.

Słuchając Sally, opowiadającej o mężu i dwójce uroczych, choć niemilosierdzie psotnych dzieci, Erin uświadomiła sobie, że słuchanie kogoś, kto jest autentycznie zadowolony ze swego życia, jest niczym powiew świeżego powietrza.

Sally skończyła, wyjaśniając, że kiedyś Steve miał nadzieję, iż uda mu się zarabiać na życie, ucząc sztuki, ale z powodów finansowych znalazł się w świecie korporacyjnym.

- Praca w Cuchulainn podoba mu się - dodała Sally, na wypadek gdyby zabrzmiało to tak, jakby Steve miał w mgnieniu oka rzucić pracę i wrócić do sztuki. - Zarabianie na życie sztuką stanowiło jego marzenie, jednak oboje jesteśmy realistami. Potrzebne nam były pieniądze.

- Hej, nie przepraszaj mnie - zachichotała Erin. - Przez wiele lat pracowałam w dziale zasobów ludzkich. Mogę cię zapewnić, że praca nie dla każdego była pierwszą miłością. I nie dla zabawy wszyscy grali w totka. W mojej ostatniej firmie były trzy wielkie konsorcja, i gdyby którekolwiek z nich wygrało, biuro zostałoby zmiecione z powierzchni ziemi.

- W takim razie jestem prawdziwą szczęściarą - rzekła pokornie Sally - Uwielbiam mój salon piękności.

Erin oparła się na krześle. Szczupły brzuch miała pełen jedzenia. Popatrzyła na nową znajomą.

- To super widzieć kogoś tak szczęśliwego.

Sally wzruszyła ramionami.

- Kiedy jest się tak szczęśliwym jak Steve i ja, ludzie lubią sobie wyobrazać, że oboje mamy za sobą jakieś koszarne przeżycia i teraz, z powodu tego wszystkiego, jesteśmy tak zadowoleni. A wcale tak nie jest. Oboje mieliśmy fantastyczne dzieciństwo i cudowne rodziny, po prostu doceniamy siebie nawzajem i jesteśmy wdzięczni za to, co mamy.

- Słodko uśmiechająca się twarz zrobiła się nagle poważna. - Wiemy, że to, co nas łączy, jest czymś wyjątkowym. Nie wielu ludzi może się tym cieszyć. Trzeba to doceniać, jeśli się to ma. Nigdy nie wiadomo, co cię czeka za rogiem, jak mawiała moja mama.

Erin uważnie przyglądała się Sally Była niezwykłą kobietą: pełną życia i ciepłą, a jednak w młodym ciele zdawała się mieszkać stara dusza. To tak, jakby Sally poznała kiedyś tajemnicę szczęścia i chciała się ze wszystkimi podzielić. Jednak pomimo radości życia otaczała ją aura kruchości. Była po nowojorsku chuda, a pod błyszczącymi ciemnymi oczami rysowały się fioletowe cienie.

- A wy? To znaczy ty i Greg. Jak się poznaliście?

Erin poddała się i odpięła górny guzik spodni.

- Po pierwsze powiedz mi, proszę, czy jest w pobliżu jakaś dobra siłownia - jęknęła, patrząc na brzuch.

- Nawet dwie.

- Jutro muszę się zapisać - oświadczyła Erin. - No dobrze, jak poznałam Grega. Od razu zaznaczam, że to nie będzie typowa romantyczna historia. Było to tak, że został przyjęty do firmy, w której pracowałam, i przyszedł do mojego gabinetu, by mi powiedzieć, że nie może dojść do porozumienia ze swoją asystentką, która była zatrudniona od wielu lat i pracowała dla faceta, który wcześniej zajmował jego stanowisko. Jak już mówiłam, pracowałam w dziale zasobów ludzkich - dodała. - Wcześniej słyszałam także plotki, że jakiś facet na jego piętrze molestuje seksualnie swoją asystentkę, ale ona tak się boi utraty pracy, że nie zgłasza tego, no i dodałam dwa do dwóch, wyszło mi sześć i uznałam niesłusznie, że to Greg.

- O kurczę - skrzywiła się Sally.

- Rzeczywiście. Przemaglowałam go ostro odnośnie tego, dlaczego chce się pozbyć swojej asystentki, a kiedy sobie uświadomiłam własną pomyłkę, on to przyjął naprawdę dobrze. Powiedział, że od samego początku mu się podobałam i że myślał, że próbuję go zniechęcić, grając twardą babkę.

- Och - westchnęła Sally - Jak w klasycznym romansie. Najpierw nienawiść, później miłość.

- Nie, najpierw nienawiść, a potem niesamowite i ogromne zakłopotanie - zauważyła Erin. - Prawie umarłam, kiedy odkryłam swoją pomyłkę. Co prawda nie oskarżyłam go o molestowanie seksualne, ale byłam cholernie blisko.

Wzdrygałam się na myśl, jak bardzo byłam dla niego niegrzeczna. W stylu: „A tak naprawdę dlaczego pan czuje, że nie jest w stanie dłużej pracować ze swoją asystentką?”.

- Ale ci wybaczył?

- Owszem, po kolacji z homarem w roli głównej.

A potem opowiedziała o tym, jak się pobrali, wprowadzili do pięknego, dwupoziomowego mieszkania, i wreszcie o tym, jak rynek pracy zmienił się i sprowadził ich do Dunmore.

Choć Sally zauważyła, że oprócz krótkiego nawiązania do dzieciństwa w Dublinie historia Erin skoncentrowana była wyłącznie na jej czasie spędzonym w Stanach, nie skomentowała tego ani słowem. Wyglądało to tak, jakby Erin wymazała ze swego życia jego część spędzoną w Irlandii, preferując datowanie swego istnienia od początków w Bostonie, gdzie na utrzymanie zarabiała jako kelnerka i pokojówka. Sally uznała, iż niewątpliwie z czasami jej dorastania łączyła się jakaś historia. Jednak była utalentowanym słuchaczem, który wiedział, kiedy zadawać pytania, a kiedy stać na uboczu i mówić „mmm”, i czuła, że Erin wołałaby to drugie podejście. Lata prowadzenia salonu piękności nauczyły ją, że ludzie mówili wtedy, gdy mieli na to ochotę.

- Wiesz co, to naprawdę skandaliczne. Jestem tutaj już pół tygodnia, a jeszcze nigdzie nie wysłałam swojego CV ani nie zadzwoniłam do tych *headhunterów*, których nazwiska otrzymałam - zakończyła Erin.

Etyka pracy Erin była równie żywa jak jej puls i ze zdumieniem odkryła, że zamieszanie związane z przeprowadzką na inny kontynent przyduśło jej normalne życie w ciągłym pędzie. Co gorsza, czuła się niemal... cóż, jakby miała depresję albo była pełna dziwnego niepokoju, co, jak zaczynała myśleć, miało związek z tym, że po tylu latach wróciła do domu. Trauma związana z jej wyjazdem z Irlandii powróciła, by ją prześladować.

- Daj sobie czas. Dopiero tu przyjechałaś. Musisz się najpierw zadomowić - poradziła Sally, prosząc gestem kelnerkę, by przyniosła im rachunek.

- Musimy jeść - zauważyła Erin. - Przeprowadzka trochę nas splukała, a ja jestem pełna obaw, gdy nie pracuję. Za bardzo mi to przypomina czasy, kiedy przeprowadziłam się do Bostonu i nie miałam ani grosza przy duszy

- Spokojnie, możliwe, że w przyszłym miesiącu będziesz już jak czołg.

- Na pewno tak wielka jak czołg, jeśli wciąż będę się tak opychać i w ogóle nie ćwiczyc - odparła z żalem Erin. -

Dzięki za lunch, Sally

- Cała przyjemność po mojej stronie. Pod jednym jednak warunkiem: musimy to powtórzyć.

- Umowa stoi.

Rozdział szósty

Trzy dni później, w piątkowy rano tuż po dziewiątej Abby zatrzymała się przed wielkim domem na eleganckim przedmieściu Cork, by zająć się prywatnym zleceniem. Wielu ludzi sądziło, że już się tym nie zajmuje, odkąd odniosła telewizyjny sukces, prawda była jednak inna. Mimo że w telewizji dobrze płacili, prowadzenie programu nie było aż tak lukratywne, jak wszyscy uważali. Wysokie kwoty podawane w artykułach na temat tego, kto ile zarabia, były błędne i często były to sumy, które Abby zarabiałaby, gdyby na dziesięć lat sprzedała siebie i swoją rodzinę jako niewolników. Program telewizyjny, który odniósł sukces, oznaczał całkiem sporą sumkę w banku i możliwość zarobienia większych pieniędzy, jeśli seria utrzyma wysokie wskaźniki oglądalności. Nie oznaczało to natomiast, jak wielu ludzi sądziło, że ktoś zajrzał do jej domu z torbą podręczną Vuittona wypchaną dziesięciofuntowymi banknotami. Prywatne zlecenia były dla niej chlebem powszednim.

Jeśli chodzi o dzisiejsze zlecenie, to żywiła wobec niego nieco nieufności: Tanya Monaghan, miejscowa znakomitość, jeśli sądzić po częstotliwości pojawiania się na zdjęciach w kolumnie plotkarskiej, chciała, by Abby pomogła w pozbyciu się z jej życia śmieci. Zgoda. Tyle że Abby odnosiła wrażenie, iż dom Tanyi wcale tego nie potrzebuje i że pragnęła ona skorzystać z usług Abby tylko i wyłącznie z powodu towarzyszącej jej otoczki sławy. To było coś takiego, jak podawanie na przyjęciach potraw przygotowanych przez znanego szefa kuchni lub zlecenie zaprojektowania ogrodu jakiemuś sławnemu projektantowi.

- Abby Barton, no wiecie, ta z telewizji, no cóż, ona porządkuje dla mnie dom - mówiłaby nonszalancko Tanya.

Obok elektronicznie otwieranej bramy, prowadzącej do domu Monaghanów, znajdował się wbudowany w ścianę interkom. Mąż Tanyi, potentat w branży budowlanej, wyraźnie nie narzekał na brak gotówki. Abby opuściła szybę w jeepie.

- Abby Barton do pani Monaghan - zawołała do interkomu.

- Proszę wejść - odparł grzeczny głos z wyraźnie obcym akcentem. Nie należał do Tanyi, Abby była tego pewna. To z pewnością głos wynajętej pomocy domowej, co oznaczało, że cały dom jest bez skazy. Zaparkowała na żwirowym podjeździe. Drzwi się otworzyły, zanim nacisnęła dzwonek. Uśmiechnęła się do niej nieśmiała, ciemnowłosa kobieta.

- Witam - odezwała się cichym głosem.

Na szczycie schodów pojawiła się Tanya.

- Ja się tym zajmę, Manuelo - oświadczyła lekceważącym tonem.

- Dzięki - rzekła grzecznie Abby do Manueli, która obdarzyła ją tak przyjacielskim spojrzeniem, jakby nikt w tym domu zbyt często jej nie dziękował. Abby gotowa była założyć się o swoje dzienne zarobki, że Manuela mogła zdradzić kilka ciekawych historyjek na temat swej pracodawczyni. Być może po wszystkim mogłyby się wymienić notatkami.

- Miło, że pani wpadła - zaszcebiotała Tanya, machając ręką w stronę Abby

Niesamowicie chuda blondynka z biodrami w rozmiarze sześć, odzianymi w różowe dzinsy od Versace, była wymuskana od stóp do głów, a sądząc po wystudiowanym znudzonym wyrazie twarzy, także zdecydowana nie dać się speszyć tej sławnej Abby Barton, która porządkuje domy

Pani biodra-w-rozmiarze-sześć zapaliła pierwszego z wielu papierosów i zabrała Abby na obchód domu. Był tak wielki, że Abby się ucieszyła, iż założyła buty na płaskim obcasie. Był także idealnie czysty, niczym dom z jakiegoś stylowego magazynu. Udały się na górę.

- Jak pani widzi, nie mam tutaj w ogóle miejsca - oznajmiła Tanya, kiedy dotarły do garderoby, rozmiarami zbliżonej do sypialni Abby

W każdym możliwym miejscu były poupychane ubrania i zdecydowanie było to najbardziej nieporządne miejsce w domu Monaghanów, ale nie tak okropne, z którymi Abby miała okazję radzić sobie w programie. Pewna rodzina przez trzy lata wszystkie ubrania składowała w plastikowych workach na śmieci, ponieważ szafy mieli zapchane naprawdę starymi ciuchami i nikt nie był w stanie stawić czoła ani stęchłym szafom, ani molom. W porównaniu z tym garderoba Tanyi śmiało mogła się znaleźć na wystawie sklepu z odzieżą.

- Myśli pani, że można to jakoś naprawić? - zapytała Tanya, nie patrząc na Abby, lecz przyglądając się uważnie nienagannym paznokciom.

Abby pomyślała o niekończącej się liczbie idealnych pokoi. Nie byłoby czymś właściwym z jej strony podejmować się wykonania pracy, która praktycznie nie istnieje. Jedynie w tej garderobie można by coś zrobić, a sądząc po metkach zwisających z wielu wyraźnie nie noszonych ubrań, najlepszym rozwiązaniem byłoby odebranie Tanyi złotej karty kredytowej. Oczywiście, pieniądze za to zlecenie przydałyby się, ale Abby była z natury uczciwa. Poza tym nie miała ochoty spędzać zbyt wiele czasu ze skupioną na sobie i nieszczerólnie uprzejmą Tanyą Monaghan.

- Nie ma tu wiele do roboty - oświadczyła otwarcie. - To pomieszczenie wymaga jednodniowej pracy, ale to wszystko. Nie mogę brać od pani pieniędzy za nic.

- No cóż. - Tanya wyglądała niemal na obrażoną, że jej dom nie jest odpowiedni. - Nie może pani czegoś zrobić?

- Nie byłoby właściwe z mojej strony stwierdzenie, że trzeba popracować nad całym domem. U pani nie ma w ogóle zbędnych rzeczy.

- W takim razie to pomieszczenie - rzekła skwapliwie Tanya.

- Dobrze.

- Super. Przyślę Manuełę, gdyby miała pani ochotę na herbatę lub kawę - rzuciła Tanya, uśmiechając się, gdy udało jej się dopiąć swego. - Muszę wyjść. Dość długo mnie nie będzie. Dobrej zabawy.

I już jej nie było. Wyraźnie poirytowana Abby została sama.

Praca w garderobie Tanyi miała jeszcze jeden wielki minus, uznała Abby, kiedy skończyła i zakładała marynarkę: wielkie lustra były równie bezlitosne jak te u fryzjera, i powiększały każdą zmarszczkę. Powinna była poprosić Tanyę o radę w kwestii chirurgii plastycznej. Ta kobieta na pewno wiedziała, gdzie się udać, by w cudowny sposób zlikwidować worki pod oczami. Jedyny problem z operacjami plastycznymi, jak uznała Abby, jest taki, że po pierwsze są bolesne, a po drugie zawsze istnieje ryzyko, że coś pójdzie nie tak. Wystarczy spojrzeć na te wszystkie kobiety z ustami wyglądającymi niczym nadmuchiwane materace. Nie, Abby zdecydowałyby się na operację plastyczną wyłącznie wtedy, gdyby otrzymała gwarancję, że będzie wyglądać tak samo, tylko młodziej.

W drodze do domu zatrzymała się przy pasażu handlowym, by kupić banana i wodę. Wracając ze sklepu do samochodu, natknęła się na drogerię i do wejścia skusił ją rząd nowych szminek na wystawie. Miała nudny, ale lukratywny dzień. Zasługiwała na jakąś nagrodę, na przykład na nową szminek albo może lakier do paznokci. Po przyjemnych dziesięciu minutach spędzonych przy ladzie postanowiła kupić nowy, jeszcze droższy krem pod oczy, a także balsam powiększający usta, ultranawilżającą maseczkę do twarzy i na poprawę nastroju tusz do rzęs, który obiecywał takie rzęsy, jak u pewnej seksownej francuskiej aktorki. Jeśli Abby będzie miała dłuugie, atramentowo czarne rzęsy, być może nikt nie zwróci uwagi na jej kurze łapki. Podczas gdy z jej karty kredytowej pobierana była przerażająco duża suma, Abby uznała, że na dłuższą metę tańszy by się okazał lifting powiek. Podpisała rachunek, odwróciła się od kasy i wpadła prosto na odzianego w płaszcz przeciwdeszczowy mężczyznę.

Siła uderzenia zaparła jej dech w piersiach. Z głośnym trzaśnięciem upuściła na ziemię reklamówkę z kosmetykami.

- Przepraszam - mruknęła, nie patrząc na mężczyznę, lecz schylając się, by podnieść torbę. Miała nadzieję, że nic się nie potłukło. Niezdarna i pomarszczona. Czy jej talentom nie było końca? Nic dziwnego, że mąż był nią znudzony

- Abby Barton - odezwał się rozbawiony głos. - Dawno się nie widzieliśmy.

Kucając, zerknęła w górę i z jej żołądkiem stało się coś takiego, jak wtedy, kiedy szybko jechała jeepem po wybojach.

Patrząc na nią właścicielem wyglądającego na kosztowny płaszcz był Jay Gamier.

Mężczyzna, którego nie widziała od... osiemnastu lat? Dziewiętnastu? Na czymś weselu, o ile dobrze pamiętała, kiedy wcześniej się zastanawiała, czy pojawi się dawna magia, i była nieco zirytowana, jak Jay przyszedł z młodziutką, wymuskaną Brazylijką z granatowoczarnymi włosami i szczupłą talią.

- Typowe - mówili wszyscy, przyglądając się, jak wirują na parkiecie, dwie szczupłe sylwetki poruszające się razem w rytm muzyki, jakby byli zupełnie sami i zaraz mieli opaść na łóżko. - Jay zawsze wyszukiwał najładniejsze dziewczyny.

I Abby pocieszyła się, że to ona była przecież kiedyś jedną z jego dziewczyn i nie powinna się przejmować tym, co dzieje się teraz. Aby pokazać Jayowi, jak bardzo się nie przejmuje, że nawet nie podszedł do niej, by się przywitać, wirowała po parkiecie wraz ze swym ówczesnym chłopakiem - tym przed Tomem - i koszmarnie się upiła ananasowymi daiquiri.

- Abby - rzekł teraz. - Nie mogę uwierzyć, że to ty Cudownie cię widzieć. Nie masz pojęcia, jak jestem uszczęśliwiony Sprawiałś mi niesamowitą przyjemność.

Abby zmiękła. To nie tylko ujrzenie go sprawiło, że poczuła się dwadzieścia lat młodziej, ale sposób, w jaki wypowiedział jej imię. Jego głos zawsze był urzekający, niski, chropawy Nigdy nie mówił głośno. Linda, jej współlokatorka podczas studiów, która nigdy nie przepadała za Jayem, twierdziła, że mówi cicho po to tylko, by kobiety przysuwały się do niego bliżej, a on mógł się na nie rzucić. Abby jednak nie zgadzała się z jej twierdzeniem. Pamiętała, jak Jay rozmawiał z nią, jakby była jedyną osobą na tej planecie, jak jego zamglone, zielone oczy wpatrywały się w nią z płonąca namiętnością.

- Jeszcze nigdy nie czułem czegoś takiego - oświadczył jej wtedy. Ona też nie. Oczywiście, że to nie mogło długo trwać; oboje o tym wiedzieli. Wakacyjne romanse mają to do siebie, że są krótkie.

- Naprawdę cudownie cię widzieć.

Jay pomógł jej wstać i jego ramiona nagle znalazły się wokół jej ciała. Przez chwilę odpowiadała mu ciasnym uściskiem. Prawie się nie zmienił. Wyrazisty profil i subtelnie rzeźbiona linia szczęki pozostały takie same. Surowość tej linii łagodziła tylko niespodziewanie pełna dolna warga, która teraz rozchyłała się w pełnym zachwyty uśmiechu. Nadal wyglądał na wystarczająco sprawnego, by grać w zaciekle agresywne rugby a włosy miał równie kasztanowe, aczkolwiek krótsze niż w czasie studiów. Z całą pewnością nie wyglądał na czterdzieści dwa lata, które musiał już skończyć - był w tym samym wieku co Abby

Odsunął ją od siebie na odległość ramienia i przyglądał jej się z uznaniem.

- Wyglądasz olśniewająco, Abby. Masz czas na szybkiego drinka i nadrobienie zaległości?

Siedzieli w barze hotelowym po drugiej stronie ulicy i wspominali. Abby pozostała w kontakcie z kilkoma osobami z ich studenckiej grupy i, roztrzęsiona z powodu dziwnego podekscytowania, które pojawiała się, gdy tylko przypadkowo jej dotknął, zalewała go potokiem słów, informując o tym, że Peter i Fiona jednak wzięli ślub i teraz mieszkali w Sztokholmie, i że Denessa do niedawna mieszkała niedaleko Abby w Cork.

Jay przebywał w Cork służbowo, mieszkał w Dublinie i zarządzał tam jednym z działów odnoszącej sukcesy firmy, zajmującej się dostarczaniem sprzętu biurowego. Miał żonę o imieniu Lottie i jakoś, Abby nie była pewna jak,

sprawił wrażenie, że w tym małżeństwie niezbyt dobrze się dzieje. Wrażliwe serce Abby poruszył sposób, w jaki wzruszył ramionami i oświadczył cierpko, że nawet najlepsze małżeństwa miewają trudne chwile.

- Chłopcy mają pięć i siedem lat, i są wspaniali - rzekł. - No a co u ciebie? Masz córkę, prawda?

Abby z ulgą zaczęła mówić o Jess i Tomie, przekazując Jayowi gazetową wersję swego życia: jak uszczęśliwiona była z powodu sławy, ale że życie rodzinne znaczyło dla niej więcej niż cokolwiek innego.

Jay opowiedział jej o swych dwóch małych synkach, o tym, że późno się ożenił i że chłopcy pozwalają mu zachować młodość.

- Obawiam się, że muszę już lecieć - oświadczył wreszcie, kiedy rozmawiali już od ponad godziny. - Mam kolejne spotkanie.

- Oczywiście - odparła Abby. - Ja też. To znaczy kolejne spotkanie.

Kiedy oboje sięgnęli jednocześnie po rachunek, ich palce zetknęły się i Abby ponownie poczuła, jak jej ciało przeszywają dziwne, elektryzujące dreszcze. Przez chwilę siedziała jedynie i wpatrywała się w wyciągniętą dłoń Jaya.

- Pozwól mi zapłacić - nalegał. - Chyba nie ma nic złego w tym, by stary przyjaciel postawił ci drinka, prawda? A jestem bardzo starym przyjacielem - dodał ze śmiechem. - Spójrz tylko na siwe włosy

Abby zaśmiała się lekko.

- Nie takim starym - odparła. - Wyglądasz najwyżej na trzydzieści siedem lat. Mogę jedynie założyć, że masz na poddaszu portret, tak jak Dorian Gray.

- I kto to mówi - przekomarzał się swobodnie. Abby odpowiedziała mu uśmiechem, gdy się nachylił i dotknął jej włosów. - Wyglądasz fantastycznie. Do twarzy ci ze sławą, Abby.

Ich spojrzenia skrzyżowały się i wtedy była już w stanie nazwać uczucie, którego doświadczyła, kiedy wcześniej ją dotknął: niezwykle dreszcz seksualnego przyciągania. Niczym pod wpływem machnięcia ogonem elektrycznego węgorza przez jej ciało przelało się pożądanie, stawiając w pogotowiu każdy jeden nerw i w tej samej chwili uświadomiła sobie, jak bardzo niebezpieczne byłoby przyznanie się do tego przed Jayem. To wstyd zachowywać się tak w towarzystwie byłego chłopaka, żonatego byłego chłopaka, jeśli chodzi o ścisłość.

W porę ocaliła ją znajomość swobodnego savoir-vivre'u, nad którą pracowała tak ciężko jako osobowość telewizyjna.

- Ty czarusi - rzekła celowo lekkim tonem. - Założę się, że mówisz to wszystkim swoim dawnym flamom.

- Nie. - Swobodny uśmiech Jaya zniknął. - To nieprawda.

- Cóż, nie mów tak w takim razie do mnie - oświadczyła z udawaną surowością. - Jestem starszą, zamężną panią i zdążyłam już zapomnieć, jak się flirtuje.

- Założę się, że nie - odparł lekko. - Zawsze byłaś kusicielką.

Znaleźli się z powrotem na bezpiecznym gruncie, przekomarzając się wesoło, dwoje przyjaciół z dawnych lat, uradowanych spotkaniem i snujących wspomnienia.

- Musimy zjeść kiedyś razem kolację - rzekł Jay, podnosząc się z krzesła.

Abby zawahała się, szukając w torebce kluczyków. Czy on mówi to, co ona sądzi, że on mówi?

- Bardzo bym chciał poznać Toma i jestem pewien, że polubisz Lottie - kontynuował Jay.

- Świetnie - odparła z zapalem. Ulga mieszała się z rozczarowaniem. Byłoby miło, gdyby i on poczuł odrobinę tego przyciągania co ona, ale w sumie dobrze, że tak się nie stało. Jej życie było wystarczająco skomplikowane. - Kolacja to doskonały pomysł. Proszę, to moja wizytówka. Zdzwonimy się.

Przez całe popołudnie jej głowę wypełniały myśli o Jayu. Było coś ekscytującego w spotkaniu kogoś, kto sprawiał, że czuła się młoda i atrakcyjna. Tom już tak na nią nie działał. A Jay był tak bardzo na niej skupiony, poświęcał

jej sto procent uwagi i było to coś, czego ostatnimi czasy zdecydowanie nie otrzymywała w domu. Ziemię przemierzały dinozaury, kiedy ostatni raz otrzymała choćby w przybliżeniu tyle uwagi od swego męża i córki. Oczywiście, że starzy przyjaciele zawsze będą zainteresowani każdym szczegółem twojego życia. Nadrabianie zaległości, tak właśnie czynił Jay - wiedziała o tym. „Ale było fajnie”, pomyślała tęsknie Abby, „naprawdę fajnie”.

Sześć kilometrów dalej Jess i Steph w ogóle nie uważały, że jest fajnie, trzęsąc się niczym charty w swoich cienkich koszulkach Aertex wśród pozostałych uczniów na szkolnym boisku. Pan Hutton, nauczyciel wuefu, stał przodem do reszty i wyjaśniał, że podczas tych popołudniowych zajęć będzie fajnie: biegi sztafetowe i piątki piłkarskie, aby odciągnąć myśli czwartoklasistów od zbliżających się egzaminów. Pal licha egzaminy, nic jednak nie było w stanie odciągnąć ich myśli od zimnego wiatru, który wiał od strony portu z wrogością napędzaną energią nuklearną Jacka Frosta. Ich bluzy od dresów leżały na ławkach za nimi, ponieważ, jak oświadczył pan Hutton, po kilku minutach biegów sztafetowych wszyscy będą ociekać potem.

- Nie wiem, dlaczego on uważa, że coś takiego pomoże nam w zrelaksowaniu się - warknęła Steph, gorączkowo pocierając ramiona, by choć trochę je rozgrzać. - Jemu nic nie jest: ma na sobie cholerny polar.

- Nie znoszę wuefu - mruknęła Jess.

Jej ramiona zaczynały robić się sine, a rano na francuskim dostała okres - brzuch gryzły jej skurcze niczym szczęki pitbulla. Nie mogła znieść myśli o braniu udziału w jakimś głupim biegu sztafetowym. Jednak nie była w stanie nic powiedzieć temu okropnemu panu Huttonowi. Jak dziewczyny mają rozmawiać o bólu związanym z okresem z uczącymi wuefu nauczycielami? Jej matka zawsze się użalała, że musiała chodzić do szkoły dla dziewcząt, ale miało to przynajmniej jakieś zalety.

- Pogrupujcie się w rzędy - zawołał radośnie pan Hutton. Powłócząc niechętnie nogami, uczniowie ustawili się.

Steph została wypchnięta na początek ich grupy, a troje uczniów przed Jess.

- Sorki - powiedziała bezgłośnie, zerkając na przyjaciółkę.

Jess wzruszyła z rezygnacją ramionami.

W drużynie obok niej stała Saffron. Błyszczące jasne włosy związała w zawadiacki kucyk, a cerę miała czystą i świeżą. Jakby chcąc przypomnieć o swojej obecności w obliczu takiej perfekcji, Jess zaczął boleć pryszcz na czole. Super. Bołące czoło i bołący brzuch.

Nienawidząc wszystkiego i wszystkich, patrzyła przed siebie kamiennym wzrokiem i starała się ignorować Dereka i Alana, którzy stali po jej drugiej stronie i wgapiali się w sterczące piersi Saffron, wyraźnie prześwitujące przez cieniutką bluzkę. Jess posłała śliniącym się chłopcom gromiące spojrzenie, ale oni po prostu nie dostrzegali jej, a ich napędzane hormonami spojrzenia pozostawały przyklejone do biustu Saffron. Ponownie zignorowana. „Takie już moje życie”, pomyślała żałośnie Jess. Co nie znaczy, żeby pragnęła, by dwóch idiotów z epoki kamienia łupanego gapilo się na nią. Jednak fajnie by było, gdyby na jej widok głowy odwracały się tak, jak w przypadku Saffron.

- START! - zawołał pan Hutton i wystartowali pierwsi biegacze. Pozostali przestępowali niechętnie z nogi na nogę, czekając na swoją kolej. Jedynie pan Hutton i kilku niemożliwych zapaleńców z drużyny futbolowej wydawało głośne okrzyki. Reszta sprawiała wrażenie równie znudzonej jak Jess.

- Będzie naprawdę super.

Jess dosłyszała, co Saffron mówiła cicho do swoich przyjaciółeczek.

- Bilety mogą dostać tylko piąte i szóste klasy, ale Ian twierdzi, że wszystkie możecie tam wejść i że on to załatwi. Nie mogę się doczekać.

Gdyby była przy niej Steph, Jess przewróciłaby teatralnie oczami. Klasowe blondynki zawsze rozprawiły jak nie o jednej imprezie, to o drugiej. Tym razem chodziło o dyskotekę, która miała się odbyć w wieczór międzyszkolnych rozgrywek piłkarskich. Nudy.

- ... i ma fiszbiny, więc, wiecie, naprawdę je podnosi.

Saffron zademonstrowała unoszenie swych piersi tak wysoko, że praktycznie mogła na nich oprzeć brodę. Jess nie wiedziała, co jest gorsze: pełne żaru westchnienia od strony Alana i Dereka czy też myśl o przystojnej twarzy Iana, kiedy zobaczy Saffron opakowaną dla niego niczym prezent gwiazdkowy: piersi będą się wylewać z jej sukienki, a w jej oczach zobaczy napis: „Otwórz”.

Wszystko sprowadza się do cycków

Chłopak przed nią wystartował i Jess starała się wyglądać na przygotowaną na swoją kolej. Wyciągała przed siebie na przemian zeszywniałe łydki, świadoma tego, że nie rozgrzała się dostatecznie. A co będzie, jeśli upuści pałeczkę? Nie znosiła biegów sztafetowych.

Jej poprzednik dotarł do półmetka i zawrócił. Teraz okrzyki wznosiło już więcej osób i łatwo było dostrzec, kto wygrywa: piłkarze, których drużyna w dziwny sposób składała się wyłącznie z najbardziej wysportowanych chłopaków w klasie. Jess zaczęła biec w miejscu. Jej partner był blisko, coraz bliżej, rzucił jej pałeczkę, a ona wypuściła ją z rąk. Rzuciła się za nią w błoto, gorączkowo próbując ją uchwycić, kiedy ta coraz bardziej się od niej oddalała.

- Dalej, Jess, trochę się wysił! - zawołał pan Hutton.

- Dawaj, Jess! - wykrzykiwała jej drużyna.

Jej zimne palce zacisnęły się na pałeczce, poderwała się z ziemi i ruszyła niezgrabnie. Biegacze z innych drużyn znajdowali się już w drodze powrotnej i Jess starała się ze wszystkich sił. Jednak miała przeciwko sobie połączenie zawstydzenia z powodu swego błędu i bólu brzucha. Jej nogi zdawały się być z ołowiu, tak jak w sennym koszmarze, w którym upiory coraz bardziej się zbliżały, a jej stopy tkwiły nieruchomo w grząskiej ziemi.

- Jess, Jess, pospiesz się! - wołali wszyscy, kiedy zawróciła, by biec z powrotem. Inni biegnący byli już prawie na miejscu. Włożyła całą możliwą energię w ten bieg i gorączkowo wcisnęła pałeczkę w dłoń ostatniego biegacza. Ciężko dysząc, odwróciła się i ujrzała, że jest już za późno. Jej drużyna zajmie ostatnie miejsce. Przez nią.

- A to pech - odezwała się współczująco Steph, klepiąc ją po ramieniu. - Myślałam, że Hooty dostanie zawału, kiedy nie mogłaś podnieść tej pałeczki. Ktoś powinien dać temu facetowi proszki na uspokojenie. Sport jest naprawdę beznadziejny.

- Taa, zgadzam się z tobą - mruknęła Jess. Nadal miała wrażenie, że wszyscy się na nią patrzą i w myślach nazywają ją niezdarną idiotką.

Wygrała drużyna piłkarzy, co wywołało dzikie piski, zwłaszcza ze strony ekipy Saffron.

- Nieźle - zapiszczała Saffron, odrzucając zalotnie koński ogon w stronę Tony'ego, największego przystojniaka z wygranej drużyny. Ten olbrzym o chropawym głosie siedział na matematyce niedaleko Jess i kiedyś podniósł jej srebrny żelowy długopis, który spadł na podłogę, i podał go jej.

- Dzięki, Saffron - odparł Tony, obdarzając ją uśmiechem tak przepelnionym obietnicą, że Jess poczuła gorąco od samego znajdowania się w pobliżu. - Ty też byłaś całkiem gorąca.

Jess wiedziała, że gdyby Tony akurat do niej powiedział coś tak seksownego, gapiłaby się na niego idiotycznie z otwartymi ustami, demonstrując cały okropny aparat na zęby Saffron uśmiechnęła się jedynie, trzepocząc ciemnymi rzęsami - „Z całą pewnością pokrytymi warstwą zabronionego tuszu”, pomyślała ponuro Jess - i mrugnęła znacząco do Tony'ego.

Jess przyglądała się ukradkiem obojgu. Mimo że z jednej strony nie znosiła Saffron, z drugiej, chcąc nie chcąc, czuła wobec niej szacunek. W jakiś sposób udało jej się rozwiązać zagadkę dotyczącą facetów. Ona nie czekała, by w kolejce na lunch rzucili jej okruch rozmowy. Ona nie leżała w nocy w łóżku, zastanawiając się, czy ją dostrzegają. Ona szła i ich zdobywała, tak jak kowboj łapiący na lasso byczka. Co więcej, nie panikowała, że Ian może się dowiedzieć o tym, iż flirtowała z Tonym. Przez krótką, niezwykle przyjemną chwilę Jess wyobraziła sobie, jak pociesza Iana, a on oświadcza: „Nigdy nie myślałem, że przeboleję Saffron, ale ona nie była moją prawdziwą miłością. Ty nią jesteś, Jess. Tak się cieszę, że ona chodzi z Tonym. To dało mi szansę, by...”.

- ... podnieść pałeczkę bez guzdrania się i pobiec z nią.

Oszołomiona Jess porzuciła świat marzeń, by skupić się na rzeczywistym. Pan Hutton właśnie dawał jej głośny wykład na temat sportów drużynowych, które oznaczały pracę zespołową.

- Skoro nie chciałaś brać udziału w biegach, powinnaś to była powiedzieć - dodał.

Dotknięta tą jawną niesprawiedliwością Jess już miała wyrzucić z siebie, że w biegach wzięłoby udział pięć osób z całej klasy, gdyby wszyscy mieli w tej kwestii wybór, ale on kontynuował wygłaszanie swoich mądrości.

- Na tym właśnie polega sport. Na dołączaniu i dawaniu z siebie wszystkiego dla drużyny. Jesteś wysoka i atletycznie zbudowana, powinnaś być równie szybka jak którykolwiek z chłopców.

- Tak, Jess to prawie chłopak - parsknął Derek, patrząc znacząco na jej T-shirt.

Zarumieniona z wściekłości i żalu, Jess opuściła wzrok na buty i zobaczyła, że cała jest ubrudzona błotem po rozpaczliwym zmaganiu się z pałeczką.

Gdyby pan Hutton miał choć odrobinę intuicji, zrozumiałby, że Jess patrzy w ziemię, gdyż nie chce, by inni zobaczyli, że w jej oczach wzbierają łzy. Jednak on nie wiedziałby nawet, jak się literuje słowo „intuicja”, i uznał, że ta tyczkowata Bartonówna po prostu mu się stawia. Nawet na niego nie patrzyła, kiedy do niej mówił.

- Rób jak chcesz, Jess. Nie przyłączaj się i zobaczysz, dokąd cię to w życiu zaprowadzi. Donikąd, oto jest odpowiedź. Cóż, zostaniesz po zajęciach i poukładasz wszystkie pałeczki w składziku. I zostaw potem klucze u dozorczy.

Wufo był ostatnią lekcją tego dnia i skoro musiała zostać dłużej, oznaczało to, że spóźni się na autobus na stację. Mama chyba oszaleje.

- Zrobimy to razem - rzekła Steph, kiedy Hutton się oddalił, by organizować piątki piłkarskie.

Jess potrząsnęła głową, nie ufając sobie na tyle, by się odezwać.

- Zostanę - upierała się lojalnie Steph.

- Nie możesz. Masz dzisiaj mordęgę z matmy - przypomniała jej drżącym głosem Jess.

- Cholera, no tak. Szczęściara z ciebie, że masz tatę, który może ci pomóc.

Steph nie dawała sobie rady z matematyką i miała dodatkowe lekcje, zwane przez nie „mordęgami”, z prywatnym nauczycielem, który przygotowywał ją do egzaminów.

Jess po raz pierwszy tego popołudnia uśmiechnęła się.

- Tata nie wierzy w „mordęgi”. Uważa je za oznakę złego nauczania.

- Po co cię tutaj posłał? Szkoła to przecież mordęga.

- Zabawne, cha, cha - westchnęła Jess.

- A może pójdziemy w sobotę do kina? - zaproponowała po chwili Steph. Była pełna determinacji, by poprawić przyjaciółce humor.

- Raczej nie uda mi się wyrwać - westchnęła ponownie Jess. - W sobotę wieczorem opiekuję się dziećmi Richardsonów i mama mówi, że po południu muszę się uczyć.

- Powiedz jej, że się puczysz, gdy będziesz pilnować dzieci.

Kiedy już Jess odłożyła na miejsce cały sprzęt sportowy, czuła się wykończona. Uznała, że zamiast brać prysznic w przyprawiającej o gęsią skórkę przebieralni dla dziewcząt, wykąpie się w domu. Wciągnęła płaszcz bezpośrednio na strój sportowy. Na przystanku zadzwoniła do domu, by powiedzieć, że będzie później, ale nikt nie odbierał, a sekretarka nie była włączona. Właśnie miała zadzwonić do mamy na komórkę, kiedy wtoczył się autobus pełen pasażerów, jak to w godzinach szczytu. Nie ma mowy, by odbyła jedną z tych dziecinnych rozmów w stylu: „Mamo, spóźnię się, nie martw się o mnie”, kiedy cały autobus będzie nadstawiał uszu, znalazła więc ostatnie wolne miejsce na górze, włączyła discmana i podkreśliła dźwięk.

Pociąg także był zapchany. W każdej możliwej szczelinie znajdowali się poirytowani pasażerowie z teczkami, wózkami i torbami z zakupami.

Z braku wolnych miejsc Jess wcisnęła się w przestrzeń przy ścianie na końcu przedziału. Postawiła plecak przy nogach i muzyką próbowała zagłuszyć znużenie podróżą. Kiedy podniosła głowę, dostrzegła tego chłopaka z roku wyżej, przepychającego się między ludźmi, by znaleźć sobie miejsce, i zdumiała się, gdyż przez chwilę miała wrażenie, że uśmiechnął się do niej przelotnie. Wykończona bólem brzucha i całym dniem w szkole nie miała zamiaru odpowiadać uśmiechem, na wypadek gdyby to sobie tylko wyobraziła. Jednak wtedy jemu udało się przecisnąć przez cały przedział i oparł się o ostatni wolny kawałek ściany niedaleko Jess. Tym razem wiedziała, że nie wyobraziła sobie jego uśmiechu, więc odpowiedziała tym samym, po czym znowu opuściła wzrok. O rany! To był pierwszy miły moment w tym koszmarnym dniu.

I wkrótce okazało się, że jedyny Kiedy pociąg wtaczał się na stację w Dunmore, sapiąc jeszcze głośniejszym niż zazwyczaj, pewnie z powodu ogromnej ilości niezadowolonych pasażerów, Jess dostrzegła na peronie mamę. Przyglądała się pociągowi z niepokojem i miała na sobie to absurdalne sztuczne futro w kolorze czekolady, które uwielbiała. Gdy pociąg wjeżdżał na stację, jej wzrok gorączkowo przeszukiwał wagon po wagonie.

- Jess! - zawołała, biegnąc, by chwycić w objęcia zmęczoną córkę. - Tak się martwiłam. Próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale nie odbierałaś komórki...

Jess spojrzeniem nakazywała jej, żeby zamilkła, ale Abby czuła zbyt wielką ulgę, by w ogóle zwrócić uwagę na to, że urządza scenę.

- Uspokój się, mamó - warknęła Jess. - Zadzwoniłam, żeby powiedzieć, że się spóźnię, ale nie było cię w domu, a sekretarka nie była włączona.

Próbując wyplątać się z objęć matki, Jess widziała, jak chłopak z jej szkoły oddał się szybko w stronę kładki dla pieszych. Już nigdy się do niej nie uśmiechnie, miała to pewne jak w banku. Nie teraz, kiedy jej matka dała wszystkim wyraźnie do zrozumienia, że jest dzieckiem, któremu nie wolno zostać pięć minut dłużej w szkole. Fajni chłopcy z piątej klasy nie umawiali się z dziećmi.

- Dlaczego nie odbierałaś telefonu?

- Nie słyszałam - odmrugnęła Jess.

- Nie powinnaś słuchać discmana tak głośno, by nie słyszeć telefonu - oświadczyła głośno jej matka. - Masz pojęcie, jak ja się martwiłam?

- Na miłość boską - rzekła z wściekłością Jess. - Wszyscy się na nas patrzą. Nie jesteś teraz w tej cholerniej telewizji.

Jechały do domu w lodowatym milczeniu i lodów nie przełamały nawet żarty prezentera radiowego.

Abby miała poczucie winy z powodu swej krótkiej podróży w przeszłość z Jayem i zastanawiała się, czy powinna powiedzieć o tym Tomowi. Kiedy wróciła do domu, w którym nie zastała Jess, pojechała natychmiast na stację i teraz była wściekła na córkę, że nie zadzwoniła, by powiedzieć, że się spóźni.

„Co się stało z Jess?“, pomyślała ponuro. Jej uroczą, uśmiechniętą córkę ktoś zastąpił tą ponurą, wściekłą nastolatką, która rzucała się matce do gardła za każdym razem, kiedy ta odezwała się do niej choć słowem. Co Abby zrobiła nie tak? „A może“, pomyślała nagle, „coś trapi Jess, coś poważnego?“.

Kiedy już dojechały do domu, spróbowała ponownie.

- Jak było w szkole? - zapytała pogodnie.

Jess pomyślała o koszmarnym dniu i o tym, jak ten głupi pan Hutton niesłusznie się na nią wziął. Gorsze było jednak to, co powiedzieli o niej chłopcy. To nie jej wina, że była wysoka, tyczkowata i bez piersi. Miała chęć zapytać mamę, jak sobie radziła, będąc nastolatką, no ale mama była przecież drobna i ładna, i pewna siebie. Skąd mogła wiedzieć, co czuje Jess. Mama zawsze opowiadała, jak to żałowała w przeszłości, że nie ma mniejszego biustu, ponieważ nie znosiła wyglądać „piersiasto“. Życie jest niesprawiedliwe.

- Mamy strasznie dużo pracy domowej - odparła Jess. Co zresztą było prawdą. - Jak mamy zajmować się powtarzaniem, skoro nam tyle zadają? - zapytała z pretensją w głosie, otwierając lodówkę. Zastanawiała się przez chwilę, po czym wyjęła ser i zrobiła sobie kanapkę.

Abby poczuła przyływ ulgi. To właśnie był powód złego humoru Jess: po prostu zbyt dużo pracy domowej.

- Nie zadawaliby wam tyle, gdyby nie uważali, że wam się to przyda - stwierdziła Abby, nieodrodna żona zastępcy dyrektora szkoły. - I nie będziesz chciała obiadu, jeśli zjesz teraz tę kanapkę.

- Nie będę miała czasu na obiad - warknęła Jess. - Będę odrabiać lekcje. - Z tymi słowami pomaszrowała na górę.

- Przepraszam, Jess! - zawołała ze skrucą Abby - Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Ale nauczyciele wiedzą, że przed egzaminami musicie zdążyć wszystko przerobić, a ja wiem, że jest ci teraz ciężko, ale zobaczysz, że ta praca się opłaci...

Jedyną odpowiedzią było trzaśnięcie drzwiami do pokoju Jess.

Abby zabrała się za robienie ulubionego dania córki, bardzo czasochłonnej wegetariańskiej lasagne. Skoro nie była w stanie dotrzeć do Jess, by jej powiedzieć, jak bardzo ją kocha, w takim razie pokaże jej to.

Lasagne stygła, nie tknięta mimo wielu wołań, i Abby się poddała. Poszła do salonu, by zjeść zakazaną paczkę chipsów i oglądać seriale, kiedy do domu wrócił Tom.

- Jak ci minął dzień? - zapytał, rzucając wypchaną teczkę na jeden z foteli.

- Nie pytaj - odparła i już miała opowiedzieć, jaką damulką była jej klientka i jak Jess przejmowała się pracą domową, i jak okropnie czuła się Abby, kiedy nie była w stanie porozumieć się z nią, i żeby zgadł, na kogo dzisiaj wpadła, ale Tom nie dał jej na to szansy. Wprost umierał z niecierpliwości, by opowiedzieć o swoim dniu.

- Znam to uczucie - mruknął, rozluźniając krawat, po czym rzucił go na fotel, na którym leżała już teczka. - Po południu jakiś żartowniś z drugiej klasy uruchomił alarm przeciwpożarowy i nie mogliśmy go wyłączyć. Wygląda na to, że ten drogi, nowy system, który kupiliśmy w zeszłym roku, ma jakąś usterkę i musieliśmy wezwać faceta z firmy, która go instalowała, by sobie z nim poradził. A potem - Tom rozsiadł się na drugim fotelu - Gina, no wiesz, ta nowa nauczycielka fizyki i matematyki, mówi mi, że nie daje sobie rady i chce złożyć wymówienie. Nie sądziła, że uczenie chłopców okaże się takie trudne. Głupia krowa. I przysięgam, że Bruno zawsze bierze dzień wolny, kiedy zanoszą się na kłopoty. Musi być cholernym jasnowidzem. Dostaje wynagrodzenie za fotel dyrektora i zero kłopotów, ja natomiast mam pensję wicedyrektora i każdą możliwą cholerną katastrofę. - Poprawił się na siedzeniu, by było mu wygodniej, i zaczął się rozglądać za pilotem. - Co na obiad?

Abby policzyła do dziesięciu.

- Wegetariańska lasagna - rzekła spokojnie.

Udała się do kuchni, ukroiła porcję dla Toma i z głośnym trzaśnięciem wstawiła ją do mikrofalówki. Dodała kilka liści przywędłej sałaty z lodówki i kilka pomidorków koktajlowych, których nie chciało jej się myć, ułożyła to wszystko na tacy, którą postawiła na stole przed swym mężem.

- Dzięki - mruknął.

Abby naląła sobie drugi kieliszek wina, wzięła następną paczkę chipsów i poszła na górę. Zapukała z wahaniem do drzwi Jess.

- Hej, Jess, przynieść ci coś może?

- Nie - usłyszała odpowiedź.

Abby poszła do swojego pokoju, włączyła telewizor i usadowiła się na łóżku. To tyle, jeśli chodzi o moralne dylematy odnośnie tego, czy powiedzieć mężowi o Jayu. Nie mogła uwierzyć, że w ogóle się tym przejmowała. Było jasne, że Toma guzik obchodziłoby, gdyby w drogerii przycisnęła Jaya do półki z termoforami, oplótła go nogami w pasie i całowała się z nim z języczkiem, podczas gdy przyglądaliby się im ludzie, stojący w kolejce po maść na hemoroidy. O ile tylko Tom dostawał obiad i miał kogoś, kto wysłuchiwał w milczeniu jego narzekań odnośnie mijającego dnia, nie potrzebował niczego innego. Po co zawracać sobie głowę mówieniem mu o przypadkowym spotkaniu z chłopakiem z dawnych lat? Wspomni o tym, jeśli Jay zadzwoni, by umówić się na wspólną kolację. A na razie zachowa to dla siebie, wraz z tym niepokojącym uczuciem, które się pojawiło, gdy Jay ją dotknął.

Rozdział siódmy

Lizzie nie była w stanie oprzeć się różom na sobotnim bazarze. Ich aksamitne, szkarłatne płatki właśnie zaczynały się rozchyłać i uznała, że pięknie by wyglądały w starym kryształowym wazonie, stojącym na wypolerowanym stoliku na korytarzu. Zapominając o rozsądku, kupiła dwa pęczki i udała się pospiesznie Main Street do samochodu. I właśnie wtedy z poczty wyłoniła się pani Hegarty, jedna z najczęstszych pacjentek przychodni.

- Och, Lizzie, jakie piękne kwiaty - rozplywała się z zachwytem starsza pani.

- Prawda? - odparła Lizzie, podziwiając je. Nie pachniały, w przeciwieństwie do jej własnych róż, ale na te z kolei jeszcze długo trzeba będzie poczekać, a było coś miłego w przyjściu do domu i być przywitana przez ten piękny kolor.

- Od kogoś szczególnego, mam nadzieję? - kontynuowała pani Hegarty.

Lizzie uśmiechnęła się szeroko.

- Można tak powiedzieć - zażartowała, ale zanim zdążyła dodać, że tym kimś szczególnym jest ona sama, pani Hegarty radośnie doszła do zupełnie innego wniosku.

Jej drobna pomarszczona twarz, okrągła jak dzikie jabłko, złagodniała.

- Ach, kochany Myles. Pozdrów go od nas. To naprawdę cudownie, że się widujecie i pozostaliście przyjaciółmi. - W oczach starszej pani pojawiły się błyski. - Wszyscy będziemy mieć zawsze nadzieję, że wróci wam zdrowy rozsądek i znowu będziecie razem.

- No cóż, właśnie się wybieram na spotkanie z nim.

Myles poprosił ją wcześniej o jak najszybsze spotkanie i tym razem nie powiedział, o co chodzi. Nie widywali się zbyt często, o dzieciach rozmawiali głównie przez telefon, ale zanosilo się na to, że dzisiejsze spotkanie będzie inne od pozostałych. Jak on to powiedział? „Muszę o czymś z tobą porozmawiać”.

Jednakże myśli pani Hegarty zdążyły już przeskoczyć na inny, bardziej absorbujący temat, związany z żyłkami jej męża.

- Znowu mu dokuczają. Mówiłam mu, gdybyś tylko nosił te rajstopy przeciwyżylakowe, Liam, wszystko byłoby dobrze, ale nie, mężczyźni ich nie noszą, odpowiedział mi. Więc ja powiedziałam...

Pani Hegarty kontynuowała swój monolog, podczas gdy Lizzie cierpliwie czekała. Niektórzy mieszkańcy Dunmore traktowali ją na równi z lekarzem, tak jakby wszystkie lata studiów doktor Morgan w jakiś sposób wyparowały, a Lizzie potrafiła zdiagnozować wszystkie choroby świata.

- Powinien umówić się na wizytę w przychodni - rzekła Lizzie, tak jak to zawsze czyniła. - Muszę lecieć, pani Hegarty, bo się spóźnię.

- Ach.

Starsza pani cała była w uśmiechach na myśl o Lizzie spieszącej się na spotkanie z byłym mężem. To oraz nieporozumienie związane z kwiatami z pewnością sprawi, że całe miasto będzie szumieć o tym, że Shanahanowie schodzą się z sobą. Lizzie westchnęła. Szeptanie o tego typu rzeczach należało do ulubionych zajęć mieszkańców Dunmore. Uśmiechnęła się jednak, grzecznie żegnając panią Hegarty.

Kiedy wyjeżdżała z miasta starym golfem, któremu hałaśliwie chodziły biegi, jej spojrzenie co rusz biegło ku leżącemu na fotelu dla pasażera bukietowi. Myles nigdy nie należał do mężczyzn przynoszących kwiaty. Wolał albo kupować prezenty praktyczne, albo dawać po prostu bony upominkowe.

- Jaki jest sens, bym ci kupował rzeczy, których nie potrzebujesz - uśmiechał się wtedy - skoro mogę podarować ci bon i sama wybierzesz to, czego naprawdę pragniesz?

Dla Lizzie było to absolutnie zrozumiałe. Mężczyźni nie znosili zakupów. Wiedział o tym cały świat, łącznie z ich żonami.

Myles czekał na Lizzie w niewielkiej włoskiej kafejce, w której roznosił się zapach ciasteczek amaretti i świeżo mielonych ziaren kawy. Próbował wcześniej rozwiązywać krzyżówkę, ale za bardzo się denerwował. Rzucił gazetę na sąsiednie siedzenie i zaczął się bawić palmtopem, licząc, ile miesięcy zostało do ślubu Debry Trzy i pół. Trzy i pół miesiąca, by wszystko załatwić i mieć nadzieję, że cała rodzina jakoś się pogodzi z tą wiadomością.

Nie miał czegoś takiego w planach. No cóż, w ogóle mu to nie przyszło do głowy Kiedy on i Lizzie rozstali się, nie sądził, że pozna kogoś innego. W ogóle o tym nie myślał i nie dlatego chciał się rozwieść.

Jego koledzy zakładali, że chciał zakończyć to małżeństwo, gdyż był znudzony i miał ochotę poczuć się wolny jak ptak. Jednak to nie tak. Myles i Lizzie musieli się pobrać i przez całe małżeńskie życie Myles myślał o tym momencie w przyszłości, kiedy spełni już swój obowiązek i będzie mógł robić w życiu to, czego pragnie. Nie żałował ani chwili z życia rodzinnego, po prostu wiedział, że pewne jego cechy nigdy się nie ujawnią, gdy będzie z Lizzie, i że ma ochotę zająć się nimi, dopóki jeszcze ma na to odwagę. Bodźcem okazała się potrzeba wolności w kwestii bycia sobą, a nie wolność w dokonywaniu kolejnych miłosnych podbojów. Już sama myśl o tym była absurdalna. Myles nie miał złudzeń co do swych szans na przemianę w Warrena Beatty, kiedy już przestanie być żonaty Jego wygląd stanowił odzwierciedlenie charakteru: subtelność i prostota.

Joemu udało się sprawić, że rodzinne tracenie włosów przez Shanahanów wyglądało interesująco: obcinał włosy z coraz większymi zakolami na króciutko, nosił modne okulary w czarnych oprawkach i swobodne, lecz szykowne ubrania. Myles jednak nigdy nie należał do prekursorów mody. Był typem człowieka swobodnego i niefrasobliwego, którego otaczała aura cichej intensywności. A kobiety, według słów tych kolegów próbujących wziąć go pod swoje skrzydła po rozstaniu z Lizzie, nie szalały za cichymi, rozwiedzionymi facetami z niezbyt zasobnymi portfelami.

Mylesowi to nie przeszkadzało. Nie oczekiwał dzikiej namiętności. Kiedy poznał Sabine, uznał, że jest olśniewająca, i co niezwykle, okazało się, że ona jest nim zainteresowana. Był w lepszej formie niż kiedykolwiek wcześniej, opalony po urlopie na oceanie. A zadowolenie, które odczuwał z powodu swego nowego życia, musiało się odbijać na

jego twarzy, dodając mu atrakcyjności, jakiej nie było w nim od lat. Jednak i tak przyjemnie się zdziwił, że ona tak bardzo go polubiła. Na początku zachowywał się tak, jakby byli jedynie przyjaciółmi, tak jak wszyscy na tym kursie nurkowania. Przez cztery weekendy grupka dziesięciu osób jeździła minibusem do Donegalu, gdzie zatrzymywali się w hostelu i nurkowali. Dużo się śmiali, żartowali, a wieczory spędzali na śpiewaniu w pubie. Polubił Sabine, wzruszała go jej nieśmiałość i to, jak jej delikatny, czysty głos drżał ze zdenerwowania, kiedy nadchodziła jej kolej na śpiewanie, a mimo to podchodziła do tego wszystkiego z entuzjazmem. Podobało mu się to, że jej blada, piegowata cera wyglądała na niemal przezroczystą w jasnym świetle w Donegalu, i podobał mu się sposób, w jaki się do niego uśmiechała...

Drzwi kafejki otworzyły się i do środka wpadła Lizzie, z policzkami zarumienionymi od biegu. Zawsze się spieszyła. Najwcześniejsze wspomnienia Mylesa związane z nią to śmiejąca się uczennica biegnąca do klasy, z ogromnym plecakiem i powiewającymi włosami. Może i była teraz znacznie starsza, ale włosy miała takie same, długie do ramion kudłate loki, i nadal taszczyła z sobą dużą torbę, tym razem skórzaną, którą miała od niepamiętnych czasów. Torba Lizzie stanowiła przedmiot rodzinnych żartów.

- Torba hydraulika - przekomarzał się Joe, podnosząc ją i udając, że ugina się pod jej ciężarem. - Nic dziwnego, mamo, że masz umięśnione ramiona od jej noszenia.

- Przepraszam za spóźnienie - wydyszała Lizzie, podszedłszy do jego stolika. - Nie było gdzie zaparkować samochodu.

Teraz, kiedy już tutaj była, Myles poczuł, jak jego chęć powiedzenia jej o wszystkim znika. Ścisnęło go w żołądku z niepokoju.

- Skończyłeś już kawę, mogę ci kupić jeszcze jedną? - zapytała pogodnie.

Myles kiwnął głową.

Kiedy wróciła ze świeżą kawą, on nerwowo związał i rozwijał puste opakowania po cukrze.

- Co słychać? - zapytała, oblizując łyżeczkę od cappuccino. - Założę się, że chodzi ci o wesele. Wczoraj wieczorem Debra zadzwoniła do mnie, wściekając się na zespół. Wygląda na to, że zostali poproszeni o zaśpiewanie na jakimś wielkim konwencji Abby w Niemczech i teraz robią wszystko, by wypłatać się z tego wesela. Na szczęście Barry przy wpłaceniu zaliczki wziął od nich pokwitowanie i twierdzi, że ma ono taką samą ważność jak umowa. Naprawdę, w tym weselu jest więcej dramatyizmu niż w operze!

Spojrzała na Mylesa. Twarz wciąż miała zaróżowioną po wcześniejszym biegu, jej wielkie czekoladowobrązowe oczy lśniły, a nad górną wargą było widać piankę od cappuccino. Myles poczuł się jak ktoś, kto właśnie ma zaatakować małą fokę. Nigdy nie zapomni, jak bardzo ją zranił i zaskoczył, kiedy powiedział jej, że chce rozwodu. Wcześniej był przekonany, że będzie chciała tego w takim samym stopniu jak on. Jednak Lizzie, odważna, odporna Lizzie, jakoś sobie z tym poradziła, a teraz miał jej zadać kolejny cios. Był jej to winien. Musiał powiedzieć o Sabine, nim całe Dunmore zacznie huczeć od wieści, że widziano go trzymającego się za ręce z jasnowłosą pieguską.

- Spotykam się z kimś, Lizzie - wyrzucił z siebie, ze wzrokiem wbitym w zrolowane opakowania po cukrze.

- Spotykasz się z kimś - powtórzyła, jakby nie dosłyszała i miała nadzieję, że zostanie poprawiona.

- Tak. - Myles zaryzykował i spojrzał na nią. Z jej twarzy zniknęła radość i wyglądała tak, jakby zamknęła okiennice swych błyszczących oczu. - Poznałem ją na kursie nurkowania. Przykro mi, ale musiałem ci o tym powiedzieć.

- Nie musi być ci przykro. Dlaczego miałoby tak być? - zapytała Lizzie, wyraźnie zszokowana. - Jesteśmy rozwiedzeni, nie musisz mi o tym wcale mówić.

Myles z inną kobietą?

Była więcej niż zszokowana, czuła totalne oszołomienie. Kiedy odszedł, powiedział jej, że nie ma to związku z kryzysem wieku średniego i szansą na spotkanie nowej miłości, a ona mu uwierzyła. A teraz proszę bardzo. Jednak nie pokaże Mylesowi, jak bardzo jest tym zaskoczona, o nie. Ukryje swój ból.

- Tak naprawdę to już nie moja sprawa, co robisz - rzekła cierpko.

- Chciałem powiedzieć ci o tym, zanim zdąży to zrobić ktoś inny. Wiesz, że Dunmore kocha plotki, a gdyby ktoś zobaczył gdzieś mnie i Sabine, i powiedział ci o tym przede mną, cóż...

- No co? - zapytała, dając sobie spokój z próbami ukrycia tego, co czuje. - Bałeś się, że będę zakłopotana albo upokorzona, albo wytracona z równowagi? Ja już przechodziłam przez to wszystko, Myles. - Głos Lizzie stał się ostry i nieprzyjemny i Myles wyczuwał, że pozostali klienci kafejki przyglądają im się z zainteresowaniem. - Byłam zakłopotana i wytracona z równowagi, kiedy mnie zostawiłeś, ale poradziłam sobie z tym. A teraz powtórka. - Urwała, jakby z jej płuc uleciało całe powietrze.

- To musiało się przydarzyć któremuś z nas, Lizzie - rzekł Myles, mając nadzieję, że ją tym uspokoi, wygodnie zapominając, że wcześniej wcale nie planował ponownego zakochania się.

Ich spojrzenia się spotkały.

- To nie miało się przydarzyć mnie - oświadczyła dziko. - Jak powiedziałaś, że ona ma na imię?

Myles wcale nie chciał jej tego mówić, ale teraz uświadomił sobie, że już to zdążył zrobić.

- Sabine.

- Bardzo egzotycznie - odparła drżąc Lizzie. Chwyciła torebkę z krzesła i wstała. - Muszę już iść. Mam nadzieję, że będziecie bardzo szczęśliwi. - I z tymi słowami odwróciła się. Uderzyła torebką w stół, po czym pospiesznie ruszyła w kierunku drzwi.

Na ulicy pozwoliła sobie na zwolnienie kroku. Myles nie pobiegnie za nią, była tego pewna. Nie należał do mężczyzn, którzy robią coś takiego. Albo może i należał, ale tylko wtedy, gdyby to Sabine opuściła tak nagle jego stół.

Jej imię rzeczywiście brzmiało egzotycznie. Nie tak jak dobra, porządna Lizzie, Lizzie, na której można polegać i której można powiedzieć wszystko, a ona nie straci panowania nad sobą. Jednak teraz miała na to olbrzymią ochotę. Miała ochotę krzyknąć i wrzeszczeć, ponieważ to było takie niesprawiedliwe. Była przecież dobrym człowiekiem. Zachowała się jak osoba dorosła i nie wściekała się ani nie rozpuszczała złośliwych plotek, kiedy Myles ją zostawił. Nie stała się entuzjastycznym członkiem miejscowego klubu byłych żon - nazywanego przez Clare Morgan Kółkiem Megier - modląc się, by nawiedził go głód, zaraza i gangrena.

Poradziła sobie ze swym życiem z cichą godnością i dokąd ją to zaprowadziło? Absolutnie donikąd. Myles miał kogoś innego, a ona była sama.

Dotarła na parking i pomaszerowała do parkometru. Gorączkowo szukając w torebce biletu parkingowego, upuściła ją i z otwartej portmonetki wysypały się drobne, niczym uwolnione szczury laboratoryjne, biegnące ku wolności.

- Kurwa - zakląła z wściekłością. Nie miała w zwyczaju używać niecenzuralnych słów. Pozbierała monety i znalazła bilet. - Kurwa, kurwa, kurwa. - Kopnęła też parkometr, nie przejmując się tym, że zabolął ją palec w miękkim, skórzanym pantoflu. Szok sprawił, że nie odczuwała bólu.

Przechodzące w pobliżu dwie młode matki z wózkami wciągnęły gwałtownie powietrze. Lizzie wyszarpnęła bilet ze szczęk automatu i odwróciła się, by spojrzeć na kobiety

- Popieprzeni faceci! - warknęła i oddaliła się w kierunku wind.

Dzika wściekłość nie opuszczała jej przez kilka dni. Pozytywnym tego skutkiem był fakt wysprzątania poddasza i sypialni dla gości w taki sposób, w jaki zawsze radziła ludziom miejscowa guru od pozbywania się zbędnych rzeczy, Abby Barton. Kiedy Lizzie ponuro przekopywała się przez fragmenty swego życia, zastanawiała się, czy Abby kiedykol-

wiek przyszło na myśl, że ludzie wyrzucają rzeczy, ponieważ ich były mąż właśnie znalazł sobie nową miłość. „Najpewniej nie”, pomyślała, wyrzucając worki pełne cennych kartek i pamiątek ze swego małżeństwa, łącznie z wyblakłą wstążką ze ślubnego bukietu.

- Nie. Chcę. Ciebie - rzekła staccato, trzymając niegdyś różową wstążkę nad workiem ze śmieciami, po czym pocięła ją zaciekle kuchennymi nożycami na małe kawałki. Jej los podzieliły ślubne fotografie oraz spory stos kartek, jakie dostała przez te wszystkie lata od Mylesa. Jej odwaga uległa osłabieniu na widok pewnej kartki urodzinowej, która nawet nie była typu „Mojej kochanej żonie w dniu urodzin”. Po prostu „Wszystkiego najlepszego” na tle kiepskiej fotografii lilii, kartka, którą można by dać komuś, kogo się nie lubi, ale kto z niewiadomych powodów zawsze przysyłał nam kartki urodzinowe. W środku widniało napisane ręką Mylesa: „Mam nadzieję, że garnki ci się podobają”.

Garnki. Lizzie przypomniała sobie tamte urodziny Jakiegoś dziesięć lat temu. Trzydzieste dziewiąte, ponieważ pamiętała, że na czterdzieste Myles kupił jej bon do sklepu z odzieżą. Nadal miała te garnki. Ciężka stal nierdzewna z dożywotnią gwarancją. W przeciwieństwie do ich małżeństwa.

Przez chwilę nie wiedziała, na kogo jest bardziej zła: na siebie, za to, że okazała się tak beznadziejna w odczytywaniu sygnałów, czy na Mylesa, za to, że śmiało podarować jej na urodziny garnki.

Wadą obecnego nastroju Lizzie było to, że każdego wieczoru była zbyt zdenerwowana, by zasnąć, i kończyło się to tak, że po bezowocnym przekręcaniu się z boku na bok dawała za wygraną, włączała lampkę i telewizor, i aż do świtu oglądała czarno-białe filmy.

Nie znalazła oparcia w Debrze. Jej córka nie wiedziała wcześniej o Sabine, ale nie wydawała się zbyt wytrącona z równowagi wiadomością, że w życiu jej ojca pojawiła się jakaś kobieta.

- No cóż, mam, trzeba żyć dalej, trzeba zapomnieć o bólu, prawda? To zawsze wszystkim powtarzam - oświadczyła tonem wyroczeni.

Lizzie, która nigdy nie dostrzegła u Debry ani śladu umiejętności zapominania o bólu i życiu dalej, musiała się ugryźć w język, by nie przypomnieć córce, jak długo trwało, nim pogodziła się z fiaskiem swoich studiów pielęgniarских. Przynajmniej przez dwa lata po oblaniu pierwszego roku Debra zalewała się łzami podczas pierwszej sceny jakiegokolwiek filmu o tematyce medycznej. Joe był jedynym członkiem rodziny, który natychmiast nie biegł, by ją pocieszyć, zauważając praktycznie, że gdyby Debra się uczyła, zamiast balować z lekarzami stażystami przez cały pierwszy rok, może i by się jej udało wszystko zaliczyć. Debry, rzecz jasna, te słowa nie przekonywały.

- Ty nic nie rozumiesz - jęczała wtedy, sięgając po chusteczkę. - Staralam się, jak mogłam. To mnie po prostu przerosło. Bycie pielęgniarką wymaga twardości. Ja jestem zbyt wrażliwa.

Jakoś nie było widać tej tak bardzo okrzykanej wrażliwości Debry teraz, kiedy jej matka jej potrzebowała.

- Minęło pięć lat, mam - rzekła rzeczowo, kiedy Lizzie wypłakiwała jej się na ramieniu, opowiadając całą historię. - Musisz zacząć żyć dalej.

A tak w ogóle to jak jej matka mogła być tak samolubna? To jej, Debrze, było potrzebne wsparcie. To ona organizowała wesele, niemal zupełnie sama, i musiała sobie radzić ze wszelkiego rodzaju kryzysami. Ta głupia siostra Barry'ego wreszcie zgodziła się założyć kosztowną sukienkę drużyny, ale z powodu napadów obżarstwa, które pewnie miały podzielać na nią uspokajająco, sukienka - fioletowa tafta z dekoltem obszytym fioletowymi, jedwabnymi różyczkami - była teraz zbyt ciasna. Aby się w nią wcisnąć, Sandra będzie potrzebować łyżki do butów i wazeliny Debra zaferowała jej środki przeczyszczające, ale Sandra wypięła się na nie swym tłustym tyłkiem. Cóż, jeśli chciała wyglądać jak Miss Piggy w namiocie cyrkowym, jej sprawa. Debra postanowiła, że do zdjęć przed Sandrą postawi się dziewczynki od sypania kwiatków. Jak jej matka może robić takie zamieszanie wokół tej sprawy? Czy nie zdawała sobie sprawy, że za mniej niż cztery miesiące będzie najważniejszy dzień w życiu Debry?

Gwen okazała się bardziej praktyczna.

- Jedź na ten rejs ze mną i Shayem - zaproponowała po raz kolejny - Pożyczmy ci pieniądze. Może poznasz tam wysokiego, ciemnowłosego, przystojnego nieznanego. Chociaż - dodała po namyśle - słyszałam, że na tym rejsie ilość kobiet będzie dwa razy przekraczała ilość mężczyzn, więc pewnie ciężko będę musiała pracować, by utrzymać przy sobie Shaya!

- Uciekanie nie jest odpowiedzią - odparła z przygnębieniem Lizzie, ani trochę nie rozbawiona sugestią, że Shay może się spodobać innej kobiecie niż Gwen. Pomysł ucieczki był w gruncie rzeczy bardzo kuszący, ale była koszmarnie splukana, a stan ciekącego dachu coraz bardziej się pogarszał. - Nic mi nie jest, Gwen, naprawdę.

Choć Gwen widziała, że o jej siostrze można powiedzieć wszystko, ale nie to, że nic jej nie jest, zdawała sobie sprawę z tego, że Lizzie potrzebuje, by pozostawić ją, aby mogła lizać w spokoju swoje rany.

W chwili nieuwagi Lizzie powiedziała prawdę Clare Morgan. Ona nie mogła nie zauważyć, jak kiepsko wygląda, więc zapytała, czy wszystko w porządku.

- Nie możesz pozwolić, by to cię przygnębiało - oświadczyła z werwą Clare, kiedy się dowiedziała, o co chodzi. - Przeżywa się szok, kiedy się dowiaduje, że twój były rozpoczyna kolejny etap, ale mam nadzieję, że wcześniej nie wyobrażałaś sobie, że jeszcze do siebie wrócicie. To się nigdy nie sprawdza. Prowadzisz przecież intensywne życie towarzyskie, prawda? Nie potrzebujesz go. Dobrze się baw Jesteś w kwiecie wieku, Lizzie. Nie zestarzej się przedwcześnie tylko dlatego, że znacznie prościej jest wpaść w letarg.

- Tak - odparła słabo Lizzie, żalując, że nie okazała się zbyt przekonująca w swych próbach przekonania Clare, że ona także jest kobietą rozwiedzioną, wolną i samotną. Clare była typem osoby przebojowej i nigdy by nie zrozumiała, że odkąd odszedł Myles, życie Lizzie nie posunęło się naprzód. Wszystko było dokładnie takie samo, z wyjątkiem tego, że teraz gotowała tylko dla jednej osoby.

Zadzwoił telefon w przychodni i Clare położyła na nim dłoń, nie podnosząc jednak słuchawki.

- Lizzie, życie jest zbyt krótkie, by marnować je na myślenie o tym, co mogłoby się wydarzyć. Popatrz na wszystkich tych ludzi, którzy przewijają się przez tę przychodnię i którym nie uda się pokonać choroby, jak biednemu Maurice'owi Penderowi. Jego sprawy kiepsko stoją, a zrobiłby wszystko, by mieć przed sobą perspektywę dalszego życia.

- Podniosła słuchawkę.

- Wiem - rzekła Lizzie, pozostawiając Clare samą, by mogła spokojnie porozmawiać z pacjentem, ale chodziło jej jedynie o to, że rozumie punkt widzenia lekarki. Żal jej było biednych państwa Pender, ale nawet to nie przytępiło jej własnego smutku.

Wieczorem w domu Lizzie siedziała przed telewizorem i oglądała seriale, jedząc kurczaka z makaronem. Jednak jakoś nie mogła się skupić na telewizji. Słowa Clare Morgan wwiercały się w jej myśli niczym uporczywy ból głowy, którego nijak nie mogła się pozbyć.

Nie zestarzej się przedwcześnie tylko dlatego, że znacznie prościej jest wpaść w letarg.

Letarg był dokładnie tym, co pasowało do nastroju Lizzie". Była zbyt zdołowana, by mieć ochotę na podejmowanie decyzji, ale być może nadszedł na to czas. Nowe życie czy stare, wygodne, lecz samotne? Czuła się niczym bohaterka jakiejś dziwnej bajki, stojąca na rozdrożu. Jeden kierunek to wiek średni wraz z majtkami obciskającymi, beżowymi kardiganami i spódnicami w szkocką kratę, podobnymi do tych, jakie kiedyś nosiła jej babcia. Drugi kierunek to nowe życie z mężczyznami takimi jak Myles, takimi, którzy tkwili uwięzieni w nieszczęśliwych małżeństwach i czekali jedynie na szybki rejs po porcie małym jachtem, po którym następuje wskoczenie do łóżka z kimś nowym.

Jednak w bajkach zawsze pojawiała się wskazówka co do tego, którą wybrać drogę. Ukazywały się urocze elfy, śpiewające mistyczne pieśni i wskazujące elfowymi paluszkami, albo królik strzygł wąsami i odmawiał ruszenia w kierunku wielkiej ciemnej wieży, z której szczytu dobywały się płomienie. W prawdziwym życiu wybór był znacznie bardziej nieprzenikniony. I nie istniały żadne drogowskazy

Skąd wiedzieć, którą drogę wybrać?

A gdyby wybrała tę bez babcinej bielizny, jaką mogła mieć nadzieję, że przyciągnie do siebie coś w spodniach? Lizzie odstawiła tacę i przyjrzała się sobie krytycznie w wielkim, zawieszonym nad kominkiem lustrze. Nigdy nie była w stanie ujarzmić swoich kudłatych włosów. Nie miała zbyt wielu zmarszczek, głównie dlatego, że była posiadaczką tłustej cery, która dręczyła ją pryszczami, gdy była nastolatką. Lubiła swe wesole brązowe oczy, ale nie znosiła różowych policzków, przez które zawsze wyglądała na rozentuzjasmowaną, a nie na bladą i interesującą.

A piersi, kiedyś stanowiące jej największy atrybut, nie można już było nazwać sterczącymi. Przypomniała sobie dowcip o dziewięćdziesięciodziewięcioletniej staruszce, która chciała strzelić sobie w serce, dowiedziała się, że znajduje się ono z prawej strony jej lewego sutka, i skończyło się to wylądowaniem w szpitalu z raną postrzałową w lewym kolanie. „Taki sam dowcip można opowiedzieć o czterdziestodziewięcioletce”, pomyślała z przygnębieniem Lizzie.

Usiadła z powrotem przed telewizorem i przełączała kanały, dopóki nie natrafiła na pełen napięcia dramat medyczny, który lubiła. Dużo krwi, traumy i bólu. Bólu innych ludzi. „Łatwiej poradzić sobie z tymi emocjami”, pomyślała Lizzie, „gdy ogląda się je w telewizji, a nie doświadcza we własnym życiu”. Jednakże siedzenie w domu i oglądanie telewizji oznaczało, że Życie, to przez duże „Ż”, przepływa między palcami.

Rozdział ósmy

Greg i Erin Kennedy nie należeli do ludzi, którzy pozwalali, by życie przeciekało im między palcami - nie wtedy, gdy mogli wyjść i chwycić je mocno w obie dłonie.

Kiedy mamę Grega dopadła naprawdę paskudna odmiana grypy i zaplanowane spotkanie rodziny Kennedych, które miało się odbyć w Dunmore, musiało zostać przesunięte o kilka tygodni, Greg i Erin postanowili wykorzystać dzień urlopu, który Greg załatwił sobie już wcześniej.

Nie namyślając się zbyt wiele, zarezerwowali pokój w niewielkim hotelu w Glengarriff, spakowali do walizki odpowiednie ubrania i wyruszyli na weekend zwiedzania i chodzenia po górach.

Od ich ostatniej wspinaczki minęły dwa lata. Greg oświadczył, że tygodniowa wędrówka po Appalachach się nie liczy.

- To nie była wspinaczka, ale przechadzka po lesie! - stwierdził. Jego zdaniem ich ostatnią poważną wędrówką był długi weekend w Górach Skalistych.

Erin pamiętała ból mięśni po wyprawie w Góry Skaliste i nie spodziewała się tego samego poziomu wyczerpania w pięknych górach Kerry. Jednak jakoś czuła się wykończona, jeszcze zanim zdążyli w ogóle zacząć.

W sobotę rano, kiedy Greg w końcu uznał, że mogą zatrzymać się na przerwę, Erin czuła się tak zmęczona, że chętnie położyłaby się i zasnęła.

- Dalej, ślamazaro. Prawie ci się udało. Jeszcze tylko kilka metrów. Otworzyłem już czekoladę...

- Jeśli zjesz ją całą, to cię zamorduję - wydyszała Erin, wspinając się po stromej namiastce ścieżki, upstrzonej owczymi bobkami, wyglądającymi jak małe kiście winogron. W końcu dotarła do kamieni, na których Greg przygotowywał im piknik.

- Jestem wykończona. Mówiłeś, że jaka wysoka jest ta góra?

Osunęła się na niewielki kamień, wyciągnęła przed siebie długie nogi i oparła się o większą skałę, używając plecaka jako poduszki. To absurdalne. Nie mogła uwierzyć w to, jak bardzo się czuje zmęczona. Gdzie się podziała ta wysportowana kobieta, która miała w zwyczaju marzyć, że ich dwoje stawi kiedyś czoło jakiemuś poważnemu szczytowi, na przykład Everestowi?

Greg podał jej kostkę czekolady, po czym nalał z termosu kawy do plastikowego kubka.

- Wystarczająco wysoka, żeby spalić w drodze na dół całe to żarcie - odparł, odpakowując potężne kanapki z serem i szynką, które gospodyni hotelu Mountain Arms dała im rano przed wyruszeniem w trasę. - Popatrz tylko na ten widok. Fantastyczny, prawda?

Erin westchnęła z przyjemnością. Nie dotarli jeszcze na szczyt, ale przed nimi rozciągało się już strome zbocze, pokryte falami różowo-purpurowych azalii, kwitnących pomiędzy kolcolistami i orlicami. Po prawej widniały ponure kształty innych gór Kerry, rozrzuconych na chybił trafił w kierunku północnym w stronę Kenmare. Widoczny poniżej krajobraz był piękny, dziewiczy i opustoszały. Jedyne oznaki cywilizacji stanowiły maszty telefoniczne i kilka domów w dolinie pomiędzy drzewami.

Daleko niżej znajdowała się droga, gdzie zaparkowali samochód - kręta i szara, wystarczająco szeroka, by mogły się minąć dwa pojazdy, jednak z tej wysokości przypominała falistą ciemną linię na dziecięcym obrazku.

Pomimo wczesnokwietniowego słońca, dzięki któremu wszyscy w Glengarriff upierali się, że jest to „cudowny dzień jak na tę porę roku”, na górze było zimno i Erin cieszyła się, że zabrali z sobą termos z kawą. Miała na sobie pikowaną kurtkę narciarską, spodnie na podszewce, grube skarpetki i traperki, a na głowie czapkę, która spłaszczyła jej koński ogon, ale i tak czuła chłodny, przesywający wiatr.

Kiedy zjedli już wszystko z jego plecaka, Greg usiadł na kamieniu obok Erin i objął ją ramieniem. Rano nie zwracał sobie głowy goleniem się, i kiedy teraz potarł policzkiem o jej twarz, czuła drapiące ją włoski.

Połączenie modnego zarostu, miękkiej, szarej czapki i odbijającego się w jego okularach słońca nadawało mu wygląd olśniewającego francuskiego narciarza, który właśnie zjechał czarną trasą.

- To był dobry pomysł, że przyjechaliśmy tutaj na weekend, prawda? - zapytał.

Erin pocałowała go w policzek.

- Tak - przyznała. - Potrzebowaliśmy takiego oderwania. Przykro mi z powodu twojej biednej mamy, ale miło gdzieś sobie wyjechać, no nie? A wielki rodzinny zjazd i tak niedługo się odbędzie.

- Erin - zaczął Greg. - Jesteśmy tu już prawie od miesiąca... - urwał.

Znieruchomiała. Wiedziała, co się nieuchronnie zbliża. Greg jej nie zawiódł.

- Nie sądzisz, że czas odwiedzić twoją rodzinę albo przynajmniej skontaktować się z nią?

Nie odpowiedziała, wyjęła z kieszeni plecaka jeszcze jedną czekoladę. Czy on naprawdę sądził, że mogłaby ot tak zadzwonić po dziewięciu latach i sądzić, że na dźwięk jej głosu wszyscy będą uszczęśliwieni?

- Okej, okej, zapomnij, że o tym wspomniałem - przeprosił Greg. - Nie chcę psuć tego dnia.

- Proszę, nie rób tego - odparła błagalnym tonem. - Przyjechaliśmy tutaj na weekend, by zapomnieć o wszystkim: o napięciach w twojej pracy, braku napięć ze strony mojej nieistniejącej pracy i tym okropnym, wynajmowanym domu. Wiem, że agencja ma nam wkrótce znaleźć nowy dom, ale i tak jest okropnie.

- Zgadza się, przyjechaliśmy, by zapomnieć o tym - przyznał i wziął od niej spory kawałek czekolady. - Sądzę, że siedzimy tutaj już zbyt długo. Robi mi się zimno i cały zeszywniałem.

- Ja też - przyznała Erin. - Możemy zadzwonić po pogotowie górskie i poprosić, by zabrali nas stąd helikopterem?

Greg udawał, że się nad tym zastanawia.

- Myślę, że wolą, gdy wzywa się ich w przypadku prawdziwych nagłych wypadków, a nie by ewakuować leniwych, grubych turystów do ich samochodu, by mogli pojechać do hotelu i wypić kilka kolejnych kaw po irlandzku.

- Kogo nazywasz grubym? - Erin wyrwała z ręki męża ostatni kawałek czekolady i z szelmowskim uśmiechem włożyła go sobie do ust.

- Och, nie ciebie! Ale skoro już wszystko zjadłaś, to ruszajmy dalej. - Greg wstał i podał jej rękę. - Obawiam się, że zanim dotrzemy do zejścia, musimy wejść jeszcze trochę wyżej.

Szli w milczeniu. Erin zachowywała energię na wspinaczkę i nie chciała tracić oddechu na mówienie. Podczas gdy szła w górę miarowym krokiem, nie mogła powstrzymać myśli o swojej rodzinie z Dublina.

Greg nie rozumiał jej niechęci do powrotu do domu. Był typem człowieka, dla którego wszystko było albo czarne, albo białe. Rodziny się kochały i żadna głupia kłótnia, nieważne jak poważna, nie powinna sprawić, że ludzie przestają być dla siebie wsparciem.

Minęło jednak dużo czasu, odkąd opuściła rodzinny dom. Erin wiedziała, że w międzyczasie bardzo się zmieniła. Była zupełnie inna niż ta gniewna osiemnastolatka, która pewnego wieczoru spakowała walizkę i wybiegła ze wzburzeniem. Tak naprawdę przerażało ją to, że wszystko inne także uległo zmianie w ciągu tych lat, kiedy jej nie było. A jeśli jej dziadkowie zmarli? Erin nie pozwalała sobie nawet na takie myśli.

Kerry była jedenaście lat starsza, więc teraz miała trzydzieści osiem, może miała męża i dzieci, może nie. Życie uczuciowe Kerry nigdy nie należało do najłatwiejszych. Z wyglądu podobna była do Erin, nie miała rudych włosów, ale za to taki sam długi nos. Tata lubił żartować, że Kerry, która włosy w kolorze mysim farbowała na blond, charakterek miała godny rudowłosej. Miał rację. Jakkolwiek byłaby reakcja reszty rodziny, Kerry na pewno tak łatwo nie wybaczyłyby Erin.

Gospodyni hotelu Mountain Arms była atrakcyjną panią w średnim wieku, o miłym sposobie bycia i bystrych oczach. Meg Boylan trafiła do Mountain Arms przed trzydziestu laty, kiedy wyszła za męża za syna właściciela, Teddy'ego. Wtedy hotel był małym rodzinnym interesem z zaledwie dziesięcioma pokojami i niewielką grupą klientów, którym nie przeszkadzał kiepski wystrój ani fakt, że w pokojach często było zimno. Dzięki ciężkiej pracy i zaangażowaniu Meg Mountain Arms stał się popularny i miał trzydzieści pokoi, przestronną, wysoką salę wynajmowaną na wesela, przytulny bar o nazwie Łokieć Diabła i małą, lecz elegancką jadalnię zwaną Przystanią. Teddy, niech go Bóg błogosławi, w kwestii prowadzenia hotelu nie był w ogóle pomocny, choć na odkrycie tego Meg potrzebowała wielu lat po odejściu na emeryturę jego rodziców.

Obecnie Teddy odbywał codzienną, przyjemną rundkę pomiędzy bukmacherami i małym kątem Łokcia Diabła, gdzie lubił przeglądać strony o wyścigach i sączyć małe drinki.

- Lubię mieć pewność, że w barze wszystko przebiega gładko - oświadczał radośnie ludziom, kiedy pytali go o jego rolę w prowadzeniu hotelu.

Dzięki temu Meg miała swobodę w zarządzaniu swoim imperium, doglądaniu kuchni, nie wspominając o nadzorowaniu obsługi hotelowej. Lubiała przebywać w recepcji i już dawno temu zrozumiała, że klienci czuli się jeszcze bardziej docenieni, kiedy witała ich sama właścicielka.

Właśnie tam była, kiedy pojawiła się młoda para z Dunmore. Było coś krzepiącego w sposobie, w jaki się zaśmiali, kiedy ich zapytała, czy są nowożeńcami.

- Jesteśmy małżeństwem już od czterech lat - uśmiechnął się szeroko mąż.

- I obawiam się, że tym razem nie możemy sobie pozwolić na apartament dla nowożeńców. Budżet nam na to nie pozwala - dodała jego żona. - Co nie znaczy, by miało to wpływ na nasze dobre samopoczucie. - Poklepała z uczuciem ramię męża.

Meg pomyślała, że rozsiewali wokół siebie ten rozpoznawalny blask nowożeńców. I podziwiała ich za szczerść co do braku funduszy

- Zobaczmy, co tutaj mamy dla państwa - rzekła, zaglądając do hotelowego komputera, który uwielbiała, natomiast Teddy trzymał się od niego najdalej, jak się dało. Hotel posiadał apartament dla nowożeńców, który był największy ze wszystkich. Składał się z ładnego pokoju dziennego z widokiem na zatokę i sypialni z łóżem z baldachimem, przykrytym szkarłatno-złotą kapą ze średniowiecznymi scenami alkierzowymi: dziewicami, jednorożcami i leśnymi polanami. Zarezerwowany był dopiero na przyszły tydzień, kiedy w całym hotelu zamieszkają goście wesela Gerrard & O'Shea.

Małżeństwo z Teddym już dawno temu usunęło romantyzm z życia Meg, ale widok Kennedych poruszył czułą nutę w jej sercu.

- Mam dla państwa odpowiedni pokój - oświadczyła.

- Ma wyższy standard, ale cena pozostaje taka, na jaką się wcześniej umówiliśmy.

Uśmiechnęli się do siebie szeroko.

- Dziękujemy - rzekli.

Twarz Meg złagodniała, kiedy odpowiedziała im uśmiechem. „Poczekajcie tylko, aż zobaczycie pokój”.

Greg i Erin byli zachwyceni luksusowym apartamentem, a kiedy wrócili ze wspinaczki, mieli ochotę jedynie na to, by rzucić się na nęcąco miękkie łóżce. Oboje byli jednak ubłoceni. W łazience pozbyli się brudnych ubrań, a Erin zaczęła przygotowywać kąpiel.

- Padnę, jeśli się porządnie nie wymoczę - oświadczyła, dolewając do wody nieco olejku lawendowego.

- Mogę wykapać się z tobą? - zapytał błagalnie Greg.

Erin zmierzyła wannę uważnym spojrzeniem. Greg był takim olbrzymem, że większość wanien była dla niego za krótka, a jeśli chodzi o wspólną kąpiel... można było zapomnieć. Jednak ta stara wanna z łapami w miejsce nóg była wyraźnie zbudowana dla potężnych ludzi, którzy lubili mieć wokół siebie dużo miejsca. Od biedy pomieściłaby nawet i trzy osoby

- Możliwe, że przebijemy się przez sufit piętro niżej - przekomarzała się Erin, sprawdzając palcem u nogi wodę.

- Ale dlaczego nie?

Leżeli, rozkoszując się gorącą, pachnącą wodą, czując, jak zeszywniałe mięśnie rozluźniają się.

- Czy to twoja stopa? - zapytała Erin, kiedy poczuła, jak coś stuka ją w żebra. - Żadnego łaskotania.

- E tam, psujesz zabawę. - Greg zanurzył się głębiej w wodzie i Erin poczuła, jak palce jego stopy wsuwają się pod jej pachę, uparte i łaskoczące. - Mamy apartament dla nowożeńców, więc musimy się tak zachowywać - zauważył, nie przerywając dotykania.

- To znaczy tak? - Erin wsunęła się pod wodę, a on za chwilę podskoczył, kiedy jej duży palec nawiązał bliższy kontakt z jego krocem. Śmiejąc się, usiadła i strząsnęła wodę z włosów, które nadawały jej wygląd wodnej nimfy

- Panienska chce się zabawić? - zapytał Greg, chwytając ją za kostki i przeciągając w wodzie tak, że znalazła się na jego kolanach.

- Peryskop już stoi? - wymruczała Erin w jego szyję.

- Prawie. A może wypłyniemy na suchy ląd? - zapytał Greg, odnajdując palcami jej śliskie sutki.

Erin wygramoliła się z wanny i owinęła ręcznikiem, by się wytrzeć. Nie ma sensu zatapiać także i łóżka. Poczuła usypiające działanie gorącej wody. Łóżko, kiedy odsunęli narzutę, wyglądało tak miękko i zapraszająco. Erin miała wrażenie, że jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak zmęczona, rozgrzana i wyciszona.

- Co za łóżko. Możemy kupić sobie takie? - jęknęła, kiedy się położyła.

- Byłoby cudownie, no nie? - ziewnął Greg, poprawiając poduszkę. - Jest takie wygodne. Zeszłej nocy spałem jak kłoda.

Wtulili się w siebie mocno. Prawa dłoń Grega gładziła delikatnie łuk pleców Erin.

- Moglibyśmy się trochę zdrzemnąć - wymruczał, a jego gładzenie stawało się coraz wolniejsze. - By odzyskać siły.

- Na chwilkę - zgodziła się Erin. - Dziesięć minut. - Jakoś udało jej się unieść głowę, by spojrzeć na leżący na stoliku obok łóżka zegarek. - Za dziesięć czwarta. Poleżymy sobie do czwartej.

- Albo do dziesięć po... - mruknął Greg.

Kiedy Erin przebudziła się, w pokoju panowała ciemność i przez kilka przerażających sekund nie mogła sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Potem usłyszała obok siebie jednostajny oddech Grega i wszystko sobie przypomniała. Nadal była zmęczona po wcześniejszej wspinaczce, ale odzyskała już jasność myślenia. Leżąc w ciemnościach, pozwoliła wkraść się zakazanym wspomnieniom.

Wszystko wydarzyło się dlatego, że jako prezent na osiemnaste urodziny chciała dostać pieniądze. Bardzo pragnęła podróżować, zobaczyć świat, a gdyby uzbierała wystarczająco dużo pieniędzy, by kupić bilet dookoła świata, mogłaby podczas podróżowania pracować i w ten sposób zarabiać na utrzymanie.

Mama nie była zbyt chętna, by dać je Erin w prezencie.

- Wolalabym, żebyś chciała jakiś porządny prezent, a nie pieniądze - rzekła ze smutkiem. - W przypadku Kerry i Shan... - W porę ugryzła się w język. Już miała powiedzieć „Shannon”. Było to imię starszej siostry Erin, której tak naprawdę nie знаła, a mamie trudno było o niej mówić.

Shannon opuściła rodzinny dom i zamieszkała za granicą, kiedy Erin była mała, i o tym, że nadal żyje, przypominały jedynie nieregularnie przysyłane kartki. Erin nienawidziła Shannon za to, co zrobiła mamie. Kerry twierdziła, że Shannon to samolubna suka, która nigdy nie dbała o to, czy kogoś rani, i o to, że przez jedną noc mamie posiwiały wszystkie włosy.

- Co daliście Kerry, kiedy skończyła osiemnaście lat? - zapytała pogodnie, pełna determinacji, by oderwać mamę od pełnych bólu myśli o Shannon.

- Kolczyki, te złote z opalami, które tak często nosi. Twój ojciec i ja chcielibyśmy podarować ci coś, co mogłabyś mieć na zawsze - rzekła mama. - O pieniądzach szybko się zapomina, Erin.

- Wiem, mamó. - Uścisnęła mocno matkę. - Ale chcę zbudować wspomnienia, które będę mogła zachować na zawsze, a jeśli od wszystkich dostanę pieniądze, stanie się to możliwe. Jest tyle miejsc, które pragnę zobaczyć: Daleki Wschód, Australia, Ameryka... - W jej bursztynowych oczach pojawił się tęskny wyraz i matka westchnęła, gdyż wiedziała, że to zamiłowanie do podróży Erin ma we krwi, tak jak i Shannon.

Rodzina wyprawiła niewielkie przyjęcie w górnej sali w miejscowym pubie. Okazało się bardzo udane. Wzniesiono toasty, wychylono wiele kufli piwa, a Erin wypija swoją pierwszą dozwoloną wódkę z tonikiem.

Jednak dostała na urodziny pieniądze - nie aż tyle, by starczyło na bilet dookoła świata, ale wystarczająco dużo, by wykupić zagraniczną wycieczkę. Nie wiedziała, dokąd chciałaby jechać, po prostu gdziekolwiek. Jeszcze nigdy nie była za granicą, a coroczne rodzinne wakacje na kempingu może i były fajne, ale trudno je nazwać egzotycznymi. Nie, zagranica, z jej wszystkimi ekscytującymi konotacjami, była tym, czego pragnęła. Australia leżała zbyt daleko i bilet kosztowałby majątek, ale Indie... Erin była zafascynowana Indiami i oczami wyobraźni widziała się tam, jak wędruje z plecakiem i śpi w nędznych hotelach. I nie zachorowałyby, o nie. Miała organizm byka, jak często mówiła mama.

Przed wyprawą trzeba było poczynić wiele planów, ale sprawą pierwszorzędną było wyrobienie paszportu. Zdobyła już formularz, okazało się jednak, że jest przy nim całkiem sporo pracy. Musiała mieć zdjęcia podpisane przez

policję i odpis aktu urodzenia - nie ksero, ale prawdziwy dokument. Poprosiła o niego mamę i tu zaczęły się problemy. Mama, która trzymała wszystkie rodzinne dokumenty w rozlatującym się segregatorze w pokoju jej i taty, powiedziała, że poszuka, a potem wróciła i oświadczyła, że nie może go znaleźć.

Niezrażona Erin zamówiła kopię.

Przysłano ją kilka tygodni po przyjęciu urodzinowym. Erin zeszła na dół w T-shircie ze Snoopym i majtkach, i podniosła pocztę z chodnika na korytarzu. Miała dom tylko dla siebie, jako że tata i Kerry byli w pracy, a mama wybrała się na zakupy, zaglądając po drodze do pokoju Erin i przypominając, że nie może przez cały dzień leżeć w łóżku niczym ślimak.

W kuchni wsypała płatki do miski i przejrzała pocztę. Zazwyczaj nic do niej nie przychodziło, ale tamten dzień był wyjątkiem. W rogu koperty, wyglądającej na urzędową, widniało: „Pani Erin Flynn”. Rozerwała ją i przez chwilę była przekonana, że przysłano jej niewłaściwy akt urodzenia. Owszem, imię i nazwisko należały do niej, ale reszta nie miała żadnego sensu. Pod „Matka” było napisane „Shannon Flynn”, a pod „Ojciec” słowo „Nieznany”. Data urodzenia się zgadzała, ale ci ludzie z urzędu musieli wszystko pomieszać. Erin z roztargnieniem zjadła jeszcze trochę płatków, przyglądając się temu dziwnemu dokumentowi. I wtedy do jej głowy wskoczyła prawda, tak jak w przypadku tych magicznych puzzli, które zawsze ją zdumiewały, dopóki pewnego dnia nie przekonała się, jak trzeba na nie patrzeć. Dokument nie zawierał błędów. Shannon, którą zawsze uważała za tajemniczo nieobecną siostrę, była tak naprawdę jej matką. Kerry nie była jej siostrą, lecz ciotką, a mama i tata nie byli jej rodzicami, lecz rodzicami jej matki. Babcia i dziadek, a nie mama i tata. To był prawdziwy szok.

Ale kiedy tak siedziała w osłupieniu, uświadomiła sobie, że najbardziej szokujące jest to, że mama ją okłamała. Mama była najbardziej godną zaufania osobą w świecie Erin. Kiedy jej serce po raz pierwszy zostało złamane przez chłopca z jej klasy, mama mocno ją przytuliła i obiecała, że wkrótce wszystko będzie dobrze. I Erin jej uwierzyła, mimo że cierpiała, ponieważ mama nigdy jej nie okłamała. Aż do teraz. Łyżka spadła z brzęknięciem na linoleum, ale Erin nie zwracała sobie głowy jej podnoszeniem. Nie, już wcześniej kłamała. Mama okłamywała ją przez całe jej życie.

Pobiegła na górę i w pokoju rodziców na górze wielkiej szafy z lat trzydziestych znalazła walizkę. Była ciężka i pokryta warstwą kurzu. W środku znajdowały się stare ubrania, między innymi brązowy płaszcz, noszony przez wiele lat przez ojca, i kilka starych, wyblakłych pudełek po koszulach. W pierwszym kryły się należące do mamy kartki i pamiętki. Erin nie mogła się zmusić do ich przejrzenia, bojąc się, by nie znaleźć wśród nich swoich dziecięcych, własnoręcznie wykonanych kartek, skrupulatnie malowanych w szkole i pokrywanych brokatem.

W drugim pudełku leżały dokumenty, które zazwyczaj były przechowywane w rozwalającym się segregatorze. Znajdował się tam kilkakrotnie złożony oryginał aktu urodzenia, którego kopię właśnie przysłano, i kilka listów ze zdjęciami powtykanymi między kartki papieru. Przedstawiały Shannon, nieobecną w rodzinnych albumach. Teraz Erin dostrzegła podobieństwo pomiędzy sobą a swoją matką. Obie miały taką samą grzywę miedzianych włosów i taki sam uśmiech, choć oczy Shannon były niebieskie, takie jak oczy Kerry i mamy. Erin musiała odziedziczyć ich kolor po ojcu, kimkolwiek on był. Ogarnęło ją uczucie wściekłości, że nie znała swej matki ani ojca. Jak mama mogła nigdy nie powiedzieć prawdy o jej narodzinach? Czy Kerry także wiedziała? Erin siedziała w otoczeniu fotografii i listów od swej prawdziwej matki i rozpamiętywała kłamstwa i oszustwa. Następnie zebrała swoje dokumenty i świeżo otrzymaną książeczkę czekową i wyszła z domu.

Późnym popołudniem, kiedy wróciła do domu, Kerry zdążyła już przyjść z pracy, a mama w kuchni obierała ziemniaki na zapiekanekę pasterską.

- Witaj, skarbie. Gdzie się podziewałaś cały dzień? - zawołała mama, kiedy usłyszała na schodach znajome kroki Erin.

Erin nie odpowiedziała. Nie ufała sobie na tyle, by się odezwać. W pokoju rzuciła na łóżko dokumenty, które otrzymała w agencji au pair oraz bilet na samolot do Amsterdamu. Lot był dopiero za trzy dni, ale Erin nie miała zamiaru zostać do tego czasu na Carnsfort Terrace 78. Jutro w biurze paszportowym ma odebrać paszport, a udało jej się załatwić to tak szybko w drodze wyjątku, kiedy pokazała urzędniczce bilet na samolot. Poprosiła przyjaciółkę, Mo, która właśnie z dwiema innymi dziewczynami wprowadziła się do ciasnego mieszkania w Smithfield, czy nie mogłaby tych kilku nocy przewaletować u niej. Pakowanie nie zabierze jej dużo czasu. Teraz musiała jedynie stanąć twarzą w twarz z matką i Kerry i zapytać, dlaczego nigdy nie powiedziały jej prawdy.

W kuchni unosił się znajomy zapach: aromat dobrego jedzenia zmieszany z cierpkim zapachem cytrynowego środka czyszczącego, którego mama używała z wielkim zaangażowaniem. Kerry siedziała przy stole. Zdjęła buty, a stopy położyła na krześle i czytała właśnie wieczorną gazetę. Mama wcześniej zdążyła już nakryć do kolacji, a teraz siedziała wygodnie na krześle z kubkiem herbaty, układając paragony w portmonetce.

- Cześć, leniuchu. Co dzisiaj zrobiłaś, podczas gdy ja zasuwałam jak dziki osioł? - zapytała Kerry, nie podnosząc wzroku znad artykułu o dietach sławnych ludzi.

W odpowiedzi Erin położyła na stole dokument uprawniający ją do odbioru paszportu.

- Co to jest? - zapytała Kerry, przeglądając go pobieżnie. - Złożyłaś wniosek o paszport?

„Ona nie zrozumiała”, uświadomiła sobie Erin. Jednak mama tak. Ich spojrzenia skrzyżowały się i na jej twarzy malował się ogromny niepokój.

- Dlaczego mi nie powiedzieliście? - zapytała cicho Erin.

- Czego? - zapytała ostro Kerry, wreszcie podnosząc głowę.

- Dlaczego mi nie powiedzieliście, że Shannon jest moją matką?

- Och.

Kerry opuściła nogi na podłogę. A więc wiedziała, a to sprawiło, że Erin wpadła w jeszcze większy gniew. Kerry wiedziała, w przeciwieństwie do niej, osoby najbardziej zainteresowanej.

- Musiałam poprosić o przysłanie mi aktu urodzenia. - Ton jej głosu był zjadliwy - Powiedziałaś, że zginął - rzekła oskarżycielsko do matki. - Wiedziałaś, że i tak się dowiem, więc dlaczego nie mogłaś powiedzieć mi prawdy?

- Erin, przestań robić z tego takie wielkie halo - oświadczyła Kerry, podchodząc do lodówki. Zajrzała do niej, by sprawdzić, czy jest w niej coś, co mogłoby oszukać głód aż do kolacji.

- Przestać robić z tego takie wielkie halo? - powtórzyła z niedowierzaniem Erin. - Ono nie jest wielkie, lecz potężne. To największy sekret w moim życiu i wszyscy go znaliście. Nie masz nic do powiedzenia na ten temat? - zapytała mamę, która do tej pory nie odezwała się ani jednym słowem.

Mama potrząsnęła w milczeniu głową.

- To nie jej wina - warknęła Kerry - To twoja cholerna matka narobiła kłopotów, bzykając się na prawo i lewo, i zachodząc w ciążę...

- Nie wiń jej! - zapiszczała Erin. - Nawet się nie waż. Mogłaś mi o tym powiedzieć, a ja bym ją odnalazła. Byłam jej dzieckiem, a wy wszyscy trzymaliście to przede mną w tajemnicy. Jak mogliście, do cholery? Co dało wam prawo, byćście bawili się w Boga i mówili mi jedynie to, na co macie ochotę?

Jej babcia usiadła cicho przy stole, trzymając głowę w dłoniach, jakby próbowała oddalić od siebie bolesne słowa.

- Porozmawiaj ze mną, mamó! - wrzasnęła Erin. - Dlaczego nic nie mówisz?

Zapytana popatrzyła na płonąca twarz Erin.

- Nie wiem, co powiedzieć, skarbie. Przykro mi, że cię zraniliśmy, ale kiedy byłaś mała, nie uważaliśmy, że to dobry czas, by ci o tym mówić, a potem tak szybko dorosłaś i szansa przepadła. - Wyciągnęła zmęczoną, spracowaną dłoń i czekała, by Erin ją ujęła. Jednak ona wpatrywała się w nią gniewnie, odrzucając ten gest pojednania.

- Brednie. Wiedzieliście, że pewnego dnia dowiem się o wszystkim.

Oczy jej mamy wypełniły się łzami.

- Wiedziałam, że tak się stanie, ale miałam nadzieję, że będziesz potrafiła zrozumieć...

- Zrozumieć co? Że mnie okłamaliście w najważniejszej kwestii dotyczącej mojego życia?

Mama zaczęła wtedy płakać i Kerry straciła panowanie nad sobą, zaczęła krzyczeć, że wszyscy zakładali, że Erin wie, i jak do cholery mogła winić wszystkich za swoją głupotę. Mama wciąż płakała i Erin nie była w stanie znieść jej łez, ale nie potrafiła jej także uspokoić. Czuła się tak zdradzona, że nie zostało w niej ani odrobiny zrozumienia dla innych.

Spakowała się i wyszła, zabierając tylko ubrania i kilka zdjęć. Wszystko inne - złotą bransoletkę, którą rodzice podarowali jej na bierzmowanie, kolczyki, które dostała od Kerry wiele lat temu, kiedy jej siostra dostała pierwszą pracę - zostawiła na zakurzonej toalecie.

Przez trzy dni mieszkała u Mo, żywiąc połowiczną nadzieję, że ktoś z rodziny ją znajdzie. Następnie wsiadła do samolotu. Po sześciu miesiącach podróżyowania po świecie i pracowania w międzyczasie w barach i restauracjach, została au pair u amerykańskiej rodziny w Grecji, kiedy ich poprzednia au pair nieoczekiwanie wyjechała. Kiedy wracali do domu do Bostonu, ona poleciała razem z nimi.

Delikatne pukanie do drzwi obudziło Grega.

- Co się... - Usiadł i przetarł zaspane oczy. Od leżenia na poduszce włosy płasko przywierały mu do głowy

Drzwi otworzyły się minimalnie i zajrzała para niebieskich oczu.

- Chcą państwo, bym pościeliła łóżko? - zapytał głos.

- Nie, dzięki - odparł Greg. Nie widział niczego z wyjątkiem światła, wlewającego się przez uchylone drzwi. -

Która godzina?

- Za dziesięć siódma.

Drzwi zamknęły się cicho, a Greg zaczął po omacku szukać włącznika lampki przy łóżku.

- Zarezerwowaliśmy stolik na siódmą - rzekł, gramoląc się z łóżka. - Powinniśmy się zbierać.

Erin usiadła na łóżku, a jej włosy wyglądały tak, jakby dopiero co przedzierała się przez krzaki. Czuła zmęczenie i w ogóle nie miała ochoty wstawać i ubierać się na kolację. Ponownie się położyła i poczuła, jak ogarnia ją stary, dobrze znany smutek. Ona i Greg powinni byli pozostać w Chicago. Kiedy tam była, nie myślała o rodzinie w taki sam sposób. No cóż, myślała o nich, ale dzięki odległości jakoś dawała sobie radę z bólem. A może wcale nie o to chodziło. Może to ona się zmieniła - ponieważ z całą pewnością nie czuła się tutaj sobą. Nie chciała już tutaj być. Chciała jechać do domu. No ale gdzie był jej dom?

Rozdział dziewiąty

Dom ostatnimi czasy nie był najweselszym miejscem dla rodziny Bartonów. Pod koniec pierwszego tygodnia kwietnia, kiedy na horyzoncie było widać Wielkanoc, Abby postanowiła, że musi odłożyć na bok nieporozumienia z ostatnich tygodni i zrobić wszystko, co w jej mocy, by poprawić wszystkim nastrój. Niestety emocjonalny barometr w Lyonais tkwił stanowczo w pozycji „w większości pochmurno, przewidywane burze”.

Jess była monosylabiczna, mimo prób Abby, by porozmawiały z sobą jak matka z córką.

- Wiem, że stresujesz się szkołą, Jess, skarbie - zaczęła ostrożnie, bojąc się, że powie coś niewłaściwego - ale egzaminy w końcu miną. Tata i ja nie chcemy, byś czuła, że jesteś pod jakąś wielką presją, wiesz? Dla twego dobra pragniemy, by dobrze ci poszło, ale nie chcemy, byś traciła przez to tyle nerwów.

Jess posłała matce spojrzenie, które mówiło: „Ty niczego nie rozumiesz”. Abby nie znosiła tego spojrzenia.

W szkole Toma dyrektora zmogła jakaś paskudna odmiana grypy, przez co to Tom musiał radzić sobie zarówno z kryzysem z nauczycielką fizyki, która nie chciała pracować do końca okresu wypowiedzenia, jak i z wadliwym systemem alarmowym, który ku ucieście uczniów co rusz się uruchamiał.

Każdego wieczoru był w stanie mówić jedynie o problemach z szybkim znalezieniem zastępstwa oraz niekończących się, lecz nieudanych próbach znalezienia przez ludzi od alarmu usterki w ich skomplikowanym systemie.

Abby zaczęła się zastanawiać, czy gdyby na jej miejscu w kuchni każdego wieczoru siedział robot zaprogramowany na mruczenie co jakiś czas: „To okropne”, jej mąż w ogóle by to zauważył.

Aby poprawić sobie humor, udała się do salonu piękności Sally na coś, co jego właścicielka nazywała „różnościami”. Odkąd Abby przeprowadziła się do Dunmore, chodziła do The Beauty Spot raz w miesiącu, co było nie do pomyślenia w czasach przed *Porządkami*, kiedy wyprawa do salonu piękności odbywała się dwa razy do roku.

W skład „różności” wchodził manikiur, przeciwmarszczkowy zabieg na cerę, farbowanie rzęs i czasami woskowanie nóg. Wszystkiemu towarzyszyło gawędzenie z Sally i pozwalanie, by otaczała ją odprężająca, plotkarska atmosfera. Inne wytworne kosmetyczki bardzo chciałyby, żeby Abby stała się ich stałą klientką, ona jednak pozostała lojalna wobec Sally i jej salonu. Ich przyjaźń tak naprawdę zaczęła się dziesięć lat temu, kiedy Sally pracowała w Cork w Tomem na nauczycielskim stażu. Kiedy Tom zachwycił się nową koleżanką i opowiadał żonie, jak dzięki niej w St Fintan's czuć powiew świeżego powietrza, Abby spodziewała się osoby uszczęśliwiającej wszystkich na siłę z mysimi włosami, okularami ze szklami jak denka od butelek, poobgryzаныmi paznokciami i podkochującej się w Tomie.

Oczywiście okazało się, że Sally absolutnie nie jest taka, jaką ją sobie wyobrażała, i nie tylko nie durzyła się w Tomie, lecz była szaleńczo zakochana w Stevie Richardsonie. Sally dawno temu przestała uczyć, by zrealizować swe marzenie o prowadzeniu salonu piękności. Ona i Steve byli idealistami i kiedy on porzucił świat wielkich korporacji, by uczyć sztuki,

Sally zdobyła się na stanowczy krok i zamiast nauczać, zapisała się na kurs kosmetyczny. W rezultacie powstał The Beauty Spot. Z wystrojem inspirowanym latami pięćdziesiątymi, z malinowo-różowymi zasłonkami z kraciastej bawełny, salon ten z całą pewnością różnił się od normalnych świątyń urody. Kobiety w Dunmore uwielbiały to miejsce i po skromnych początkach interes szedł coraz lepiej.

- Jaki chciałabyś kolor?

Chochlikowa twarz Sally wpatrywała się w Abby zza wózka do manikiuru z wyczekiwaniem. Jej palce wisały nad kremowym beżem, który Abby zazwyczaj wybierała, upierając się, że jej palce są zbyt krótkie, by malować je jakimiś jaskrawszymi kolorami.

Jednak Abby była w nastroju na coś szalonego.

- Ten - oświadczyła, wskazując na wiśniową buteleczkę.
- „Femme Fatale” - przeczytała Sally. - Olśniewający i taki inny
- Zdecydowanie mam ochotę na coś innego - mruknęła Abby

Po godzinie relaksu, podczas gdy delikatne palce Sally dokonywały przeciwnarszczkowych czarów, Abby była w beztróskim i marzycielskim nastroju. W zabiegach poprawiających cerę, wykonywanych przez Sally, było coś zmysłowego: kiedy jej delikatne palce wmasowywały słodko pachnące olejki w jej twarz, szyję i dekolt, przyłapała się na myśleniu, jak by było cudownie, gdyby to Jay dotykał w taki sposób jej skóry. Jego palce przesuwałyby się wzdłuż wrażliwych zagłębień na dole szyi, a jej pięknie wymanikiowane palce dotykałyby w odpowiedzi jego...

- Czy myślałaś kiedyś o tym, by zdradzić Steve'a? - zapytała leniwie.

Sally podniosła głowę znad lakieru, który ostrożnie nakładała na paznokcie Abby

- Czemu pytasz?

- Cóż... tylko... no wiesz, kryzys roku siódmego - wyrzuciła z siebie Abby, czując się jak w potrzasku.

Co ją opętało, by o to zapytać?

- W dzisiejszych czasach mamy kryzys roku trzeciego - wtrąciła Ruby, która robiła obok nich francuski manikiur.

Ruby była posagową trzydziestolatką z włosami koloru skrzydeł kruka, ciepłą twarzą i brakiem szczęścia do mężczyzn. Ostatni chłopak Ruby powiedział jej, że jeszcze nigdy do żadnej kobiety nie czuł czegoś takiego, po czym dwa tygodnie później wskoczył do łóżka z dziewczyną z pracy.

- Nie obeszloby mnie to, ale ona nie jest nawet szczuplejsza ode mnie! - wściekała się Ruby przez co najmniej miesiąc.

- To nie był facet właściwy dla ciebie, Ruby - rzekła teraz Sally kojącym tonem, wiedząc, że nawiązuje do swego byłego.

- W przeciwnym wypadku byłby w stanie oprzeć się innym kobietom. Och, przepraszam, Abby. - Zmoczyła patyczek kosmetyczny zmywaczem do paznokci, by wytrzeć plamę wiśniowo-różowego lakieru, który skapnął na palec Abby.

Abby, która wiedziała, że to jej wina, ponieważ podskoczyła, słysząc słowa Sally, potrząsnęła głową.

- To przeze mnie. Jestem dzisiaj cała w nerwach. Pewnie hormony - skłamała.

- Steve nie miałby ochoty cię zdradzić, Sally - kontynuowała żalobnie Ruby - On czci ziemię, po której stąpasz. Zanim was poznałam, sądziłam, że to tylko frazes, denerwujący frazes - przekomarzała się. - Ale teraz wiem, że to może być prawda.

Sally zarumieniła się aż po korzonki włosów. Była jedną z niewielu znanych Abby osób, które potrafiły ładnie się rumienić: jej kremowa cera pokrywała się delikatnie różowym rumieńcem, czego zazdrościła jej Abby, na której policzkach w chwilach stresu wykwitwały nie dodające urody szkarłatne plamy.

- Steve jest naprawdę świetny - oświadczyła poważnie Sally.

Słyszając to, Abby i Ruby wybuchły śmiechem.

- No co?

- Ty nigdy nie mówisz o nim ani jednego złego słowa, wiesz o tym? - zapytała ciepło Abby

- No cóż, ty nigdy nie mówisz niczego złego na temat Toma - odparowała Sally.

Abby poczuła, jak na jej policzki wypełzają szkarłatne rumieńce. Dla Sally wszystko było takie proste, pomyślała, siedząc z rozstawionymi palcami i czekając na wyschnięcie lakieru. Ona i Steve byli małżeństwem dopiero osiem lat, a nie siedemnaście. Od nikogo nie można było oczekiwać, że będzie odczuwał namiętność po siedemnastu latach. Gdzie się podziało podekscytowanie, gdzie ten dreszczyk?

Siedemnaście lat patrzenia, jak ktoś zostaje w skarpetkach po zdjęciu spodni. W skarpetkach i slipkach. Nie-szczególnie ładny widok. Kobiety tak się starały, jeśli chodzi o bieliznę, nosząc stringi i nisko opuszczone majtki, o których można było powiedzieć wszystko, ale nie to, że są wygodne, ale niech ktoś spróbuje przekonać mężczyznę, by założył coś innego niż te nudne slipki, które ma od roku dwutysięcznego.

No i sposób, w jaki kaszłał, kiedy oglądali telewizję - niczym stary lew morski krztuszący się ością. Abby była przekonana, że nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że to robi, niemniej jednak było to naprawdę irytujące.

Zaczekajmy, aż Sally i Steve będą z sobą tak długo, jak ona i Tom. Wtedy Sally może nie będzie czuła tego samego.

- Suche? - Sally sprawdziła paznokcie Abby. - Myślę, że jeszcze chwilę. Steve i ja urządzamy w sobotę przygotowywane na szybko przyjęcie i chcielibyśmy, żebyście przyszli, wszyscy, łącznie z Jess.

- Super. Z jakiej okazji?

- Chcemy przedstawić wszystkim nowego szefa Steve'a i jego żonę. Przez wiele lat mieszkali w USA i nikogo tutaj nie znają. Pomyślałam, że byłoby miło, a to jest jedyny weekend, kiedy możemy to zrobić. On i Steve przypadli sobie do gustu.

Abby ożywiła się. Imprezy u Sally i Steve'a zdążyły już przejść do legendy. Sześć miesięcy temu urządzili przyjęcie z okazji urodzin Steve'a. O trzeciej nad ranem zjawiła się policja i grzecznie poprosiła o przyciszenie muzyki. Jeden mężczyzna pokazywał wszystkim, że nadal potrafi stanąć na głowie, i nawet Abby, która wcześniej nie planowała żadnych szaleństw, gdyż nie знаła jeszcze nikogo w Dunmore, przyłączyła się do pijanego conga wokół niewielkiego ogródka skalnego Sally. Tom był w posiadaniu zdjęć dowodowych: Abby o szklanym spojrzeniu, przytulająca się do karłowatego drzewka, na głowie miała pospiesznie zmontowany stroik Carmen Mirandy, składający się z dwóch bananów i pomarańczy.

Przyjęcia organizowane pod wpływem impulsu, takie, w których mistrzami byli Sally i Steve, zawsze były udane.

- Nazywają się Erin i Greg Kennedy, i są uroczy. Polubisz ją, Abby - kontynuowała Sally. - Jest zabawna, bardzo ciepła i wygląda absolutnie oszałamiająco.

Abby, która wcześniej oczami wyobraźni widziała zadzierającą nosa żonę pracownika wielkiej korporacji, zdecydowaną patrzeć z góry na mieszkańców Dunmore, po usłyszeniu opisu Sally poczuła jeszcze większą niechęć. Oszałamiająco wyglądające kobiety sprawiały, że czuła się niepewnie. Nie była przekonana co do tego, czy polubi tę osobę.

- Ona pracuje?

- W Stanach zajmowała jakieś wysokie stanowisko w kadrach, ale tutaj jeszcze nie pracuje. Oboje są Irlandczykami, oboje są ołsniewający. On strasznie spodobał się Ruby

- Jest taki inny - westchnęła Ruby. - Gdybym nie wiedziała z własnego doświadczenia, jak to boli, kiedy inna jędra ucieka z twoim facetem, zarzuciłabym sieci na pana Kennedy'ego. Mówimy teraz o podwójnym czekoladowym torciku z prawdziwym czekoladowym sosem.

- Aż taki smakowity? - zapytała Abby, wyraźnie pod wrażeniem.

Gotowa była się założyć, że bez względu na to, jak przystojny jest Greg Kennedy, i tak nie jest przystojniejszy od Jaya Garniera.

Uregulowała rachunek, uściskała na pożegnanie Sally, ostrożnie, by nie rozmazać lakieru, po czym wyszła z salonu. Kiedy włączyła komórkę, zobaczyła, że ma trzy wiadomości. Jedna była od Toma: „Możesz odebrać z pralni mój szary garnitur? Mam jutro wieczorem wywiadówkę i będzie mi potrzebny Och, i później dzisiaj wrócę. Pewnie koło wpół do ósmej. Nie będę nic jadł. No to na razie". Abby poczuła, jak kielkuje w niej ziarno niezadowolenia. Kim ona była -

chłopcem do wszystkiego czy robiącą karierę kobietą, odpowiedzialną za ich sukces finansowy? Cholerne zarobki Toma jako wicedyrektora szkoły nie wystarczyłyby im na kupno domu w Dunmore, to było pewne, a jednak to ona nadal biegała po mieście, kupowała jedzenie i odbierała garnitury

Druga wiadomość nie poprawiła jej nastroju. Zostawiła ją Cheryl, asystentka produkcji z Beech. „Cześć, Abby, tu Cheryl. Przepraszam, że zawracam ci głowę, ale nastąpiła zmiana planów, jeśli chodzi o harmonogram nagrań na przyszły tydzień. Zamiast nagrywać w Dublinie we wtorek, środę i czwartek, zrobimy to jedynie w środę i czwartek. Zadzwoń do ciebie później w tygodniu ze szczegółami i przebukujemy ci bilet na samolot i rezerwację w hotelu. Paaa”.

Dlaczego to się teraz zmieniło? Wcześniej Abby musiała przełożyć lukratywne prywatne zlecenie z poniedziałku i wtorku, by wpasować się w harmonogram nagrań. Klientce nie zrobiło to wielkiej różnicy, ale Abby musiała opóźnić pracę o kilka tygodni, czego nie znosiła. Gdyby dwie pierwsze wiadomości tak jej nie zirytowały, być może nie odpowiedziałyby na ostatnią.

- Witaj, nieznajoma. Nie mogę przestać myśleć o spotkaniu z tobą.

Chrypliwy ton głosu Jaya był taki uwodzicielski. Abby wsunęła palec do ust i obgryzała nerwowo paznokieć, nie przejmując się tym, że niszczy świeżą warstwę lakieru.

- Myślisz, że jest szansa na to, byśmy zjedli tę kolację, którą sobie obiecaliśmy? Pomijając wszystko inne, mamy dużo do nadrobienia. Proszę, zadzwoń, Abby Będę czekał.

Nie przedstawił się nawet, wiedział, że go rozpozna. Przez chwilę przyglądała się mijającym ją samochodom, a w jej głowie kłębiły się możliwości. Potem wzięła głęboki oddech, wcisnęła symbol wiadomości i tak długo klikała, aż dojechała do polecenia „oddzwoń”. Po sześciu sygnałach uznała, że to przeznaczenie. Zostawi uprzejmą wiadomość i powie mu, że nie, jest zajęta, ale może pewnego dnia zjedliby tę kolację we czwórkę, ona i Tom i Jay i Lottie...

- Witaj, Abby

- Skąd wiedziałeś, że to ja? - zapytała niemądrze.

- Wpisałem cię do telefonu. Kiedy dzwonisz, na ekranie wyświetla się twój numer, i tak się cieszę, że to zrobiłaś.

Na twarzy Abby pojawił się uśmiech na myśl o tym, że Jay zawracał sobie głowę wpisywaniem jej numeru do telefonu.

- A więc kolacja? - zapytał swobodnie. - To znaczy tylko ty i ja.

Abby nagle poczuła wdzięczność wobec Cheryl i nie przestawała myśleć o tym, jak towarzyska kolacja dla czworga nagle przekształciła się w intymną kolację dla dwojga.

- W przyszły wtorek będę w Dublinie. Mieliśmy nagrywać program, ale zmieniły się plany - wyrzuciła z siebie. - To znaczy moglibyśmy się spotkać albo...

- Coś wymyślimy - przerwał jej łagodnie i Abby poczuła, jak przez jej ciało przebiega ten cudowny dreszczyk przyjemności. - Gdzie się zatrzymasz?

- McGregors Townhouse.

W McGregor's, niewielkim, ale bardzo ładnym hotelu w samym centrum Dublina, zatrzymywała się cała ekipa Beech i odkąd program odniósł tak wielki sukces, jakoś się utarło, że to Abby przypadła w udziale najlepszy pokój. Kiedy byli tam ostatnio, przydzielono jej apartament z wielkim łóżem z kutego żelaza - była pewna, że to z pewnością nie Beech za niego zapłacił. Musi poprosić Cheryl, by nie zmieniała rezerwacji.

- Zadzwoń do ciebie we wtorek po południu - rzekł Jay i rozłączył się.

Abby wpatrywała się w telefon, nie mając pewności, czy dominującym w tej chwili uczuciem, przetaczającym się przez nią, jest poczucie winy, czy ogromne podekscytowanie.

W celu oszczędzania benzyny - i pieniędzy - Lizzie zaczęła chodzić do pracy pieszo. Pierwszy tydzień kwietnia okazał się tak cudowny, że nieco ponadtrzykilometrowy spacer do centrum miasteczka był prawdziwą przyjemnością. Na piątek meteorolodzy zapowiadali rekordowe jak na tę porę roku temperatury, i już o wpół do dziewiątej rano świeciło ciepłe słońce, przypominając Lizzie o wakacjach w ciepłych krajach. Gdy przechodziła przez niewielki park z okularami przeciwsłonecznymi na nosie i jedynie w cienkiej marynarce, niemal była w stanie przekonać samą siebie, że jest na wakacjach. W jakimś egzotycznym miejscu, na przykład nad Adriatykiem we Włoszech, gdzie mężczyznom podobały się kobiety, które oprócz kości miały nieco ciała. Wiele lat temu ona i Myles byli na wakacjach we Włoszech i pewność siebie Lizzie gwałtownie wzrosła pod wpływem pełnych podziwu spojrzeń, jakie posyłali jej wszyscy bez wyjątku.

Gwen i Shay za kilka dni wyruszą w rejs i pomimo swych wcześniejszych zapewnień Lizzie żałowała, że z nimi nie płynie. Wyobrażała sobie prawdziwie palące słońce na swej twarzy i zapach kokosowego balsamu do opalania na ciepłym, odprężonym ciele. Próbowwała wyrzucić wakacje z głowy, powtarzając w myślach, że nie może sobie na nie pozwolić, i zamiast tego zaczęła myśleć o weselu.

Debra w taktowny sposób wspominała, że tata chciałby, żeby Sabine pojawiła się w porze deserów, co stanowiło mniej formalną część popołudnia, następującą po przyjęciu. Będzie grał wtedy zespół i przyjdą ludzie, którzy nie zostali zaproszeni na obiad, by podziwiać szczęśliwą parę. Oczywiście, o ile Lizzie nie ma nic przeciwko temu, dodała Debra.

Lizzie jak cholera miała coś przeciwko temu, ale jak zwykle na pierwszy plan wysunęły się jej instynkty matczyne.

- A czy ty masz coś przeciwko? - zapytała Debrę, martwiąc się, że wprowadzenie do rodziny nowej osoby może zepsuć wielki dzień jej córki. Bądź co bądź Debra była zdruzgotana ich rozwodem i jako prawdziwa córeczka tatusia jego pojawienie się z inną kobietą mogła uznać za tym większą zdradę.

- Cóż, nie przeszkadza mi, że tam będzie. Nie jest ładna i w ogóle - odparła niefrasobliwie Debra, zadowolona z faktu, że nie istnieje niebezpieczeństwo, by nowa dziewczyna jej taty przyćmiła ją tego dnia. - Ma mysie, lekko rudawe włosy, mysie rzęsy i nie używa szminki. Widziałam u taty jej zdjęcie. I jest stara. Na pewno po czterdziestce.

Lizzie ponuro przetrawiała tę wiadomość. To oczywiście, że Sabine nie była gorącą mamuszką i gdyby pojawiła się dyskretnie po obiedzie, nikt nie zakrzusiłby się ginem na widok dziewczyny Mylesa Shanahana. Prawdopodobnie cieszyliby się, że stary dobry Myles znalazł sobie kogoś.

Problem polegał na tym, że wtedy zaczęłoby do nich docierać, że Lizzie jest tam sama. Szczęśliwe i kulturalne partnerstwo Lizzie i Mylesa, któremu udało się przetrwać trzęsienie ziemi w postaci rozwodu, uległo zakończeniu. Myles rozpoczął nowy etap życia. Ona nie.

Lizzie nie lubiła, gdy ludzie o niej mówili, i z całą pewnością nie chciała, by jej współczuli. Dlatego właśnie była niezadowolona z istnienia Sabine.

Przed przychodnią dostrzegła leniwego kocura Clare Morgan, Tygryska. Przechadzał się po płocie otaczającym ogród, szukając jakiegoś ciepłego miejsca, w którym mógłby się położyć.

- Hej, Tygrysku, ty przystojniaku! - zawołała.

Oczywiście Tygrysek w tej właśnie chwili zeskoczył z płotu, a Lizzie znalazła się twarzą w twarz z panem Grahamem, adwokatem, którego kancelaria znajdowała się tuż obok przychodni i który teraz stał z otwartymi ustami na końcu płotu, a w dłoni dyndały mu kluczyki od samochodu. Lizzie nie dostrzegła go wcześniej i zarumieniła się na myśl, że pomyślał sobie, iż to jego nazwała Tygryskiem. Pan Graham był zaokrąglony i wysoki, i miał zarówno niesamowicie cuchnący oddech, jak i nieuzasadnione przekonanie, że stanowi dla kobiet niezły kąsek.

- Przepraszam... Mówiłam do kota... - mruknęła, po czym z ogromnym zażenowaniem udała się szybkim krokiem w stronę drzwi przychodni.

O Boże, jak jej się udało tego dokonać? Zanim się obejrzy, pan Graham będzie jej nadskakiwał, zagadując, gdy w porze lunchu będzie sobie siedziała w ogródku przed przychodnią, i mrugając do niej przy każdej możliwej sposobności. Wcześniej próbował tego z Clare, która szybko i stanowczo go zbyła. Problem w tym, że Lizzie nie potrafiła powiedzieć „nie” ludziom, którzy pojawiali się w progu jej mieszkania, sprzedając bilety, nieważne na co były te bilety i jak bardzo była splukana. Jak uda jej się powiedzieć „nie” panu Grahamowi?

Innym skutkiem pięknej pogody była pusta przychodnia. Lizzie zawsze zaskakiwało to, że liczba pacjentów pozostawała w ścisłej zależności od pogody. Być może koszmarna grypa, która podczas deszczu wydawała się chorobą śmiertelną, w jakiś magiczny sposób przemieniała się w lekki katar, gdy tylko pojawiała się słońce.

Lizzie właśnie sprzątała przed lunchem, kiedy zadzwonił telefon.

- Przychodnia Cork Road - rzekła uprzejmie do słuchawki.

- Lizzie, z tej strony Sally Richardson. Zadzwoniłam w złym momencie?

- Nie, dzisiaj mamy tu pustki. Co mogę dla ciebie zrobić? Chodzi o ciebie czy chłopców?

Mówiąc to, Lizzie jednocześnie otworzyła zeszyt z zapisami.

- Nie, chłopcom nie jest potrzebny lekarz, dzięki Bogu - odparła Sally - Jak wiesz, w przyszłym miesiącu będą mieli wycinane migdałki i od ostatniej wizyty czują się dobrze. Zadzwoniłam, aby zaprosić cię na jutrzejszą imprezę. Przepraszam, że tak późno, miałam to zrobić w zeszłym tygodniu, ale byłam tak zajęta, że wyleciało mi z głowy

- Cudownie - odparła radośnie Lizzie. Już od wieków nie była na imprezie. - Jakaś szczególna okazja?

- W pięćdziesięciu procentach jest to przyjęcie powitalne dla tych uroczych nowych ludzi, którzy się tutaj wprowadzili, a w pięćdziesięciu procentach dlatego, że dawno nie mieliśmy imprezy, właściwie to od tego przyjęcia urodzinowego Steve'a z pijackim conga.

- Przyjdę bardzo chętnie - odparła Lizzie.

- Super. Czekamy w takim razie koło ósmej, będzie jedzenie - każdy dostanie papierowy talerzyk i plastikowy widelec - i mam nadzieję, że dobra zabawa. Ubierz się tak, jak tylko masz ochotę. Przyrowadź kogoś albo przyjdź sama, Lizzie, jak chcesz. W takim razie do zobaczenia.

Lizzie narysowała w swoim kalendarzu wielką gwiazdę przy jutrzejszym dniu, myśląc, że to ironiczne, iż Sally potrafiła sprawić, że zabrzmiało to tak normalnie, kiedy powiedziała „przyrowadź kogoś albo przyjdź sama”, podczas gdy wszyscy dawni znajomi Lizzie i Mylesa albo jękali się przy tych słowach z zakłopotaniem, albo robili z tego wielkie halo.

Sally i Steve nigdy nie poznali Mylesa i było jasne, że traktowali Lizzie jak singielkę. Co więcej, z radością to akceptowali, zamiast albo się uzalać razem z nią nad okropnością życia, albo się starać ją wyswatać ze swymi samotnymi znajomymi, którzy jak jeden mąż byli tak dziwni, że nic dziwnego, iż wciąż pozostawali samotni. Lizzie przekonała się, że te dwie opcje są najbardziej popularne. Dawni znajomi, z którymi ona i Myles spotykali się w czasach małżeństwa, zdawali się nie mieć pojęcia, co z nią zrobić. Nigdy nie zapraszali jej na przyjęcia, ale czasem jedynie na kolację, kiedy mieli jakiegoś wolnego faceta, jakby się obawiali, że Lizzie była tak zdesperowana, iż miała ochotę rzucić się niczym jakiś nimfomański pocisk sterujący dalekiego zasięgu na uganiających się za spódniczkami mężów. Nie było sensu tłumaczyć, że nie interesują jej mężczyźni, ani żonaci, ani jacykolwiek inni. Zameżne kobiety jej nie wierzyły, woląc się zachowywać jak średniowieczni monarchowie, mający oko na szańce ich zamków - zawsze obawiający się najeźdźców i zawsze gotowi do podniesienia zwodzonego mostu.

Nigdy nie poszerzyła wystarczająco kręgu swych znajomych, by poznać inne rozwiedzione kobiety, z jednym tylko wyjątkiem. Lillian, kobieta, którą znała z przychodni, zaprosiła ją na wieczór w towarzystwie innych rozwiedzionych przyjaciółek, tych, które Clare Morgan nazywała Kółkiem Megier.

Nie okazało się to przyjemnym sposobem na tworzenie wspólnych więzi, na co Lizzie wcześniej miała nadzieję. Ten wieczór obfitował w dobre jedzenie, dużo drinków i niegroźne flirtowanie z kelnerami, lecz później przekształcił się w ponure prześciganie się w opowieściach na temat tego, co „On” teraz zrobił.

Najwięcej jadu sączyło się wtedy, kiedy była mowa o którymś „Nim”, któremu najwyraźniej w życiu bardzo dobrze się układało. Jeżdżenie na wakacje, kupno nowego samochodu lub, co było najgorsze ze wszystkiego, cieszenie się życiem - znajdowało się na szczycie listy zbrodni godnych nienawiści. Lizzie przeżyła szok. Wcześniej spodziewała się pozytywnego nastawienia do bycia singlem, takiego, jakie miała okazję widzieć u Clare Morgan, a nie tej fali wściekłości. Nie mogła znieść tego jadu, z jakim rozmawiano o byłych mężach, i złośliwej satysfakcji, z jaką witano każde „Jego” niepowodzenie. Myles nigdy nie był tego typu świnią, o której one mówiły, a nawet gdyby i był, Lizzie nie miałyby ochoty źle mu życzyć, jak jedna z wiedźm z *Makbeta*.

Clare Morgan nie okazała zaskoczenia jej reakcją.

- Wiedziałam, że będziesz zniesmaczona. Lillian posiada doktorat ze zgorzknienia. Przez wiele lat znałam ją i jej męża, i to cud, że ten idiota został z nią aż tak długo. Lillian lubi sobie wmawiać, że to ona jest ofiarą, ale w pełni zasłużyła na to, co ją spotkało. Trzymaj się z dala od niej i tych kobiet, które się z nią bratają - poradziła. - Zgorzknienie bywa zaraźliwe.

Rada Clare co do cieszenia się życiem nie oznaczała ani znalezienia innego mężczyzny, ani rozpaczania nad utratą męża.

- Prać brudne skarpetki następnego faceta i martwić się tym, co mu ugotować na obiad? - zapytała zjadliwie, choć Lizzie ciężko było sobie wyobrazić bystrą, opanowaną Clare piorącą skarpetki jakimkolwiek mężczyźnie. - Trzeba by ci było przebadać głowę, gdybyś wróciła do takiej harówki. Umawiam się z facetami, kiedy mam na to ochotę, ale nie potrzebuję mieć ich przy sobie przez cały czas. Nauczyłam się czuć dobrze we własnym towarzystwie, Lizzie. To jest właśnie fajny sposób na cieszenie się życiem i nigdy nie mam zamiaru wrócić do innego.

Fajny Lizzie uruchomiła automatyczną sekretarkę w przychodni. Co było fajne, kiedy była w domu?

Rozdział dziesiąty

W sobotę po południu, w dniu przyjęcia u Richardsonów, Jess przeglądała w kiosku gazety z ogłoszeniami, by zobaczyć, w jaki sposób ludzie się reklamują jako nianie, kiedy dostrzegła wysoką kobietę z czarno-brązowym szczeniakiem na rękach. Jej ogorzala twarz była bardzo szczupła i mogłaby wyglądać surowo, gdyby nie to, że się śmiała, podczas gdy szczeniak energicznie ją lizał.

- Jaki słodki - odezwała się Jess. Wypowiedziała te słowa na głos, nim zdążyła się zastanowić, co robi.

- To prawda - przyznała z uśmiechem kobieta. - Był właśnie u weterynarza na zastrzyku i jest tak uszczęśliwiony, że stamtąd wyszliśmy, że aż podskakuje z radości. Kiedy tam byliśmy, trzy razy nasiusiał na podłogę.

- Och, biedactwo. - Jess głaskała szczeniaka pod brodą, a on reagował szaleńczo, starając się jednocześnie żuć i lizać jej palce.

Kobieta przyglądała się uważnie Jess, jej piaskowym włosom, subtelnie ładnej twarzy i wysokiej, szczupłej sylwetce.

- Chciałabyś go potrzymać?

- Bardzo chętnie.

Jess tuliła do siebie szczeniaka, wdychając jego śliczny, mleczny zapach i zachwycając się tym, jak zbliża pyszczek do jej twarzy i liże ją gorliwie.

- Ma na imię Twiglet.

- Słodki Twiglet.

Jess tak naprawdę nie zwracała uwagi na to, co robi kobieta, dopóki nie podniosła głowy i nie dostrzegła, że na tablicy przy kiosku właśnie nakleiła ogłoszenie.

Spotkanie w celu omówienia przyszłości schroniska dla zwierząt w Dunmore.

Po dwudziestu latach działalności w Dunmore odcięto nam lokalne fundusze i schronisku grozi zamknięcie.

Bardzo potrzebujemy waszej pomocy.

Przyjdźcie do Parish Hall na Tivoli Road w środę 23 o godz. 19.00.

- Czy stąd właśnie pani jest, ze schroniska? - zapytała Jess.

- Tak, Twiglet też. Jego i jednego z jego braci uratowano, kiedy ktoś pozostawił ich w worku na budowie. Jakiś dobry człowiek usłyszał piski i przyniósł szczeniaki do nas.

Jess była przerażona.

- Jak ktoś może zrobić coś takiego szczeniakowi? - zawołała.

- Ludzie robią to przez cały czas. Nie mielibyśmy tyle pracy, gdyby było inaczej - odparła cierpko kobieta. - Szkoda im pieniędzy na sterylizację psów, a potem worek na śmieci jest ich pomysłem na rozwiązanie problemu, kiedy ich suka się oszczeni. Jeszcze gorzej się dzieje w przypadku kociąt. Niewysterylizowany kocur może stać się ojcem tysięcy kociąt, a kotka jest w stanie mieć małe, kiedy skończy sześć miesięcy, i koci się co cztery miesiące, z kolei jej kotki mogą mieć kociaki, kiedy skończą sześć miesięcy i tak dalej. Sama możesz sobie policzyć.

- Ale czy nie możecie mówić ludziom, że skoro nie chcą kociąt albo szczeniaków, to powinni sterylizować swe psy?

- Sterylizować - poprawiła kobieta. - Edukacja jest odpowiedzią, ale rozwiązaniem są pieniądze. Wielu ludzi mówi, że nie stać ich na to.

- Rząd powinien przeznaczyć pieniądze na pomoc. - Jess czuła oburzenie na myśl o tysiącach niechcianych, porzuczanych zwierząt.

- Jak masz na imię?

- Jess.

- Podoba mi się twój tok myślenia, Jess. Skoro lubisz zwierzęta, może miałabyś ochotę zostać wolontariuszką w naszym ośrodku? Zawsze przyda się ktoś do karmienia kociaków i szczeniąt, nie wspominając o mniej ciekawych zajęciach, jak na przykład sprzątanie bud.

- Och, z przyjemnością. - Oczy Jess rozbłysły Kobieta spostrzegła, że ta dziewczyna nie jest wcale nijaka, lecz bardzo ładna, ma śliczny uśmiech, w którym widać żywy temperament i inteligencję. - Ale chodzę jeszcze do szkoły.

- Psy trzeba karmić także w soboty i niedziele, i może miałabyś czas wieczorami albo podczas wakacji - odparła rzeczowo kobieta. - Nazywam się Jean Harvey Numer znajdziesz w książce telefonicznej, adres także. Znajdujemy się na Old Farm Road. Wsiądź w autobus do Little Dunmore, ale wysiądź na skrzyżowaniu Snow Hill, skręć w lewo i przejdź jakieś sto metrów. Upewnij się, czy rodzice nie mają nic przeciwko twojej pomocy, a jeśli chcą, to mogą do mnie zadzwonić.

- Zjawię się tak szybko, jak mi się uda - obiecała Jess, całując na pożegnanie aksamitną główkę Twigleta.

Jean poszła do brudnego zielonego land-rovera, a Jess do domu. Była podekscytowana nowym planem. Kochała zwierzęta i możliwość pracy z nimi wydawała jej się cudowna. Będzie musiała tylko pamiętać, by biedny Wilbur nie był zazdrosny. Był jej skarbem, ale słodki, uroczy Twiglet także był milusi. Zastanawiała się, co się z nim stanie, kiedy dorośnie.

Taki ośrodek na pewno znajdował domy dla niechcianych szczeniąt. Czyż nie byłoby fantastycznie, gdyby mogła zabrać go do domu i opiekować się nim? Teraz, kiedy mieszkali w Lyonnais, mieli mnóstwo miejsca dla psa.

Zatopiona w marzeniach Jess szła do domu z uśmiechem na twarzy, który jej matka ledwie by rozpoznała.

Abby większą część soboty spędziła na wrywaniu zarośli w ogrodzie przed domem, piszcząc za każdym razem, kiedy pojawiał się kolejny pajak o rozmiarach rodem z horroru. Nie mogła znaleźć rękawic ogrodowych, które były nie do zdarcia, i musiała się zadowolić cienkimi, bawełnianymi, a te być może nadawały się do sadzenia cebulek na werandzie, ale nie do walki z dżunglą jak z filmów z Indianą Jonesem.

Tom w ogóle nie był pomocny w tej kwestii. Rankiem po przebudzeniu uskarżał się na grype. Teraz siedział w kuchni z rozłożonymi weekendowymi wydaniem gazet, a na jego twarzy malowało się przekonanie, że ból głowy i katar były bez wątpienia objawami czegoś znacznie poważniejszego niż grypa.

- Muszę poprawić tyle prac domowych - oświadczył ze znużeniem. - Ale boli mnie głowa, łamie mnie w kościach i po prostu nie czuję się sobą.

Abby, która zdążyła już zrobić zakupy w supermarkecie, była w pralni chemicznej i na bazarku po organiczne warzywa, i która miałaby ogromną ochotę posiedzieć sobie z gazetami i kawą, jakoś udało się zachować milczenie. Niemal nabawiła się przepukliny, wnosząc z jeepa torby z zakupami, a teraz musiała pracować w ogrodzie, ponieważ był tak zarośnięty, że po prostu nie mogła znieść myśli o patrzeniu na niego przez następny tydzień. To Tom się wcześniej upierał, że zatrudnianie kogoś, kto wpadałby czasami i zajmował się ogrodem, stanowiło niepotrzebny wydatek i że będzie jej pomagał.

O wpół do czwartej Abby była zmęczona, podrapana i brudna. Może gorąca herbata i kilka ciastek da jej siłę do tego, by spędzić w ogrodzie jeszcze ze dwie godziny. Potem zafunduje sobie gorącą kąpiel w pianie i przygotowuje się na przyjęcie u Sally i Steve'a.

Tom nie siedział już przy stole w kuchni, choć gazety pozostawały rozłożone. Na blacie stał pusty kubek i okruszki drożdżówki z jagodami, co stanowiło dowód, że chory poczuł się na tyle dobrze, by coś przekąsić. Włączając wierzchem dłoni czajnik, Abby udała się na jego poszukiwanie.

Znalazła go w salonie, oglądał kanał sportowy i nie było ani śladu tak bardzo okrzyczanych prac domowych. Odwrócił się i dostrzegł, że w drzwiach ze skrzyżowanymi ramionami i zaciśniętymi ustami stoi jego żona.

- Nie patrz tak na mnie - warknął, odwracając się z powrotem do piłki nożnej.

- Jak? - zapytała Abby, podchodząc do kanapy.

- W stylu „ja pracuję, a ty sobie leżysz” - odparł. - Spojrzenie męczennicy

- Cóż, bo przecież pracuję. - Nie zniżyła się do tego, by zareagować na uwagę o męczennicy.

- Nikt ci nie kazał - odparował.

Abby poczuła piekące oburzenie z powodu niesprawiedliwości tego wszystkiego. Nikt jej nie kazał, oczywiście, ale gdyby nie posprzątała albo nie pojechała po zakupy, kto by to zrobił?

- Nie musiałabym pracować w ogrodzie, gdybyś nie był takim skąpcem i dał dwa razy w roku zarobić komuś, kto by się tym zajął - warknęła. - Ktoś musi doprowadzić to miejsce do porządku.

- Och, a więc o to chodzi, tak? To wszystko moja wina. Powiedziałem, że pomogę. Po prostu nie w ten weekend.

- Ani w zeszły, ani w weekend jeszcze wcześniej! Od dwóch miesięcy ogród wygląda koszmarnie, ale nic z tym nie zrobiłeś.

Tom wreszcie porzucił oglądanie telewizji.

- Nie widzisz, że jestem zmęczony? Zmęczony dbaniem o ten dom, zmęczony pracą, zmęczony i kropka.

- A ja nie jestem zmęczona? - zapytała z oburzeniem.

- Nie, zapomniałam, to ty masz wyłączność na zmęczenie, ponieważ to ty masz prawdziwą pracę, prawda, Tom? Ja mam jedynie swój mały program w telewizji i prywatne zlecenia, absolutnie nie tak poważne jak posada wicedyrektora szkoły. Och, tak, ja mam jeszcze sprzątanie domu i zakupy, i pranie...

- Dom sprząta pani Regan - przerwał jej.

- Dwa razy w tygodniu przez dwie godziny! - odrzyknęła Abby - Ona utrzymuje porządek powierzchniowy, podczas gdy ja muszę się zajmować całą resztą. Czy ty masz jakiegokolwiek pojęcie, jak dużo pracy wymaga prowadzenie domu, robienie prania, zakupy, sprzątanie? O nie, zapomniałam. Ty uważasz, że gotowanie i sprzątanie to nazwy dwóch miast w Chinach.

- Oszczędź mi tego sarkazmu - rzekł lodowatym tonem.

- Czy to są twoje odpowiedzi w wywiadzie do gazety na temat odnoszącej sukcesy kobiety pracującej? Tak właśnie jest? Masz zamiar powiedzieć wszystkim, jak trudno jest nowoczesnej, robiącej karierę kobiecie, ponieważ musi łączyć pracę i obowiązki domowe, mając za męża leniwego gamonia, który nie robi nic i nie docenia jej wysiłków?

Tak dokładnie sprecyzował, co przebiegało przez myśli Abby, że przez chwilę nie była w stanie odpowiedzieć ani słowem, jedynie wpatrywała się w niego. Wreszcie odzyskała głos.

- Skoro wiesz, co jest ze mną nie tak, dlaczego czegoś z tym nie zrobisz? - warknęła.

- Celem mojego życia nie jest bezustanne zadowalanie ciebie, Abby - odparł Tom z ponurą przyjemnością. - Może tak właśnie robią w studiach telewizyjnych Beech, gdzie jesteś królową przedstawienia, ale nie tutaj. Nie w naszym domu.

- To cholernie niesprawiedliwe! - zawołała. - Wcale taka nie jestem i dobrze o tym wiesz! Proszę jedynie o nieco pomocy w domu. Kiedyś pomagałeś, ale teraz nie robisz nic.

Odkąd przeprowadziliśmy się do tego domu, nie sądzę, byś choć raz zrobił cotygodniowe zakupy albo nastawił pralkę. Umarłbyś z wysiłku.

- To ty chciałaś wrócić do pracy - zauważył.

- A ty cieszysz się korzyściami, płynącymi z dodatkowych pieniędzy - odparowała, nie myśląc nawet o tym, co mówi.

- O tak, nigdy nie pozwolisz mi o tym zapomnieć, prawda? To ty jesteś ta odnosząca sukcesy, ty jesteś ta sławna. Ja jestem tylko nudnym starym mężem, czekającym za kulisami. - Abby była zszokowana goryczą w jego głosie. - Uwielbiasz to, prawda, Abby? Uwielbiasz zarabiać więcej ode mnie. Uwielbiasz ucierać mi tym nosa.

- Nie, nieprawda - odparła cicho, po czym wyszła.

Kiedy robiła herbatę, trzęsły jej się ręce. Nigdy wcześniej nie uświadamiała sobie, jak bardzo Tom ma jej za złe pracę i zmiany, które przyniosła. Może i podobało mu się mieszkanie w dużym i wygodnym domu, ale nie umiał sobie poradzić z faktem, że to jej zarobki przyprowadziły ich tutaj. Czy czuł, że jej sukces w jakiś sposób pozbawił go męskości? Nie, na pewno nie. Był po prostu dziecinny. Dziecinny i leniwy.

Abby wrzuciła brudną łyżeczkę do zlewu, obok kubka i talerzyka Toma. Skoro nie mógł wstawić naczyń do zmywarki, ona też nie będzie sobie zawracać tym głowy. A kiedy dom zmieni się w chlew i nie będzie już czystych naczyń, być może wtedy dotrze do niego, ile wcześniej trzeba było włożyć w niego pracy.

Idąc Briar Lane, Jess uświadomiła sobie, że już co najmniej od godziny nie myślała o egzaminach. Co było dobre, ponieważ kiedy to robiła, zaczynała odczuwać dziwny ból z tyłu szyi, który wpełzał do jej głowy i odbijał się od czaszki. Nic go nie uśmierzało z wyjątkiem leżenia w wannie, a nie bardzo dało się to robić cztery razy dziennie. Jednak myślenie o schronisku dla zwierząt oznaczało, że nie miała czasu na martwienie się egzaminami. Dziś wieczorem też nie będzie źle. Później miała pomóc Sally Richardson przy chłopcach, tak by ona mogła przygotować wszystko na przyjęcie. Jess uwielbiała pełną odprężenia atmosferę w domu Richardsonów: zawsze było w nim dużo śmiechu i dobrego humoru, nie tak jak u niej.

Kiedy dotarła do domu, obok bramy stał plastikowy worek z ogrodowymi śmieciami i widły, nie było jednak śladu ani mamy, ani taty. Jess miała nadzieję, że nie zostanie zagoniona do zbierania liści czy czegoś w tym rodzaju. Nie znosiła pracować w ogrodzie, nie licząc zajęć w szkole, gdzie wszyscy hodowali pędy z ziarenka fasoli.

Mama stała w kuchni, ubrana w stare ciuchy. Czytała rozłożoną na blacie gazetę.

- Och, mam, poznałam dzisiaj naprawdę niezwykłą kobietę, która prowadzi schronisko dla zwierząt - zaczęła entuzjastycznie Jess. - Miała z sobą cudownego szczeniaka, Twigleta. Wyobraź sobie, że ludzie porzucili jego i jego brata w worku na jakiejś budowie, ale teraz jest już z nim wszystko w porządku.

Abby nie odpowiedziała, więc Jess kontynuowała:

- Starają się ocalić schronisko, ponieważ nie mają wystarczająco dużo pieniędzy, i ta kobieta powiedziała, że jeśli chcę, to mogę pomagać tam jako wolontariuszka. Zawsze przyda się ktoś do karmienia szczeniaków i kotów i do sprzątnięcia. - Jess poczuła świeży przypływ dumy na myśl, że ta zupełnie obca osoba zaufała jej na tyle, by zaproponować pracę wolontariuszki. - Mogę tam jeździć w weekendy.

- A co z egzaminami? - zapytała Abby niepotrzebnie ostrym tonem. Pożałowała tego, gdy tylko usłyszała własne słowa. Jakie znaczenie miały egzaminy, skoro to schronisko dla zwierząt po raz pierwszy od miesiąca wywołało uśmiech na twarzy jej córki.

Jednak okiennice zostały już zatrzęsnięte i Jess na powrót przywdziała oponczkę nastoletniej obojętności.

- Nieważne - stwierdziła, odwracając się do drzwi. - Zapomnij o tym.

- Nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało - rzekła Abby, ale Jess już nie było. Po chwili usłyszała tupot jej butów na schodach, a potem trzaśnięcie drzwiami.

Abby porzuciła pomysł, że jeśli będzie czytać gazetę na stojąco, wtedy nie rozleniwi się na tyle, by nie wrócić do dzikich zarośli porastających ogród. Wysunęła krzesło i przysiadła na nim. Poczowała, że poniosła porażkę - porażkę jako

matka. Jeśli poniosła porażkę w byciu żoną, Tom musiał wziąć na siebie dużą część winy. Jednak jeśli chodzi o porażkę jako matka, sama sobie na nią zapracowała.

Poczuła ogromną potrzebę udania się na górę, wślizgnięcia do łóżka i przykrycia głowy kołdrą. Jednak nie mogła. Musiała dokończyć pracę w ogrodzie i iść na przyjęcie. Sally poprosiła Jess, by zaopiekowała się chłopcami, więc cały klan Bartonów będzie tam, grając szczęśliwą rodzinę. Abby tęsknie przypomniała sobie, że kiedyś naprawdę tak było.

Erin w ostatniej chwili ogarnęła trema.

- Musimy tam iść?

Spojrzała na Grega, który się golił, podczas gdy ona leżała w wannie z parującą wodą, a jej włosy zanurzały się w chmurze pachnących wanilią bąbelków. Wokół wanny były rozstawione świece, a w powietrzu unosiła się para i Erin niemal mogła zapomnieć o koszarnej różowej wannie i okropnej purpurowej tapecie w tureckie wzory.

- Nie, ty zostań. To świetny pomysł, Erin. Ja sobie pójdę i pogawędzę z tutejszymi kobietami - odparł zdecydowanie Greg. - Nie wrócę późno. Na pewno zdążę na jutrzejszy lunch. Nie masz nic przeciwko temu, prawda? Nie będę z nikim uprawiał seksu, jedynie pobałamucę nieco...

Erin rzuciła w niego odrobiną piany.

- Kiepskiego masz cela - zauważył Greg, zmywając z twarzy resztki pianki do golenia, po czym spryskał się Eau Sauvage. Przysiadł na skraju wanny i nachylił tak, jakby miał pocałować żonę, ale niespodziewanie sięgnął do jej stóp i wyciągnął z wanny korek.

- Łobuz - jęknęła Erin. - Miło mi było.

- Sądziłem, że lubisz Sally

- Bo lubię, jest super. Chodzi po prostu o to, że dzisiaj mam ochotę na leniwe nicnierobienie.

Ostatnimi czasy Erin przez cały czas miała ochotę na nicnierobienie, co było dziwne i zupełnie nie w jej stylu.

- Steve jest dla mnie dobry - oświadczył Greg. - Muszę tam iść, ale jeśli naprawdę nie chcesz, mogę powiedzieć, że źle się czujesz.

- Nie. - Wylaniając się z piany niczym Wenus, Erin owinęła się ręcznikiem. - Zapomnij o tym - rzekła udawanie belferskim tonem, kiedy Greg wsunął dłoń pod ręcznik. - Za to całe gadanie na temat flirtowania z tutejszymi kobietami nałożone zostały na ciebie surowe sankcje.

Rozdział jedenasty

Delia wyjęła z piekarnika ostatnią partię aromatycznych kwadratowych ciasteczek i postawiła je na kuchennym stole.

- Skończone - oświadczyła. - Nie pogniewałabym się, gdybym już nigdy więcej miała nie zobaczyć domowych ciasteczek.

Sally, która siedziała przy stole na taborecie, budując z precyzją godną architekta piramidę z bezików, uśmiechnęła się.

- Wiem, co masz na myśli. Jedynym minusem urządzania przyjęć jest przygotowywanie jedzenia.

- Tak jest - przytaknęła żarliwie jej teściowa. - Ale najbardziej nie znoszę tego momentu tuż przed pojawieniem się gości, kiedy cały dom lśni, ale ty czujesz się wykończona i masz ogromną chęć wszystko odwołać, by móc spędzić wieczór na kanapie przed telewizorem.

Sally posłała Delii zaniepokojone spojrzenie. Dokładnie tak czuła się teraz, nie chciała jednak, by jej teściowa o tym wiedziała. Zazwyczaj miała wystarczająco dużo energii na urządzenie dziesięciu przyjęć i gdyby Delia zauważyła coś innego, nabrałaby podejrzeń. Jednak na jej twarzy nie było widać, by cegokolwiek się domyślała. Przekładała właśnie z tacy świeżo przygotowane kanapki.

Z ogrodu wyłonił się Steve, skończywszy rozwieszanie na werandzie i jabłonkach mnóstwa maleńkich białych lampek.

- Pachnie świetnie - stwierdził, częstując się ciasteczkami.

Sięgnął po kolejne, ale dostał od matki łopatką po palcach.

- Przestań! Zobaczysz, że nam zabraknie, ty obżartuchu.

Steve uśmiechnął się szeroko.

- Jest prawie piąta - rzekł. - Jadę odebrać chłopców z tego przyjęcia urodzinowego.

Sally porzuciła beziki i poszła za nim do drzwi. Kiedy już byli sami, Steve objął ją i mocno przytulił.

- Jak się czujesz?

- Dobrze - odparła pogodnie. - Lepiej już jedź. Nie zapominaj, że za dwie i pół godziny schodzi się do nas setka ludzi. A musimy naszykować szklanki i kieliszki, dać chłopcom kolację i przebrać się.

- No problemo - rzucił Steve, dopasowując ton swego głosu do jej. - O szóstej przychodzi Jess, by się zająć chłopcami, prawda?

- Tak, więc do tego czasu powinniśmy być niemal gotowi.

- Muszę jeszcze przygotować poncz, ale obiecuję, że będę bardzo wstrzemięźliwy - oświadczył Steve z szelmowskim uśmiechem.

- Mam nadzieję... - Sally uwolniła się z jego objęć. - Ostrzegam cię, niech chociaż jedna osoba się upije, a będziesz miał kłopoty.

- To obietnica czy czcza pogroźka? - zapytał przebiegle. Sally posłała mu spojrzenie najbardziej niewinne z możliwych.

- Będziesz musiał poczekać, by się przekonać - rzekła i wróciła do kuchni, by dokończyć przygotowywanie deserów.

Taksówka Erin i Grega zatrzymała się przed domem Richardsonów dokładnie o siódmej trzydzieści. Nie było widać ani jednego zaparkowanego samochodu.

- Powiedzieli siódma trzydzieści, tak? - zapytała Erin.

- Tak. - Greg zapłacił kierowcy i wysiedli. - Może cała reszta zamierza się modnie spóźnić.

- Albo my jesteśmy niemodnie punktualni. Mam nadzieję, że niczego nie pokreśliśmy. Nie ma nic gorszego niż zostanie gospodarzy przyjęcia w szlafrokach i bez odrobiny makijażu.

- Gdyby Steve planował nakładanie makijażu, to by znaczyło, że mamy kłopoty

- Wiesz, o co mi chodzi, ty mądrało.

- Witajcie! - W drzwiach pojawił się Steve. - Wchodźcie. Cudownie was widzieć.

- Mam nadzieję, że nie jesteśmy za wcześnie? - Erin wręczyła mu porcelanową donicę z fiołkiem afrykańskim, a Greg butelkę wina.

- Absolutnie nie za wcześnie! - oświadczyła Sally, podchodząc pospiesznie do drzwi i zapinając po drodze kolczyk.

- Gdybyście zobaczyli, że wlewa do tego ponczu coś niebezpiecznego, natychmiast mnie zawołajcie. To ma być miłe, nie pijackie przyjęcie.

- O nie - odezwał się śmiertelnie poważnie Greg. - Skoro tak, to wracamy do domu. Tak się nie mogłem doczekać tej pijackiej rozpusty na wzór ostatnich dni Imperium Rzymskiego.

Sally jęknęła.

- Miałam nadzieję, że będziemy mieć choć jednych znajomych, którzy nie wiedzą o naszych cieszących się złą sławą imprezach, a Steve musiał wszystko zniszczyć.

- Niczego mi nie powiedział - odparł niewinnie Greg.

- Przeczytałem o tym na tablicy informacyjnej w biurze.

- Och wy... - Sally udawała, że bierze zamach, by uderzyć Grega, jednak zamiast tego pocałowała go na powitanie. - Już rozumiem, dlaczego ty i Steve tak dobrze się dogadujecie.

- Mają to samo szczeniackie poczucie humoru - wyszeptła Erin, kiedy przytulała Sally. - Ale nie mów im, że to powiedziałam.

Potem dzwonek nie przestawał rozbrzmiewać, obwieszczając pojawianie się reszty gości, niosących z sobą wino i kwiaty. Słychać było muzykę i szum rozmów, a Erin i Greg mieli okazję poznać, jak im się wydawało, całe Dunmore. Wszyscy byli tacy czarujący i zainteresowani przybyszami, a Greg znajdował się w swoim żywiole, rozmawiając z żywieniem z nowymi sąsiadami. Natomiast Erin po raz pierwszy w życiu nie była w stanie prowadzić rozmowy towarzyskiej. Wiele razy przyłapywała Grega na przyglądaniu się jej w sposób zdradzający lekkie zdziwienie, jakby chciał zapytać, co u licha się z nią dzieje. Erin też chciała by to wiedzieć.

Lizzie nie była przekonana co do tej nowej bluzki, którą miała na sobie. W modnym sklepie na nabrzeżu słodka, młoda sprzedawczyni wmawiała jej, że jest naprawdę „na czasie”, i Lizzie czuła, że jest jak najbardziej uprawniona do noszenia zwiewnego szyfonowego topu, który z przodu miał tak głębokie wycięcie, że niemal mógł się kwalifikować jako strój w katalogu dla karmiących matek, potrzebujących łatwego dostępu do piersi.

W domu, po wypiciu dla kurażu szklaneczki sherry, uznała, że w tej bluzce wygląda nowocześnie i młodo. Kiedy była już prawie przed drzwiami Richardsonów, ponownie zerknęła na dekolt i zastanowiła się, czy nie przekroczyła przypadkiem tej niewidzialnej granicy stylu pomiędzy młodzieńczym szykiem a żyłastą starą owcą przebraną za jagnię. Od domu dzieliło ją zaledwie pięć minut drogi, mogła szybko skoczyć i się przebrać...

- Lizzie, cudownie cię widzieć! - zawołał wysiadający z samochodu mężczyzna.

- Witaj, jak się masz? - zapiszczała jego żona.

Lizzie poprawiła granatowy żakiet nałożony na bluzkę. Miała nadzieję, że uda jej się pozostać w nim przez cały wieczór, mimo że było naprawdę ciepło. Uśmiechnęła się.

- Margo i Ken - odparła. - Was też cudownie widzieć.

„Może u Steve'a i Sally nie ma luksusów, ale za to widać czysty, domowy styl”, pomyślała Lizzie. Była to zaadaptowana stodoła z czerwonej cegły z niskimi sufitami. W połowie na górze znajdowały się okna mansardowe, a w drugiej przestronne pomieszczenie, wysokie aż do stropu. Wszystko udekorowano na przyjęcie. Przed domem na jabłoniach i nad drzwiami wisiały małe, białe lampki, dzięki czemu ten dom ze spadzistym dachem wyglądał jak żywcem wyjęty z baśni Hansa Christiana Andersena. Wewnątrz cały salon połyskiwał lampkami choinkowymi i świeczkami. Znajdujące się na końcu pomieszczenia drzwi balkonowe były otwarte i Lizzie dostrzegła przez nie poustawiane na drewnianych palach stoły udekorowane świeczkami i powtykane w klomby cienkie świece ogrodowe, mrugające pomiędzy kwiatami czarnuszki. W kuchni na drugim końcu pomieszczenia stał stary, odrapany kremowy stół i kilka kredensów, pochodzących z różnych okresów i stylów z ostatnich pięćdziesięciu lat. Steve, stojący za stołem zastawionym butelkami w każdym możliwym kolorze, radośnie rozlewał do szklanek i kieliszków alkohol, podczas gdy pośród gości było widać przemykającą Sally i jej kręcone, ciemne włosy Ścisłała ludzi i mówiła wszystkim, jak bardzo się cieszy, że ich widzi. Szczupła tak, że można jej było tylko zazdrościć, w opalizującej sukience wyglądała niczym mały, połyskujący w świetle świec motyl. W całym domu panowała atmosfera zyczliwości. Pomimo swego wcześniejszego zdenerwowania, Lizzie cieszyła się, że tutaj jest.

- Lizzie, kochana, tak się cieszę, że udało ci się przyjść - rzekła Sally i dzięki jej słowom Lizzie natychmiast poczuła się mile widziana. - I Margo, i Ken. Świetnie was widzieć. No dobrze, to czego macie ochotę się napić?

Problem z przyjęciami w niewielkich społecznościach, dumiała pół godziny później Lizzie, był taki, że po kilku latach nie było szansy, by po przeciwnej stronie zatłoczonego pomieszczenia dostrzec kogoś nieznanego. Znało się wszystkich przynajmniej z widzenia i opowieści. Wiedziała na przykład, że ten wysoki mężczyzna z pobrużdżoną twarzą i rozbieganymi oczami, który stał przy drzwiach balkonowych i mierzył spojrzeniem wszystkie obecne tutaj kobiety, nie był z nikim związany, ale był z niego beznadziejny głupek. Larry wyglądał jak marzenie każdej rozwódki, jednak po dwóch spotkaniach spędzonych na wysłuchiwanie historii jego nieudanych związków i tego, że nigdy z nikim nie połączyła go taka więź jak z matką, i jak mu dokuczają kulszowa, nawet najbardziej zdesperowane kobiety uciekały najdalej, jak się dało. Lizzie wiedziała o tym od Clare Morgan. Sama nie udzielała się towarzysko wystarczająco często, by zostać namierzoną przez radar Beznadziejnego Larry'ego.

Właśnie wyszła z pokoju, gdzie można było zostawić okrycia, kiedy zjawili się Abby i Tom Barton. Jeśli Lizzie nie myliła jej zdolność czytania mowy ciała, Bartonowie z pewnością wcześniej się pokłócili. Wyraźnie starali się stać od siebie jak najdalej i oboje zaciskali usta, jakby w obawie, by nie powiedzieć czegoś, czego później mogą żałować.

- Witaj - rzekła pogodnie Abby

- Witajcie - odparła Lizzie. - Lizzie Shanahan - dodała, na wypadek gdyby jej nie znali.

- Oczywiście, że się znamy, Lizzie - rzekła szybko Abby

- Spotkałyśmy się w przychodni.

- No cóż, na pewno poznajesz bardzo wielu ludzi - stwierdziła Lizzie. - Zapamiętywanie imion to wcale nie taka prosta sprawa. Mam z tym problem w przychodni. Ludzie zazwyczaj dzwonią wcześniej, by umówić się na wizytę, więc mam zapisane ich nazwiska i stąd też żadnej wymówki.

- O Boże, imiona, już lepiej nic nie mów - jęknęła Abby

- Jestem w tym beznadziejna.

Widząc, jak kobiety nawiązują tę irytującą żeńską więź, co zdawały się potrafić wszystkie po zaledwie dziesięciu sekundach, Tom uśmiechnął się grzecznie do Lizzie, zupełnie zignorował żonę i udał się w kierunku Steve'a i jego stołu. Potrzebował drinka.

Abby przyglądała się jego oddalającym się plecom.

- Mężowie - mruknęła Lizzie. - Nie można z nimi żyć, a nie można ich zabić.

- Święte słowa - przyznała żarliwie Abby

- Przepraszam, nie powinnam była tak mówić.

Lizzie żałowała, że nie ugryzła się w język. Abby pomyśli sobie jeszcze, że rozmawia z nią tylko dlatego, że jest sławna.

- Nie, masz rację - odparła uprzejmie Abby

Stały przez chwilę w pełnym skrępowania milczeniu, i Lizzie czuła się jak idiotka z powodu podjęcia próby nawiązania rozmowy z kimś takim jak Abby.

- Przepraszam - powtórzyła. - Prawie cię nie znam. Ja tylko... - Urwała z zakłopotaniem.

Abby wyglądała na zainteresowaną. Lizzie nie wiedziała, czy to z jej strony po prostu uprzejmość, ale mimo to brnęła dalej. A co tam, sławni ludzie muszą być dobrzy w wymiganiu się od rozmów, gdy są znudzeni, a we wszystkich artykułach w kolorowych magazynach pisali, że Abby jest osobą twardo stającą po ziemi, więc Lizzie równie dobrze mogła spróbować.

- W mojej głowie nagle pojawiło się wspomnienie, jak to jest, kiedy ma się męża, pokłóci się z nim i przekonuje potem samą siebie, że można iść w miejsce publiczne bez krzyczenia na siebie - kontynuowała Lizzie.

Abby poczuła, jak kąci jej ust unoszą się. A więc to by było na tyle, jeśli chodzi o jej teorię na temat tego, że potrafią utrzymać kłótnię za zamkniętymi drzwiami.

- Ty też?

Lizzie skrzywiła się.

- Już nie - odparła. - Mój mąż i ja jesteśmy rozwiedzeni. Rozstaliśmy się pięć lat temu, więc kłócimy się jedynie przez telefon. - Zastanowiła się przez chwilę. - Właściwie to teraz w ogóle się nie kłócimy Nasza córka wychodzi za mąż i Myles i ja absurdalnie nadajemy na temat wszystkiego na tych samych falach.

Boże, dlaczego powiedziała to wszystko? Dlaczego wypaplała to komuś, kogo dopiero co poznała?

- A więc mówisz, że cały sekret tkwi w rozwodzie? - zapytała z żalem Abby - Mamy nastoletnią córkę i, no cóż, radzenie sobie z nastolatką bywa trudne, prawda? A skoro mowa o Jess, oto ona.

Jess wyglądała ładnie w dzinsach i połyskującym, turkusowym T-shircie, włosy związała w dwa zawadiackie warkoczyki, ozdobione ślicznymi fioletowymi wstążkami, które dostała od Sally Pojawiła się z tacą z drinkami.

- Cześć, mamó - odezwała się niechętnie.

W Lyonnais nie było już dzisiaj więcej spięć, ale atmosfera zrobiła się tak gęsta, że można ją było kroić nożem, stąd Jess wywnioskowała, że rodzice znowu się kłócili. Co nie znaczy, by było to czymś nowym. Z wielką ulgą udała się do Sally i Steve'a, gdzie nie było napięcia i jedyne, co musiała robić, to zabawiać chłopców, podczas gdy Sally, Delia i Steve kończyli przygotowania do przyjęcia. Teraz Jack i Daniel twardo spali, a ona zaproponowała, że może być kelnerką.

- Zrobiłam już pięć rundek z bułeczkami z mozzarellą i pastą z kaparów i oliwek, więc pomyślałam, że poroznoszę też coś do picia. Masz na coś ochotę?

- Tak, dziękuję - odparła Abby, biorąc z tacy szklankę z wodą mineralną. - Jess, to jest Lizzie, która mieszka nie-daleko nas. Lizzie, to moja córka, Jess.

- Cześć, Jess - rzekła ciepło Lizzie. - Podoba mi się twoja błyszcząca bluzka. Może się zamienimy? Swoją kupiłam w HipBabe na nabrzeżu i jest zdecydowanie bardziej odpowiednia dla twojej grupy wiekowej niż mojej. Mam wrażenie, że mi zupełnie nie pasuje.

Jess zachichotała.

- Ślicznie w niej pani wygląda. Ma pani ochotę na coś do picia? Mamy wodę, wino, sok owocowy i ten cały poncz.

Abby poczuła absurdalne ukłucie zazdrości, że jej córka potrafi tak dobrze się dogadywać z Lizzie, a nie z nią. Jej zaferowała napoje tak, jakby deratyzator proponował szczerowi truciznę. No ale przecież wcześniej Lizzie nie zachowała się jak zła, obojętna matka.

Kiedy Lizzie wzięła z tacy szklanke, Jess się oddaliła. Abby powiodła za nią wzrokiem.

- Urocza dziewczyna, ale ciężko być matką nastolatki, prawda? - stwierdziła trafnie Lizzie.

Abby kiwnęła głową, więc Lizzie kontynuowała:

- Moja córka, Debra, ma teraz dwadzieścia trzy lata i doskonale się dogadujemy, ale były lata, kiedy rozważałam wezwanie Kofiego Annana.

Słyszac te słowa, Abby się roześmiała.

- A myślałam, że tylko ze mną tak jest - przyznała, po czym ugryzła się w język.

Ledwo знаła tę kobietę, dlatego więc opowiadała jej o takich osobistych sprawach?

- Och, tak jest z nami wszystkimi. Kobiety są zaprogramowane, by myśleć, że są jedynymi nieudacznikami we wszechświecie, podczas gdy mężczyźni są zaprogramowani, by myśleć, że są najmądrzejszymi stworzeniami we wszechświecie - oświadczyła Lizzie, siadając na podeście schodów.

Abby przysiadła się obok.

- To brzmi jak tytuł książki.

- Mogłabyś nakręcić program telewizyjny na ten temat - odparła z entuzjazmem Lizzie. - Oglądałyby go miliony rodziców.

Abby skrzywiła się.

- Mam wystarczająco dużo problemów z programem, w którym występuję. Czasami mam ochotę rzucić to wszystko. - „Zanim sama zostanę przez to rzucona”, brzmiała jej niewypowiedziana na głos myśl.

- Ale jesteś w tym taka dobra.

W głosie Lizzie było słycać autentyczny podziw i Abby poczuła, że zaczyna się odprężyć. Lizzie była taka ciepła i tak łatwo się z nią rozmawiało, a po tygodniu, podczas którego w domu nie miała do kogo otworzyć ust, prowadzenie konwersacji nie przypominającej chodzenia po potłuczonym szkle stanowiło ulgę.

- W telewizji jesteś taka mądra i miła, wszyscy, których znam, uwielbiają twój program - ciągnęła Lizzie, po czym się zawstydzila. Zazwyczaj nie mówiła tak dużo. To na pewno wina wypitej wcześniej sherry Abby jednak nie wydawała się uważać jej za idiotkę.

- Dzięki, to bardzo miłe z twojej strony - odparła. - Ale nie czuję się mądra. Mam uczucie, jakbym wzięła to wszystko na siebie, a teraz wszyscy czekają tylko, aż upadnę na twarz.

- Ale przecież odniosłaś wielki sukces. - Nieśmiałość Lizzie zniknęła, zastąpiona niedowierzaniem. - Zmieniłaś swoje życie, nie tak jak pozostali, którzy tylko myślą, by to zrobić.

- Telewizja to nic trudnego, jeśli robisz coś, co sprawia ci przyjemność - wyjaśniła Abby. - To cała reszta życia jest trudna.

- Nastolatki? - zasugerowała Lizzie.

- I mężowie.

- Byłam, widziałam, przeżyłam, wręczono mi papiery rozwodowe. - Westchnęła. - Ty przynajmniej nadal masz nastolatkę i męża.

Abby nie chciała akurat w tej chwili myśleć o mężu. Zastanawiała się, dlaczego Lizzie rozwiodła się ze swoim.

- A więc zjawiłaś się tutaj z kimś szczególnym? - zapytała zamiast tego.

Lizzie zarumieniła się. „Chciałabym”, pomyślała. Abby uzna, że jest beznadziejna.

- Nie byłam na randce, odkąd zaczęłam się spotykać z moim mężem - przyznała, jeszcze bardziej się rumieniąc. - Żalodne, prawda? Przyszłam dzisiaj sama, i o ile nie wstawię się i nie wyskoczę z tego absurdałnego topu, do domu wrócę także sama. Ale wiesz co - dodała. - Jakoś nie jestem sobie w stanie wyobrazić, by jakikolwiek mężczyzna płonął z pożądania na mój widok, w tym stroju czy też bez niego.

- Nie mów tak - zaprotestowała Abby. - Jesteś bardzo atrakcyjna, a twój strój jest naprawdę seksowny.

- Tak myślisz? - Lizzie wydawała się żałośnie wdzięczna za ten komplement. - Nie sądzę, bym jeszcze wiedziała, jak być seksowną. W następne urodziny skończę pięćdziesiąt lat. Pięćdziesiąt i seksowna to nie są słowa, które zwykle się słyszeć w tym samym zdaniu. Pięćdziesiąt jest smutnie połączone z praktycznymi spódnicami, beżowymi kardiganami i butami na gumowych podeszwach.

Abby wybuchnęła śmiechem.

- Jesteś świetna, Lizzie. Ale daj spokój, to, że masz pięćdziesiąt lat, wcale nie oznacza, że musisz nosić to, co wymieniłaś, jeśli nie masz na to ochoty - upierała się, wygodnie zapominając, że sama niedawno miała wrażenie, iż czterdzieści dwa oznacza to samo co sto czterdzieści dwa.

- To teoria - odparła poważnie Lizzie. - Ale jeśli ubiorę się jak nastolatka i zacznę chodzić co wieczór na imprezy, ludzie uznają, że przeżywam drugie dzieciństwo, jeśli zaś wybiorę buty z gumowymi podeszwami i beżowe kardigany, będą mówić, że się nie staram. - Myślała o tym ostatnio tak często, że była gotowa napisać na ten temat rozprawę naukową.

- To dlatego, że jesteś rozwiedziona, prawda? - zapytała z zainteresowaniem Abby. - Gdybyś nadal była mężatką, ludzie zaakceptowałyby jakąkolwiek rolę, którą byś wybrała, ale skoro jesteś samotna, oczekują od ciebie znacznie więcej.

- Dokładnie tak! - zawołała Lizzie. - Mam uczucie, jakbym przez cały czas była osądzana. Jeśli kupię w supermarkecie butelkę wina i zobaczy mnie ktoś, kogo znam, zaraz myślę, że ta osoba nie pochwali tego i uzna, że siedzę w domu i zapijam smutki przed telewizorem.

- Wiem, co masz na myśli - przerwała Abby. - Ludzie rozpoznają mnie teraz w supermarkecie i widzę, jak zerkają mi do wózka, jakby chcieli powiedzieć: „Popatrzcie na te mrożonki i gotowe dania, powinna się wstydzić”.

Uśmiechnęły się do siebie szeroko, zjednoczone w niechęci wobec ludzi, którzy osądzają. Lizzie była zdumiona tym, że tak otwarcie rozmawia z Abby. Gdyby się spotkały w grupie, najprawdopodobniej uśmiechnęłyby się do niej nieśmiało i nie odezwały ani słowem, a tymczasem teraz konwersowały, jakby się znały od zawsze.

- Choć jednak to pewnie nasza wina - dodała Abby. - Guzik by nas obchodziło, kto zagląda nam do wózków, gdybyśmy były pewne siebie. Byłybyśmy wtedy dumne z naszych mrożonych pizz i butelek kalifornijskiego Zinfandela.

- Bardzo bym chciała być pewna siebie - westchnęła Lizzie.

„Ja też”, pomyślała Abby, ale nie wypowiedziała tego na głos.

- Są nawet specjalne kursy, wiesz? Kursy odkrywania prawdziwej siebie - rzekła smutno Lizzie. - Problem w tym, że głupio bym się czuła na takim kursie.

- Niepotrzebny ci kurs - zbesztła ją Abby. - Musisz po prostu uważać, że jesteś pewna siebie.

- Zdradź mi sekret.

- Wyobrażasz sobie, jak zachowują się ludzie pewni siebie, i po prostu tak robisz. Uśmiechasz się, wyglądasz na pewną siebie i rozmawiasz z ludźmi.

- Wydaje się to takie proste.

- I takie jest - upierała się Abby. - Kiedy jesteś zdenerwowana, postaw się w myślach na miejscu najbardziej pewnej siebie przyjaciółki. I musisz trenować. Na przykład jeśli chcesz umawiać się z mężczyznami, musisz się przełamać i spróbować. A może podejdiesz do tego przystojnego faceta, który tam stoi i nawiążesz z nim rozmowę?

- Do Beznadziejnego Larry'ego?

- Tak się nazywa?

- Niezupełnie. Jeszcze nigdy z nim nie rozmawiałam.

- No to idź, dziewczyno! - zarządziła Abby. - Jest beznadziejny tylko dlatego, że nigdy nie poznał ciebie. A jeśli rzeczywiście jest beznadziejny, możesz na nim poćwiczyć swoje nowe umiejętności jako kobiety pewnej siebie.

- Okej. - Lizzie zaskoczyła tym samą siebie. No cóż, czemu nie? Larry był singlem, ona też. Może nie jest wcale taki zły, jak mówiła Clare. Mógłby stanowić dokładnie taki bodziec, jakiego szukała, by odmienić swoje życie. - To zabawne - stwierdziła nagle. - Mam wielu znajomych, którzy od wielu lat znali Mylesa i mnie, i gdyby ktoś z nich kazał mi zagadać do mężczyzny, poczułabym się urażona ich pomysłem.

- Starzy przyjaciele znają starą ciebie - odparła mądrze Abby. - Czasami potrzebni są nowi, by mogli ci powiedzieć coś nowego. - Wstała ze schodów. - Pokrażę trochę - oświadczyła, zastanawiając się, czy powinna sprawdzić, czy Tom jest w bardziej pokojowym nastroju.

- Do zobaczenia później - rzekła Lizzie, czując się dziwnie podniesiona na duchu tą rozmową. Nie była kimś nudnym. Była interesująca. Pójdzie i porozmawia z nowymi ludźmi, zamiast pozostać uczepona jak rzep psiego ogona „bezpiecznych” par, które znała.

Przyjęcie przebiegało gładko, jednak Erin nie bawiła się dobrze. Steve i Sally wcześniej przedstawili Grega i ją wielu osobom, ale wciąż nie potrafiła wykrzesać z siebie energii, by z nimi porozmawiać. Miała ochotę jechać do domu, ale była dopiero dziewiąta, a Greg brał właśnie udział w gorącej politycznej dyskusji. Stała więc na skraju grupy, tak naprawdę nie zwracając na nic większej uwagi, nieprzyjemnie świadoma tego, że musi sprawiać wrażenie chłodnej i niedostępnej. Błądziła spojrzeniem po pokoju. Sally siedziała na oparciu fotela, rozmawiając z ożywieniem z kilkoma paniami na temat dzieci, podczas gdy Steve krążył z butelką białego wina i dzbankiem swego zabójczego ponczu. Erin wcześniej posmakowała odrobinę i czym prędzej odstawiła szklankę. Greg twierdził, że tak naprawdę ten poncz wcale nie był taki mocny, ale jakiegokolwiek alkoholu wlał do niego Steve, dla Erin miał on dziwny smak. Wśród gości krążyła także Delia z tacami z kanapkami, gawędząc radośnie i wmuszając we wszystkich jedzenie.

- Ja to zrobiłam, wy to musicie zjeść! - wołała z humorem.

Pomagała jej wysoka, jasnowłosa nastolatka, która proponowała jedzenie w zupełnie inny sposób: nieśmiało wysuwała przed siebie tacę, a jej twarz rozjaśniał piękny uśmiech, kiedy ludzie z nią rozmawiali.

Ktoś zrobił głośniejszą muzykę, a poziom rozmów i śmiechu proporcjonalnie się podwyższył - goście wyraźnie się rozluźniali. Ta prezenterka z telewizji - Abby chyba? - i jej mąż stali w kącie w kuchni, pochłonięci zaciekle dyskusją.

Steve przedstawił ją wcześniej im obojgu i Erin nie poczuła, by zyskała potencjalną przyjaciółkę. Abby zachowywała się idealnie uprzejmie i oschle.

- Miło cię poznać - rzekła, ale w jej oczach nie było ciepła, zaś na twarzy widniało coś, co Erin natychmiast rozpoznała: zazdrość.

Wiele razy doświadczyła zazdrości ze strony kobiet - o jej szczupłość i urodę, kiedy jednak miały okazję lepiej ją poznać, zazdrość zazwyczaj zniknęła. Czyżby Abby była jedną z tych osób, które czuły się zagrożone przez inne atrakcyjne kobiety? A może była po prostu obrażona na męża, który wydawał się miły, aczkolwiek nieco zatroskany Erin

przyglądała im się leniwie i zastanawiała, dlaczego niektórym ludziom nie przeszkadza to, że kłócą się w miejscu publicznym.

Nieświadoma tego, że jest obserwowana, Abby wpatrywała się w męża. Wszelkie myśli o pogodzeniu się odeszły w zapomnienie.

- O co ci chodzi? - zapytał oskarżycielsko Tom, nalewając sobie kolejnego drinka.

- Ignorujesz mnie, odkąd tu przyszliśmy - wysyczała Abby - To oczywiste. A może lepiej wykupisz anons w miejscowej gazecie, w którym oświadczysz, że właśnie się pokłóciliśmy? Ludzie będą o tym mówić, a teraz, kiedy jestem dobrze znana, będą mówić jeszcze więcej.

- Och, ty i twoja ważna kariera - odparł drwiąco. - Jesteśmy wśród przyjaciół, ludzi, którzy cię znali, zanim się stałaś sławna. Guzik ich obchodzi, czy się kłócimy.

- Cóż, ale mnie obchodzi. Nie chcę upubliczniać naszego prywatnego życia.

- Tak właśnie chcesz? - Tom wstawił białe wino z powrotem do lodówki. - W takim razie dlaczego mówisz o swoim prywatnym życiu, kiedy udzielasz tych cholernych wywiadów?

- To cios poniżej pasa! - zawołała Abby - Nie mówię o tobie ani Jess. Robię, co w mojej mocy, by was chronić. Muszę udzielać wywiadów, to moja praca.

- Daruj sobie. - Ton głosu Toma był zjadliwy

- Co się ostatnio z tobą dzieje? - zapytała głośno Abby, zupełnie zapominając, że może zostać usłyszana przez innych. - Przez cały czas jesteś w podłym nastroju i w ogóle już ze mną nie rozmawiasz, to znaczy nie rozmawiasz normalnie, a tylko narzekasz.

- Narzekam? Ty mnie oskarżasz o narzekanie? - W głosie Toma zabrzmiało niedowierzanie. - To ty nigdy nie przestajesz się skarżyć na zmarszczki albo cellulit, albo to, że wszystkie telewizyjne gwiazdy są młodsze i że nikt nie rozumie presji, pod jaką żyjesz...

- Przestańcie! Wszyscy na was patrzą. - Głos Jess był dziwnie wysoki.

Tom i Abby zamilkli, i rozejrzeli się. Rzeczywiście wielu gości patrzyło w ich kierunku, po czym odwracało z zakłopotaniem głowy.

Abby poczuła, że jej policzki robią się szkarłatne z upokorzenia.

- Nigdy nie myślicie o innych - oświadczyła Jess - ale tylko o sobie. Myślicie, że jak ja się czuję, kiedy przez cały czas się kłócicie? - Po tych słowach szybko się oddaliła.

- Głowa do góry. Wszyscy od czasu do czasu się kłócimy.

- To Steve, pełen determinacji, by zażegnać spór. Objął ramieniem Abby, drugim Toma i przyciągnął ich bliżej siebie.

- Albo wypiliście za dużo mojego ponczu, albo za mało.

- Powinniśmy już iść. - Abby była zdenerwowana, zarówno samą kłótnią, jak i tym, że Jess była jej świadkiem, nie wspominając o wszystkich gościach na przyjęciu.

- Nie idźcie - poprosił Steve. - Jest dopiero wpół do dziesiątej. Jeśli teraz pójdziecie, przez cały wieczór będziecie się czuli paskudnie zażenowani tym, że ludzie widzieli waszą sprzeczkę. Zostańcie i odprężcie się.

Abby pomyślała ze smutkiem, że lepiej niż Tom rozumiał, jak ona się teraz czuje.

- Zostaniemy - rzekł Tom. - Dobrze?

Abby ledwie była w stanie się zmusić, by na niego spojrzeć, ale w końcu to zrobiła i wtedy zobaczyła, że on też wydaje się równie zdenerwowany, a to już coś. Wyciągnął rękę i poklepał ją po dłoni. Wciąż na niego zła, zastanawiała się, czy dotknął jej, by zrobić przyjemność Steve'owi, ponieważ na pewno nie zrobił tego dla niej.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Tak, zostaniemy - odparła. - Nie ma co psuć sobie imprezy jakąś głupią kłótnią.

- Super - rozpromienił się Steve.

Podeszła do nich Sally. Na jej słodkiej twarzy było widać niepokój.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

Steve usunął się na bok, pozwalając żonie wślizgnąć się między Bartonów. Świetnie z sobą współgrają, uświadomiła sobie Abby z ukłuciem. Steve wiedział, że Sally jest pocieszycielką, i nie musieli używać słów, by postanowić, że w tej sytuacji to ona poradzi sobie lepiej od niego. Abby zapytała siebie, czy ona i Tom kiedykolwiek potrafili komunikować się bez słów.

- Tak, wszystko gra - odparła pogodnie Abby. - Pójdę tylko sprawdzić, co u Jess.

- Jest na górze. A może to ja pójdę i sprawdzę, czy wszystko w porządku? - zapytała delikatnie Sally.

Abby poczuła, że jest jej wstyd. Sally widziała, jak bardzo Jess była zdenerwowana, i uznała, że będzie lepiej, jeśli to ona, a nie Abby, pójdzie, by z nią porozmawiać. Skinęła głową, nie mając odwagi, by się odezwać.

Jess wślizgnęła się do pokoju chłopców, gdzie natychmiast otuliło ją kojące, łagodne żółte światło z ukochanej nocnej lampki Danny'ego. Według słów Sally miał ją, odkąd był malutki, i nie zgadzał się, by z niej wyrosnąć. Lampka stała na małym białym regale z dziecięcymi książeczkami. Spokojniejsza dzięki temu światłu i rytmicznym oddechom śpiących dzieci, Jess usadowiła się na jednej z małych poduch z grochem, leżących obok regału, i wzięła do ręki bajkę, którą wcześniej im czytała. Dlaczego ludzie opowiadali dzieciom bajki? Kiedy była mała, mama i tata czytali jej książki, w których wszystko dobrze się kończyło. Jednak w prawdziwym życiu tak nie było. Często nie kończyło się dobrze. Brzydkie kaczątko, noszące okulary i aparat na zębach, nie przemieniały się w łabędzie, a w Kopciuszkach nie zakochiwali się księżęta.

Podsłuchiwała na dźwięk delikatnego pukania do drzwi.

- Jess, jesteś tam? - W drzwiach pojawiła się ciemna głowa Sally. - Wszystko w porządku?

Jess kiwnęła głową.

- Chcesz porozmawiać?

Potrząsnęła głową. Gdyby zaczęła z kimś o tym rozmawiać, rozplakałaby się. I Sally uznałaby, że jest po prostu głupim dzieciakiem. Jess tak bardzo podziwiała Sally. Była dorosła, miała dzieci, pracę i ogólnie dużo stresu, ale mimo to umiała się cieszyć życiem. Ona i Steve śmiali się razem i żartowali. „Tak powinno być w rodzinie”, pomyślała Jess. Tak, jak w jej rodzinie było jakiś trylion lat temu. Zanim przeprowadzili się do Dunmore.

- Zawołaj mnie, gdybym ci była potrzebna - rzekła Sally, po czym zamknęła delikatnie drzwi.

Mama tak by nie powiedziała, pomyślała z goryczą Jess. Mama przez cały czas chciała wiedzieć, o czym myśli i czy wszystko w porządku. Nigdy nie wiedziała, kiedy się wycofać i dlatego właśnie Jess musiała zamykać się w sobie, inaczej nigdy nie miałyby szansy na prywatne myśli. Sally była mądrzejsza. Przez pełen poczucia winy ułamek sekundy Jess żałowała, że Sally Richardson nie jest jej matką albo chociaż starszą siostrą czy kimś w tym rodzaju. Wtedy miałyby kogoś, z kim mogłaby porozmawiać.

Lizzie uznała, że Larry wcale nie jest beznadziejny. Był z całą pewnością przystojny, wystarczająco wysoki, by zaglądać jej w dekolt, ale na tyle dżentelmeński, by tego nie robić. I miał przynajmniej tyle lat co ona, więc nikt nie mógł oskarżyć jej o to, że gustuje w dużo młodszych.

Wyobrazić sobie, jak zachowałaby się osoba pewna siebie, taka była rada Abby Lizzie postanowiła brawurowo, że uczyni co w jej mocy.

- Nie mogę uwierzyć, że nie poznaliśmy się wcześniej - rzekła, kiedy już przebrnęli przez te całe korowody ze ściskaniem dłoni i witaniem się.

- Ja też nie - odparł, ponownie zachowując się jak dżentelmen. Miał sympatyczne spojrzenie, ale jego wygląd nieco psuła tendencja do garbienia się. Lizzie podejrzewała, że to pewnie przez tę paskudną rwę kulszową.

- Lizzie! - Odwróciła się na pięcie i znalazła twarzą w twarz z panem Grahamem, prawnikiem, którego kancelaria sąsiadowała z przychodnią. Pan Arogancki z cuchnącym oddechem. - Fajnie cię tutaj dzisiaj widzieć.

Pocałował ją w policzek. Był to mokry pocałunek, który sprawił, że się wzdrygnęła. Jakoś udało mu się w tym samym momencie ścisnąć jej pośladek.

Przyprawiło to Lizzie o dreszcze, ale zaprogramowana była na uprzejmość.

- Witam - rzekła. - Eee... Larry, poznaj pana...

- Ben Graham - przedstawił się gładko prawnik. - Mieszkam dwa domy dalej. Lizzie i ja pracujemy po sąsiedzku.

Uświadomiła sobie z przerażeniem, że zabrzmiało to naprawdę kumotersko. Larry wyraźnie też tak uznał.

- Miło was było poznać, Lizzie, Ben - rzekł, po czym się oddalił.

Lizzie była skazana na Bena Grahama, którego oddech nie uległ zbyt dużej poprawie.

- A więc mam cię wreszcie dla siebie - oświadczył.

Łypnął na nią okiem. Nie dało się tego inaczej określić. Lizzie dostrzegła ze wzdrygnięciem, że nawet jego oczy mokro lśniły. Nie znaczy to, że był brzydkim mężczyzną, ale był z tak wielkim samozadowoleniem przekonany o własnej atrakcyjności, że po prostu miało się ochotę odejść. Lizzie uznała, że jest obleśny, i bez względu na to, jak bardzo była zdesperowana, jej desperacja nigdy nie będzie aż tak duża.

- Larry to nie twój typ - dodał z przekonaniem. - Trochę głupawy - Przynął się bliżej. - Brak mu siły - Łypnął okiem na jej dekolt. - Tygrysek - dodał miękko. - Podoba mi się.

Lizzie poczuła skurcz w żołądku.

- Mówiłam wtedy do kota - wyjąkała - nie do ciebie.

- Och, rozumiem - odparł Ben, nadal uśmiechając się szeroko, przekonany, że i tak wie swoje.

Znajdował się tak blisko niej, że zrobiła krok w tył i wpadła na ścianę. Nie powstrzymało to Bena, który przesunął się za nią. Nie był wysoki, ale wystarczająco, by nie odrywać wzroku od jej bluzki.

- Świetny strój - rzekł, opierając się jedną ręką o ścianę tak, by mieć lepszy widok.

Dłoń Lizzie automatycznie złączyła materiał bluzki pod szyją.

- Psujesz zabawę.

Aby wkurzyć Lizzie, trzeba było naprawdę przegiąć. I on to zrobił.

- Czy mówi ci coś pojęcie osobistej przestrzeni? - zapytała z żarem.

Pewność siebie Bena uległa pewnemu zachwianiu.

- Osobistej przestrzeni...?

- Osobistej przestrzeni - powtórzyła Lizzie. - Nie chcę, byś gapił się na moją bluzkę. To niegrzeczne. I nie chcę, byś stał obok mnie tak blisko, bym czuła twój oddech. - Nie powiedziała ani słowa na temat stanu tego oddechu. Bez względu na to, jak była wkurzona, nie potrafiła być dla niego aż tak paskudna.

- Żadna się wcześniej nie skarżyła - odparł z zadowoleniem Ben, nie ruszając się z miejsca. Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia z finezją kogoś stosującego się do porad w artykule z pisma dla piętnastoletnich chłopców pod tytułem „Jak być seksownym”.

Kiedy jego śliskie palce dotknęły skóry Lizzie, zareagowała instynktownie, odpychając go mocno od siebie.

- Powiedziałam, że nie chcę, żebyś nade mną stał! - zawołała.

Zaskoczony tym, co zrobiła, potknął się i wpadł na stojący za nim stolik, z którego pospadały na podłogę szklanki. Przerazona Lizzie spojrzała na ten chaos, po czym przecisnęła się obok Bena i pobiegła do ogrodu.

Księżyc i gwiazdy tak jasno świeciły, że ogród był skąpany w świetle, i nawet kiedy już minęła udekorowane świeczkami stoliki, bez problemu odnajdywała drogę na trawniku, aż doszła do stojącej pod drzewem laurowym ławki. Miała nadzieję, że będzie mogła w samotności zająć się lizaniem ran, lecz usłyszała odgłosy, niezbitcie świadczące o obecności tutaj kogoś jeszcze. Czy ktoś przypadkiem nie wymiotował w krzakach?

Odsunęła gałąź i zajrzała głębiej, a tam stała pochylona Erin Kennedy, walcząc z odruchami wymiotnymi.

- Erin? - zapytała z wahaniem Lizzie, nie chcąc wchodzić z butami w prywatność tej kobiety, którą dopiero co zdążyła poznać. - Dobrze się czujesz?

- Nie - odparła Erin, której ponownie zebrało się na wymioty. - Nie wiem, co się dzieje. Jest mi tak niedobrze, a do ubikacji była kolejka.

Przytrzymując się lepkiej gałęzi sosny, czuła, że jej oddech jest krótki i urywany. Czy te mdłości nareszcie mijały? Oby tak właśnie było. Nie miała już czym zwymiotować oprócz żołądka, ponieważ wcześniej zjadła jedynie jeden kawałek ciabatty posmarowanej pastą z oliwek. Jednak gdy tylko ją przełknęła, poczuła, jak ściska ją w żołądku.

Mdłości zdecydowanie osłabły. Poklepała się po kieszeniach w poszukiwaniu chusteczki, ale oczywiście nie znalazła żadnej.

- Proszę. - Lizzie podała jej serwetkę z przyjęcia. - Jest pognieciona, ale czysta.

- Dziękuję. - Erin wytarła usta. Czuła się taka słaba, że nie miało dla niej znaczenia, iż obca osoba była właśnie świadkiem, jak wymiotuje w cudzym ogrodzie.

Próbowała przypomnieć sobie jej imię. Wiedziała, że jest przyjaciółką Sally, i pamiętała, że Sally twierdziła, iż jest słodka, ale nieśmiała. Tej bluzki absolutnie nie można było nazwać nieśmiałą, ale Erin uznała, że nie jest to strój, który Lizzie zazwyczaj nosi, gdyż jej dłoń niemal bez przerwy błędziła przy dekolcie. Był to zdecydowanie strój w stylu „muszę coś udowodnić”.

- Jestem Lizzie - odezwała się kobieta z uśmiechem, który był z całą pewnością słodki. - Dobrze się czujesz? Chciałabyś usiąść? Może poczułabyś się wtedy lepiej.

Z jej pomocą Erin opadła na rustykalną, drewnianą ławkę. Lizzie usiadła obok niej i objęła ją ramieniem. Był to miły, matczyzny gest, i to absurdalne, ale Erin poczuła, że zaraz się rozplacze.

- Dziękuję - rzekła, pociągając nosem. - Nie wiem, dlaczego zrobiło mi się niedobrze. Zjadłam tylko jedną kanapkę, no i uwielbiam pastę z oliwek.

- A możliwe, że zatrzymałaś się czymś, co zjadłaś w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin? - zapytała Lizzie, wchodząc w rolę recepcjonistki w przychodni.

Erin potrząsnęła głową.

- Na obiad zjadłam zapiekankę z tuńczyka, a wczoraj wieczorem mieliśmy domowej roboty lazanie.

Lizzie intensywnie się zastanawiała. A może nieżyt żołądka i jelit?

- Czy już wcześniej wymiotowałaś?

- Nie. Przez cały dzień było mi nieco niedobrze, ale ani razu nie wymiotowałam.

Była jeszcze inna możliwość i Lizzie zrozumiała, że Erin w ogóle nie przyszła ona do głowy. Tak już z niektórymi kobietami było. Niezwykle inteligentne i skupione na swych karierach i przyszłości, nie dostrzegały starych jak świat sygnałów, wysyłanych przez ich ciała, które od wieków mówiły kobietom, że coś się dzieje.

- Nie odbierz tego jako wtrącanie się w twoje osobiste sprawy, Erin - rzekła powoli Lizzie - ale czy to możliwe, że jesteś w ciąży?

Odpowiedzią było gwałtowne wciągnięcie powietrza.

- Przepraszam, pewnie w ogóle nie mam racji, to była tylko taka myśl - paplała Lizzie, bojąc się, że powiedziała coś niewłaściwego. - Pracuję w przychodni i, no wiesz, rozważałam wszystkie ewentualności i stawiam dziesięć do jednego, że masz zatrucie pokarmowe...

- Biorę pigułki - wyszeptała Erin.

Lizzie zagryzła wargę. Prawdopodobnie okazała się za bardzo wścibska, ale żywiła dziwnie opiekuńcze uczucia wobec tej wysokiej, rudowłosej dziewczyny

- Pigułka nie daje stuprocentowej pewności - wyjaśniła. - Wiele czynników może mieć wpływ na osłabienie jej działania: wymioty albo biegunka, także niektóre antybiotyki. - Boże, brzmiało to niczym tekst z podręcznika medycznego. - Posłuchaj, Erin, to nie moja sprawa, ale gdybyś była w ciąży, musiałabyś wtedy zachować ostrożność, jeśli chodzi o przyjmowanie leków, powiedzmy na rozstrój żołądka.

Po raz ostatni delikatnie poklepała Erin po ramieniu, po czym wstała.

- Mam do ciebie podesłać twojego męża lub Sally?

- Nie odchodź - odparła Erin, ujmując mocno dłoń Lizzie. - Porozmawiaj ze mną. Kiepsko się czułam, zanim przylecieliśmy do Irlandii z Chicago, to pewnie zdenerwowanie wywołane przeprowadzką, i cały mój organizm był w rozsypce. Czy to właśnie mogło być to?

- A kiedy to było? - zapytała, ponownie siadając.

Erin jej powiedziała i Lizzie dokonała szybkich wyliczeń. Mogła być w szóstym lub siódmym tygodniu ciąży, a właśnie wtedy pojawiały się mdłości.

- Pozwól, że zawołam twojego męża - rzekła Lizzie. Nie było tak, że nie czuła się na siłach, by sobie z tym poradzić, ale to on był idealną osobą do pocieszenia Erin.

- Zaczekaj chwilkę. Muszę o tym pomyśleć. - W blasku księżycy i docierającego z domu światła, które padało na jej twarz, wyglądała upiornie blado. - Dobrze się tam bawi. Nie chcę tego niszczyć ani kazać mu biec tutaj z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę, ponieważ się o mnie martwi. Nic mi nie będzie.

„Wcale nie słychać tego w jej głosie”, pomyślała Lizzie.

- Myśleliście kiedyś o tym, czy chcecie mieć dzieci? - zapytała delikatnie.

- Dzieci... - Erin wypowiedziała to słowo w taki sposób, jakby nigdy wcześniej nie łączyła idei ciąży z dziećmi. - To wszystko jest takim szokiem. Jeśli mam być szczerą, to nie czuję w sobie zbytnio instynktu macierzyńskiego. Masz dzieci, prawda?

- Dwoje, ale właściwie to już nie dzieci - roześmiała się Lizzie. - Są dorosłe. Byłam dość młoda, kiedy zaszłam w ciążę - dodała.

- Tak jak moja matka. - Erin przyglądała się swoim dłoniom.

- Naprawdę?

- Miała siedemnaście lat.

- Ja dwadzieścia dwa - rzekła Lizzie. - Przypuszczam, że te kilka lat czyni wielką różnicę. Ciężko było twojej matce?

Zastanawiała się, czy przypadkiem to właśnie nie przerażało Erin - wspomnienie macierzyństwa jako ciężkiej przeprawy dla nastoletniej matki, która sama jeszcze niedawno była dzieckiem.

Twarz Erin wydawała się jeszcze bardziej blada.

- Muszę iść po twego męża. Mogłabyś mi powtórzyć jego imię? - zapytała z niepokojem Lizzie.

- Nie - błagała Erin. - Nie idź. Nie mogę teraz z nikim rozmawiać. Nie mogę w takim stanie wrócić między ludzi. Kiedy poczuję się trochę lepiej, znajdę Grega i pojedziemy Ale jeszcze nie teraz. Proszę.

Mózg Lizzie pracował na pełnych obrotach. A jeśli to nie mąż Erin jest ojcem dziecka? Czy właśnie dlatego tak bardzo ją to wszystko zaszokowało?

- Wiesz, to nie jest koniec świata - rzekła. - Problemy, które teraz wydają się ogromne, później mogą zupełnie zblednąć.

Erin zachowywała się tak, jakby nie usłyszała jej uspokajających słów.

- Moja matka nie poradziła sobie z tym. Była zbyt młoda, więc to babcia wzięła mnie na wychowanie. Myślałam, że moja ciotka jest moją siostrą, a moja matka jest drugą siostrą, która wyjechała przed wieloma laty Nikt nie powiedział mi prawdy, dopóki nie skończyłam osiemnastu lat. - Zawahała się. - A potem wyjechałam.

Lizzie objęła ramieniem szczupłe, drżące ciało Erin.

- Biedactwo, to musiał być dla ciebie szok. Ale to było już dawno temu, prawda? I oczywiście, będziesz myśleć o swojej matce w chwilach takich jak ta. Cóż, to znaczy jeśli jesteś w ciąży - dodała. - Ale jesteś osobą dorosłą, nie dzieckiem, no i masz męża. To może być dla was cudowny czas.

- Ty nie rozumiesz. - Erin wydawała się teraz zrozpaczona. - Po moim wyjeździe już nigdy nie wróciłam do domu. Chciałam ich w ten sposób zranić. Wysłałam kilka kartek, wiedzieli więc, że żyję, ale nigdy nie wróciłam, a potem, kiedy zaczęłam myśleć, że powinnam, było już za późno. Nie mogę teraz wrócić. To wszystko moja wina.

Po jej twarzy zaczęły spływać łzy i Lizzie zrobiło się jej strasznie żal. Wcześniej, kiedy została przedstawiona Erin, pomyślała, że ta młoda kobieta wygląda na bardzo pewną siebie i w pełni kontroluje swoje życie. Teraz okazywało się, że jest dokładnie na odwrót. Lizzie zastanawiała się, czy nie powinna zignorować prośby Erin i nie pobiec do domu, by poszukać Grega.

- Przepraszam - zaszlochała Erin, trzymając się ramienia Lizzie, jakby bez kotwicy miała odpłynąć. - Zazwyczaj taka nie jestem. To wszystko jest dla mnie po prostu szokiem.

Lizzie poczuła ulgę, że Erin zachowuje się nieco bardziej przytomnie, i dała sobie spokój z pomysłem sprawdzenia Grega.

- Szok sprawia, że myślimy i robimy dziwne rzeczy - rzekła. - Całkiem możliwe, że rano będziesz się czuła zupełnie inaczej.

- To skomplikowane - odparła Erin, ocierając łzy rękawem, jako że serwetka była już zupełnie mokra. - Ja naprawdę nie chcę mieć dzieci, nigdy nie chciałam. Przecież moja własna matka nie poradziła sobie z posiadaniem dziecka. Urodziła mnie i uciekła. Nie była materiałem na matkę i ja też nie jestem. To geny To jedyne, co po niej odziedziczyłam.

- Zaśmiała się słabo ze swego zjadliwego żartu.

- Ale wychowywała cię przecież babcia. Jest twoją krewną i troszczyła się o ciebie - zripostowała Lizzie. - Nie możesz więc twierdzić, że brak instynktu macierzyńskiego jest u ciebie dziedziczny - Zamilkła, nagle zastanawiając się, czy powodem, dla którego Erin od tak dawna nie utrzymuje kontaktów ze swoją prawdziwą rodziną, nie jest przypadkiem fakt, że jej babcia nie okazała się dobrą zastępczą matką. Zrozumiałe byłoby to, że Erin nie chce mieć dzieci, gdyby miała bolesne wspomnienia z dzieciństwa. - Babcia była dobra dla ciebie? - zapytała z wahaniem.

Po raz pierwszy twarz młodej kobiety rozświetlił prawdziwy uśmiech.

- Tak.

Nie była to historia do opowiadania której Erin była przyzwyczajona, ale podzielenie się tym wszystkim z Lizzie odczuła niemal jak ulgę. I opowiadanie jej osuszyło łzy, ponieważ nauczyła się, by nie płakać, kiedy o tym wszystkim myślała.

- Zadzwoiłam kilka razy, by im powiedzieć, że nic mi nie jest - rzekła z przygnębieniem Erin. - Mama wtedy płakała i pewnego dnia Kerry wzięła od niej słuchawkę i oświadczyła, że skoro jestem taką jędzą, która nie wraca do domu, w takim razie równie dobrze mogę im więcej nie zawracać głowy

Lizzie skrzywiła się, wyobrażając sobie, jaki te słowa miały wpływ na skrzywdzoną i samotną nastolatkę, przebywającą z dala od domu.

- To nie było sprawiedliwe - rzekła.

- Kerry chroniła mamę, to wszystko - wyjaśniła Erin.

- Zawsze była bardzo lojalna i jej lojalność pozostała przy mamie. Kiedy Shannon wyjechała, dosłownie zostawiając mamie niemowlę w ramionach, ona była zdruzgotana. Kerry miała to wszystko w pamięci. Zrobienie tego samego przeze mnie musiało być niczym kolejny straszny cios.

Lizzie nie była w stanie pojąć, jak Erin mogła tak zupełnie uciąć wszelkie kontakty.

- Nie spróbowałaś ponownie? - zapytała.

- Kiedy poznałam Grega, napisałam do mamy, podając jej mój adres, że chciałabym wrócić. - Erin ponownie użyła rękawa, by otrzeć łzy - Nigdy nie dostałam odpowiedzi.

Słychać było jedynie odgłosy przyjęcia. Lizzie pomyślała, jakie to tragiczne, że rodzina została rozdzielona w takich okolicznościach. Gdyby tylko Erin wiedziała, gdy była młodsza, kto jest jej prawdziwą matką, gdyby tylko tak impulsywnie nie uciekła, gdyby tylko jej babcia odpowiedziała na list. W tej całej smutnej historii wiele było takich „gdyby tylko”. I właśnie wtedy z ciemności wyłoniła się jakaś postać, która po chwili wydała cichy okrzyk zdumienia.

- Och, przepraszam, nie wiedziałam, że ktoś tutaj jest.

Abby wyszła z domu, by zaczerpnąć nieco świeżego powietrza i jakoś zawędrowała do tej części ogrodu. Widząc, że przerwała poważną rozmowę, odwróciła się z powrotem w stronę domu, ale Lizzie ją zatrzymała.

- Nie odchodź - rzekła. - Erin po prostu nie czuje się najlepiej.

- Och. - Abby przyjrzała się wysokiej, rudowłosej kobiecie, która siedziała na ławce. W blasku księżyca wyglądała na wycieńczoną i bezbronną, stanowiąc zupełne przeciwieństwo chłodnej, nieprzystępnej kobiety, którą Abby miała okazję poznać wcześniej. - Może przynieść ci coś, Erin? Wody?

- Bardzo chętnie, dzięki. Abby wróciła po chwili ze szklanką wody i kilkoma nawilżanymi chusteczkami dla dzieci.

- U ludzi, którzy mają dzieci, można znaleźć je dosłownie wszędzie - rzekła, podając je wdzięcznej Erin. - Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

Erin wydała odgłos, który był ni to śmiechem, ni szlochem.

- Jesteście pewne, że wam nie przeszkadzam? - zapytała z niepokojem Abby Gryzła ją poczucie winy, gdyż wcześniej, kiedy przedstawiono ją Erin, zachowała się naprawdę chłodno. Ta kobieta była taka śliczna i Abby, która miała tragiczny nastrój, po raz kolejny uświadomiła sobie, że już nigdy nie będzie ani tak młoda, ani oszalamiająca.

- Nie - odparła Erin. - Nie czułam się dobrze i tak się akurat złożyło, że pojawiła się Lizzie i mi pomogła, a w zamian opowiedziałam jej o moich problemach. - Poczowała się na tyle lepiej, by uśmiechnąć się słabo.

- Kiedy tylko poznaje się Lizzie, ma się ochotę opowiedzieć jej historię swego życia - uśmiechnęła się szeroko Abby - Tak naprawdę nie znałyśmy się aż do dzisiaj, kiedy to zanudziłam ją wycinkami z mego życia.

- No cóż, zgadza się. - Erin po raz pierwszy roześmiała się. - Jak ty to robisz, Lizzie?

Rumieniąc się, Lizzie potrząsnęła głową.

- Wcale nie robię - zaprotestowała.

- Ależ tak - upierała się Abby.

- Jesteś taka jak Sally Ludzie czują, że mogą powiedzieć ci o tym, co ich boli - dodała Erin. - Aż do dzisiaj z nikim oprócz Grega nie rozmawiałam o swojej rodzinie.

- Może i dobrze dogaduję się z innymi kobietami, ale jestem beznadziejna, jeśli chodzi o facetów - westchnęła Lizzie. - Tak naprawdę to wysłałam do ogrodu, by ukryć się przed prawnikiem, który ma kancelarię tuż obok przychodni i niemal włożył mi dłoń w bluzkę. Interesowało go tylko oświadczenie mi, że jest bardzo wytrzymała. A kiedy się odsunęłam, uznał, że gram trudną do zdobycia.

- Mówiłam ci, że ten strój przyniesie ci szczęście - zażartowała Abby.

Ona jest całkiem miła, pomyślała ze zdziwieniem Erin, uświadamiając sobie, że jej początkowa ocena Abby była błędna.

- Uch, szczęście - rzekła Lizzie. - Już nigdy więcej nie założę tej bluzki. Jeśli Jess chce, to może ją sobie wziąć. Jest wystarczająco wysoka i szczupła, by świetnie w niej wyglądać, choć w tym turkusowym T-shircie też jej bardzo do twarzy

- Ta młoda dziewczyna w niebieskim jest twoją córką? - zapytała z zainteresowaniem Erin.

Abby pokiwała z dumą głową.

- Jess ma piętnaście i pół roku, i jest bardzo inteligentna, ale trochę nieśmiała. Pilnuje dzisiaj dzieci Sally i ogólnie jej pomaga.

W otwartych drzwiach balkonowych pojawiła się sylwetka Steve'a. Najpierw rozejrzał się, po czym ruszył powoli ścieżką do miejsca, gdzie na końcu ogrodu siedziały trzy panie.

- A więc to tutaj wszystkie zaginęłyście.

- Gawędzimy sobie po babsku - odparła pośpiesznie Abby, wyczuwając, że Erin nie chciałaby, by ktokolwiek wiedział, że się źle czuje.

Steve pokiwał głową.

- Sally wysłała mnie, bym powiedział wszystkim, że zaraz pojawi się deser. Bezy z bitą śmietaną i prawdziwym czekoladowym sosem. Według przepisu Sally. Zapewniam, że są przepyszne.

- Zaraz przyjdziemy - rzekła Abby

- Och, i Greg cię szukał, Erin. Powiem mu, że jesteś w dobrym towarzystwie.

- Tych dwoje sprawia, że wierzę w prawdziwą miłość - westchnęła Lizzie, gdy Steve udał się z powrotem do domu.

- Wiem, co masz na myśli - odparła Abby, myśląc ponownie o własnym małżeństwie. Nikt by nie uwierzył w prawdziwą miłość akurat dzięki niej i Tomowi. Tworzyli bardziej lobby antymiłosne lub już-nie-miłosne. Mimowolnie w jej głowie pojawił się obraz Jaya Garniera.

- Idziemy? - zapytała Lizzie. - Zaslugujemy na coś słodkiego, prawda?

Abby uśmiechnęła się smutno.

- Myślę, że tak.

Greg i Erin opuścili przyjęcie wkrótce po podaniu deseru.

- Strasznie długo cię nie było. Zacząłem się już o ciebie martwić - rzekł, kiedy wsiedli do taksówki.

- Och, nic się nie stało - skłamała Erin. - Nawiazywałam nowe znajomości.

- To mili ludzie, prawda? - stwierdził Greg. - Podobało mi się tam, wiesz? Jest tam tak domowo.

- Tak, to prawda - odparła z roztargnieniem Erin, odpływając myślami daleko, daleko stąd.

Kiedy Lizzie wróciła do domu, zwinęła szyfonowy top i wcisnęła go na samą górę szafy, przysięgając sobie, że już go nigdy więcej nie założy. No ale z drugiej strony, gdyby go nie założyła, nie wybiegłaby do ogrodu i nie natknęła się na wymiotującą Erin. Udzielenie pomocy nowej znajomej było jej dobrym uczynkiem na ten dzień.

Założyła nocną koszulę i zastanawiała się, czy Erin powiedziała mężowi nowinę, czy też nie. Było jasne, że nie jest pewna swych uczuć co do ciąży - o ile w ogóle, rzecz jasna, w niej była.

Pomyślała tęsknie o swojej pierwszej ciąży. Pamiętała radość, jaką czuła, kiedy minął początkowy szok i Myles poprosił ją, by za niego wyszła. Była wtedy taka szczęśliwa. Myles ją kochał, była w ciąży i miała przed sobą całe życie. A co miała teraz? Nic oprócz umiejętności przyciągania obłędnych facetów. Użalając się nad sobą, skuliła się na łóżku, próbując zasnąć. Miała nadzieję, że rano poczuje się lepiej.

- Posprzątam jutro - oświadczyła Sally Steve'owi i Delii, kiedy przyglądali się pobjowisku, którym stał się ich dom po tym niezwykle udanym przyjęciu.

Delia spojrzała ze zdumieniem na synową.

- Jesteś chora? - zażartowała. - Jeszcze nigdy nie poszłaś spać po przyjęciu, dopóki w domu nie panował nieskazitelny porządek.

Odpowiedziała jej złowieszcza cisza. Delia spojrzała na syna, a po chwili na Sally

- Coś się stało? - zapytała z niepokojem.

- Nic - odparła Sally. - Prawdopodobnie nic. Dłoń Delii pofrunęła do jej piersi. Usiadła ciężko.

- Co masz na myśli, mówiąc „prawdopodobnie nic”? Steve ujął dłoń żony w swoją.

- Sally znalazła guzek w prawej piersi i w środę ma wizytę u specjalisty

Delia poczuła, jak jej serce zaczyna walić coraz szybciej.

- O Boże - wyszeptała. - Spraw, by wszystko było dobrze.

- Będzie - oświadczyła pewnym głosem Sally. - Będzie. Delia i Steve wymienili długie spojrzenie.

- Nie martwcie się - ciągnęła lekko Sally - Doktor Morgan mówi, że to najlepszy specjalista w tej dziedzinie i po wizycie u niego będziemy się zastanawiać, czym się tak przejmowaliśmy Mam po prostu takie piersi, to wszystko. Guzkowate, tak nazwała je dr Morgan. Zrobią mi USG, to wszystko, i założę się, że to pewnie nic innego jak cysta.

To była powtórka rozmowy, jaką Steve i Sally odbywali każdego dnia od czasu niedawnej wizyty Sally w przychodni.

- Tak - odparł Steve. - Pewnie masz rację.

Objął mocno ramionami swoją drobnutką żonę, a ona oparła głowę o jego tors, nienawidząc tego, że on się martwi, i chcąc go jakoś pocieszyć.

Delia, która codziennie dziękowała Bogu za to, że ma tak blisko siebie kochającą rodzinę, zamknęła oczy i szeptała bezgłośnie modlitwę do Daniela, swego ukochanego męża, który zmarł przed trzema laty Po śmierci Daniela Sally była dla niej taka dobra - mimo że sama w tym czasie dochodziła do siebie po śmierci własnego ojca - tak miła i kochająca, jak córka Delii, Amy

- Tak - oświadczyła stanowczo Delia. - Musimy mieć pozytywne nastawienie. Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze.

Pomijając wszystko inne, cóż innego można było powiedzieć?

Rozdział dwunasty

Następnego dnia, w niedzielę, Greg wcześniej wstał i pojechał do Cork do sklepu, gdzie sprzedawali bajgle nawet lepsze od tych, którymi on i Erin raczyli się zawsze w Chicago. Kupił także świeżo mieloną kawę i niedzielne gazety, a w małej kwaciarni przy wyjeździe z miasta bukiet różowych tulipanów.

Kiedy dotarł do domu, Erin właśnie wstała z łóżka. Z potarganymi włosami stała na szczycie schodów.

- Dzień dobry, kochanie - przywitał ją Greg, przeskakując po trzy stopnie naraz, by wręczyć jej kwiaty i porannego buziaka.

- Och, dziękuję - odparła, patrząc z zachwytem na tulipany

- Pomyślałem, że może poprawią ci nastrój. Daj mi dziesięć minut na przygotowanie kawy i bajgli, dobrze?

Kiwnęła głową i powoli poszła do łazienki, by wziąć prysznic. Kiedy poczuła, że wyszorowała się już do czysta, zamiast gorącej wody puściła zimną i pozwoliła, by lodowata woda spływała kaskadami po jej twarzy i ciele. To należało do jej ulubionych sztuczek, kiedy przed wieloma laty dorabiała na drugim etacie i czasami wracała do domu tylko po to, by się przebrać i wziąć prysznic. Dzisiaj lodowata kąpiel także odniosła pożądany skutek. Kiedy zeszła na dół, ubrana i z mokrymi włosami zaczesanymi do tyłu, wyglądała na zupełnie rozbudzoną i przypominała dawną siebie. Tak się jednak nie czuła. Szok, jaki niósł z sobą lodowaty prysznic, nie był w stanie przyćmić dręczącego uczucia, że Lizzie Shanahan miała rację i że była w ciąży. Jak na razie nie udało jej się tego sprawdzić, gdyż nie miała w zwyczaju trzymać testów ciążowych wśród swych zdrowotno-pielęgnacyjnych akcesoriów, ale jutro mogła go kupić, zaraz jak tylko Greg pójdzie do pracy. Jako że nadal nie była pewna swych uczuć co do takiego właśnie rozwoju wydarzeń, nie była gotowa na reakcję Grega. Kochał ją na tyle mocno, że pogodził się z jej decyzją o braku dzieci. To może się zmienić, kiedy zostanie postawiony przed faktem dokonanym. Pomijając wszystko inne, to nie była odpowiednia pora na dziecko.

- Mam pomysł na to, co moglibyśmy dzisiaj zrobić - oświadczył Greg, który stał odwrócony do niej plecami i nakładał właśnie na bajgle świeżo przyrządzoną jajecznicę.

- Tak? - Erin usiadła przy stole i przysunęła w swoją stronę jedną z gazet.

„Dzisiaj dodatek dla matki i dziecka!” - widniał napis na górze gazety. Czy to spisek? Erin zakryła newralgiczną gazetę działem sportowym drugiej.

- Moglibyśmy poszukać domu - zaproponował Greg. - Firma ma nam opłacać czynsz przez sześć miesięcy, ale potem będziemy zdani na siebie, a mieszkanie w tym domu przypomina mi, jak nie znoszę wynajmowanych domów, nawet gdyby mieli nam znaleźć coś ładnego.

Erin zgadzała się z nim. Miesiąc użerania się z sikami kota (próbowała dosłownie wszystkiego, by pozbyć się tego zapachu, ale bez skutku) i wystrojem z piekła rodem sprawił, że zaczęła marzyć o czystej, prostej przestrzeni, którą mogliby uczynić swoją własną.

- Co o tym sądzisz?

Postawił przed nią bajgle z jajecznicą oraz kubek z gorącą, czarną kawą. Erin nigdy nie dodawała cukru ani mleka. Ugryzła kawałek bajgla.

- Pyszny - powiedziała z pełnymi ustami. Właściwie to robiło jej się niedobrze na samą myśl o jedzeniu, ale nie chciała mówić o tym Gregowi. Poranne mdłości stanowią kolejne potwierdzenie tego, co podejrzewała.

- To znaczy, co sądzisz o pomysle kupna domu tutaj, w Dunmore?

- To byłaby z pewnością dobra inwestycja - odpowiedziała ostrożnie - jako że wszyscy twierdzą, iż ceny domów w tej okolicy robią się coraz wyższe. To bardzo dobra okolica, a dostaniemy z powrotem pieniądze, gdy sprzedamy...

- Nie o to mi chodziło - przerwał jej delikatnie Greg. - Nie chcemy kupować domu tylko po to, by sprzedać go za kilka lat. Mówię o zapuszczeniu korzeni, o zamieszkaniu tutaj na stałe. Naprawdę podoba mi się Dunmore i Cork. A ty co myślisz na ten temat?

- Nie jestem dobra w zapuszczeniu korzeni.

- A właśnie, że jesteś. Jesteś w tym równie dobra jak każdy inny - odparł Greg. - Okej, no więc nie widziałaś swojej rodziny od ponad dziewięciu lat, ale temu akurat da się łatwo zaradzić.

- Nie tak łatwo - zaprotestowała Erin, po czym urwała. Opowiadanie wszystkiego Lizzie wczoraj wieczorem w jakiś dziwny sposób rzuciło na to nowe światło. Nie była to już historia z beznadziejnym zakończeniem, lecz opowieść o rodzinie, w której szkodę wyrządziły zwykle nieporozumienia. Nie było to wcale tragiczne, lecz idiotyczne. Owszem, dziadkowie powinni jej byli wcześniej powiedzieć, kto jest jej prawdziwą matką, ale Erin rozumiała, jak prosty sekret potrafi ciążyć jak kamień młyński, kiedy się go skrywa zbyt długo. Możliwe, że przez wiele lat próbowali jej to powiedzieć, ale nigdy nie mogli znaleźć odpowiedniej na to pory i zawsze ją kochali - uwielbiali, jeśli chodzi o ścisłość - i opiekowali się nią. Zdenerwowanie było zrozumiałe, ale wybiegając z domu i więcej tam nie wracając, Erin zachowała się bezmyślnie, idiotycznie i lekkomyślnie. Kerry jak zwykle była uparta i kłótniwa, a biedna mama tkwiła pośrodku, zbyt wytracona z równowagi, by zrobić to, co zawsze robiła, żeby doprowadzić do zawieszenia broni. Jedynie prawdziwa matka Erin, Shannon, wyszła z tej sytuacji bez szwanku, bez piętna winy.

- Podoba ci się tutaj, prawda? - zapytał szybko Greg, gładko wracając do poprzedniego tematu.

Erin uśmiechnęła się z ustami pełnymi bajgla. Był w stosunku do niej taki delikatny, nigdy nie naciskał, jeśli chodzi o jej rodzinę, mimo że była pewna, iż jemu musiało się to wydawać dziwne.

- Tak, podoba mi się. I nie zasługuję na ciebie, Greg. Jesteś dla mnie taki dobry

- Nie będę ci robił jajecznicę w każdą niedzielę - odparł, a oczy mu się śmiały - Za tydzień twoja kolej.

- Za tydzień jedziemy do twoich rodziców - przypomniała mu. Matka Grega doszła już do siebie po ataku paskudnej grypy, tak więc doniosłe spotkanie rodziny Kennedych miało wreszcie dojść do skutku. - Za tydzień twoja mama może cię rozpieszczęć wielkim, irlandzkim śniadaniem.

Oczy Grega rozbłysły.

- Plasterki bekonu, jajka, pikantne kielbaski, pudding i pieczony chleb. Tak!

- Czy to będzie pieczony chleb bez cholesterolu? - zaśmiała się Erin.

- Jasne.

Nie byli pierwszymi osobami, które się zjawiły na budowanym właśnie nowoczesnym osiedlu, oddalonym o sześć kilometrów od Dunmore. Zgodnie z informacjami podanymi w gazecie oferta pojawiła się na rynku w ubiegłym weekend, a już trzydzieści procent domów zostało sprzedanych. Wzdłuż błotnistej placu budowy stał kręty szereg zaparkowanych samochodów, a ludzie tłoczyli się wokół domu pokazowego. Erin i Greg rzucili jedno spojrzenie hordom ludzi, stojących w kolejce, by dostać się do środka, i odwrócili się, by wsiąść z powrotem do samochodu.

- To niemożliwe, by wszyscy kupowali domy - rzekł Greg, zaskoczony ilością potencjalnych kupców.

- To niedzielni kierowcy, podpatrujący sposoby na dekorowanie własnych mieszkań - poinformowała go Erin. - Wnętrza domów pokazowych to obecnie najpopularniejsze kursy dekoracji wnętrz.

- Mądra dziewczynka, ty wiesz wszystko - pochwalił ją Greg, wycofując z miejsca parkingowego.

„Nie wszystko”, pomyślała Erin. „Nie to, że zatrucie żołądkowe może osłabić skuteczność pigułek antykoncepcyjnych”.

Następnie zatrzymali się przy niewielkim apartamentowcu, drugim z docelowych trzech miejsc. Usytuowany w naturalnej kotlinie, w otoczeniu drzew i rezerwatu ptactwa po drugiej stronie drogi, kompleks był dobrze zaprojektowany,

z mnóstwem krzewów, niewielkim jeziorem i dużym, dyskretnie umiejscowionym parkingiem. Trzeci blok zaczęto już stawiać, po prawej stronie placu budowy widniał rząd koparek i innych maszyn.

Przed budynkiem, gdzie się mieścił apartament pokazowy, nie było wielu samochodów.

- Czy to znaczy, że wszyscy zdążyli już obejrzeć to miejsce i nie spełnia ich oczekiwań? - zapytała Erin.

- Wokół Dunmore to domy tak dobrze się sprzedają, nie apartamenty - odparł Greg. - Na te drugie nie ma tak wielkiego zapotrzebowania. Pośrednik z agencji nieruchomości powiedział mi, że ludzie lubią mieć własny kawałek ogrodu.

- A więc przeprowadziłeś już nawet badanie rynku - droczyła się Erin.

- No cóż - odparł z zakłopotaniem Greg. - To tylko taki pomysł. Owszem, rozmawiałem z pośrednikiem, ale wiesz, że nigdy nie zrobiłbym niczego, dopóki nie poznałbym twego zdania na ten temat.

Erin wysiadła z samochodu i wciągnęła do płuc świeże powietrze. To miejsce położone było już dalej od morza, ale w powietrzu wciąż się unosił zapach słonej wody, zmieszany z leśnym aromatem otaczających ten kompleks drzew. Podobało jej się w Dunmore; lubiła tutejszych ludzi, to urocze miasteczko, swobodną atmosferę. Nikt nie był zbyt wścibski - nie tak jak w okolicy, w której dorastała - i miało się uczucie, że tutaj można odnaleźć swoje własne tempo i żyć w zgodzie z tym rytmem. Było jasne, że Greg uwielbia to miejsce; bardzo lubił swoją pracę i codzienne, piętnastominutowe dojeżdżanie do niej. Gdyby Erin postarała się jeszcze o jakąś pracę, byłoby idealnie. I uświadomiła sobie, że przynajmniej nareszcie zna powód swej opieszałości.

- Naprawdę podoba mi się w Dunmore - rzekła, gdy Greg objął ją ramieniem w drodze do apartamentowca. - Nawet bardzo.

Wcześniej uwielbiała anonimowość ich życia w Chicago i to, że stanowili jedną, małą rodzinę i nie musieli się z nikim konsultować w kwestiach dotyczących ich życia. Jednakże w głębi duszy zawsze wiedziała, że Greg pragnie wrócić do domu. I może, ale tylko może, ona także.

Dopóki nie weszli do apartamentu pokazowego, Erin podzielała opinię pośrednika Grega, że gdyby mieli już coś kupować w Dunmore, dom byłby lepszą opcją. W Stanach mieszkała jedynie w blokach i pomysł posiadania ogrodu (oczywiście o ile ktoś inny zajmowałby się jego utrzymaniem) wydawał się dobry

Jednak wystarczyło zobaczenie jasnego, przestronnego mieszkania, by zmieniła zdanie. Było tak, jakby architekt osobiście konsultował się z nią co do wszystkich rzeczy, których nie znosiła w każdym apartamencie, w którym dane jej było mieszkać, i zajął się wszelkimi niedociągnięciami. Korytarz (według opinii Erin częste marnowanie przestrzeni) był niewielki, lecz dobrze rozplanowany i znajdowała się w nim duża, wbudowana szafa, idealna na okrycia wierzchnie, odkurzacz, a nawet na takie rzeczy jak narty czy rowery. Pomieszczenie pełniące jednocześnie funkcję salonu i jadalni miało wielkie okno panoramiczne, a wiszący od strony południowej balkon stanowił miniogród: stały tam rośliny w doniczkach, niewielki drewniany stolik i krzesła. Na jednej ze ścian zainstalowano nowoczesny kominek i Erin natychmiast wyobraziła sobie, jak przytulają się z Gregiem przed nim. Kuchnia była większa niż ta w ich mieszkaniu w Chicago, choć samo w sobie to jeszcze wiele nie mówiło. Znajdowała się tu także niewielka łazienka z narożną wanną, a dwie sypialnie były całkiem spore, przy czym ta większa miała dodatkowo garderobę i przyległą łazienkę. Pokój dla dziecka był na tyle duży, by zmieściło się w nim łóżeczko, komoda z przewijakiem i fotel na biegunach.

Erin musiała usiąść na łóżku w drugiej sypialni, kiedy sobie uświadomiła, do jakiego wniosku doszła jej podświadomość. Ta sypialnia nie była wcale umeblowana jako pokój dla dziecka, ale o tym właśnie pomyślała, gdy tylko ją ujrzała. Pokoik dla jej dziecka - ich dziecka.

Wzięła głęboki oddech, by się uspokoić. Mogła urodzić to dziecko, cóż ją przed tym powstrzymywało? Nic z wyjątkiem przekonania, że nie potrafiłaby być dobrą matką, skoro jej własna matka ją porzuciła. Samospełniające się

przepowiednie były dobre dla średniowiecznych chłopów o zawężonych horyzontach. Erin nie wiedziała, dlaczego jej biologiczna matka uciekła, ale to nie oznaczało wcale, że ona musi podążyć jej śladem. Ogarnęło ją podekscytowanie.

Greg usiadł przy niej na łóżku.

- Ładnie tu, no nie? - zapytał, przyglądając się uważniej wbudowanym szafom. - Druga sypialnia jest idealna dla gości albo moglibyśmy ją przekształcić w gabinet i jednocześnie pokój gościnny

- Albo w pokój dla dziecka.

- Gdybyśmy kupili sofę, byłby tutaj całkiem przyzwoity gabinet i pokój dla gości - kontynuował Greg, do którego nie dotarło to, co przed chwilą powiedziała jego żona. - Naprawdę dobrze to zaprojektowano. Nawet korytarz jest odpowiedni, a wiem przecież, jak się wściekasz, kiedy połowę mieszkania marnuje się na wielki korytarz.

Jeszcze jedna para weszła do drugiej sypialni, przechodząc obok Grega i Erin.

- Słyszałeś mnie? - zapytała, uśmiechając się.

Dziecko, ich dziecko.

- Przepraszam, myślę właśnie o tej sypialni... Co mówiłaś?

- Powiedziałam, że moglibyśmy urządzić tutaj pokój dla dziecka - powtórzyła Erin. - A jeśli chcesz mieć dzieci, będziesz musiał pokonać tę genetyczną przypadłość, polegającą na nieumiejętności robienia czy myślenia o więcej niż jednej rzeczy naraz.

Żeńska część zwiedzającej apartament pary zachichotała.

- Słucham? - Na twarzy Grega malowało się niewypowiedziane zdumienie.

Kobieta pociągnęła mężczyznę za ramię i wyszli z pokoju, a Erin słyszała, jak informuje go scenicznym szeptem:

- Ona mu mówi, że będą mieli dziecko!

- Będziemy mieć dziecko? - Greg powiedział to w taki sposób, że zabrzmiało jak pytanie, nie stwierdzenie.

Erin kiwnęła głową.

- Tak mi się wydaje. Nie robiłam jeszcze żadnego testu.

- Gdzie możemy go kupić? - Greg momentalnie zerwał się z łóżka.

- Byłbyś zadowolony, gdyby się okazało, że jestem w ciąży? - zapytała z wahaniem Erin. To zeskakiwanie z łóżka nie było czymś, co sobie wcześniej wyobrażała.

- O tak. - Opadł z powrotem na łóżko i wziął ją w ramiona, i zaczął namiętnie całować. - Zadowolony to mało powiedziane. Nie jestem w stanie wyrazić, co czuję. Ale - odsunął się i ujął w dłoń jej twarz - co ty czujesz?

Erin zastanawiała się przez chwilę.

- Jeszcze pięć minut temu nie byłam pewna. Czulałam się tym wszystkim oszołomiona, a potem zobaczyłam ten pokój i pomyślałam, że wprost idealnie nadaje się na pokój dla dziecka i... - Ponownie ogarnęło ją zdumienie i nie mogła znaleźć odpowiednich słów. Wcześniej myślała, że nie chce mieć dziecka, a teraz pragnęła go bardziej niż cegokolwiek innego na świecie. Nie mogła się doczekać, kiedy będzie miała brzuszek, który wszyscy będą widzieć, i nie mogła się doczekać, by poczuć w sobie ruchy dziecka.

- Bardzo bym chciał, żeby to był pokój dla dziecka - oświadczył Greg. - Nie przychodzi mi do głowy nic, czego pragnąłbym bardziej. Moglibyśmy przerobić dodatkową sypialnię w Wieży Kocich Sików na pokój dla dziecka i też byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Zawsze byłaś tak bardzo przeciwna posiadaniu dzieci.

- Z powodu mojej prawdziwej mamy - przypomniała mu Erin. - Nie było tak, że nie znosiłam dzieci czy coś w tym rodzaju, byłam po prostu przekonana, że nie jestem odpowiednim materiałem na matkę.

- Będziesz fantastyczną matką. - Dłoń Grega gładziła czule jej płaski na razie brzuch. - Rośnie, jak myślisz?

- Jeśli nawet, mam to z powodu niechodzenia na siłownię i zbytniego objadania się - zauważyła Erin.

- Wiesz co, chodźmy. - Greg ponownie zerwał się z łóżka i pomógł jej wstać, jakby była delikatnym kwiatem. - Jedźmy natychmiast do apteki. Potrzebny nam test ciążowy.

- Nam? - zapytała, nie będąc w stanie przestać się szeroko uśmiechać, widząc, jak bardzo jej mąż jest uszczęśliwiony tą nowiną.

- Owszem, nam. Skoro mam być tatą, nikt mi nie zarzuci, że nie jestem nim od samego początku. Ojciec. - Wyglądał na bardzo dumnego. - Ja, ojciec. Nie mogę się doczekać.

Pośrednik nieruchomości wsunął głowę do sypialni.

- No i? Co państwo o tym myślą?

- Podoba nam się - uśmiechnął się promiennie Greg. - Jak szybko mógłby być gotowy nasz apartament?

Rozdział trzynasty

Przez kilka dni po przyjęciu u Richardsonów Abby i Tom naprawdę starali się zachowywać poprawnie w towarzystwie Jess. Gdy byli sami, nie rozmawiali na temat tego, co wydarzyło się tamtego wieczoru, ale poczucie winy z powodu zdenerwowania ich córki sprawiło, że przynajmniej pozornie byli dla siebie uprzejmi.

Jednakże uśmiech towarzyszący słowom: „Podaj mi, proszę, brokuły, Abby”, nie sprawił, że nastąpiło pojednanie.

W głębi duszy Abby nadal była wściekła na Toma za te wszystkie raniące słowa, które jej powiedział. Wiedziała, że gdyby uczyniła pierwszy krok, lodowata atmosfera uległaby zmianie. Jednak tym razem nie zamierzała przeproszać - to nie ona była winna. To Tom ją obraził i oskarżył o to, że rodzinę stawia na drugim miejscu za karierą. Pracowała tak ciężko dla tej rodziny, zarówno w domu, jak i poza nim, że to oskarżenie niesamowicie ją rozwścieczyło.

W obliczu małżeńskiego kryzysu do głowy Abby nieproszenie zaczęły się wślizgiwać podchwytliwe pytania. Czy romans zawsze był czymś złym? Albo, konkretniej, czy romans zaszkodziłby jej małżeństwu i czy była szalona, ponownie spotykając się z Jayem przed zastanowieniem się nad odpowiedzią, ponieważ zobaczenie się z nim stanowiło dla niej olbrzymią pokusę?

Te pytania bez odpowiedzi krążyły i krążyły w jej głowie w chwilach, kiedy zupełnie nie była zdolna do racjonalnego myślenia. Jak na przykład w niedzielę wieczorem, gdy Tom spał na kanapie ze stertą papierzysk na kolanach, uciekającą do tyłu głową i otwartymi ustami. Albo kiedy w poniedziałek rano weszła do łazienki i zobaczyła, że pasta do zębów jest niezakręcona, jego ręcznik kąpielowy do połowy wystaje z kosza na bieliznę, a z uchwytu zwisa żałośnie zużyta rolka papieru toaletowego. Gdyby między nimi lepiej się układało, poradziłyby sobie ze swymi wątpliwościami i powiedziała stanowczo, że małżeństwo przypomina jazdę na kolejce górskiej i ma zarówno wzloty, jak i upadki.

Jednak podczas prowadzenia tej małżeńskiej wojny czuła się tak, jakby coś ją popychało ku romansowi. „To twoje życie i twoje małżeństwo” - szeptał cichy głos w jej głowie. „Ten facet traktuje cię jak Panią Mop i nie ma zamiaru przeprosić za krzywdzące słowa”.

Dla porównania myśli o Jayu były przesiąknięte seksualnością - obietnicą czegoś niesamowitego, złożoną w momencie, gdy jej dotknął. Próbowwała przekonać samą siebie, iż nie chodzi tylko o seks. To było coś znacznie więcej: ekscytacja poczuciem, że się żyje, dreszczyk towarzyszący świadomości, że jest się dla kogoś niesamowicie atrakcyjnym. Kiedy ostatni raz Tom patrzył na nią z tak otwartym pragnieniem? Zarezerwował otwarte pragnienie, by szóstoklasistom dobrze poszło na malej maturze.

W jej głowie pojawiły się dawno zapomniane wspomnienia, jak to jest być młodszym i zakochanym. A Abby, która ostatnimi czasy czuła się taka stara i zmęczona, przypomnienie sobie młodości uderzało do głowy bardziej niż najlepszy szampan.

Gdyby rzeczywiście przeżyła romans z Jayem, Tom z całą pewnością musiałby wziąć na siebie część winy, uznawała w bardziej pozbawionych hamulców chwilach. Gdyby był porządnym, wspierającym mężem, nawet by jej do głowy nie przyszło, by spotykać się z innym mężczyzną.

Nikt nie musi się dowiedzieć. Dodałoby to pewności jej ego, a potem wróciłyby do bycia matką i żoną, ponieważ pomimo wszystko naprawdę kochała Toma. A Jay ponownie stałby się tylko przeszłością. Miała nadzieję, że będą mogli pozostać przyjaciółmi, kiedy już nie będzie im stało na drodze fizyczne przyciąganie. Może nawet uda im się zjeść tę kolację dla czworga, a ich dwoje będzie dzielić sekret, który zawsze będzie wnosić w ich życie nieco iskry. Tak jak sekretne pliki listów skrywanych w szufladzie, będzie miała coś, o czym będzie pamiętać w nadchodzących latach: czas, kiedy flirtowała z mężczyzną ze swojej przeszłości.

Jeśli zaś chodzi o to, co może się zdarzyć, gdy coś pójdzie nie tak, Abby w ogóle nie dopuszczała tej myśli do głowy. Wszystko się uda. Nikt się nigdy nie dowie. A poza tym ona umówiła się z Jayem tylko na kolację.

We wtorek rano Abby starannie się przygotowała przed wylotem do Dublina. Zapakowała swoją najbardziej seksowną bieliznę, a na drogę założyła suknię-tubę z dżerseju w kolorze srebrnoszarym, a pod nią przepiękny komplet koronkowej bielizny. Śliczna bielizna sprawi, że dobrze się będzie czuła i tyle. A poza tym miała spotkanie w Beech o dziesiątej, przed udaniem się na lotnisko, a jeśli chodziło o wysłuchiwanie najnowszych planów Roxie dotyczących programu, Abby potrzebowała wszystkiego, co było w stanie zwiększyć jej pewność siebie.

Spotkanie było tak trudne, jak się spodziewała. Jeśli chodzi o poszukiwanie nowego talentu do *Porządków*, Roxie nie zasypiała gruszek w popiele. W ciągu zaledwie dziesięciu dni wymyśliła jedenaście opcji i zgromadziła cały zespół, by im pokazać kasetę z kandydatami.

- Oczywiście, musisz osobiście zaaprobować wybór, Abby - Roxie posłała jej swój najbardziej przyjazny uśmiech.

„Akurat”, pomyślała ponuro Abby, przekonana, że Roxie guzik by obchodziło, czy lubi swoich telewizyjnych partnerów czy nie. W gruncie rzeczy żywiła nawet przekonanie, że Roxie bardzo by było na rękę, gdyby sama odeszła z programu. Wtedy mogłaby zatrudnić dwie dwunastolatki i wszyscy byliby zadowoleni. Kandydaci byli jednakowo młodzi i olśniewający. Ich zęby musiały kosztować biednych rodziców drugą hipotekę. I oczywiście nie mieli ani jednej zmarszczki. Abby nie znała żadnego z nich.

- Czy mają jakieś doświadczenie, jeśli chodzi o pracę w telewizji? - zapytała, kiedy skończyła się prezentacja, a Roxie właśnie wychwalała pod niebiosa ostatnią dziewczynę, była królową piękności, która na przesłuchanie założyła krótkie szorty i odsłaniający brzuch top.

- Celna uwaga - zgodziła się Flora. - Wszyscy wyglądają wspaniale, ale jest różnica pomiędzy prostym testem przed kamerą a robieniem programu. Nie widziałam tutaj nikogo, kto wcześniej pracowałby w telewizji.

Punkt dla części stołu „Pomóżmy Starszym”, pomyślała radośnie Abby

Jednak Roxie miała odpowiedź także i na to.

- Nie miałas żadnego doświadczenia telewizyjnego, kiedy zaczęłaś pracować, prawda, Abby? - zapytała.

- Eee, prawda.

- To było coś innego - odezwał się Stan, stając w jej obronie. - Program był o Abby, której pracą było porządkowanie domów innych ludzi. Była bardziej ekspertem niż prezenterką.

Abby obdarzyła go pełnym wdzięczności uśmiechem.

- Tak, ale zespół w Beech, wy - Roxie otuliła Stana, Florę i Briana ciepłem swego uznania, wyłączając z tego Abby - wy wszyscy jej pomagaliście uczyć się, jak być prezenterką. Możecie to zrobić raz jeszcze.

- A co, jeśli jednak nie są wystarczająco dobrzy? - upierała się Flora. - Co wtedy zrobimy?

- Poszukamy kolejnych kandydatów - odparła Roxie takim tonem, jakby to wszystko było niezwykle proste.

„I pewnie to proste, kiedy się jest kimś takim jak ona”, pomyślała ponuro Abby. Gotowa się była założyć o cokolwiek, że Roxie w swoim życiu nie przeżyła ani chwili wątplenia co do pracy, mężczyzn, czegokolwiek.

Przejrzeli uważnie stos CV z dołączonymi fotografiami, aż wreszcie zdecydowali się na piątkę prezenterów, których miano zaprosić na przesłuchanie w studiu - trzy kobiety i dwóch mężczyzn.

- Jako że nie mamy jeszcze pewności w kwestii ostatecznego formatu - oświadczyła Roxie - nie wiemy, czy będzie nam potrzebna tylko jedna osoba, czy dwie.

- Po przesłuchaniach będzie wystarczająco dużo czasu, by o tym porozmawiać - rzekł Brian, podnosząc się ze skórzanego fotela. - No to zbieramy się. Mamy spotkanie z paroma ludźmi w sprawie nowego teleturnieju. Pomysł Roxie. Możliwe, że zbijemy na tym majątek. - Zatarł z satysfakcją ręce i uśmiechnął się znacząco do swojej nowej głównej producentki.

Abby przyglądała się temu pośpiesznie. Widziała, jak cenna musi być Roxie zarówno dla Briana, jak i Beech. Przebojowa, ambitna, bezwzględna - uosabiała to, czego potrzebowała każda firma telewizyjna. Gdyby między Roxie a Abby wybuchła walka o wpływy, nie ma wątpliwości, kto by wygrał. Prezenterkę programu zawsze się dało zastąpić kimś innym, natomiast producentka, z której programów zyski można było liczyć w milionach, warta była tyle złota, ile sama waży.

Jako że pozostawanie tu dłużej nie miało sensu, Abby pożegnała się i wyszła z sali konferencyjnej.

Koło wind dogoniła ją Roxie.

- Abby, mogą do ciebie dzwonić dziennikarze z pytaniami o nowe postacie w programie. Rozpuściliśmy wici, że poszukujemy nowego talentu, i to naturalne, że ludzie pragną poznać twoją reakcję.

- Naturalnie - odparła Abby Nie da Roxie satysfakcji ujrzenia, jak bardzo jest tym wszystkim wytrącona z równowagi.

- Jestem pewna, że im opowiesz, jak bardzo jesteśmy podekscytowani szansą dodania temu programowi świeżości, ponieważ formuła zaczęła się już nieco starzeć - kontynuowała Roxie, przesuając przenikliwym spojrzeniem po starannie umalowanej twarzy Abby i jej oszalałym stroju. Abby miała nadzieję, że nowy, pogrubiający tusz do rzęs nie osypał jej się na dolną powiekę i że nie wygląda przez to jak panda. - Jeśli nowa formuła podniesie wskaźniki oglądalności, wszyscy będziemy zadowoleni, prawda?

Abby cofnęła się myślami do wyrazu twarzy, jaki przybrała w pewnym odcinku, kiedy przetrząsając kolekcję butów pewnej kobiety, natrafiła na martwego chomika, który zaginął kilka miesięcy wcześniej. Cała sztuczka polegała na tym, by wyglądać bardziej na zainteresowaną niż pełną obrzydzenia.

- Możesz na mnie liczyć, Roxie - rzekła z przyklejoną do twarzy miną „martwy chomik”.

Dopiero kiedy drzwi windy zamknęły się ze świstem, pozwoliła, by na jej twarzy pojawiło się to, co naprawdę czuła: niepokój.

Livia w recepcji miała dla niej pocztę od fanów. Wielką kopertę A3 po brzegi wypełnioną listami.

- Dzięki, Livvy - rzekła Abby, nagle bliska łez na widok tyłu wyrazów uznania. Jednak ktoś ją lubił, nawet jeśli ta wstrętna jędza Roxie chciała się jej pozbyć.

Kiedy odbierała kopertę, zapach perfum Livii sprawił, że poczuła nagłą słabość w kolanach. Livia używała Calèche. Abby miała kiedyś flakon tych perfum, jeden jedyny w całym życiu, ale natychmiast przypomniała sobie, kiedy

ich używała. Było ich siedmioro, podróżujących pociągiem po Europie, i mieli plany, by się rozdzielić i zobaczyć inne miasta. Abby, jej siostra Viv i Linda ze studiów pragnęły zobaczyć tyle Europy, ile się da w miesiąc, po czym pojechać do Hiszpanii lub Włoch w jakieś jeszcze nieodkryte miejsce, które musiało spełniać dwa wymogi: być zarówno tanie, jak i bardzo gorące, tak by mogły spędzić dwa tygodnie na plaży Jay, Colm i dwóch innych chłopaków z uniwerku planowali najpierw sobie poodpoczywać, a później zabrać się za zwiedzanie, za końcowy przystanek obierając Amsterdam, gdzie mogliby się oddawać lenistwu w kawiarniach, wdychając zarówno duszną, zadymioną atmosferę, jak i nieco legalnej trawki.

Oczywiście żaden z tych wspaniałych planów nie został zrealizowany Colmowi podobała się Linda, więc chłopcy udali się za dziewczynami do Paryża, gdzie wspólnie spędzili tydzień, a potem grupy się rozdzieliły i Linda, Colm, Jay, Viv oraz Abby ruszyli w chaotyczną podróż w stronę Włoch, by się delektować słońcem. Gdzieś pomiędzy Paryżem a Rzymem Jay i Abby zaczęli dzielić pokój...

- To ekscytujące, co się dzieje z programem, prawda, Abby? - zapytała Livia. - Seliny nie ma dzisiaj z powodu choroby, zatoki, biedactwo, ale kazała ci przekazać, że jutro zadzwoni do ciebie na komórkę, by ci powiedzieć, które gazety i magazyny chcą zamieścić materiał o poszukiwaniu nowych prezenterów do *Porządków*.

- To świetnie - odparła Abby, zabierając z sobą pocztę od fanów. Wcześniej sądziła, że ona i Selina dobrze się dogadują, ale być może to także uległo zmianie. Mogła ją przynajmniej ostrzec, że Roxie zamierza to wszystko upublicznić. Wtedy byłaby w stanie uśmiechnąć się uprzejmie, kiedy Roxie o tym wspomniała. Poczucie niepokoju podniosło się o kolejny stopień.

Dojechała do hotelu McGregor's Townhouse krótko po trzeciej. I kiedy stała w kolejce, by się zameldować, uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie zwróciła uwagi na to, jak cicho jest w holu. Kiedy wcześniej się tutaj zatrzymywała, zazwyczaj wbiegała i wybiegała zbyt szybko, by to zauważyć, stając tylko po to, by odebrać klucze lub zamówić coś w recepcji. Dzisiaj jednak, rozmyślając o spotkaniu się w tym miejscu z Jayem, zauważyła, że w holu panuje grobowa cisza, że nie słychać muzyki, która mogłaby zagłuszyć ich rozmowę, ani odgłosu pogawędek innych gości.

Było tak cicho, że gdyby ona i Jay przywitali się słowami: „O, witaj! Miło cię tutaj spotkać”, usłyszeliby to wszyscy w promieniu dziesięciu metrów i bez wątplenia natychmiast odgadli, że ma tu miejsce jakiś podstęp. Co gorsza, co by było, gdyby pojawił się nagle ktoś z ekipy *Porządków* i zobaczył, jak Abby oddała się w towarzystwie przystojnego mężczyzny, który z całą pewnością nie jest Tomem? Dlaczego nie umówiła się z Jayem na kolację na jakimś neutralnym gruncie, zamiast zdawać się na jego swobodne „Skontaktuję się z tobą po południu”?

Ogarnęła ją panika. Zameldowała się i udała pospiesznie do swego pokoju, zbyt zdenerwowana, by się zastanawiać, jaką gazetę ma ochotę otrzymać wraz ze śniadaniem oraz czy potrzebuje budzenia telefonicznego.

Ponownie otrzymała apartament, jednak dzisiaj nie miała głowy do zachwycania się królewskim łóżem ani gratisową butelką wina, postawioną obok dużego kosza z egzotycznymi owocami. Rzuciwszy rzeczy na łóżko, podbiegła do telefonu, ale czerwone światelko automatycznej sekretarki nie paliło się. Nie było telefonu od Jaya. A wcześniej nie zadzwonił do niej także na komórkę, czego najbardziej się bała, odkąd się umówili na spotkanie. Za każdym razem, kiedy w ciągu minionego tygodnia odzywał się jej telefon, podskakiwała ze zdenerwowania. Jeśli dzwonił w obecności Jess lub Toma, po prostu go ignorowała.

- Jak możesz to robić? - zapytała raz Jess, która żyła z telefonem przyklejonym do ucha, dziesięć razy dziennie rozmawiając ze Steph.

- Nie mam ochoty go odbierać - odparła zwięźle Abby, podczas gdy komórka piszczała uparcie gdzieś w czeluściach jej torebki w kuchni.

- A na mnie krzyczysz, że nie słyszę komórki, kiedy jadę pociągiem i słucham discmana - oświadczyła oskarżycielsko Jess.

Teraz Abby usiadła na łóżku i wystukała numer Jaya. Telefon był wyłączony i została przekierowana do poczty głosowej. Nerwy sprawiły, że nabrała śmiałości i zostawiła następującą wiadomość: „Jay, przepraszam, uważam, że to błąd. Wiem, że powiedziałeś, iż skontaktujesz się ze mną w hotelu, ale to zbyt publiczne miejsce. Ekipa Beech zatrzyma się tutaj, a co, jeśli ktoś z nich zjawi się wcześniej? Nie sądzę, bym dała sobie z tym radę. Nie mogę zjeść z tobą kolacji. Jestem mężatką. Naprawdę cię przepraszam... żegnaj”.

Rozłączyła się, oddychając ciężko, jakby właśnie wbiegła kilka pięter po schodach. Naprawdę to zrobiła. Powiedziała Jayowi, że nie może posunąć się dalej, i nie miała wątpliwości, że to było właściwe posunięcie. Nie była stworzona do flirtowania, nie mówiąc już o romansie. Doświadczone cudzołożnice najprawdopodobniej nie czuły, by ich żołądki wykonywały pełne niepokoję salto na myśl o oszukiwaniu mężów. Wskakiwały po prostu z kimś do łóżka i tyle. *Carpe diem* i tym podobne. Abby, z wpojona moralnością szkoły prowadzonej przez zakonnice, była zbyt nerwowa, by *carpe* cokolwiek.

Zsunęła ze stóp szpilki i zamieniła obcisłą szarą sukienkę z dżerseju na obszerny hotelowy frotowy szlafrok. Włączyła telewizor, po czym zaczęła się rozpakowywać, jednym uchem słuchając talk-show podczas rozwieszania ubrań. Veronica z działu Beech zajmującego się strojami zaopatrzyła ją na ten tydzień filmowania w dwie olśniewające góry: różowa dopasowana koszula, która wyglądała świetnie z džinsami, i luzacki T-shirt z długimi rękawami, z przodu z ilustracją komiksową z lat pięćdziesiątych. Teraz, kiedy nie miała się czym przejmować oprócz programu, była w stanie cieszyć się nowymi ubraniami.

Musiała być chyba szalona, myśląc o romansie. Szalona albo pozbawiona zdrowego rozsądku. Tak czy inaczej, to wszystko należało już do przeszłości.

Kiedy się rozpakowała, naalała sobie soku pomarańczowego z minibaru, poczęstowała się czekoladą Toblerone i usiadła na sofie w turkusowe i białe paski, by miło spędzać czas na oglądaniu telewizji i czytaniu plotkarskich magazynów, które wcześniej zapobiegliwie dostarczyła obsługa hotelowa.

Zdażyła już zjeść pół czekolady, kiedy rozległ się dzwonek. Otworzyła z zaciekawieniem drzwi i na chwilę przestała oddychać. Za nimi stał Jay z butelką szampana w jednej ręce i małą reklamówką z drogich delikatesów w drugiej. Jego uśmiech był drapieźny, i gdy tak opierał się o framugę drzwi, mierząc spojrzeniem Abby w nietwarzowym szlafroku, jej postanowienie zaczęło się chwiać.

- Mogę wejść? - zapytał niskim głosem.

- Oczywiście - odparła piskliwie, przestraszona, że ktoś może go zobaczyć.

Kiedy się znalazł w pokoju, zamknął drzwi kopnięciem, odstawił szampana i wziął Abby w ramiona. To wszystko działo się zbyt szybko, jego twarz tuż obok jej twarzy, jego ciało przyciskające się do jej ciała. A potem zaczął ją całować. To się tak bardzo różniło od całowania Toma, tego tańca wyćwiczonego podczas wspólnie spędzonych lat. Jay robił to tak, jakby całowanie samo w sobie było formą seksu, jego wielkie drapieżne usta pochłaniające jej wargi, jego język wsuwający się i wysuwający z jej ust, jedna z jego dłoni otaczająca tył jej szyi i przysuwająca ją bliżej i bliżej. Abby, której się wydawało, że od lat nie czuła tak wielkiego pożądania od samych tylko pocałunków, zaczęła mu je oddawać, jej usta złączone z jego ustami, jej ciało wtulające się w jego, a jedyną myślą w jej głowie było pozbycie się ubrań i przytulenie ciałem do ciała, a następnie osunięcie na łóżko i kochanie się...

- Smakujesz jak czekoladka - wymruczał, odrywając się od niej, by rozwiązać pasek jej szlafroka. - To bardzo przyjemne.

- Toblerone. Nie jadłam obiadu - odparła Abby, która była zbyt zdenerwowana, by jeść, nim zadzwoniła do Jaya, żeby wszystko odwołać. Czy też sądziła, że to odwołała.

- To jest bardziej niż przyjemne.

Cofając się o krok, by móc się jej przyjrzeć, Jay przesunął spojrzeniem po koronkowych figach w kolorze winogron i staniku do kompletu, który nie pozostawiał nic wyobraźni, gdyż różane czubki jej sutków prześwitywały spod warstwy delikatnej koronki.

W tej chwili Abby nie przejmowała się rozstępami ani wciąganiem lekko wypukłego brzucha. Jej ciało pulsowało pożądaniem i czuła się piękna. To jego pożądanie sprawiało, że czuła się piękna. Pożądanie było zdecydowanie najwspanialszym możliwym afrodyzjakiem.

- I bardzo seksowne. Zawsze byłaś seksowną kobietą, Abby. Nie sądzę, byś zdawała sobie z tego sprawę, ale wszystkich facetów z naszego roku doprowadzałaś do szaleństwa tym swoim seksownym chodem i sposobem, w jaki odrzucałaś do tyłu włosy i unosiłaś podbródek, kiedy czegoś chciałaś.

Jay wyciągnął długi palec i leniwie wsunął go do jednej z miseczek stanika, opuszczając materiał w dół, tak że jej pierś była odsłonięta, a sutek sterczący Nie dotknął jej, jedynie patrzył na pierś, ciężko oddychając. Następnie spojrzenia jego i Abby skrzyżowały się, i zobaczyła w jego oczach odbicie tego, co sama czuła: pożądanie.

- Tak bardzo cię pragnę, Abby. - Jego palce otarły się o jej sutek, a ona wygięła się w łuk z rozkoszy - Ale ty musisz także tego chcieć.

Jego palce ścisnęły wrażliwy wznórek, a jej ciało przeszył seksualny prąd. Kiedy w ślad za palcami podążyły gorące usta, wciągnęła gwałtownie powietrze, przepełniona pragnieniem. Była zgubiona.

- Chcesz tego? Pragniesz mnie? - zapytał, a jego druga dłoń przesuwiała się w dół po jej aksamitnej skórze, by błędzić kusząco wzdłuż skraju jej koronkowych majteczek.

Palce wsunął kilka centymetrów pod koronkę. Celem lekkich jak piórko dotknięć było doprowadzenie jej do szaleństwa. Zawsze mu się to udawało.

- Pragniesz mnie? - powtórzył.

- Tak - jęknęła w odpowiedzi. - Tak, pragnę cię, Jay

- To dobrze - rzekł, jego oczy były niemal czarne, a palce zagłębiały się w nią, dając jej do zrozumienia, że teraz nie ma już absolutnie odwrotu...

Po wszystkim Jay otworzył szampana, nie uрониwszy ani jednej kropli.

- Za nas - rzekł, podając Abby kieliszek.

Wypiła do dna, a cierpki smak szampana przywrócił ją do życia po wyczerpaniu spowodowanym orgazmem.

W torbie z delikatesów znajdowały się składniki na minipiknik: małe pszenne bułeczki z kremowym serem, pudełeczko z wędzonym kurczakiem i drugie z delikatnymi krewetkami w majonezowym sosie.

- Jesteś świetnie przygotowany - zażartowała Abby, kiedy siedzieli na łóżku, a przed nimi na hotelowym ręczniku było rozłożone jedzenie. Nałożyła z powrotem swoją seksowną bieliznę, nie czując się na tyle swobodnie, by siedzieć nago, a nie chcąc psuć atmosfery za dużym, misiowatym szlafrokiem. - Czy zazwyczaj zabierasz z sobą cały piknik?

Jay posłał jej szybkie, podejrzliwe spojrzenie i Abby natychmiast zrozumiała, że powiedziała coś niewłaściwego.

- To był żart - dodała pospiesznie. - Wiem, że normalnie nie robisz czegoś takiego... - I wtedy zamilkła. Właściwie skąd miała wiedzieć, czy to robił, czy nie?

- Abby, chcę, byś wiedziała, że nigdy wcześniej nie zdradziłem Lottie - rzekł powoli. - Nigdy Ale ty i ja... nasza historia zaczęła się dawno temu, Abby Nigdy o tobie nie zapomniałem. Wydaje mi się, że nigdy cię nie przebolełem.

- Naprawdę? - zapytała, mając ochotę przestać rozmawiać o Lottie, Tomie lub prawdziwym świecie, gdzie prawdziwi ludzie poczuliby się zranieni tym, co ich dwoje właśnie zrobiło.

- Naprawdę - odparł Jay, napełniając jej kieliszek. - Tamto lato uosabiało to, czym powinna być zabawa i młodość. Pamiętasz tamtą noc w pociągu do Rzymu, kiedy nie dostaliśmy kuszетки i przytulaliśmy się na jednym siedzeniu, ale ciągle się ześlizgiwaliśmy?

- A kiedy dojechaliśmy do Rzymu, znaleźliśmy niewielki hostel i poszliśmy do łóżka, i spaliśmy przez cały dzień?

- Nie przez cały dzień - przypomniał jej Jay, uśmiechając się szeroko.

Kiedy wypili szampana do końca, Abby ponownie poczuła się sennie seksowna i tym razem było nawet lepiej. Alkohol podziałal znieczulająco na jej świadomość do tego wygodnego, pełnego ośpienia stopnia, kiedy pojęcie jutra i nemezis znajdowały się daleko, daleko stąd. Przytulona do Jaya w królewskim łożu z kosztowną egipską pościelą chłodzącą jej skórę, Abby czuła się dziwnie piękna i totalnie usatysfakcjonowana. To było miejsce, w którym powinna być. Zasady obowiązywały innych ludzi, nie ją.

Przenikliwy dzwonek jej telefonu komórkowego wciągnął ją z powrotem do rzeczywistego świata. Wychyliła się, by wziąć go ze stolika nocnego i automatycznie odebrała, mówiąc niepewnie:

- Halo?

- Witaj, Abby - odparł głos, który wydał jej się odlegle znajomy - Z tej strony Babs Lennon z „Chronicle”.

Abby przypomniała ją sobie. Babs była jedną z pierwszych dziennikarek, z jakimi rozmawiała, weteranką stron poświęconych telewizji, która napisała entuzjastyczną recenzję jej programu i opisała Abby jako „kobietę, którą mielibyście ochotę zaprosić do swego domu, by pomogła wam rozwiązać problemy w waszym życiu”. Zachwycona zachowała wycinek z tamtego numeru.

- Witaj, Babs - odparła ostrożnie, świadoma obecności Jaya, leżącego nago obok niej. Nikt nie widział jej i Jaya, prawda? O nie, co by pomyślał sobie biedny Tom? To by go zabiło. Wyrzuty sumienia przygnały z prędkością światła. Co ona najlepszego zrobiła? I skoro dzwoniło do niej z gazety, wiedzieli już o tym wszyscy. Będzie musiała po prostu powiedzieć, że są dawnymi przyjaciółmi, którzy spotkali się na drinku w jej pokoju, to wszystko i...

- Piszemy materiał na temat poszukiwania nowego prezentera *Porządków* i chciałabym zamieścić twoją opinię na ten temat - kontynuowała Babs.

- Och, jasne. - Czując się jak kompletna idiotka, że wyobrażała sobie wcześniej, iż kogoś mogłoby obchodzić jej życie osobiste, Abby poczuła, że ściskający jej żołądek strach nieco ustępuje. Za kogo ona się uważała? Za Nicole Kidman? Zebrała się w sobie, by odpowiedzieć. - Pomysł wprowadzenia do programu nowej osoby jest fantastyczny - rzekła, starając się, by zabrzmiało to jak najszczerzej. - Zastanawialiśmy się nad sposobami dodania *Porządkom* świeżości i akurat ten pomysł spodobał się nam wszystkim. Będzie naprawdę cudownie pracować z jeszcze jednym prezydentem.

- Fantastycznie - odparła Babs. - A więc nie masz żadnych obiekcji co do wprowadzenia do programu kogoś jeszcze?

- Boże, nie, a dlaczego miałabym je mieć? - Usta Abby do granic możliwości rozciągnięte były w udawanym uśmiechu. - W branży telewizyjnej nie można spocząć na laurach, Babs, wiesz o tym przecież! Konieczne jest dbanie, by program był ekscytujący dla widzów i w tym przypadku chodzi właśnie o to. Cały nasz zespół jest do tego entuzjastycznie nastawiony i wszyscy czekamy niecierpliwie, by znaleźć nowy talent dla Beech!

- Super, super - powtórzyła Babs tonem osoby zajętej robieniem notatek. - Dzięki, Abby Do zobaczenia.

- Tak, do zobaczenia - odparła beznamiętnie.

Już trzeźwa, czuła się w jakiś sposób nieczysta, kłamiąc jak z nut. A potem to do niej dotarło: właśnie uczyniła coś, w związku z czym będzie zmuszona kłamać przez resztę swego małżeńskiego życia.

- Abby. - Jay pocałował jej nagie ramię, po czym żartobliwie ją ugryzł. - Powiniennem już iść. Mam dziś wieczorem coś w rodzaju przyjęcia. Zabieramy kilku naszych największych klientów na kolację. Nudy, ale muszę się tym zająć.

Wstał z łóżka i udał się do łazienki, po czym Abby usłyszała elektryczny szum uruchomionego prysznicza. Siedziała w bezruchu na łóżku, czując, jak w jej wnętrzu kac miesza się z poczuciem winy. Co ona narobiła?

Po upływie chwili, jak się mogło wydawać, Jay pojawił się z powrotem w sypialni, by się ubrać. Przyglądała mu się w milczeniu, dziwiąc się szybkości, z jaką nakładał ubranie. Tom robił to powoli, a mimo to efekt był niezmiernie nieco niechlujny. Jay z kolei narzucał na siebie rzeczy w wyćwiczonym tempie, jednak na końcu wyglądał nienagannie. Nikt, widząc tego szykownego mężczyznę w doskonale skrojonym szarym garniturze i nieco ciemniejszej koszuli rozpiętej pod szyją, z kasztanowymi włosami starannie zaczesanymi do tyłu, nie odgadłby, że godzinę wcześniej tarzał się po hotelowym łóżku razem z Abby, miał skórę pokrytą potem i potargane włosy, gdy jęczał podczas orgazmu.

- Proszę, nie smuć się, kochanie - rzekł, całując ją delikatnie w policzek. - Musi tak być, oboje o tym wiemy. Ale zobaczymy się znowu. Niedługo, naprawdę niedługo.

Po chwili już go nie było i jedynie pusta butelka od szampana, torba z delikatesów i dwie prezerwatywy zawinięte w chusteczki w koszu na śmieci stanowiły dowód, że w ogóle się zjawiał.

Abby rozejrzała się po hotelowym pokoju z uczuciem, które bliskie było szokowi. Ona, rozsądna Abby Barton, matka Jess, żona Toma, dopiero co uprawiała w tym pokoju seks z innym mężczyzną. W chłodnym świetle dnia, bez pożądania burzącego krew w jej żyłach, wiedziała, że popełniła ogromny błąd.

- Abby, biedactwo, wyglądasz, jakbyś w ogóle nie spała - zasmakowała nazajutrz Helen, obrzucając spojrzeniem profesjonalistki zmęczoną twarz prezenterki i jej cienie pod oczami.

Helen była fryzjerką i charakterizatorką w Beech. Ona i Abby siedziały z tyłu czegoś, co Brian lubił nazywać przyczepą do nagrań zewnętrznych, podczas gdy tak naprawdę był to duży, zabałaganiony van z wydzieloną, oświetloną wnęką do robienia makijażu, trzema krzesłami, niewielką czerwoną sofą z aksamitu, wieszakiem na kółkach pełniącym rolę garderoby i niewielkim aneksem kuchennym, gdzie można było zrobić sobie herbatę lub kawę. Konwój do nagrań poza siedzibą Beech składał się jedynie z trzech vanów: dwóch ze sprzętem, ochrzczonych AC i DC, i charakteryzatorko-garderoby, pieszczotliwie nazywanej Wozem Namiętności na cześć czerwonej sofy. W deszczowe dni cała ekipa gromadziła się w Wozie Namiętności i wypijała niekończące się kubki herbaty, grała w pokera i uprzyjemniała sobie czas nader zajmującym plotkowaniem o ludziach z branży.

Dzisiejszy dzień był cudownie słoneczny i cała ekipa znajdowała się wewnątrz Glete Cottage, niewielkiego domku z dwiema sypialniami w centrum Dublina, do którego właściciel wcisnął wszystko ze swego poprzedniego domu, dużego rodzinnego bliźniaka z pięcioma sypialniami i oranżerią. Abby nie była jeszcze w środku, ale widziała zdjęcia i wiedziała, że połowę pracy będzie miała za sobą, kiedy znajdzie sposób na usunięcie z maleńkiej kuchnio-jadalni ośmioosobowego stołu. A to wcale nie będzie proste zadanie. Perspektywy ciężkiej pracy nie łagodził fakt, że w nocy spała zaledwie dwie godziny, zasnawszy po piątej, kiedy wyczerpaniu udało się wreszcie przezwyciężyć poczucie winy

Helen wahała się chwilę przy podkładach i w końcu wybrała taki, z którym w normalnym świetle twarz Abby mogła wyglądać dziwnie pomarańczowo i jakby była pokryta skorupą, natomiast przed kamerą wyda się zdrowo opalona.

- Masz ochotę na kawę, skarbie? - zapytała Helen.

Mimo że miała niewiele ponad trzydzieści lat, matkowała całemu zespołowi niczym ulubiona babcia. Kłótnie kochanków, kłopoty z pieniędzmi i problemy w pracy - wszystko to wychodziło na światło dzienne w kąci Helen

podczas spokojnych przerw w pracy. Abby poczuła absurdalną chęć, by zwierzyć się ze wszystkiego, ale wiedziała, że Helen ją lubi i z całą pewnością to się zmieni, kiedy usłyszy, że Abby zdradziła męża.

- Bardzo chętnie napiję się kawy - odparła więc, zduszając w sobie ochotę na wybuchnięcie płaczem.

W Wozie Namiętności było kojąco cicho, i kiedy Helen nalewała z wiecznie perkoczącego ekspresu aromatyczną kawę, zapytała:

- Wszystko w porządku, Abby? Wyglądasz na bardzo przygnębioną, jakbyś nie była dzisiaj sobą.

- Zrobiłam coś głupiego - wyrzuciła z siebie i natychmiast pożałowała tych słów.

- Wszyscy popełniamy błędy - odparła spokojnie Helen. - Nikt nie przechodzi przez życie bez paru potknięć, ale to właśnie czyni nas ludźmi. - Jej łagodne spojrzenie skrzyżowało się w lustrze do makijażu z udręczonym spojrzeniem Abby - Jesteś dobrym człowiekiem, Abby Wybacz sobie.

Abby wybuchnęła płaczem.

- Nie umiem.

- Jak wam idzie? - zawołał z tyłu vana goniec.

- Jeszcze piętnaście minut - odparła Helen. - A teraz bądź grzecznym chłopcem i zamknij drzwi.

Drzwi zamknęły się cicho. Helen podała Abby pudełko z chusteczkami.

- Wypłacz się. Przytrzymam przez chwilę wszystkich z daleka, a ty wyrzuć to z siebie.

- Będę wyglądać okropnie przed kamerą z takimi czerwonymi oczami - zaszlochała Abby, na próżno je wycierając.

- Ciii - powiedziała uspokajająco Helen. - W dziesięć minut sprawię, że będziesz wyglądać jak Miss Świata.

Krzątała się, porządkując kosmetyki, podczas gdy Abby próbowała wziąć się w garść. Już nie czuła chęci opowiedzenia o wszystkim Helen. Zresztą jak miałyby powiedzieć jej o tym, co zrobiła? Sama nie potrafiła sobie tego wybaczyć, więc jak mógłby zrobić to ktoś inny?

Ostatecznie nie wyglądała może jak Miss Świata, ale jednak całkiem dobrze, mając na uwadze brak snu i otoczone czerwonymi obwódkami oczy

Helen znalazła radę nawet i na to - biały eyeliner na skraju dolnej powieki.

- Zaopatrzyłam się w niego, kiedy pracowałam z Candy przy tym popołudniowym programie - wyjaśniła Helen, co było sygnałem, że próbuje roz pogodzić Abby. Znana była ze swej dyskrecji i nigdy nie opowiadała o poprzednich miejscach pracy. - Candy często lubiła przyjeżdżać na kacu i z oczami tak czerwonymi, że wyglądała, jakby miała się wykrwawić na śmierć, gdyby tylko je otworzyła. Niezbyt przyjemnie się z nią pracowało - dodała powściągliwie.

„Może i tak”, pomyślała Abby, „ale bez względu na to, jak wielką jędzą była Candy, przynajmniej nie było nic wiadomo na temat tego, by zdradzała męża”.

Kilkaset kilometrów dalej w niewielkim pomieszczeniu w klinice leczenia raka piersi lekarz wpatrywał się w wyniki ultrasonografii i pomyślał o pacjentce, która czekała na zewnątrz wraz z mężem. Czekala na wiadomości, które były złe. Ta para niewątpliwie spodziewala się niedobrych wieści, skoro wykonano zarówno ultrasonografię, jak i biopsję. Podczas wykonywania USG rozmawiano jednocześnie z pacjentem. Dziewięć na dziesięć guzków w piersi było łagodnych, powiedziałby lekarz, starając się nie wzbudzać niepokoju w pacjentce. Setki kobiet, które każdego dnia przechodziły przez drzwi tej kliniki, potrzebowaly takiego zapewnienia, kiedy leżały i poddawały się badaniu przesiewowemu w kierunku nowotworu. Rak piersi - to były słowa budzące grozę, bez względu na stopień jego zaawansowania.

Jednak guz w piersi tej biednej kobiety absolutnie nie wyglądał na łagodny, stąd dodatkowa biopsja. Jej wyniki powiedzą mu więcej, jednak dzięki połączeniu instynktu i wieloletniego doświadczenia wiedział, że to nie jest rak we wczesnym stadium. I musiał to im teraz powiedzieć.

To była część pracy, której nie znosił; nie długich, męczących dyżurów, batalii toczonych z biurokracją o większą ilość pieniędzy dla szpitala, niekończących się raportów lub kłótni z żoną, z którą się prawie nie widywał. Z tymi problemami był w stanie sobie poradzić. Natomiast pomimo wielu lat spędzonych w tym zawodzie nadal bolało go serce, kiedy patrzył na ludzi siedzących w jego gabinecie z nadzieją w oczach, a potem obserwował, jak po oznajmieniu wyników badań nadzieja migocze, po czym gaśnie niczym zdmuchnięta świeca.

Wstał i otworzył drzwi do gabinetu.

- Proszę wejść - rzekł uprzejmie do Richardsonów.

Lizzie podskoczyła w łóżku, kiedy zadzwonił telefon. Wyciągając rękę po słuchawkę, zerknęła na budzik i zalała ją fala strachu. Dwadzieścia pięć po siódmej. Nikt nie dzwonił o tak wczesnej porze, chyba że miał do przekazania złe wieści.

- Halo - rzuciła do słuchawki, w pełni już rozbudzona, próbując się przygotować na cios.

- Witaj, Lizzie - rzekła Clare Morgan. - Przepraszam, że dzwonię o tak nieludzkiej porze, ale chciałam się upewnić, że będziesz mogła zorganizować zastępstwo za mnie na dzisiejsze przedpołudnie.

Lizzie poczuła, jak strach odpływa.

- Żaden problem, Clare. Co się stało?

Doktor Morgan zgrabnie uniknęła odpowiedzi na to pytanie.

- Chciałabym, żebyś zadzwoniła do doktora Jonesa i poprosiła go, by przyszedł za mnie. Zadzwoniłabym do niego sama, ale padła mi bateria w komórce, a nie chcę dzwonić zbyt często ze szpitalnego telefonu. Powiedz mu, że od czwartej nad ranem siedziałam przy pacjencie i nie będzie mnie w domu jeszcze przez kilka godzin. To było dziecko z podejrzeniem zapalenia opon mózgowych. Rodzice wyjechali, a ja zostawili u ciotki, która nie zauważyła objawów. Zastanawiam się, czy nie moglibyśmy dostać z resortu zdrowia więcej tych list z objawami i przypominać rodzicom, że każdy, kto się troszczy o swoje dziecko, powinien się z nimi zapoznać?

- Zajmę się tym - powiedziała Lizzie, myśląc, że jej pracodawczyni sprawa wrażenie zupełnie wykończonej. - Powinnaś się trochę przespać, Clare.

- Och, tak właśnie zrobię.

- A co z popołudniem w przychodni? - zapytała Lizzie, siadając na brzegu łóżka i rozglądając się za długopisem i kawałkiem kartki, na której mogłaby sporządzić notatki.

- Zjawię się - odparła ze znużeniem Clare Morgan. - Nie wiem, chyba już nie mam wystarczająco dużo energii do tej pracy. Jest zbyt bolesna i wyczerpująca. Kiedy wczoraj wyszłaś, dostałam wiadomość, że u jednej z moich pacjentek wykryto zaawansowanego raka piersi. Ma dopiero trzydzieści cztery lata, Lizzie, trzydzieści cztery, i kto wie, czy doczeka trzydziestych piątych urodzin. A ma małe dzieci, męża i po co żyć. To takie niesprawiedliwe.

Lizzie wiedziała, że lepiej nie pytać, kto to taki. Jednak dało się wyczuć, że lekarka jest tym wytrącona z równowagi.

- Czy mogę coś jeszcze zrobić, Clare? - zapytała. - Jeśli nie pojechałaś do szpitala samochodem, mogłabym zadzwonić po taksówkę, by cię stamtąd odebrała i byś mogła trochę się przespać...

Jednak zazwyczaj praktyczna doktor Morgan nawet jej nie słyszała.

- Nie mogę uwierzyć w to, że nie wykryliśmy tego wcześniej, Lizzie, nie teraz, kiedy jest już za późno. I czy wiesz, że ona twierdzi, że da sobie radę, martwi się jedynie o Jacka i Daniela...

Lizzie gwałtownie wciągnęła powietrze.

- To nie Sally Richardson, prawda? - zapytała, zapominając o tajemnicy lekarskiej.

Po drugiej stronie linii na chwilę zapadła cisza.

- Tak - przyznała w końcu Clare. - To ona. Ale proszę, zachowaj to dla siebie, Lizzie. Sądzę, że rodzina musi się najpierw oswoić z tą myślą, nim zaczną mówić o tym innym ludziom.

Lizzie desperacko pragnęła zapytać, jak to możliwe, iż rak rozwinął się tak szybko, że nie udało się tego wykryć, ale ugryzła się w język. Było jasne, że Clare zadreślała się dokładnie takimi samymi pytaniami - jak jedna z jej pacjentek mogła tak ciężko zachorować, podczas gdy ona o tym nie wiedziała? Lizzie cofnęła się myślami do tych chwil, kiedy Sally zjawiała się w przychodni z chłopcami. Nigdy nie umówiła się na wizytę dla siebie, i chociaż mówiła o potrzebie zobaczenia się z lekarzem, nie zrobiła tego - a przynajmniej nie w godzinach pracy Lizzie. Musiała się zjawić podczas któregoś z jej wolnych dni i to Iris, dodatkowa recepcjonistka, wypisała skierowania do kliniki onkologicznej lub specjalisty.

- Kończą mi się pieniądze - oświadczyła Clare. - Porozmawiamy później. Jeśli będą jakieś pilne wiadomości, to nagraj się na moją pocztę głosową, a ja ją odsłucham, kiedy naładuję baterię.

Rozłączyła się. Lizzie zeszła na dół, by zrobić sobie mocną herbatę. Była w tak wielkim szoku. Przypomniała sobie przyjęcie u Richardsonów w poprzedni weekend. Sally nie mogła się odgonić od komplementów na temat tego, jak elegancko i szczupło wygląda w połyskującej, luźnej sukience bez rękawów.

- Wiem, że to irytujące, kiedy ludzie mówią, że nie są na diecie - rzekła wtedy z żalem - ale uganiecie się z chłopcami i praca w salonie naprawdę pozwala na zachowanie linii. Delia nazywa to dietą pracującej matki! - zażartowała.

Sally zawsze była drobna, ale tamtego wieczoru wyglądała równie chudo jak modelki z wybiegu, a pod jedwabną sukienką odznaczały się zebra. Lizzie ze wstydem przypomniała sobie, jaką czuła z tego powodu zazdrość. Uświadomiła sobie teraz, jak bardzo nie miała racji. Cóż to był za świat, kiedy inne kobiety podziwiała szczupłość, która tak naprawdę była wynikiem choroby?

Podczas gdy woda gotowała się, zadzwoniła do doktora Jonesa i poprosiła go, by zastąpił Clare Morgan. Następnie wypila herbatę, patrząc tępo na wiadomości w telewizji śniadaniowej i próbując oderwać myśli od tragicznych wiadomości o Sally. Nie udało się jednak: nie była w stanie myśleć o czymkolwiek innym.

Clare Morgan nie miała w zwyczaju przesadzać. Skoro bała się o życie Sally, w takim razie Lizzie także się o nie bała.

Ze wszystkich ludzi, jakich знаła, Sally i Steve byli najszczęśliwszą parą, zadowoloną ze swego życia. Nie utyskiwali na innych ani nie jęczeli, że gdyby mieli więcej pieniędzy czy też samochód z napędem na cztery koła albo gdyby wygrali na loterii, ich życie byłoby idealne. Cieszyli się tym, co mają. Byli sympatyczni, uroczy, zabawni i mieli całe życie przed sobą. Teraz wszystko to zostało im odebrane.

Co Steve zrobiłby bez Sally? Jak ta dwójka dzieci dorastałaby bez uwielbiającej ich matki? W obliczu takich pytań problemy Lizzie zdawały się być zupełnie pozbawione znaczenia.

Rozdział czternasty

Te siedem dni, które minęły, odkąd przespała się z Jayem, były najdłuższymi dniami w życiu Abby Jeśli uważała, że branie udziału w nagraniu programu z ciężarem poczucia winy zwisającym jej u szyi było trudne, konieczność powrotu do domu, do córki i męża, okazała się dziesięć razy gorsza.

To koszmarna ironia, lecz wyglądało na to, że pod nieobecność Abby Tom postanowił, że oboje muszą się zdobyć na nieco wysiłku, i kiedy wróciła do domu w piątkowy wieczór, powitał ją mocnym uściskiem i informacją o rezerwacji w ich ulubionej lokalnej restauracji.

- Oboje znajdowaliśmy się ostatnio pod wpływem dużego stresu - oświadczył. - Czy możemy zostawić to wszystko za nami i zacząć jeszcze raz?

Nawet Jess była za tym pomysłem.

- Powiedziałam tacie, że będziesz ciężko pracować w Dublinie i że przyda ci się jakieś wyjście.

Abby przyszedł do głowy pewien pomysł.

- A może wszyscy tam pojedziemy?

Wiedziała, że podczas kolacji była nieco nieobecna duchem, ale Jess nadrobiła milczenie matki. Spędziła środowy wieczór na pomaganiu w schronisku dla zwierząt i opowiadała teraz radośnie o różnych psach i kotach, które tam mieszkają.

- Jean właśnie przyjęła dwa osiołki - rzekła Jess, kiedy opowiedziała rodzicom historie, jak się zdawało, każdego zwierzaka ze schroniska. - Są urocze i trzeba znaleźć dla nich wspólny dom. Osiołki bardzo nie lubią samotności... - zamilkła, by ugryźć kawałek bułki - i mają bardzo delikatne łapy, i nie powinno się ich trzymać na zewnątrz przez cały czas. Ludzie są tacy okrutni dla zwierząt.

Dzięki entuzjazmowi Jess posiłek okazał się udany. Tom prowadził w drodze do domu i co jakiś czas kładł rękę na dłoń Abby i lekko ją ścisnął.

Kiedy jechali Briar Lane, Abby musiała udąć atak kichania, by ukryć łzy, które napłynęły jej do oczu.

- Dobrze się czujesz, mamo? - zapytała Jess takim słodko zatroskanym tonem, jakiego już dawno nie używała.

- Tak - odparła, czując nienawiść do samej siebie. - Chyba rozkłada mnie przeziębienie.

W poniedziałek nagrała wiadomość dla Jaya. Wiedziała, że miał w tym tygodniu być w Cork, i zapytała, czy nie mogliby spotkać się na obiedzie nazajutrz, we wtorek. Następnie wyłączyła swój telefon. Nie chciała z nim rozmawiać, zanim nie powie mu prosto w twarz, że to koniec. Wystarczająco dobijające było odsłuchiwanie później w ciągu dnia jego zalotnej wiadomości potwierdzającej spotkanie.

Nadszedł wtorek i Abby czuła się chora ze zdenerwowania. By jeszcze bardziej wszystko skomplikować, w szkole Toma zbliżały się ferie wielkanocne i dzisiaj wychodził z domu dopiero wczesnym popołudniem, gdyż najpierw musiał się uporać z masą papierkowej roboty

- Dokąd wychodzisz taka odstawiona? - zapytał Abby, kiedy przygotowywała się, by o dwunastej wyjść z domu.

Siedziała przy toalecie i nakładała staranny makijaż, podczas gdy Tom szukał w szafie krawata, który pasowałby do liliowej koszuli. Poczowała, że się rumieni, ale jakoś udało jej się odpowiedzieć:

- Och, spotkanie służbowe. Nudny lunch z Brianem i jakimiś reklamodawcami.

- Gdzie?

Prawie przewróciła małą buteleczkę z podkładem. Zazwyczaj nie pytał jej, dokąd się wybiera na lunch. Czyżby żywił jakieś podejrzenia? Czy się domyślił? W lustrze widziała jego twarz. Wyglądała normalnie, wręcz radośnie. Zbliżały się ferie świąteczne i dwa tygodnie wolnego. Po prostu zachowywał się przyjacielsko.

Abby zmusiła się, by się odprężyć.

- Il Boccassio - rzekła nonszalancko. - To takie medialne miejsce spotkań. Myślę, że właśnie dlatego Brian tak je lubi.

Iłoma już kłamstwami uraczyła Toma i Jess? Wzdrygnęła się w środku na tę myśl. Oszukiwanie Toma było znacznie gorsze niż pójście do łóżka z Jayem - w tym przypadku chodziło o sieć oszustw, rozciągającą się pomiędzy nią a tymi, których kochała najbardziej.

Dziesięć minut przed umówionym spotkaniem z Jayem siedziała w jeepie na parkingu. Sprawdziła szminkę w składanym lusterku. Tylko jeden zwykły, zupełnie niewinny lunch. Powie Jayowi, że ten romans był błędem i że muszą się przestać spotykać, ponieważ oboje mieli tak wiele do stracenia. Na pewno to zrozumie, miał przecież Lottie i chłopców, i uwielbiał ich, nawet jeśli w jego małżeństwie pojawiły się jakieś problemy. Zatrzasnęła lusterko i jeszcze raz przećwiczyła to, co powie. Tak wiele razy zrobiła to do tej pory, że była w stanie wyrecytować te słowa przez sen: „Było fantastycznie, Jay (absolutnie nieprawda, gdyż wszelką przyjemność zabiło dojmujące poczucie winy), ale musimy myśleć o naszych rodzinach, o Tomie i Lottie”.

Miała nadzieję, że ta kwestia sprawi, iż jej plan będzie wyglądał na jedyne rozsądne wyjście z tej sytuacji. A jeśli jednak nie? Może Jay był tak ogłuszony pożądaniem do niej, że nie był w stanie przestać, miał nadzieję, że rozwiedzie się z Tomem, zaplanował już dla nich obojga wspólną przyszłość... Na tę myśl ogarnął ją chłód. Co by zrobiła, gdyby rzeczywiście tak się stało, gdyby Jay się załamał i oświadczył, że nie może bez niej żyć?

Nad górną wargą poczuła krople potu, kiedy wysiadała z samochodu, drżały jej kolana. „Weź się w garść”, nakazała sobie stanowczo, „za kilka godzin będzie po wszystkim”.

Il Boccassio wyróżniało się na ulicy ze statecznymi budynkami dzięki markizie w kolorze niebiesko-fioletowym. Celowo wybrała tę restaurację, ponieważ była tak popularnym miejscem, że trudno sobie wyobrazić, iż można się tam z kimś umówić na ukradkowy lunch. Tylko kompletna idiotka mogłaby się spotkać ze swym żonatym kochankiem, by kontynuować romans, w najgorętszym obecnie miejscu ludzi mediów. Abby uznała, że wybierając je, wykazała się podwójnym sprytem. Przed spotkaniem z Jayem nigdy nie sądziła, że jest zdolna do tego typu podstępów.

Kiedy weszła do środka, restauracja była niemal pełna: roiło się w niej od pięknie ubranych ludzi w typie medialnym, których spojrzenia lustrowały każdego nowo wchodzącego, by sprawdzić, czy warto się z nim przywitać. Słynny długi bar z drzewa orzechowego był oblepiony ludźmi, raczącymi się drinkami przed lunchem, a w powietrzu rozbrzmiewał szum powitań, śmiechu i postukiwanie shakera do koktajli oraz głośno składane zamówienia jeszcze jednej butelki.

Abby starała się wyglądać nonszalancko, kiedy idąc za szefem sali, mijala zwarte szeregi garniturów biznesmenów i ludzi zbyt ważnych, by nosić formalny, służbowy strój. Ona sama była ubrana w czarne spodnium i świeżo wyprasowaną czerwoną koszulę, a włosy miała ułożone tak, by wyglądały, jakby poświęciła im pięć minut, podczas gdy tak naprawdę zajęło jej to trzy kwadransy. Makijaż miała dyskretny, w naturalnych kolorach. Z całą pewnością pasowała wyglądem do tego miejsca. Jay siedział już przy stoliku i całe poczucie pewności Abby zachwiało się, kiedy zobaczyła, że w jakiś sposób udało mu się wyłapać jedyne miejsce w całej restauracji odpowiednie na romantyczną schadzke: dwuosobowy stolik ukryty za filarem, z drugiej zaś strony osłonięty dużą rośliną doniczkową. O ile wszystkie inne stoliki w restauracji zaprojektowano tak, by krzyczały: „Zauważcie nas, proszę!”, ten jeden akurat mrucał: „Zostawcie nas w spokoju”.

- Abby

Wstał i objął ją, nim miała szansę powiedzieć niezobowiązująco: „Cześć, Jay”. Szef sali, który wszystko już w życiu widział i wiedział, co w trawie piszczy odwrócił dyskretnie głowę, podczas gdy względnie znana i zameżna Abby

Barton przytulana była przez mężczyznę, który z całą pewnością nie był jej mężem, mężczyzną, który w bardzo swobodny sposób objął ją jedną ręką w talii.

- Jay, nie potrzebowaliśmy tego słodkiego, małego stolika - rzekła głośno Abby, pełna desperacji, by naprawić sprawę w obecności szefa sali. - A jeśli ktoś jeszcze z pracy zajrzy tutaj, by się przywitać? Nie znajdą nas przy tym stoliku.

- Nie chcemy, by ktokolwiek nas znalazł - zaśmiał się Jay, a w jego śmiechu wyraźnie słychać było podtekst seksualny

Szef sali odplynął, bez wątpienia po to, by zadzwonić do swojego ulubionego dziennikarza z plotkarskiej gazety, jak pomyślała z wściekłością Abby

- Jay - syknęła, kiedy zostali sami. - To nie jest dobry pomysł. Ludzie wiedzą, kim jestem. Jeśli zobaczą nas przycupniętych w tym kącie, dodadzą dwa do dwóch i wyjdzie im cztery!

- A niech im wychodzi cztery - rzekł Jay, nadal trzymając jej dłoń. - Jeśli o mnie chodzi, to może im wyjść pięć, sześć albo i siedem. Nie dbam o to.

Konsternacja Abby przybrała na sile. Szybko usiadła na swoim krześle, rozłożyła serwetkę na kolanach i ukryła się za wielkim menu. To spotkanie nie przebiegało w taki sposób, w jaki to sobie wcześniej zaplanowała. Było tak, jakby Jay chciał, by ludzie widzieli ich schadzke. W tej chwili niczego nie pragnęła bardziej niż wyrzucić z siebie, że ich romans jest skończony, a potem wybiec na bezpieczną, anonimową ulicę z pustym żołądkiem, ale i uczuciem ulgi, że ma to już za sobą.

Jednak łagodność cechująca jej naturę oznaczała, że nie potrafiła mu tego zrobić. Jay wydawał się taki podekscytowany na jej widok, a poza tym on także narażał na ryzyko własne małżeństwo z powodu tego, że przez wszystkie te lata nie udało mu się zapomnieć o Abby. Zasługiwał na właściwe pożegnanie. Była pełna determinacji, by spróbować to załatwić w sposób uprzejmy

- Jak się masz? - zapytała, rzucając mu spojrzenie sponad menu.

- Znacznie lepiej, odkąd cię ujrzałem - odparł. - Nie mogę przestać o tobie myśleć. Objęłaś w posiadanie moje myśli, Abby.

- Cóż, złożmy zamówienie i porozmawiajmy - wyrzuciła z siebie.

Była zupełnie rozstrojona torem, którym podążała ta rozmowa. Do diabła, jak ona miała to zrobić? Gdyby mieli już przed sobą jedzenie, wtedy mogłaby mu powiedzieć straszną prawdę, jednocześnie grzebiąc widelcem w sałatce. Jednak kelnerzy, niewątpliwie uprzedzeni przez szefa sali o perspektywie leniwego, zakrapianego szampanem lunchu, gdzie daniem dnia było patrzenie sobie w oczy, a nie rzeczywisty posiłek, omijali ich romantyczny zakątek szerokim łukiem. Nikt się do nich nie zbliżył, by podać bułeczki bądź przyjąć zamówienie. Abby rozglądała się gorączkowo po restauracji, lecz na próżno - żaden kelner nie napotkał jej spojrzenia.

- Czuję się po prostu nieco nieswojo, jeśli chodzi o ten lunch, Jay - rzekła nerwowo. - To tak bardzo publiczne miejsce.

- To ty zaproponowałaś tę restaurację. - Wzruszył ramionami.

- Tak, ale nie ten stolik. Wyglądamy jak... - Urwała.

- Wyglądamy, jakbyśmy mieli romans - dokończył Jay, posyłając jej szelmowskie spojrzenie.

Wreszcie pojawił się kelner z nieuchronną butelką szampana i kubelkiem z lodem. Potrzebowali jeszcze tylko ostryg i kartki z napisem „Preludium do seksu”. Abby westchnęła.

- Czy możemy złożyć zamówienie? - zapytała kelnera.

- Muszę szybko wracać do pracy

- Oczywiście, proszę pani.

Pospiesznie zamówiła zieloną sałatkę i rybę gotowaną na parze, podczas gdy Jay zdecydował się na cielęcinę z grzybami, przeciągając to wszystko pytaniami o gatunek grzybów i sposób podania cielęciny. Jak mógł mieć ochotę na cielęcinę? Abby uświadomiła sobie, że zasady etyczne Jess w końcu przemówiły także i do niej. Mięso to morderstwo, ale ryba jest usprawiedliwionym zabójstwem, jak lubił żartować Tom. Jak mogła w ogóle mieć ochotę iść do łóżka z mężczyzną, który zamawiał cielęcinę?

Kiedy już złożyli zamówienie, wokół ich stolika zaczęli się kręcić kelnerzy, donosząc chleb, masło, wodę i właściwe sztuce.

W końcu pojawiło się jedzenie i gdy Abby rozgrzebywała widelcem sałatkę, poczuła, że jeszcze nigdy w życiu nie czuła się mniej głodna.

- Odpręż się, kochanie - rzekł Jay, dolewając szampana do jej ledwie tkniętego kieliszka. - Wiem, że jesteś zdenerwowana. Następnym razem będziemy musieli poszukać jakiegoś bardziej odosobnionego miejsca.

- Nie będzie następnego razu - oświadczyła otwarcie Abby.

- Nie mów tak. - W ogóle nie wyglądał na zszokowanego, ale jedynie lekko poirytowanego, jakby tego etapu można się było spodziewać, lecz mimo wszystko jakoś go obejść.

- Wcale tak nie myślisz. Wszyscy na początku czujemy się winni, ale przejdzie ci to. Spójrzmy prawdzie w oczy, Abby, w małżeństwie nigdy nie jest tak, że żyje się długo i szczęśliwie. Być tylko z jedną osobą przez resztę życia? Cóż za brednie. - W jego głosie było słycać lekceważenie. - Niektórzy ludzie potrzebują więcej ekscytacji w życiu i my właśnie należymy do tego typu ludzi. Co w tym złego? Przecież nikomu nie dzieje się krzywda, a moja teoria brzmi, że to, o czym się nie wie, nie może zranić.

Wpatrywała się w niego tak, jakby nagle był dla niej kimś obcym, a nie mężczyzną, z którym spędziła pełne namiętności popołudnie w hotelowym pokoju.

- Czy dobrze mi się wydaje, że to nie twój pierwszy romans? - zapytała zimno.

Uśmiechnął się szeroko, ponownie seksowny czarusz, a błysk w jego oku stanowił wystarczającą odpowiedź.

- Nigdy nie byłem typem mnicha, Abby - odparł. - Życie ascety to nie dla mnie. Nigdy nie móc skosztować zakazanego owocu tylko dlatego, że jestem żonaty? - Wzdrygnął się. - Nie, to nie w moim stylu.

W jej głowie pojawił się obraz Toma. Toma, któremu nigdy nie marzył się romans, nawet jeśli nie był kandydatem do nagrody Męża Roku. Tom, na którym można było polegać, a którego ona zdradziła. Przysięgła sobie teraz, że zrobi wszystko, by uratować ich małżeństwo.

- Powiedziałeś mi, że nie robisz skoków w bok - rzekła.

- No i co z tego? Ty powiedziałaś mi to samo. - Wzruszył ramionami. - To właśnie mówią sobie ludzie, zanim zedrą z siebie ubrania: jeśli powtarza się to wystarczająco często, w końcu samemu jest się w stanie w to uwierzyć. A tak przy okazji, nie uwierzyłem ci - dodał. - Wydawałaś się dobrze wiedzieć, co robisz. Wiem, że nie wyobraziłem sobie tych sygnałów, wyraźnie w swoim życiu szukałaś ekscytacji.

- To był błąd. Nigdy wcześniej nie zdradziłam Toma - oświadczyła gorzko.

- Zawsze musi być pierwszy raz - stwierdził gładko Jay. Abby patrzyła na niego z niechęcią. Sprawił, że to wszystko wydawało się takie brudne i brzydkie. Jednak takie przecież właśnie było, czyż nie? Nie przemożna namiętność, która przetrwała dwadzieścia lat, by w końcu wypłynąć na powierzchnię i ich skonsumować, ale żalona przygoda spowodowana pragnieniem, nudą i lekkomyślnym zlekceważeniem osób, które naprawdę ich kochały.

Jay sięgnął przez stół i ujął jej dłoń, zmysłowo przesuwając palcem po miękkiej części jej kciuka.

- Daj spokój, Abby, podobało ci się. Nie mów, że tak nie było.

Opuściła spojrzenie na jego dłoń. W zeszłym tygodniu rozplynęłaby się pod wpływem tych delikatnych pieszczoł. Teraz nie czuła niczego. Jednak przecież w zeszłym tygodniu nie wiedziała, jakim człowiekiem jest Jay naprawdę.

Czy on rzeczywiście sądził, że ma zamiar wskoczyć z nim z powrotem do łóżka po tym wszystkim? Kiedy przyznał, że jest seryjnym cudzołożnikiem i że założył wcześniej, iż ona także?

- Witaj, Abby

Automatycznie uniosła głowę i ujrzała stojącego przy stoliku Toma. Na jego twarzy malował się szok, a spojrzenie obejmowało po kolei ustronny kąt, butelkę szampana, nietknięte jedzenie - i rękę Jaya obejmującą jej dłoń. Wyrывая mu dłoń, Abby wpatrywała się z przerażeniem w męża.

- Myślałem, że masz spotkanie z ludźmi z Beech. - Jego słowa zdawały się być wymuszone, jakby miał problem z przypomnieniem sobie, jak się je wypowiada.

- Mogę to wyjaśnić - rzekła Abby, odsuwając krzesło i wstając. - Tom, to nie tak, jak to wygląda - wyrzuciła z siebie gorączkowo, nie dbając o to, że znowu kłamie. Pragnęła, by wszystko było w porządku, poukładać fragmenty układanki tam, gdzie wcześniej się znajdowały.

- Nie jestem ślepy. Dokładnie widzę, jak to wygląda - odparł Tom w ten sam powolny sposób.

Abby spojrzała z desperacją na Jaya.

- Powiedz mu - błagała. - Powiedz mu, że spotkaliśmy się tylko na lunch. To jest Jay, Tom. Jay sprzed wielu lat, dawny przyjaciel, nadrabialiśmy jedynie zaległości, to wszystko. Powiedz mu, Jay!

Jednak on siedział oparty o krzesło, odzeganując się od tego kryzysu, a wyraz jego twarzy mówił, że to jej problem i że może liczyć wyłącznie na siebie.

Abby chwyciła desperacko ramię męża.

- To nie jest tak, jak wygląda - powtórzyła.

- Przyszedłem tutaj, gdyż mam straszną wiadomość - rzekł.

Abby przesunęła dłoń do ust.

- Nie Jess, o nie, nie Jess - zawołała.

- Nie. Nie Jess, dzięki Bogu. Chodzi o Sally.

Dopiero teraz Abby dostrzegła, że kiedy minął mu pierwszy szok, twarz Toma jest szara.

- Sally...? - wyszeptała.

- Krótko po twoim wyjściu zadzwonił do mnie Steve. Jest zrozpaczony. Sally ma raka piersi - rzekł Tom. - Steve powiedział, że wie, że chcielibyśmy o tym wiedzieć. Mówi, że kiepsko to wygląda. Nie chcieli nikomu mówić, że znalazła u siebie guzek, ale miała biopsję i okazał się złośliwy, więc wczoraj ją operowali. Są przerzuty do węzłów chłonnych. Lekarze mówią, że to trzecie stadium raka. Może umrzeć.

Abby wpatrywała się w niego bez słowa.

- Chciałem ci o tym powiedzieć, zanim usłyszałybyś to od kogoś innego, a wiedziałem, że właśnie tutaj jesz lunch. Z Brianem i innymi ludźmi z pracy. - Jego oczy, ciemne i pełne udręki, wwierały się w nią.

- Ale jak to możliwe? - Poprzez szok wywołany byciem przyłapaną przez Toma, Abby przetrawiała wiadomość, że coś złego dzieje się z jej przyjaciółką. - Była zdrowa. Nie wiedzielibyśmy o niczym? - To było zbyt trudne do pojęcia. Jak idealnie zdrowa, młoda osoba mogła aż tak ciężko zachorować bez wcześniejszych objawów?

- Przy raku piersi niekoniecznie odczuwa się ból - rzekł Tom. - Tak jak wiele rzeczy na zewnątrz wygląda zdrowo, gdy tymczasem w środku wszystko jest przeżarte.

Abby nie mogła znieść patrzenia w jego wypełnione cierpieniem oczy, wiedząc, że nie mówił tylko o chorobie biednej Sally

- Możemy ją odwiedzić? - zapytała.

- Nie wiem. Jest w szpitalu. Powiedziałem Steve'owi, że wpadniemy... przepraszam. Ja wpadnę do niego wieczorem, kiedy już wróci. Jest załamany, nie wie, co zrobić. Nigdy go nie widziałem w takim stanie. Chłopcy są w dziennym przedszkolu, potem Ruby ma ich odebrać, tak by Delia mogła siedzieć przy Sally, ale powiedziałem, że mogą przyjść do nas, jeśli Sally się zgodzi. Uwielbiają Jess, no i jest u nas dużo miejsca. - Na wspomnienie Jess jego twarz nabrała twardości, a ból został zastąpiony przez odrazę. - A więc teraz już wiesz. Możesz wrócić do swojego lunchu. - Wypluł z siebie słowo „lunch” w tak jadowity sposób, że Abby wzdrygnęła się w obliczu jego nienawiści. - Muszę iść. - Odwrócił się na pięcie i oddalił.

- Zaczekaj na mnie! - zawołała, ale jego już nie było.

- To nie była sytuacja pożądana - zauważył Jay, podnosząc butelkę i nalewając do swego kieliszka więcej szampana. - Nie ma sensu marnować dobrych bąbelków Szampan kosztuje tutaj osiemdziesiąt euro za butelkę.

- Czy to wszystko, co potrafisz powiedzieć?

Abby wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Przyłapał ich tutaj jej mąż, jedna z jej najlepszych przyjaciółek była umierająca. Czy w tym człowieku nie było ani odrobiny współczucia?

- Co chcesz, żebym powiedział? - Jay wyglądał na autentycznie skonsternowanego. - To nie miało nic wspólnego ze mną. To ty powiedziałaś mężowi, gdzie będziesz jadła lunch. Co zresztą było trochę niemądre, Abby Jeśli mamy to powtórzyć, będziesz musiała nauczyć się nieco lepiej kłamać.

Rzuciła na stół serwetkę i podniosła torebkę.

- Czy naprawdę sądzisz, że po czymś takim jeszcze się spotkamy? - wyszczała.

- Masz mój numer, gdybyś zmieniła zdanie - stwierdził spokojnie Jay, po czym wrócił do lunchu.

Kiedy potykając się, Abby wyszła z restauracji, żałowała, że nie chlusnęła szampanem w tę jego zadowoloną z siebie twarz. Co prawda niczego by to nie rozwiązało, ale przynajmniej miałyby choć odrobinę satysfakcji.

Po raz pierwszy w życiu Abby nie miała pojęcia, co zrobić. Sparaliżował ją szok. Po wyjściu z restauracji wsiadła do jeepa i próbowała się zastanowić, dokąd teraz jechać. Pomyślała o pełnej bólu twarzy Toma i jego wrodzonej życzliwości. Pospieszył, by ją znaleźć, gdyż wiedział, że będzie zdruzgotana wiadomością o Sally I przekonał się, że je właśnie kameralny lunch z innym mężczyzną.

A jeśli chodzi o Sally... „Dobry Boże”, modliła się Abby, „błagam, niech to wszystko okaże się pomyłką”. Błyskotliwa, pełna życia, ciepła Sally nie może być aż tak poważnie chora. To nie było sprawiedliwe. Ona była zbyt młoda, miała dwóch małych chłopców - jak to możliwe, że rak piersi był w tak zaawansowanym stadium? Musiała być przecież jakaś nadzieja.

Ludzie mijali samochód, zaglądając do środka, a jej bilet parkingowy stracił ważność. Abby nawet tego nie zauważyła.

W pierwszym odruchu chciała jechać do Toma i szukać u niego pocieszenia w kwestii Sally, i błagać o nieprzekreślenie ich małżeństwa. Jednak ogarnął ją nagły przestrah. W przeszłości zmagali się z wieloma różnymi problemami, ale nigdy z czymś takim. To pozostawało niezbadanym terytorium.

Nie była w stanie wyobrazić sobie bólu i uczucia zdrady, gdyby to Tom zranił ją, wdając się w romans. Jak on musi się teraz czuć? A Jess... kochana Jess. Do Abby dotarło, że jej czyny skrzywdzą także i ją, dziecko, które do tej pory starała się chronić na wszelkie możliwe sposoby. Jak mogła dopuścić do tego, by jej głupota zraniła Jess?

W tej chwili jedyną osobą na świecie, której Abby nienawidziła bardziej od Jaya, była ona sama. To ona ponosiła winę za to wszystko. Bezwzględnie wyrzuciła swą cenną rodzinę ze świadomości tylko dlatego, że była znudzona i czuła się zaniedbywana. Uwierzyła w to, co krzykliwie lansuje telewizja: uznała, że zasługuje na coś więcej niż wiernego męża i córkę, a czyniąc to, prawdopodobnie straciła ich oboje. Abby przypominała sobie nieugiętość w idealistycznym, młodym spojrzeniu Jess, kiedy mówiła o ludziach, którzy krzywdzą zwierzęta. Pomyślała o takim spojrzeniu skierowanym na nią - ponieważ tak właśnie na pewno się stanie. Pomimo swych protestów Jess nadal była dzieckiem, jeśli chodzi o sposób postrzegania rodziców, i widziała świat jako czarny i biały. Było zło, było dobro i nic pomiędzy. Nie tylko potępi cudzołóstwo swej matki, ale także będzie tym zdruzgotana. Co gorsza, Abby będzie musiała powiedzieć jej o Sally, którą Jess przecież uwielbiała.

Siedząc w samochodzie zaparkowanym w bocznej, ruchliwej ulicy, na której roiło się od ludzi biegnących gdzieś podczas przerwy na lunch, Abby Barton wybuchła płaczem i miała gdzieś, czy ktoś to widzi.

Pogrążona w błogiej nieświadomości Jess siedziała na ostatniej lekcji przed wielkanocnymi feriami. Starła się skoncentrować, naprawdę. Jednak na dworze była tak niesamowita pogoda, świeciło ciepłutkie słońce, sprawiając, że boisko do piłki nożnej nabierało koloru słomy, a głos pani Green brzęczał niczym rój os, powodując narkolepsję u wszystkich uczniów, z wyjątkiem może tych najbardziej pilnych.

Nauczycielka analizowała sposoby pisania wypracowania podczas czekającego ich wkrótce egzaminu z angielskiego. Przez połowę zajęć wyjaśniała, jak wybrać temat, a teraz przy wykorzystaniu starego arkusza egzaminacyjnego próbowała sprawić, by uczniowie wymienili pięć głównych punktów dla każdego z tematów. Nikt nie wydawał się mieć wiele do powiedzenia na temat: „Co znaczy dla ciebie demokracja?” i wykazywano wyraźny brak zainteresowania wypracowaniem, które musiało zaczynać się od zdania: „Zegar wybił dwunastą i drzwi do piwnicy otworzyły się ze skrzypnięciem...”.

Wszyscy jednak ożyli przy pytaniu dotyczącym pojęcia indywidualizmu: „Czy uleganie owczemu pędowi jest błędem?”. Jess przewróciła oczami. Jak to możliwe, że całej klasie tak bardzo się podoba teoretyczne pojęcie indywidualizmu, podczas gdy w praktyce zupełnie nikt tego nie stosuje? Nie lubili Jimmy'ego, który władał czterema językami i był matematycznym geniuszem; nie lubili Sian, tej nowej dziewczyny z Walii, która nie wykazywała absolutnie żadnego zainteresowania szkołą i zachowywała wyniosłą obojętność wobec nieudolnych prób onieśmienia jej; i wszyscy uważali, że pomysł Jess na pracę w schronisku dla zwierząt jest dziwaczny i dlatego też marnuje czas. Nie lubili ludzi, którzy byli indywidualistami, dlatego więc udawali, że jest inaczej?

Saffron mówiła właśnie niepewnie pani Green, że podoba jej się sposób, w jaki Britney Spears zachowała swój indywidualizm w świecie muzyki.

- Jej stroje pokazują, że pozostaje sobą, podczas gdy bardzo łatwo byłoby stać się takim, jak wszyscy inni - zakończyła dumnie Saffron. - Podziwiam to i pragnęłabym być indywidualistką we wszystkim, co robię.

Jess popatrzyła na Saffron spod zmrużonych powiek. To było niczym przyglądanie się setnej owcy na łące, beczącej, że jest inna, po czym truchtającej posłusznie, by dogonić swoich kumpli.

Jess podniosła rękę.

Pani Green uśmiechnęła się do niej. Jess Barton była jedną z jej ulubionych uczennic: autentycznie inteligentna, myśląca i zorientowana.

- Tak, Jess.

- Wszyscy mówią, że chcą być indywidualistami, ale to nieprawda - zaczęła Jess. - W gruncie rzeczy chcą być tacy, jak wszyscy inni, lubią tę samą muzykę co wszyscy, chodzą na te same koncerty co wszyscy, noszą te same dzinsy, co wszyscy. Ale chcą, by ludzie uważali ich za indywidualistów z powodu różowego pasemka we włosach czy czegoś

podobnego. To nie jest indywidualizm, lecz pretensjonalność udająca indywidualizm. A kiedy napotykają na swojej drodze kogoś, kto jest naprawdę indywidualistą, zmawiają się przeciwko niemu.

Pani Green była zachwycona jej punktem widzenia, ale reszta klasy wpatrywała się w nią z ponurymi minami.

- Pomyłona jędra - syknął jakiś głos.

- Nazwanie mnie „pomyłoną jędrą” stanowi potwierdzenie mych słów - kontynuowała spokojnie Jess. - Dlatego, że niektórzy z was nie zgadzają się z moim zdaniem, waszą reakcją jest wyśmianie tego i mnie zamiast uznania indywidualizmu. Czujecie się zagrożeni przez indywidualizm i każdego, kto nie podąża potulnie za stadem.

- Bardzo dobrze, Jess - pochwaliła pani Green. - Klasa, to doskonały temat na wypracowanie na ferie: przyjrzeć się ludziom z historii, którzy walczyli o pewne prawa, nawet jeśli ogół populacji nienawidził ich za to. Historia udowodniła, że mieli rację. Wiem, że trzeba przy tym trochę poszperać, ale egzaminatorzy pragną, byście używali waszych mózgów, a nie tych samych oklepanych frazesów. A teraz przyjrzyjmy się ostatniej kategorii w dzisiejszych wypracowaniach - historia osobista pod tytułem „Ktoś, kto zmienił moje życie”. Fiona, zacznijmy od ciebie. Czy możesz mi powiedzieć, w jaki sposób podeszłabyś do tego tematu?

- Masz ochroniarza, który zaopiekuje się nami po zajęciach? - wyszeptwała Steph, gdy Jess usiadła. - Bo Saffron ma zamiar ci nieźle dokopać. Zniszczyłaś jej historię „Britney to moja bohaterka” i sprawiłaś, że wygląda na tępą.

- Jeśli wygląda na tępą, to tylko dlatego, że taka właśnie jest - odparła Jess z lekkością, której wcale jednak nie czuła. W tamtym momencie powiedzenie tego, co myśli, wydawało się dobrym pomysłem, ale teraz, kiedy gniew przeszedł, nie była wcale taka pewna. Saffron i jej banda dadzą jej teraz w kość, a Jess nie była pewna, czy jest w stanie wytrzymać tego typu terroryzowanie, które fundowali Sian. Aż do teraz ludzie tacy jak Jess znajdowali się poza radarem klasowych prześladowców. To mogło ulec zmianie.

We wtorki czwarte klasy miały dwie ostatnie lekcje wolne, rzekomo po to, by poświęcić je na dodatkową powtórkę przed egzaminami. Jedynie ci najbardziej sumienni spędzali czas wolny na wkuwaniu w bibliotece. Wszyscy inni z prędkością światła opuszczali budynek szkoły. Dzisiaj, kiedy rozpoczynały się ferie, nikt nie zostawał, by się uczyć, jednak pomimo ogólnego pośpiechu Steph i Jess, i tak się znalazły wśród osób, które jako pierwsze dotarły do szkolnej bramy.

- Jeśli Saffron się odezwie, powiedz jej, żeby się odwaliła - poradziła Steph, ciężko dysząc po biegu połączonym z dźwiganiem ciężkiej torby z książkami. - To prawdziwa krowa.

- Nie obrażaj krów - wysapała Jess. - Lubię krowy

- Tak, ale nie chciałabyś jej trzymać jako zwierzątko domowe, co?

- Właściwie to chciałabym psa. Mają w schronisku szczenięta i bardzo bym chciała wziąć do siebie któregoś z nich, ale mama się nie zgadza.

- A co z Wilburem? Koty i psy walczą z sobą.

- Już on by sobie poradził z psem - odparła pewnie Jess. - Pacnąłby go tylko łapą, pokazał, kto jest szefem, i wszystko byłoby w porządku. Jean ze schroniska mówi, że koty i psy potrafią być najlepszymi przyjaciółmi. Powiedziałam mamie o szczeniaku i o tym, że będą musiały zostać uśpione, jeśli Jean wkrótce nie znajdzie dla nich domów, ale ona twierdzi, że tata nie chce mieć psa, co nie jest wcale prawdą. To tylko wykręt.

- Są świetni, jeśli chodzi o wykręty, prawda? - westchnęła Steph. - Jeśli my go używamy, by wyjaśnić, dlaczego zjawiamy się w domu o dziesiątej zamiast o wpół do dziesiątej, strasznie się wściekają, ale jeśli dotyczy to ich, to wtedy jest to zupełnie inna sprawa. Hej, czy to nie samochód twojej mamy?

- Tak, co ona tutaj robi? - zastanawiała się Jess.

Zbliżyły się do jeepa i Abby wyskoczyła z niego, ściskając Steph, jakby nie widziała jej od wielu miesięcy, a nie jedynie od dwóch tygodni, kiedy przyjaciółka córki została u Bartonów na noc.

- Witaj, co u ciebie?

- Wszystko dobrze, pani Barton - odparła speszona Steph, robiąc do Jess minę w stylu „co się dzieje?”.

- Cześć, kochanie. - Abby odwróciła się do córki i przytuliła ją mocno.

- Cześć, mamó - odparła Jess. Zdecydowanie coś było nie w porządku. - Co się stało?

- Czy coś musi się stać, żebym cię odebrała ze szkoły? - zapytała drżącym głosem Abby.

Była na jakimś wytwornym lunchu, przypomniała sobie Jess, i najwyraźniej musiała coś wypić, co nie było w stylu jej matki, bardzo wyczułonej, jeśli chodzi o połączenie alkoholu i prowadzenie samochodu.

- Piłaś wino do lunchu? - zapytała ostro. Jedna z nich musiała być odpowiedzialna.

Oczy jej matki wypełniły się łzami.

- Tylko kieliszek szampana - odparła. - A właściwie to nawet niecały

Steph i Jess ponownie wymienili zdeorientowane spojrzenia.

- No cóż, do widzenia, pani Barton - odezwała się Steph, chcąc wyrwać się z tej dziwnej sytuacji.

- Nie, podrzucę cię do domu - upierała się Abby.

- No dobrze - rzekła niechętnie Steph. Dziewczęta wskoczyły do jeepa i Abby ruszyła w kierunku Gartland Avenue.

- Pasy, mamó - upomniała ją Jess.

Abby kiwnęła głową i posłusznie zapięła pasy.

Jess nie zerknęła do tyłu, by spojrzeć na Steph, gdyż wiedziała, że jej przyjaciółka będzie miała minę w stylu „uwaga, szalony rodzic”.

Na Gartland Avenue Abby zahamowała na progu zwalniającym i opowiadała, jak bardzo byli tu kiedyś szczęśliwi.

- Pamiętasz, jak miałś dziesięć lat i jacyś chłopcy z parku przywiązali cię do tego drzewa sznurkami od twojej kurtki? - zapytała tęsknym głosem, kiedy przejeżdżały obok skarłowaciałej wiśni, rosnącej w połowie tej ulicy na przedmieściach Cork. - Och, a oto pani McDonald. Juu huu! - zamachała, kiedy mijaly kobietę, prowadzącą na smyczy teriera West Highland.

- Ty nie znosisz pani McDonald - przypomniała jej Jess.

- Niezupełnie - odparła Abby Jak mogła wyjaśnić, że nostalgia za jej dawnym, prostym życiem, życiem, które wiodła nim przespała się z Jayem i zniszczyła wszystko, wypolerowała przeszłość do złotego połysku. - To nasz dom - westchnęła.

Jess, pamiętając tempo, z jakim jej matce udało się przeprowadzić rodzinę z Gartland Avenue, jęknęła.

- O co chodzi, mamó? - zapytała, mając dość tej tajemniczej wycieczki.

- Wskoczę tutaj, pani Barton - rzekła usłużnie Steph.

Abby zatrzymała się i Steph wysiadła z samochodu, machając do Jess swym telefonem komórkowym, by dać jej znać, żeby zadzwoniła do niej, gdy wszystko już będzie w porządku.

- Co się stało, mamó? - zapytała ponownie Jess.

- Tak bardzo mi przykro, kochanie, chodzi o Sally Richardson. Jest bardzo chora. Ma raka.

Jess nie odezwała się ani słowem, patrzyła jedynie tępo przez przednią szybę.

Abby bolało serce na myśl, jak bardzo wytrąci to z równowagi Jess. Ona i Sally tak dobrze się z sobą dogadywały. Sally traktowała ją jak osobę dorosłą i dała jej nawet bon do jednego z jej ulubionych sklepów w ramach

dotatkowego podziękowania za pomoc podczas przyjęcia. Jej córka ucieszyła się tak bardzo, jakby otrzymała w prezencie diamentowy naszyjnik. Gdyby dowiedziała się także o Jayu... Jednak tak się nie stanie. W drodze do szkoły Abby podjęła decyzję: będzie błagać Toma, by nie wyjawiał prawdy Jess, będzie go błagać na kolanach, jeśli zajdzie taka potrzeba. Tom z pewnością zrobi wszystko, byle tylko nie sprawić bólu ich córce, i zachowa milczenie dla niej, jeśli już nie dla Abby.

- Odezwij się do mnie, Jess.

- A co mam powiedzieć? - zapytała tępo. Rak. Nie Sally, to nie mogła być prawda. Rak był czymś, co dotyczyło starszych ludzi.

- Nie chciałam traktować cię jak dziecko i nie mówić ci o tym - kontynuowała Abby. - Możliwe, że jej się polepszy. - Skrzyżowała palce prawej dłoni. - Ale musisz o tym wiedzieć, ponieważ jej stan jest bardzo poważny - To zabrzmiało lepiej niż gdyby powiedziała, że Sally może umrzeć.

- Widziałaś się z nią?

- Nie. Steve powiedział o tym twemu ojcu, który zaproponował, że zabierzemy do siebie chłopców, ponieważ tak bardzo cię lubią. Nie wiem, czy tak właśnie się stanie, ale musimy być dla nich silne.

- Oni są tacy mali i słodcy - rzekła Jess, myśląc o dwóch pызatych chłopczykach. - Danny mówi na mnie Dess, bo nie umie powiedzieć Jess. - Wtedy pojawiły się łzy.

Jej matka także zaczęła płakać. Płakała zarówno nad biedną, kochaną Sally, jak i nad sobą.

Tom przyszedł późno do domu i choć raz pierwsze, co zrobił, było udanie się na górę do pokoju Jess. Siedziała przy biurku. Powinna pracować teraz nad pracą domową z angielskiego, ale miała włączone cicho radio i czytała *Mały domek na prerii*, kryjąc książkę pod stertą szkolnych podręczników. Ta książka była kojąca i znajoma - niczym otrzymanie do łóżka gorącego mleka i grzanki, kiedy była chora. Nic złego nie mogło się wydarzyć, kiedy czytała o Laurze, mamie i tacie Ingall.

- Cześć, Jess.

Tata wyglądał ponuro; jego twarz wydawała się starsza i szczuplejsza niż normalnie.

- Cześć, tato. - Jess przykryła książkę notatkami z angielskiego.

- Jak się czujesz? - zapytał, siadając na skraju łóżka obok wyrzuconej na nie zawartości torby szkolnej. Wziął do ręki jej telefon komórkowy w futrzanym, purpurowym etui i zaczął bawić się nim z roztargnieniem. - To straszna wiadomość, prawda?

Jess kiwnęła głową.

- W drodze do domu zadzwoniłem do Steve'a - kontynuował. - Zostawił dzisiaj chłopców u Ruby i wracał właśnie do szpitala, ale mówi, że dobrze by było, gdybyśmy jutro mogli zabrać ich do siebie na kilka dni, dopóki wszystko się nieco nie uspokoi. Delia podobno jest w takim szoku, że ciągle płacze, a on nie chce, by chłopcy się zorientowali, że coś jest nie tak. Nie wiedziałem, co mu powiedzieć, jeśli mam być z tobą szczery. Co mówi się komuś w takiej sytuacji? Słowa „przykro mi” wydają się po prostu żałosne.

Jess uświadomiła sobie, co takiego innego jest w jej ojcu: rozmawiał z nią w taki sposób, jak wieczorem z mamą, kiedy jej opowiadał o minionym dniu. Jednakże mama była w domu. Od kilku godzin gotowała coś w kuchni, ponieważ Jess czuła dochodzące stamtąd zapachy. Była tam już tak długo, że pewnie zdążyła zapełnić cały zamrażalnik.

- Mama jest na dole - powiedziała z wahaniem. - Jest naprawdę rozstrojona.

Na chwilę na twarzy jej ojca widniała zaciętość.

- Naprawdę?

- Tak - odparła ze zdziwieniem Jess. - Uwielbia przecież Sally

Tata wyciągnął rękę i dotknął ramienia Jess.

- Wiem, wiem. Przepraszam, Jess, jestem wytrącony z równowagi. Wszystko się zmieniło, wszystko jest inaczej i nie wiem, co zrobić.

Jess odepchnęła na bok książki, wstała i przytuliła się do ojca.

- To takie straszne - wyszeptala mu w ramię, pragnąc, by wytłumaczył jej, dlaczego to się dzieje. Tata potrafił we wszystkim znaleźć sens; kiedyś zawsze tak było. Na przykład kiedy babcia Barton zachorowała i zmarła, i tata wyjaśnił, że tak długo chorowała i że to było okrutne, iż wszyscy chcieli, by pozostała na ziemi i cierpiała, podczas gdy w niebie będzie jej znacznie lepiej. Jednak tym razem tata nie miał żadnego wyjaśnienia. Tak mocno tulił się do Jess, jakby to on od niej go oczekiwał.

- Nie martw się, tato - rzekła. - Mamy siebie.

Abby popatrzyła na pojemniki pełne solidnych porcji wegetariańskiej lazanii, zapiekanki z kurczaka i warzywnego curry. Gdyby ogłoszono wojnę, rodzina Bartonów mogła bez problemu przeżyć dwa tygodnie na tym, co właśnie ugotowała. Zazwyczaj po takim kuchennym maratonie Abby umierała z głodu i musiała coś zjeść, bez względu na to, na jak spartańskiej diecie była w danym momencie. Tym razem jednak w ogóle nie była głodna. Zabrała się za gotowanie, gdyż wydawało jej się, że to jedyne, co może zrobić bez czucia się hipokrytką.

Słyszała, jak Tom wrócił do domu, i poczuła ulgę, kiedy jego kroki rozległy się na schodach. Jednak po chwili ulga przekształciła się w strach. A jeśli poszedł na górę, by się spakować i odejść?

Wkładała do pudełka ostatnią porcję lazanii, kiedy otworzyły się drzwi do kuchni. Nie oglądając się, Abby wiedziała, że to Tom. Zamknęła oczy, by dodać sobie siły, po czym odwróciła się do niego.

Ku jej zdziwieniu nie wyglądał na zagniewanego. Zamiast tego sprawiał wrażenie człowieka pokonanego, przygnębionego, niemal skurczonego w sobie.

- Tom, tak bardzo mi przykro... - zaczęła.

- Nie mam ci nic do powiedzenia, Abby - przerwał jej. - Mówię poważnie. Nie odzywaj się do mnie. Nie odzywaj się do mnie - powtórzył ostro.

- Ale, Tom...

- Słyszałaś mnie? Jesteś głucha? Nie odzywaj się do mnie.

To było niczym słuchanie kogoś obcego, a nie mężczyzny, którego poślubiła, mężczyzny, z którym się kochała, mężczyzny, który trzymał jej dłoń we wszystkich trudnych momentach. Tego Toma już nie było.

- Musimy porozmawiać - rzekła gorączkowo.

- Nie ma o czym. - Podniósł swój terminarz, który leżał obok telefonu. - Powiedziałem Steve'owi, że jutro zabierzemy chłopców na kilka dni. Podrzuci ich o dziesiątej. Będiesz wtedy w domu?

Abby kiwnęła głową.

- Dobrze.

Wyszedł z kuchni i chwilę później usłyszała, jak drzwi wejściowe zamykają się za nim cicho.

Czekała do północy, ale nie wrócił do domu. O pierwszej usłyszała w zamku jego klucz, ale kiedy wszedł na górę, udał się do sypialni dla gości i zamknął za sobą drzwi. A kiedy rano wstała, jego już nie było.

Nazajutrz była prawie jedenasta, kiedy Steve Richardson przywiózł Jacka i Daniela i, jak się mogło wydawać, samochód pełen zabawek i ubrań.

- Nie byłem pewny, co zabrać - rzekł bezradnie Steve. - Przywiozłem więc wszystko.

- Bardzo dobrze - odparła uspokajająco Abby, zabierając chłopców do pokoju, gdzie dała im po kubku soku i posadziła przed telewizorem, by oglądali kanał dla dzieci. Zafascynowani olbrzymim ekranem i starymi maskotkami Jess, które Abby wcześniej wygrzebała z pudła na strychu, wkrótce wydawali się całkowicie pochłonięci kreskówką.

- Zaparzyłam kawę, napijesz się? - zapytała Steve'a.

- Tak, chętnie - odparł z roztargnieniem.

Kiedy wróciła z kawą dla nich obojga, Steve wpatrywał się w telewizor z takim samym natężeniem, jak jego dwaj synowie. Jedyna różnica była taka, że on patrzył nie na niego, lecz przez niego. Abby dołąła mu do kawy mleka i podała mu ją, ale Steve nie wypił ani kropli. Trzymał jedynie kubek i wpatrywał się w niego pustym wzrokiem.

Abby wypijała swoją kawę w milczeniu, nie wiedząc, czy w ogóle się odzywać. Była też zbyt zmęczona, by mówić. Niewiele spała zeszłej nocy, a kiedy już udało jej się zasnąć, dręczyły ją koszmary, że Sally i Tom umierają, a ona gorączkowo próbuje im pomóc, na co Tom krzyczy, by zostawiła ich w spokoju i że to wszystko jej wina.

- Nie wiem, co zrobić, Abby - odezwał się nagle Steve. - W zeszłym tygodniu sądziliśmy, że w najgorszym wypadku Sally może mieć złośliwy guzek, ponieważ obecnie tak wiele lekarze potrafią zrobić z rakiem. Dobrze się czuła, szybko go odkryliśmy, wcześniej nie miała żadnych objawów, może poza tym, że schudła. Ale teraz... Guzek był wierzchołkiem góry lodowej. Są przerzuty do niemal wszystkich węzłów chłonnych, co znaczy, że nowotwór się przemieszcza. W następnej kolejności będą jej robić tomografię kości.

Abby uświadomiła sobie, jak biegle Steve posługuje się tym nowym dla niego językiem: językiem raka piersi.

- Co teraz nastąpi? - zapytała.

- Chemioterapia - odparł Steve. - Problem w tym, że ma bardzo agresywną odmianę raka i nie ma żadnej gwarancji, że chemia zadziała. Nie potrafiłem powiedzieć o tym Sally, nie potrafiłem... - Jego głos się urwał.

Abby odstawiła kawę i wyjęła z jego dłoni kubek, po czym ujęła jego dłonie w swoje. Nie odezwała się ani słowem. Cóż zresztą mogła powiedzieć? Nie istniały słowa, które mogły przynieść pociechę.

- Jak mam jej powiedzieć, że nie ma gwarancji? - kontynuował. - Powinienem ją przecież chronić, a nie jestem w stanie.

Abby milczała.

- Nie mogę sobie poradzić ze strachem. - Steve nie patrzył na Abby. Zwrócony był do niej twarzą, ale myślami przebywał daleko stąd. - Strachem, że ona umrze, i że będę musiał sobie poradzić bez niej ze względu na chłopców. Nie sądzę, bym był w stanie to zrobić. Nie potrafię.

Abby ze wszystkich sił próbowała powstrzymać napływające do oczu łzy. On nie płakał. Za kogo się uważała, by płakać, skoro to Steve był osobą pogrążoną w bólu i rozpacz?

- Teraz ona jest tutaj, mam ją, nadal ją mam - rzekł tonem niemal podniosłym. - Ale co będzie, jeśli umrze? Ja po prostu nie umiem... - Próbował znaleźć odpowiednie słowa. - Po prostu nie umiem sobie tego wyobrazić. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie życia bez niej ani świata bez niej.

Jego głos był taki spokojny. Oczy miał suche, a myślami był daleko stąd, w sali szpitalnej Sally Abby poczuła, jak pierwsza łza spływa po jej policzku, potem następna, coraz szybciej, jedna za drugą tym samym szlakiem, skapując niepowstrzymanie na jej koszulę.

- Żałuję, że nie jestem osobą religijną - kontynuował Steve. - Wtedy wierzyłbym w te wszystkie rzeczy, które ludzie mówią, jak na przykład: „Na każdego przychodzi jego czas” czy „Bóg ją sobie teraz wybrał”. Albo nawet znalazłbym pocieszenie w myśli, że spotkam się z nią ponownie w następnym życiu.

Abby uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech.

- Ale nie ma następnego życia. - Głos Steve'a był bezbarwny. - Nie wierzę w nie. Jeśli Sally umrze, to będzie koniec. Już nigdy więcej jej nie zobaczę. Jak coś takiego może się zdarzyć? - Po raz pierwszy spojrzął bezpośrednio na Abby - Jak ludzie mogą mówić, że istnieje Bóg, skoro pozwala, by działo się coś takiego?

Potrząsnęła bez słowa głową, a łzy nadal spływały po jej policzkach.

- Ona jest taka dobra i serdeczna. Świat jest lepszym miejscem, mając ją.

- Wiem - wychrypiała Abby. - Jest cudowna.

Steve uśmiechnął się do niej i nie był to jedynie grymas ust, lecz szeroki uśmiech mężczyzny mówiącego z dumą o kobiecie, którą kocha.

Rozdział piętnasty

Kilka dni później Lizzie zawiozła do szpitala bukiet róż z własnego ogrodu. Nie miała w planach odwiedzin, chciała jedynie zostawić Sally jakiś znak, że o niej myśli.

W szpitalnej rejestracji powiedziano jej, by sama zaniósła kwiaty. Udała się więc schodami na górę na oddział Sally i na piętrze wpadła na Delię Richardson, która właśnie wyszła z windy. Poznała ją jedynie po srebrzystych blond włosach. Matka Steve'a w ciągu tych tygodni, które minęły, odkąd widziały się po raz ostatni, bardzo się postarzała. Pełna życia Delia z błyszczącymi oczami z przyjęcia u Sally i Steve'a zniknęła, a jej miejsce zajęła stara kobieta z wymizerowaną, zatroskaną twarzą i zaczerwienionymi oczami.

Lizzie wyciągnęła rękę.

- Delio, witaj, jestem Lizzie Shanahan.

W oczach starszej pani pojawił się błysk rozpoznania.

- Witaj, Lizzie.

- Chciałam zostawić te kwiaty dla Sally. Nie wchodzę, nie chcę przeszkadzać, ale Sally zawsze podziwiała moje róże...

- Są śliczne. Zaniosę je w twoim imieniu.

- Jak ona się czuje? - zapytała Lizzie, po czym pospieszenie dodała: - Nie próbuję być wścibska, mam po prostu nadzieję, że jakoś się trzyma. - Gdy wypowiedziała te słowa, zrozumiała, jak kiepsko one zabrzmiały.

Jej rozmówczyni wzruszyła ramionami.

- Radzi sobie na tyle, na ile można się spodziewać. Jest taka słaba i nie zdawałam sobie sprawy, że aż tak bardzo schudła. Teraz wszystko jest w rękach Boga. - Uczyniła znak krzyża, po czym otarła łzy, które zaczęły wzbierać w jej oczach. - Przepraszam, nie potrafię przestać myśleć o Jacku i Danielu, wychowujących się bez matki. To takie niesprawiedliwe, Lizzie.

- Jeśli jest coś, co mogłabym zrobić - poprosiła Lizzie, przytulając Delię - cokolwiek, proszę, zadzwoń do mnie.

- Przepraszam. - Delia odsunęła się i próbowała jakoś wziąć się w garść. - Po prostu nie radzę sobie z tym wszystkim. Lekarze nie mówią o wyleczeniu jej, ale jedynie o daniu jej więcej czasu. To łamie nam wszystkim serca.

Lizzie przetrząsnęła torbę i znalazła długopis, jakiś stary paragon sklepowy. Napisała na nim swoje imię i numer telefonu.

- Proszę, Delio, jeśli w czymś mogłabym pomóc, zadzwoń do mnie. Mogę zaopiekować się chłopcami albo przygotować jedzenie dla Steve'a... cokolwiek. Chciałabym jakoś pomóc.

- Dzięki - rzekła Delia.

Lizzie zesłała przygnębiona na dół.

Znała wiele kobiet, u których wykryto raka piersi, a jednak udało im się z nim wygrać. Starsza siostra Mylesa, Noreen, przeszła mastektomię i krótko po tym, jak Lizzie i Myles rozwiedli się, świętowała przekroczenie magicznej daty pięciu lat bycia wolną od choroby. Było tak wiele zakończonych sukcesem historii kobiet zmagających się z rakiem piersi, tak wiele wyleczonych. Dlaczego akurat biedna Sally musiała być w tej coraz mniejszej grupie pozbawionej nadziei?

Kiedy Lizzie dotarła do domu Gwen, jej siostra, która dopiero co zdążyła wrócić z rejsu, spojrzała na nią i włączyła czajnik.

- Wszystko w porządku, skarbie? - zapytała delikatnie.

- Nie - odparła Lizzie, po czym się rozplakała.

Bez względu na to, od której strony opowiadało się tę historię, i tak była pełna bólu. Mali Jack i Daniel mogli stracić swoją matkę, Steve ukochaną Sally, i nie istniało nic, co Lizzie mogłaby uczynić, by jakoś pomóc.

Gwen była dobrym słuchaczem. Nie odezwała się ani słowem, kiedy jej siostra mówiła, ale dopilnowała, by herbata była mocna.

- Czuję się taka bezradna - zakończyła Lizzie, kiedy zabrakło jej już łez. - I to wszystko jest tak bardzo niesprawiedliwe.

- Życie nie jest sprawiedliwe - stwierdziła Gwen, klepiąc pocieszającym gestem ramię Lizzie. Nie należała do osób zbyt wylewnych, więc tym większe to miało znaczenie.

- Dzięki - pociągnęła nosem Lizzie.

- Ale ty przecież możesz pomóc - oświadczyła Gwen. - Możesz być nadal przyjaciółką Sally i pomóc jej przez to przejść. Nie uciekaj od niej. Wszyscy uciekamy od śmierci, ponieważ nie wiemy, co powiedzieć osobie, która umiera.

Kiwnęła głową. Gwen miała rację. Sally miała przy sobie rodzinę, ale przecież potrzebowała także i przyjaciół. Lizzie będzie przy niej, choćby nie wiem co.

Greg wpadł na pomysł, by przeprowadzić zbiórkę pieniędzy i wysłać Sally do kliniki w Ameryce.

- W dziedzinie medycyny żaden kraj nie jest w stanie pobić Stanów - oświadczył Erin. - Nie neguję służby zdrowia w Europie, ale to przecież w Stanach przeprowadza się najwięcej badań dotyczących raka. Powiedziałem Steve'owi, że jakoś zdobędę dla nich pieniądze, ale on mówi, że zamierzają zaufać tutejszym lekarzom. - Greg przeczesał palcami włosy - Gdybyś to była ty, raz dwa znaleźlibyśmy się w samolocie... - oświadczył z mocą.

Erin przytuliła się do niego na kanapie i pogładziła jego policzek.

- Co ja bym zrobił, gdybyś to rzeczywiście była ty? - Greg zamknął oczy i ukrył twarz w miękkich włosach żony - Nie poradziłbym sobie.

- Poradziłbyś - odparła Erin. - Musiałbyś. I Steve też sobie radzi po swojemu. Musisz pozwolić jemu i Sally podejmować własne decyzje. Jeśli ma nadejść najgorsze i nie zostanie jej dużo czasu, wtedy najpewniej nie chciałaby tracić go na przebywanie w innym kraju i bycie poddawaną kolejnym terapiom, z których wszystkie mogą się okazać daremne. Wolałaby spędzić ten czas tutaj, z dziećmi.

Ich dłonie splotły się na brzuchu Erin.

- To dziwne - rzekła. - To znaczy wiem, że jestem dopiero w dziesiątym tygodniu, ale straszna jest myśl, że mogłabym zachorować i umrzeć, pozostawiając dziecko.

Greg pocałował ją, delikatnie dotykając ustami gładkiej skóry jej skroni.

- Ale tak się nie stanie, rozumiesz?

- Wiem, wiem.

Rozum mówił Erin, że przesadza, ale w głębi jej duszy czaił się strach. Sally sprawiła, że zaczęła myśleć o chorobie i śmierci. Znała wcześniej ludzi, którzy zmarli, ale wszyscy byli od niej znacznie starsi. Nigdy się nie spotkała z

tym, by śmiertelna choroba dotknęła kogoś, kogo znała i kto był w podobnym wieku, młodą osobę z całym życiem przed sobą.

Steve powiedział Gregowi, że dla Sally stara się ze wszystkich sił mieć nadzieję i myśleć pozytywnie, lecz każdego dnia bał się wiadomości, że rak został wykryty w kolejnym miejscu w jej ciele i że zegar zacznie tykać szybciej.

- Nie zostawię cię - obiecała Erin małej fasolce w swoim brzuchu. - Nigdy, bez względu na wszystko.

Abby nie znosiła szpitali. Pamiętała szarą salę, gdzie jej matka walczyła z zapaleniem płuc, które w końcu zabiło ją, zanim zdążyły to zrobić papierosy. Może postrzegało się to inaczej, jeśli się było pielęgniarką i szpital stanowił miejsce pracy, gdzie wciąż było coś do zrobienia, panowała atmosfera przynależenia do pewnej społeczności, a nawet zabawy. Jednak jako osoba odwiedzająca Abby czuła jedynie przygnębienie.

Chłopcy wrócili do domu na Wielkanoc - siostra Steve'a, Amy, przyjechała, by się nimi zająć - i sama Sally również za kilka dni miała zostać wypisana do domu. Steve zadzwonił wczoraj wieczorem, by powiedzieć, że chciałyby się z nią zobaczyć.

- Aż do teraz nie chciała żadnych gości - rzekł - ale prosiła, żebyś ty przyszła.

- Oczywiście.

- Ja... ona jest... - Steve pragnął coś powiedzieć. - Ona jest zdruzgotana, więc bądź na to przygotowana. Mama i ja wciąż jej powtarzamy, że świetnie wygląda, tak jak zawsze, ale to nieprawda. No bo jak można wyglądać tak samo, jeśli się usłyszało tak straszliwą wiadomość?

Dzięki jego ostrzeżeniu Abby udało się ukryć szok, jakiego doznała, gdy ujrzała przyjaciółkę w szpitalnym łóżku. Fizycznie Sally nie wyglądała źle - znacznie lepiej niż to opisał Steve. To cierpienie w jej oczach sprawiało, że Abby krwawiło serce. Sally była zawsze taka pogodna i pełna życia. Teraz wyglądała tak, jakby ktoś lub coś zgasiło światło jej duszy.

- Witaj, Sally - rzekła pogodnie Abby, nachylając się, by delikatnie ucałować suchy policzek przyjaciółki. - Przyniosłam ci kilka książek i gazet, byś mogła odgonić nudę.

Osobiście nie uważała, żeby Sally wyglądała na osobę mającą wystarczająco dużo energii, by trzymać książkę, nie mówiąc już o skoncentrowaniu się na jej treści.

- Dzięki, że przyszedłeś.

Abby unikała patrzenia na szpitalny sprzęt: monitory, kroplówkę podłączoną do szczupłej dłoni Sally. Przysiadła na krześle i tak położyła książki i gazety, by Sally mogła ich dosięgnąć.

- Jak się czuje Steve? To znaczy, jak on się naprawdę czuje? - Jej głos był chrypiącym szeptem. - Delia mówi, że dobrze i że jakoś sobie radzi, ale tak bardzo się o niego martwię. Wiedziałam, że ty mi powiesz prawdę. Wiedziałam, że ty będziesz ze mną szczerą. Abby uśmiechnęła się.

- Trzeba mieć kilku przyjaciół nieowijających niczego w bawełnę, prawda? Ty jesteś tą ciepłą, podnoszącą na duchu przyjaciółką, podczas gdy ja to typ „powiedz mi, jaka jest prawda”.

Nawet Sally uśmiechnęła się blado, słysząc te słowa.

- Gdy ma się raka, ludzie mają tendencję do przedobrzenia, kiedy z tobą rozmawiają. W przeciwieństwie do lekarzy, którzy akurat są bardzo szczerzy.

Abby przelknęła ślinę na myśl o tym, jakiego rodzaju szczerze rzeczy musieli mówić Sally.

- Ale Delia, niech ją Bóg błogosławi, wciąż mi mówi, że wszystko będzie dobrze, ponieważ odmawia nowennę do świętego Antoniego, a to jeszcze nigdy jej nie zawiodło. A słuchając Amy, która przyjechała, by opiekować się dziećmi w tygodniu, kiedy Delia i Steve są tutaj, można by przysiąc, że będą mi robić lifting twarzy! Jest taka promienna i pełna optymizmu.

- Wyparcie? - zasugerowała Abby.

- Najpewniej - zgodziła się Sally. - Albo ma nadzieję, że jeśli ona będzie wystarczająco radosna, wtedy przejdzie to także i na mnie. - Zmieniła temat. - Co słyhać u Toma i Jess?

- Dobrze - odparła szybko Abby Sally była najbardziej nadającą się osobą na świecie do tego, by jej się zwierzyć, ale teraz z całą pewnością nie była ku temu odpowiednia pora. - Ze Steve'em też wszystko w porządku, Sally Jakoś się trzyma, jeśli wiesz, co chcę przez to powiedzieć. Pierwszego dnia, kiedy powiedział mi o tobie, cóż, był zrozpaczony. - Zbyt dobrze pamiętała tamten straszny dzień: Steve niemal nie był w stanie mówić o możliwości życia bez Sally - Ale się trzyma dla chłopców. Zawsze, gdy z nim rozmawiam, wydaje mi się, że jakoś sobie radzi. A Jack i Daniel także są wspaniali.

Oczy Sally zaszyły mgłą.

- Lekarze nie chcieli wpuścić tutaj chłopców ze względu na ryzyko infekcji, ale się uparłam. To moje dzieci, nie mogę tu leżeć bez nich. Powinnam być z nimi w domu, a nie tkwić tutaj.

Abby widziała, jak w kącikach oczu Sally zbierają się łzy, i serce ją bolało z powodu cierpienia przyjaciółki.

- Niedługo zacznę chemioterapię - rzekła Sally, ponownie zmieniając temat. - Steve jest przekonany, że to mnie wyleczy. Mówi, że musimy w to wierzyć, że musimy mieć nadzieję. - Jej urywany śmiech przekształcił się w szloch.

- Och, Abby, tak bardzo się boję.

Abby ujęła dłoń Sally, by jakoś ją pocieszyć, walcząc ze sobą, by się nie rozplakać.

- Muszę być odważna dla Steve'a, ponieważ to taki straszny ciężar dla niego, ale mam ochotę krzyczeć i płakać, i nigdy już nie przestać. To takie niesprawiedliwe. - Sally zamknęła oczy, zmagając się z cierpieniem. Była zbyt słaba, by porządnie się wyplakać. - Jeśli nie wydobrzeję, czy ty i Tom zaopiekujecie się nim w moim imieniu? Proszę? - Teraz jej oczach widać było dziką desperację. - On nie będzie w stanie poradzić sobie beze mnie. Wiem, że jest silny, ale on i ja jesteśmy drużyną. Potrzebuje mnie.

- Nie mów tak, Sally - błagała Abby. - Wyzdrowiejesz, musisz w to wierzyć.

- To znaczy mam „myśleć pozytywnie”? - wychrypiła.

- To właśnie jest mottem Delii i Amy. Przez całe moje życie myślałam pozytywnie, a to i tak się stało. Możesz sobie myśleć tak pozytywnie, ile się da, a i tak umrzesz, Abby. Zawsze myślałam, że ponieważ spotkało to moją mamę, nie przydarzy się nigdy mnie. Taka rzecz może się przytrafić tylko raz w życiu i tym podobne brednie.

- Ale jest przecież nadzieja, prawda?

- Oczywiście, że tak - odparła zaciekle Sally. - Mam zamiar walczyć dla Steve'a i Jacka, i Daniela, wiesz dobrze, że tak właśnie jest, Abby Ale walka nie oznacza, że pozostaje się ślepy na prawdę. Muszę być przygotowana na każdą ewentualność. Nie będę ofiarą, nie będę się ukrywać. Ten rak siedzi we mnie niczym uosobienie zła i pragnie mieć nade mną kontrolę. Nie mogę go powstrzymać, ale mogę zmienić to, w jaki sposób sobie z tym radzę. On przejmuje kontrolę nad moim ciałem, ale nie uczyni tego w przypadku moich myśli.

W pomieszczeniu panowała cisza. Abby słyszała dochodzący z korytarza szum froterki i sporadyczne dzwonięcie telefonów na oddziale.

- Myślałam, że jeśli docenia się to, co się ma, wtedy nie zostaje ci to odebrane - odezwała się Sally - Myliłam się.

- Nie - odparła Abby. - Zawsze okazywałaś bliskim ci osobom, że je kochasz. Steve wie, że uwielbiasz jego i dzieci, i nie zmarnowałaś ani jednego dnia w życiu, nie mówiąc im o tym. Większość ludzi nie może powiedzieć tego o sobie.

- Ale ja chcę mieć więcej czasu, by im to mówić - wyszeptała Sally.

Abby nie umiała nic na to odpowiedzieć, więc delikatnie przytuliła przyjaciółkę, tak lekko, jakby była puchem ostu.

Tom nadal sypiał w sypialni dla gości, a atmosfera pomiędzy małżonkami była bardziej lodowata niż północne koło podbiegunowe. Abby nie była pewna, co się dzieje, gdy małżeństwo się wali, ale spodziewała się jakiejś wielkiej awantury. Byłaby w stanie poradzić sobie z ostateczną rozgrywką, ponieważ była pełna desperacji, by przeprosić, by błagać o przebaczenie nawet na kolanach, gdyby okazało się to konieczne, by zrobić wszystko, byle tylko ponownie poskładać swe małżeństwo. Jednak on nie dawał jej żadnej szansy.

Tom, szczuplejszy i bardziej wymizerowany, grał teraz według własnych zasad, a w to wliczało się ignorowanie Abby. Przez te trzy dni, gdy byli u nich Jack i Daniel, Bartonowie wyglądali jak normalna rodzina - przynajmniej na zewnątrz.

Obecność w domu małych dzieci była błogosławieństwem, gdyż dzięki niej Tom, Abby i Jess mieli się na czym skupić. Trzeba było bawić się w różne gry, czytać bajki albo zmieniać im ubrania. Kiedy Jack i Daniel szli spać, Jess chowała się w swoim pokoju, by się uczyć. Nie miała czasu zauważyć, co się dzieje pomiędzy rodzicami. A przynajmniej Abby miała taką nadzieję.

Jednak dzień po tym, jak roztrzęsiony i posepny Steve zabrał swych synów, Tom nadal ignorował Abby. Skoro ponownie mieli dom tylko dla siebie, sądziła, że w końcu z sobą porozmawiają. Tom nie wykazywał jednak nawet najmniejszej ku temu ochoty i Abby zaczynała odczuwać coraz większą desperację. Postanowiła, że jakoś zmusi męża, by o tym porozmawiać - popełniła wielki błąd, ale to przecież nie mogło oznaczać końca ich związku.

Była sobota po Wielkanocy. Prześliczny dzień zwiastował lato łagodnym wietrzykiem, wślizgującym się przez okno w sypialni, poruszając zwiewnymi, muślinowymi zasłonkami. Przez otwarte okno Abby widziała Dunmore, rozciągające się poniżej Briar Lane niczym nietknięta nowoczesnością czarująca osada z dziewiętnastego wieku. Po lewej stronie znajdowała się ulica, na której mieszkali Richardsonowie. Westchnęła na myśl o ich sobotnim poranku. Sally przebywała teraz tymczasowo w domu i Abby wyobraziła sobie, jak dwie kulki pełne energii, czyli Jack i Daniel, wpadają do pokoju rodziców i nie mogą wskoczyć na mamusię, żeby nie zrobić jej krzywdy. Steve będzie zachowywał stoicki spokój i pogodę ducha, robiąc co w jego mocy, by poprawić nastrój Sally, jego żona będzie robić to samo, a na dnie ich świadomości będzie się chować myśl, że tylko cud może pomóc w uratowaniu ich małej rodziny.

Kiedy Abby myślała o Sally i Stevie, i o tym, przez co teraz przechodzą, ogarniało ją przytłaczające uczucie wstydu z powodu własnych czynów. Im potrzebny był cud, ale jej rodzina mogła sama rozwiązać własne problemy. Naprawi wszystko między nią a Tomem, zrobi wszystko, by to się udało.

Przygotowując się na batalię, ubrała się w szczególnie twarzową koszulę w kolorze fioletowym, po czym wyszła z sypialni i na szczycie schodów spotkała Jess, ubraną tylko w przyduży T-shirt.

- Dzień dobry, kochanie - odezwała się Abby - Dobrze spałaś?

Jess zignorowała pytanie.

- Dlaczego tata śpi w sypialni dla gości? - zapytała ostrym tonem.

Abby poczuła, że robi jej się słabo. W ciągu minionego tygodnia Tom wstawał i ubierał się, zanim Jess zdążyła się obudzić, więc niczego nie zauważyła. Dzisiaj jednak było inaczej.

- Chrapie - kontynuowała Jess. - Myślałam, że ktoś się włamał do domu i że złodziej zasnął w tym pokoju.

Zrozpaczona Abby miała ochotę skłamać. Jednak nie mogła. Jess zasługiwała na prawdę - cóż, część prawdy Abby nie mogła ryzykować tego, że własna córka ją znienawidzi.

- Powiedz mi co się dzieje. Ja także należę do tej rodziny, więc mi powiedz!

- Zejdź na dół, to ci powiem - odparła Abby. Poczuła, jak jej ciało ogarnia wielkie znużenie.

W kuchni nawet się nie trudziła włączaniem czajnika ani toster. Usiadła przy stole, a Jess naprzeciwko niej.

- Twój ojciec i ja mamy pewne problemy - rzekła. - Przeniósł się do sypialni dla gości i musimy uporać się z kilkoma sprawami. Przykro mi, że dotyka to ciebie; żadne z nas tego nie chciało.

- Problemy dotyczące czego? - zapytała Jess z surowością godną prokuratora.

- Po prostu... normalnych spraw, o które się kłóć ludzie, którzy są długo małżeństwem.

- Chodzi o to, że pracujesz w telewizji i zarabiasz więcej pieniędzy?

Abby poczuła się zaskoczona tym pytaniem. Nie sądziła, że Jess jest świadoma tarć na tej płaszczyźnie.

- Nie - odparła powoli. - To nie ma nic wspólnego z pieniędzmi.

Może i zaczęło się od nieporozumień na tle finansowym, ale to, co się wydarzyło później, nie miało nic wspólnego z tym, kto zarabia więcej. Abby była zbyt uczciwa, by udawać, że wina leży gdzie indziej.

Jess, siedząc na skraju krzesła, wsunęła pasmo piaskowych włosów do ust i skubała je.

- Czy tata ma romans? - zapytała głucho.

Serce Abby zamarło.

- Nie, skarbie, nie ma.

Jess wpatrywała się w nią w taki sposób, jakby nie wierzyła jej słowom.

- Powiedziałaś mi, prawda? Powiedziałaś?

Oczywiście, że to pierwsze, co przyszło do głowy Jess, uświadomiła sobie Abby W świecie telewizyjnych oper mydlanych i czasopism dla nastolatków to samiec był stroną zdradzającą. Kobiety były szczerze i wierne, zarówno wobec swych przyjaciół, jak i mężczyzn. Zastanawiała się, czy ma odwagę, by powiedzieć ukochanej córce prawdę.

- Tata zobaczył, jak jem lunch z mężczyzną, z którym się kiedyś spotykałam - zaczęła z wahaniem.

Jess wpatrywała się w nią błyszczącymi oczami, ponaglającymi, by mówiła dalej.

- To nic nie znaczyło - dodała Abby - Ale wcześniej nie powiedziałam tacie, że się z nim spotkam i, no cóż, zdenerwował się i nie wybaczył mi tego.

- Lunchu? - zapytała Jess. - Dlaczego coś takiego miałoby go zdenerwować? - Popatrzyła na matkę. - Chodzi o coś więcej, prawda?

Abby wiedziała, że zdradza ją poczucie winy, malujące się na jej twarzy, ale nic nie powiedziała, błagając w myślach córkę, by nie doszła do właściwych wniosków.

- Jak mogłaś? - zawołała Jess. - Jak mogłaś, mam? Masz tatę; nie powinnaś się spotykać z innymi mężczyznami. Musiał się naprawdę mocno zdenerwować.

Sposób, w jaki ujęła to Jess sprawiał, że zabrzmiało to bardzo prosto.

- Tak właśnie się stało i teraz nie pozwala mi się przeprosić - rzekła Abby Opuściła wzrok na wyszorowany drewniany stół. Nosił tak wiele śladów ich rodzinnego życia, pomyślała, przetrwał lata stawiania na nim gorących garnków lub wbijania w niego scyzoryka, kiedy Jess była młodsza i przygotowywała różne prace na zajęcia techniczne. Abby przejechała palcem po głębokim rowku.

- Nie rozumiem. Tata taki nie jest. Wybaczyłby ci, gdyby naprawdę było ci przykro - wyszeptała Jess.

Abby milczała.

- Nie mówisz mi wszystkiego. - Wpatrywała się w matkę oskarżycielsko. - Miałas z nim romans.

Próbowała zaprzeczyć, ale słowa nie chciały jej przejść przez usta. Nie potrafiła skłamać, nie Jess, zwłaszcza nie tej Jess, która nagle brzmiała jak osoba zupełnie dorosła.

Kiwnęła głową.

- To się wydarzyło tylko raz. Nie jestem z tego dumna i to było naprawdę głupie...

- To ty mówisz mi o miłości i nieuprawianiu seksu z kimś, kogo się nie kocha, o zaufaniu, szacunku i tym podobnych. A teraz spójrz tylko, co sama zrobiłaś.

- Tak strasznie mi przykro - rzekła z rozpaczą Abby.

- Przykro? - powtórzyła z niedowierzaniem Jess. - To żalosne. Wszystko na świecie zaczyna się sypać, a ty mogłaś zrobić coś takiego? Mamo, co ty sobie myślałaś?

Puściła tama i uwolniła wszystkie słowa, które Abby pragnęła powiedzieć Tomowi.

- Nie wiem, Jess. Nie myślałam. Nigdy nie chciałam skrzywdzić ciebie ani twego taty, musisz mi uwierzyć! Gdybym mogła cofnąć czas i zachować się inaczej, zrobiłabym to bez wahania.

- To był ten dzień, kiedy mi powiedziałaś o Sally, prawda? Tata cię wtedy nakrył, no nie? Widziałam, że dziwnie się zachowujesz, i teraz wiem, że nie miało to nic wspólnego z Sally Jak mogłaś? Ona może umrzeć, a ty martwiłaś się jedynie tym, że zostałaś przyłapana.

- Nie - jęknęła Abby.

- Tak! - zawołała Jess, zrywając się z krzesła i kierując ku drzwiom.

Role się odwróciły Teraz to Jess była osobą dorosłą, a Abby dzieckiem w tarapatach, z których nie ma drogi ucieczki.

Tom stał w drzwiach kuchni. Był ubrany, ale miał jeszcze nieuczesane włosy, jak gdyby zbiegł na dół, słysząc kłótnię.

- Och, tato! - zawołała Jess. Przytuliła się do niego na chwilę, po czym pobiegła na górę, by schronić się w bezpiecznych objęciach swego pokoju.

Abby uniosła pełne bólu i łez oczy, spodziewając się, że zobaczy na jego twarzy szyderstwo i surowość, ale - ku swojej pociesze - ujrzała coś w rodzaju współczucia.

- Nie musiałaś jej mówić - odezwał się. Abby skryła bolącą głowę w dłoniach.

- Nie chciałam, ale ona się domyśliła, że to ma jakiś związek z romanssem. Zapytała mnie, czy ty go masz.

- Dziwię się, że nie wybrałaś tej prostej opcji. - Szyderstwo powróciło.

- Nie zrobiłabym tego - odparła Abby. - To nie ty popełniłeś błąd, więc nie mogłam pozwolić, byś to ty został obciążony winą.

- Och, a więc to był błąd, tak? Dobrze wiedzieć, że pieprzenie się z innym mężczyzną można podsumować tak prostym określeniem.

- Nie chciałam, by tak to zabrzmiało.

- A może wypadek, co? Przypadkowo wylądowałaś z nim nago w łóżku. I nie wypieraj się. To nie tylko w lunchu wam przeszkodziłem. Dokąd mieliście się udać później? Do hotelu, miłosnego gniazdko, spelunki z pokojami wynajmowanymi na godziny? - wyrzucił z siebie Tom.

- Nie, ja to kończyłam - zaprotestowała Abby - To się stało tylko raz.

- No cóż, miło mi to słyszeć. - Głos Toma skapywał jadem. - Jeden raz to w porządku. Jeden raz można usprawiedliwić. Przecież każdy ma ochotę raz się z kimś bzyknąć, prawda? Kogo ja powinienem sobie wybrać? Masz jakieś propozycje?

- Proszę, Tom, nie mów tak - błagała. - Nie możemy porozmawiać normalnie? Nasze małżeństwo jest udane, nie niszczy go z powodu... z powodu czegoś takiego.

- Za późno - odparł. - Ty już je zniszczyłaś. Tak naprawdę to jestem jeszcze tutaj tylko dla Jess. I nie wierzę, że to się zdarzyło tylko raz. Znasz go dłużej niż mnie. On nie wskoczył nagle ponownie do twego życia, prawda? Kręcił się w

poblizu już od jakiegoś czasu. Ma chęć bzykać się z Abby, gwiazdą telewizyjną? Czy dlatego właśnie tak bardzo chciałaś kupić ten dom? Dlatego, że nadawał się dla ciebie i Jaya?

- Nie, nie - zaszlochała Abby. - To nie było tak. My, ty i ja, nie byliśmy szczęśliwi i nie wiem, co się stało...

- Tak, zrzuć winę na mnie, czemu by nie? To wszystko moja wina. Boże, Abby, niedobrze mi się robi, jak cię słucham - rzekł z odrazą.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytała z rozpaczą.

- Nie wiem, ale kiedy będę wiedział, to ci o tym z pewnością powiem.

Z tymi słowami wyszedł z kuchni, a Abby położyła głowę na stole i zaszlochała.

Jess tak mocno trzasnęła drzwiami swego pokoju, że z szafy spadła jedna z jej dawnych maskotek. Biedny Wuddly, pomyślała, podnosząc z podłogi wytartą fokę. Przytuliła ją mocno do siebie, ale nie przyniosło jej to żadnego pocieszenia.

Nic nie było w stanie go przynieść. Jess wiedziała wcześniej, że jej rodzice tak naprawdę nie rozmawiają z sobą, choć była to przynajmniej odskocznia od nieustannych przycinków. Nigdy nie przyszło jej jednak do głowy coś takiego. Jej matka zrobiła coś naprawdę strasznego. Jak mogła iść do łóżka z kimś innym? Matki tak się nie zachowywały. Wystarczająco dziwnie było wyobrażać sobie rodziców uprawiających seks, ale myśl o mamie robiącej to z kimś, kto nie był tatą

- to było zbyt... zbyt straszne. Przejechała palcami po wytartym, starym futerku Wuddly'ego. Ludzie się rozwodzili, kiedy mieli romanse. Tak więc się stanie w następnej kolejności. Kłótnie się zmieniają, ponieważ nie będą już razem mieszkać, ale i tak nie ustaną, wiedziała o tym. Wielu ludzi ze szkoły miało rozwiedzionych rodziców i kłótnie były tego częścią. Dzieci tkwiły pośrodku.

Robyn, dziewczyna z klasy Jess, lubiła udawać, że to fajnie mieć rozwiedzionych rodziców, gdyż dostawała podwójną ilość prezentów i tym podobne, ale Jess i Steph wiedziały, że wcale tak nie jest. Jej tata nigdy się nie pojawiał na szkolnych przedstawieniach ani zawodach sportowych, ponieważ matka Robyn nie pozwalała mu przebywać w jej pobliżu.

Nagle zapragnęła porozmawiać ze Steph. Nikt tak jak ona nie umiał sprawić, że ogromne problemy wydawały się wcale nie tak wielkie.

Steph, co słyhać? Zadzwoń do mnie.

Normalnie Steph - mistrzyni szybkiego SMS-owania - odpisały w ciągu jakichś pięciu sekund. Jednak nie dzisiaj. Była sobota i jej przyjaciółka najpewniej leżała jeszcze w łóżku.

Jess wstała i włączyła odtwarzacz CD. Nie będzie myślała o mamie i tacie, nie będzie. Pomyśli o Ianie. Był jej ulubionym obiektem marzeń na jawie i nawet miała utwór muzyczny, który właśnie włączyła, a który nazywała ich piosenką.

Co nie znaczy, by Ian wiedział, że to „ich” piosenka. Jednakże Jess wyobrażała sobie, że właśnie do tej muzyki tańczą, jego ramiona wokół niej, jej policzek spoczywający na jego ramieniu, podczas gdy poruszają się powoli. Siedziała na łóżku z kolanami podciągniętymi do brody i słuchała muzyki. Jeśli zamknęła oczy, była w stanie wyobrazić sobie to wszystko.

A potem przytulaliby się do siebie na jakimś miękkim fotelu i Ian by ją pocałował. Szczegóły były mgliste, ponieważ Jess niezupełnie była w stanie wyobrazić sobie, jak to jest być całowaną przez kogoś, w kim jest się zakochanym. Na pewno nie tak samo, jak podczas bawienia się w wyzwania w drugiej klasie, kiedy ona i Steph szukały piłeczek tenisowych w parku w pobliżu domu. Musiała pocałować Jimmy'ego Lyncha i to było okropne. Śmierdziało mu z ust gotowanymi na twardo jajkami i Jess zastanawiała się o co to całe zamieszanie z całowaniem, bo to było wstrętne.

Jednak całowanie się z Ianem będzie zupełnie inne. Nie miała pewności w kwestii języków. Dziewczyny pokroju Saffron były bardzo zblazowane, jeśli o to chodzi. „Francuskie pocałunki to nic takiego”, mówiły nonszalancko, dając do zrozumienia, że posuwały się już znacznie dalej. Gdyby ponownie musiała pocałować Jimmy'ego Lyncha, wolałaby już chyba umrzeć niż poczuć ich stykające się języki. Jednak z Ianem spróbowalaby a on był doświadczony, więc wiedziałby, co robić.

Może wyczułby, że ona nie wie nic na temat francuskich pocałunków. To byłoby straszne. Jeszcze by uznał, że jest głupim dzieciakiem. A jeśli zrobi coś niewłaściwego? Nie znaczy to, by wiedziała, jakie rzeczy są *właściwe*, ale z całą pewnością musi być coś, czego nie powinno się robić.

To wszystko było takie zagmatwane. No i co się robiło z rękami? Jess zdarzało się o tym myśleć nocą, pozwalając poduszce być Ianem, tak by mogła spróbować, jak to jest. Jeśli on ją obejmie ramionami, co w takim razie ona ma zrobić ze swoimi? Nie chciała, żeby zdrętwiała mu ręka w miejscu, gdzie ona będzie na niej leżeć.

Piosenka się skończyła i Jess wcisnęła guzik na pilocie, by ją odtworzyć jeszcze raz. Zamknęła oczy i uznała, że zapomni o irytujących szczegółach. Jeśli się postara wystarczająco mocno, uda jej się wrócić do świata fantazji, w którym Ian mówi, że ją kocha i że nie może bez niej żyć, a potem ją całuje. Wtedy nie będzie musiała myśleć o mamie, tacie i ich rozwodzie.

Ferie wielkanocne zbliżały się ku końcowi, a u Bartonów żadna osoba nie komunikowała się z pozostałymi członkami rodziny. Jess większość czasu spędzała w swoim pokoju, robiąc w terminarzu plan powtórek i używając kolorowych zakreślaczy do zaznaczania poszczególnych części dnia.

Artykuł, który skierowano dla wszystkich uczniów piszących w tym roku egzaminy, radził, by każdego ranka wstawać na tyle wcześnie, by o wpół do dziewiątej móc się zabrać za naukę. Nie licząc obiadu - który Jess i tak wolała jeść w swoim pokoju - sugerowano dwie piętnastominutowe przerwy każdego dnia. Jess robiła te przerwy, gdy wiedziała, że nie ma nikogo w kuchni, i przygotowywała sobie termos kawy, by zabrać go z sobą na górę. Kawa była na liście tego, czego należy unikać, ale Jess wyznawała teorię, że nikt nie wytrzyma ośmiu godzin pracy bez odrobiny kofeiny. Jednak niełatwo jej było skupić się na nauce. Na samym dniu jej świadomości tkwiła dręcząca myśl, że w jej rodzinie dzieje się źle.

Tom, nie pozwalając sobie na odpoczynek podczas ferii, rozstawił obóz w jadalni, pokrywając stół planami nowej sali gimnastycznej, i odbywał długie rozmowy telefoniczne z inżynierami i architektami. Abby, która przesiadywała w swoim gabinecie i starała się znaleźć pomysły na wystąpienie w programie *Idealny Dom*, zastanawiała się, czy szkolna dobudówka naprawdę wymaga tyle planowania naprzód, czy też po prostu Tom próbuje znaleźć sobie zajęcie, by móc jej tym samym schodzić z drogi.

Ferie się skończyły, lecz lodowata atmosfera pozostała. Jess bez przerwy się uczyła, a Tom co wieczór wracał późno.

Tylko raz miało miejsce coś, dzięki czemu udało im się wyglądać niemal jak normalna rodzina: obiad ze Steve'em, Sally, Delią i siostrą Steve'a, Amy.

Delia obchodziła sześćdziesiąte urodziny i pomimo jej protestów Sally upierała się, by uczcić jakoś ten dzień.

- Będzie nas około dwudziestu, licząc przyjaciół Delii - rzekł Steve, kiedy zadzwonił do Abby z zaproszeniem. - Sally bardzo chce, by zjawiła się tam cała wasza trójka. Idziemy do hotelu Dunmore, gdyż Sally mówi, że nie ma mowy, by Delia zasuwała w kuchni w dniu swoich urodzin.

„A Sally nie będzie w stanie”, pomyślała ze smutkiem Abby

Pomimo płynącego strumieniem wina i życzliwości wszystkich gości, atmosfera na obiedzie urodzinowym Delii była wymuszona. Dzielnie uśmiechająca się Sally przyciągała spojrzenia gości jak magnes.

- Niech Bóg ma ich w swojej opiece - rzekła siedząca obok Abby dawna przyjaciółka Delii. Powtarzała to tak często, że Abby miała ochotę błagać ją, by przestała.

- Ale przecież nadal jest nadzieja - oświadczył jej drugi sąsiad, jeszcze jeden znajomy Delii.

Abby nie wiedziała, co jest gorsze: kobieta żyjąca na ziemi z niebem wiecznie zasnutym chmurami czy mężczyzna, który wciąż wierzył w cuda. Abby nie wierzyła już w żadne cuda.

Rozdział szesnasty

Była połowa maja. Do egzaminów zostały nieco ponad dwa tygodnie, a Jess miała wrażenie, jakby nadciągał kataklizm.

- Jaki czubek zdecydował, że egzaminy powinny być w czerwcu, kiedy jest ładna pogoda i wszyscy normalni ludzie mają wakacje? - chciała wiedzieć Steph.

Nieszczęśliwa i pełna niepokoju Jess nie знаła odpowiedzi. Wiedziała jedynie, że zostało jej jeszcze bardzo dużo do powtórzenia, a czas uciekał. Musiała zawiesić weekendowe wizyty w schronisku dla zwierząt, szkoła była koszmarem, dom chyba jeszcze większym i ogólnie czuła się potwornie zestresowana.

Różni ludzie różnie radzili sobie ze stresem, to pewne. Steph, która spotykała się teraz z Zachem, chłopakiem poznanym na imprezie u Michelle kilka miesięcy temu, dystansowała się od tego wszystkiego, godzinami SMS-ując do swego chłopaka. Czasami także paliła papierosy, ale Jess nie była pewna, czy jest to warte wysiłku włożonego w ukrycie zapachu dymu przed matką.

- Zabije cię, jeśli się dowie - ostrzegała ją Jess. Mama Steph była dość wyluzowana, ale uważała, że palenie prowadzi do brania narkotyków, i urwałaby głowę swej córce, gdyby tak właśnie się stało. - A poza tym palenie powoduje raka.

Steph nie martwiła się długoterminowymi skutkami palenia.

- Modelki palą - zripostowała.

Jess spojrzała na przyjaciółkę z irytacją.

- Mówisz dokładnie jak Saffron, wiesz o tym? Bycie chudą i piękną nie chroni przed rakiem.

- Och, zachowaj to sobie na klasową debatę - warknęła Steph. - Obiecuję, że przestanę, okej?

Dla Jess rak nie był już tylko słowem na plakacie ostrzegającym przed paleniem papierosów. Odwiedziła w domu Sally Richardson po pierwszym miesiącu chemioterapii. Sally była taka chuda, choć jej twarz wyglądała na dziwnie spuchniętą. I w ogóle nie miała włosów.

- Zaczęły wypadać, więc je zgoliliśmy - oświadczyła pogodnie, nalegając, by Jess dotknęła jej gładkiej czaszki. - Danny'emu i Jackowi bardzo się podoba moja nowa fryzura!

Jess wyszła od niej zupełnie skonsternowana. Sally była bez wątpienia bardzo poważnie chora, po co więc to całe udawanie, że wszystko jest w porządku? No ale przecież tak właśnie zachowywali się dorośli. Matkę Jess zajmowało udawanie przed światem, że dobrze się dzieje w rodzinie Bartonów, więc kłamstwo stanowiło wyraźnie nieodłączny element dorosłości. Dlaczego w takim razie przez całe dzieciństwo musiała wysłuchiwać, jak ważne jest mówienie prawdy? Jess nie chciała, by ją ktokolwiek okłamywał. Żałowała, że rodzice nie są szczerzy wobec niej i wobec siebie, i chciała, żeby powiedzieli jej prawdę o Sally

Jakiś czas temu podsłuchiwała, jak rozmawiają - ostatnimi czasy rzadkość - i wyglądało na to, że rak przeniósł się jeszcze gdzie indziej. Stojąc za kuchennymi drzwiami, Jess słyszała, jak jej matka płacze, lecz wiedziała, że tata jej nie przytuli, by ją pocieszyć. Teraz już tak nie robił.

Tata spał w pokoju gościnnym, jadł śniadanie, zanim mama zeszła na dół, i codziennie pracował w szkole do późna. Mama próbowała udawać, że jej to nie przeszkadza. Oglądała telewizję do późna, leżąc w łóżku, i piła zbyt dużo kawy. Tata wieczorami ślezczał nad planami budowy sali gimnastycznej. Zaraz po zakończeniu egzaminów zjawiała się ekipa budowlana i tata zarządzał tym wszystkim. Ciągłe chodził na jakieś spotkania z architektami i budowniczymi, co miało swoje dobre strony, ponieważ napięcie w domu nie było aż tak duże, kiedy jedno z nich przebywało poza nim. Mama wieczorami nigdzie nie wychodziła. Tak to sobie wcześniej ułożyła, by unikać wieczornych wyjść, dopóki Jess nie pozdaje egzaminów.

Jess wolałaby żeby obojga rodziców przez cały czas nie było w domu. Tak bardzo się bała, że pewnego dnia zawołają ją na dół i oznajmiają, że biorą rozwód. Nawet lodowate napięcie było lepsze niż coś takiego.

Kiedy mama próbowała z nią teraz porozmawiać, Jess ruszała w kierunku swego pokoju, mruczając pod nosem, że musi się uczyć. Nie chciała słyszeć żadnych więcej złych wiadomości.

Dlatego właśnie postanowiła, że po lekcjach zacznie się uczyć w bibliotece w Dunmore. Najpierw myślała o szkolnej bibliotece, ale wieczorami było mniej pociągów z Cork do Dunmore, uznała więc, że wystarczy jej wielka wiktoriańska biblioteka w centrum rynku. W środku wcale nie wyglądała na starodawną: wzdłuż jednej ze ścian stał rząd komputerów, a meble były bardzo nowoczesne. W gruncie rzeczy krzesła były znacznie wygodniejsze niż w bibliotece w szkole.

Biblioteka w Dunmore tętniła życiem, kiedy Jess dotarła tam w późne wtorkowe popołudnie, dokładnie dwa tygodnie przed egzaminami. Od dźwigania torby pełnej książek bolały ją ramiona. Gorączka egzaminacyjna zdawała się ogarniać całe miasteczko: przy stolikach siedziało wielu innych uczniów, a przed nimi leżały grube podręczniki. Jess wyjęła piórnik, zeszyt, książki i notes, i zostawiła torbę w zamkniętej na klucz szafce.

Wybrała sobie miejsce na końcu głównej sali i rozłożyła przed sobą książki. Zamknęła oczy i wzięła pierwszy z brzegu podręcznik. Historia. Lubiła historię, ale program nauczania był tak przeładowany, że może zapomnieć o tym, że zdąży powtórzyć wszystko na czas.

Rozejrzała się po sali i zobaczyła ludzi, którzy przyszli do biblioteki po książki, aby poczytać dla przyjemności. Pragnęła móc usiąść i zatracić się w dobrej powieści, wylegiwać się w łóżku podczas weekendów bez poczucia, że wisi nad nią widmo zbliżających się egzaminów. W wakacje, które dla niej zaczynały się za miesiąc, będzie każdego dnia spać do późna, a resztę czasu spędzać w schronisku z psami. Pogrążona w marzeniach, przyglądała się drzwiom do biblioteki z niemądrym uśmiechem na twarzy.

Powoli stała się świadoma zmierzającego w jej kierunku ciemnego kształtu, po czym jej spojrzenie skupiło się na stojącym przed nią chłopaku.

- Cześć - odezwał się chłopak z pociągu.

- Cześć - wyjąkała w odpowiedzi. - Oliver. - Zdążyła się już dowiedzieć, jak ma na imię. - Przeszedłeś się tutaj uczyć? - No pięknie, Jess! A po co innego? Pływać?

- Zostały mi jeszcze dwa egzaminy - rzekł. - A tu jest spokojniej niż w szkole.

Oczywiście, pomyślała, ludzie, którzy nie podchodzili do egzaminów państwowych, takich jak mała matura i duża matura, zdawali egzaminy pod koniec maja, przed początkiem egzaminów państwowych na początku czerwca. Ich wakacje zaczynały się wraz z końcem maja, podczas gdy czwarte i szóste klasy czekało siedzenie w sali egzaminacyjnej i pocenie się.

Oliver usiadł na krześle obok i Jess zastanawiała się, co się dzieje. Fajni chłopcy nie szukali towarzystwa niezdarnych dziewczyn, takich jak ona. A Oliver był fajny: miał jasne, nastroszone włosy jak ten piłkarz, na widok którego śliniły się wszystkie dziewczyny, i był szczupły, ale atletyczny, jakby rzeczywiście grał w piłkę nożną, ale nie był

skupionym na budowaniu mięśni zapaleńcem, spędzającym godziny na siłowni. Miał także miłą twarz, bystrą i pełną ekspresji, i oczy, które mogły mówić zamiast jego ust. Najprawdopodobniej miał dziewczynę ze swego rocznika. Jess widziała go wcześniej w szkole w gronie drużyny piłkarskiej, a wokół tych chłopaków zawsze kręciło się mnóstwo dziewczyn.

- To rozsądne - rzekła. Kolejna plama. *Rozsądne*. Ależ z niej ptasi mózdzek.

- Uczysz się do małej matury? - zapytał.

- Tak, pomyślałam, że tutaj zrobię więcej niż w domu - odparła. Co było prawdą. Mając na uwadze atmosferę panującą obecnie w domu, lepiej było trzymać się od niego z daleka.

Popatrzył na jej podręcznik do historii.

- Lubiłem historię, ale było zdecydowanie za dużo materiału - stwierdził. - W tym roku nie wybrałem jej sobie.

- A jakie przedmioty wybrałeś? - zapytała Jess, myśląc, że rozmawianie z tym chłopakiem nie było takie trudne, jak wcześniej sądziła.

- Fizykę, chemię i matematykę stosowaną - odparł, po czym roześmiał się na widok malującego się na jej twarzy przerażenia. - Lubię to. Zamierzam studiować nauki ścisłe. A przynajmniej mam taką nadzieję. A ty?

Dziewczyna na drugim końcu stołu posłała im gromiące spojrzenie.

- Nie wiem - szepnęła w odpowiedzi Jess.

- Wiesz co, nie możemy tutaj rozmawiać. Zanim tu przyszedłem, miałem zamiar kupić sobie coś do picia. Masz ochotę iść na colę albo coś innego?

- Jasne - odparła Jess, jakby takie zaproszenie było dla niej najbardziej naturalną rzeczą na świecie.

Pospieszenie zebrała wszystkie rzeczy, ale jej piórnik upadł z hałasem na wyłożoną płytkami podłogę, przez co zarobiła jeszcze jedno gniewne spojrzenie od dziewczyny z drugiego końca stołu.

Oliver nie wydawał się tym ani trochę speszony. Podniósł po prostu piórnik Jess, zebrał swoje rzeczy, po czym udali się razem do szafek, by zabrać torby.

Gdy znaleźli się na zewnątrz, zapytał, dokąd miałyby ochotę pójść.

- Ja lubię to miejsce na tyłach ratusza - rzekł. - Grają tam dobrą muzykę.

- Nigdy tam nie byłam - odparła szczerze Jess.

- Naprawdę?

Poczuła lekkie zakłopotanie.

- Nie znam tutaj nikogo, z kim mogłabym gdzieś wyjść, a samej to nie bardzo - mruknęła. Nie wspomniała o tym, że raz była w tej kafejce niedaleko Sally i czuła się jak idiotka, siedząc w pojedynkę, więc szybko stamtąd wyszła.

- Mieszkam tutaj od lat - rzekł Oliver, kiedy szli w popołudniowym słońcu - więc chyba znam tutaj wszystkich, ale rzeczywiście, ciężko jest poznać nowych ludzi, kiedy się przeprowadzi w nowe miejsce.

Jess pokiwała głową.

- Gdzie mieszkałaś wcześniej?

Kiedy szli w stronę ratusza, opowiedziała mu o Gartland Avenue i o tym, jak ciężko było jej zostawić Steph i innych przyjaciół.

- Steph... to ta blondynka, z którą się trzymasz w szkole? O tak, zaczyna się. Jess spadła gwałtownie na ziemię. Oliver nie był zainteresowany nią, lecz Steph.

Kiwnęła sztywno głową.

- Steph Anderson - potwierdziła.

- Czy ty i Steph chodzicie czasami do dyskoteki Killian's w mieście?

- Tak, ale Steph chodzi tam ze swoim chłopakiem, Zachem - odparła Jess, podkreślając część zdania ze słowem „chłopak”. - Wiesz co, jednak nie mam czasu na colę. - Odwróciła się i zaczęła się od niego oddalać, kierując się z powrotem do biblioteki. Miała gdzieś, że mogła mu się wydać niegrzeczna. Poczuli, że napływają jej do oczu łzy. Jeśli chciał chodzić ze Steph, powinien się z nią umówić, a nie starać się do niej dotrzeć przez Jess. To nie było sprawiedliwe. Steph miała chłopaka, a teraz podobała się także i Oliverowi, podczas gdy Jess nie miała nikogo.

- Hej, Jess, zaczekaj!

A więc znał jej imię. Cudownie. Jeśli chcesz poderwać dziewczynę poprzez jej najlepszą przyjaciółkę, dowiedz się najpierw, jak ta przyjaciółka ma na imię.

- Jess, zatrzymaj się. Co się stało?

Gdyby w jej życiu nie wydarzyło się ostatnio tyle paskudnych rzeczy, może i poszłaby dalej. Dom był do dupy, szkoła była do dupy, a teraz to też było do dupy. Ktoś powinien usłyszeć, co ona teraz czuje.

- Skoro musisz wiedzieć, to nie lubię, gdy próbuje się dotrzeć przeze mnie do Steph - oświadczyła z wściekłością. Płonęły jej oczy. - Jeśli chcesz ją poderwać, to zrób to. Nie oczekuj ode mnie, że wykonam brudną robotę za ciebie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał, wyglądając na szczerze zaskoczonego.

- Dobrze wiesz - warknęła Jess. - Pytasz mnie, czy Steph i ja chodzimy do Killian's. Trochę nieudolnie ci to wyszło. Dam ci jej numer telefonu i sam możesz z nią porozmawiać.

Wyglądał na skrepowanego.

- Nie jestem zainteresowany Steph. Pomyślałem sobie, że jeśli tam chodzicie, to mógłbym się tam z tobą spotkać, to wszystko. Nie wiedziałem, czy powinienem umówić się z tobą tak od razu.

- Umówić się ze mną? - Jess była zdumiona.

- Z tobą. - Oliver wzruszył ramionami. - Dlatego właśnie podszedłem do ciebie w bibliotece. By się z tobą umówić. Ale jeśli ty nie bardzo...

- Nie, nie - przerwała mu. - To znaczy tak, chętnie się z tobą umówię, jeśli to...

Oboje przez chwilę wpatrywali się w ziemię.

- Przepraszam - odezwała się Jess. - Myślałam, że ty... i... przepraszam.

- Nic się nie stało. - Oliver uśmiechał się teraz i Jess odkryła, że również nie jest w stanie przestać się uśmiechać.

- Nadal masz ochotę na colę?

Kiwnęła głową.

- Jasne.

Kiedy szli dalej, Jess przyłapała się na rzucaniu na niego ukradkowych spojrzeń. Nie był aż tak przystojny jak Ian, ale mało kto był. Ian był brunetem - Steph nazywała go „złowieszczym” - podczas gdy Oliver miał jasne włosy i wyrazistą, inteligentną twarz. Nie wyobrażała go sobie z modnym, ciemnym zarostem, ale oczami wyobraźni widziała, jak się z nią śmieje albo jedzie do schroniska i pomaga przy zwierzętach. To nie było coś, co szczególnie interesowałoby Iana, tego akurat była pewna. Saffron ciągle nawijała o tym, jak to Ian lubi chodzić do pubów i klubów, mimo że nie jest jeszcze pełnoletni. A Jess nie była zbyt miłośniczką klubów.

- Nie musimy tam siedzieć długo - dodał Oliver. - Wiem, że musisz się uczyć.

Jess się zaśmiała.

- Mam dość uczenia się - oświadczyła. - Już nigdy nie wracajmy.

Szare oczy Olivera zamigotały

- Mnie to odpowiada - odparł.

Później, tego samego dnia, Erin i Lizzie spotkały się przed domem Richardsonów Erin miała z sobą naręczce czasopism, a Lizzie kwiatka w doniczce i papierową torbę z włoskimi ciasteczkami z kusząco pysznych delikatesów Tucci Deli. Obie wcześniej odwiedziły Sally w szpitalu, ale spotkanie z nią w domu to coś innego, zwłaszcza odkąd było wiadomo, że są przetrzuty na kości i nie było już nadziei.

Lizzie zapytała Clare Morgan o szanse Sally, na co lekarka westchnęła i powiedziała, że radioterapia pomoże kontrolować chorobę i uśmierzyć ból.

- Kontrolować, ale nie leczyć? - zapytała Lizzie.

Clare kiwnęła głową.

- No ale co z chemią? Nie zadziała na raka kości?

- Nie jestem onkologiem, a na tym polu jest tyle nowych rozwiązań, Lizzie - odparła Clare. - Nie wiem, jakie jeszcze terapie ma w zanadrzu jej lekarz, ale rak Sally jest zaawansowany. Możliwe, że teraz nic już się nie da zrobić z wyjątkiem uśmierzenia bólu.

Kiedy Lizzie i Erin wpadły na siebie wcześniej w supermarkecie, postanowiły, że wspólne odwiedziny to dobry pomysł.

- Co mówi się komuś, kto najprawdopodobniej umiera? - zastanawiała się Lizzie. To było coś innego niż udawanie w przychodni, że się o niczym nie wie.

- Miałam nadzieję, że ty mi to powiesz - odparła Erin. Kiedy szły do drzwi domu Sally i Steve'a, Erin przyglądała się z podziwem kwiatkowi Lizzie.

- Nie wiedziałam, co przynieść - rzekła, pokazując na czasopisma. - Pomyślałam, że ją trochę rozerwą, ale potem uświadomiłam sobie, że wszystkie traktują o modzie na jesień i nowych fryzurach, i że to tak, jakbym jej przypominała, że podczas chemii straciła włosy i że może nie doczekać jesieni.

- Czasopisma to świetny pomysł. - Lizzie dotknęła ramienia Erin. - Przez przychodnię przewija się wielu chorych ludzi i nie chcą, by ich traktować, jakby nie byli częścią normalnego świata. Gdyby Sally leżała w łóżku po jakiejś zwykłej operacji, przyniosłabyś jej gazety, prawda?

- Pewnie tak. - „Szkoda tylko, że to nie była jakaś zwykła operacja”, pomyślała ze smutkiem Erin. - Co słyhać u ciebie?

- Dobrze, dobrze - odparła automatycznie Lizzie, po czym postanowiła powiedzieć prawdę. - Właściwie, to wcale nie dobrze. Jestem w szoku, jeśli mam być szczerą. To wszystko - pokazała na ładny dom Richardsonów, gdzie zaledwie przed miesiącem odbywało się przyjęcie - wydaje się takie niewłaściwe.

- Wiem - rzekła ze smutkiem Erin. - To straszne, że potrzeba czyjejś tragedii, by to zrozumieć, ale teraz jest mi tak bardzo wstyd z powodu tych wszystkich rzeczy, którymi się przejmowałam. To jest prawdziwe cierpienie. Śmierć, pozostawienie Steve'a i małych dzieci, to jest dopiero tragedia, a nie moje idiotyczne problemy

- To pestka - zgodziła się Lizzie. - Kiedy myślę o tym, co mnie gnębiło... - Nie wymieniła listy tych spraw, gdyż wydawały się tak banalne: ślub Debry, rozpoczęcie przez Mylesa nowego etapu w życiu, jej własne nudne życie. Te błahe problemy można było rozwiązać przy odrobinie wysiłku. W przypadku Sally nie istniało szybkie rozwiązanie.

Obie kobiety milczały przez chwilę, po czym Lizzie westchnęła i stwierdziła, że nie mogą tak stać przed domem przez cały dzień. Jakoś muszą spróbować wejść i porozmawiać z Sally w cieniu krążącej w pobliżu śmierci.

Jeśli w rodzinie Richardsonów ktoś wyglądał na chorego, to Steve. Erin pamiętała, jak Sally opisała go, gdy po raz pierwszy się spotkały - jasnowłosy Rock Hudson - i była wstrząśnięta jego obecnym stanem: wychudłą twarzą z zapadniętymi policzkami.

- Cudownie was obie widzieć - rzekł ciepło, przytulając je na powitanie. - Właśnie robię Sally herbatę, też się napijecie?

- Jasne - odparła Erin. - Pomogę ci.

- Nie, naprawdę. - Stojąc przy czajniku, Steve wyglądał niemal na szalonego, człowieka, który został doprowadzony do granic wytrzymałości. - Doskonale sam sobie poradzę. - Zabrzmiało to tak, jakby te słowa stanowiły dla niego mantrę, którą powtarzał bez końca, mając nadzieję, że w końcu zmieni się w prawdę.

Lizzie nigdy wcześniej nie była na piętrze u Richardsonów. Było równie ładne jak pozostała część domu. Ściany na korytarzu miały kolor pergaminu, a na niewielkim stoliku stała w donicy kremowa orchidea. Całą jedną stronę zdołały rodzinne fotografie w ramach o różnorodnych kształtach. To była ściana szczęśliwych rodzinnych wspomnień i Lizzie ledwie się mogła zmusić, by na nią spojrzeć.

- Cześć, skarbie. Lizzie i Erin przyszły cię odwiedzić - zawołał Steve, otwierając nogą drzwi i wchodząc do środka ostrożnie, starając się nie rozlać herbaty

Idące za nim dwie kobiety wymieniły zaniepokojone spojrzenia, po czym weszły do sypialni Sally

- Lizzie, Erin, tak się cieszę, że was widzę! - zawołała Sally. Siedziała w łóżku i wyglądała dziwnie, niczym starsza wersja jej samej. Łagodna szczupłość przekształciła się w przerażającą chudość, a jej zęby wydawały się zbyt duże w porównaniu z całą twarzą. Głowę miała owiniętą różową chustką w groszki.

Nawet jeśli były zszokowane jej wyglądem, nie dały tego po sobie poznać. Lepiej wyglądała w szpitalu, to oczywiste, gdzie bądź co bądź można się było spodziewać czegoś takiego. Jednak tutaj, na terytorium domowym, kontrast z dawną Sally był straszliwy, i nagle dotarła do nich powaga jej stanu.

Lizzie przysiadła na małym taborecie, stojącym z boku łóżka, i uściskała delikatnie Sally

- Jak się czujesz, skarbie?

Erin usiadła ostrożnie na krześle po drugiej stronie łóżka i ścisnęła na powitanie dłoń chorej.

- Dobrze - odparła pogodnie Sally - Steve, dziękuję ci za herbatę, kochanie.

Żadna nie odezwała się ani słowem, dopóki Steve nie postawił ostrożnie tacy na niskim stoliku obok Erin i nie nalał wszystkim herbaty. Podał żonie kubek, dotknął czule jej policzka, po czym wyszedł z pokoju. Sally zaczęła, aż usłyszała jego kroki na schodach, i dopiero wtedy się odezwała.

- Jest okej - rzekła. - Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale to prawda. Jakoś sobie radzę, ponieważ muszę, dla Steve'a i dla chłopców. - Uśmiechnęła się smutno. - Gdybym nie miała męża ani dzieci, wściekałabym się na cały świat lub Boga lub kogokolwiek, kto mi to zrobił. Ale muszę być silna dla nich.

Dłoń Erin drżała, gdy podawała Lizzie filiżankę z herbatą.

- Nie wiem, co powiedzieć - przyznała. Sally wzruszyła ramionami.

- Nikt nie wie. Dopóki żadna z was nie powie mi, że udaję się do lepszego miejsca, wszystko będzie w porządku! - Uśmiechnęła się, ale w jej uśmiechu nie było światła i ciepła, które wszyscy zawsze z nią utożsamiali. - Miałam doskonały plan, by obciąć włosy i pofarbować je na blond, zanim zaczną wypadać, ale nie zdążyłam - dodała lekko, zmieniając temat. - Zawsze chciałam sprawdzić, jak to jest być blondynką, i to była moja ostatnia szansa.

Lizzie i Erin zaśmiały się nerwowo.

- Blondynki wcale się jakoś szczególnie dobrze nie bawią - rzekła Lizzie, dotykając swych loków. - Uwierz mi na słowo!

- W takim razie rude?

Lizzie zauważyła w głosie przyjaciółki ostrość, której nie było wcześniej.

- Zbyt chimeryczne - odparła Erin. - Lepiej pozostań przy wizerunku Czerwonego Kapturka.

A potem przeskoczyły na bezpieczniejsze tematy. Rozmawiały o tym, jak się poznały, i że Sally wciąż się nie pozbyła tego czerwonego płaszcza z kapturem.

Lizzie opowiedziała o tym, jak to Daniel był malutki i Sally przysłała z nim po raz pierwszy do przychodni.

- Myślałam, że jesteś słodką nastolatką z dwójką dzieci. Wyglądałaś tak młodo, że nie mogłam uwierzyć, iż jesteś już po trzydziestce.

- Mleczko pszczele - zaśmiała się Sally. - To wszystko dzięki niemu. Używała go moja matka i miała niesamowicie młodą cerę. - Jej głos złagodniał. - Powiedziała mi kiedyś, że jeśli będę go używać każdego dnia, będę emerytką ze skórą delikatną jak u dziecka.

Emerytka. To słowo zawisło w powietrzu. Sally nigdy nie będzie emerytką. Erin chwyciła mocno jej dłoń. Każdy normalny temat prowadził nieubłaganie do tego samego okropnego wniosku.

Kiedy ona i Greg rozmawiali o chorobie Sally, on stwierdził, że to jest jak koszmar senny Nieprawda: po koszmarze zawsze rano można było się obudzić.

- Wiecie, że moja matka zmarła na raka piersi, kiedy miałam dwadzieścia lat? Steve nie zdążył jej poznać i zawsze mnie to smuciło - kontynuowała Sally, a w jej głosie nie było już udawanej wesołości. - Wiedziałam, że życie nie zawsze jest proste. Dlatego właśnie Steve i ja byliśmy wdzięczni za to, co mamy. To zabawne. Zawsze bałam się raka piersi, ale nie sądziłam, że na niego zachoruję. Myślałam, że nie może uderzyć w moją rodzinę dwa razy. Albo że przynajmniej na razie nie muszę się tym martwić. Kiedy moja matka zachorowała, miała czterdzieści osiem lat.

Erin pomyślała o swojej matce, swojej biologicznej matce. Shannon miała teraz czterdzieści pięć albo sześć lat. Była zdrowa? A babcia dobiegała teraz siedemdziesiątki. Czy dotknęła ją jakaś ciężka choroba?

- Ale twoja matka jest zawsze z tobą, prawda? - zapytała łagodnie Lizzie. - Moja także nie żyje, ale zawsze będzie częścią moich myśli, moich wspomnień.

- To prawda - przytaknęła Sally. - Martwi mnie jednak to, że chłopcy są tacy mali. Jak oni mnie w ogóle zapamiętają? Ja z moją mamą spędziłam dwadzieścia lat, a im nie będzie dane tyle czasu. Nie pamiętam nic z okresu, gdy miałam trzy albo cztery lata, więc oni na pewno też wszystko zapomną.

Erin wiedziała, że nie powinna płakać. To po Sally można było tego oczekiwać, tymczasem ona była spokojna, Erin zaś zbierało się na bezsilny płacz. To pewnie hormony ciążowe, pomyślała, a po chwili rzeczywiście popłynęły łzy

Sally podała jej chusteczkę.

- Nie płacz, Erin - prosiła. - Ja nie płaczę. To znaczy na początku tak, ale teraz wydaje mi się, że już nie jestem w stanie. Niczego nie mogę zmienić, jeśli chodzi o chorobę. Strasznie ciężko jest się pogodzić z bezsilnością. - Popatrzyła na dwie kobiety. - To ironia nowoczesnego życia. Myślimy, że jesteśmy stroną kontrolującą, że potrafimy zmienić wszystko: pracę, miejsce zamieszkania, styl życia, ale istnieją pewne rzeczy, w przypadku których trzeba po prostu zaakceptować to, że nie jesteśmy w stanie nic zrobić. Jedyne, co teraz kontroluję, to sposób, w jaki radzę sobie z rakiem.

Napiła się herbaty, używając obu dłoni, by zbliżyć kubek do ust.

- Może ostatecznie nie pogodziłam się z tym, i za dzień lub dwa oszaleję i zacznę krzyczeć, ale muszę być silna dla mojej rodziny. Steve sam będzie niósł ciężar wychowania naszych dzieci. Nie mogę zostawić go ze wspomnieniem mojego umierania, które było horrorem. Możemy się cieszyć tym, co nam zostało, prawda? - Patrzyła na nie błagalnie, mając nadzieję, że powiedzą, iż ma rację, że pozytywne myślenie jest wyborem, a nie sposobem na ukrywanie się przed prawdą. Jednak Erin i Lizzie milczały; żadnej z nich nie przychodziło do głowy nic, co nie byłoby komunałem. Tak więc Sally kontynuowała: - Wiedziałam, że rak się rozprzestrzenił, jeszcze zanim zrobili mi drugą tomografię kości. Po prostu wiedziałam. Za każdym razem, kiedy myślę, że jestem w stanie to pokonać, otrzymuję kolejny cios. Kiedy mi o tym powiedzieli, czułam się tak, jakbym utknęła w windzie zupełnie bez powietrza. Nie mogłam oddychać. Podano mi środki

uspokajające i byłam niczym zombie. Najpewniej potrzebowałam tego wtedy, ale teraz nie chcę być taka; chcę wiedzieć, co się wokół mnie dzieje. Morfina sprawia, że jest się otumanionym, że nie jest się sobą - dodała. - Moja matka taka była. To było straszne.

- Czy możemy coś zrobić? - zapytała Lizzie.

- Przychodźcie mnie odwiedzać i sprawiajcie, bym czuła się choć trochę normalnie, jakbym nie była umierająca - odparła powoli Sally - Wiecie, ludzie się boją. Tak samo było z moją matką. Jej przyjaciele nie wiedzieli, co robić, trzymali się więc na uboczu, gdyż sądzili, że ich odwiedziny nic nie pomogą. Ona tak naprawdę chciała widywać się z ludźmi, ale ci, których jej brakowało, nie przyszli. Rozumiałam to - dodała. - Co mówi się komuś, kto umiera?

- Ty nie umierasz - rzekła Erin przez łzy - Zawsze trzeba mieć nadzieję.

- Ależ umieram - odparła otwarcie Sally - Wszyscy umieramy. Jednak ja raczej prędzej niż później. Leczenie może to opóźnić, ale przekonałam się, że zaakceptowanie tego, co się dzieje, jest jedynym sposobem.

Wyszły wkrótce, kiedy twarz Sally stała się jeszcze bledsza, a ona sama zaczęła ziewać.

- Wiem - uśmiechnęła się. - Wspaniała ze mnie gospodyni. Wytrzymuję godzinę, a potem odpływam z wyczerpania.

- Przyjdziemy tu jeszcze - rzekła Lizzie. - Obiecujemy.

Zatrzymały się obok samochodu Lizzie.

- Podrzucić cię do domu? Erin potrząsnęła głową.

- Chyba się przejdę. Świeże powietrze dobrze mi zrobi. Ale dzięki.

- Jak się czujesz? To znaczy chodzi mi o dziecko.

- Dobrze, ale czuję się zmęczona - przyznała Erin. - Sądziłam, że praca na dwa etaty, kiedy mieszkałam w Bostonie, była wyczerpująca, ale tego zmęczenia nie da się z niczym porównać, a przecież nawet nie pracuję. - Zamilkła, myśląc, że jej zmęczenie musi być niczym w porównaniu z wyczerpaniem, z jakim musiała się mierzyć Sally

Lizzie uśmiechnęła się.

- Pamiętam, że kiedy byłam w ciąży z Joem, musiałam chodzić każdego wieczoru spać o ósmej. Zdarzało mi się płakać ze zmęczenia. Biedny Myles sądził, że wszystko będzie idealnie, ponieważ wzięliśmy ślub, nie miał jednak pojęcia, czym jest użeranie się z ciężarną kobietą.

- Ja jeszcze nie zaczęłam płakać ze zmęczenia - rzekła Erin, uśmiechając się. Po czym spoważniała. - To straszne, być w stanie uśmiechać się, prawda, podczas gdy Sally jest tak bardzo chora.

Lizzie pokiwała głową.

- Wiesz, tak sobie myślałam, że gdybym usłyszała od lekarzy coś takiego jak Sally, chciałabym ponownie zobaczyć moją rodzinę - kontynuowała Erin, znów zaczynając płakać. Wytarła nos. Z ciężowymi hormonami nie było, jak widać, żartów. - To tak, jakby zrywało się z kimś kontakty, ale mówiło, że pójdzie się na jego albo jej pogrzeb. Skutek jest taki, że z pogodzeniem czeka się aż do śmierci tej osoby. Greg mówi, że po co czekać aż wydarzy się coś złego. Tak więc podjęłam decyzję. Mam zamiar ich odszukać. I powiedzieć o dziecku.

- To cudownie - wyszeptła Lizzie, przytulając Erin.

- Zaczęłam o tym myśleć, kiedy się dowiedziałam, że jestem w ciąży. Spodziewanie się dziecka wszystko zmienia. - Twarz Erin się rozjaśniła. - Nie wiem, jak mogłam w ogóle martwić się dzieckiem. To był pewnie po prostu szok. To znaczy boję się, bo nie wiem, jak to jest być mamą, ale nie wyobrażam sobie, że miałabym nie mieć tego dziecka. Nie mogę także pozbawiać go rodziny

- Będiesz fantastyczną mamą, jestem tego pewna. A jeśli potrzebujesz zastępczej matki, zanim nie odnajdziesz swojej, ja tu jestem. Ktoś musi cię przypilnować, żebyś wystarczająco dużo odpoczywała i łykała tabletki z żelazem!

Erin była zbyt wzruszona, by odpowiedzieć, więc Lizzie uściśniła ją po raz ostatni, po czym wskoczyła do samochodu.

Kiedy dotarła do domu, zobaczyła zaparkowany przed nim samochód Debry

- Myślałam, że masz dziś wolne. - Tymi słowami przywitała ją córka, kiedy Lizzie weszła do kuchni. Dzisiaj Debra sama sobie zrobiła herbatę i znalazła nawet czekoladowe herbatniki. Ubrana w wyglądające na drogie zamszowe spodnie i śnieżnobiały sweter, opierała się elegancko o zlew.

- Czekam tutaj od wieków - rzekła z przesadą. - Specjalnie z tego powodu wyszłam wcześniej z pracy

- Pamiętasz Sally Richardson z tego salonu piękności? - zapytała jej matka. - Cóż, zachorowała na raka i umiera, niech Bóg ma ją w swojej opiece. Byłam ją odwiedzić.

- Och. Ten słodki salon z różowo-białymi, bawełnianymi zasłonkami w kratkę? - zapytała Debra.

Lizzie kiwnęła głową.

- To takie smutne. Sally ma męża i dwójkę małych dzieci. Nie umiem sobie wyobrazić, co oni zrobią bez niej.

- Mężczyznom łatwiej jest ponownie się ożenić - odparła niefrasobliwie Debra, częstując się jeszcze jednym herbatnikiem. - Czytałam w jakiejś gazecie artykuł na ten temat. Choć gdyby coś miało się przytrafić Barry'emu, wiem, że musiałabym się z tym jakoś pogodzić. Życie płynie dalej.

- W głowie Debry pojawiła się pewna myśl. - Czy to nie ona miała ci zrobić paznokcie na ślub?

Lizzie wpatrywała się w córkę z niedowierzaniem.

- Moje paznokcie nie mają żadnego znaczenia. Tak jakbym na co dzień robiła manikiur.

- Cóż, matka Barry'ego będzie miała robiony, i makijaż także. - Debra była zszokowana, odkrywszy, że jej matka nie traktuje wystarczająco poważnie najważniejszego dnia w życiu swej córki.

- Moje paznokcie się nie liczą - upierała się Lizzie. - Kto będzie na nie patrzył?

- Nie o to chodzi. - Ładna twarz Debry była zarumieniona z irytacji. - Ludzie będą na ciebie patrzeć, ponieważ jesteś moją matką. Z pewnością jest tutaj jeszcze jakiś salon piękności. Nieważne, nie po to tutaj przyjechałam. Kuzyn Barry'ego organizuje wieczór kawalerski i sądziłam, że odbędzie się on w Cork. Ale okazuje się, że nie. Nie w Cork, lecz w Dublinie. Piętnastu facetów samych w Dublinie. Jestem wściekła. Powiedziałam Barry'emu, że nie na coś takiego się umawialiśmy. A on mi odparł, że to nie jego wina. Wyobraź sobie! Nie jego wina. Jego kawalerski wieczór, a on zamierza pozwolić im zorganizować taką burdę, jaką tylko mają ochotę. - Skrzyżowała ramiona. - Trzeba być twardą, mamo. Mężczyznom trzeba pokazać, że nie jest się naiwniaczką.

- Nie na tym polega małżeństwo - wtrąciła jej matka. - Jestem przeciwniczką dzikich imprez, podczas których biednego pana młodego rozbiera się i przywiązuje do drzewa, ale musisz pozwolić Barry'emu i jego przyjacielom robić to, na co mają ochotę, prawda?

- Nie. - Debra była niewzruszona. - Wcale nie. Nie chcę, by miał tego typu wieczór kawalerski.

- Cóż, wkrótce będzie po wszystkim i będziesz mogła o tym zapomnieć - odparła kojącym tonem Lizzie.

- Myślałam, że przyznasz mi rację. Rita w pracy zgadza się ze mną.

„Rita chodzi u Debry na pasku i białe nazwałaby czarnym, gdyby tylko Debra chciała tego od niej”, pomyślała Lizzie.

- A może powiesz mu, że nie podoba ci się ten pomysł, ale pozwolisz mu samemu zdecydować? - poradziła. - Chyba nie chcesz teraz jakiejś wielkiej kłótni, prawda? Ślub jest za niecałe dwa miesiące.

- Och, mamo - jęknęła z irytacją Debra. - Ty naprawdę nie rozumiesz mężczyzn, no nie? - Chwyciła z krzesła zamszową torebkę. - Muszę lecieć. Pogadamy później.

Lizzie została w kuchni, zastanawiając się bezradnie, dlaczego zawsze wtedy, gdy Debra wściekała się na Barry'ego, jakimś sposobem to na nią spadały gromy

Zabrała się za sprzątanie kuchni, zastanawiając się jednocześnie, co zrobić na kolację. Nie chciało jej się jeść, co było dość niezwykle. Normalnie Lizzie miała wilczy apetyt i żaden dramat nigdy nie wpływał na jej zdolność spałaszowania porządnego posiłku i może nawet sporej porcji lodów orzechowych na deser. Dzisiaj nie miała jednak ochoty na jedzenie.

Zamiast tego zabrała do ogrodu gazetę i usiadła na żelaznej ławce, pozwalając, by wieczorne słońce ogrzewało jej ciało.

Ogród wyglądał dobrze, co było wynikiem weekendów spędzanych na pielieniu, przesadzaniu i sadzeniu cebulek w miejscach, gdzie nie znajdują ich wygłodniałe ptaki. Jednak pomimo satysfakcjonujących rezultatów swej pracy Lizzie było smutno. Zastanawiała się, dlaczego tak jest, że dopiero czyjaś tragedia sprawia, że inni zaczynają zdawać sobie sprawę z własnego szczęścia. Kiedy dzieci były małe, w wypadku samochodowym zginął ich sąsiad, pozostawiając żonę i czwórkę dzieci poniżej dziesiątego roku życia. Lizzie, wyczerpana opieką nad ząbkującą Debrą i bardzo nieposłusznym Joem, nagle poczuła się wtedy bardzo wdzięczna za to, co ma.

Dziesięć lat temu rodzinny interes znajomego Mylesa splajtował, a on stracił dom. Lizzie, która wcześniej zazdrościła mu tego, że nie jest niewolnikiem stałej, państwowej pensji, tak jak ona i Myles, poczuła olbrzymią ulgę z powodu monotonnego bezpieczeństwa ich posiadłości. Oczywiście ta ulga i wdzięczność z czasem osłabły i Lizzie zdążyła zapomnieć o owdowiałej matce i bankrucie. Jednakże uświadomiła sobie teraz, że nie powinna była. Tragedia może dotknąć każdego.

Westchnęła. Debra była prawdopodobnie zbyt młoda, by to zrozumieć, a poza tym znajdowała się pod wpływem stresu związanego ze ślubem. Dlatego właśnie jej wrodzone współczucie nieco osłabło i dlatego była dla niej taka ostra. Tak, na pewno tak właśnie było...

Rozdział siedemnasty

W dniu, w którym rozpoczęły się egzaminy Jess, Abby otrzymała telefon z Beech z wiadomością co do nowej serii *Porządków*. Zdążyła już nakręcić pięć odcinków, gdy tymczasem ciągnęły się niekończące się przesłuchania nowych prezenterów, i zaczęła nawet mieć nadzieję, że nie znajdzie się nikt odpowiedni do tego programu. Niestety Wybrano dwie dodatkowe prezenterki i Brian chciał, by Abby poznała nowy skład.

- Możesz się zjawić dziś po południu? - zapytał, nie dodając niczego w rodzaju: „o ile nie jesteś zajęta”.

- Cóż, dzisiejsze popołudnie niezbyt mi pasuje - zaczęła Abby, myśląc o wcześniejszym planie odebrania Jess ze szkoły po egzaminie z angielskiego.

- Powinnaś się jakoś postarać i tutaj przyjechać - odparł Brian. - To także twoja przyszłość, Abby

„A więc to nie prośba, lecz rozkaz”, pomyślała ponuro.

- Dobrze - rzekła lakonicznie.

- Do zobaczenia o wpół do trzeciej.

Kiedyś Brian zaproponowałby lunch przed popołudniowym spotkaniem: ona, Flora, Brian, Selina i może jeszcze parę innych osób wyszliby gdzieś na kilka kieliszków wina i przyjemne plotkowanie o ludziach z branży, a przez cały czas gratulowaliby sobie nawzajem tego, jak niesamowite notowania mają *Porządki*.

- Jesteś gwiazdą - oświadczał jej wielokrotnie Brian. - To ty jesteś autorką sukcesu. Ludzie cię kochają, potrafią się z tobą utożsamiać.

To naprawdę ironiczne, pomyślała teraz Abby. Przez dwa sezony była gwiazdą i autorką sukcesu tego programu. A teraz nagle z powodu czyjogoś kaprysu uznano, że jest za stara, by sama miała prowadzić dalej program. Odnosiła wrażenie, jakby była jedyną osobą, która przeoczyła swoją datę przydatności do spożycia. Nie miała zamiaru zawracać sobie głowy przebieraniem się z wyblakłych džinsów i jasnoniebieskiego T-shirtu ani robieniem makijażu, z wyjątkiem nałożenia nieco więcej błyszczyka. Strojenie się było wyraźnie marnowaniem czasu. Roxie i Brian znaleźli już młode, nowe talenty, i bez względu na to, ile warstw podkładu Mac by nałożyła, i tak będzie miała czterdzieści dwa lata. Mogą to po prostu zaakceptować albo nie.

- Wyglądasz świetnie - oświadczyła Flora, kiedy dokładnie o wpół do trzeciej Abby pojawiła się w sali posiedzeń Beech.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Tak wyglądam na co dzień.

- I pasuje ci taki styl - odparła Flora. - Nigdy nie nosisz džinsów przed kamerą. Powinnaś.

Myśląc o majątku, jaki wydała na mające zrobić wrażenie ubrania, Abby zaśmiała się w duchu z efektu, jaki wywarła para starych Levisów.

Roxie, nie ubrana w džinsy, wmaszerowała na salę i, przywitawszy się zdawkowo z Abby, zasunęła rolety i włączyła nagranie z dwiema nowymi presenterkami.

- Identyczne bliźniaczki - powiedziała do siebie cicho Abby, kiedy na ekranie pojawiły się dwie olśniewające brunetki i przedstawiły się jako Linzi i Mitzi Devine. Nie mogły mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat, obie były olśniewające i uśmiechały się do kamery ze stuprocentową pewnością siebie.

Abby nie mogła się przyczepić do ich występu. W odegranej scenie robienia porządków sprawiały wrażenie bardzo naturalnych, kiedy przekopywały się przez tony dokumentów w zabałaganionym biurze gdzieś w Beech, radośnie wyrzucając ryzy papieru do kosza na śmieci i wołając zgodnie: „Niszczymy! Niszczymy!”.

Ich niewprawne porządkowanie nie przypominało wytwornego, profesjonalnego podejścia Abby, ale nie miała wątpliwości, że odniosą sukces dzięki swojej urodzie i poczuciu humoru.

Krótką prezentacja zakończyła się.

- Świetne są, prawda? - zapytała Roxie, uśmiechając się z wyższością do Abby

Z nagłym olśnieniem Abby uświadomiła sobie, że już się nie boi Roxie. Pomijając wszystko inne, cóż jeszcze mogłaby zrobić? Jedyne ją zwolnić, a to akurat nie mogło być gorsze od tego, co się ostatnio wydarzyło w jej życiu.

- Są fantastyczne - odparła, zastępując nieprzyjemny uśmiech Roxie dorosłą zyczliwością. - Uważam, że będą wielkim hitem.

Powiedziała to, co myślała, i z przyjemnością zobaczyła, jak z twarzy Roxie znika poczucie satysfakcji.

- Tak, dobra robota - odezwała się Flora. - Spodobały mi się od razu, gdy je poznaliśmy Są pełne entuzjazmu.

Abby poruszyła jeszcze jeden problem.

- Tak długo trwało znalezienie odpowiednich prezenterek, więc jak je teraz wpasujemy w to, co już zdążyliśmy nakręcić?

- To jest już ustalone - odparła chłodno Roxie. - Wiem, że znalezienie Linzi i Mitzi trwało dłużej niż to wcześniej zakładałam, ale warto było na nie czekać. I wiem, jak możemy wprowadzić je do programu.

Plan Roxie był prosty: w przypadku odcinków, które już nagrano, nowe presenterki zajmą się porządkowaniem pojedynczego pomieszczenia, a pokazujące to ujęcia będą prezentowane pomiędzy materiałem z Abby, porządkującą resztę domu. Jeśli zaś chodzi o pozostałe siedem odcinków, Abby i dwie presenterki będą dalej pracować oddzielnie, spotykając się jednak na końcu każdego programu.

- Chciałabyś poznać dziewczęta? - dodała Roxie, patrząc na Abby z kolejnym uśmiechem.

- Tak, bardzo chętnie - odparła, właściwie odgadując, że pozostali zdążyli już zaakceptować nowe nabytki, tak więc to spotkanie było czysto kosmetyczne.

Trzeba było widzieć pełną oczekiwania twarz Stana, kiedy Roxie po nie poszła. Najwyraźniej był zauroczony Linzi i Mitzi. Brian posunął się nawet do tego, by poprawić sobie krawat.

Na żywo bliźniaczki były jeszcze bardziej urocze niż na ekranie. Równie wysokie jak Jess, wyglądały jak sportowcy na olimpiadzie: miały zaróżowione policzki i tryskały zdrowiem. Ubrane w szykowne stroje w kolorze beżowym i kremowym, które podkreślały ich błyszczące, niebieskie oczy, wyglądały, jakby właśnie wyszły z salonu piękności. I wprost umierały z niecierpliwości, by poznać tę słynną Abby Barton.

- Jesteśmy twoimi fankami - oświadczyła jedna z nich. Linzi czy Mitzi?

- Uwielbiamy ten program - wyrzuciła z siebie druga.

Ich oczy były rozszerzone podekscytowaniem i Abby nie mogła nie zareagować mile na ich przyjacielskość i entuzjazm.

- Która jest która, czy też to kłopotliwe pytanie?

- Ja jestem Mitzi.

- A ja Linzi - uśmiechnęła się szeroko Linzi. - Mam więcej piegów.

- Ale to nie pomaga w odróżnieniu nas od siebie, chyba że jesteśmy razem - uzupełniła Mitzi.

Selina, która stanęła za parą swych najnowszych podopiecznych, uniosła eleganckie brwi, spoglądając na Abby, wyraźnie zachwycona tym, że ich pierwsze spotkanie tak dobrze przebiega.

- Abby, czy masz czas, by iść z nami teraz na kawę? Bardzo chcielibyśmy z tobą porozmawiać i naprawdę przydałyby nam się twoje rady

- Przykro mi - odparła. - Ale moja córka zaczęła dzisiaj pisać małą maturę i niedługo muszę ją odebrać ze szkoły

- Och, oczywiście - odparły z szacunkiem dziewczęta, jak gdyby Abby oświadczyła właśnie, że aż do wtorku zajmować się będzie rozszczepianiem atomu. - Nie chcemy przeszkadzać, wiemy, że jesteś zajęta.

- Ale przecież Selina może nas niedługo umówić na lunch czy coś w tym rodzaju - dodała szybko. - Choć jestem pewna, że będziecie bardzo zajęte przygotowaniem materiałów promocyjnych.

Te dziewczęta wprost stworzone były do sesji zdjęciowych do czasopism i Abby wiedziała, że Brian i Roxie z całą pewnością wykorzystają ten fakt. Nowa seria miała się pojawić na ekranie dopiero pod koniec sierpnia, ale do tego czasu Linzi i Mitzi zdążą mocno zapaść w świadomość telewidzów.

Selina nie miała zamiaru przepuścić okazji i zabrała Abby na bok, podczas gdy wszyscy inni gawędzili z sobą.

- A może kawa jutro rano? - zapytała.

- Jeśli macie czas, to pewnie.

- Dziewczęta naprawdę bardzo chcą z tobą porozmawiać - wyszeptała Selina - a fakt, że będziecie się dobrze dogadywać, na pewno dopiecze tej jędzy Roxie. Umiera z pragnienia, by rozgłosić, że jak burza opuściłaś program, ponieważ nie byłaś w stanie znieść konkurencji.

- No to jesteśmy umówione na kawę - rzekła głośno Abby, klepiąc ramię Seliny w geście podziękowania. - Powiedzmy o jedenastej, w kafejce w Mail?

- Cudownie - oświadczyła Linzi. A może to była Mitzi?

Abby podjechała pod szkołę w chwili, gdy Jess i Steph przechodziły powoli przez bramę, plotąc trzy po trzy

- Pomyślałam, że przyda wam się podwiezienie. - Uśmiechnęła się.

- Bardzo chętnie - rzekła Steph, otwierając tylne drzwi i wrzucając do środka torbę takim gestem, jakby była skazona.

- Dzięki, mam - odparła Jess, posyłając jej tak ostatnio rzadki uśmiech. - Egzaminy były straszne, paskudne, a jeśli chodzi o to pytanie o W B. Yeatsa i metaforykę... nie istniały słowa, którymi można je było opisać.

- Jak można odpowiedzieć na takie pytanie w dziesięć minut? - lamentowała Steph. - Nie wiem, na jakiej zasadzie wyliczają czas potrzebny do odpowiedzi na każde z pytań, ale jest go za mało.

- A ja tak poplątałam to pytanie o nowoczesną powieść - westchnęła Jess.

- O nie - przerwała jej Steph. - To ja je dopiero poplątałam.

Było jak za dawnych czasów, pomyślała radośnie Abby, kierując się w stronę domu Steph.

- Wiem, że powinnam teraz przez całą noc powtarzać matkę, ale uczyłam się już tak dużo i mam wrażenie, jakby w mojej głowie nie było już miejsca na nic więcej - oświadczyła jej córka, kiedy wyjechały z miasta w stronę Dunmore.

Kiedyś Abby natychmiast by odpowiedziała, że spędzenie całej nocy nad książkami jest nonsensownym pomysłem, ale kilka tygodni konfliktów w jej rodzinie czegoś ją nauczyło.

- Nigdy nie byłam zbyt dobra w uczeniu się nocą - przyznała. - I przekonałam się, że i tak nie przynosi to żadnych korzyści: następnego dnia jest się zbyt wykończonym, by normalnie funkcjonować.

- Tak - westchnęła Jess. - Już i tak jestem wystarczająco wykończona.

- Kupiłam produkty na naprawdę dobre risotto z leśnych grzybów - rzekła Abby. - Masz na nie ochotę, kiedy dojedziemy do domu, a potem zabierzesz się za naukę, czy wolisz najpierw pracować, a potem zjeść?

- Najpierw zjeść - odparła Jess, po czym dodała: - Dzięki, mam.

Abby opowiedziała Jess o swoim dniu. Była to lżejsza wersja zebrania w Beech, nie zawierająca złośliwości kryjących się za co drugim wypowiedzianym przez Roxie słowem.

- Ale to nadal twój program, tak? - zapytała z niepokojem Jess, kiedy usłyszała o Mitzi i Linzi.

- Jasne - odparła lekko Abby - Ale programy telewizyjne muszą się rozwijać, a nowi prezenterzy są tego częścią.

- Och, okej - rzekła Jess, ale wyraźnie jej to nie przekonało.

- Nie martw się o mnie - uśmiechnęła się, ściskając ramię córki. - Nic się nie dzieje. Nikt nie ma zamiaru odebrać mi *Porządków*.

- To dobrze - rzekła Jess. - Zaslugujesz na swój sukces. Abby uznała, że warto było zostać odsuniętą na bok w pracy, jeśli to ją miało przybliżyć do córki.

Tom wrócił do domu w tym samym czasie co one, i powiedział, że chętnie zje risotto. Tak więc po raz pierwszy od wieków rodzina Bartonów siedziała przy kuchennym stole, rozmawiając tak, jakby nic się nie stało. Tom był zbyt dobrym pedagogiem, by wypytywać własną córkę o egzamin, i zamiast tego podnosił ją na duchu, opisując historie uczniów, którzy opuszczali sale egzaminacyjne we łzach, przekonani, że nie zdali, podczas gdy później się okazywało, że dostali całkiem dobre oceny

- Mam nadzieję, że tak też będzie ze mną - powiedziała z zapalem Jess.

Wzięła sobie jogurt na deser, uśmiechnęła do obojga rodziców, po czym poszła na górę, by się zabrać za kolejną porcję powtórki. Miała także nadzieję, że będzie na nią czekać SMS od Olivera. Wiedziała, że nie ma czasu, by się z nim spotykać w trakcie egzaminów, ale obiecał pisać do niej każdego dnia i odwiedzić ją w weekend. Świadomość, że on o niej myśli, sprawiła, że Jess zrobiło się ciepło na duszy.

W kuchni Abby z wdzięcznością usiadła z powrotem na krześle. Tom zachowywał się tak przyjaźnie i normalnie. Czy mogła mieć nadzieję, że wszystko znowu będzie tak jak kiedyś?

Wstał i zaczął sprzątać ze stołu, wstawiając naczynia do zmywarki. Abby przyglądała się mu, zadowolona z tego, że choć raz to ktoś inny sprząta. Zdażył się już wcześniej przebrać w starą bluzę i dżinsy. W takim swobodnym stroju wyglądał młodziej, bardziej jak mężczyzna, za którego wyszła. Abby pomyślała, że pracował zbyt ciężko, poprawiając do późna prace domowe i martwiąc się nową przybudówką oraz wynikami szkolnych egzaminów. Nie ustalili wcześniej co z tegorocznymi wakacjami. Plan był taki, by zaczekać do lata, żeby zorientować się, jak będą wyglądać ich finanse, i wtedy coś zarezerwować. Jess także przydadzą się wakacje, kiedy już zda wszystkie egzaminy. Być może znaleźliby jakiś tani przelot na Florydę...

W jej rozmyślania wdarł się głos Toma.

- Abby, dużo myślałem. Kiedy skończą się egzaminy Jess, lepiej będzie, jeśli się wyprowadzę.

Nie wierzyła własnym uszom.

- Słucham? - zapytała.

Nadal załadowywał zmywarkę i dotarło do niej, że nie robił tego, by pomóc. Robił to, by czymś się zająć podczas oznajmiania katastrofalnych wieści.

- Wyprowadzam się. Ale oczywiście nie chcę, by Jess o tym na razie wiedziała.

- Chyba nie mówisz poważnie? - Abby była oszołomiona.

- Jak najbardziej. - Zatrzasnął zmywarkę i odwrócił się do niej, opierając o blat. „Nie sprzątnął garnka po risotto”, pomyślała Abby. Ale jakie to miało znaczenie? Kogo obchodziły teraz garnki?

- A co innego mogę zrobić? - zapytał ostro Tom. - Siedzieć tutaj i pozwalać ci myśleć, że do przyjęcia jest to, że sypiasz z kimś innym? Grać męża zajmującego się domem, którego chciałabyś mieć? Nie wystarczy, że ucierasz mi nosa swym sukcesem, ale muszę się także zgadzać na otwarte małżeństwo? Nie chcę takiego małżeństwa, Abby.

- Ja też nie! - zawołała, ale ją zignorował.

- Nazwij mnie staroświeckim, ale podobało mi się tak, jak było wcześniej, a teraz, gdy wszystko się zmieniło, nigdy nie uda nam się porozumieć.

- Uda nam się - błagała Abby. - Moglibyśmy iść na terapię, a ty nauczyłybys się znowu mi ufać, proszę. Proszę. Tak bardzo cię przepraszam, Tom. Naprawdę nie chciałam, by to się stało, ale możemy spróbować jeszcze raz. Myślałam, że tak właśnie zrobiliśmy - dodała łagodnie.

- W artykułach w gazetach mogą sobie pisać, że można spróbować jeszcze raz, ale w prawdziwym życiu to się nie sprawdza - oświadczył. - Czy wyobrażasz sobie, że ponownie się kochamy, a ja jestem w stanie nie myśleć o nim, dotyczącym ciebie? - Zaciśnął pięści tak mocno, że aż zbieleły mu kłykcie. - Tobie dotykającej jego... Nie potrafię myśleć o czymkolwiek innym. To mnie prześladowuje.

Abby uświadomiła sobie, że do tej pory nie miała pojęcia, jak bardzo jej mąż cierpiał. Sądziła, że po prostu została zraniona jego dumą. Teraz zrozumiała, że nie oszacowała właściwie efektów swego bezmyślnego czynu. Tom był zdruzgotany jej zdradą. Wstydziła się teraz, że wcześniej wyobrażała sobie, że jakoś się z tym pogodzi i będą mogli żyć dalej.

- Proszę, zrozum, Tom, to nic nie znaczyło. To ciebie kocham i zawsze kochałam. Byłam taka głupia i samotna. Wiesz, że nie dogadywaliśmy się zbyt wiele i...

- Och, więc to wszystko moja wina, tak? - przerwał jej Tom.

- Nie - odparła Abby, myśląc, że chłód Toma w stosunku do niej z pewnością przyczynił się do poczucia, że jest nieszczęśliwa, ale wiedząc jednocześnie, że on nie potraktuje tego jako usprawiedliwienia jej cudzołóstwa. - Ale nieszczęśliwie byłeś mną zainteresowany. Czulałam się, jakbym była twoją matką lub siostrą - dodała. - Jeśli chodzi o iskry w naszym małżeństwie, to równie dobrze mogliśmy być bratem i siostrą.

Tom wyglądał, jakby miał zaraz wybuchnąć.

- Nie wykorzystuję tego jako usprawiedliwienie - kontynuowała pośpiesznie Abby. Boże, czy ona wszystko jeszcze bardziej pogarszała? - Czułam się samotna, to wszystko. Pomyślałam, że jeśli ktoś inny będzie mi schlebiał, poczuję się szczęśliwsza lub młodsza, ale tak się nie stało. - Pragnęła wyjaśnić mu to w tak szczerzy sposób, jak tylko było możliwe, mając nadzieję, że zrozumie.

- Chciałaś się czuć młodsza i chciałaś, żeby ci schlebiać? - zapytał z niedowierzaniem. - Czy to ma być usprawiedliwienie? Czy wyobrażasz sobie mnie wskakującego z kimś do łóżka dlatego, że czuję się stary i lekceważony? Czy tak mało ceniłaś to, co mieliśmy, że porzuciłaś to z tak głupich powodów? - wypluł z siebie.

- Ja naprawdę cenię nasze małżeństwo, proszę, uwierz mi - błagała. - Gdy tylko to się stało, wiedziałam, że popełniłam błąd. Nienawidziłam siebie za to, że cię zdradziłam. Proszę, wysłuchaj mnie, Tom!

Nie odpowiedział.

- I jeśli odejdziesz, już nigdy nie uda nam się tego naprawić. - Zniknęła siła, którą czuła wcześniej. Będzie go błagać, zrobi wszystko, by go powstrzymać przed wyprowadzeniem się. Czy nie obchodziło go to, że Jess także będzie zdruzgotana? - Proszę, błagam cię, nie odchodź. Spróbujmy to wszystko naprawić.

- Nie mogę - odparł nieugięcie. - Nie chciałem wplątywać w to Jess i sądziłem, że jakoś z tym sobie poradzę, ale nie potrafię. Jak już mówiłem, Abby, jestem mężczyzną staroświeckim, i kiedy moja żona wskakuje do łóżka z kimś innym, moją pierwszą myślą jest to, że coś cennego zniknęło i nie da się tego niczym zastąpić. Jeśli bardziej nowocześni mężczyźni umieją się z tym pogodzić, to świetnie. Ja nie potrafię. I jeśli chcesz wiedzieć, to nigdy nie patrzyłem na ciebie jak na siostrę. Myślałem, że łączą nas małżeństwo; teraz już nie.

- Ale moglibyśmy spróbować wszystko naprawić... nie sądzisz? Czy nigdy mi tego nie wybaczysz?

- Nie wiem - odparł. - Chciałbym. Ale na dzisiaj odpowiedź brzmi: nie. I nie chcę już o tym rozmawiać. Nie chcę, by Jess się o tym teraz dowiedziała, musi się koncentrować na egzaminach. Ale tobie musiałem powiedzieć. Nie chciałem, byś uważała, że wszystko jest w porządku, ponieważ wspólnie zjedliśmy jeden posiłek.

Z tymi słowami wyszedł z kuchni. Zszokowana Abby usiadła i patrzyła przed siebie tępym wzrokiem.

Nie wiedziała, jak długo tak siedzi. Z tego katatonicznego stanu wyrwał ją dopiero dźwięk telefonu.

- Abby, przepraszam, że dzwonię o tak późnej porze - rzekła bez tchu Katya, jej asystentka. - Dzieciaki zachorowały i zupełnie zapomniałam ci powiedzieć, że dzwoniłi do mnie z „House Today”. Chcą zrobić z tobą duży wywiad na okładkę, który zbiegnie się z premierą nowej serii. Lubią pracować z dużym wyprzedzeniem, więc jeśli zrobimy to teraz, znajdziesz się na okładce numeru wrześniowego, który się ukaze pod koniec sierpnia. Tylko sobie wyobraź! Chcą cię sfotografować w domu, ponieważ słyszeli, że jest fantastyczny Powiedziłam im, że jeszcze oddzwonimy, bo nie chciałam się wydać zbyt podekscytowana, ale Abby, to naprawdę cudownie!

- Tak, super - odparła automatycznie.

- I bardzo by chcieli mieć na zdjęciach także Toma i Jess, ale im powiedziałam, że nie mieszasz w takie rzeczy rodziny, i oni to rozumieją. Musisz mieć przecież trochę prywatności, no nie?

- Oczywiście - mruknęła Abby, zastanawiając się, jak przebrnie przez ten wywiad. Jak mogła mówić otwarcie o swoim szczęśliwym małżeństwie i o tym, że na pierwszym miejscu jest rodzina, kiedy jej mąż chciał się wyprowadzić? Nie mogła. Coś takiego byłoby hipokryzją.

- Chcieliby zrobić sesję zdjęciową w najbliższy czwartek albo piątek, jeśli to możliwe. Pasuje ci?

Abby zastanowiła się. Gdyby do czwartku udało jej się uratować małżeństwo, nie dopuścić do tego, by Jess się dowiedziała, jak blisko rozstania znaleźli się jej rodzice, i pozbyć się z twarzy wyrazu rozpacz, wtedy by jej pasowało. W przeciwnym wypadku byłaby to najbardziej żalosna historia, jaka się ukazała w „House Today”.

- W tym tygodniu może się nie udać - odparła wymijająco. - Jess jest w trakcie egzaminów. Mogłabyś sprawdzić, czy zaczęliby dwa tygodnie? - To była jedyna wymówka, jak jej przychodziła do głowy.

- W porządku - odparła pogodnie Katya. - Jutro do nich zadzwonię i sprawdzę. Pa.

Abby spojrzała na zegarek. Wpół do ósmej. Tak późno? Umyła garnek po risotto i zostawiła go na suszarce. Następnie narzuciła na ramiona sweter i wyszła do ogrodu. „Ależ śliczny wieczór”, pomyślała, co kilka kroków schylając się, by oberwać jakąś zwiędniętą różę, i podziwiając peonie w ich pełnej, różowej krasie. Pochyliła się, by dotknąć jednej z nich, myśląc, że to dziwnie staroświeckie kwiaty. Kto je tutaj posadził?

Zanim ona i Tom kupili Lyonnais, dom należał do dewelopera, który planował go zburzyć i wybudować na jego miejscu apartamentowiec. Nie otrzymał zgody na budowę i dlatego sprzedał dom Bartonom. Ale kto był właścicielem Lyonnais przed nim? Kto posadził peonie i dbał o klomby z ziołami, gdzie nad kępkami tymianku górował rozmaryn? Kto ustawił pozbawioną rąk kamienną boginię, która z fałszywą skromnością zerknęła zza bluszczu? Czy mieszkała tutaj szczęśliwa rodzina, która wspólnie dorastała i się starzała?

Ten cudowny ogród zawsze działał kojąco na Abby, ale ostatnimi czasy nie czuła spokoju, kiedy na niego patrzyła. Zbyt wiele się działo w jej życiu, zbyt dużo zmartwień. Kiedy ona, Tom i Jess wprowadzili się tutaj, ten ogród reprezentował jej nadzieje i marzenia. Wyobrażała sobie radosne grillowanie na tarasie, leniwe słoneczne dni spędzane na fotelu ogrodowym z książką w dłoni i rodziną w pobliżu. Dziewięć miesięcy temu Lyonnais symbolizowało wspaniałe nowe życie dla całej rodziny, teraz jednak wydawało się, jakby tamte marzenia należały do przeszłości, a patrzenie na ogród jedynie potęgowało poczucie straty. Jeśli ona i Tom się roziodą, trzeba będzie sprzedać dom i ogród. Kolejna ofiara jej głupoty

Jednakże tego wieczoru, co było dziwne, pomimo świadomości, że niedługo być może trzeba będzie sprzedać to miejsce, spokojne piękno Lyonnais zadziało na Abby. Kiedy przechadzała się w wieczornym świetle, miała dziwne uczucie, że to, co najgorsze, już się wydarzyło. Tom chciał ją zostawić. Nie wariowała już ze strachu, że będzie chciał to zrobić. Strach przekształcił się w rzeczywistość. To był koszmar, ale jakoś będzie musiała sobie z nim poradzić.

Zerwała listek melisy i roztarta go w palcach, uwalniając intensywny zapach. Życie będzie płynąć dalej. Tom odejdzie. Ona będzie musiała z tym żyć. Wiedziała, że ten ogród z całą pewnością widywał już różne życiowe wloty i upadki: narodziny, śmierć, śluby, kłótnie, miłość i koniec miłości. Mimo to kwiaty kwitły, a zioła wydzielaly swój leczniczy aromat. Cykl życia zataczał krąg. Abby upuściła pokruszony listek na ziemię i udała się z powrotem do domu.

Rozdział osiemnasty

Ludzie w Dunmore nie pamiętali tak gorącego czerwca. Ci, którzy zaplanowali wakacje na kontynencie, zaczęli żałować, że nie zostają w kraju, ponieważ temperatura każdego dnia dochodziła do trzydziestu stopni. Zapaleni ogrodnicy przyglądali się posepnie, jak ich wypielegnowane trawniki robią się suche i spalone słońcem. Wydano zakaz podlewania ogródków, a lokalne centrum ogrodnicze wyprzedalo cały zapas parasoli. Ludzie kupowali dla dzieci dmuchane baseny i sami siadali przy nich, by moczyć nogi w chłodnej wodzie, a w sklepie z artykułami elektrycznymi w rynku zabrakło wentylatorów. Włosi, właściciele lodziarni i różowo-niebieskiej furgonetki rozwożącej lody, zbili wystarczający majątek, by pod koniec lata wyjechać całą rodziną na miesiąc na Florydę.

Tom Barton, uziemiony z powodu prac budowlanych w szkole, przekonał się, że nie ma zbyt wiele czasu, by poszukać sobie czegoś do wynajęcia. Oglądał kilka mieszkań i jeden maleńki dom w Dunmore, ale nie podobało mu się nic w przedziale jego możliwości finansowych. Abby, która ciężko pracowała przy kręceniu pozostałych siedmiu odcinków z

Mitzi i Linzi oraz przygotowywała się do wygłoszenia godzinnego wykładu podczas wystawy Idealny Dom, poczuła ulgę, kiedy nie wyprowadził się z Lyonnais tak szybko, jak wcześniej zapowiadał.

Jess po napisaniu wszystkich egzaminów w końcu miała wakacje i pomagała Delii przy chłopcach od Richardsonów, a Steve się upierał, by jej za to płacić, znalazła sobie także dorywczą pracę jako wieczorna opiekunka do dzieci, więc gdy dołożyła do tego pieniądze, które otrzymała od mamy w ramach wcześniejszego prezentu urodzinowego, wystarczyło, by kupić nowy rower górski. Był niebiesko-szary i można było bez przeszkód wjeżdżać nim na wzgórza, a to oznaczało, że nie musiała jeździć autobusem w te dni, kiedy pomagała w schronisku dla zwierząt.

Mogła także jeździć do domu Olivera, na drugi koniec Dunmore, choć o tym akurat nie powiedziała rodzicom. Oliver był jej tajemnicą. Wmawiała sobie, że tak naprawdę są tylko przyjaciółmi i że nikogo nie powinno to obchodzić.

Nieważne, że ją pocałował. To było niesamowite i wcale nie przypominało tego, co sobie wcześniej wyobrażała. Wydawało się czymś właściwym i w jakiś sposób wiedziała, co robić. Często także trzymali się za ręce.

Ponieważ Oliver pracował z tatą w ich rodzinnym przedsiębiorstwie warzywnym i ponieważ mama była taka wścibska i chciała wiedzieć, gdzie Jess się podziewa w każdej jednej sekundzie dnia, nie mieli zbyt dużo czasu dla siebie. Jednak kiedy już się spotykali, Jess, pomimo problemów w domu i smutku towarzyszącego chorobie Sally, czuła się naprawdę szczęśliwa. Oliver ją lubił - zero biustu, aparat na zębach, okulary i w ogóle.

Pod koniec pierwszego tygodnia czerwca Erin i Greg przeprowadzili się z Wieży Kocich Sików do ich nowego apartamentu, gdzie natychmiast poczuli się jak u siebie w domu. Postanowili zostawić ściany pomalowane tak, jak były, dopóki nie zdecydują, jakie kolory najbardziej pasują, a Erin przekonała się, że po tych szalonych kolorach w wynajmowanym domu niesamowicie jej się podoba spójność czystej bieli. Jedynym wyjątkiem był pokój dla dziecka. Świetnie się bawili, oglądając tapety i szlaczki z misiami, nieśmiały królikami i bohaterami kreskówek. Erin co rusz zmieniała zdanie, jeśli chodzi o chęć poznania wcześniej płci dziecka. Ta wiedza byłaby przydatna podczas urządzania pokoju dla niego, ale z drugiej strony miałyby cudowną niespodziankę w dniu porodu. Greg, który codziennie zachwycał się jej powiększającym się brzuchem, oświadczył, że woli poczekać i że mogliby pomalować pokój na żółto. Zawsze mogą potem dodać różowe lub niebieskie zasłonki i kocyki.

Jedyne, czego nie zrobiła jeszcze Erin, to zabranie się za poszukiwanie rodziny. Tak wiele zajęć wiązało się z przeprowadzką i ciążą, że łatwo było przesunąć to na bliżej nieokreśloną przyszłość.

Lizzie Shanahan otrzymała z banku poważne w tonie pismo, informujące o debecie, i uznała, że albo będzie musiała jakoś zarobić więcej pieniędzy, albo znajdzie się w dużych finansowych tarapatkach. Koszt wesela Debry wzrastał w szybkim tempie, a Lizzie była zbyt dumna, by przyznać się Mylesowi, iż z trudem płaci swoją część. Przejrzała ogłoszenia o pracy w gazetach, ale nie znalazła nic, do czego miała odpowiednie kwalifikacje, a gdzie zarabiałaby więcej pieniędzy niż obecnie. Poza tym bardzo lubiła pracę w przychodni i porzucenie jej zламаłoby jej serce. Wtedy jej spojrzenie przyciągnęło niewielkie ogłoszenie w ramce: mogłaby poprawić stan swoich finansów, sprzedając kosmetyki podczas domowych przyjęć. To było coś, czym mogłaby się zajmować wieczorami po pracy

Kosmetyki marki Ladysmith były produkcji irlandzkiej, nietestowane na zwierzętach, i reklama zapewniała, że to produkty przyszłości. Lizzie zadzwoniła pod podany numer i dowiedziała się, że pracując trzy wieczory tygodniowo, mogłaby zarobić tyle, ile otrzymywała w przychodni - oczywiście, gdyby udało się jej sprzedać wystarczającą ilość kosmetyków Ladysmith. Musiałaby także przejść krótki kurs i kupić własny pakiet startowy, przeznaczony do pokazów. Przesłano jej formularz zgłoszeniowy, ale Lizzie straciła wtedy odwagę i odłożyła go na gzyms kominka. Postanowiła, że przez jakiś czas spróbuje bardziej oszczędzać, by się przekonać, czy to coś da, a potem, o ile się to okaże konieczne, zajmie się kosmetykami. W gruncie rzeczy nie miała ochoty pracować także i wieczorami, ale doszła do wniosku, że jeśli

nie znajdzie innego sposobu na zdobycie większej ilości pieniędzy, może zostać do tego zmuszona - co wydawało się kolejnym dowodem na to, jak kiepsko zarządza własnym życiem.

Pewnego cudownego poranka w drugim tygodniu czerwca Sally i Steve Richardsonowie spotkali się z grupą onkologów opiekujących się Sally, by usłyszeć to, o czym oboje już w głębi duszy wiedzieli: rak kości okazał się przerażająco agresywny i gwałtownie się rozprzestrzenił. Na chwilę obecną lekarze mogli jej tylko zapewnić środki uśmierzające ból i opiekę paliatywną. Ulubionemu onkologowi Sally, eleganckiemu doktorowi Patelowi było naprawdę strasznie przykro, ale wiedział, że jego pacjentka pragnęła usłyszeć prawdę. Nie uda jej się wyzdrowieć.

Opuszczając szpital ramię w ramię ze Steve'em, Sally pomyślała, że Jackowi i Danielowi potrzebny jest dmuchany materac. Chciała także kupić nowe kasety do ich nowoczesnej kamery wideo. Pisała pamiętnik na czas, kiedy dzieci będą starsze, i był już prawie skończony, a jednak wciąż czuła, że jest tak wiele spraw, o których pragnęła im powiedzieć. O tym, jak bardzo ich kocha, jak uwielbia ich ojca, jak cieszyła się życiem i, och, tak wiele innych rzeczy. Nagranie wideo nagle wydało jej się świetnym pomysłem, ponieważ wtedy chłopcy zobaczą jej uśmiechniętą twarz, a nie jedynie poplamiony łzami pamiętnik, na widok którego będą sobie wyobrażać jej rozpacz z powodu tego, że musi ich zostawić. Nie chciała, by ich wspomnienia o niej były przesiąknięte smutkiem. Gdyby mieli kasety wideo, jej twarz, uśmiechniętą i pełną miłości, patrzącą na nich z ekranu, pamiętaliby prawdziwą, szczęśliwą Sally, ich cudowną mamę.

Kiedy szli do samochodu, poruszyła kolejny trudny temat. Ona i Steve nie mogli już dłużej kryć choroby przed dziećmi. Słyszała o terapeutce specjalizującej się w terapii małych dzieci, które utraciły bliską osobę. Dodała łagodnie, że w tej samej przychodni przyjmuje także terapeuta specjalizujący się w terapii osób dorosłych, borykających się z taką samą stratą. Steve uchwycił jeszcze mocniej jej ramię i rzekł, że może pomyśli potem o terapii dla dzieci, ale on sam jej nie potrzebuje.

Czy weekend za miastem nie byłby dobrym pomysłem? Tylko ich czworo w jakimś romantycznym miejscu, które zapewnia opiekę nad dziećmi, tak że gdy chłopcy pójdą spać, oni mogliby patrzeć sobie głęboko w oczy podczas kolacji i rozmawiać.

Sally orzekła, że to wspaniały pomysł.

Pojechali do przyjaznego dzieciom hotelu w Connemarze i spędzili tam cudowny weekend.

- Żadna terapia nie miałaby takiego wpływu - oświadczył żonie Steve, gdy szli objęci plażą, przyglądając się, jak chłopcy szukają małych rybek w sadzawkach między skałami.

- Masz rację - przyznała Sally, unosząc twarz ku słońcu. - Powinno się reklamować zachodnie wybrzeże Irlandii jako alternatywę terapii - dodała, przytulając się mocno do Steve'a. - Kiedy wrócimy do domu, zadzwoń do komitetu do spraw turystyki i powiedz im o tym.

- Tak jest, proszę pani - odparł Steve. - Pani życzenie jest dla mnie rozkazem.

Potem mówił, że to było niesamowite, jak bardzo Sally była szczęśliwa przez cały ten weekend, bawiąc się z Jackiem i Danielem na prywatnej, hotelowej plaży i dzieląc z nim romantyczne posiłki, zrelaksowana i spokojna, jakby czekało ich jeszcze całe życie takich wakacji.

- Powiedziała mi, że jej anioł stróż przyglądał się nam wszystkim, obdarowując nas ostatnim pięknym wspomnieniem - rzekł. - Powiedziała, że mamy pamiętać dobre czasy, a nie te złe, które nadejdą.

Sally jakby przeczuwała, że jej czas się dopełnia. Ten cudowny weekend to były ostatnie beztrioskie chwile, jakie dzieliła ze Steve'em, Jackiem i Danielem. Kiedy wrócili, jej stan gwałtownie się pogorszył i zaledwie kilka dni po tym, jak się bawiła z rodziną na smaganej wiatrem plaży w Connemarze, została umieszczona w hospicjum.

Steve i Delia byli przy niej, kiedy odeszła we śnie.

Rozdział dziewiętnasty

„Pogrzeby”, pomyślała Lizzie, „powinny się odbywać tylko w deszczowe, smutne dni”. Czymś niewłaściwym wydawała się ta ceremonia w taki śliczny dzień na początku lipca, kiedy słońce złożyło iglicę wieży kościoła oraz ogrzewało odzianych na czarno ponurych ludzi, przechodzących przez drzwi świątyni. Składanie do grobu tryskającej energią, kochającej życie Sally Richardson w taki właśnie dzień wydawało się podwójnie niewłaściwe.

Lizzie wślizgnęła się do ławki obok Erin i Grega, i kiwnęła im głową na powitanie. Następnie popatrzyła wzdłuż nawy i jej spojrzenie spoczęło na solidnym, ponurym kształcie trumny. Trudno było sobie wyobrazić, że w środku spoczywa zimne ciało Sally

Jak większość ludzi ze swego pokolenia, Lizzie brała już udział w wielu pogrzebach i była oswojona ze śmiercią, ale widok trumny niezmiennie nią wstrząsał. Leżała w niej jeszcze niedawno żyjąca osoba, która wkrótce znajdzie się w ziemi, przysypana piachem, zamknięta w chłodzie. Uznała, że nie chciałaby czegoś takiego dla siebie, po czym poczuła falę wyrzutów sumienia z powodu tak egoistycznej myśli podczas pogrzebu Sally.

Zmusiła się, by odwrócić spojrzenie od trumny, i zobaczyła małego chłopca, który siedział na skraju przedniej ławki, machał nogami i wyraźnie był już tym wszystkim znudzony. To Jack, starszy syn Sally. Jego ojciec otaczał go ramieniem, ale chłopiec nie chciał być trzymany: on chciał pobiec wzdłuż nawy i pooglądać wszystko. A od teraz nie będzie miał już mamy, do której będzie mógł wracać.

Lizzie zaczęło na tę myśl ścisnąć w gardle. Co Steve powiedział dzieciom? „Mamusia poszła do nieba, ale patrzy na was z góry”?

Sally próbowała im powiedzieć, że nie wróci, i pracowała nad tym pamiętnikiem, który przeczytają, kiedy będą starsi.

- Gdybym miała córki, mogłabym w nim zawrzeć więcej rad - zaśmiała się cierpko tego dnia, kiedy powiedziała Lizzie o pamiętniku. - Napisałabym: „Ceńcie siebie i pamiętajcie, że jesteście piękne, i nigdy nie wskazujcie do łóżka z chłopakiem tylko dlatego, że on mówi: »Zrobiłabyś to, gdybyś mnie kochała«”. Chłopcom trudniej udziela się rad.

Lizzie podniosła głowę, gdy pojawili się Bartonowie i zajęli ławkę kilka rzędów dalej. Abby, wyglądająca na wymizerowaną i wykończoną w swym grafitowym spodniem, weszła do ławki pierwsza i natychmiast uklękła, a za nią Tom i Jess. Lizzie w tym miesiącu spotkała się z Abby przelotnie w banku i ze zdumieniem dostrzegła w niej ogromną zmianę. Zdecydowanie wydawała się chudsza i taka jakaś starsza; rysy jej twarzy były bardziej wyraziste. Do uszu Lizzie doszły w przychodni plotki, że Tom i Abby przechodzą kryzys grożący rozstaniem, ale nie znosiła plotek, więc je zignorowała. Tamtego dnia w banku Abby rozmawiała z nią pogodnie, i jeśli nawet w powietrzu wisiało jej rozstanie z Tomem, dobrze to ukryła. Teraz, widząc jej wymizerowaną twarz, Lizzie zastanowiła się, czy te plotki nie są jednak przypadkiem prawdziwe.

Siedząc na twardej ławce pomiędzy rodzicami, Jess unikała patrzenia na Steve'a i dzieci. Wiedziała, że nie zniesie widoku konsternacji na małych buźkach chłopców.

Pamiętała te dni, kiedy Sally zachorowała, a chłopcy przebywali w Lyonais. Rano Daniel obudził się wcześniej i wślizgnął do pokoju Jess, zadowolony z siebie, że wymyślił taką nową, wspaniałą przygodę.

- Bajka - zażądał, upuszczając książkę na Jess i gramoląc się do łóżka obok niej. - Poczytaj mi bajkę, Dess.

Tak bardzo się wtedy do nich zbliżyła. Biedni, mali chłopcy Jess wiedziała, że się rozplacze, jeśli będzie myśleć o tym, że już nie mają mamy. To było tak bardzo smutne. Jak jej głupi rodzice mogli się przyglądać, jak idealna rodzina Sally rozpada się z powodu czegoś, co pozostaje poza ich kontrolą, i mimo to nie zrozumieć, że ich własna rodzina nie musi się wcale rozpaść? Czy nie widzieli różnicy? Sally i Steve zrobiliby wszystko, byle tylko pozostać razem. Mama i

tata nie wydawali się tym już szczególnie przejmować. Mogli przecież pójść do terapeuty albo kogoś w tym rodzaju. Zrobili tak rodzice Lorraine ze szkoły. Lorraine musiała nawet raz iść z nimi na sesję rodzinną, i wszystko rozwiązali i naprawili. Oczywiście, Jess nie wiedziała, co było nie tak między rodzicami Lorraine, ale większość problemów naprawdę dawało się rozwiązać.

Pani Lyons, terapeutka w poradni i nauczycielka nauki o społeczeństwie, powiedziała tak na wykładach na temat narkotyków i alkoholu.

- Niech się wam nigdy nie wydaje, że nie ma nikogo, z kim moglibyście porozmawiać. Zawsze ktoś jest. Rodzice się o was troszczą. Jeśli sobie wyobrazicie, że jesteście sami na tym świecie, nikt nie będzie miał możliwości wam pomóc. Ale jeśli poszukacie pomocy i podzielicie się swym problemem, wtedy uświadomicie sobie, że nie jesteście sami.

Steph nie znosiła pani Lyons.

- Patrzy prosto na mnie, kiedy mówi, że palenie jest niezdrowe.

Steph paliła teraz dużo więcej.

Podczas gdy Jess uważała po cichu, że to, co mówi pani Lyons, ma sens, pragnęła także wiedzieć, dlaczego dorośli robią wielkie halo z tego, że można z sobą rozmawiać, by w ten sposób rozwiązywać problemy, a potem we własnym życiu w ogóle tak nie postępują. Pomyślała z gniewem, że inne są zasady dla nastolatków, a inne dla dorosłych. Zresztą tak właśnie było ze wszystkim.

Czasami miała ochotę krzyknąć na mamę i tatę, by przestali się zachowywać jak dzieci i pogodzili się. Czy oni naprawdę nie widzieli, jak ona się z tym wszystkim czuje?

Cisza, która panowała w samochodzie w drodze do kościoła, wydawała się przytłaczająca, ale niemal równie źle było wtedy, kiedy się do siebie odzywali.

- Ci chłopcy są zbyt mali, by brać udział w pogrzebie - oświadczył tata takim tonem, jakby niemal wyzywał mamę do tego, by mu się sprzeciwiła. Co zresztą uczyniła.

- Sally chciałaby, żeby się na nim zjawili - odparła ostro. - Była ich matką.

- Matki nie zawsze zachowują się właściwie - zripostował tata.

Jess miała ochotę krzyknąć, żeby się zamknęli. „To taki smutny dzień. Przestańcie się kłócić o pierdoły!” Nie odezwała się jednak ani słowem i tylko obgryzała paznokcie i wyglądała przez szybę. Oliver powiedział, że przyjdzie, by ją wesprzeć, ale się nie zgodził. Wystarczająco trudno będzie jej zachować spokój i nie będzie miała czasu, by z nim rozmawiać. Teraz żałowała, że tak powiedziała. Lepiej by się czuła, gdyby trzymał ją teraz za rękę. Wreszcie powiedziała o nim mamie i tacie, dzięki czemu odetchnęła z ulgą. Tata zachował się w porządku na wieść o tym, że jego córka ma chłopaka, i wydawało się, że polubił Olivera, kiedy się poznali. Mama z drugiej strony wpadła w jakąś paranoję i teraz tym bardziej chciała wiedzieć, gdzie Jess się podziewa w każdej minucie każdego dnia. Co ona sobie wyobrażała na temat jej i Olivera?

Na początku ceremonii pogrzebowej Jess jakoś się trzymała, ponieważ starała się nie słuchać. Myślami błądziła gdzie indziej, a konkretnie w schronisku, dokąd uda się po południu, by odwiedzić Twigleta. Było coś uspokajającego w przytulaniu jego ruchliwego ciała, pozwalaniu mu na lizanie twarzy, a potem wypuszczeniu z ramion, by mógł gryźć i ciągnąć jej skarpetki. Miał pięć miesięcy i był uzależniony od szarpania zębami skarpetek, uważając to za najwspanialszą zabawę na świecie, lepszą nawet od znalezienia skarpetki luzem i wyrywania jej sobie razem z innym psiakiem.

- Kochasz go, prawda? - zapytała ją Jean podczas ostatniej bytności w schronisku. Była wykończona szorowaniem kociarni, a mimo to miała energię, by się bawić z Twigletem i jeszcze jednym małym szczeniakiem, Conkerem.

Kiwnęła głową.

- Niedługo będzie musiał zostać przekwaterowany - dodała Jean, obserwując jej twarz.

Jess nie odezwała się ani słowem, choć wiedziała, że Jean chciała przez to powiedzieć, iż mogłaby zabrać Twigleta do domu, gdyby zgodzili się na to jej rodzice. Jednak jej rodzice nie chcieli mieć psa. Nie było nawet sensu o to pytać. Nie chcieli mieć także rodziny. Jess wiedziała, że kiedy ludzie się rozstają, muszą się przeprowadzić. Jeśli będą mogli sobie pozwolić tylko na mały dom, nie będzie w nim miejsca dla Twigleta.

W domu udawała czasami, że jej jamnik-maskotka to Twiglet i mówiła do niego wieczorem w swoim pokoju:

- Wygodnie ci, Twiglet? Chcesz może jeszcze jednego herbatnika?

Jamnikowa wersja Twigleta wpatrywała się w nią czarnymi, błyszczącymi, guzikowatymi oczami. Nie był nawet w przybliżeniu tak dobry jak prawdziwy pies, ale zawsze to trochę pomagało.

Cztery ławki dalej Erin położyła ostrożnie dłoń na swym coraz większym brzuchu. Uwielbiała to robić, przypominając sobie w ten sposób, że wewnątrz jest nowe życie, zupełnie nowe bicie serca. Pomimo radości z ciąży czuła, że tak strasznie niesprawiedliwe jest to, iż ona może czuć to poruszające się w jej wnętrzu nowe życie, podczas gdy życie Sally zostało zdmuchnięte.

Kto decydował o tym, kto będzie żył, a kto umrze? Dlaczego odchodzili tacy dobrzy ludzie? Jaki to miało sens?

Pociągnęła nosem i przypomniała sobie, że nie wzięła z sobą chusteczek. Wielka dłoń Grega odnalazła jej rękę i uścisnęła mocno. Wiedział, jak się czuje: on czuł to samo.

- My mamy tak wiele, a Steve ją utracił. Nie wiem, co zrobiłbym bez ciebie, Erin - oświadczył Greg wczoraj wieczorem, kiedy leżeli przytuleni w nowym łóżku w pachnącym nowością mieszkaniu, a jego dłoń spoczywała na jej brzuchu.

- Nie zniósłabym świadomości, że cię zostawiam - odparła ze smutkiem Erin. - To byłoby najtrudniejsze: pozostawienie ciebie, gdy tak bardzo cię kocham. Pękłoby mi serce.

Lizzie zazwyczaj odnajdywała w ceremonii pogrzebowej pewien spokój. Połączenie znajomych modlitw i delikatności, a jednocześnie mocy obecnej w wypowiedzianych chóralnie słowach działało uspokajająco. Śmierć była częścią życia, zdawało się to mówić. Chowamy tę osobę, ale pewnego dnia to będziesz ty, a ludzie, których kochasz, oddadzą ci hołd poprzez żałobę. Życie zatacza krąg. Jednak dzisiaj modlitwy i słowa księdza dla Lizzie nie brzmiały prawdziwie. Dzisiaj wszystko się wydawało niewłaściwe. Stare tradycje nie wystarczały, by ukoić ból po stracie przyjaciółki.

Wtedy wstał Steve, by wygłosić mowę.

Lizzie poczuła delikatny ból w sercu, który kiedyś pojawiał się wtedy, gdy Joe i Debra byli mali, i brali udział w szkolnych jasełkach. Jej serce pełne było nadziei, że są na tyle dzielni, by przez to przebrnąć. Teraz czuła dokładnie to samo w stosunku do Steve'a.

Wygląda na załamanego, pomyślała, kiedy przyglądała się, jak staje za mównicą, trzymając w dłoni kilka arkuszy papieru. Wszyscy inni w kościele byli opaleni dzięki przepięknej pogodzie, tymczasem na twarzy Steve'a widniała bladeść osoby, która zbyt wiele czasu spędzała w zamkniętych pomieszczeniach. Sally bolały oczy od słońca, a pod koniec, w hospicjum, była zbyt słaba, by mieć ochotę na wyjeżdżanie wózkami do niewielkiego ogrodu.

Lizzie odwiedziła ją tam raz, ale to była krótka wizyta. Sally, ze wzrokiem otępiłym od morfiny, która na końcu okazała się konieczna, wybudzała się jedynie na kilka minut. Idąc przez ogród w stronę samochodu, Lizzie szlochała.

Steve zdjął okulary do czytania i położył je na kartkach papieru.

- Przygotowałem coś, ale nie jestem w stanie tego przeczytać. Nie wiem, po co w ogóle to napisałem. - Przez jego twarz przemknął blade uśmiech. - To nie jest tak, że nie potrafię mówić godzinami o Sally bez przygotowanego wcześniej wypracowania. Zawsze o niej mówię, gdyż jestem z niej taki dumny.

Nie było w kościele ani jednej osoby, która nie czułaby, jak ściska ją w gardle, słysząc, jak Steve używa czasu teraźniejszego.

- Zgadza się - dodał. - Jestem z niej dumny, ponieważ ona zawsze będzie ze mną. Jest w Jacku i Danielu, i jest tutaj, w moim sercu. Sally знаła wielu ludzi i cieszymy się razem z chłopcami, widząc was tutaj tak wielu. Straszne jest to, że zgromadziliście się tutaj, gdyż ona nie żyje. Sally uwielbiała przyjęcia i żałuję, że nie spotykamy się teraz z okazji kolejnej imprezy, śmiejąc się i pijąc mój okropny poncz.

Ludzie w kościele uśmiechali się na wspomnienie przyjęć u Richardsonów.

- Kiedyś żartowaliśmy sobie na ten temat: powiedziała, że zamorduje mnie, jeśli ktoś upije się moim ponczem i się pochoruje. Taka już była Sally. Była najmilszą osobą, jaką znam, autentycznie dla wszystkich życzliwą. Pragnęła pomagać ludziom i wyciągać do nich dłoń w potrzebie. Nigdy nie poznałem kogoś takiego jak ona. Kiedy się w sobie zakochaliśmy, uważałem się za niesamowitego szczęściarza, że odnalazłem tę drogocenną, wyjątkową osobę, która mnie pokochała.

To list miłosny, pomyślała Erin, ściskając dłoń Grega tak mocno, że poczuła, jak w palec wbija jej się obrączka. List miłosny dla Sally, ponieważ niedługo znajdzie się ona w ziemi i Steve nie będzie miał nawet jej zimnego ciała, któremu mógłby powiedzieć te wszystkie piękne słowa.

Ludzie wokół nich szukali w kieszeniach i torebkach chusteczek. Ktoś niedaleko płakał: cichy szloch, którego nie udało się zdusić.

Spojrzenie Steve'a błędziło po kościele, po czym zatrzymało się na trumnie żony.

- Wiedzieliśmy, że to, co nas łączy, jest wyjątkowe, i Sally pragnęła, byśmy nigdy o tym nie zapominali. Dziękujemy Bogu za to, co mamy, mówiła często i nigdy nie brzmiało to w sposób oklepany ani kliwy. Ona naprawdę tak uważała. Wiedziała, czym jest tragedia, ponieważ przeżyła ją, gdy zmarła jej matka, i wiedziała, że życie potrafi być ciężkie, chciała więc, byśmy doceniali to, co mamy. I tak właśnie było, o tak. - Umilkł.

Abby znalazła na dnie torebki pogniecioną, brudną od szminki chusteczkę, rozerwała ją i podała połowę Jess, która ocierała łzy dłonią.

- Najtrudniejsze dla Sally było zostawienie Jacka i Daniela. - Uśmiechnął się w stronę ławki, gdzie siedzieli jego dwaj mali chłopcy wraz z ciotką i babcią, zajęci dzięki torbie z zabawkami, którą Steve z sobą przyniósł. - Pragnąłem, by byli tu dzisiaj, ponieważ to szczególne pożegnanie dla mamusi, a kiedy dorosną, będą zadowoleni z tego, że tak właśnie się stało. Sally pozostawiła dla nich pamiątki i nagrane wiadomości, ponieważ chciała, by mieli szczęśliwe wspomnienia, a nie jedynie wycieczkę na cmentarz raz w roku, by złożyć kwiaty na jej grobie. Powiedziała, że to nie w taki sposób pamięta się ludzi.

Szlochanie stało się głośniejsze.

- I ona ma... miała - poprawił się - rację. Sally otarła się o życie wielu osób i w taki właśnie sposób powinna zostać zapamiętana: jako zabawna, piękna, miła, kochająca, ciepła osoba, a nie jako wzgórek ziemi. To właśnie osoba, jaką chcę, by zapamiętali nasi synowie. Była także odważna - dodał po chwili milczenia. - Tak, bardzo odważna. Nawet kiedy czuła przerażenie, usłyszawszy najgorszą z możliwych diagnoz, martwiła się o nas i o to, jak poradzimy sobie bez niej. To jest dopiero prawdziwa odwaga. Bardzo już za nią tęsknię i wiem, że zawsze będzie mi jej brakować, ale chcę, byśmy uczcili także jej życie. Dziękuję.

Oszołomieni głębią jego mowy pogrzebowej zgromadzeni w świątyni ludzie przez chwilę siedzieli w bezruchu. Następnie zerwały się oklaski. Ich odgłos był ogłuszający. Steve wrócił do pierwszej ławki, podniósł do góry małego Daniela i mocno go przytulił. Ci, którzy znajdowali się bliżej rodziny, usłyszeli głośne pytanie Jacka:

- Czy specjalne przyjęcie mamusi jest już skończone? Możemy iść, tatusiu?

Odśpiewano końcowy hymn i wszyscy wyszli na zewnątrz, by znaleźć się w blasku oślepiającego słońca. Abby, a za nią bez słowa Tom i Jess podeszli do Erin, Grega i Lizzie. Ludzie gromadzili się tłumnie wokół rodziny Richardsonów, składając Steve'owi kondolencje; głaskali chłopców, mówiąc matce Steve'a, Delii, i jego siostrze Amy:

- Nie znacie mnie, ale byłem znajomym Sally.

Obie były zszokowane. Sally nie miała bliskiej rodziny, która mogłaby nosić po niej żałobę. Jej rodzina składała się z cioć, wujków i kuzynów.

- To nie w porządku - westchnęła Abby, wypowiadając na głos to, co wszyscy myśleli.

- Nie znoszę pogrzebów - odezwała się bezbarwnym głosem Erin.

- Ja też - oświadczyła z mocą Jess. - Ten ksiądz wcale nie mówił o Sally. Brzmiało to tak, jakby w ogóle jej nie znał. I jak to może być bożym planem, to zabranie jej stąd? To nie tak powinno być.

- Zgadza się - rzekła łagodnie Lizzie, dotykając lekko ramienia Jess.

Niebieskozielone oczy Jess błyszczały od łez.

- Pamiętam, że gdy byłem mała, moja matka zabierała mnie na wszystkie miejscowe pogrzeby - odezwała się z przygnębieniem Abby.

Nie dodała, że pogrzeby były czymś w rodzaju życia towarzyskiego, a jej złamana ubóstwem matka szukała pociechy w dawnych tradycjach, takich jak czuwanie przy zmarłych. Tom zerknął na nią, ale nie odezwał się ani słowem. Abby rzadko wspominała swe dzieciństwo.

Załadowano na karawan ostatnie wieńce. Abby przyglądała się temu posepnie. Nie chciała jechać na cmentarz, choć Steve wcześniej poprosił ich o to. Według niej nie było nic gorszego od patrzenia, jak trumna jest opuszczana do jamy w ziemi.

„Nie”, poprawiła się w myślach. „Było”. Było to patrzenie na pochówek i myślenie, że ta nieżyjąca osoba zrobiła-by wszystko, by pozostać z rodziną, podczas gdy ona, Abby, właśnie zniszczyła swoją.

Czuła się tak, jakby przebywała w samym środku koszmaru, w którym dopadał ją każdy demon z przeszłości: strata, ubóstwo, klótnie, ból. Jeszcze gorszy był fakt, że to ona była sprawczynią tego wszystkiego. Jednak musiała się z tym pogodzić - nie miała innego wyjścia. No i jak odważnie Sally poradziła sobie z tragedią. Abby czerpała z tego siłę.

O dwunastej było już po wszystkim i grupa przygnębionych ludzi udała się do baru hotelu Dunmore, gdzie żałobnikom serwowano kanapki i zupę.

Jess szła za wszystkimi w milczeniu i usiadła obok Abby. Nie wiedziała dlaczego, ale potrzebowała teraz pocieszającej obecności matki, mimo że wydawała się ona pogrążona we własnych, smutnych myślach. Jess nie była potrzebna, by zająć się Jackiem i Danielem; było tak wielu niosących pomoc krewnych, że wiedziała, iż chłopcy są pod dobrą opieką. A poza tym bała się, że może zacząć tulić ich do siebie zbyt mocno i szlochać z powodu niesprawiedliwości tego, co się stało. Taty nigdzie nie było widać.

Erin i Lizzie usiadły przy stole obok Abby i Jess. Erin z ulgą opadła na krzesło. Nikt się nie odzywał, gdy pili kawę i skubali kanapki z jajkiem.

Wreszcie Lizzie przerwała ciszę.

- Miło spędzasz wakacje? - zapytała pogodnie Jess. - Widziałam, że jeździsz naprawdę fajnym rowerem.

Na twarzy Jess pojawił się nieśmiały uśmiech.

- Wygodnie jest jeździć w ten sposób do schroniska dla zwierząt, w którym pracuję jako wolontariuszka.

- Och - odparła z zainteresowaniem Lizzie. - Mówisz o schronisku niedaleko Old Cork Road? Czytałam w lokalnej prasie, że być może zostanie zamknięte.

- Już nie - wyjaśniła z dumą Jess. - Zbieramy fundusze. Zaczęła opowiadać Lizzie o zwierzętach i o swoim ulubieńcu, Twiglecie, mając częściowo nadzieję, że może słucha tego także jej matka. Jednak ona patrzyła na drugi koniec hotelowego baru, gdzie stał Tom. „Dlaczego mama nigdy nie słucha?”, zastanawiała się Jess. Ze swego miejsca nie widziała malującego się na twarzy matki bezbrzeżnego smutku.

Widziała go jednak Erin. Kierowana instynktem wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Abby.

- Wszystko w porządku? Abby wróciła na ziemię.

- Tak - skłamała.

Przeżyła szok, kiedy zobaczyła, jak Tom rozmawia z Leo, dawnym kolegą z pracy, który znał Sally i za którym Abby nieszczerze przepadała.

Dlaczego Tom musiał się natknąć akurat na tego człowieka? Odkąd Leo się rozwiódł, było jasne, że uważał instytucję małżeństwa za przeżytek. Gdyby odkrył, co się dzieje w związku Abby i Toma, jego radą byłoby raczej „zostaw ją” niż „spróbuj to naprawić”.

- Jesteś pewna? - zapytała Erin.

Abby już miała odpowiedzieć coś banalnego, na przykład, że nikt nie może się czuć dobrze na pogrzebie, ale w spojrzeniu Erin było coś szczerego i zrozumiała, że nie chce już więcej kłamać.

- Nie - przyznała. - Ale jak ktokolwiek dzisiaj może się dobrze czuć?

- To prawda. - Erin popatrzyła na Steve'a, jak ze stoicyzmem rozmawia z jakimiś żałobnikami, trzymając sztywno filiżankę z kawą, której w ogóle nie pił. Uświadomiła sobie, że ta filiżanka stanowi dla niego barierę. Pragnął trzymać ludzi na dystans. - To taki wielki szok. Wiem, że Sally chorowała od kilku miesięcy, ale wciąż miałam nadzieję, że wyzdrowieje, no wiesz, tak jak w przypadku tych ludzi, o których się czyta w gazetach, że lekarze dawali im kilka miesięcy, a żyli jeszcze przez wiele lat.

- O to właśnie modliła się Delia - rzekła Abby. - Ale Steve i Sally już od dawna wiedzieli, że nie ma żadnej nadziei. Jak się czujesz? - zmieniła temat. - Kiedy dziecko ma przyjść na świat?

- W listopadzie - rozpromieniła się Erin.

Abby pomyślała, że jej towarzyszka wygląda naprawdę niezwykle z tymi bursztynowymi oczami i długim nosem, dzięki któremu twarz nie była po prostu ładna, ale wyrazista. Wiedziała, że w jej życiu jest jakaś mroczna tajemnica. Tamtego wieczoru podczas przyjęcia u Sally, kiedy znalazła je w ogrodzie, Erin wyjawiała Lizzie jakąś tragiczną historię.

Lizzie w pewien sposób była trochę jak Sally - milion razy cichsza i słodko nieśmiała, ponieważ brakowało jej pewności siebie, ale posiadała ten wewnętrzny dar, dzięki któremu ludzie czuli, że mogą jej zaufać.

- A ty jak się czujesz? - zapytała delikatnie Erin. Moment na zwierzenia minął, uświadomiła sobie Abby

Pogrzeb Sally nie był miejscem, by opowiadać o katastrofie, jaką uczyniła ze swego życia, mimo że pragnęła komuś o tym powiedzieć, znaleźć ramię, na którym mogłaby się wypląkać.

- Dobrze - rzekła, posyłając jej zawodowy uśmiech. - Dobrze.

- Tak naprawdę nikt z nas nie czuje się dobrze - odezwała się Ruby, siadając na krześle obok nich. Jej oczy były zaczerwienione od płaczu.

- Co się stanie teraz z salonem? - zapytała jedna z sąsiadek Sally, nachylając się, by wziąć z ich stolika kilka nietkniętych kanapek. Ugryzła kawałek i dodała z pełnymi ustami: - To Sally go rozpropagowała; raczej nie przetrwa bez niej.

Erin przyglądała się tej kobiecie ze zdumieniem. Czy ona nie miała za grosz wycucia czasu i czy nie uświadamiała sobie, jak nieczułe jest mówienie czegoś takiego w obecności Ruby?

- Jestem pewna, że Steve coś wymyśli - oświadczyła z napięciem w głosie.

Sąsiadka Sally oblała się rumieńcem.

- Ja tylko mówiłam... - wyjąkała, po czym się oddaliła.

- Może trzeba było od razu jej powiedzieć, żeby sobie poszła? - mruknęła Lizzie.

- Przepraszam - rzekła Erin. - Po prostu mnie wkurzyła. Cóż za brak taktu, by powiedzieć coś takiego akurat dzisiaj.

- Sally kochała ten salon - dodała cicho Jess. - Pewnego dnia rozmawialiśmy o marzeniach i powiedziała mi, że kiedy była w moim wieku, zawsze wiedziała, że pragnie mieć swój własny salon piękności. To było jej marzenie.

Abby objęła córkę ramieniem. Dręczyły ją wyrzuty sumienia. Kiedy ostatni raz rozmawiała z Jess o jej marzeniach?

- Pamiętam, jak go otworzyła - odezwała się Lizzie. - W tamtym czasie nie bardzo miałam pieniądze na zabiegi upiększające. Nadal nie mam - zaśmiała się. - Ale starałam się tam chodzić. Sally nie tylko robiła ci zabieg na cerę, ale także wprawiała cię w dobry nastrój, sprawiała, że czułaś się mile widziana i jak wśród przyjaciół. Nawet zupełnie obce osoby wychodziły z salonu, odnosząc wrażenie, że znają ją od lat.

- Ja się tak właśnie czułam - przyznała Erin. - Wcale nie musiała próbować się ze mną zaprzyjaźnić, kiedy Greg i ja przeprowadziliśmy się tutaj, ale jednak to zrobiła. Była pierwszą osobą, dzięki której poczułam się, jakbym stanowiła część Dunmore.

- Taka właśnie była Sally Była niesamowicie przyjacielska - rzekła ze smutkiem Abby, a ból po stracie przyjaciółki odezwał się na nowo.

- I zabawna - dodała Lizzie.

- I miła - wtrąciła Ruby - Nie macie pojęcia, jaka zawsze była dla mnie dobra. Kiedy rzucił mnie Dave, to Sally pomogła mi przez to przejść. Ten salon bez niej nie będzie już taki sam. Kto mógłby zastąpić Sally...? - Jej głos się załamał.

- Salon nie upadnie, nie pozwolimy na to - oświadczyła zdecydowanie Erin. - Jesteś wspaniała w tym, co robisz, Ruby, nie zapominaj o tym. My pomożemy.

- Ale jak? - zapytała Abby

- Myślę, że poprzez wspieranie go - zasugerowała Lizzie.

- I pilnowanie, by klientki nie przeniosły się gdzie indziej - dodała rozsądnie Jess.

- Dużym problemem jest personel - rzekła Ruby. - Nikt nie był w stanie zastąpić Sally, i kiedy była chora, polegałszy na pomocy tymczasowej. Teraz, kiedy jej już nie ma, musimy coś postanowić, a ja nie potrafię porozmawiać o tym ze Steve'em.

- Ja mogę odbierać telefony i sprzątać, i robić to wszystko, czym się zajmuje menedżer - oświadczyła Erin. - W każdym razie dopóki Steve nie zdecyduje, co chce z tym zrobić - dodała.

Nie miała teraz żadnych innych planów, a bardzo podobała jej się myśl, że chociaż w taki sposób mogła odplacić Sally za jej serdeczność.

- Byłoby cudownie - odparła Ruby ze łzami w oczach.

- Żadnych łez - rzekła stanowczo Erin, pełna determinacji, by podnieść wszystkich na duchu. - One nie pomogą Steve'owi i dzieciom ani też salonowi, skoro już o nim mowa. Poradzimy sobie z tym jako zespół, dobrze?

Pozostałe panie kiwnęły głowami, robiąc, co w ich mocy, by powstrzymać cisnące się do oczu łzy

- Okej - mruknęła Lizzie. - Żadnych łez.

Erin miała rację: musiały coś zrobić. Skoro Steve potrafił stanąć przed wszystkimi na pogrzebie Sally i wygłosić tę piękną, pełną miłości mowę pogrzebową z obecną w niej nadzieją, w takim razie wszystkie mogły mieć nadzieję co do przyszłości.

Rozdział dwudziesty

W ciągu tygodnia po największym pogrzebie, jaki od dłuższego czasu widziało Dunmore, Lizzie czuła się tak, jakby miała gripę. Głowę miała ciężką, a oczy robiły się mokre z najbliższego powodu.

- Wiem, weź dwie aspiryny i zjaw się u mnie rano - rzekła sucho do doktor Morgan, kiedy zdała jej relację ze swych objawów.

- Właściwie to miałam ci poradzić, byś wzięła trochę wolnego i wyjechała na wakacje - odparła Clare Morgan. - Wiem, że Sally była dla ciebie kimś szczególnym, ale nie przysłużysz się jej ani jej biednemu mężowi tym, że się rozchorujesz.

- Jestem zbyt splukana, by jechać na wakacje - rzekła żałośnie Lizzie, po czym poczuła się jeszcze gorzej z tego powodu, że się nad sobą użala. Może i była splukana, ale przynajmniej żyła. I nie straciła osoby, którą kochała najbardziej na świecie, tak jak biedny Steve. Widziała go wczoraj w supermarkecie. Chodził między półkami niczym lunatyk, ale kiedy go dogoniła, nie chciał rozmawiać.

- Przepraszam cię, Lizzie. - Oczy błyszczały mu od niewypłakanych łez. - Lepiej, gdy teraz pobędę trochę sam.

Czuła się taka bezradna w obliczu tak wielkiego bólu.

- Skoro jesteś splukana, to w takim razie wybierz się do Londynu do Joego - rzuciła z irytacją Clare. - Możesz wykupić jakiś tani lot, a jeśli zatrzymasz się u Joego, nie będziesz musiała wydawać pieniędzy na hotel.

Lizzie uznała, że to wcale nie taki zły pomysł.

- No i? - zapytała szefowa.

- No dobrze - odparła Lizzie. - Zadzwoń do niego.

Joemu niesamowicie spodobał się ten pomysł i nawet zaproponował, że zarezerwuje lot przez Internet. Godzinę później Lizzie miała już plany na następny weekend.

- Widzisz? - rzekła Clare, kiedy się dowiedziała, że wszystko zostało ustalone. - Jestem lekarzem holistycznym, troszczę się o każdy aspekt twego życia.

Tego ranka w przychodni było spokojnie i kiedy już Lizzie pouzupełniała całą dokumentację i poznajdywała wszystkie potrzebne wyniki badań, zaparzyła sobie herbatę i odwinęła z pozłotka czekoladowe ciasteczko, które znalazła w aneksie kuchennym. Przerzuciła leżące w poczekalni czasopisma, by sprawdzić, czy jest coś nowego. Dorosłe córki Clare dawały matce stare gazety do przychodni, tak więc zawsze można tu było znaleźć mnóstwo radosnych artykułów na temat tego, jak wspiąć się po szczeblach kariery na sam szczyt, jak stworzyć idealną szafę w pigułce i jak uwieść mężczyznę, zabierając go na seksowny weekend.

Przeczytała pobieżnie o wyjątkowo intymnej operacji plastycznej („Naprawdę”, pomyślała Lizzie, krzywiąc się, „cóż to musi być za ból. A poza tym, kto tam patrzy?”), natrafiła na artykuł zatytułowany: „Rzeczy do zrobienia, nim stuknie ci trzydziestka - rzeczy, które każda kobieta powinna mieć na swojej liście marzeń”.

Skubiąc ciastko, by wystarczyło na dłużej, zaczęła czytać, spodziewając się, że znajdzie tam mnóstwo rzeczy, które już zrobiła, oraz kilka dziwactw, za które nikt przy zdrowych zmysłach nie miałby ochoty się zabierać.

Była doświadczoną kobietą, sporo już przeżyła i widziała. Z pewnością będzie mogła określić na tej liście mnóstwo pozycji.

Jednak nie znalazła nigdzie rady: „wyjdź za męża, urodź dzieci i mieszkać w tym samym domu przez dwadzieścia osiem lat”. Im dłużej czytała, tym większe czuła zniechęcenie.

- *Załóż portfolio inwestycyjne.*
- *Kup sobie porządną biżuterię.* Czy naszyjnik Moulin Rouge, który kupiła w Topshop, też się liczy?
- *Jedź sama na wakacje i dobrze się baw.*
- *Spróbuj sportów ekstremalnych - alpinizm, akrobacje spadochronowe, nurkowanie.*
- *Przestań mówić o nauczeniu się jakiegoś obcego języka, tylko w końcu się za to zabierz.*
- *Zrób coś charytatywnie.* Potrząsanie puszką dla szpitala dziecięcego liczyło się, prawda?
- *Zaplanuj odpowiednio swoją karierę zawodową, korzystając z pomocy specjalisty.*
- *Powiedz swemu przełożonemu, co naprawdę o nim myślisz.*
- *Zatańcz z kimś, kto wie, jak to się robi - tańce towarzyskie, latynoamerykańskie, wybór należy do ciebie.*
- *Miej samochód, który kupiłaś z powodów, których nie musisz nikomu wyjaśniać.*
- *Zaprzyjaźnij się z rodzicami.* No cóż, to akurat zrobiła.
- *Wyrzuć wszystkie swoje poradniki.*
- *Przystopuj z alkoholem - trzymaj się 14 jednostek tygodniowo i nie wypij ich wszystkich podczas jednego wieczoru.*
- *Regularnie poddawaj się badaniom kontrolnym - nie pozwól, by podstępne choroby typu chłamydia miały wpływ na twoją płodność.*
- *Przez jedno popołudnie przechadzaj się powoli wokół Luwru.*
- *Naucz się, jak korzystać z narzędzi z napędem elektrycznym, tak byś mogła być własnym panem złotą rączką.*
- *Flirtuj z nieznanym dla samej przyjemności.*

Lizzie przypominała sobie listy z czasów swej młodości, kiedy za najbardziej szalone uważało się przekonanie barmana w klubie dla osób powyżej dwudziestego trzeciego roku życia, by sprzedać wódkę z sokiem pomarańczowym, albo uprawianie seksu z facetem, za którego nie miało się zamiaru wyjść. Nikt nigdy nie powiedział Lizzie, by sama sobie kupowała biżuterię. A skąd! Wtedy to zadurzeni faceci kupowali dziewczętom biżuterię, kiedy już wielokrotnie zostali przeciągnięci obok sklepu, a upatrzone świecidełko było wskazane tak wyraźnie, że nie mogli się pomylić. Kobieta wstydziłaby się przyznać, że sama kupiła sobie bransoletkę lub pierścionek.

Taniec towarzyski postrzegano jako śmiertelnie nudny, jako coś, co lubili rodzice w latach pięćdziesiątych. Nikt nie mógł sobie pozwolić na samochód, choć Lizzie pamiętała, jak bardzo pragnęła mieć volkswagena garbusa. I dlaczego ktoś miałby jechać na wakacje w pojedynkę, jeśli miało się koleżanki?

Zamknęła czasopismo z głośnym plaśnięciem i wzięła do ręki poranną gazetę. Przynajmniej tutaj nie znajdzie czegoś, co będzie jej czynić wyrzuty, że zmarnowała życie. Wtedy pomyślała o Sally i ponownie zalała ją fala smutku. Ona nie zmarnowała ani sekundy swego życia i dokąd ją to zaprowadziło? Lizzie jeszcze raz zajrzała do czasopisma, wydarła z niego kartkę z listą, po czym schowała ją do torby

Ostatnim razem, kiedy Lizzie była w Londynie z odwiedzinami u Joego, udała się tam razem z Debrą. To była krótka, gorączkowa wizyta - jej córka pragnęła zobaczyć wszystko i to w dodatku na złamanie karku. Lizzie, która pamiętała własne podekscytowanie, kiedy pierwszy raz przyjechała tutaj w wieku dziewiętnastu lat, ochoczo gnała po mieście wraz z córką.

Teraz zjawiała się tutaj sama. Jadąc linią Piccadilly z małą walizką między nogami, czuła dawny dreszczyk przygody. Pomyślała radośnie, że żyje zgodnie z listą „Rzeczy do zrobienia, nim stuknie ci trzydziestka”. Jechała sama na wakacje - no cóż, prawie sama. Odwiedziny u Joego oznaczały, że będzie przebywać z ludźmi, których zna - mieszkał w

poblizu swej długoletniej dziewczyny, Niny - ale przecież przyjechała tutaj zupełnie sama, a to już coś, prawda? Nie było nikogo, kto by powiedział: „Zajmę się biletami i paszportami, nie musisz się nimi martwić”, nikogo, kto zostałby z bagażami, podczas gdy ona pobiegłaby do kiosku, by kupić sobie czasopismo do samolotu. Jednak dała sobie radę.

Uśmiechnęła się pogodnie do pracownika ochrony na lotnisku Heathrow, pomaszzerowała, by odebrać bagaż, tak jakby czyniła to każdego tygodnia, po czym bezpiecznie dostała się na stację metra. To całe podróżowanie solo to pestka.

Na stacji Green Park przesiadła się do linii Victoria, dołączając do ludzi wlewających się tłumnie na peron dla jadących w kierunku północnym. Wsiadając na stacji Highbury i Islington, nie ogarnęła jej panika, kiedy na peronie nie dostrzegła Joego. Wyjaśnił jej wcześniej, że być może nie uda mu się wyrwać w porę z pracy, a Lizzie pewnym siebie głosem odparła, że po prostu wskoczy w taksówkę i uda się do jego mieszkania, i może schowałby klucz pod doniczką z kwiatkiem albo w jakimś innym miejscu?

Ciągnąc z determinacją walizkę, udała się w kierunku znaków z napisem „Wyjście”. Posiedzenie u Joego w pojedynkę może się okazać całkiem miłe. Mogłaby się rozpakować, usiąść i spokojnie napić się herbaty, a może nawet wyskoczyć do pobliskiego sklepu i kupić jakieś ciasto. Joe od zawsze uwielbiał ciasto czekoladowe, które kiedyś dla niego piekła. Pomyślała, że już od lat niczego nie piekła. Oddychała ciężko, kiedy przeciągała walizkę przez barierki kontroli biletów. Mogłaby kupić w sklepie składniki i upiec je, ponieważ Joe z pewnością nie ma u siebie czegoś takiego jak mąka albo kakao...

- Lizzie, Lizzie! - zapiszczał kobiecy głos.

Obejrzała się z niepokojem. To niemożliwe, by ktoś wołał właśnie ją. Chodziło pewnie o jakąś inną Lizzie. Ale oto na prawo od barierki stała Nina, a jej jasne loki podskakiwały, gdy gorączkowo machała ręką. Nina była smukła jak trzcina w granatowej garsonce w prążki i butach, które harmonizowały z błyszczącą czerwienią jej szminki. Na jej twarzy malował się szeroki uśmiech. Lizzie poczuła, że robi jej się ciepło na duszy. Nie знаła Niny zbyt dobrze, ale zawsze uważała, że jest słodka, a poza tym wydawała się szczerze przepadać za Joem. Szkoda jedynie, że nigdy nie przyjechała do Dunmore razem z nim, by mogła ją lepiej poznać. „To się zmieni”, postanowiła Lizzie. Nic nie przeszkodzi jej w tym, by częściej latać do Londynu.

- Witaj!

Nina szybko uściskała Lizzie i natychmiast zaczęła wyjaśniać, że miała nadzieję odebrać ją na Heathrow, ale w pracy był kocioł i nie udało jej się wyrwać. Nina pracowała w niewielkiej galerii sztuki tuż przy Cork Street, a godzin jej pracy nie można było zaliczyć do stałych.

- Tak bardzo się bałam, kiedy tutaj przyjechałam, bo przecież mogliśmy się minąć - dodała Nina, próbując przejąć od Lizzie jej walizkę.

- Dam sobie radę - odparła Lizzie, trzymając mocno rączkę, zawstydzona tym, że ktoś inny mógłby poczuć jej ciężar. Minimalizm podczas pakowania się nigdy nie należał do jej mocnych stron.

- Ależ wezmę. - Nina wzięła ją od niej bez wysiłku. Widocznie od tego ciągłego dźwigania płócien w pracy wyrobiły jej się całkiem niezłe mięśnie. - Joe martwił się, że się zdenerwujesz, kiedy zobaczysz, że go tu nie ma, a okazało się, że mogę wyjść wcześniej z pracy, więc uznaliśmy, że lepiej będzie, jak cię odbiorę. Wiem, że już dość dawno nie byłaś w Londynie, i nie chcieliśmy, byś się zgubiła i kręciła w kółko, nie wiedząc, w którym iść kierunku.

- Wiem, jak trafić do mieszkania Joego - rzekła łagodnie Lizzie, kiedy czekały na taksówkę. - Poza tym działa mi tutaj telefon komórkowy, więc gdyby rzeczywiście coś się stało, zawsze mogłabym do niego zadzwonić.

- Wiem. - Zatrzymała się kanarkowożółta taksówka i Nina otworzyła drzwi przed Lizzie, pomagając jej wsiąść do środka, jakby była księżną wdową z nogą w gipsie. - Ale przecież nie jesteś u siebie, prawda? - Włożywszy do bagażnika walizkę, Nina usiadła obok Lizzie. - Wszyscy się trochę denerwujemy, kiedy jesteśmy daleko od domu, no i kręcą się

tutaj młodociani rabusie polujący na turystów. Nie tylko zresztą na nich. Któregoś dnia napadnięto na tej ulicy emerytkę. W biały dzień. Joe i ja nigdy byśmy sobie nie darowali, gdyby coś takiego miało się przytrafić także tobie, Lizzie.

Wszystko to wypowiedziała w sposób troskliwy i serdeczny, który absolutnie nie miał na celu zranienia Lizzie. Jednak zranił. Było jasne, że przypadła jej teraz rola starzejącego się rodzica. Lizzie uważała się za zdrową kobietę w kwiecie wieku, w oczach Niny znajdowała się jednak na prostej drodze do balkoniku, wind i nieumiejętności obsługiwanego telefonu komórkowego, gdy tymczasem młodociani rabusie uciekają z jej torebką. To była wizja przyprawiająca o depresję - tym większą, jeśli także i Joe postrzegają ją w taki właśnie sposób.

- Mam mnóstwo planów na weekend - kontynuowała Nina - choć pomyśleliśmy sobie, że dzisiaj wieczorem nie będziesz miała na nic ochoty z powodu zmęczenia.

Lizzie próbowała protestować, że w ogóle nie czuje się zmęczona, ale to nic nie dało. Do Niny, jakkolwiek serdecznej i przyjacielskiej, nie docierało, że krótki lot z lotniska w Cork i podróż metrem z Heathrow nie były tym samym co wspinaczka w Himalajach. Nawet jeśli dla Lizzie nowością było, że zrobiła to sama.

Aby odwrócić uwagę Niny od cechującego podeszły wiek zmęczenia, Lizzie zapytała ją o pracę i przez resztę tej krótkiej podróży taksówką Nina z ożywieniem opowiadała o nowych nabytkach i figuratywnym artyście, który w przyszłym tygodniu miał u nich wystawę.

W mieszkaniu Joego nastąpił ciąg dalszy nadszkakiwania. Nina upierała się, by to ona wniosła walizkę po schodach, a nawet położyła ją na niewielkim tapczanie, „żeby nie bolały cię plecy przy jej podnoszeniu”.

Lizzie, która nie znosiła rozpakowywania, zaczekała, aż Nina wyjdzie z pokoju, po czym ściągnęła walizkę na podłogę, otworzyła ją i wyjęła kosmetyczkę i książki. Ubrania wyjmie wtedy, gdy będą jej potrzebne. W ten sposób nigdy tak naprawdę nie musiała się rozpakowywać i czuć się winna z powodu tego, że zabrała z sobą tyle niepotrzebnych rzeczy.

- Zaparzyłam herbatę. - Nina krzątała się po nowoczesnym aneksie kuchennym. Wysunęła taboret dla Lizzie. - Siądź sobie i odpocznij. Bardzo mi przykro z powodu twojej przyjaciółki - dodała.

Lizzie westchnęła.

- Była taka młoda. Ciężko pogodzić się ze śmiercią młodej osoby, prawda?

Nina kiwnęła głową, ale Lizzie widziała, że jest zaabsorbowana czymś innym.

Pamiętała, że kiedy miała dwadzieścia sześć lat, wydawało jej się, że śmierć jest czymś, co dotyka innych ludzi.

Na stole pojawiła się porcelanowa filiżanka i spodek.

- Nie sądziłam, że Joe posiada coś takiego, jak spodek - rzekła z rozbawieniem Lizzie, patrząc z podziwem na porcelanę z fioletowymi wzorkami.

Nina uśmiechnęła się promiennie.

- Wiedziałam, że ci się spodoba - oświadczyła. - Z moją mamą jest identycznie.

Jako że była najmłodsza z pięciorga rodzeństwa, a jej matka skończyła już sześćdziesiąt lat, Lizzie nie poczuła się zbyt uradowana tą informacją. No ale przecież Nina starała się tylko być miłą.

Piły herbatę i jadły ciasteczka imbirowe, rozmawiając przy tym o wszystkim i o niczym. Trzy lata temu, podczas jej ostatniej wizyty u Joego, jej syn właśnie zaczął się spotykać z Niną i Lizzie naprawdę się ucieszyła, gdy ją poznała. W niczym nie przypominała tych pretensjonalnych dziewczyn z kolczykami w różnych miejscach i dziwnymi kolorami włosów, które tak lubił Joe, kiedy mieszkał jeszcze w domu. Była absolwentką historii sztuki, nosiła piękne, dopasowane ubrania, piła Earl Greya z cytryną i właśnie wzięła kredyt na mieszkanie w Archway. Ona i Joe tworzyli naprawdę doskonałą parę i Lizzie spodziewała się, że zamieszkają razem, ale Joemu w chwili nieuwagi wymknęło się, że spieszenie się z tak ważną decyzją uważa za błąd.

- Mam dopiero dwadzieścia sześć lat, mam - rzekł wtedy. - Jestem zbyt młody na to, by się ustakować. Nina i ja lubimy wolność, jaką daje mieszkanie osobno.

Joe wrócił z pracy o siódmej i przywiózł kolację hinduską z Marksa i Spencera, a na deser truskawki i lody waniliowe.

- Nikla indyjska z soczewicy i warzywne pakoras - zachwycała się Lizzie, kiedy wyjmowała po kolei te trofea. - Kurczak balti... fantastycznie. Uwielbiam kuchnię hinduską.

- Wiem - uśmiechnął się szeroko Joe.

Kolacja była przepyszna, zakrapiana piwem Tiger, którego Lizzie nigdy wcześniej nie próbowała. Oświadczyła, że już nigdy nie będzie piła wina z hinduskimi potrawami. Siedzieli i przyglądali się pobjowisku, które tworzyły resztki ich kolacji.

- Chciałabym umieć tak gotować - westchnęła Lizzie, odpowiadając odmownie na propozycję jeszcze jednej filiżanki herbaty.

- Możesz zapisać się na kurs gotowania hinduskich potraw - oświadczył entuzjastycznie Joe. - Super by było, no nie? Wychodziłabyś dzięki temu z domu i miło spędzała czas.

Lizzie zamrugła oczami.

- Ale ja przecież wychodzę z domu - rzekła ze zdumieniem.

- No ale wiesz, żeby poznać nowych ludzi - wyjaśnił Joe.

Lizzie dostrzegła, jak Nina ukradkiem kopie go w piszczel, mówiąc tym samym: „Zamknij się, wystarczająco dużo już powiedziałaś”.

- Mamy dla ciebie niespodziankę - oświadczyła Nina, ujmując mocno dłoń Joego. - Oboje chcielibyśmy, abyś poznała moją mamę. Jutro wieczorem zabieramy was na kolację.

- To bardzo miło - odparła Lizzie, myśląc o wcześniejszej nadziei na zakosztowanie choć trochę szalonego nocnego życia, którym mogłaby wynagrodzić sobie nudne wieczory w domu. Może w następny wieczór udadzą się do jakiegoś nocnego klubu.

Matka Niny była zaokrągloną wersją swojej córki, miała taką samą wąską, poważną twarz i identyczną burzę loków, choć włosy Edie były srebrne, a nie blond. Miała także co najmniej dwanaście lat więcej niż Lizzie, i choć nie była typem drobnej staruszki, była bardzo sztywna z powodu artretyzmu i rzucało się w oczy, że lubi, gdy jej się pomaga wsiąść do taksówki i podaje herbatę w porcelanowej filiżance ze spodkiem.

Miała także specyficzne poczucie humoru i zabawnie się z nią rozmawiało, za co Lizzie była wdzięczna, gdyż wyglądało na to, że Nina i Joe uważają, iż dwie starsze panie będą zadowolone z tego, że siedzą razem w restauracji i plotkują. Edie miała siedmioro wnuków i uwielbiała o nich mówić, o czym poinformowała z czułością Nina, wyraźnie zakładając, że Lizzie, należąc do pokolenia Edie, z równą ochotą będzie rozprawiać na temat godzin sypania dwulatków. Gdy Edie opowiadała o ukochanych wnukach, Lizzie wypła pierwszy kieliszek wina i zabrała się za drugi. Edie była słodka, ale Lizzie spodziewała się po tym wyjeździe czegoś więcej. Rozmawiać mogła i w domu, natomiast tutaj przyjechała, by dobrze się bawić.

Wino dodało jej odwagi, więc posłała śmiały uśmiech kelnerowi, który właśnie stawiał przed nią krewetki.

- Dziękuję panu - rzekła głosem, który, jak miała nadzieję, był chropawy i seksowny.

Podobno mężczyźni przepadali za tym, by starsze kobiety inicjowały cielesne przyjemności. Musi się jednak wybrać na woskowanie nóg. I kupić sobie ten olejek, którego używały supermodelki, że ich skóra lśniła. Modne były także stringi, choć Lizzie nigdy nie ośmieliła się ich założyć. Jednak może kupi je sobie tutaj w jakimś sklepie, w którym przecież nikt jej nie zna. Trzeba dokonać poświęceń w imię nowego życia.

Z oczami błyszczącymi z zadowolenia na myśl o tym zmieniającym życie planie i nowej Lizzie, która pojawi się niczym motyl, pociągnęła kolejny łyk wina.

- Nosisz stringi, Nino? Ja ich nie lubię, ale są seksowne, prawda?

Na chwilę zapadła taka cisza, że można byłoby usłyszeć upadającą na podłogę szpilkę. Joe zakrztusił się sajonką i trzeba było zobaczyć twarz Niny. Jedynie Edie wydawała się nieporuszona tą dziwną zmianą tematu rozmowy.

- Są beznadziejne, Lizzie - odezwała się poważnym tonem. - Kupiłam sobie kiedyś jedną parę na pokazie bielizny. Te majtki nie są zrobione na normalne tyłki.

Kelner, który zdążył właśnie wrócić z dodatkowym chlebem i dressingiem do sałatki, znieruchomiał na chwilę, lecz szybko odzyskał przytomność umysłu.

- Czy coś jeszcze? - zapytał, wyglądając na lekko zaniepokojonego tym, o co w następnej kolejności mogą poprosić te dwie szalone kobiety

Edie spojrzała na butelkę wina, która była już pusta, głównie dzięki niej i Lizzie.

- Jeszcze jedną butelkę, kochany - rzekła i mrugnęła do niego.

Lizzie zachichotała.

- Trzeba flirtować, no nie? - zapytała Edie. - Dzięki temu czujesz, że jeszcze żyjesz.

Pełne przerażenia przeknięcie śliny ze strony Niny sprawiło, że Lizzie ponownie zachichotała.

Potem Edie i Lizzie dogadywały się już bez żadnego problemu. Edie wiedziała, jak to jest, kiedy umierają bliscy przyjaciele, choć ci akurat przyjaciele byli starsi od Sally Richardson. Ale przynajmniej rozumiała.

- Młodym ludziom wydaje się, że będą żyć wiecznie - powiedziała powoli, kiedy piły kawę, podczas gdy ich dzieci gawędziły radośnie. - Przeżywasz szok, kiedy dociera do ciebie, że nawet ty nie jesteś nieśmiertelna.

Lizzie skinęła głową.

- Najtrudniejsza jest jednak myśl o tych dwóch małych chłopcach, których zostawiła - rzekła. - Ale miała dobre życie, mimo że krótkie. Miała wspaniałego męża i rodzinę. - Wino sprawiło, że Lizzie zbierało się na płacz. - Sally żyła pełnią życia.

- Gdybym jutro miała odejść z tego ziemskiego padolu, wątpię, by ktokolwiek powiedział tak o mnie - stwierdziła Edie, poklepując w geście pocieszenia dłoń Lizzie.

- Ani o mnie - odparła Lizzie. Jednak to akurat miało się zmienić.

Kiedy koło północy szykowała się do pójścia spać, uznała, że dobrym pomysłem będzie postawienie obok łóżka dużej szklanki z wodą, jako że oprócz wina tego wieczoru raczono się także likierem. Nie zwracając sobie głowy narzucaniem szlafroka na starą koszulę nocną w misie, Lizzie udała się boso korytarzem do kuchni. Nina i Joe nie spali jeszcze - z niewielkiego salonu dobiegały ich głosy Joe twierdził, że ściany tego mieszkania są tak cienkie, że czasami słyszy jak dzwoni telefon u sąsiadki i sądzi, że to jego.

Lizzie naląła do szklanki przefiltrowaną wodę z lodówki, wyłączyła światło w kuchni i wyszła na korytarz. Kola-cja była świetna; wsunęła jedynie głowę przez drzwi i jeszcze raz im podziękuje.

Jednak stojąc przy drzwiach ze szklanką w dłoni, Lizzie wyraźnie słyszała, o czym rozmawiają Joe i Nina.

- Chciałbym, żeby mama znalazła sobie kogoś, ale jakoś trudno mi to sobie wyobrazić - rzekł Joe. - Jest zamknięta w przeszłości. Stara się być odważna i silna, ale obawiam się, że nigdy nie pogodziła się z rozwodem. Tylko mówi, że tak zrobiła.

Lizzie usłyszała, jak Nina całuje go i wydaje uspokajające dźwięki.

- To nie jest tak, że ich małżeństwo było super - kontynuował Joe. - Wiedziałem, że nie jest dobrze, tata też wiedział, a nawet Debra, ale mama twierdziła, że nie miała o tym pojęcia. Jak mogła tego nie dostrzegać?

- Ludzie chowają się przed prawdą - zasugerowała Nina. - Jeśli coś ich przeraża, udają, że to nie istnieje. Twoja mama jest urocza, ale nieco właśnie w tym typie. Widzę dokładnie, jak żyła, jakby wszystko było okej. Wiedziała, że jej małżeństwo jest martwe, ale nie chciała tego przyznać. Wiele kobiet zachowuje się w taki właśnie sposób.

- Nie wiem - westchnął Joe. - Dlatego właśnie tak się tym martwię. Powinna rozpocząć kolejny etap życia, ale nie potrafi. Czas zatrzymał się dla niej w miejscu i jest tak, jakby tata wyjechał, ale niedługo miał wrócić. To nie jest zdrowe. Mówi, że wszystko w porządku, ale ja w to nie wierzę. Nigdy się z nikim nie umawia i nie wygląda na to, by prowadziła jakiegokolwiek życie towarzyskie, a teraz, kiedy tata ma Sabine, cóż, mamie musi być z tym ciężko. Głupia Debra na okrągło nawijała o Sabine, kiedy zadzwoniła do mnie wczoraj, i ostrzegłem ją, by nie robiła tego przy mamie. Chodzi o to, że tata jest teraz taki szczęśliwy. Mama byłaby zdruzgotana, gdyby się o tym dowiedziała. To tak, jakby potrafił być szczęśliwy z kimś innym, ale nie z nią.

Każde słowo było niczym wbijająca się w klatkę piersiową Lizzie strzała z grotem nasączonym żrącym kwasem.

- Czy małżeństwo twoich rodziców zawsze było złe? - zapytała Nina. - Nawet kiedy byłeś mały?

- Ono nigdy nie było złe - odparł z namysłem Joe. - Ale nie można też go było nazwać szczęśliwym. Po pierwsze mieli z sobą niewiele wspólnego. Tata był fanem łodzi i żeglarstwa, myśli mamy błędziły natomiast gdzie indziej, gdy o tym opowiadał. Mama uwielbiała wychodzić na kolacje i tego typu rzeczy, a tata najchętniej jadałby każdego wieczoru w domu. Nigdy nie mieli też pieniędzy, by rozwijać jakieś zainteresowania. Oddalali się od siebie i gdyby nie to, że wzięli ślub, wątpię, by ich związek potrwał dłużej niż kilka lat.

- I gdyby nie zawodność środków antykoncepcyjnych - dodała cierpko Nina.

- Tak - przyznał Joe. - Nie zrozum mnie źle, kochali nas i siebie na swój sposób pewnie też. Dogadywali się z sobą i w domu nie było wielu kłótni. Ale, no wiesz, ja też dogaduję się dobrze z wieloma ludźmi, mimo że nie miałbym ochoty brać z nimi ślubu. Apatia jest dla związku równie zabójcza jak kłótnie. Byli dziećmiakami, kiedy wzięli ślub, i to jest właśnie tragiczne. Może gdyby mama nie była ze mną w ciąży...

- Nie mów tak - przekomarzała się Nina. - Wtedy nie spotkałabym ciebie i nie pokochałabym cię. A poza tym nie możesz obwiniać siebie. To oni byli odpowiedzialni za swój związek, nie ty. Pamiętam, że moja mama i tata kłócili się na okrągło, ale szaleli przy tym za sobą.

- Moi rodzice nigdy się nawet zbytnio nie kłócili. - Joe był poważny. - Kłótnie sugerują pewną namiętność, a u nich tego nie było. Byli po prostu małżeństwem. Powiedz mi, że z nami tak nigdy nie będzie, Nino - dodał żarliwie. - Że nie będziemy z sobą z niewłaściwych powodów, nie kochając się, ale oszukując się, że kochamy, ponieważ jest to łatwiejsze niż rozstanie. Takie bycie razem z powodu dzieci lub czegoś innego.

Lizzie poczuła na skórze coś mokrego i uświadomiła sobie, że tak bardzo się trzęsie, iż woda ze szklanki wylewa się na jej dłoń.

- Czy to oświadczyny? - zapytała żartobliwie Nina. Joe roześmiał się.

- Jestem nieco antymażeński, o czym zresztą wiesz.

- No to jest nas dwoje - odparła Nina. - Ale nie jestem za to przeciwna wspólnemu mieszkaniu. Tak dużo czasu spędzamy razem, że równie dobrze moglibyśmy z sobą zamieszkać i zaoszczędzić na twoim czynszu. Nie wspominając już o tym, że moje mieszkanie jest większe.

- Nie mam nic przeciwko temu - wymruczał Joe.

Jego matka odwróciła się i udała pospiesznie do swego pokoju, przerażona, że mogliby ją usłyszeć.

Zamknęła drzwi i usiadła na łóżku, czując, jak krewetki, makaron i cały wypity wcześniej alkohol hulają w jej żołądku. Gdy odstawiła szklankę, drżała jej dłoń.

Tej nocy leżała w wąskim łóżku, otaczały ją dźwięki miasta i czuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek wcześniej. Przyjechała do Joego w nadziei, że uda mu się poprawić jej nastrój po śmierci Sally Tak się jednak nie stało. Co gorsza, współczuł jej, że nie radzi sobie z życiem po rozstaniu się z jego ojcem. Dostrzegał wcześniej, że małżeństwo jego rodziców nie należy do szczególnie udanych, a teraz się martwił, że ona sobie nie radzi. Przekształciła się w to, czego nie znosiła: w ofiarę. Trzymając szklankę wody przy piersi niczym talizman, zastanawiała się, gdzie popełniła błąd. Próbowwała zmienić swoje życie i otworzyć się bardziej na przygody, ale okazało się, że nikt nie chciał jej na to pozwolić. Nina i Joe cackali się z nią, jakby była staruszką, której nie można puścić samej na londyńskie ulice, jak więc mogli twierdzić, że nawet się nie stara?

Rozdział dwudziesty pierwszy

Pomimo odważnych słów wypowiedzianych przez Erin na pogrzebie, śmierć Sally wstrząsnęła nią bardziej niż wcześniej sądziła. Taka była zadowolona z planu pracy w The Beauty Spot, że z zapalem opowiedziała o wszystkim Gregowi. Spodziewała się, że żal zostanie ukojony poczuciem tego, że robi coś w dowód pamięci Sally. Jednakże i tak dręczyło ją dotkliwe poczucie straty

- Nie wiem, dlaczego jestem taka rozstrojona. To przecież Steve jest osobą, która cierpi najbardziej - oświadczyła ze smutkiem dzień po pogrzebie, kiedy wyglądało na to, że nie jest w stanie przestać płakać.

- Jest ci smutno, ponieważ odeszła wspaniała kobieta, a ty chciałabyś być twarda jak skała - odparł Greg.

- Sally była taka odważna - rzekła żałośnie Erin. - Pomagając, chciałabym się jej jakoś odpłacić, ale jedyne, co teraz robię, to płaczę.

- Jestem pewny, że bardzo by jej się spodobał twój pomysł. Ale jesteś w szoku, skarbie. I nie zapominaj, że do tego wszystkiego dochodzą jeszcze hormony ciążowe.

- Wiem - zaszlochała. - Miałam zamiar zadzwonić do Steve'a i zapytać, co sądzi o tym, bym pracowała w salonie razem z Ruby ale nie jestem w stanie. Nie chcę przy nim się rozplakać.

- Ja to zrobię - zaproponował Greg. - Będzie miał jeden powód mniej do zmartwień - dodał celnie.

Kiedy Erin była w piątym miesiącu ciąży, zaczął jej dokuczać ból pleców. Greg znalazł dla niej specjalne krzesło na te dni, kiedy pracowała w salonie, zajmując się różnymi sprawami, w tym odbieraniem telefonów, ale Erin z rozbawieniem przyłapała się na tym, że często staje z wygiętymi plecami i dłonią rozciera bolące miejsce, w klasycznej pozycji ciążowej.

- Jak to możliwe, że przez jedno maleńkie, tydzie dziecko tak bardzo bolą mnie plecy? - zapytała Lizzie, kiedy ta wpadła do salonu w porze lunchu pewnego lipcowego dnia, by zapytać Erin, czy miałyby ochotę wyskoczyć z nią na kanapkę. Po powrocie z Londynu Lizzie starała się zapomnieć o wszystkich negatywnych uwagach, które usłyszała z ust Joego i Niny „Ważne jest zachowanie pogody ducha”, postanowiła stanowczo.

- To musi być chłopiec - oświadczyła Ruby, która miała kilka minut przerwy między klientkami. - Tylko facet może zadawać kobiecie tak wiele bólu.

- Ruby! - zaśmiała się Erin. - Jesteś okropna.

- Ona może i ma rację - odezwała się Lizzie. - Strasznie bolał mnie kręgosłup, kiedy spodziewałam się Joego, natomiast w przypadku Debry cała ciąża to była bułka z masłem.

- Widzisz? Mam rację - rzekła Ruby - Mężczyźni oznaczają problemy. Tak zawsze powtarzała moja biedna matka, niech spoczywa w pokoju. Jeszcze się nie urodził facet, który nie skrzywdziłby kochającej go kobiety.

- Bzdury opowiadasz - roześmiała się Erin.

Wprost przepadała za Ruby i dni spędzane w salonie mijały niepostrzeżenie na słuchaniu, jak dzieli się z personelem i klientkami swym wyjątkowym postrzeganiem świata. Ruby miała pięciu starszych braci i historię związków, przy których kłopoty z chłopakami Ally McBeal wydawały się pestką, dzięki czemu jej poglądy na temat mężczyzn były przezabawne. Erin wiedziała, że Ruby oplakuje Sally tak jak wszyscy inni, ale ta dziewczyna posiadała dar rozbawiania ludzi, który w tym akurat czasie stanowił nieocenioną pomoc. Nawet najbardziej posepna klientka opuszczała salon z uśmiechem na ustach dzięki odrobinie magii Ruby.

- Mówię wam tylko to, co wiem - odparła niewzruszona Ruby. - Przysięgam, że bez wahania zostałabym lesbijką, gdybym tylko potrafiła... no wiecie co...

- Co? - zapytała urzeczona Lizzie.

- Nie chcesz tego wiedzieć, Lizzie. - Erin musiała przytrzymać brzuch, kiedy się śmiała. Myśl o tym, że Ruby, która uwielbiała mężczyzn i odziewała swe posągowe ciało w dopasowane ciuchy, by robić na nich wrażenie, mogłaby stać się homo, była zbyt komiczna. - W pierwszym gabinecie nowa pracownica robi właśnie woskowanie bikini i nie chce, by wyrwała zbyt dużo włosów z powodu szoku spowodowanego słuchaniem ciebie, Ruby. Nie jesteśmy ubezpieczeni na wypadek pozwania do sądu za całkowite usunięcie owłosienia.

Tym razem to Ruby chwyciła się pod boki ze śmiechu.

- Jesteś gorsza ode mnie, Erin - zapiszczała, odrzucając do tyłu atramentowoczarne włosy - Jesteś złośliwa!

Erin uśmiechnęła się szeroko.

- Pójdę z tobą na kanapkę, Lizzie, o ile Ruby obieca, że podczas mojej nieobecności nie wypłoszy stąd wszystkich opowieściami o swoim bujnym życiu seksualnym.

- Nie powinno się odrzucać homoseksualizmu, dopóki się tego nie spróbuje. - Ruby była pełna optymizmu. - I plusem jest to, że można sobie nawzajem pożyczać ciuchy.

Erin i Lizzie nadal się uśmiechały, kiedy przeszły przez ulicę w stronę kafejki. A tam napotkały idącą w ich kierunku Abby, z telefonem przyklejonym do ucha i nieobecny spojrzeniem.

Nie była w salonie od czasu pogrzebu. Erin wiedziała o tym, gdyż uważnie sprawdzała zeszyt rezerwacji, by się przekonać, czy lista klientek nie zmalała. Jednak Abby nie wyglądała tak, jakby wydawała grube pieniądze w innym salonie. Jej cera, przyzwyczajona do delikatnych, odżywczych zabiegów Sally, teraz wydawała się zmęczona. Z włosami związanymi w niedbały kok i w czarnym dresie, przy którym jej twarz była pozbawiona koloru, w ogóle nie wyglądała jak olśniewająca kobieta z telewizji.

Dostrzegła Lizzie i Erin przed kafejką, dokładnie w momencie, gdy miały nadzieję, że tak się stanie.

- Och, cześć - rzekła, wyłączając telefon.

- Witaj, Abby - odezwała się ciepło Lizzie. - Dawno się nie widziałyśmy Erin i ja wyskoczyłyśmy na szybką kanapkę. Masz chęć dołączyć do nas?

Erin spodziewała się, że Abby użyje jakiejś wymówki i odmówi, tak się jednak nie stało. Właściwie to wyglądała na wzruszoną i wdzięczną, że ją o to zapytano.

- Z przyjemnością - odparła. - Biegam, załatwiając różne sprawy, i nigdy wtedy nie mam czasu, by coś zjeść.

- Ja zawsze znajduję czas na lunch - rzekła z żalem Lizzie. - I pewnie dlatego ty jesteś szczupła, a ja nie.

Abby rzeczywiście wyglądała niezwykle szczupło, zauważyła Erin, ale sądząc po jej twarzy, nie było to efektem rygorystycznego przestrzegania diety doktora Atkinsa. Z całą pewnością działa się coś niedobrego.

Ona, podobnie jak większość mieszkańców Dunmore, nie miała pojęcia, że Tom się wyprowadził. Abby, bojąc się, że gdy dowie się o tym jedna osoba, wkrótce będzie wiedzieć całe miasto, robiła wszystko, byle tylko udało jej się utrzymać ten fakt w tajemnicy

- Twoja córka niedługo wychodzi za mąż, prawda? - zapytała swobodnym tonem Abby, kiedy już siedziały z kanapkami i pić.

- W następny weekend - odparła Lizzie. - Nie mogę uwierzyć, że ten dzień jest już tak blisko. Planujemy go od, jak by się mogło wydawać, stu lat.

- To będzie coś dużego? - zapytała Erin. Lizzie kiwnęła głową.

- Ogromnego. Włamywacze w Dunmore będą mieli tego dnia używanie, gdyż połowa miasteczka będzie w sobotę szaleć w hotelu.

Po tych słowach poczuła zakłopotanie, ponieważ ani Erin, ani Abby nie znalazły się na liście gości. Prawda była taka, że Debra i Barry nie dali jej szansy, by mogła zaprosić własnych przyjaciół.

Gwen powiedziała jej, co myśli na ten temat.

- Zapłaciłaś za to cholerne wesele - oświadczyła. - I powinnaś móc zaprosić tylu swoich znajomych, ilu tylko masz ochotę.

Widząc zakłopotanie Lizzie, Erin szybko powiedziała, że ona i Abby wcale nie oczekiwały, że otrzymają zaproszenie.

- W co się ubierasz?

- W cytrynową garsonkę. - Lizzie czuła niechęć do niej nawet wtedy, gdy wypowiadała te słowa. - Pewnie będę w niej wyglądać jak wielka cytryna.

- Wcale nie. Powinnaś przyjść rano do Ruby, by cię umalowała - rzekła Erin. - Jest świetna, jeśli chodzi o makijaż na wyjątkowe okazje.

- To dobry pomysł - odparła cicho Lizzie. Wcześniej planowała, że to Sally poprosi o zajęcie się jej twarzą. Sally podzielałaby kojąco na jej przedślubne nerwy i sprawiłaby, że Lizzie dobrze by się czuła we własnej skórze. - Dziwnie się czuję, mówiąc o ślubach i makijażu, kiedy nie ma już Sally - dodała. - Kiedy robię coś zwyczajnego, na przykład zakupy, i złoścuję się, bo nie mogę znaleźć miejsca parkingowego albo coś w tym rodzaju, dociera do mnie, że nie powinnam narzekać, bo przynajmniej nadal tutaj jestem. W przeciwieństwie do Sally.

Erin i Abby zgodnie pokiwały głowami na te słowa.

- Czuję to samo - przyznała Abby. - Jess i ja zajrzałyśmy w zeszły weekend do Steve'a i naprawdę aż żal na niego patrzeć. Tak bardzo się stara dla Jacka i Daniela, ale wygląda, jakby umierał od wewnątrz. To sprawia, że wstyd mi za to, co mam, a czego nie doceniam. - „Czy też co miałam, a nie doceniałam”, dodała w myślach.

Erin nie była już głodna.

- Ja natomiast ciągle myślę o tym - mruknęła - jak można dalej żyć, kiedy straciło się najbliższą osobę.

To było pytanie retoryczne i jej towarzyszki nie próbowały na nie odpowiedzieć.

- Wiecie, co jest naprawdę straszne? - zapytała Lizzie. - To, że trzeba tragedii innej osoby, by docenić to, co się samemu ma. Patrzę na Debrę na przykład, i myślę, jaka ze mnie szczęściara, że mogę być obecna na jej ślubie. Albo myślę o Joem i o tym, że miał astmę, kiedy był młodszy, a teraz jest zdrowy. I że powinnam się cieszyć, że go mam.

„Lizzie jest tak bardzo oddana rodzinie”, pomyślała Abby *Ona* nigdy by nie naraziła na szwank szczęścia swej córki bądź męża poprzez wplątanie się w głupią przygodę. Odsunęła na w pół zjedzoną kanapkę z tuńczykiem.

- Jeszcze kawy? - zapytała.

Piła jej zbyt dużo, ale potrzebowała tego. Nic innego nie dawało jej już energii. Przez większość czasu czuła się wykończona i pełna desperacji zaczęła pić tonik z żelazem, który z kolei źle działał na jej żołądek.

Erin i Lizzie pokręciły głowami, więc Abby zamówiła tylko dla siebie.

Lizzie chętnie powiedziała „tak” jednemu z tłustych, kremowych ciastek, znajdujących się przy ladzie za szybą, ale powzięła postanowienie, że podczas ślubu będzie na tyle szczupła, na ile to możliwe.

Zastanawiała się, czy powinna wspomnieć o pomysle, który chodził jej po głowie, odkąd wróciła z Londynu. Miała wielką ochotę podzielić się nim z Erin i Abby, ale czy nie uznają jej wtedy za szaloną albo czy nie pomyślą, że ma za dużo wolnego czasu? Abby miała swój program w telewizji i była bardzo zajęta, podobnie zresztą jak Erin, która tak bardzo się starała, by w salonie Sally wszystko pozostało bez zmian, nie mówiąc już o tym, że była w ciąży Lizzie chętnie by się dowiedziała, czy Erin zrobiła coś w sprawie nawiązania kontaktu z rodziną, ale nie chciała wydać jej się wścibska.

- Chciałabym, żebyśmy zrobiły coś, z czego Sally byłaby dumna, coś, co sama chętnie by zrobiła. - No proszę, powiedziała to. Lizzie popatrzyła na swoje towarzyszki, by zobaczyć ich reakcję.

Abby mieszała właśnie drugą kawę, a Erin poprawiała się na krześle, próbując przyjąć wygodniejszą pozycję. Lizzie spróbowała ponownie.

- Wyobraźmy sobie, że gdyby zmarła jedna z nas, Sally na pewno zrobiłaby coś, by nas upamiętnić.

Erin kiwała teraz głową, więc ośmielona Lizzie kontynuowała:

- Sally była jedną z najbardziej wyjątkowych osób, jakie znałam. Połączyła nas z sobą i sprawiła, że czuliśmy się częścią czegoś większego. Zasluguje na coś więcej niż to, że użalamy się nad sobą lub nad nią. Nie chciałyby tego.

- To pewne - zgodziła się Erin. - Nie litowała się nad sobą, nawet na samym końcu. Martwiła się jedynie o Steve'a i chłopców, i o to, jak sobie poradzą.

- Nie wiem, jak ona to robiła - rzekła ze smutkiem Abby. - Ja na jej miejscu rozpadłabym się na kawałki.

Pomyślała, że już to zrobiła, a wcale nie usłyszała diagnozy, że ma raka. Nawet pogrążona we własnym nieszczęściu zdumiewała się niesamowitą odwagą umierającej Sally.

- No więc co mogłybyśmy zrobić? Macie jakieś pomysły? - zapytała z entuzjazmem Lizzie.

Przez chwilę ani Abby, ani Erin nie odezwały się ani słowem.

- To świetny pomysł - odezwała się wreszcie Erin. - Ale o czym ty myślałaś?

- To was prosiłam o pomysły, naprawdę - odparła Lizzie. - To wy jesteście kreatywne.

- No cóż, a może zorganizujemy zbiórkę pieniędzy na rzecz walki z rakiem? - zaproponowała nieprzekonująco Abby Akurat w tej chwili czuła się równie kreatywna jak drewniana kłoda.

- Tak - rzekła powoli Lizzie - ale myślałam o czymś bardziej wyjątkowym... Nie wiem, o czym. Zastanówmy się nad tym wszystkie, dobrze?

Zdjęła marynarkę z oparcia krzesła.

- Muszę pędzić z powrotem do pracy

- Ja też - rzekła automatycznie Erin.

- Zastanowicie się nad pomysłami, tak? - zapytała Lizzie, kiedy znalazły się już na zewnątrz.

- Tak - odparły zgodnie Abby i Erin.

Wracając do przychodni, Lizzie pomyślała, że nie uważa siebie za osobę od pomysłów. To ludzie tacy jak Abby i Erin byli kreatywni, ale one akurat nie wydawały się zmotywowane. To ona będzie musiała wymyślić coś, czym można będzie oddać hołd Sally Musiał być jakiś sposób i była pełna determinacji, by go odkryć.

Gdy Abby dotarła do domu, udała się do gabinetu, by wpiąć do segregatora rachunki, które zapłaciła dziś w banku. Wprost nie znośiła segregować tego typu dokumentów. Tom przekomarzał się z nią kiedyś, że fani *Porządków* powinni zobaczyć bałagan, jaki ma na dnie szafki z dokumentami, potężną stertę papierzyk czekających na posegregowanie.

- Ja przynajmniej sama się tym zajmuję - ripostowała wtedy - Nie jestem taka jak inni, za których wszystko robi szkolna sekretarka: tak jest, panie Barton, nie, proszę pana, trzy torby pełne, proszę pana!

- Jesteś zazdrosna o panią Peabody? - zapytał Tom, uśmiechając się szeroko.

- Nie, ale ona jest z całą pewnością zazdrosna o mnie - odparła słodkim tonem Abby.

Szkolna sekretarka durzyła się w Tomie i rumieniła od perłowych kolczyków aż po palce u stóp w każde Boże Narodzenie, kiedy wręczał jej prezent, który wcześniej wybrała Abby podczas pospiesznie dokonywanych zakupów.

Abby uświadomiła sobie teraz, że ona i Tom dobrze się z sobą czuli. Pomimo niedawnych problemów ich małżeństwo można było nazwać udanym. To oczywiste, gdy się patrzyło na nie wstecz. Jednak teraz było już za późno, by do tego wrócić. Prawie w ogóle nie widywała Toma. Wyprowadził się tydzień po pogrzebie Sally i mieszkał teraz z Leo, kolegą z dawnych lat, którego spotkał na pogrzebie. Nastroju Abby nie poprawiała myśl, że miała rację, zakładając, że Leo bardzo chętnie pomoże Tomowi przekształcić się z mężczyzny żonatego w kumpla pozostającego w separacji. Niedawno został w Lyonais na noc, kiedy Abby wyjechała, by kręcić program. Podczas weekendów przyjeżdżał, by się spotkać z Jess, a Abby robiła wtedy zakupy, zostawiając ich samych, ponieważ wiedziała, że Tom nie ma ochoty się z nią widzieć. Próbowwała dowiedzieć się od Jess, co ona czuje odnośnie do tej całej sytuacji, ale jej córka w ogóle nie chciała rozmawiać na ten temat.

- Daj mi spokój, mamó - mówiła ze znużeniem zawsze, gdy Abby próbowała poruszyć tę kwestię.

A Abby pamiętająca siebie sprzed lat - zamkniętą w sobie nastolatkę, cichą, niemającą ochoty rozmawiać o uczuciach - wiedziała, że naciskając na Jess, niczego nie uzyska. Miała nadzieję, że czas zaleczy rany. Zrobi, co tylko będzie potrafiła, by Jess czuła się kochana, i poczeka, aż jej córka do niej przyjdzie. Być może z czasem ona i Jess ponownie staną się sobie bliskie. Być może.

Tego popołudnia nie tylko Abby zastanawiała się nad docenianiem tego, co się miało. Pomimo obecności Ruby zaznajamiającej cały salon ze szczegółami swej ostatniej randki w ciemno Erin myślami wracała do Sally i stwierdzenia Lizzie, że potrzeba tragedii, by ludzie dostrzegli, co w życiu jest ważne. Miała rację.

Śmierć Sally jeszcze bardziej zbliżyła do siebie Erin i Grega, o ile to w ogóle możliwe, a teraz, kiedy czuła w sobie ruchy dziecka, Erin była jeszcze bardziej świadoma kruchości ludzkiego życia i tego, jak bardzo jest ono cenne. Mimo tej świadomości tak naprawdę niczego jeszcze nie zrobiła. Przytulała Grega mocniej niż zazwyczaj, kiedy rankiem wyjeżdżał do pracy, wiedząc, że może go jej odebrać zwykły wypadek. Jednak pomimo wcześniejszych słów nie próbowała do tej pory odnaleźć swojej rodziny

- Wszystko w porządku, Erin? - zapytała z troską Ruby. - Wyglądasz na wykończoną.

- Nic mi nie jest - odparła. - Naprawdę.

Greg miał dzisiaj wrócić później niż zwykle. Mogłaby więc zabrać się za swoją detektywistyczną pracę. To przecież niemożliwe, by cała rodzina zniknęła bez śladu. Z całą pewnością mieszkali gdzieś w Irlandii i ona miała zamiar ich odnaleźć.

Rozdział dwudziesty drugi

Lizzie siedziała na skraju łóżka Debry i przyglądała się, jak jej córka podziwia w lustrze ślubną suknię. Pomimo że Debra była niezadowolona z koloru i kształtu maleńkich guzików na plecach, suknia wydawała się olśniewająca: z białego jedwabiu, taka jakie nosiły królowy z bajki, z rozłożystą spódnicą i gorsetem, pięknie odsłaniającym delikatnie opalone ramiona jej córki. Debra włosy miała ułożone w pomysłowe pukle, a koronkowy welon doczepiony był do stroiku z białych róż.

Zawsze mówiła, że w dniu swego ślubu chce wyglądać jak królowa i tak właśnie było.

- Będzie dobrze, mamo, prawda? - zapytała drżącym głosem, odwracając się od lustra, a na jej twarzy po raz pierwszy tego dnia pojawił się niepokój.

Lizzie odsunęła na bok złe przeczucia co do pobierających się dwudziestotrzylatków.

- Oczywiście, że będzie dobrze, skarbie. Będzie cudownie. Barry to wyjątkowy mężczyzna i uwielbia cię. To najlepszy z możliwych fundamentów małżeństwa.

Podala córce chusteczkę, by przypadkiem łzy nie popłynęły z jej oczu i nie rozprawiły się bezlitośnie z tak pieczołowicie nakładanym tuszem do rzęs.

- Wiem, ja tylko... - Debra gmerała chusteczką przy oczach. - A jeśli popełniamy błąd?

Lizzie nie musiała studiować psychologii, by dokończyć zdanie córki. A jeśli popełniamy błąd, *tak jak ty i tata?*

W głębi duszy miała ochotę powiedzieć, że nikt nigdy nie ma pewności co do tego, co przyniesie życie, i że nie ma żadnej gwarancji. Wystarczy spojrzeć na biednego Steve'a Richardsona. Jednak już jako dziecko Debra widziała świat w czarno-białych barwach. Dla niej nie istniały żadne szarości. Powiedzenie jej, że mogłaby się uczyć na błędach rodziców, nie sprawiłoby, że Debra pojawiłaby się w kościele z uśmiechem na twarzy

- Nie popełniacie błędu - rzekła więc łagodnie Lizzie, ujmując dłonie córki. - To będzie cudowny, wyjątkowy dzień i poślubiasz cudownego, wyjątkowego mężczyznę. Mam tylko nadzieję, że zdaje sobie sprawę z tego, jaką nagrodę udało mu się wygrać.

- Och, mamo. - Nie przejmując się tym, że może pognieść delikatne róże z jedwabiu na spódnicy, Debra usiadła na łóżku i przytuliła się do matki. - Dziękuję ci. Dziękuję za wszystko.

I wtedy właśnie Lizzie poczuła, że każda chwila zmartwień związanych z tym ślubem była tego warta. Debra zaśługiwała na wspaniały dzień i taki właśnie będzie.

Zabrział głośno dzwonek.

- Tata przyjechał! - zawołał z dołu Joe, który częstował wszystkich herbatą i ciastkami, ponieważ jeszcze dużo czasu miało minąć, nim będą się raczyć przystawkami w postaci krewetek filo (z parmezanem) i babeczkami z grzybami dla wegetarian.

- Jest za dziesięć drugą, powinniśmy niedługo wychodzić - dodała Nina z sypialni Lizzie, gdzie poprawiała sobie ubranie.

- Tak - zgodziła się Lizzie.

Jako że ślub miał się odbyć o drugiej piętnaście, pozostało im kilka minut na dokończenie herbaty, a potem czekała ich pięciominutowa przejażdżka do kościoła.

Lizzie pogładziła delikatnie policzek panny młodej, starając się zapamiętać tę chwilę na zawsze.

- Wyglądasz pięknie, Debro. Jestem z ciebie dzisiaj taka dumna.

- Dziękuję za wszystko, mamo - rzekła Debra. - Masz rację, to najbardziej wyjątkowy dzień w moim życiu.

Lizzie poczuła ściskanie w gardle. Tak bardzo kochała Debrę. Ta matczyna miłość była prawdziwą miłością życia, wiedziała o tym, nie ta inna, ta, która łączyła mężczyzn i kobiety. W przypadku dzieci nigdy nie następował jej koniec. Ani nie było strachu. Przytulając Debrę, Lizzie modliła się w duchu, by nic ani nikt nie skrzywdził jej córki ani nie odebrał jej niewinnej nadziei z dnia ślubu.

- Tata! - zapiszczała z podekscytowaniem Debra ponad ramieniem matki, kiedy zobaczyła, jak drzwi otwierają się i pojawia się w nich ojciec.

- Nie przeszkadzam? - zapytał Myles.

- Nie. - Lizzie wstała z łóżka i obdarzyła byłego męża powściągliwym uśmiechem. Przysięgła sobie wcześniej, że nie pozwoli, by jej własne problemy zniszczyły dzień ślubu Debry bądź jej stosunki z Mylesem. - Właśnie schodziłam na dół, by przed wyjazdem napić się szybko herbaty. Nie mamy zbyt wiele czasu - dodała.

- Wiem - odparł Myles. - Nie chciałem zjawić się zbyt wcześnie na wypadek, gdybym nie był tu mile widziany z powodu... no wiesz...

Tym razem uśmiech Lizzie był szczery.

- Nie bądź głupi - rzekła. - Zawsze będziesz tutaj mile widziany. - I to była prawda. Jaki był sens odmrożenia sobie uszu na złość babci? Relacje pomiędzy nią a Mylesem były zbyt dobre, by je zaprzepaścić tylko dlatego, że on rozpoczął nowy etap życia, podczas gdy ona nie. - Czy Sabine zjawi się na przyjęciu? - dodała, starając się, by zabrzmiało to swobodnie, a nie jak coś, nad czym zastanawiała się przez wiele nocy

- Jeśli nadal nie masz nic przeciwko temu.

- Nie mam - odparła stanowczo Lizzie. *Carpe diem.*

- Tatusiu, jak ci się podoba moja suknia? - Debra, zniecierpliwiona, że nie zwrócił na to uwagi, wstała z łóżka i zaprezentowała się niczym modelka, rozkładając na boki warstwy spódnicy.

Myles dotknął ramienia Lizzie, po czym odwrócił się do Debry

- Zapiera mi dech w piersiach - oświadczył. - Wyglądasz przepięknie.

- Och, tatusiu! - zawołała Debra.

Lizzie zostawiła ich samych. Nina zdążyła już zejść na dół, więc miała dla siebie teraz kilka minut prywatności, by przypudrować twarz, umalowaną pięknie przez Ruby, oraz poprawić włosy, tak by niesforne kosmyki nie odstawały zbyt od reszty. Fryzjerka próbowała poskromić jej niesforne loki i przez ten cały lakier Lizzie czuła się teraz tak, jakby miała na głowie jakąś rzeźbę. Cytrynowa garsonka była jaskrawa, ale uznała, że teraz jest już za późno, by cokolwiek z tym zrobić. Wzięła torebkę i zeszła na dół, gotowa do wyjścia.

- Usiądź, Bradley, i przestań się kręcić!

Kobieta w fioletowym, pierzastym kapeluszu i z hiperaktywnym dzieckiem najwyraźniej sądziła, że powiedziała to szeptem, ale Lizzie była pewna, że słyszał ją cały kościół. Oprócz Bradleya. Niezmiennie wydawał z siebie dźwięki „wrum, wrum”, jeżdżąc z hałasem samochodzikami po ławce po stronie rodziny pana młodego.

Na galerii organista ćwiczył cicho pieśni z chórem. Ludzie nadal się pojawiali, przyzwyczajeni do tego, że państwo młodzi się spóźniają, i przez wzgląd na miejsce starali się ograniczyć do minimum wzajemne powitania.

- Witaaaj, uroczo wyglądasz - co rusz było słychać sceniczny szept. Albo: - Śliczna suknia!

W pierwszej ławce siedziały Gwen i Lizzie, przytłoczona wielkością kapelusza siostry, kupionego z radością w Neapolu za szokująco niewielką kwotę 5,50 funta.

- Kapelusze matki Barry'ego nie jest w stanie przebić mojego - oświadczyła z zachwytem Gwen, kiedy wcześniej pokazała go Lizzie, chwając się jednocześnie jego ceną.

- To przecież nie jest konkurs między dwiema rodzinami - rzekła ze zdumieniem Lizzie.

- Ależ tak - odparowała Gwen.

A potem organista zaczął grać i wszyscy wstali. Lizzie nie wiedziała jak to możliwe, że zgromadzeni w kościele ludzie nie zaczęli od razu płakać. Gdy przyglądała się, jak Debra płynie przez nawę, dumnie prowadzona przez Mylesa, w jej gardle powstała gęstwa wielkości ropuchy.

Gwen ujęła dłoń siostry i ścisnęła ją mocno.

- Jest piękna, skarbie.

Ceremonia przebiegała gładko i Lizzie przyglądała się, jak jej córka formalnie odrywa się od dotychczasowej rodziny i tworzy nowy związek z Barrym. Miała poczucie straty, ale jednocześnie czuła, że ciężar odpowiedzialności został częściowo zdjęty z jej ramion. Jej dzieci były dorosłe. Zawsze będą jej dziećmi i zawsze będzie chciała je chronić, ale nastąpiła subtelna zmiana. To już nie ją jako pierwszą będą pytać o radę. Nie była już najważniejszą osobą w ich życiu, tak jak to miało miejsce przez wiele lat. Joe miał swoje życie w Londynie z Niną, Debra zaś rozpoczęła właśnie nowe życie z Barrym. Nadszedł czas, by Lizzie delikatnie puściła lejce.

Przy ołtarzu, wyglądając niczym królowa, tak jak to sobie wcześniej wymarzyła, Debra zachichotała z zażenowaniem, kiedy zająknęła się podczas przysięgi małżeńskiej, a wszyscy goście uśmiechnęli się z czułością do młodej pary

- Przepraszam - rzekła Debra do cierpliwego księdza, który w przeszłości miał do czynienia z tak wieloma mdlejącymi pannami młodymi, że zwykle pomylenie słów to była bułka z masłem. - Nerwy.

- To ja się denerwuję - powiedział szeptem Barry, tak że tylko pierwsze dwie ławki go usłyszały. Siedzący w nich goście zaśmiali się, a reszta zaczęła szeptać głośno: „Co on powiedział?“, nie chcąc stracić ani chwili akcji.

Kiedy wszystko się uspokoiło, ksiądz oświadczył pogodnie, że poczucie humoru stanowi ważną część małżeństwa i że ta urocza para najwyraźniej potrafi się z siebie śmiać, po czym kontynuował ceremonię. W głowie Lizzie pojawiło się wspomnienie chrztu Debry, prawie dwadzieścia cztery lata temu w tym samym kościele. Debra gaworzyła słodko podczas całej ceremonii i wtedy także rozśmieszała obecnych w kościele gości.

Ze wzrokiem utkwionym w młodej parze Lizzie zaczęła szukać w torebce chusteczki. Miała więcej pewności siebie, kiedy była matką małego dziecka, a nie panny młodej. Żoną i matką była od tak dawna, że trudno jej się było przyzwyczaić do czegoś innego. Jednak być może dlatego tak mocno trzymała się przeszłości i swojej w niej roli, ponieważ jak na razie nie odnalazła swej roli w przyszłości.

Przysięgła sobie, że to się zmieni. W tym poświęconym miejscu obiecała sobie solennie, że to się zmieni.

Przyjęcie okazało się niezwykle udane. Nikt nie kręcił nosem na sposób rozsądzenia gości, a przemowy były zabawne i krótkie. Nawet druzbie - mistrzowi w popelnianiu gaf - udało się nie obrazić zbyt wielu ludzi. Tort, trzy eleganckie piętka ozdobione setkami ręcznie robionych kwiatków, wywołał u gości westchnienia zachwytu, a gdy uśmiechnęta promiennie panna młoda i jej mąż zaczęli go kroić, niejedna osoba musiała sięgnąć po chusteczkę, by wytrzeć oczy.

Zarówno Lizzie, jak i Myles heroicznie starali się dla Debry wyglądać tak, jakby nawzajem się uwielbiali, mimo że są rozwiedzeni. Zgodnie z zasadami etykiety siedzieli osobno, Lizzie obok taty Barry'ego, Stana, a Myles obok mamy Barry'ego, Flossie. Ale uśmiechali się do siebie ponad szerokim stołem, niesamowicie zadowoleni, że tak ważny dla ich córki dzień przebiega bez zakłóceń. „Warto było zaciskać pasa i oszczędzać“, uznała Lizzie, gdy rozglądała się po przyozdobionej kwiatami sali i widziała, że goście naprawdę dobrze się bawią.

- Matka panny młodej trzyma się nieźle - orzekła Gwen, kiedy przypudrowywała nos, co było jej jedynym ustępstwem na rzecz tego, co nazywała „użeraniem się z kosmetykami“. Obiad dobiegł właśnie końca i goście wykorzystywali przerwę w przyjęciu, żeby poprawić makijaż bądź przejść się kawalek, by spalić te wszystkie kalorie.

- To prawda - przyznała Lizzie, myśląc po raz enty tego dnia, że cytrynowy nie jest jej kolorem i kropka. Jednak kto na nią patrzył? To Debra była dzisiaj gwiazdą, a przekonawszy się, że matka panny młodej jest ubrana odpowiednio statecznie, by nie przyćmić swej córki, tak jak się to czasem zdarzało, nikogo tak naprawdę nie interesowało, jak ona wygląda.

- No a kapelusz matki Barry'ego... - zaczęła Gwen, zerkając pod drzwi kabiny, by się upewnić, że są same w toalecie - o wszyscy święci, tego, kto jej go sprzedał, powinno się powiesić. Woalka w czerwone kropki, dobre sobie. Wygląda jakby przechodziła ciężką odmianę odry

- Gwen!

- No bo to prawda. Ty wyglądasz o niebo lepiej.

- Jesteś bardzo lojalna, ale niestety żółty to nie mój kolor.

- A czerwone kropki to jej deseń? - prychnęła Gwen i zabrała się za poprawianie fryzury, zmuszonej do posłuszeństwa połową lakieru do włosów, rozpylonego hojną ręką Maurice'a, artysty specjalizującego się w płukankach nadających siwym włosom odcień niebieskawy i nestora Chez Maurice. - Nie mogę się doczekać tańców. Wiesz, Shayowi naprawdę spodobało się to na „Śródziemnomorskiej Gwieździe”. Mieliśmy specjalne zajęcia pewnego dnia, kiedy pogoda była kiepska. - Gwen niezmiennie lubiła wracać wspomnieniami do wakacji swego życia.

Lizzie natychmiast oderwała się od nakładania koralowej szminki. Był to jedyny kolor, który nie wyglądał zbyt koszmarnie przy jej cytrynowej garsonce.

- Shay i taniec?

- Wiem. Cuda się jednak zdarzają. Polubił to. Kiedy tańczymy, przestaje nawet uskarżać się na biodro.

Kiedy Gwen i Lizzie pojawiły się z powrotem na sali balowej, zespół grający przeboje Abby stroił właśnie instrumenty. Odziana w obcisły srebrny kombinezon kobieta o apetycznie zaokrąglonych kształtach, sobowtór Agnethy, ustawiała mikrofon na odpowiedniej wysokości i mierzyła wzrokiem weselnym przystojniaków, którzy odpowiadali jej tym samym.

Sala balowa wypełniała się ludźmi zaproszonymi na tę właśnie część przyjęcia. Dosiadali się do znajomych, rozlokowanych przy okrągłych stołach, z których zdążono już uprzątnąć pozostałości po obiedzie. Siedząca przy głównym stole Lizzie podслуchała, jak Barry i jego ojciec dyskutują na temat etykiety obowiązującej podczas pierwszego tańca.

- Teraz ty tańczysz z Lizzie - przypominał ojcu półgłosem - a mama tańczy z Mylesem, a Tony z Sharon, ale kiedy skończy się piosenka, nie proś mamy do tańca, chyba że zobaczysz, że Myles i Lizzie mają zamiar z sobą zatańczyć. A z Debs zatańczysz wtedy, kiedy skończy z nią tańczyć jej ojciec, okej? Mam tylko nadzieję, że Lizzie zatańczy z Mylesem. Zaprosił swoją nową dziewczynę i kto wie, co się stanie, kiedy Lizzie ją zobaczy. Uważam, że Debra była szalona, zapraszając ją, i choć Lizzie twierdzi, że nie ma nic przeciwko temu, mam wątpliwości. Wiesz, co wstępuje w kobiety na weselach. Na pewno rozpęta się wojna.

„O rany”, pomyślała Lizzie. Tak bardzo się starała być spokojna i opanowana, a ludzie i tak spodziewali się, że zaatakuje Mylesa nożem do krojenia tortu. Jej były mąż wrócił z baru z wyrazem udręczenia na twarzy i usiadł przy stole. Lizzie zajęła wolne miejsce obok niego.

- Wydaje mi się, że biedny Barry martwi się, iż pozabijamy się nawzajem na parkiecie.

- Obawia się pewnie tego, że nie pochwalasz zaproszenia Sabine - odparł Myles, a w jego oczach widać było ten sam niepokój, co w spojrzeniu jego nowego zięcia.

- Jest już tutaj?

Myles wyglądał jak zając oświetlony reflektorami nadjeżdżającego samochodu, co stanowiło potwierdzenie, którego potrzebowała Lizzie.

- Przedstaw mnie jej i miejmy to już za sobą.

- Przedstawić ciebie?

- Chyba że wolisz, byśmy unikały się przez cały wieczór. Zróbmy więc to.

Wzięcie byka za rogi było najlepszym rozwiązaniem, uznała Lizzie, przechodząc z sali do hotelowego baru, w którym Myles kazał Sabine poczekać, nim oceni, czy może już pojawić się na przyjęciu.

- Wcale nie chciała tutaj przyjść - rzekł. - Uważała, że lepiej by było, gdyby tego nie zrobiła, ponieważ to twój dzień... i nie chcieliśmy cię denerwować.

- Och, Myles, to dzień Debry Ty i ja jesteśmy rozwiedzeni. Trochę niemądrze byłoby się tym teraz denerwować - odparła Lizzie. I co najważniejsze, czuła się tak, jakby prawie mówiła prawdę. Przeboleła już Mylesa. Żywnie urazy z powodu tego, że on miał kogoś nowego, a ona nie, było zupełnie inną kwestią i nie pasowało kobiecie w kwiecie wieku, która postanowiła nie marnować ani chwili dłużej na uzalanie się nad sobą - *Carpe diem* - wyszeptala cicho.

Sabine siedziała na niewielkiej kanapie i Lizzie omiotła ją szybkim spojrzeniem. Zdecydowanie nie wyglądała na imprezowiczkę: ubrana w skromną granatową garsonkę, była blada i szczupła, miała jasne, harmonizujące z jej cerą włosy, piegi i jasne rzęsy. Zgodnie z tym, co wcześniej mówiła Debra, nie należała do miłośniczek makijażu i tylko na ustach było widać pozostałości błyszczyku.

Czytała właśnie książkę, a przed nią stał nietknięty kieliszek wina. Lizzie uśmiechnęła się na myśl, że gdyby to ona udawała się na przyjęcie weselne, gdzie żadna zemsta była żoną miałaby dostęp do ostrych narzędzi, z pewnością jednym haustem wychyliłaby wino i wołała o następny kieliszek.

- Sabine, to jest Lizzie - odezwał się Myles.

- Witaj - rzekła pogodnie Lizzie. - Miło cię poznać. Ale nie możesz tutaj siedzieć. Niedługo zespół zacznie grać i powinnaś zobaczyć pierwszy taniec. Jest przecież wyjątkowy.

Na niemal przezroczystej twarzy Sabine malowało się zdumienie. Nie brakowało jej jednak odwagi.

- Ciebie też miło poznać, Elizabeth - rzekła. - Pomyślałam, że zostanę tutaj, ponieważ, jeśli mam być szczerą, nie chciałam cię denerwować. Śluby to bardzo emocjonalne okazje i nie chciałam wywoływać żadnej sceny

- Po pierwsze, nazywaj mnie Lizzie, a po drugie, wcale mnie nie denerwujesz - odparła zgodnie z prawdą. - Choć z całą pewnością dostarczymy Dunmore tematów do plotek na kolejnych dziesięć lat, jeśli wrócimy teraz na salę razem, co wydaje mi się całkiem dobrym pomysłem.

Sabine wybuchnęła na te słowa śmiechem, a po chwili dołączył do niej Myles.

- Udany dzień? - Sabine z wahaniem nawiązała normalną weselną rozmowę.

- Bardzo. Pogoda jest fantastyczna. Debra wygląda cudownie, a w przemowie druzby nie pojawiły się żadne żenujące uwagi.

- Znalazł się na granicy nieprzyzwoitości, kiedy zażartował sobie na temat tego, co się działo na wieczorze panieńskim Debry - stwierdził Myles, wchodząc w rolę oburzonego ojca.

- To był tylko dowcip - rzekła Lizzie, myśląc o tym, co druzba mógłby rzeczywiście powiedzieć, gdyby dano mu zupełnie wolną rękę. - Chippendalesi już od lat tutaj nie występowali, wszyscy o tym wiedzą.

- Mamo, tato... - pannie młodej, która stanęła przed nimi, słowa zamarły na ustach, gdy ujrzała, że w barze znajdują się we troje i nie ma śladu krwi.

- Kochanie, właśnie poznałam Sabine i mówię jej, że nie może przegapić pierwszego tańca. - Lizzie wstała, uśmiechnęła się do Mylesa i Sabine, po czym ujęła Debrę pod ramię. - Jesteśmy wszyscy gotowi?

- Eee... tak - odparła jej córka.

- Tak - rzekła Sabine, podnosząc się i posyłając Lizzie spojrzenie pełne wdzięczności.

Kiedy ich czwórka udała się z powrotem na salę balową, Lizzie ogarnęło uczucie triumfu. Czuli się silni, wolni i pełni mocy. Nie tylko stanęła twarzą w twarz ze swymi demonami, ale zachowując się jak osoba dorosła na weselu córki, dała jej tym samym najlepszy ślubny prezent.

Do swej listy „Rzeczy do zrobienia, nim stuknie ci pięćdziesiątka”, jak ją nazwała na własny użytek, Lizzie dodała kolejny punkt: „Kiedy twój były przyprowadzi na wesele waszej córki swoją nową partnerkę, powitaj ją z godnością i stylem”. Żadna trzydziestolatka nie mogłaby powiedzieć, że zrobiła coś takiego.

Rozdział dwudziesty trzeci

Do końca lipca niemal skończono kręcenie trzeciej serii *Porządków* i Abby była z tego powodu niezwykle zadowolona. Plan był bardzo napięty, by zdążyć z montażem przed emisją pierwszego odcinka pod koniec sierpnia. Abby często musiała przebywać poza domem, a podczas jej nieobecności Jess opiekował się Tomem.

Niczym ciemna chmura nad głową Abby wisiała świadomość, że wkrótce będą musieli stawić czoło finansowym skutkom ich separacji. Trzeba będzie sprzedać Lyonnais, tak by każde z nich mogło sobie kupić coś mniejszego.

Dziwne, ale Abby odkryła, że niezbyt przejmuje się perspektywą sprzedaży swego wymarzonego domu. Nie był on aż tak ważny, jak w to wcześniej wierzyła. Ważną jego część stanowiła zamieszkująca go rodzina, a kiedy się rozpadła, przestał mieć znaczenie. Cegły i zaprawa murarska nie tworzyły ogniska domowego, a ona ochoczo znalazłaby się z powrotem na Gartland Avenue, obok hałaśliwych sąsiadów, gdyby w ten sposób dało się uratować małżeństwo jej i Toma.

Harmonogram kręcenia *Porządków* był wyczerpujący, natomiast praca z bliźniaczkami wcale nie. Pomimo wcześniejszych obaw Abby przekonała się, że lubi dzielić czas ekranowy z innymi prezenterkami, zwłaszcza takimi, dla których z pewnością wymyślono określenie *joie de vivre*. Wesoło było z nimi i ona, i bliźniaczki stały się przedziwnymi sojuszniczkami. Mitzi i Linzi były bystre i chętnie uczyły się wszystkiego na temat telewizji, doceniając zarówno mądrość Abby, jak i jej wrodzoną uprzejmość. Na samym początku oświadczyła im, że pracowała tylko przy jednym programie telewizyjnym i nie sądzi, by była odpowiednią osobą, od której mogą się uczyć, ale Linzi zaprotestowała.

- Przed kamerą zachowujesz się naturalnie, Abby - rzekła. - I nauczyłaś się tego w taki sposób, jak i my musimy to zrobić: po prostu to robiąc.

- Tak, przed nami jeszcze dużo nauki - dodała Mitzi. Abby potrafiła je teraz rozróżnić bez żadnego problemu.

Linzi była poważniejsza niż siostra, gdy tymczasem Mitzi nie potrafiła zbyt długo mówić, nie uśmiechając się przy tym. Obie cechowało poczucie humoru i przyjemnie się przebywało w ich towarzystwie. Żadna z nich nie przepadała za Roxie, choć były na tyle sprytnie, by ukryć ten fakt.

- Nie rozumiem, dlaczego Roxie cię nie lubi? - zapytała Linzi.

Abby wzruszyła ramionami. Opinia, jaką miała na jej temat Roxie, w ogólnym rozrachunku naprawdę nie miała znaczenia.

- Nie wiem i nie obchodzi mnie to.

- Ona jest niebezpieczna - ostrzegła Mitzi.

- Ja też - odparła szelmowsko Abby

Chowała asa w rękawie, a to wszystko dzięki Selinie, łebskiej kierownicze promocji z Beech...

- Wiem, że zawsze uważałaś, iż sama potrafisz kierować swoją karierą - rzekła Selina pewnego dnia, kiedy miały kilka chwil dla siebie - ale już tak nie jest, skarbie. Nie jesteś gospodynią domową z raczkującym programem telewizyjnym. Jesteś gwiazdą telewizji i czas, byś znalazła sobie agenta.

Kiedy Abby znalazła się w tej branży, niezbyt chętnie nastawiona była do pomysłu posiadania agenta, zakładając, że sama będzie w stanie kierować karierą. Poza tym kojarzyło jej się to z gwiazdą, która nie odbierała telefonu, dopóki nie skonsultowała tego ze swym agentem. Już to sobie wyobrażała. „Kochanie, muszę zadzwonić do mojego agenta! Zamów nam w tym czasie szampana, dobrze?”.

Nie, Abby nie chciała stać się osobą tego pokroju, więc w ciągu dwóch lat pracy przy *Porządkach* umowy konsultowała ze znajomym prawnikiem Tomą.

Powiedziała to Selinie, która w odpowiedzi uniosła idealnie wyregulowane brwi.

- To naiwne - stwierdziła stanowczo. - Gdybyś miała agenta, Roxie nie mogłaby tobą tak poniewierać, kiedy zatrudniła bliźniaczki.

- Ale ja lubię bliźniaczki - zaprotestowała Abby.

- Wiem, skarbie. - Selina była tym faktem niezwykle zdumiona, ponieważ większość gwiazd jej formatu dostawała by napadu furii na wieść o tym, że bez jej zgody dodano do programu dwie młode piękności.

No ale przecież Abby nie była taka jak większość gwiazd. Nie udawała osoby praktycznej, kiedy stawała przed kamerą: ona po prostu taka była. Jednakże charyzma przyjacielskiej dziewczyny z sąsiedztwa niewątpliwie ucierpiała z powodu jej rozstania z Tomem, pomyślała Selina. Abby nie puściła na ten temat pary z ust, ale nie darmo Selina siedziała w tej branży od dwudziestu dziewięciu lat. Wiedziała, że Tom się wyprowadził i że wkrótce zwącha to także i prasa. O tym także musiała porozmawiać z biedną Abby, ale może innym razem.

- Nie chodzi o to, że lubisz bliźniaczki - oświadczyła, tym razem nieco łagodniej. - Potrzebujesz więcej władzy, a jesteś zbyt grzeczna, by ją sobie wywalczyć. Mam kogoś, kto będzie dla ciebie idealny Mike Horowitz.

- To przecież fantastyczny agent - rzekła z respektem Abby Mike Horowitz reprezentował największe telewizyjne sławy i nie mieściło jej się w głowie, że mógłby się zainteresować także i nią.

- Mike i ja znamy się od dawna - wyjaśniła Selina. Właściwie to od bardzo, bardzo dawna, ale tego akurat nie miała zamiaru mówić. Od jakiegoś czasu przyznawała się do czterdziestu pięciu lat. Botox w cudowny sposób powstrzymywał upływ czasu.

- Raz czy dwa pytał mnie o ciebie, ale wiedziałam, że nie jesteś zainteresowana. Teraz musisz o tym pomyśleć. - Selina wiedziała, że jako pracownica Beech powinna być lojalna wobec firmy, ale lubiła Abby i nie chciała patrzeć, jak daje się wykołować komuś tak przebiegłemu jak Roxie. Postanowiła, że powie jej o wszystkim. - Nie ma nic, co mogłoby powstrzymać Beech przed zwolnieniem ciebie i kręceniem kolejnych serii już tylko z bliźniaczkami - oświadczyła. - Są tańsze i związane umowami na następne dwa lata, by występować w takim programie, jaki przyjdzie Brianowi do głowy, nie wspominając o tym, że to oznacza, iż muszą się pojawiać na każdej imprezie promocyjnej, jeśli tylko Brian, czy też Roxie, jeśli chodzi o ścisłość, uznają ich obecność za pomocną.

Abby wpatrywała się w Selinę ze zdumieniem.

- Nie zwolniliby mnie.

- Mogliby to zrobić - powtórzyła Selina. - O tym właśnie mówię. Program odnosi obecnie sukcesy, ale jeśli wskaźniki oglądalności spadną, mogą chcieć go zupełnie przerobić i nie będzie w nim już miejsca dla ciebie. Potrzebujesz kogoś, kto dopilnuje twoich interesów. Mike jest doskonałym agentem, a poza tym jest uczciwy, bezpośredni i przyzwoity, a to naprawdę rzadkość w tej profesji. Polubisz go. Mam taką nadzieję.

Umówiła ją na spotkanie z Mike'em Horowitzem w jego dublińskim biurze w dniu, kiedy Abby miała akurat zdjęcia w stolicy.

Tom pojawił się z dobrze jej znaną torbą z rzeczami na noc w chwili, gdy wychodziła rankiem z domu, by udać się na lotnisko.

- Cześć - odezwała się.

- Witaj - odparł krótko i wszedł do środka.

Abby westchnęła i włożyła walizkę do jeepa, po raz kolejny uświadamiając sobie, jak wielka przepaść utworzyła się w jej życiu od czasu ich separacji. Kiedyś ona i Tom rozmawialiby o tym spotkaniu z Mike'em Horowitzem. Oskarżyła Toma, że nie interesuje się jej karierą, ale to niezupełnie było prawdą. Może i nie był w stanie poradzić sobie ze zmianami, jakie jej sukces wniósł do ich związku, ale wspierał ją na tyle, że gdyby wszystko było jak dawniej, na pewno udałby się na to spotkanie z agentem razem z nią. Gdyby tylko ona i Tom potrafili kiedyś przewyciężyć dzielące ich różnice. Gdyby bardziej się starali zrozumieć siebie nawzajem. Wtedy bardzo by chciała, by leciał dzisiaj razem z nią.

Biuro Mike'a Horowitza mieściło się w luksusowym szklanym biurówcu w modnej dzielnicy portowej. „Bycie odnoszącym sukcesy agentem telewizyjnym musi być intratnym zajęciem”, pomyślała Abby, kiedy została wprowadzona do wielkiego gabinetu z oknami od podłogi do sufitu na obu ścianach. Mike nie był pykającym cygarem potentatem w białym garniturze, którego spodziewała się ujrzeć, lecz wysokim, swobodnie ubranym mężczyzną, ogolonym na łyso. Trudno było oszacować jego wiek, mógł mieć od czterdziestu do sześćdziesięciu lat. Nie wyglądał jak ktoś, kto ulegałby kaprysom gwiazd. Tak naprawdę przypominał nieco kierownika banku Abby. Miał takie samo zamysłone spojrzenie. I nigdzie nie było widać butelki Bollingera.

- Miło cię wreszcie poznać - rzekł Mike, ściskając jej dłoń i pokazując gestem na bardzo wygodny fotel, stojący obok jednego z wielkich okien. Usiadł naprzeciwko, po drugiej stronie niskiego stolika. - Z zainteresowaniem przyglądam się twojej karierze.

- Ma tendencję wzrostową czy spadkową? - zapytała Abby ze śmiertelnie poważną miną.

Jej żart przełamał lody i wkrótce rozmawiali z ożywieniem o Beech, *Porządkach* i o tym, co dla Abby mogła przynieść przyszłość.

Kiedy rozmawiali, uświadomiła sobie, że Selina miała rację i Mike był dokładnie taką osobą, która potrafiłaby pokierować jej karierą. Wcześniej planowała, że będzie chłodna i pełna rezerwy, ale teraz, kiedy go poznała, rozbroił ją jego bezpośredni styl bycia.

Wyjaśnił jej, że większość najslawniejszych gwiazd telewizji osiągnęła sukces dlatego, że wiedziała, kiedy ruszyć do przodu lub w innym kierunku.

- Uważam, że w Beech mają bardzo jednowymiarowe podejście do twojej kariery i nie uświadamiają sobie, jak wielki drzemie w tobie potencjał. Jeśli mam być szczery, to nie widzę cię w *Porządkach* na zawsze - przyznał otwarcie.

- Ale to właśnie potrafię - zaprotestowała Abby

- To prawda, ale tylko na jednym poziomie - odparł. - Mogłabyś czerpać dodatkowe korzyści ze swojej kariery dzięki książkom i specjalnym programom telewizyjnym o porządkowaniu, ale *Porządki* odniosły tak wielki sukces właśnie dzięki tobie. Jesteś przed kamerą ciepła i przyjacielska, i to twoja WCM. Wyjątkowa cecha marketingowa - dodał. - Widać by to było bez względu na to, w jakim programie byś występowała, i jeśli mam być szczery, to uważam, że byłabyś fantastyczna w talk-show.

- Nie żartuj sobie - odparła Abby. - Nie potrafiłabym.

Mike wzruszył ramionami.

- Potrafiłabyś. Powinnaś bardziej w siebie wierzyć, Abby. Tylko dlatego, że w Beech nie dostrzegają twoich umiejętności, gdyż oszaleli na punkcie kultu młodości, nie znaczy wcale, że wszyscy będą zachowywać się tak samo. Ale to dopiero przyszłość. Teraz natomiast musisz udać się do domu i zastanowić, czy chcesz mnie w roli swego agenta.

Abby, która nie planowała wcześniej podejmowania jakichkolwiek decyzji, teraz zmieniła zdanie.

- Nie muszę się nad tym zastanawiać. Chciałabym, żebyś się zajął moją karierą.

- Nie, pomyśl o tym - poradził jej Mike. - Nigdy nie podejmuj szybko decyzji: to moja pierwsza zawodowa rada.

- Nie robię tego - odparła Abby. - Ale chcę, byś mnie reprezentował. Okej?

- Okej. Witaj w moim zespole - rzekł, ściskając jej dłoń i uśmiechając się. Zerknął na leżące na stoliku papiery, na których wcześniej sporządził jakieś notatki. - Jest w takim razie coś, o czym powinniśmy porozmawiać. Coś, co w przyszłości Beech z łatwością mogłoby wykorzystać przeciwko tobie, zarówno jako materiał promocyjny, jak i sposób na pozbycie się ciebie. - Zrobił pauzę i Abby poczuła ukłucie niepokoju. - Wiem, że to sprawa osobista, ale chciałbym porozmawiać o rozpadzie twego małżeństwa. Abby zaczęło ścisnąć w żołądku.

- Słucham? - zapytała bez tchu.

- Przepraszam. Wiem, że to dla ciebie trudny okres, ale ludzie zaczynają się wszystkiego domyślać. Powiedziała mi o tym Selina i choć jest niezwykle bystra i odkrywa rzeczy znacznie prędzej niż inni, jest to wiadomość, którą ciężko będzie ci ukryć.

- Selina wie?

Mike posłał jej spojrzenie pełne współczucia.

- Jesteś sławna, Abby Ludzie cię zauważają. Widzą, że twój mąż mieszka gdzie indziej i nigdzie ci nie towarzyszy

- Ale my nie prowadzimy tego rodzaju sławnego życia wyszeptwała Abby

- Wiem - odparł Mike. - I dobrze. Można być bardzo sławnym i odnieść olbrzymi sukces, a mimo to nigdy nie postawić odzianej w buty od Blahnika stopy w pobliżu premiery kinowej czy przyjęcia dla gwiazd. Wielu moich klientów prowadzi normalne życie, ale przecież występują w telewizji i ludzie ich rozpoznają, nawet jeśli tylko wpadają do pobliskiego sklepu po mleko i bochenek chleba.

Mike wstał i otworzył barek z orzecha, gdzie trzymał alkohol, przydający się zarówno do uczczenia czegoś, jak i złagodzenia szoku.

- Jako że jesteś moją klientką, moim zadaniem jest poinformowanie cię o tym, jaki problem może się pojawić jako następny, i próbowanie cię przed nim uchronić. Kiedy za miesiąc pojawi się nowa seria *Porządków*, założę się o moje roczne zarobki, że Roxie O'Halloran poinformuje jakiegoś dziennikarza o tym, że ty i twój mąż rozstałście się. Nie będzie więc musiała polegać tylko na bliźniaczkach, jeśli chodzi o reklamę programu, bo ty się staniesz kozłem ofiarnym. Już widzę tytuły wszystkich przeprowadzanych z tobą wywiadów: „Osobista tragedia najcieplejszej gwiazdy telewizji”, „Jak błyskawiczna kariera telewizyjna Abby Barton zniszczyła jej małżeństwo”. Rozumiesz, o czym mówię?

Siedząc w komfortowym gabinecie Mike'a Horowitza, Abby wybuchnęła płaczem.

Mike podał jej natychmiast pudełko chusteczek i brandy, którą właśnie nalał do okrągłego, kryształowego kieliszka. Dawno temu nauczył się, że w branży rozrywkowej najważniejsze jest zgranie w czasie.

- Wypij to - rzekł łagodnie. - To najgorszy scenariusz, Abby Musisz być na niego przygotowana. My musimy być na niego przygotowani. I będziemy. W gruncie rzeczy możemy to nawet obrócić na naszą korzyść.

- Jak? - zaszlochała żałośnie Abby. Po jej policzkach spływał tusz. - Jak możemy odejście Toma przekształcić w coś innego niż katastrofę?

Mike uśmiechnął się.

- Pozwalając ci być sobą, Abby. Co byś powiedziała, gdyby jakiś dziennikarz zapytał cię o to w tej chwili?

Wydmuchnęła nos.

- Powiedziałabym, że to prywatna sprawa; że ani ja, ani Tom nie będziemy rozmawiać o naszym małżeństwie.

- Coś jeszcze?

- Nie zraniłabym Toma ani Jess, mówiąc o tym - upierała się Abby. - Nie zmusisz mnie do tego.

- I o to chodzi! - Wyglądał na zadowolonego. - Niektóre gwiazdy telewizyjne gotowe by były uprawiać ze swym partnerem seks w programie na żywo, gdyby to miało im zapewnić więcej okładek. Ty taka nie jesteś. Taką cię właśnie znają ludzie: Abby Barton będąca Abby Barton, a nie Abby Barton, przekształcająca się w zdradzającą szczegóły ze swego prywatnego życia damulkę. Nie chcesz o tym mówić, ale będziesz przygotowana, kiedy zaczną cię pytać. Nikomu nie uda się podejść cię z zaskoczenia.

- To jest takie bolesne - rzekła cicho Abby.

- Wiem. - Mike kiwnął głową. - Też to przeżyłem. Dwa razy. Dlatego właśnie nigdy nie będzie trzeciej pani Horowitz.

Przysiadł na oparciu fotela swej nowej klientki i poklepał ją dobrotliwie po ramieniu. - Poradzisz sobie z tym, mówię ci to. Ale musisz przestać myśleć, że jesteś złym człowiekiem tylko dlatego, że twoje małżeństwo się skończyło. Jesteś normalna i tyle. Czasami się po prostu nie udaje.

Jednak mogło się udać, pomyślała ze smutkiem Abby, gdyby tylko nie przespała się z Jayem Garnierem. Może jakoś by to przeżyła, gdyby to nie ona była przyczyną rozstania.

- No już, nie bądź dla siebie taka surowa - rzekł Mike.

- Miałam cudowną przyjaciółkę, która niedawno zmarła, i ona rzeczywiście była dobrym człowiekiem. W porównaniu z nią jestem beznadziejna. - Abby dopiła resztę brandy

- Nigdy się z nikim nie porównuj. - Mike dolał do jej kieliszka jeszcze trochę bursztynowego płynu. - Ucz się od niej i żyj dalej. Nie możesz być taka, jak twoja przyjaciółka, ponieważ miałyście w życiu inne doświadczenia. Możesz być tylko sobą.

- Wiem, ale ona była dobra i miła, a mimo to umarła, podczas gdy ja chrzańię wszystko, czego dotknę, a mimo to nadal tu jestem. Coś takiego sprawia, że zaczyna się wierzyć we frazes, że tylko dobrzy ludzie umierają młodo.

- Zmień w takim razie te schrzanione fragmenty swego życia - rzekł lekko Mike.

- To nie takie proste... - zaczęła. Po czym zamilkła. Może miał rację. Zamiast użalać się nad przeszłością, powinna stanąć twarzą w twarz z przyszłością i zmienić ją. Sally miałyby odwagę, by tak właśnie uczynić. Abby posłała Mike'owi błady uśmiech. - To bardzo wnikliwe co mówisz. I pomyśleć, że przez tyle czasu nie chciałam mieć agenta, gdyż uważałam, że wszyscy jesteście płytki i potraficie mówić tylko: „Byłaś fantastyczna!”.

Czarne oczy Mike'a zamigotały.

- Potrafię być płytki, uwierz mi na słowo. I ludzie uwielbiają, gdy mówię: „Byłaś fantastyczna!”. Ale wyjątkowi klienci otrzymują pełny pakiet Horowitza, który zawiera cierpkie spostrzeżenia, porady co do związków i brandy. Tylko nie mów o tym nikomu, w przeciwnym wypadku mogę się pożegnać z moją reputacją.

Uśmiech Abby z bladego przekształcił się w szeroki. Polubiła Mike'a Horowitza, gdy tymczasem wcześniej była przekonana, że tak się nie stanie...

- Na pewno nie jesteś bardziej niebezpieczna od Roxie - rzekła teraz Linzi, wzdygając się.

- Zobaczymy - odparła Abby, myśląc o Mike'u, swej nowej sekretnej broni. - Roxie się przekona, że miecz, którym chce ze mną walczyć, może być obosieczny

Była dziesiąta rano i we trzy jechały taksówką do pracy. Miały już tylko jeden program do nakręcenia i kiedy zajechały przed dom, wymęczony bliźniak w sennym miasteczku w środkowej części kraju, trzy prezenterki wydały zgodne westchnienie rozpaczy. Abby, Linzi i Mitzi wpatrywały się z niedowierzaniem w katastrofalny bałagan, który przedstawiał sobą dom rodziny Lockwood. Nie weszły jeszcze do środka, a już wszystkie trzy miały ochotę dać nogę. Skoro tak dużo śmieci znajdowało się na zewnątrz, co w takim razie czekało na nie w środku?

Części starych samochodów leżały na kupie obok starych opon, skrzynek i budy rozpadającej się tak, że było niemożliwe, by sypiał w niej jakiś pies. Z otwartych okien wyfruwały brudne firanki i było jasne, że co najmniej od dziesięciu lat nikomu nie chciało się malować tego domu. W efekcie potrzebował nie tyle uporządkowania, ile odkażenia.

Wóz Namiętności, AC i DC stały już zaparkowane przed budynkiem. Trzy kobiety wysiadły z taksówki, udały się pospiesznie do tego pierwszego po kawę i zapewnienie, że nie przesadzają.

- Nie przesadzacie - westchnęła Julie, asystentka reżysera siedząca na czerwonej pluszowej sofie i pocieszająca się ogromnym ciastkiem z jabłkami. - Nie wiem, dlaczego ten dom nie został wyeliminowany w przedbiegach. Tu już nie chodzi tylko o bałagan, on jest po prostu zapuszczony

- A więc nie musimy się za to brać? Możemy znaleźć coś innego? - zapytała z nadzieją Linzi.

- Za późno już na to, prawda, Julie? - zapytała Abby, częstując się ciastkiem z pudełka stojącego obok ekspresu do kawy. Błyskawiczne tempo filmowania końcówki serii oznaczało, że nie sprawdzil się system oddzielania ziarna od plew, czyli odrzucania przypadków beznadziejnych.

Julie kiwnęła głową.

- Niestety masz rację, Abby - mruknęła, plując okruszkami. - Kiedy wrócimy do biura, ukręcę komuś łeb.

- Nie martwcie się, dziewczęta. - Helen, charakteryzatorka, pełna była optymizmu. - Mam tutaj chusteczki antyseptyczne.

Abby nie wiedziała, czy to dlatego, że postanowiła zatracić się w pracy, ale Kręcenie programu nie sprawiało jej już przyjemności. Poznanie Mike'a Horowitza podziało na nią bardzo ożywczo i uznała, że ten mężczyzna ma rację: była w stanie zadbać o swoją przyszłość. Okej, nie będzie to więc przyszłość z Tomem, ale teraz, kiedy wreszcie to do niej dotarło, opłacze swe małżeństwo i rozpocznie kolejny etap życia. Nie była złym człowiekiem, miała po prostu wady, jak każdy, i mogła spróbować się poprawić. Mike w nią wierzył, a więc nadal czekała ją perspektywa kariery. Musiała jedynie naprawić szkody, które separacja wyrządziła w jej relacjach z Jess. Potrafiła to zrobić. Uwielbiała swą córkę. Miłość nie pozostawała przecież bez znaczenia.

Kiedy więc wmaszerowała do domu rodziny Lockwood, czuła się ożywiona i gotowa do działania.

Bliźniaczki, prychające za jej plecami niczym dwie niesforne uczennice, ze wszystkich sił starały się nie chichotać.

- Dzień dobry państwu - rzekła uprzejmie Abby, kiedy poznały nieporządną parę odpowiedzialną za ten kataklizm. Ich dzieci, troje równie nieporządnych nastolatków, płatało się niechętnie w tle. - Czy mogliby nam państwo pokazać pomieszczenia, gdzie będziemy pracować?

Rozdział dwudziesty czwarty

Lista „Rzeczy do zrobienia, nim stuknie ci trzydziestka” robiła się coraz bardziej sfatygowana.

Lizzie trzymała ją w zamykanej na zamek części torebki i co jakiś czas wyjmowała, by sobie przypomnieć, że większość zadań nadal twardo znajdowała się na liście rzeczy „do zrobienia”. Powiedziała sobie, że musi przestać marnować życie.

Jak na razie sama pojechała na wakacje (wizyta w Londynie u Joego jak najbardziej się liczyła) i zrobiła coś, co nie znajdowało się na liście, lecz mimo to wymagało odwagi - powitała Sabine na ślubie Debry. Jednak to by było na tyle.

Pewnego lipcowego wieczoru, krótko po weselu, usiadła w salonie z kieliszkiem wina, rozłożyła pogniecioną kartkę i ponownie przyjrzała się liście. Nie miała ochoty robić badania w kierunku chlamydii - to by sugerowało, że prowadzi jakieś życie seksualne. Uczenie się sposobów inwestowania oraz zakładanie własnego portfolio akcji byłoby bez sensu, jako że na końcu każdego tygodnia w portfelu zostawała jej tylko dycha. Brokerzy z całą pewnością woleli mieć do dyspozycji nieco więcej gotówki.

Przeskoczyła szybko wzrokiem po punkcie mówiącym o niewypiciu całego tygodniowego dozwolonego alkoholu w jeden wieczór. Nie znaczy to, by kiedykolwiek tak robiła, ale niezbyt rozsądnie było zastanawiać się nad konsumpcją alkoholu, kiedy wypilo się już prawie cały kieliszek wina, a była dopiero za dziesięć siódma we wtorek.

Wzdychając, Lizzie sprawdziła, czy na tej liście znajduje się cokolwiek, co mogłaby zrobić, a co poprawiłoby jej nastrój i dzięki czemu nie czułaby się tak, jakby nadawała się już tylko na śmietnik.

Przed jej oczami zatańczyły słowa „sporty ekstremalne”. Sporty ekstremalne. Wspinaczka górską nie była w jej stylu i nigdy nie lubiła moczyć głowy, więc nurkowanie także odpadało. Poza tym w taki właśnie sposób poznali się Sabine i Myles, więc gdyby i ona go spróbowała, wyglądałoby to tak, jakby ich naśladowała. Hm.

W tle grał telewizor. Nie było w nim nic, co warto by obejrzeć. Nigdy nie było nic ciekawego. Lizzie postanowiła, że się przejdzie, by spalić trochę kalorii, zamiast siedzieć cały wieczór i użalać się nad sobą. Sięgnęła po pilota i już miała wcisnąć „off”, kiedy znieruchomiała. Kolejna reklama tamponów Tym razem dziewczyna była ubrana w białe spodnie i wyskakiwała z samolotu.

„Spójrzcie na mnie: nic mnie nie powstrzyma” - mówiła jej śliczna twarz.

„To jest właśnie to”, uznała Lizzie. Skok spadochronowy. Zawsze miała na coś takiego ochotę i przypominała sobie, że wiele lat temu kilku kolegów Joego oddało podobne skoki na cele dobroczynne. Jej syn nie przepadał za dużymi wysokościami i odmówił, ale Lizzie zazdrościła im w duchu. Uwielbiała latać i pomysł odważnego wyskoczenia z samolotu wydawał jej się niezwykle kuszący Oczywiście, wtedy nie zrobiła nic, by zrealizować to marzenie. Nie tego typu sprawami się wtedy zajmowała. Była mamą Joego, co oznaczało pranie jego sportowych ciuchów, a nie skakanie ze spadochronem wraz z jego przyjaciółmi. Ale dlaczego tego nie zrobiła? Co ją powstrzymywało?

Jej własny obraz kobiety w jej wieku - oto, co było tego przyczyną. Teraz, wiele lat później, przekonała się, że ten obraz życia ją dusi. Nadszedł czas na zmiany

Skok ze spadochronem - to będzie jej sport ekstremalny Z ożywieniem wyłączyła telewizor, założyła sportowe buty i wyszła na spacer. Wiedziała, że wiele organizacji dobroczynnych współpracuje z ośrodkami spadochroniarskimi. Organizacje te określały kwotę pieniędzy, jaka musiała zostać zebrana, nim skok mógł się odbyć, i właśnie z tej kwoty potrącano opłatę. Lizzie dzięki swej pracy знаła wiele pożytecznych organizacji dobroczynnych, ale nagle pomyślała o jakiejś organizacji walczącej z rakiem. Czyż nie byłoby świetnie, gdyby mogła skoczyć dla, powiedzmy, Życia kontra Rak, i zrobiła to w imieniu Sally? To byłby naprawdę wspaniały hołd oddany osobie tak bardzo kochającej życie. Lizzie

wyobraziła sobie, co powiedziałyby Sally, gdyby żyła, a ona zapytała ją o radę w kwestii takiego skoku. Jej przyjaciółka nie uważała, że jest za stara albo że odebrało jej rozum, powiedziałyby krótko: „Zrób to!”.

Wcześniej doświadczenie Lizzie w zbieraniu pieniędzy na cele dobroczynne kazało jej przypuszczać, że to będzie najtrudniejsza część jej zadania. Dowiedziała się wcześniej, że owszem, ŻkR organizuje skoki spadochronowe i mogłyby skoczyć na tutejszym lotnisku. Zbiórka pieniędzy w rzeczywistości okazała się niezwykle prosta. Na kartkach dla sponsorów, które otrzymała od Życia kontra Rak, było napisane, że Lizzie Shanahan skacze na cel dobroczynny „w hołdzie Sally Richardson”. Lizzie chciała, by koniecznie umieszczono te słowa. W ten sposób pragnęła oddać cześć przyjaciółce.

Słowa „Życie kontra Rak” i „sponsorowany skok spadochronowy” sprawiały, że większość ludzi w Dunmore, którzy otwierali drzwi, uśmiechali się do Lizzie z aprobatą; dzięki wzmiance o Sally zapraszali ją do środka i częstowali herbatą.

„Dobra robota”, „Ależ pani jest odważna! Ja niestety cierpię na lęk wysokości” oraz „To naprawdę świetnie, że robi pani coś takiego, by zebrać pieniądze” były najczęstszymi komentarzami, po których następowały smutne rozmowy o Sally i o tym, jak dana osoba ją pamiętała. Lizzie przekonała się ze wzruszeniem, że przedwczesna śmierć jej przyjaciółki bardzo mocno poruszyła także innych ludzi. I zasmuciła tylu mieszkańców Dunmore.

Pewien sąsiad, który otworzył drzwi z nieufnym spojrzeniem mówiącym, że ma dość zbiórek na cele dobroczynne, zaprosił Lizzie do środka i bez końca opowiadał o tym, jaką serdeczność okazała mu Sally, gdy zmarła jego żona, piekąc mu duże szarlotki i dzwoniąc w weekendy, by się dowiedzieć, jak sobie radzi.

- To naprawdę dużo dla mnie znaczyło - rzekł mężczyzna ze smutkiem. - Nie czułem się wtedy taki samotny

Spotkanie tak wielu różnych ludzi, którzy oplakiwali Sally, sprawiło, że Lizzie jeszcze dotkliwiej odczuwała jej stratę. Sally była tak bardzo wyjątkową osobą - nie świętoszkowatą ani lubiącą prawić morały, ale autentycznie serdeczną, pragnącą otulić wszystkich swym ciepłem. W ciągu pięciu bądź sześciu spędzonych w tym miasteczku lat stała się jego częścią. Lizzie, która mieszkała tutaj przez większość swego dorosłego życia i знаła może jedną czwartą znajomych Sally, otrzymała lekcję pokory.

Ostatecznie obiecano jej prawie dwa razy tyle pieniędzy, ile się spodziewała zebrać, głównie dzięki wsparciu kilku miejscowych firm.

No i teraz musiała jedynie wyskoczyć z bezpiecznego samolotu i spadać ponad siedemset metrów w dół, gdzie tylko spadochron będzie znajdował się pomiędzy nią a nagłą śmiercią. „Łatwizna”, żartowała w myślach.

Jednak skakanie ze spadochronem okazało się bardziej skomplikowane niż Lizzie to sobie wcześniej wyobrażała. Ona widziała to tak, że ktoś przypina jej spadochron, wysyła na górę samolotem, a potem wyrzuca w powietrze, gdzie spadochron otwiera się natychmiast, a ona się czuje uszczęśliwiona, stanowiąc część nieba niczym wielki, odziany w kombinezon ptak. Według broszurki, którą otrzymała ze szkoły spadochroniarskiej, rzeczywistość była nieco bardziej złożona. Osoby oddające pierwszy skok musiały ukończyć trwające półtora dnia szkolenie, a dopiero potem mogły wsiąść do samolotu. Nawet wtedy decyzję, czy nowicjuszowi pozwoli się skoczyć, podejmowali instruktorzy „Do nas należy określenie, czy uczeń jest gotowy” - tak było napisane.

Lizzie przyrzekła sobie, że znajdzie się w gronie osób, które skoczą. Robiła to zarówno dla Sally, jak i dla siebie, i odpadając w przedbiegach, zawiodłaby swoją przyjaciółkę.

Kurs rozpoczął się o dziewiątej w chłodny sobotni poranek na początku sierpnia. Na horyzoncie widniały chmury, a powietrze było ostre i nieco już jesienne.

Niezrażona Lizzie pojawiła się na małym lotnisku, gdzie mieściła się szkoła latania i spadochroniarstwa „Santa Monica”. Był to płaski teren z kilkoma wielkimi hangarami, mniejszym budynkiem z pustaków i dwoma pasami startowymi, rozciągającymi się za budynkami.

Na parkingu znajdowało się całkiem sporo samochodów i Lizzie wysiadła ze swojego w chwili, gdy dwie dwudziestolatki zajęły zabawny fioletowym autkiem terenowym. Miała na sobie wygodne, stare dzinsy i wypłowiałą szarą bluzę, a na nogach tenisówki, zaś niesforne włosy związała w kucyk. Nowo przybyłe dziewczyny były także w dzinsach, ale tych obcisłych, a ich godne pozadzroszczenia figury podkreślały przylegające do ciała T-shirty i zapinane na zamki bluzy

- Cześć - odezwały się do Lizzie.

- Przyjechałaś tutaj na kurs? - zapytała dziewczyna z błyszczącymi, krótkimi, ciemnymi włosami.

- Tak, w ramach kary za grzechy - odparła Lizzie.

- My też. To naprawdę świetna przygoda, prawda? - uśmiechnęła się szeroko druga dziewczyna, która miała rozpuszczone srebrzystoblond włosy. - Jestem Casey, a to Dolores.

Brunetka posłała jej usminkowany uśmiech i Lizzie nawet była zadowolona z tego, że w domu użyła jedynie odrobiny tuszu do rzęs i balsamu do ust. I tak nie miałyby szansy przy Casey i Dolores.

- Lizzie - rzekła, wyciągając rękę.

We trzy przeszły przez popękany asfaltowy pas do kołowania do szarego budynku, gdzie wisiał szyld „Recepcja”. Obie dziewczyny wydawały się bardzo podekscytowane. Dolores wyjęła lusterko i nałożyła nieco korektora na jakiś nieistniejący pryszcz.

- Chcesz się przejrzeć? - zapytała Casey. Ta wzięła lusterko, zerknęła w nie, po czym oddała, upewniwszy się, że wygląda oszałamiająco.

- Robimy to, by poznać facetów - oświadczyła Casey, wyjaśniając to całe upiększanie się.

- Czy wyskakiwanie z samolotu nie jest metodą nieco zbyt drastyczną? - zapytała Lizzie. - Sądziłam, że w dzisiejszych czasach ludzie umawiają się na randki przez Internet.

- To po prostu inna nazwa randki w ciemno - odparła z lekceważeniem Casey - Bez względu na to, jak dobrze dogadujesz się z facetem, przez Internet czy w inny sposób, i tak musisz się z nim spotkać w restauracji i mieć nadzieję, że nie jest seryjnym gwałcicielem, który cię obrał jako następną ofiarę.

- Jest uprzedzona do Internetu. Ostatnio miała naprawdę paskudną randkę w ciemno - zdradziła Dolores.

- Paskudną to mało powiedziane - westchnęła Casey.

- Czekałam na niego przez dwie godziny, a kelnerki robiły między sobą zakłady, kiedy się poddam i pójdę do domu.

- Straszne! - Lizzie była sobie w stanie wyobrazić jej zażenowanie, kiedy tak siedziała, przyglądała się wszystkim nowo wchodzącym osobom, a z każdą mijającą minutą jej nadzieja gasła.

- Co gorsza sędzę, że się pojawił, spojrział raz na mnie i wrócił do domu - dodała żałośnie blondynka.

- Nie mów tak. Jesteś taka ładna - rzekła uprzejmie Lizzie. Casey uśmiechnęła się do niej promiennie.

- A ty czemu tutaj przyjechałaś?

- Nie w poszukiwaniu mężczyzn, to pewne - zaśmiała się Lizzie. - Oddaję skok na cele dobroczynne.

- Och, my też - rzekła pospiesznie Casey - I dla mężczyzn.

Wewnątrz nie wyglądało to na miejsce, gdzie mogli się kręcić przystojni mężczyźni w poszukiwaniu kobiet. Ściany były pomalowane na wojskowy zielony kolor, a za całe umeblowanie służyły stare metalowe krzesła. Za biurkiem stał potężny mężczyzna z brodą i przyglądał się surowo grupie nowicjuszy wypełniających formularze. Większość obec-

nych na sali osób to byli mężczyźni, głównie młodzi, i Lizzie zobaczyła, jak jej towarzyszki wymieniają uszczęśliwione spojrzenia. Mężczyźni także dostrzegli Casey i Dolores. Lizzie poczuła lekkie ukłucie, przekonawszy się, że jej wiek zdawał się czynić ją niewidzialną.

Wpisały się na listę i od małowólnego instruktora otrzymały formularze do wypełnienia. Kiedy skończyły, zebrał formularze i zaprowadził nowicjuszy, razem dwudziestu, do innego pomieszczenia, gdzie się znajdowały tylko rzędy krzesel.

Po chwili na salę weszło dwóch mężczyzn z wojskowymi fryzurami. Jeden, Tony, był młody i wyglądał bardzo niewinnie, miał rude włosy i piegi. Drugi był starszy, miał pociągłą, ogorzałą od wiatru twarz, bystre spojrzenie i muskularną budowę ciała. Ubrany był w szary mundur pilota. Siedząc na skraju biurka, pił kawę z dużego kubka i przyglądał się, jak kursanci zajmują miejsca.

Lizzie ożywiła się. W mężczyznach w mundurach było coś takiego, że wzdłuż jej kręgosłupa przechodził dreszczyk. Ten wyglądał na umięśnionego i interesującego, i z pewnością nie był facetem, który spojrzałby na nią dwa razy, ale czy to miało znaczenie? Dobrze było skupić się na czymś, co mogła podziwiać, byle tylko nie poddawać się panice, jaką czuła na myśl o skoku. W małej torebce noszonej na pasku w talii znalazła truskawkowy balsam do ust, nałożyła go nieco i słuchała, jak mężczyzna się przedstawia. Miał na imię Simon i był współwłaścicielem tego ośrodka.

„Simon - ładne imię”, pomyślała. To tylko jej wyobraźnia, czy też rzeczywiście jego spojrzenie kilkakrotnie przesliznęło się po niej?

Szkolenie było monotonne i pełne powtórzeń. Lizzie zrozumiała, na jakiej zasadzie to działa. Podczas kursu wyskoczenie z samolotu i liczenie „tysiąc, dwa tysiące, trzy tysiące, cztery tysiące, sprawdzić czasę spadochronu” zostanie tak w niej zakorzenione, że będzie to potrafiła wyrecytować przez sen. A skoro tak, to miała nadzieję, że da radę zrobić to także i po opuszczeniu samolotu.

- To wam uratuje życie, gdyby z jakiegoś powodu nie otworzył się spadochron - powtarzał do znużenia Simon. - Jeśli tak się stanie, musicie pociągnąć za sznurek zapasowego spadochronu. Wiem, że to monotonne, ale może uratować wam życie. Tysiąc, dwa tysiące, trzy tysiące, cztery tysiące, sprawdzić czasę spadochronu. Jeśli się nie otworzy, przechodźcie do planu B i ciągniecie za sznurek. Taka jest różnica pomiędzy bezpiecznym skokiem a śmiercią, jasne?

Lizzie uznała, że wcześniej tylko sobie wyobraziła, że jest nią zainteresowany. Był stuprocentowym profesjonalistą, poświęcającym każdemu kursantowi tyle samo uwagi. To przynajmniej oznaczało, że nie pozwalał swemu spojrzeniu zbyt często zatrzymywać się na Casey, tak jak to czynił młodszy, rudowłosy instruktor.

Kiedy przewidziane na ten dzień szkolenie dobiegło końca, zjednoczeni zmęczeniem i podekscytowaniem nowi kursanci udali się razem do pubu.

- Fantastycznie, prawda? - zapytała Casey. Po makijażu nie było już ani śladu, a włosy schowane miała pod bejsbolówką. Lizzie pomyślała, że z twarzą zaróżowioną od ćwiczeń fizycznych wygląda jeszcze ładniej.

- Poczekaj do jutra - odparła Dolores, która nie znosiła skakać nawet z dwupiętrowego hangaru w pełnej uprzęży.

„Co jeszcze znajduje się na liście?”, pomyślała radośnie Lizzie, kiedy wieczorem wracała do Dunmore, zmęczona, lecz pełna energii. Pojechać do Paryża? Żaden problem. Kupić sobie samej biżuterię? Problem natury finansowej. Poderwać faceta? Łatwizna. Wspinaczka górską, podobną do tej, którą uprawiał Tom Cruise w *Mission: Impossible 2*? To akurat być może stanowiło dla niej wyzwanie, ale co tam. Była w stanie zrobić wszystko, dosłownie wszystko!

Kiedy wróciła do domu, na podjeździe zaparkowany był samochód Debry. Lizzie się ucieszyła. Cudownie. Od czasu miesiąca miodowego rzadko się widywały. Nowożeńcy zaprosili rodzinę na obiad w swym nowym domu i Lizzie była dumna z dorosłej, zameężnej córki. Miesiąc miodowy na Mauritiusie ozłocił skórę Debry, nadając jej zdrowy blask, a ona i Barry przez cały czas obdarzali się pełnymi uczucia spojrzeniami, mówiąc o sobie dumnie „mój mąż” i „moja żo-

na", aż w końcu ojciec Barry'ego wybuchnął śmiechem i powiedział im, jak zabawnie się tego słucha. Barry także się roześmiał, jednak Debry to nie rozbawiło.

- Witaj, skarbie! - zawołała radośnie Lizzie, rzuciwszy klucze na stolik w korytarzu i powiesiwszy saszetkę na słupku poręczy schodów.

Debra była w ogrodzie. Na żelaznym stoliku przed nią stała butelka wina, a pomiędzy palców zwiślał papieros. Nie wyglądała jak tryskająca zdrowiem kobieta, która wróciła z Mauritiusa z ukochanym mężem. Twarz miała ściągniętą i zagniewaną, i było jasne, że siedzi tu już od jakiegoś czasu, gdyż zdążyła do połowy opróżnić wino, zaś na spodku, którego używała jako popielniczki leżało sześć niedopałków.

- Mamo... - Twarz Debry zmarszczyła się i Lizzie automatycznie pospieszyła, by przytulić córkę.

- Co się stało, kochanie?

- Chodzi o Barry'ego - zaszlochala. - To śmierdzący skurwiel. Odeszłam od niego.

Potrzeba było dzbanka herbaty, by wydobyć z Debry całą historię. Barry był flejtuchem, to po pierwsze. Ochoczo pozwalał, by dom przekształcał się w chlew.

- Ma coś, co nazywa systemem, to znaczy wyciąga po kolei z szafy każdą koszulę i rzuca je potem gdzie popadnie, i dopiero na dzień przed tym, nim skończą mu się czyste, robi pranie. I pierze tylko swoje rzeczy, nie moje!

To wyraźnie stanowiło kroplę, która przelała czarę. Debra zakładała wcześniej, że pranie będą robić wspólnie, i kiedy wróciła do domu i zobaczyła, że na suszarce wiszą tylko rzeczy Barry'ego, wściekła się.

- Mieszkał przecież razem z dwoma innymi chłopakami - rzekła Lizzie, pragnąc wyjaśnić córce, że trzeba czasu, by pary uzgodniły między sobą szczegóły dotyczące prac domowych.

Barry i Debra z jakiegoś staroświeckiego powodu postanowili nie wprowadzać się razem do ich uroczego domu, dopóki nie wezmą ślubu, więc z całą pewnością był to teraz dla nich obojga szok. Debra raczej nie oczekiwała od swych wcześniejszych współlokatorek, by były jej bratnimi duszami, więc nie przeszkadzało jej ich bałaganiarstwo. Od Barry'ego wydawała się jednak wymagać perfekcji. Prawdziwa miłość oznacza, że wszystko jest idealne. „Nieprawda”, pomyślała Lizzie.

- Będziecie musieli o tym porozmawiać i wypracować jakiś wspólny system - kontynuowała Lizzie. - No wiesz, ty robisz zakupy i gotujesz przez pół tygodnia, a on robi pranie, a potem się zamieniacie. Coś w tym rodzaju.

Debra nie przyjmowała tego do wiadomości. Nie wyprawszy jej rzeczy, Barry dowiódł jednej prostej prawdy: nie kochał jej.

- Oczywiście, że cię kocha - rzekła jej matka. Osobiście uważała, że winę za to całe zamieszanie ponosi

depresja poślubna. Pomyślała o małym, ślicznym domu, do którego Barry wprowadził się trzy tygodnie przed ślubem. Wtedy ich życie było pasmem przygotowań, niekończących się przymiarek, wieczorów spędzanych z przyjaciółmi i obsesyjnego zamartwiania się przyjęciem weselnym. Nie było czasu, by zauważyć, czy jest dobry w zmywaniu albo sprzątaniu łazienki.

Jednak bawienie się w dom, kiedy właśnie się pobrali, kiedy byli najważniejszymi ludźmi w swym własnym, małym światku, powinno być fajne. Dlaczego Debra tego nie dostrzegala?

Zapaliła kolejnego papierosa.

- Rzuciłaś palenie - powiedziała z wyrzutem Lizzie.

- Tak, ale skoro on mnie nie kocha, to czemu mam sobie odmawiać papierosów? - zapytała wyzywająco Debra.

- To tylko sprzeczką o drobiazgi - odparła uspokajającym tonem Lizzie. - Zadzwoń po taksówkę, byś mogła wrócić do domu i wszystko załagodzić.

- Do domu! Nie jadę do domu! - wrzasnęła piskliwie jej córka. - Sprzedajemy go i bierzemy rozwód. W ogóle nie powinnam była za niego wychodzić. Chodzi o coś więcej niż prace domowe. Mówię ci, mam, sądziłam, że znam tego cholernego Barry'ego Cronina, ale myliłam się! - Odsunęła na bok filiżankę z herbatą i dołała sobie wina. - I podczas rozvodu mam go zamiar doszczętnie oskubać! To wszystko jego wina i na pewno nie pozostanie to bez wpływu na decyzję sędziego, który będzie orzekał, co komu przypadnie.

Lizzie poczuła, że ona także potrzebuje kieliszka wina. Znalazła w kuchni trochę sera i krakersy, i wróciła z tacą i jeszcze jednym kieliszkiem.

- No to powiedz mi, co takiego zrobił Barry.

- Mieliliśmy w październiku lecieć na Kretę - pociągnęła nosem Debra. - Wiem, że mieliśmy miesiąc miodowy, ale to było coś innego, no i wcześniej Barry mówił, że potrzebuje jeszcze jednych wakacji.

Lizzie zdusiła w sobie chęć zapytania, skąd mają pieniądze na kolejny wyjazd. Posady Barry'ego w firmie handlującej samochodami i Debry w firmie montującej okna oznaczały, że nie znajdowali się w najwyższym przedziale podatkowym.

- Ale teraz mówi, że nie możemy. Twierdzi, że mamy do spłacania hipotekę i że jeśli nie pojedziemy, to będziemy mogli kupić stół i krzesła do jadalni. Nie rozumiem, dlaczego nie możemy mieć jednego i drugiego! Powiedziałam mu, że gdyby nie wydał tyle kasy na ten gówniany wieczór kawalerski i na nowe opony do tego pozeracza paliwa, jakim jest jego samochód, stać by nas było na jedno i drugie, a wtedy on powiedział, że jestem rozpuszczona i czy nie wiem, że najpierw trzeba zarobić pieniądze, a dopiero potem je wydać!

- Po tych słowach Debra zanosła się głośnym szlochem.

- Och, skarbie, niełatwo jest rozwiązywać problemy finansowe - rzekła Lizzie, starając się jakoś ją pocieszyć.

- Większość par kłóci się o pieniądze, a wy wcześniej nie mieszkaliście razem, więc trochę potrwa, nim się do siebie przystosujecie.

- Nie chcę się przystosowywać. Dobrze gospodaruję pieniędzmi! Od wielu lat sama się utrzymuję. To on musi się przystosować! - zatkała Debra.

Lizzie pomyślała o samochodzie, do którego dołożyli się zarówno ona, jak i Myles, ponieważ ich córka tak bardzo chciała go mieć. Przypomniała sobie kaucję za przedostatnie mieszkanie Debry, która nie została zwrócona z powodu jakiejś kłótni, co oznaczało, że musiała pożyczyć od rodziców pieniądze na kaucję za następne mieszkanie. Tak jak wszystkie pożyczki - a było ich sporo - nigdy nie została zwrócona. I pomyślała o założonym przez Barry'ego i Debrę funduszu weselnym - „chcemy sami zapłacić za nasze wesele” - który tak naprawdę nie ruszył z miejsca, dopóki do akcji nie wkroczyli Myles i Lizzie, a wtedy plany na wielki dzień zaczęły się robić coraz ambitniejsze. Rodzice Barry'ego razem z Lizzie i Mylesem dołożyli się nawet w miarę możliwości do nowego domu - jeszcze długo cała czwórka będzie spłacać zaciągnięte na ten cel kredyty

Lizzie nie żałowała swej ukochanej córce żadnej z tych rzeczy, ale byłoby miło, gdyby Debra okazała choć odrobinę wdzięczności. Jednak podejście Debry do pieniędzy było takie, że kiedy raz je dano, już nigdy nie trzeba było o nich wspominać. Według niej rodzice wcale nie chcieli, by im dziękować za finansowe poświęcenia. „Szybko się zapomina o zjedzonym chlebie”, jak powiedziałyby Gwen.

- Może powinniście spróbować trochę oszczędzać - wysunęła ryzykowną propozycję Lizzie. - Nowe domy są drogie, a dopiero co byliście na Mauritiusie...

- Bierzesz jego stronę! - Głos Debry ponownie zmienił się w krzyk.

Lizzie miała nadzieję, że sąsiedzi nie podsłuchują po drugiej stronie płotu. Z drugiej strony, to przecież nie miało znaczenia. Zresztą na pewno mieli coś lepszego do roboty

- Nie biorę strony Barry'ego - rzekła łagodnie. - Mówię jedynie, że małżeństwo polega na kompromisach i uczeniu się tego, by wspólnie żyć. Wydaliście ostatnio dużo pieniędzy i Barry po prostu martwi się o rachunki. A może zaproponujesz mu, że wyjedziecie gdzieś na weekend w kraju, zamiast spędzać tydzień za granicą? Rezerwując odpowiednio wcześniej, można trafić naprawdę świetną ofertę. I w ten sposób oboje będziecie zadowoleni.

- Nie chcę gównianego weekendu w Irlandii - warknęła Debra. - Chcę wyjechać na tydzień w jakieś gorące miejsce, gdzie mogę się opalić, a nie moknąć i drzeć z zimna w tym cholernym kraju. - Dopłało wino. - Idę się rozpakować. A gdyby dzwonił Barry, powiedz mu, że nie chcę z nim rozmawiać.

Udała się do domu, zostawiając bałagan na stole. Lizzie siedziała z otwartymi ustami. Rozpakować się. Co Debra miała do rozpakowywania? I dlaczego?

Lizzie nie odezwała się ani słowem, gdy pomagała Debrze wnieść na górę trzy walizki, kupione specjalnie na miesiąc miodowy. Po cóż była matka, jeśli nie po to, by pocieszać w trudnych chwilach?

- Co będziemy robić jutro? - zapytała leniwie Debra, kiedy już jej dawny pokój wyglądał po staremu: na toalecie piętrzyły się słoiczki kremów znacznie droższych od tych, na które stać było jej matkę, zaś leżące na łóżku maskotki przyglądały się im niczym niezadowolone ciotki - stare panny, przenoszone z miejsca na miejsce bez ich zgody

- Jutro wychodzę.

- Wychodzisz? Dokąd?

Z jakiegoś powodu Lizzie nie chciała mówić córce o skoku spadochronowym, zanim rzeczywiście go nie wykona. Miała przeczucie, że Debra nie zrozumiałaby tego albo wręcz uznała, że jej matka oszalała.

- Z kilkoma koleżankami - odparła, źle się czując z tym, że kłamie.

- Och. - Debrze udało się nadać tej jednej sylabie niezliczoną ilość znaczeń. - Ale nie wyjdiesz na cały dzień, prawda? - dodała.

- Cóż...

- Super. Mogłybyśmy wybrać się gdzieś na kolację - rzekła radośnie Debra. - Niedawno otworzono restaurację, którą się wszyscy zachwycają. Zrobię rezerwację.

Lizzie zastanawiała się, kto zapłaci za tę ucztę, ale nie odezwała się ani słowem. Debra potrzebowała po prostu nieco matczynego ciepła, a potem ona i Barry rozwiążą swoje problemy

- Mamo, nie powinnaś jej przyjmować - oświadczył wieczorem Joe, kiedy już Debbie poszła do łóżka.

Lizzie, która zaczynała żałować, że zadzwoniła do niego po wsparcie moralne, była bardziej niż lekko zdumiona jego reakcją.

- Jak możesz mówić coś takiego?

- Ponieważ Debra musi stanąć na własnych nogach, a tak się nie stanie, jeśli zawsze będzie się mogła schronić u ciebie.

- Mam nadzieję, że będę wystarczająco dobrą matką dla was obojga, bez względu na to, ile macie lat - zripostowała Lizzie.

- Jesteś świetną matką - odparł Joe, starając się ją udobruchać. - Nie chodzi o ciebie, mamo, ale o Debrę. Pragnęła wielkiego wesela, które kosztowało majątek, i dostała je. Ani myślała nas słuchać, kiedy jej mówiliśmy, że jeszcze za wcześnie na małżeństwo i że lepiej by było, gdyby zamieszkała najpierw z Barrym, żeby się przekonać, czy ich związek ma przyszłość. Nie, musiało być wielkie, ekstrawaganckie weselisko i koniec. Trzy druhny, pamiętasz? A teraz pojawiły się problemy. Powinna ponosić odpowiedzialność za własne czyny. Jeśli mają się rozstać, Debra powinna zostać i stawić temu czoła, a nie uciekać do ciebie.

- To tylko kłótnia - upierała się Lizzie.

- To coś znacznie więcej - odparł jej syn. - Barry i Debs zupełnie do siebie nie pasują. To moja siostra i kocham ją, ale zachowuje się jak dziecko, które zawsze dostaje to, czego chce. Debs potrzebuje faceta, który nie da jej się i każe jej dorosnąć, ale Barry nie jest tym facetem. Jego nie interesują przepychanki. Będzie wolał ją zostawić niż radzić sobie z taką sytuacją. Mówię ci, to poważna sprawa.

- Nie dramatyzuj.

- Mamo! - jęknął Joe. - Kiedy podczas wesela ojciec Barry'ego trochę już sobie popił, powiedział mi, że nie sądził, że Barry rzeczywiście to zrobi. Podobno dzień przed ślubem miał wątpliwości. W kościele pojawił się głównie dlatego, że jego matka zagroziła, iż zapadnie się pod ziemię ze wstydu, jeśli nie ożeni się z Debrą.

- Och, Joe, nie miałam pojęcia. - Lizzie wstrząśnięta była zarówno tą wiadomością, jak i oświadczeniem syna, że małżeństwo Debry jest w tarapatkach.

- Idź teraz na górę i powiedz jej, że musi wrócić do Barry'ego i załatwić tę sprawę jak osoba dorosła. Inaczej zostaniesz w to wszystko wciągnięta i nigdy nie będziesz mieć własnego życia, bo już zawsze będziesz musiała ją niańczyć.

- Ale to moja córka.

- Tak, ale masz przecież własne życie - odparł złowróżbnym tonem Joe.

W niedzielę rano Lizzie obudziła się wcześniej i po cichu przygotowywała się do wyjścia, by nie obudzić Debry. Wycisnęła kilka pomarańczy na śniadanie dla córki i zostawiła kartkę z informacją, że w lodówce są jajka i że powinna wrócić przed piątą. Poprzedniego wieczoru uznała, że nie warto radzić Debrze, by wróciła do domu do Barry'ego i stawiała czoła tej sytuacji. Prościej było tego nie robić. W jasnym świetle poranka miała pewność, że Joe przesadzał, jeśli chodzi o problemy z nowożeńcami. Czyż każdy pan młody nie doznawał ataku paniki dzień przed ślubem? To jeszcze nic nie znaczyło.

Tym razem Lizzie zjawiała się w ośrodku szkoleniowym jako pierwsza, i kiedy pchnęła drzwi do recepcji, okazało się, że są zamknięte.

- Chwilkę, już otwieram. - To Simon, w bejsbolówce na głowie.

Był nieogolony i Lizzie poczuła, jak na ten widok jej serce dziwnie podskakuje.

- Jesteś zapaleńcem - zauważył, kiedy otworzył drzwi.

- W pięćdziesięciu procentach to strach, a w pięćdziesięciu entuzjazm - zaśmiała się Lizzie.

Simon uśmiechnął się lakonicznie.

- Fajnie się słucha kogoś, kto jest szczery. Większość zjawiających się tutaj osób czuje to samo, ale się nie przyznaje. W spadochroniarstwie trochę strachu jest przydatne, ponieważ w chwili, gdy przestajesz czuć respekt odnośnie do tego, co robisz, narażasz się na ryzyko.

- Nigdy nie patrzyłam na to w taki sposób - odparła Lizzie, wchodząc za nim do ponurej recepcji. - Myślałam, że strach jest wrogiem wszystkiego.

- A skąd - rzekł Simon. - Robię kawę. Masz ochotę?

- Tak, dzięki. - Lizzie uśmiechnęła się. - Nerwy obudziły mnie dzisiaj wcześniej, więc przyda mi się coś, co da mi kopa.

Zaprowadził ją do niewielkiego biura, gdzie w rogu, obok małego zlewu, stał ekspres do kawy. W pomieszczeniu znajdowały się dwa biurka i kilka starych szafek na dokumenty, u na ścianach wisiały zdjęcia samolotów, wokół których stali śmiejący się, szczęśliwi ludzie, niektórzy z całym spadochroniarskim oprzyrządowaniem.

- Pamiętaj, że nie musisz skoczyć, jeśli nie będziesz chciała - odezwał się Simon, parząc kawę. - Nikt nie ma zamiaru cię zmuszać.

- Sama siebie zmuszę - odparła Lizzie, podchodząc, by przyrzeć się fotografiom. Na jednej z nich znajdował się Simon, młodszy i z dłuższymi, płowymi włosami. Obejmował kobietę o równie płowych włosach, która miała na sobie kombinezon. - Skaczę dla organizacji dobroczynnej wspierającej walkę z rakiem, nie mogę więc stchórzyć.

Simon skinął głową, ale nie pytał, dlaczego wybrała akurat tę organizację. Nie należał do wścibskich osób. Rozmowa z nim stanowiła miłą odmianę, ponieważ Lizzie nie musiała niczego udowadniać i wiedziała, że nie ma takiej możliwości, by ten mężczyzna był nią zainteresowany. Dlatego też mogła być sobą.

- Albo to pokochasz, albo zniecierpliwisz - stwierdził. - Wielu ludzi skacze raz i już nigdy nie wraca, jednak kiedy się złapie bakcyła, skakanie potrafi uzależnić.

- Będziesz dzisiaj pilotem? - zapytała nieśmiało Lizzie.

- Nie. Zaczekam na ziemi i zobaczę, jak będziesz wyglądać, gdy wylądujesz - uśmiechnął się szeroko. - To jest dopiero prawdziwy test.

- Nie uznaj mnie za mięczaka, jeśli będę zielona na twarzy. Jeszcze nigdy nie robiłam niczego w tym rodzaju.

Simon podał jej kubek z kawą.

- Nie uważam cię za mięczaka. Jesteś odważna.

- Podejmując się tego w moim wieku? - zapytała cierpko Lizzie.

Przyjrzał jej się z namysłem.

- Dlaczego o to zapytałaś? Zarumieniła się.

- No wiesz, jestem najstarszą uczestniczką kursu.

- No i co z tego? - Simon wzruszył ramionami. - Gdyby skakać można było tylko do dwudziestego piątego roku życia, już dawno temu musiałbym przejść na emeryturę.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł Teddy, brodac z recepcji. Zignorował Lizzie i odezwał się do Simona:

- Są już dwie rezygnacje.

- Kto? - zapytała Lizzie, nim zdążyła ugryźć się w język.

- Dolores Moore i Louis MacNamara.

Nie zaskoczyło jej to, że przyjaciółka Casey nie zdecydowała się na skok: widać było, że cierpi na lęk wysokości, natomiast Louis przez cały wczorajszy dzień opowiadał, jak to uwielbia latać i że żałuje, iż wcześniej nie zdecydował się na skok ze spadochronem. Okazuje się, że było to tylko gadanie. Lizzie uśmiechnęła się szeroko, myśląc, że *ona* nie stchórzyła.

Simon spojrzał jej w oczy

- Pojawiłaś się drugiego dnia - mruknął, tak by nie słyszał tego Teddy - To moja definicja odwagi.

O wpół do trzeciej, kiedy już była odpowiednio ubrana i wyposażona, i czekała z trójką innych osób na wejście do niewielkiego samolotu, Lizzie wcale nie czuła się odważna. Szybko waliło jej serce, nie było ani śladu Simona, który mógłby wlać w nią nieco pewności siebie, a stojąca obok Casey - która pod nieobecność Dolores wybrała sobie Lizzie na przyjaciółkę - trzęsła się jak liść.

- Mówiliśmy, że dlaczego to robimy? - zapytała Casey, która szczękała zębami i zagryzała wargi, aż zjadła całą szminkę.

- Aby poznać superfacetów - przypomniała Lizzie, po czym uścisnęła jej dłoń.

- Nie spotkałam tu żadnego, który by mi się spodobał jęknęła.

„A ja tak”, pomyślała Lizzie.

- Fantastycznie! - zawołał jakiś głos i wszyscy się odwrócili, by popatrzeć na ludzi wracających z ostatniego skoku. Wszyscy się uśmiechali: były to szerokie, ekstatyczne uśmiechy. „Szczera radość czy ulga, że już po wszystkim?“, zastanawiała się Lizzie.

Ich czwórka wcisnęła się do samolotu razem z Tonym, instruktorem, oraz pilotem. Sprzęt został dwukrotnie sprawdzony, wszyscy byli przećwiczeni i jeśli nie wiedzieli teraz jak się bezpiecznie skacze, to już się nigdy tego nie dowiedzą.

- Gotowi? - zawołał Tony, przekrzykując ryk silnika. Wszyscy dzielnie unieśli w górę kciuki.

„Co ja u licha robię?“, zapytała samą siebie Lizzie, kiedy niewielki samolot oderwał się od pasa startowego.

Będąc na ziemi, miało się wrażenie, że mijają całe wieki, nim samolot osiągnie pułap zrzutu, ale kiedy się znajdowało w samolocie, podróż wydawała się przerażająco krótka.

- Jesteśmy na miejscu. Gotowi? - zapytał ponownie Tony Tym razem uniesione kciuki nieco drżały.

Tony otworzył drzwi i do środka wpadło z hukiem powietrze. Lizzie poczuła, że ścisła ją w żołądku. Ona naprawdę będzie musiała to zrobić.

Potęzny facet o imieniu Alan siedział najbliżej drzwi i Tony zawołał do niego, by się przygotował. Za chwilę pilot wyłączy silnik samolotu, a potem skoczkiem po kolei ostrożnie postawią stopy na skraju skrzydła, odsuną się od drzwi, trzymając się skrzydła rękami, po czym skoczą. Tysiąc, dwa tysiące, trzy tysiące, cztery tysiące, sprawdzić czasę spadochronu, mruzczała pod nosem Lizzie. Tysiąc, dwa tysiące...

Silnik zamilkł i Alan, z twarzą pobladłą pod ochronnym kaskiem, wysunął przez drzwi stopy Lizzie przyglądała się, jak przechodzi ostrożnie dalej, a potem puszcza się. Jej żołądek uczynił salto, solidaryzując się z nim.

- Dobry skok! - ryknął Tony, zaznaczając coś na kartce. - Następny.

Sergio przeszedł przez drzwi, szybko wspiął się na skrzydło i już go nie było.

- Cholera, nie potrafię tego zrobić! - W głosie Casey pobrzmiwała histeria. Była następna w kolejce i wyglądała na spanikowaną.

- Następny - powtórzył Tony

- Nie mogę - rzekła Casey do Lizzie. - Nie każcie mi. Tak bardzo się boję.

- Nie musisz - odparła Lizzie, która była równie przerażona. Być może żadna z nich nie musiała tego robić. Nikt ich nie zmusi, tak powiedział Simon.

- Jest zbyt przerażona, by skoczyć? - zapytał Tony Lizzie, i przez chwilę widziała w jego spojrzeniu drwinę.

- Chyba tak - odparła Lizzie, szcękając zębami. - Ale ja nie.

Przeciskając się obok Casey, dotarła do drzwi i czekała na sygnał Tony'ego.

- Powodzenia - rzekł i tym razem w jego spojrzeniu dostrzegła podziw.

Lizzie posłała mu uśmiech, w którym było więcej odwagi niż jej rzeczywiście czuła, po czym przerzuciła nogi na skrzydło. Tysiąc metrów pod nią rozciągały się pola Cork, które wyglądały niczym kwadraty jedwabiu: oliwkowozielone i jasnozłote, przetykane szmaragdowymi. Te naprawdę tycie poruszające się kropki to samochody. Nie będzie teraz myśleć o tym, jak daleko to wszystko się znajduje. Zamiast tego wzięła głęboki oddech i przesuwiała się po skrzydle, aż znalazła się wystarczająco daleko. Teraz musiała się jedynie puścić. Włączył się wyszkolony mechanizm i Lizzie poczuła się tak, jakby opadała na puchowe łożo.

- Tysiąc, dwa tysiące, trzy tysiące, cztery tysiące! - wołała w niebo.

Poczuła szarpnięcie i jej ciało pofrunęło w górę.

- Sprawdzić czasę! - ryknęła. Podniosła głowę. Oto ona: w tej chwili najbardziej upragniony widok na świecie, jej własna czasa spadochronowa. - O mój Boże, o mój Boże, o mój Boże! - zawołała z ulgą i nagle nie czuła już strachu,

u w jego miejsce pojawiła się radość z tego niesamowitego, nowego przeżycia. Frunęła na wietrze, unoszona prądami ciepła, lecąc nad światem niczym drapieźny ptak. Teraz pozwoliła sobie podziwiać rozciągający się pod nią krajobraz, rozgorączkowanym spojrzeniem obejmując znajome miejsca, widziane z nowej perspektywy. Ośrodek szkoleniowy z góry wydawał się zupełnie inny Pociągając delikatnie za sznurki, które sterowały spadochronem, kierowała się w stronę wielkiego, białego X, gdzie powinna wylądować.

Uwielbiała to, po prostu uwielbiała. Zaczęła się śmiać, kiedy pomyślała, jak wielkie przerażenie czuła wcześniej. To była radość, czysta przyjemność, niesamowite przeżycie, które zdecydowanie zbyt szybko się kończyło. Jedyną trudność to ocena, jak daleko znajdowała się ziemia. Zbliżała się coraz bardziej, ale gdzie...? Ziemia pospieszyła się, by ją przywitać, i gdy Lizzie lądowała tuż obok wielkiego X, skoncentrowała się, by upaść właściwie, pozwalając nogom zachować się jak olbrzymie sprężyny. Pomimo wstrząsu, jakim był ponowny kontakt z ziemią, udało jej się wyjść z tego bez szwanku i ostatecznie wylądowała lepiej niż podczas wcześniejszych treningów.

- Dobra robota. Zdobyłaś dziesięć punktów na dziesięć - rzekł Simon, wyciągając rękę.

- To było coś niesamowitego! - zawołała bez tchu Lizzie. Błyszczały jej oczy. - Było cudownie.

- To dobrze.

Simon pomógł jej wstać, a powodowana impulsem Lizzie pocałowała go w policzek.

- Dziękuję ci! - uśmiechnęła się promiennie.

- To ja dziękuję tobie - odpowiedział z uśmiechem.

- Kiedy mogę to powtórzyć? - Lizzie już się nie mogła doczekać kolejnego skoku. - I wyżej. Mogę skoczyć z większej wysokości? To minęło tak szybko, chcę spędzić w górze więcej czasu.

Simon pomógł jej się wyplątać ze spadochronu.

- Mogłabyś, gdyby to był skok tandemowy z instruktorem.

- Proszę - błagała Lizzie.

- Mogłabyś skoczyć ze mną - odparł miękko.

W zazwyczaj spokojnych żyłach Lizzie krążyły podekscytowanie i duma z tego, co zrobiła.

- Bardzo bym chciała - odparła, patrząc na niego.

Zanim wszyscy nowicjusze oddali skok, nadeszła trzecia i ci, którym się podobało, zostali, by obserwować, jak skaczą członkowie miejscowego klubu.

Casey udała się do domu od razu po wylądowaniu samolotu.

- Tak bardzo mi przykro - mruknęła do Lizzie.

Była biała na twarzy i miała zaczerwienione oczy, gdy rozbierała się z kombinezonu.

- Nie przejmuj się - rzekła Lizzie, przytulając ją mocno.

- To nie jest dla wszystkich. Miałaś na tyle odwagi, by dotrzeć aż tak daleko, więc nie bądź dla siebie zbyt surowa.

- Ale ty skoczyłaś.

- Wiem.

Nikt nie był tym bardziej zdziwiony od samej Lizzie. Była tak bardzo przerażona, ale jakoś udało jej się przezwyciężyć strach.

Członkowie miejscowego klubu byli pewni siebie, żartowali i śmiali się. Wszyscy mieli na sobie wykonane na zamówienie kombinezony, wyglądające o niebo lepiej od tych w kolorze khaki, jakie nosili kursanci. Ich jaskrawożółte, intensywnie czerwone i wielobarwne kombinezony przekształciły to wydarzenie w jarmarczne święto. Było tyle samo ko-

biet skoczków co mężczyzn, i kiedy uprząże i spadochrony zostały sprawdzone i spakowane, grupa śmiała się i żartowała ze swobodą charakteryzującą ludzi, którzy dobrze się znają.

Simon pilotował samolot przy pierwszym skoku i Lizzie przyglądała mu się ukradkiem, siedząc na ławce przed recepcją. Trzymała w ręce kubek z kawą i gryzła herbatnika. Po oddaniu skoku niesamowicie zgłodniała. To pewnie z powodu adrenaliny, pomyślała.

- Bierz jeszcze.

Teddy, brodaty recepcjonista, podał jej paczkę ciastek. Metamorfoza Teddy'ego była niemal równie zdumiewająca, jak jej radość ze skoku. Teraz, kiedy znajdowali się tutaj prawdziwi skoczkowie i tylko ci kursanci, którzy się okazali wystarczająco odważni, by skoczyć, Teddy rozluźnił się i był zupełnie innym człowiekiem. Wyglądało to tak, jakby potrafił komunikować się tylko z tymi ludźmi, którzy kochali to co on.

- To wchodzi w krew - rzekł, siadając obok Lizzie ze swoim kubkiem z kawą.

- Czy członkowie klubu skaczą w każdy weekend? - zapytała.

- Niektórzy skaczą co weekend, inni raz w miesiącu. To zależy od stanu finansów i stylu życia. Samson na przykład - pokazał na mężczyznę w intensywnie zielonym kombinezonie - skakałby nawet i codziennie, ale jego żona wścieka się, kiedy znika na cały weekend. Ona nigdy nie skakała.

Dla Teddy'ego świat był wyraźnie podzielony na skoczków i pozostałych.

- Czy twoja żona skacze? - zapytała Lizzie.

- Nie mam żony, ale moja dziewczyna tak. Poleciała dzisiaj z Tonym.

- A Simon? - zapytała leniwie.

- Simon jest rozwiedziony

- Naprawdę? - Lizzie wzięła dużego gryza herbatnika i uśmiechnęła się do siebie.

Kiedy Simon wylądował, poszukał wśród ludzi Lizzie.

- W niedzielę często po skokach idziemy na kolację. Masz ochotę wybrać się z nami? - zapytał.

Zaproszenie było zwyczajne, ale z całą pewnością nie można tak było nazwać podekscytowania, które ogarnęło Lizzie.

- Bardzo chętnie - odparła radośnie, po czym uśmiech zamarł na jej twarzy, gdy pomyślała o Debrze, czekającej w domu na ich wyjście.

- Ale co? - zapytał Simon.

- Ale nic - odparła Lizzie. W jej głowie rozbrzmiały słowa Joego. *Ty także masz życie, mamo.* - Miałam coś zrobić, ale to może poczekać do jutra.

Zaproszenia na kolację od mężczyzn, którzy jej się podobają, nie przytrafiały się codziennie. Debra to zrozumie.

Wokół długiego stołu w „Jimmy's Seafood Shack” zgromadziło się ich dziesięcioro i Simonowi jakoś udało się wślizgnąć na miejsce obok Lizzie. Kiedy dotarli do restauracji, wymknęła się do toalety, by spróbować jakoś ujarzmić bez grzebienia swoje niesforne włosy. Nie miała przy sobie żadnych kosmetyków z wyjątkiem truskawkowego balsamu do ust i małego flakonika perfum Miss Dior, pewnie już zresztą zwietrzałych ze starości, oraz tuszu do rzęs, wykorzystwała je więc na tyle, na ile to było możliwe. A poza tym uznała, że z piegami, które się pojawiły po całym dniu spędzonym na słońcu, i blaskiem w oczach, stanowiącym pozostałość po skoku, jej cera wygląda zdrowo i naturalnie, a to pasowało jej bardziej niż kosmetyki. Ostatecznie postanowiła zdjąć jeszcze bluzę, zawiązała ją wokół talii i odpięła dwa guziki koszuli w prążki, tak że widać było nieco jej dekoltu. Łowca modelek poszukująca nowych twarzy do „Vogue'a” z całą pewnością nie zaczęłaby jej na ulicy, ale Lizzie wyglądała całkiem nieźle.

Jeszcze tylko telefon do Debry. Nikt nie podnosił słuchawki, zostawiła więc wiadomość.

- Cześć, Debs, przepraszam, ale wrócę późno. Będziemy musiały przełożyć naszą kolację na jutro. A jeśli pojedziesz do Barry'ego, by się pogodzić, zostaw mi po prostu kurtkę. Kocham cię.

Podobną wiadomość pozostawiła na poczcie głosowej komórki Debry, która była wyłączona. Miała nadzieję, że jej córka właśnie godzi się z Barrym i tak czy siak musiałyby odwołać kolację.

Przy stole właściciel we własnej osobie, Jimmy, wymieniał właśnie specjalne dania dnia.

Skoczkowie przerwali mu, wydając okrzyki na widok Lizzie.

- Ładne perfumy - ryknął Tony, kiedy przeciskała się obok niego.

- Ładna koszula - oświadczył mężczyzna siedzący naprzeciwko niej, kiedy poprawiała się na krześle, niechcący pokazując mu nieco więcej jasnej skóry.

- Rozepnij jeszcze jeden guzik.

- Ej, prymitywy, dajcie jej spokój - zarządził Simon.

- Ignoruj ich, przeżywają teraz drugie dzieciństwo - poradziła jej kobieta o imieniu Tash. - Nie wiedzą, jak się zachować w towarzystwie atrakcyjnych kobiet.

- Dzieci, wszyscy co do jednego - dodała Lena siedząca obok Teddy'ego. - Oprócz ciebie, kochanie - rzekła do Teddy'ego.

- To tylko żarty - mruknął jej do ucha Simon. - Choć perfumy są rzeczywiście ładne.

- Nie sądzisz w takim razie, że powinnam odpiąć jeszcze jeden guzik? - wyszeptła w odpowiedzi Lizzie.

Błysk, jaki pojawił się w oczach Simona, powiedział jej, że koszula także mu się podoba.

- Nie tutaj - odparł, a jego usta znajdowały się tak blisko jej ucha, że czuła ciepło jego oddechu. - Trzeba by wtedy reanimować Tony'ego i Rona, a ja nie mam ochoty ratować żadnego z nich metodą usta-usta.

- Simon, przestań przywłaszczać sobie Lizzie - odezwał się gderliwie Tony. - Nie masz wyłączności na jedyną porządną kobietę, którą widzieliśmy od miesiący

- Dziękuję ci bardzo! - oświadczyła Tash z udawaną obrazą.

- Może wrócimy do dzisiejszych specjałów - wycedził właściciel, Jimmy, który cierpliwie przeczekiwał tę hałaśliwą wymianę zdań.

- Przepraszamy, Jimmy - rzekła Lena.

- Tak, przepraszamy - odezwali się wszyscy chórem, ale nie brzmiało to wcale tak, jakby rzeczywiście było im przykro.

Tony nalał do kieliszka Lizzie czerwone wino.

- Wypij - rzekł. - Zasłużyłaś, by świętować pięciogwiazdkowy skok.

- Tak jest - dodał Simon. - Pięć gwiazdek i ani jednej mniej.

- Trzy razy zdrowie Lizzie, naszego najnowszego członka! - wznosił toast Ron.

Lizzie uświadomiła sobie, że tego jej właśnie wcześniej brakowało: poczucia przynależności i akceptacji. Tutaj, w tej niejednorodnej grupie, nie była rozwiedziona żoną Mylesa Shanahana, matką dwójki dorosłych dzieci i kobietą, która nie była na randce od ponad dwudziestu pięciu lat. Była Lizzie, po prostu sobą, a obok niej siedział przystojny mężczyzna, który ją najwyraźniej także uważał za atrakcyjną.

Kiedy o północy taksówka zatrzymała się przed jej domem, Lizzie poczuła się nieswojo - włączone były chyba wszystkie światła. To uczucie przekształciło się w olbrzymi niepokój, kiedy drzwi otworzyły się na całą szerokość, zanim miała szansę poszukać kluczy

- Debra, co się stało? - zapytała na widok córki stojącej w drzwiach niczym anioł zemsty.

- Ty mnie pytasz? - wrzasnęła. - To nie ja zniknęłam na cały dzień bez słowa wyjaśnienia. Gdzie się u diabła podziewałaś?

- Wyszłam po prostu ze znajomymi - odparła Lizzie, starając się wyglądać na zupełnie trzeźwą.

Po wypitym w restauracji winie - przynajmniej pięć kieliszków - czuła się lekko wstawiona. Nie była przyzwyczajona do takiej ilości alkoholu.

Spędziła wspaniały dzień i cudowny wieczór, a teraz jej córka wpatrywała się w nią z nieskrywaną wściekłością.

- Wyszłaś? - zawołała Debra. - A co ze mną, tkwiącą w domu i czekającą na ciebie?

Lizzie roześmiała się, a to okazało się błędem. Nie mogła się powstrzymać. Po prostu Debra wyglądała tak surowo, co było tak bardzo dziwnym odwróceniem tradycyjnych ról. To ona była matką, a Debra córką, a jednak to Debra krzyczała na nią za to, że wróciła późno do domu. To było takie zabawne...

Jej śmiech naprawdę wkurzył Debrę.

- Jak śmiesz stać tutaj i śmiać się ze mnie? - zapytała z gniewem. - Zamartwiałam się tym, co się z tobą dzieje.

Lizzie opadła na krzesło w korytarzu i pozwoliła, by jej saszetka spadła na podłogę.

- Zadzwoiłam do ciebie na komórkę i zostawiłam wiadomość. Nie odsłuchaaś jej?

- Odsłuchalam, a jakże - zapiszczała Debra. - Ale chciałam z tobą porozmawiać. Miałyśmy wyjść dzisiaj razem. Nie pomyślałaś o tym? A ja jestem w naprawdę paskudnym stanie z powodu Barry'ego.

- Och, Debro - westchnęła Lizzie, a śmiech natychmiast przekształcił się w wyrzuty sumienia. - Przepraszam. Dobrze się po prostu bawiłam z nowymi znajomymi, a skok ze spadochronem poszedł mi tak dobrze i chcieliśmy to uczcić...

- Skok ze spadochronem?

Nie sądziła, że głos Debry może być jeszcze głośniejszy, ale myliła się. Była pewna, że słyszą ją sąsiedzi.

- Jaki skok ze spadochronem? O czym ty, u diabła, mówisz?

- O rety - powiedziała powoli Lizzie. - Miałam zamiar ci o tym powiedzieć, ale nie chciałam nic mówić, dopóki tego rzeczywiście nie zrobię. - Czknęła, czym ściągnęła na siebie pełne gniewu spojrzenie córki.

- Chcesz powiedzieć, że skoczyłaś ze spadochronem? - zapytała ostro Debra, a pogarda w jej głosie nie pozostawiała wątpliwości co do tego, że skoki spadochronowe były równie antyspołecznym zachowaniem co kąpiel na golasa w miejscu publicznym. - W twoim wieku?

Lizzie pokiwała żałośnie głową. Nagle nie czuła się już jak kobieta odważna, kobieta, która ma zamiar ze stylem i werwą zrealizować listę „Rzeczy do zrobienia, nim stuknie ci trzydziestka”. Czuła się jak głupia, czterdziestodziewięcioletnia kobieta, która sądziła, że skakanie z samolotu może przywrócić jej młodość.

- To był skok na cele dobroczynne - wymamrotała. - Pomyślałam sobie, że złożę hołd Sally, zbierając w jej imieniu fundusze na walkę z rakiem piersi, to wszystko. A skok ze spadochronem był dobrym rozwiązaniem, gdyż robi na ludziach wrażenie i można w ten sposób zebrać sporo pieniędzy.

- Ale w twoim wieku?

- Można skakać w każdym wieku - zaprotestowała Lizzie.

- Cóż, jestem pewna, że tak właśnie mówią - prychnęła w odpowiedzi jej córka - choć w rzeczywistości wcale tak nie myślą. Nie chcą, by skakali starsi ludzie, tacy jak ty, prawda?

Lizzie spojrzała z ogromnym przygnębieniem na swój dekolt i guziki, które rozpięła w żalostnej próbie wyglądnia seksownie. Kogo ona starała się oszukać?

- Nie, pewnie nie chcą - rzekła ze smutkiem.

Może tylko sobie wyobrażała, że to był cudowny wieczór. Może wszyscy inni w duchu śmiali się z niej, starszej, rozwiedzionej kobiety, która miała nadzieję zacząć nowe życie i zaprzyjaźnić się z wyluzowanymi skoczkami. To szaleństwo z jej strony sądzić, że mogłaby do nich pasować albo że Simon naprawdę ją lubi. Może on także śmiał się z niej po kryjomu. Nagle zniknęła cała radość i Lizzie czuła się nieszczęśliwa, stara i zmęczona. No i na dodatek lekko pijana.

- I naprawdę skoczyłaś? - zapytała wreszcie Debra.

Lizzie kiwnęła głową.

- Skoczyłam.

Zaledwie pół godziny wcześniej była tak bardzo dumna ze swego skoku, tak dumna, że nie stchórzyła, kiedy siedziała w maleńkim samolocie tysiące metrów nad ziemią. W tej chwili nie odczuła zbyt wielkiej dumy. Zawiodła ukochaną córkę, która jej potrzebowała.

- Przepraszam, kochanie - rzekła, desperacko starając się mówić wyraźnie. - Możemy wyjść jutro wieczorem, jeśli chcesz...

- Nie, dziękuję ci bardzo. Przykro mi, że jestem dla ciebie tak wielkim ciężarem - warknęła Debra. - Nie będę już ci przeszkadzać w twoim ważnym życiu towarzyskim. Sądziłam, że ucieszy cię moja obecność i to, że będę cię wyciągać z domu. Ale widząc, że nie jestem tu już mile widziana, nie zostanę ani chwili dłużej. - Chwyliła torebkę ze stolika na korytarzu. - Jadę do taty. Muszę się przekonać, że nadal mam jednego normalnego rodzica, który nie próbuje gonić za minioną młodością!

Wypuściwszy tę ostatnią strzałę, triumfalnie wymaszerowała z domu, pozostawiając Lizzie z poczuciem winy i smutku. Nie wystarczyło, że czuła się jak beznadziejna matka. Teraz Debra popędzi do domu Mylesa i jemu też o wszystkim powie.

Zupełnie zapomniawszy o wcześniejszym planie wypicia szklanki wody i zażycia kilku tabletek przeciwbólowych, które by odgoniły nieuchronnego kaca, Lizzie udała się na górę do sypialni. Wślizgnęła się do łóżka bez mycia zębów i demakijażu, po czym zapadła w niespokojny sen.

Zapłaciła za to następnego ranka. Pięć po ósmej leżała w łóżku, wiedząc, że musi wstać do pracy. Jednak głowa bolała ją tak bardzo, że nie wiedziała, czy poradzi sobie ze stawieniem czoła kolejnemu dniu - a co gorsza, był poniedziałek. Jeszcze tylko pięć minut i wstanie... Wtedy zadzwonił telefon. Zastanawiała się czy zawsze był taki głośny, kiedy przenikliwy dźwięk rozrywał jej czaszkę.

- Dzień dobry, Lizzie - zabrzmiał głos jej byłego męża. - Jak twoja głowa?

- Och, tylko nie zaczynaj, błagam.

Kto wie, co Debra powiedziała ojcu o ubiegłym wieczorze?

Myles zawsze stawał po jej stronie - była w końcu jego ukochaną, małą córeczką. Nawet kiedy nie poradziła sobie w szkole pielęgniarstwa, Myles nie dał powiedzieć o niej złego słowa. Będzie zły, że Lizzie nie została przy Debrze, kiedy córka jej potrzebowała. Czekwała na kazanie i żałowała, że nie ma wystarczającej energii, by mu powiedzieć, żeby się odczepił. Ale nie usłyszała żadnego kazania.

- Podejrzewam, że wiesz, iż Debra jest tutaj - rzekł Myles ciężko.

- Powiedziała wczoraj, że jedzie do ciebie - odparła Lizzie i natychmiast przybrała przepraszający ton. - To wszystko moja wina, miałyśmy razem wyjść, a potem coś mi wyskoczyło...

- Nie musisz mnie przepraszać ani niczego wyjaśniać - przerwał jej pospiesznie Myles. - Jesteś swoim własnym szefem, masz prawo do własnego życia. Dzwonię jedynie po to, by zapytać, co my u diabła zrobimy teraz z Debrą?

Lizzie nie byłaby bardziej zdumiona, gdyby zapytał, co u diabła zrobią teraz z sytuacją na Środkowym Wschodzie. Choć raz Myles nie brzmiał jak kochający tatuś, który gotowy jest zrobić wszystko, byle ugłaskać dwudziestotrzyletnią córkę. Brzmiał... właściwie to wydawał się poirytowany Tak jest. Był poirytowany

- Zjawiała się tutaj zeszłej nocy cała we łzach. Była u mnie Sabine i oglądaliśmy nowy film z Jamesem Bondem, a tu nagle pojawiła się rozhisteryzowana Debra. Nie wiedziałem, co zrobić - oświadczył Myles. - Ryczała jak bóbr i powiedziała, że to wszystko twoja wina i że nie ma zamiaru już nigdy do ciebie wrócić, że nienawidzi cię równie mocno jak Barry'ego. Och, Lizzie, to był prawdziwy koszmar.

Pomimo dojmującego bólu głowy Lizzie nie mogła powstrzymać szerokiego uśmiechu.

- Ale myślałam, że Debra i Sabine dobrze się dogadują - rzekła złośliwie.

- Bo tak jest - odparł Myles. - Tyle że niekoniecznie wtedy, kiedy Debra jest cała we łzach i nie da sobie niczego przetłumaczyć. Nie wiedziałem nawet, że zostawiła Barry'ego. Nie mogę uwierzyć, że to zrobiła. Pomyśl o pieniądzach, które wydaliśmy na to wesele, a teraz, po jak długim czasie? Po miesiącu, dwóch? Koniec. Jeszcze nigdy nie przeżyłem tak wielkiego szoku. Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym, Lizzie?

- To nie ja powinnam ci była o tym powiedzieć - odparła. Usiadła na łóżku, by się przekonać, czy jej głowa jest w stanie znieść pozycję pionową. Zdecydowanie kręciło jej się w głowie, ale ból nie przybrał na sile. - Jeśli mam być szczerą, to sądziłam, że ta kłótnia z Barrym była jedynie burzą w szklance wody i że wszystko się ułoży. Ale Joe uważa, że to może być coś znacznie poważniejszego. Dlatego właśnie czuję się trochę winna, że zostawiłam ją wczoraj wieczorem - przyznała Lizzie. - Joe zdaje się sądzić, że to małżeństwo od początku było skazane na niepowodzenie. Wiedziałeś, że Barry'ego trzeba było błagać, by pojawił się w kościele?

Po ciszy, która zapadła na drugim końcu linii, wywnioskowała, że Myles nie miał o tym pojęcia. Cóż, nie było to coś, czego mógłby się spodziewać rodzic. Wydali wszystkie pieniądze, jakie mieli, a także część należących do banku, by zapewnić jedynej córce najwspanialszy dzień w jej życiu, więc usłyszenie po wszystkim, że przewidywana długość zawartego w tym dniu małżeństwa nie przekraczała daty przydatności do spożycia pasteryzowanego mleka - cóż, to zdecydowanie było szokującą wiadomością. Z jakiegoś powodu w głowie Lizzie pojawił się obraz przeciekającego dachu w kuchni. Myles także nie był krezusem. Najpewniej myślał w tej chwili dokładnie o tym samym, wyobrażając sobie, co mógłby zrobić z pieniędzmi, gdyby nie pochłonęły ich bajkowa suknia Debry, setki przepięknych róż i wystawne przyjęcie weselne.

A teraz zwała mu się na głowę zrozpaczona córka i spała na sofie albo, znając Mylesa, w jego łóżku, które jej odstąpił.

Nagle Lizzie zrobiło się go żal. Pomimo że Myles rozpoczął nowe życie, i tak nie był w stanie uciec od starego.

- Co w takim razie zrobimy z Debrą? - zapytał załóżnie.

- Gdzie ona jest?

- Jeszcze śpi. Wiesz, jak ciężko dobudzić ją rano. I nie wiem, czy jedzie do pracy ani nic. A Sabine i ja wybieramy się wieczorem do teatru, więc nie wiem, co ona ma zamiar wtedy robić. No a co z Barrym i nowym domem, i wszystkim...? - Urwał.

- Posłuchaj - rzekła zdecydowanie Lizzie. - Jeśli uda mi się załatwić w pracy, bym mogła się zjawić dwie godziny później, przyjadę do was i wspólnie się nad tym wszystkim zastanowimy Co o tym myślisz?

- Byłoby super. - W głosie Mylesa było słychać olbrzymią ulgę. - Nie mogę jej tak tutaj zostawić. W nocy była taka zrozpaczona. Czy sądzisz... - Zabrzmiało to tak, jakby nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. - Czy sądzisz, że moglibyśmy zadzwonić do Barry'ego i powiedzieć mu, żeby też przyjechał, i może wróciliby do siebie, i wszystko byłoby po staremu? - Był jak dziecko, mające nadzieję, że Mikołaj położy mu pod choinką właściwą zabawkę.

- Bardzo chciałabym, żeby Debra i Barry się pogodzili - rzekła Lizzie - ale wydaje mi się, że jego pojawienie się w twoim mieszkaniu mogłoby się okazać błędem. Oboje wyraźnie potrzebują przestrzeni. Gdyby Barry rzeczywiście chciał porozmawiać z Debrą, do tego czasu zdążyłby się dowiedzieć, gdzie ją znaleźć. - Lizzie wcześniej miała nadzieję, że Barry wpadnie jak burza do niej, deklarując wieczną miłość, po czym porwie Debrę do ich domu, ale gdy tak się nie stało, zaczęła myśleć, że rozdzźwięk między nimi jest naprawdę poważny - Być może lepiej będzie, jeśli pozwolimy im nieco ochłonąć, a potem możemy umówić ich na spotkanie i być tam, żeby...

- Żeby sędziować? - zasugerował Myles.

Lizzie zaśmiała się.

- Tak, żeby sędziować. - Nie mogła przestać myśleć o tym, co powiedział Joe: że małżeństwo Debry i Barry'ego od początku było skazane na niepowodzenie, ponieważ ona była rozpuszczonym bachorem i zawsze będzie chciała postawić na swoim. Lizzie uważała, że Joe nie miał racji. Debra była po prostu wrażliwą dziewczyną. Nie była rozpuszczona, lecz słodka i miła. Potrzebowała po prostu, by delikatnie się z nią obchodzono, a być może Barry jeszcze się tego nie domyślił. Lizzie postanowiła, że porozmawia z zięciem i wyjaśni mu, jakiego typu osobą jest Debra. Pragnęła, by jej córka była szczęśliwa, i zrobi wszystko, by tak właśnie się stało. - Będę u was za trzy kwadranse - rzekła do Mylesa, wstając z łóżka. Siedzenie było w porządku, ale stanie okazało się czymś krańcowo różnym. Poczła na sobie cały ciężar pięciu kieliszków wina. - Właściwie to lepiej się umówmy za półtorej godziny - Potrzebowała tego dodatkowego czasu, by doprowadzić się jakoś do porządku. Wtedy przypomniała sobie, że jej samochód nadal znajduje się koło restauracji, w której wczoraj jadła kolację. Będzie musiała najpierw jechać po niego taksówką. - Wiesz co, niech będzie za trzy godziny - oświadczyła.

Clare Morgan bez żadnego problemu dała Lizzie wolne przedpołudnie z powodu ważnej sprawy rodzinnej, przez co Lizzie poczuła się jeszcze gorzej. Nie byłoby ważnej sprawy rodzinnej, gdyby nie okazała się tak beznadziejną matką, która poszła sobie imprezować w gronie obcych osób, podczas gdy w tym czasie potrzebna była córce.

Połączenie kaca i wyrzutów sumienia sprawiło, że kiedy zaledwie godzinę i trzy kwadranse później jechała do Cork do Mylesa, czuła się naprawdę fatalnie. Kiedy się rozstali, w duchu się spodziewała, że Myles kupi niewielki domek gdzieś w pobliżu, on jednak zdecydował się na mieszkanie w centrum miasta i to w jakiś sposób zdawało się symbolizować jego nowe, wolne życie.

Lizzie osobiście nie chciałaby mieszkać w bloku, ale podziwiała byłego męża za to, że wybrał coś tak bardzo innego. Związek jego i Sabine według słów Debry wyglądał na poważny, ale nie wprowadziła się jeszcze do niego. Pomimo wszystko polubiła ją, kiedy poznały się na weselu. To nie wina Sabine, że Lizzie czuła się stara i ubrana kompletnie bez gustu. Nikogo nie można winić za otchłań zniechęcenia, w którą pozwoliła sobie wpaść.

A jej kiepskie próby stworzenia dla siebie życia nie okazały się zbyt udane. Wystarczy spojrzeć na zeszły wieczór - zrobienie czegoś równie dzikiego jak skok ze spadochronem doprowadziło jedynie do rodzinnej kłótni.

Było dobrze po dziesiątej, kiedy zadzwoniła do drzwi mieszkania Mylesa. Przeżyła lekki szok, kiedy otworzyła je Sabine. Może jednak zdążyła się już wprowadzić.

- Witaj, Lizzie - odezwała się ciepło. - Cudownie cię widzieć. Wejdz. Ja zaraz wychodzę - dodała - nie będę wam więc przeszkadzać.

- Wszystko w porządku - odpowiedziała szybko Lizzie.

- Wcale nie musisz wychodzić. Nie mamy przecież zamiaru urządzić sekretnej rodzinnej narady. Jak ma się Debra? - dodała szeptem.

- Och, świetnie - odszepnęła Sabine z nieco zbyt promiennym uśmiechem, prowadząc ją korytarzem do pokoju.

Salon Mylesa miał wystrój żeglarski: ryciny ze statkami, pamiątki związane z żeglarstwem i wielki mosiężny zegar wykonany z iluminatora. Nawet przepastna sofa była w kolorze morskiego błękitu. Debra leżała na niej niczym Madame Récamier z tak nieszczęśliwą i żalospną miną, jakby się szykowała do odejścia z tego ziemskiego padółu. Na ławie przed nią stało pudełko płatków, pusta miska i mleko, co świadczyło o tym, iż nawet w stanie bezbrzeżnej rozpaczyny mogła zjeść śniadanie.

Myles siedział na stojącym przy sofie fotelu w paski. Wyglądał na wykończonego.

- Cześć, Lizzie - odezwał się z entuzjazmem na widok byłej żony

Wstał i już miał przytulić Lizzie, jako że w taki właśnie sposób zazwyczaj się z nią witał, kiedy przypominał sobie o obecności Sabine.

„W poradnikach dobrego wychowania nie piszą, w jaki sposób obejmować byłą żonę, kiedy w tym samym pomieszczeniu znajduje się potencjalna przyszła żona”, pomyślała Lizzie.

- Cześć, Myles - rzekła radośnie. - Witaj, Debro - dodała.

- Dzień dobry - odparła Debra cichym głosem.

Była blada i wyglądała na tak wykończoną, że Lizzie poczuła świeży przypływ wyrzutów sumienia. Biedna Debra. Tak bardzo przejmowała się Barrym. Potrzebowała mieć przy sobie rodzinę.

Podbiegła do sofy, przyklękła i objęła córkę.

- Och, Debro, skarbie, strasznie mi przykro, że wczoraj tak późno wróciłam. Dałam się po prostu ponieść tym ludziom, z którymi byłam. To nie tak, że o tobie zapomniałam, wiesz, że nigdy tak się nie stanie. Kocham cię i możemy to wszystko rozwiązać. A teraz proszę, jedź ze mną do domu i... - Intensywnie myślała, czym mogłaby skusić Debrę do powrotu do domu. Kiedy była mała, zawsze dawała się przekupić czekoladowym ciastem z cukierni „Mario”, usytuowanej przy głównej ulicy Dunmore. Kiedy trochę podrosła, pożądany skutek zawsze odnosiła obietnica pójścia na zakupy z Lizzie i oczywiście jej kartą kredytową. Co się proponowało dorosłej córce, która właśnie rozstała się z mężem? - Mogłybyśmy jechać na zakupy - spróbowała Lizzie. - Wezmę dzień wolnego - dodała, mając nadzieję, że Clare Morgan uzna to za ciąg dalszy ważnej sprawy rodzinnej i jej nie zwolni. - Jestem pewna, że potrzebujesz mnóstwa nowych ubrań i...

- Zakupy to świetny pomysł - odparła radośnie Debra, siadając dziarsko na sofie. Po Madame Récamier nie było już ani śladu. - W BTs widziałam naprawdę oszałamiające sandaiki. Były koszmarnie drogie, ale po prostu prześliczne i wiem, że by mi pasowały Och, mam, tak, jedźmy na zakupy

- Zakupy zakupami, ale co z Barrym? - zapytała poważnym tonem Sabine. - Nie chcesz najpierw zająć się tą sprawą?

Debra posłała jej ostre spojrzenie.

- Uważam, że Barry to moja sprawa - warknęła. - Sprawa rodzinna - dodała, na wypadek, gdyby Sabine nie załapała, o co chodzi.

Sabine udało się sprawić, że z jej twarzy nie zniknął ciepły uśmiech.

- Może i jest to sprawa rodzinna - rzekła spokojnie - ale jako że byłam tutaj z twoim ojcem, kiedy zjawiłaś się zeszłej nocy, ja także jestem w nią zamieszana. Jestem częścią tej sprawy rodzinnej. Nie możesz uciekać od nieporozumień, musisz im stawić czoła.

Lizzie i Myles posłali Sabine ostrzegawcze spojrzenia.

- Eee, Sabine - odezwał się Myles, pragnąc uniknąć kłótni. - To naprawdę sprawa Debry, w jaki sposób rozwiąże problemy z Barrym. Jestem pewien, że jakoś to załatwią w swoim czasie.

- Tak - oświadczyła ostro Debra. - To tylko i wyłącznie moja sprawa.

Wyglądało, jakby Sabine miała ochotę dodać coś jeszcze na ten temat, ale udało jej się ugryźć w język.

- Tak, oczywiście - rzekła tylko.

- Chodź, mamó. - Debra szybko wstała z sofy - Jedźmy.

Kiedy schodziły po schodach, dosłownie gotowała się z wściekłości.

- Niezły miała tupet, mówiąc mi coś takiego - oświadczyła. - Jak śmie tak się do mnie odzywać? Co ona wie o małżeństwie? Co ona wie o mnie i Barrym? Tylko dlatego, że przez pięć minut była na weselu, sądzi, że wie o nas wszystko.

Lizzie pomyślała, że będąc tak wściekłą na Sabine, Debra zapomniała przynajmniej, że powinna gniewać się na nią. Poczowała ulgę. Ciężko jej było radzić sobie z córką, kiedy stanowiła cel jej gniewu.

Debra wciąż nawijała o Sabine i jej tupecie. Lizzie się wyłączyła i zaczęła zastanawiać, czy to normalne, że matka tak bardzo denerwuje się nastrojami córki. Tak właśnie było w jej przypadku. I jeśli miała być szczerą, w przypadku Mylesa także. „Nie”, uznała Lizzie. Nie denerwowali się z powodu nastrojów córki, absolutnie nie. Nie można było postrzegać tego w taki sposób. Po prostu nie chcieli denerwować Debry, ponieważ była bardzo wrażliwa. A Sabine tego nie rozumiała.

Doszły do auta Lizzie, które stało zaparkowane obok błyszczących, nowych samochodów, należących do mieszkańców bloku Mylesa.

- Jezu, mamó - rzekła Debra. - Ten samochód to stary grat. Dlaczego nie kupisz sobie nowego?

- Bo mnie nie stać - wyrzuciła z siebie Lizzie, nim zdążyła pomyśleć, co mówi.

- Biedna mamó. - Debra poklepała matkę po ramieniu. - Potrzebna ci nowa praca. Nowa praca i więcej pieniędzy. Byłoby wtedy naprawdę super.

- Tak - odparła słabo Lizzie, myśląc o tym, że musi zadzwonić do Clare Morgan i poprosić o wolne na resztę dnia, by mogły się udać na zakupy. Może i zacznie szukać nowej pracy szybciej niż sądziła. Jednak nie miała zamiaru pozwolić, by myśl o tym zniszczyła ten dzień. - No dobrze - rzekła pogodnie. - Gdzie jedziemy?

W oczach jej córki na nowo pojawił się blask.

- Do najdroższego sklepu w mieście, rzecz jasna - oświadczyła radośnie. - Zróbmy dobry użytek z karty kredytowej.

- Jasne - odparła Lizzie.

Odsunęła na bok myśli o rachunku za gaz, prąd i hipotecę. Coś wymyśli. Gdy wyjeżdżała z parkingu, nie mogła przestać myśleć o tym, co powiedziała Sabine. Miała rację. Debra naprawdę musiała załatwić sprawę z Barrym. Nie wystarczyło odłożyć na później pogodzenia się ze swym świeżo poślubionym mężem. No, ale z drugiej strony dopiero co zdążyli się pokłócić i biedna Debs potrzebowała czasu, by sobie z tym poradzić. Tak jest.

Lizzie uznała, że nie piśnie słowa Joemu o tym, co powiedziała Sabine, ponieważ miała niepokojące przeczucie, że przyznałby jej rację. Można więc było powiedzieć, że pierwszą rundę wygrała Debra.

Rodziny - komu były potrzebne? Po chwili Lizzie ogarnęły wyrzuty sumienia, że w ogóle pomyślała coś takiego, bo przypomniała sobie Erin, która nie miała rodziny Erin tak bardzo pragnęła odnaleźć swych krewnych i Lizzie zastanawiała się, czy zrobiła już coś w tym kierunku. Miała nadzieję, że tak. Wyglądało na to, że Erin przez wiele lat próbowała udawać, że poradzi sobie bez miłości bliskich, Lizzie jednak wiedziała, że to tylko pozory Erin potrzebowała korzeni, tak samo jak każdy człowiek.

Rozdział dwudziesty piąty

Numer do dawnego domu Erin w Kilbarrett na przedmieściach Dublina był nieaktualny o czym poinformował ją nagrany głos. Rozłączyła się i zadzwoniła do biura numerów, ale okazało się, że w Dublinie nie ma zarejestrowanych Mary i Pata Flynnów, a operator nie mógł podać obecnego numeru do jej dawnego domu.

Rozczarowana Erin odłożyła słuchawkę. Musi być jakiś inny sposób. Wtedy pomyślała o rodzinie Gallagherów, którzy mieszkali po sąsiedzku. Kiedy była mała, numer do nich znała na pamięć - mama na to nalegała. Pani Gallagher była dobrą znajomą mamy i logika była prosta: „Jeśli coś się stanie, a nie będziesz mogła mnie złapać, dzwoń do pani Gallagher”.

W starym, zniszczonym notesie z adresami, który Erin trzymała przez wszystkie te lata, znalazła numer Gallagherów. Wystukała go z głośno walącym sercem.

To nie pani Gallagher podniosła słuchawkę. Zamiast niej Erin została połączona z sympatyczną kobietą, mieszkającą tam od czasu, gdy Gallagherowie sprzedali swój dom. Flynnowie także od dawna już tutaj nie mieszkali, rzekła kobieta. Nie, nie wiedziała, dokąd się przeprowadzili. Bardzo żałuje, że nie pamięta, ale to było cztery lata temu, a ona ma problem z przypomnieniem sobie, co robiła w zeszłym tygodniu.

Nie, w porządku, uspokoiła ją Erin, ale czy pani Cora Flaherty nadal mieszkała po drugiej stronie domu? Panią Flaherty można było nazwać wszystko widzącą wyrocznią, ponieważ znała wszystkich i wiedziała o wszystkim. Pani Flaherty nie tylko wiedziałyby, dokąd przeprowadzili się Flynnowie, ale bez wątplenia z pamięci wyrecytowałyby ich numer telefonu i to, co jedli w zeszłą niedzielę.

Jednakże pani Flaherty już nie żyje, Erin nie wiedziała o tym?

O tak, rzekła kobieta, to było straszne. Biedna pani Flaherty nigdy nie doszła do siebie po tym, jak ci młodzi rabusie włamali się do jej domu, kiedy ona wyszła, by grać w bingo, i splądrowali go. Ostatecznie zabiło ją zapalenie płuc, ale to była wersja oficjalna. Wszyscy mówili, że umarła z powodu połączenia strachu i złamanego serca, że jej ukochany dom nie był już bezpiecznym miejscem.

Erin zrobiło się niedobrze. Czy złodzieje nastraszyli także jej ukochaną mamę albo drwili sobie przez płot z taty, zajmującego się w ogrodzie kwiatami? Kerry zabiłaby każdego, kto ośmieliłby się krzywo spojrzeć na jej rodzinę, ale teraz była prawie czterdziestoletnią kobietą, a nie zadziornym łobuziakiem. Erin wiedziała z Chicago, że złodzieje nie puszczali nikomu, a już na pewno nie kobietom.

Ogarnęły ją wyrzuty sumienia i strach. Tyle złego mogło się im przytrafić, a gdzie ona wtedy była? Użała się nad sobą w Ameryce i wciąż winała rodzinę za to tylko, że starali się ją chronić.

- To straszne jest stracić kontakt - rzekła przyjacielsko kobieta. - Jaką konkretnie jest pani dla nich krewną?

Erin nie była w stanie powiedzieć prawdy, ale czuła, że skłamać także nie może.

- Zbyt bliską, by nie wiedzieć, co się z nimi dzieje - przyznała ze wstydem.

- Cóż, nie spotkałaby pani teraz tutaj zbyt wielu znajomych. W ciągu ostatniego roku dużo domów zostało sprzedanych. Nie uwierzyłaby pani, ale nowa strefa przemysłowa i centrum handlowe sprawiły, że jest to teraz tętniące życiem przedmieście Dublina.

- A co z Ryanami, rodziną O'Shea i Maguire? - zapytała Erin, prawdę powiedziawszy bez wielkiej nadziei.

- Ryanów dawno już tu nie ma i nic nie wiem o żadnej rodzinie O'Shea, ale Maguire'owie nadal tutaj mieszkają.

Erin żywiej zabiło serce. Vanessa Maguire była dobrą kumpelą Kerry. Na pewno wiedziała, dokąd przeprowadziła się jej rodzina.

- Nie ma pani przypadkiem ich numeru telefonu?

- Proszę chwilę poczekać, jestem pewna, że gdzieś go mam w notesie... - Znalazła numer i podyktowała go po woli.

- Bardzo pani dziękuję - rzekła z wdzięcznością Erin.

- Nie ma za co. Polecam się na przyszłość - odparła kobieta, po czym zakończyły rozmowę.

Mimo że Erin siedziała teraz w przyjemnie chłodnym wnętrzu pięknego, nowego mieszkania, myślami przebywała w małym korytarzu domu z numerem siedemdziesiąt osiem, gdzie telefon stał na niskim stoliku, a nad nim wisiała rycina przedstawiająca irlandzką wieś. Zastanawiała się, czy nowi właściciele przenieśli telefon w inne miejsce. Pewnie tak. Jednak Erin nigdy nie zapomni, jak rozmawiała przez niego z koleżankami ze szkoły, przycupnięta na ostatnim schodku, a kabel telefoniczny ciągnął się po starym chodniku.

Rycina z wiejskim krajobrazem stanowiła nieodłączny element korytarza, podobnie jak stojak na płaszcze i czerwono-czarne płytki na podłodze. Rycina z czasem wyblakła, ale mama zawsze bardzo ją lubiła i nie pozwalała jej stamtąd usunąć. Erin widziała ją teraz z niezwykłą wyrazistością: wiejski domek wśród wzgórz, które były fioletowe od wrzosu. Mama wychowywała się w podobnym domu w niewielkiej wsi w hrabstwie Wexford, dlatego właśnie tak bardzo ją lubiła.

- Założę się, że nie mogłaś się doczekać, by wydostać się z tego zadupia - powiedziała kiedyś Kerry, ale w spojrzeniu mamy widać było tęsknotę.

- Życie to coś więcej niż miejskie spaliny - rzekła. - Pewnego dnia przekonasz się o tym.

Erin miała nadzieję, że tam, dokąd przeprowadzili się jej dziadkowie, nie było ani miejskich spalin, ani włamywaczy, a w tle malowały się wzgórza fioletowe od wrzosu.

Wystukała numer Maguire'ów. Gdy włączyła się automatyczna sekretarka, rozłączyła się, by pomyśleć, co powiedzieć. To nie będzie zwykła wiadomość.

- Dzień dobry, z tej strony Erin Flynn, która kiedyś mieszkała pod numerem siedemdziesiąt osiem. Miałam nadzieję, że uda mi się porozmawiać z kimś z rodziny Maguire, kto mógłby mi pomóc w ustaleniu miejsca zamieszkania Flynnów. - Podała swój numer i rzekła, że gdyby zadzwoniono do niej, a jej by akurat nie było, oddzwoni natychmiast po powrocie. - Proszę o telefon. Do widzenia.

Teraz musiała jedynie poczekać.

Telefon zadzwonił o czwartej, kiedy wypakowywała zakupy. Skoczyła do niego, czy też podeszła na tyle szybko, na ile może ciężarna kobieta - talia Erin zniknęła już dawno temu i do tej pory przybrała na wadze 8 kilo, więc jej dni „skakania” minęły

- Halo?

- Czy to Erin? - To była kobieta, ale nie rozpoznawała jej głosu.

- Tak.

- Z tej strony Geena Maguire. Wyszłam za Clarka, pamiętasz?

Owszem, Erin pamiętała Clarka, starszego brata Vanessy, którego uważała za palanta. Vanessa i Kerry przypuszczały zawsze, że biedny Clark nigdy nie znajdzie sobie dziewczyny, ponieważ jest zbyt dziwaczny. Miał długie ciemne włosy i kolczyk w uchu i sądził, że dzięki temu wygląda luzacko, natomiast dziewczyny uważały, że jest dokładnie na odwrót. Geeny nie pamiętała. Więc jednak Clarkowi się poszczęściło. I bardzo dobrze.

- Oczywiście, że pamiętam Clarka, ale musieliście wziąć ślub już po moim wyjeździe.

- No cóż - odparła z namysłem Geena. - Jesteśmy teraz pięć lat po ślubie, a mała Poppy ma cztery. Mieszkamy tutaj, a pani Maguire u siostry w Liverpoolu. Vanessa jest w Ballsbridge. Prowadzi własną firmę public relations, wiedziałas o tym?

- Nie - rzekła Erin. Tak wielu rzeczy nie wiedziała.

- A tak w ogóle to co się stało, że uciekłaś? - zapytała z zaciekawieniem Geena. - Zawsze chciałam to wiedzieć, ale Vanessa milczała jak zaklęta.

- Po prostu niemądra rodzinna kłótnia - odparła szybko Erin. - Trochę się spieszę, Geeno. Znajdę Vanessę w książce telefonicznej czy też może ty dasz mi jej numer?

- Wielka dama w książce telefonicznej? O nie, ale możesz ją znaleźć pod VMPR. Wampir, jak to nazywam. Rozumiesz? Cha, cha.

Personel Vanessy strzegł jej oczywiście tak, jakby była potomkinią hrabiego Drakuli, którą trzeba było chronić przed ludźmi dzierżącymi kołki.

Erin próbowała wyjaśnić, że jest dawną przyjaciółką, która chciała jedynie zamienić z Vanessą kilka słów, ale personel VMPR nie miał zamiaru ustąpić. Nawet ona sobie z tym nie poradziła. Zostawiła swój numer, spodziewając się, że zostanie wciśnięty gdzieś do czarnego, plastikowego segregatora. Będzie musiała pomyśleć o innym sposobie odnalezienia rodziny. Może wycieczka do Kilbarrett okazałaby się pomocna.

Minęły dwa dni i lipiec przekształcił się w sierpień. Erin siedziała z dublińską książką telefoniczną na kolanach i próbowała każdej możliwości, jaka przychodziła jej do głowy, dzięki której mogłaby odnaleźć rodzinę Flynnów. Była pewna, że zostali w Dublinie, i próbowała przekopać się przez długą listę Flynnów. Agent nieruchomości, który zajmował się sprzedażą domu, nie prowadził rejestru co do tego, dokąd ludzie się wyprowadzali, a poczta nie ujawniała informacji o zmianie adresu.

- Muszą być przecież jacyś krewni, z którymi mogłabyś się skontaktować - zasugerował tego wieczoru Greg, kiedy siedzieli na niewielkim balkonie obok dwóch azalii w doniczkach, stanowiących ogródek.

- Są - odparła Erin, przeklinając fakt, że kiedy była dzieckiem, nie zwracała większej uwagi na ciotki i wujków - ale nie mam ich numerów. Trzej bracia taty byli od niego starsi, a siostra mamy mieszka pod Manchesterem, nie wiem dokładnie gdzie, choć raz pojechaliśmy do niej na wakacje.

Pomyślała, że rozpoznałaby dom wujka Larry'ego w Phibsboro, gdyby go zobaczyła, ale nie miała pojęcia, jaki jest dokładny adres, a żaden z Flynnów wymienionych w książce telefonicznej w Phibsboro nie okazał się wujkiem Larrym.

- Kretynka ze mnie - stwierdziła pośpiesznie. - Jak mogłam nie wiedzieć takich rzeczy?

- Nie jesteś kretynką - odparł uspokajająco Greg. - Jesteś normalna. To znaczy spójrz tylko na moją ciotkę Lily. Znam jej dom równie dobrze jak dom rodziców, ale nie znam jej numeru telefonu. Mam pomysł. Może zatrudnimy prywatnego detektywa? Już oni wiedzą, jak odnajduje się ludzi.

Erin przetrawiała ten pomysł. Skorzystanie z usług prywatnego detektywa, który odnalazłby jej rodzinę, wydawał się rozsądny, ale tylko podkreślał, jakiego bałaganu narobiła w swoim życiu. Zatrudnienie detektywa do odnalezienia rodziny, której się nigdy nie poznało, to jedno; skorzystanie z jego usług po to, by odnalazł rodzinę, od której wcześniej się odwróciło, było czymś zupełnie innym.

- Pewnie masz rację - rzekła, przyglądając się ujściu rzeki.

Ich apartamentowiec był usytuowany na wzniesieniu, z którego mieli widok na port. W chłodnym błękitcie wody odbijała się iglica kościoła w Dunmore i atrapa murów obronnych Hotelu Wiktorjańskiego. Statek wycieczkowy wyminał statek dostawczy, płynący powoli do Cork niczym gigantyczna ciężarówka, mozolnie wspinająca się pod górę.

Ona i Greg byli tutaj tak bardzo szczęśliwi. Myśl o dzieleniu reszty życia z ich synem lub córką napawała ją ogromną radością. Jednakże ponowne spotkanie się z rodziną zamknęłoby krąg, sprawiłoby, że życie stałoby się pełne.

Wtedy byłaby zadowolona. Jednak to może się nigdy nie zdarzyć, i jeśli tak właśnie się stanie, będzie musiała zaakceptować ten fakt.

Wyciągnęła rękę, poszukała dłoni Grega i mocno ją uściśnęła. Siedzieli w pełnym zadowolenia milczeniu.

Kiedy zadzwonił telefon, Greg podniósł z krzesła swe długie ciało i wszedł do środka. Erin wytrzymała słuch, by się przekonać, kto dzwoni.

- Vanessa Maguire do ciebie - rzekł Greg, wsuwając głowę przez drzwi.

- Witaj, nieznajoma.

Nawet głos Vanessy był taki sam: nieco zachrypnięty, lecz z całą pewnością bardziej wytworny niż w czasach Kilbarrett.

- Cześć, Vanesso - odparła Erin. - Dziękuję, że oddzwoniłaś. Bałam się, że nie otrzymasz mojej wiadomości.

- Żartujesz? Gdyby ktoś w pracy zapomniał przekazać mi jakąś wiadomość, długo już by u mnie nie pracował.

Erin uśmiechnęła się szeroko. Ta sama dawna Vanessa. Staranniejsze wymawianie samogłosek nie było w stanie ukryć żywołości, która cechowała ją od zawsze. Kiedy Kerry i Vanessa spiknęły się z sobą, miejscowi chłopcy nie mieli żadnych szans.

- Gdzie się u licha podziewałaś, Erin? Dosłownie zniknęłaś z powierzchni ziemi.

Erin usiadła na sofie.

- Nie bądź dla mnie zbyt surowa - odparła błagalnie. - Byłam głupia, wiem, ale Kerry nie pomogła w niczym, mówiąc mi, bym już nigdy więcej nie dzwoniła.

Vanessa prychnęła.

- Znasz swoją siostrę. Język ma szybszy od rozumu. Była na ciebie wściekła i tyle, i później bardzo żałowała tego, co powiedziała.

- Ale jak to możliwe, że nikt nigdy nie odpisał na moje listy?

To właśnie prześladowało Erin. Wiedziała, że Kerry była w gorącej wodzie kąpana i możliwe, że później żałowała tego, że kazała jej więcej nie dzwonić, ale listy to inna sprawa. Brak odpowiedzi na listy można było potraktować jako znak tego, że Erin została wykluczona z rodziny.

- Jakie listy? - zapytała ostro Vanessa.

- Te, które wysłałam później.

- Nic nie wiem o listach, a Kerry mówiła mi o wszystkim - odparła. - Kiedy je wysłałaś?

- Ponad cztery lata temu, prawie pięć - rzekła Erin, wracając myślami do czasu, kiedy ona i Greg planowali się pobrać i to on ją namówił, by spróbowała naprawić szkody.

- Cóż, to wszystko wyjaśnia. Ta tępa krowa, która kupiła od nich dom, niczego im nie przekazywała.

- Więc pewnie w ogóle nie dostali moich listów, tak?

Erin nie była w stanie opisać ulgi, jaką poczuła. To było tak, jakby zdjęto jej z ramion ogromny ciężar. Jej rodzina nie odwróciła się do niej plecami; po prostu nigdy nie otrzymali listów, w których błagała o wybaczenie i opowiadała im o swoim nowym życiu i o Gregu.

- Przeprowadzili się ponad pięć lat temu.

- Jak się oni czują? - Erin bała się usłyszeć odpowiedzi.

- Dobrze. Twój tata świetnie sobie radzi, odkąd wstawiono mu nowe biodro, a twoja matka jest w dobrej formie, choć nieco trudniej jej się poruszać niż kiedyś.

Erin zwróciła uwagę na to, że Vanessa nazwała ich jej rodzicami, a nie dziadkami. Być może Kerry nie powiedziała jej jednak wszystkiego. Jednak z kolei gdyby wiedziała, może by zrozumiała ucieczkę Erin. W przeciwnym wypadku mogłaby uznać, że jest pozbawioną serca jędzą.

- A Kerry - kontynuowała Vanessa - cóż, świetnie sobie radzi, zważywszy na to, co przeszła. Udało jej się wyjść cało.

- A co przeszła? - zapytała gwałtownie Erin.

- Zapomniałam, że o tym też nie masz pojęcia. Byłaś jej wtedy bardzo potrzebna, Erin. - Po raz pierwszy w głosie Vanessy słychać było autentyczny wyrzut.

- Ale w czym?

- Rak piersi.

Erin cieszyła się, że siedzi, w przeciwnym wypadku upadłaby, gdyż ugięły się pod nią kolana.

- Rak piersi? - powtórzyła, wiedząc, że zabrzmiała jak jakiś wiejski półgłówek.

- Tak. Jednak jest już czysta od czterech lat, więc trzymajmy kciuki.

- Nie mogę w to uwierzyć. Powinnam była wiedzieć... - Erin poczuła się taka bezradna. Kerry musiała przejść przez tę straszną chorobę, która zabiła Sally, a ona nie wiedziała...

- Skąd mogłaś wiedzieć? - Vanessa nie należała do kobiet, które marnowały czas na rozmyślanie o tym, co by było gdyby - No więc pewnie chcesz się z nią spotkać?

- Myślisz, że ona będzie chciała mnie widzieć? - zapytała z wahaniem Erin.

- Oczywiście, że tak. Ona cię kocha, jesteś jej siostrą. Kerry się zmieniła. Rak ją zmienił.

- Potrafię to zrozumieć - odparła miękko Erin, myśląc o strachu, jaki z pewnością odczuwała, a nie miała siostry, która mogłaby ją wspierać. Nie miała jej, Erin. Wychowywane były jako siostry i tak właśnie się czuły, bez względu na nieco bardziej skomplikowaną rzeczywistość. Gdyby tylko wspierała Kerry, kiedy jej siostra była chora...

- Nie powiedziałam jej, że się odezwałaś - rzekła Vanessa. - Najpierw chciałam się dowiedzieć, czego chcesz.

- Chcę się z nią zobaczyć i z mamą, i tatą także - odparła Erin. „Błagam, Boże, niech oni też chcą zobaczyć się ze mną”, modliła się w duchu.

- Zadzwoń do niej w takim razie i podam jej twój numer telefonu - oświadczyła rzeczowo Vanessa. - Reszta zależy od niej. Niech ona porozmawia z waszymi rodzicami, bo chyba nie chcesz, by w ich wieku przeżyli szok.

- Nie - przyznała Erin. - Gdzie teraz mieszkają?

- Twoi rodzice są w Wexford. Mają domek na wybrzeżu, jest naprawdę uroczy. Kerry i Peter mieszkają w Portlaoise.

Erin nie zapytała, kim jest Peter. Zadała już wystarczająco dużo pytań. Kerry, jeśli zadzwoni, może opowiedzieć jej resztę.

Jednak musiała spytać o coś jeszcze, nawet jeśli było to pytanie, na które Vanessa tak naprawdę nie знаła odpowiedzi.

- Myślisz, że będą potrafili mi wybaczyć? - zapytała drżącym głosem.

- Gdyby to była moja rodzina, powiedziałabym, że nie - stwierdziła Vanessa. - Moja matka nie wpuściłaby mnie do domu, gdybym ulotniła się na dziewięć lat. Ale twoi rodzice są ulepieni z zupełnie innej gliny. Będą szczęśliwi, gdy cię zobaczą.

- A Kerry?

- Cóż, ona akurat może trzepnąć cię w ucho - zaśmiała się Vanessa. - Ale kto to wie? Twoja siostra zawsze była nieprzewidywalna.

Erin musiało to wystarczyć.

Greg czekał niecierpliwie, by się wszystkiego dowiedzieć. Erin opadła z powrotem na krzesło na balkonie i opowiedziała mu wszystko.

- Zadzwoń - rzekł pewnie Greg.

- Ale kiedy?

Teraz, kiedy już nawiązała kontakt, czuła dziwne połączenie euforii i niepokoju. Tak wiele było „co by było, gdyby”. Co by było, gdyby Kerry nie zadzwoniła do niej? Albo gdyby zrobiła to, ale tylko po to, by powiedzieć Erin, żeby wyniosła się z ich życia, ponieważ wystarczająco mocno ich już zraniła?

Poruszyła się niespokojnie na krześle, masując jedną ręką plecy, by zmniejszyć w ten sposób nie opuszczający jej ból kręgosłupa.

- A może przygotuję ci kąpiel i połączysz sobie przez godzinę w ciepłej wodzie? - zaproponował Greg.

Kiwnęła głową. Wanna była najpewniej najlepszym dla niej miejscem. Mogła w niej siedzieć i zamartwiać się w samotności.

Piętnaście minut później siedziała po szyję w pianie. Drzwi do łazienki były zamknięte. Greg zapalił świecek o uspokajającym aromacie. Kupił je, kiedy się dowiedzieli, że jest w ciąży. Strasznie dużo czasu spędził na ich wybieraniu, gdyż wiedział, że niektóre zapachy, które uwielbiała Erin, w ciąży były zakazane.

„Jest dla mnie taki dobry”, pomyślała Erin ze łzami w oczach. „To dobry człowiek i będzie naprawdę dobrym ojcem”. Gdyby tylko go kiedyś posłuchała i bardziej się postarała, by nawiązać kontakt z mamą, tatą i Kerry, nie znajdowałyby się teraz w takim położeniu. Można było jakoś wytłumaczyć trzy albo cztery lata unikania kontaktu, ale nie więcej, nie dziewięć. Dziewięć lat oznaczało odwrócenie się od innych plecami.

Ich dziecko zasługiwało na to, by mieć rodzinę ze strony Erin, a ona zaprzepaściła to przez własną głupotę. Kiedy pojawiły się łzy, zaczęły spływać po jej policzkach całymi strumieniami. Nie słyszała telefonu i gdy Greg wszedł do łazienki z przenośną słuchawką w dłoni, jego żona zanosila się płaczem.

Zdjął z wieszaka ręcznik i delikatnie otarł jej łzy

- Kerry do ciebie dzwoni - rzekł, podając jej słuchawkę.

Erin spojrzała na nią zażwawionymi oczami, po czym chwyciła ją i zbliżyła do ucha.

- Witaj, Kerry - zaszlochała. - Kerry, tu Erin. Tak bardzo cię przepraszam.

- Och, Erin, gdzie ty się podziewałaś? Tęskniliśmy za tobą. Tak bardzo się martwiliśmy

Na dźwięk głosu siostry Erin ponownie zanosila się płaczem, szlochając głośno do słuchawki.

- Jezu, z tobą wszystko dobrze? Nie masz kłopotów, prawda? Jesteś w szpitalu? Więzieniu?

Z gardła Erin wydostał się ni to szloch, ni to śmiech. Już Kerry zadba o wszystkie ewentualności. *Midnight Express* należał do jej ulubionych filmów.

- Nie - odparła, pociągając nosem. - Nic mi nie jest, mieszkam w pobliżu Cork i jestem zamężna.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Erin mogła sobie wyobrazić, co się dzieje w głowie jej siostry: dlaczego, u licha, nie skontaktowałaś się z nami wcześniej?

- Pisałam, Kerry. Pisałam wiele razy, ale nikt mi nie odpowiedział. Kiedy mi wtedy powiedziałaś, bym już nigdy więcej nie dzwoniła, sądziłam, że mnie nienawidzicie i że nie chcecie mnie znać.

- Ty głupia krowo, oczywiście, że chcieliśmy cię znać - odparła Kerry. - Nie powinnam ci była mówić, żebyś więcej nie dzwoniła. Byłam po prostu wściekła. Mama i tata cali byli roztrzęsieni, a ty nigdy nie dałaś im szansy, by mogli opowiedzieć ci we właściwy sposób o Shannon.

- Bardzo przepraszam - powtórzyła Erin. - Nie powinnam była w taki sposób uciekać... - Nie wiedziała, dlaczego wciąż płacze, ale nie była w stanie przestać.

- Wszystko w porządku?

- Tak - odparła, próbując powstrzymać łzy - Jestem trochę roztrzęsiona. Już od tak dawna chciałam to zrobić, ale sądziłam, że wszyscy mnie nienawidzicie...

- Na pewno nie jesteś chora? - zapytała podejrzliwie Kerry

- Nie. Jestem w ciąży - pociągnęła nosem Erin. - Moje hormony zupełnie oszalały.

- W ciąży, co? Przypomina mi się, ile się namęczyłam, kiedy byłaś nastolatką, by ci wyjaśnić, w jaki sposób nie zajść w ciążę - rzekła z rozbawieniem Kerry - Pamiętasz, jak udałyśmy się do poradni planowania rodziny na Syngre Street, kiedy chodziłaś z tym całym Adrianem i powiedziałam ci, że musisz stosować pigułkę albo coś innego?

- A ja nie chciałam, ponieważ absolutnie nie miałam zamiaru iść z Adrianem na całość. - Erin pamiętała to niezwykle dobrze.

Kerry była naprawdę niesamowitą siostrą. Robiła, co mogła, by ją przed wszystkim chronić. Patrząc wstecz, Erin rozumiała, że Kerry nie chciała, by kolejna kobieta w rodzinie przechodziła przez koszmar niechcianej ciąży. Jednak chodziło nie tylko o to. Kerry, pomimo swej całej surowości i ich codziennych kłótni, uwielbiała swą młodszą siostrę i pragnęła chronić ją przed całym światem.

- Byłaś dla mnie taka dobra - rzekła miękko Erin.

- Daj spokój. Było, minęło. - Przypominała teraz dawną Kerry: nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. - Przyjedź mnie odwiedzić, chyba że jesteś wielkości szafy trzydrzwiowej i nie możesz podróżować.

- Mogę.

- Ty w ciąży, o rany! Nie sądziłam, że doczekam tego dnia. Peter i ja mamy dwie córeczki. - Głos Kerry miał łagodne brzmienie. - Będą uszczęśliwione, kiedy poznają ciocię z mojej rodziny

„Co oznacza, że Shannon nadal nie ma w pobliżu”, pomyślała Erin.

- Mogę przyjechać do was jutro? - zapytała.

- Ta sama dawna Erin - odparła z rozbawieniem Kerry - Narwany i niecierpliwy rudzielec. Masz rude włosy, prawda? Przysięgałaś, że ich nie cierpisz i że chcesz być blondynką.

- Nadal rudzielec - potwierdziła Erin. - A ty?

- Och, utrzymywanie platynowego blond kosztowało mnie majątek - roześmiała się. - Wróciłam do naturalnego mysiego koloru i tylko pojedyncze jasne pasma przypominają mi o dawnej świetności. - Zawahała się. - Cudownie cię będzie zobaczyć, Erin.

- Masz zamiar powiedzieć mamie i tacie, że się odezwałam?

- Porozmawiamy o tym jutro - obiecała jej siostra. - Teraz lepiej ci wytłumaczę, jak do mnie trafić.

Erin wyszła z wanny, założyła szlafrok i zabrała telefon do sypialni, by zapisać wskazówki. Kiedy już pożegnała się z Kerry, pozostała na łóżku, wpatrując się w kawałek kartki. Po tak długim czasie wreszcie zobaczy swoją rodzinę. Kerry, mamę, tatę. Poczuła przypływ uczuć na myśl o uściskaniu rodziców i ich wybaczeniu, ponieważ wiedziała, że tak właśnie będzie. I może nawet pozna Shannon. A może nie. Shannon nigdy nie było w pobliżu, ale być może tego właśnie chciała od niej rodzina, by mogli utrzymać tajemnicę. Erin miała nadzieję, że to z tego właśnie powodu Shannon nigdy nie przyjeżdżała. Inne były zbyt bolesne, by w ogóle o nich myśleć.

Po raz pierwszy od lat Erin pozwoliła sobie na myślenie o biologicznej matce i prawdziwych powodach jej ucieczki. Nie było takiej możliwości, by nazywała Shannon prawdziwą matką: ona już miała mamę. Shannon nie zasłużyła na to miano. Zostawiła własne dziecko i nigdy nie wróciła. A przecież mogła. Nie było tak, że została zmuszona do

oddania dziecka jak wiele innych kobiet, które do końca życia tego żałowały. One nie wiedziały, gdzie znajdują się ich dzieci, pamiętały jedynie dzień ich narodzin i ze łzami w oczach zastanawiały się, do kogo będą podobne, gdy dorosną.

Jednak Shannon mogła wiedzieć, jak wygląda Erin, mogła być obecna w jej życiu. Ona po prostu tego nie chciała.

Erin zastanawiała się, jakiego typu człowiekiem musi być Shannon. Czy była zbyt emocjonalnie niedojrzała, by poradzić sobie z wychowaniem dziecka, czy też wolnym duchem, uważającym, że dziecko to ciężar i że lepiej, by zaopiekował się nim ktoś inny?

Próbowała przypomnieć sobie kobietę z fotografii: miała takie same rude włosy jak Erin i taki sam kształt twarzy, ale niebieskie oczy, tak jak Kerry i mama. Erin zastanawiała się, czy odziedziczyła swe zdumiewająco bursztynowe oczy po ojcu. I kim on był? Tyle miała pytań. Jednak przyrzekła sobie, że pozna na nie odpowiedzi. Wiele lat temu uciekła i bardzo tego żałowała. Teraz miała zamiar dowiedzieć się prawdy o swych narodzinach, bez względu na to, ile czasu jej to zajmie.

Greg chciał wziąć wolne w pracy, by zawieźć ją do Kerry, ale Erin się nie zgodziła. Musiała to zrobić sama.

- Jesteś pewna? - zapytał i z bólem dostrzegła, że poczuł się dotknięty.

- Tak. - Przytuliła go mocno i pocałowała. - Jeśli pojedę do mamy i taty, bardzo bym chciała, byśmy zrobili to razem, bym mogła was sobie przedstawić - dodała, kładąc jedną dłoń Grega na swoim brzuchu. - Ale dzisiaj muszę tam jechać sama.

Nadal nie była pewna, jakiego przyjęcia może się spodziewać u Kerry. Nie było na świecie osoby bardziej lojalnej od jej siostry. W jej oczach Erin wszystkich zawiodła. Kiedy dorastała, nikt za wiele nie mówił o Shannon, ale Erin wiedziała, że Kerry nienawidzi swej siostry za to, co zrobiła ich matce. Modliła się, by Kerry nie znienawidziła jej za to samo.

Wskazówki Kerry okazały się bardzo dokładne. Na trasie do Dublina przed Portlaoise Erin skręciła w niewielką drogę w lewo, przejechała nią dokładnie pięć kilometrów, skręciła w prawo i przejechała kolejne dwa kilometry, minęła wioskę z dwoma sklepami, warsztatem samochodowym i przyozdobionym kwiatami pubem. Dom Kerry był trzecim za skrzyżowaniem za pubem.

Natychmiast go zauważyła. Kerry opisała go jako odnowiony dwupiętrowy budynek z wiatrakami w ogrodzie. Nie wspomniała natomiast, że ogród stanowił przepięknie utrzymaną mieszaninę kolorów. To całe miejsce było zupełnie nie w stylu Kerry, kobiety, która zawsze twierdziła, że pręcej umrze niż zamieszka gdzieś, gdzie nie będzie dostępu do całodobowych sklepów, i która dostrzegała kwiaty tylko wtedy, gdy były ułożone w kosztowny bukiet w rękach chłopaka.

Erin zaparkowała i wysiadła z samochodu. Nie zdążyła sięgnąć do środka po torebkę, kiedy drzwi domu otworzyły się i pojawiła się w nich kobieta.

Kerry była szczuplejsza i starsza, a jej blond pazia zastąpiła postrzępiona, krótka fryzurka. Na jej widok w oczach Erin pojawiły się łzy. W ramionach Kerry wierciło się dziecko o cerze koloru wanilii, które miało nie więcej niż roczek, a jej dzinsowej spódnicy trzymała się śliczna, mała dziewczynka, pięcio- lub sześciolatka, ze skośnymi, ciemnymi oczkami utkwionymi w nieznaną panią.

- Patrzcie, patrzcie - uśmiechnęła się Kerry, wskazując na brzuch Erin. - Mamuśka.

- No i ty też - rzekła Erin, zagryzając wargę, by powstrzymać się przed wybuchnięciem płaczem.

- Przywitaj się, Lianne.

Dziewczynka chowająca się za Kerry, ledwie słyszalnie powiedziała „dzień dobry”.

- Dzień dobry, Lianne - odparła Erin, pochylając się i uśmiechając do niej ciepło.

- A to jest Kaylin. - Dziecko w objęciach Kerry przestało się wiercić na dźwięk swego imienia i uśmiechnęło do matki, ukazując dołeczki w policzkach.

- Są śliczne. - Erin przyglądała się nowym członkom jej rodziny i na nowo ogarnął ją wstyd. Przez własną głupotę straciła tyle lat z życia i jej, i Kerry.

- Przepraszam... - zaczęła.

- Już dobrze, Erin. - Na twarzy Kerry nie widać było goryczy ani urazy. - Chodźmy do środka i usiądźmy sobie - dodała. - Jeśli przedstawiś mi swoje tchórzliwe przeprosiny, wtedy może pozwolę ci się poczęstować ciasteczkami z czekoladą, które upiekłam razem z Lianne.

Erin zachichotała.

- Co to takiego te tchórzliwe przeprosiny?

- Miałam zamiar kazać ci paść na kolana, ale nie z tym dużym brzuchem - odparła Kerry. - Nie, w tych okolicznościach będą mi musiały wystarczyć zwykłe albo ogrodowe przeprosiny.

- Co to są przeprosiny? - zapytała Liarme, odwracając się i patrząc na nieznajomą, gdy Kerry prowadziła je do domu.

- Mówi się je wtedy, kiedy zrobi się coś niegrzecznego - wyjaśniła Kerry - „Co” to jej ulubione słowo - dodała cicho do Erin. - Poczekaj, aż przyjdzie twoja kolej.

- Nie mogę się doczekać - odparła radośnie.

Nie mogła uwierzyć, jak dobrze to wszystko idzie. Nie było skrupowania ani wahania. Erin wróciła do domu i Kerry była szczęśliwa, że ją widzi. Tak jakby ostatnich dziewięciu lat w ogóle nie było.

Kerry wprowadziła je do niewielkiej kuchni, do której przylegała nasłoneczniona oranżeria. Na ścianach wisiały rysunki Lianne, a kilka kartek z kolorowymi śladami dłoni świadczyło o tym, że Kaylin także udziela się twórczo.

- Te obrazki są śliczne - pochwaliła Erin. Duma sprawiła, że nieśmiałość Lianne zniknęła.

- Umiem także rysować konie - oświadczyła zarozumiale. - Chcesz zobaczyć, jak rysuję?

- Oczywiście - odparła ze śmiertelną powagą Erin.

Lianne pobiegła, by wyjąć z szuflady kartki i kredki, po czym usiadła przy kuchennym stole i zabrała się za swoje dzieło.

Kerry posadziła Kaylin na wysokim krzeselku i dała jej kubek z sokiem, po czym poszła do oranżerii po kilka miękkich poduszek z krzeseł i ułożyła je na ławie przy stole.

- Dla twojego kręgosłupa - rzekła do Erin, która usiadła z wdzięcznością na ławie. - Zauważyłam, że wyglądasz na nieco zeszywniałą.

- To prawda. Ale jak to dostrzegłaś?

- Moje nowe powołanie. Wykonuję masaże lecznicze w ośrodku medycyny alternatywnej.

- Naprawdę?

- Kilka lat temu zmieniłam zawód. Nie da się całego życia spędzić przed komputerem, wstukując raporty, więc się przekwalifikowałam.

- Czy to się stało po raku? - zapytała miękko Erin.

- Vanessa ci powiedziała, co? Papla. - Kerry postawiła na stole tacę z domowej roboty ciasteczkami.

- Powinnam była być tutaj.

- Dobrze by było - przyznała Kerry. - Mamie i tacie było naprawdę ciężko. Czuli się zupełnie bezradni, no ale w końcu ja też.

- Vanessa mówiła, że jesteś wolna od choroby.

- Cztery lata i liczę dalej - odparła Kerry, krzyżując palce. - Przyjmuję leki i mam regularne kontrole, ale jestem jedną z tych, którym udało się wygrać.

- Moja przyjaciółka zmarła niedawno na raka piersi.

Kerry posłała niespokojne spojrzenie starszej córce, a Erin wypowiedziała bezgłośnie „przepraszam”. Jednakże Lianne wydawała się nie zwracać na nic uwagi, pochłonięta rysowaniem pomarańczowo-żółtego kuczka z najdłuższymi i najchudszyimi nogami, jakie Erin zdarzyło się widzieć.

- Pracuję teraz z ludźmi chorymi na raka - rzekła przyciszonym głosem Kerry, podnosząc kubek Kaylin ze stołu, gdzie go zrzuciła. Podała go córce, a Kaylin, zachwycona tą zabawą, ponownie go zrzuciła. - Jednym z programów w ośrodku jest terapia raka. Masaż przynosi wiele korzyści osobom poddawanych leczeniu. Kiedy zachorowałam, Peter i ja wszystko przewartościliśmy. Przeprowadziliśmy się tutaj z Lianne, ja skończyłam kurs masażu, a Peter znalazł pracę w dużym warsztacie samochodowym w miasteczku.

- I to mówi kobieta, która nie znosiła wsi i bała się krów - przekomarzała się Erin.

- Wiem - zaśmiała się jej siostra. - Ale tutaj jest cudownie, wspaniale nam się żyje i dziewczynkom się tutaj podoba. Adoptowaliśmy Lianne, zanim zachorowałam. Staraliśmy się o adopcję jeszcze jednego chińskiego dziecka, ale musiało to zostać na jakiś czas odłożone. Kaylin pojawiła się u nas sześć miesięcy temu. - Kerry popatrzyła na córeczkę z bezgraniczną miłością.

- Mamusiu, patrz, skończyłam - oznajmiła Lianne, uśmiechając się od ucha do ucha i pokazując swój rysunek.

- Kochanie, jest śliczny, prawda, ciociu Erin?

- Fantastyczny

Jakiś czas później przeszły do ogrodu. Kaylin bawiła się w piaskownicy, zaś Lianne biegała wokół, pokazując nowej cioci wszystkie swoje zabawki i to, co potrafi z nimi robić. Szczególnie dumna była z umiejętności jeżdżenia na rowerze i śmigania tam i z powrotem po trawie.

- Dervla z mojej klasy musi mieć więcej kółeczek, ale ja nie - oświadczyła, zatrzymując się obok Erin, by ta mogła podziwiać różowo-fioletowy rower.

Podczas gdy dzieci się bawiły, Erin opowiedziała siostrze o utraconych latach, o tym, jak bardzo kocha Grega, jak są uszczęśliwieni z powodu dziecka i że zawsze myślała o domu, ale bała się, jak zostałyby przyjęte. Z kolei Kerry opowiedziała jej, jak poznała Petera („Miałam rękę z psującym się sprzęgiem, a on pracował w warsztacie na mojej ulicy. Widywaliśmy się tak często, że w końcu zaczęliśmy się umawiać, a reszta to już historia.”) i o decyzji rodziców, by się przeprowadzić. Nie wspomniała nic na temat okoliczności prowadzących do adopcji dwóch ślicznych córeczek, a Erin nie pytała. Kerry tak ciepło ją powitała, że nie powinna się spodziewać, iż wyjawi jej od razu wszystkie sekrety

- Mama zawsze chciała mieszkać na wsi, i kiedy włamano się do domu Cory Flaherty, dla nich to był początek końca. Nigdy nie schwytano drani, którzy to zrobili - rzekła zaciekle Kerry.

- I są szczęśliwi? - zapytała z wahaniem Erin.

- Bardzo. Ale będą jeszcze szczęśliwsi, wiedząc, że wróciłaś. Powiedziałam im o tym dziś rano.

Erin gwałtownie wciągnęła powietrze.

- I...?

- I praktycznie musiałam dzwonić po ekipę strażników, by powstrzymali ich przed wskoczeniem do samochodu i przyjechaniem tutaj. Nie mogą się doczekać, by zobaczyć ciebie, Grega i brzuszek.

Jak przystało na mamusię, Kerry miała wszystko pod ręką, łącznie z chusteczkami. Podała kilka Erin.

- Dlaczego ciocia Erin płacze? - zapytała Lianne, przerywając na chwilę odyseję rowerową.

- Ponieważ jest szczęśliwa - odparła mądrze jej matka.

Lianne, zaskoczona dziwnym zachowaniem dorosłych, ponownie wsiadła na rower. Czemu ktoś miałby płakać dlatego, że jest szczęśliwy?

- Jeśli chcesz, możemy do nich zadzwonić - rzekła Kerry, kiedy Erin wreszcie udało się przestać płakać.

Kiwnęła głową.

- Popilnuj małej - poleciała Kerry, po czym poszła do domu po telefon.

Erin pilnowała Kaylin tak, jakby od tego zależało jej życie. Mała zafascynowana była pomysłem wsypywania piasku do niewielkiego wiaderka w paski, po czym wysypywania go. Za każdym razem, gdy to robiła, chichotała i czekała na pochwałę ze strony Erin.

- Ależ ty jesteś mądra - zachwycała się jej ciocia.

Kaylin odpowiadała jej w swoim języku.

Wróciwszy, Kerry rozmawiała już przez telefon. W brzuchu Erin pojawiły się motyle. Tak długo czekała na tę chwilę, ale teraz, kiedy to działo się naprawdę, odczuwała zdenerwowanie. A co, jeśli...?

Nie było czasu na zamartwianie się. Kerry po prostu podała jej słuchawkę, mówiąc:

- To mama.

- Halo - rzekła Erin.

- Erin, mój skarbie, wiedzieliśmy, że wrócisz do domu - odparła prosto jej matka. - Wiedziałam, że tak się stanie. Tak bardzo nam ciebie brakowało. Gdybym mogła cofnąć czas, Erin, na pewno zrobiłabym to w inny sposób...

- Mamo, ja też - odparła żarliwie Erin. - To moja wina. Nie powinnam była wyjeżdżać.

- Moja wina także. Powinnam ci była powiedzieć. Nie miałam racji i paskudnie to się skończyło. Ale możemy przecież zacząć od nowa, prawda?

- Tak. Potrzebuję babci dla mojego dziecka.

- Och, skarbie - westchnęła jej matka. - Oczywiście, że będziesz ją miała. Daję ci ojca, chce zamienić z tobą kilka słów.

- Erin. - Jej ojca przepelniały emocje i ledwie był w stanie mówić. - Kiedy możemy cię zobaczyć?

- W następny weekend? Greg i ja przyjedziemy do was.

- Greg to twój mąż? - zapytał ojciec.

- Tak. Będziesz go musiał przeświecić, tato, sprawdzić, czy się nadaje - odparła ciepło Erin.

- Przywiózł nam cię z powrotem. Mnie to wystarczy

Zjadły na lunch sałatkę i ciemny chleb domowej roboty. Następnie Kerry kazała siostrze się położyć.

- Kaylin po lunchu kładzie się spać, a Lianne w drodze wyjątkowych okoliczności pozwolę oglądać telewizję.

- Nie pozwalasz dzieciom oglądać telewizji, tak? - zapytała poważnie Erin.

Kerry wybuchnęła śmiechem.

- Żartuję. Wszyscy rodzice planują trzymać swe dzieci z dala od tego pudełka, dopóki nie zostaną rodzicami i nie dotrze do nich, że nigdy nie poleżą sobie dłużej w weekend bez pomocy *Listonosza Pata*. Wideo to wspaniały wynalazek.

Kaylin spała, Lianne z szeroko otwartymi oczami oglądała bajkę Disneya, Erin leżała na miękkiej sofie, a Kerry siedziała na fotelu obok.

- Odpocznij sobie z godzinę, potem zaparzę herbatę i powinnaś ruszać do domu, żeby zdążyć przed porą korków.

- Szkoda, że nie mogę zostać dłużej.

- W następny weekend będziemy mieć całe dwa dni na rozmawianie - pocieszyła ją Kerry.

Powspominały jeszcze trochę, śmiejąc się cicho.

- Vanessie dobrze się powodzi - rzekła Erin.

- Cóż, wiesz, jaka zawsze była narwana. Jest teraz kimś w rodzaju gwiazdy. Jej zdjęcia pojawiają się w gazetach opisujących różne przyjęcia i czasami występuje w radiu w tych niedzielnych porannych rozmowach o tym, co znajduje się w gazetach.

- I bardzo dobrze - odparła Erin. - Cieszę się, że jest szczęśliwa.

- Tak. Vanessa nigdy nie miała w planach ustatkowania się z mężem i dziećmi.

- Tak jak Shannon - rzekła Erin, nim zdążyła ugryźć się w język.

- Vanessa nie jest ani trochę podobna do Shannon. - Kerry była stanowcza. - Gdyby Vanessa w wieku siedemnastu lat zaszła w ciążę, stawiałaby temu czoła, a nie uciekła i pozwoliła, by ktoś inny posprzątał narobiony przez nią bałagan. Taka była zawsze odpowiedź Shannon na wszelkiego rodzaju problemy: ucieczka i nadzieja, że kiedy wróci do domu, będzie już po wszystkim.

- Kiedy się dowiedziałas, że nie jestem twoją siostrą? Kerry się skrzywiła.

- Zawsze o tym wiedziałam. Shannon zaszła w ciążę, kiedy miałam dziewięć lat, i pamiętam, jak przez cały czas jęczała na ten temat.

- Jęczała?

- Była królową dramatu - odparła Kerry - Shannon nigdy nie obtarła sobie kolana, kiedy upadła: ona zerwała wiązadła. Nigdy nie oblała egzaminu w szkole dlatego, że nie chciało jej się uczyć: ona oblała, ponieważ cierpiała na te straszne migreny, a przecież trudno oczekiwać, że osoba w takim stanie dobrze napisze egzamin. Zawsze było jakieś wytłumaczenie.

- Nie dogadywałyście się? - zapytała Erin, choć odpowiedź wydawała się oczywista.

- Między nami była duża różnica wieku. Tak naprawdę nie znałyśmy się nawzajem.

- Między nami też była różnica wieku, a jednak było inaczej - stwierdziła Erin.

- Nie wiem dlaczego, ale Shannon i ja po prostu nie potrafiłyśmy się dogadać.

- Dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś? - To było pytanie, które Erin pragnęła zadać od wielu lat.

- Mama powiedziała, że to ważna tajemnica i że stałaby ci się krzywda, gdyby wyszła na jaw - westchnęła Kerry - Uwielbiała cię i myślę, że zawsze się bała, że Shannon wróci i cię zabierze. Mama nie chciała dla ciebie takiego życia. Przecież Shannon ledwie była w stanie zająć się sobą. Nigdy nie umiałaby dobrze zaopiekować się dzieckiem. Niefrasobliwa, tak właśnie można ją najlepiej opisać. Choć gdy trzeba było, umiała być wystarczająco wyrachowana. I mama bała się także tego, że straci ciebie. Nie byłaś przecież jej dzieckiem i nie miała wobec ciebie praw. Shannon nigdy nie pojawiała się na wystarczająco długo, by załatwić kwestię adopcji. To nie było w jej stylu.

- Wiecie, kim jest mój ojciec? - zapytała z wahaniem Erin. Jej siostra potrząsnęła głową.

- Tylko Shannon to wie. Nie powiedziała nam. Oświadczyła, że to nie ma znaczenia. To było typowe dla Shannon.

- Zapytam ją - odparła cicho Erin.

- Masz zamiar się z nią spotkać. - To nie było pytanie, lecz stwierdzenie. - Wiedziałam, że pewnego dnia tak zrobisz. Ale nie znajdziesz tego, czego szukasz, Erin. Nie w przypadku Shannon. Ona zawsze była inna niż my

- Co masz na myśli?

- To straszne mówić coś takiego o własnej siostrze, ale Shannon potrafi być bardzo egoistyczna, pomimo całego pozerstwa co do troszczenia się o świat.

- To samo można powiedzieć o mnie - rzekła Erin z poczuciem winy. - Ja też uciekłam.

Kiedy Kerry uśmiechnęła się szeroko, wyglądała dokładnie tak, jak ta dzika dziewczyna z przeszłości, którą pamiętała Erin.

- Tak, cóż, w twoim przypadku zaistniały okoliczności łagodzące. Uzyskałaś przebaczenie, o ile oczywiście coś takiego się nie powtórzy. Nie, Shannon jest inna. Kiedy cię urodziła, mogła cię zatrzymać. Irlandia nie była wtedy krajem pogrążonym w ciemności. Owszem, miała siedemnaście lat, ale mama i tata jej pomagali, jakoś dałaby sobie radę. Zamiast tego wprost paliła się, by wyjechać i nigdy nie wrócić. Nie potrafię jej tego wybaczyć.

- Byłaś wtedy tylko dzieckiem - zaprotestowała Erin.

- Nie wiesz, przez co ona przechodziła. Musiała być pewnie przerażona i zdezorientowana...

- Pewnie tak. - Kerry zamyśliła się. - Być może jestem dla niej tak surowa dlatego, że ja tak długo starałam się zajść w ciążę i mi się nie udało. Wkurza mnie, kiedy myślę o kimś takim jak Shannon, kto ma dziecko, a beztrąsko pozwala, by wychowywał je ktoś inny, podczas gdy Peter i ja tak wiele przeszliśmy, by zostać rodzicami.

Serce Erin wyrывało się do siostry. Kerry przeszła prawdziwe piekło, a jej przy niej nie było.

- Och, nie zwracaj na mnie uwagi - kontynuowała Kerry.

- Jestem po prostu zrzędlivą, starą krową. Trudno jest mi wybaczyć to, co nam wszystkim zrobiła.

- Wiesz, gdzie teraz mieszka?

Kerry posłała siostrze ostre spojrzenie i wyglądało tak, jakby się zastanawiała, czy odpowiedzieć na to pytanie.

- Tak. Kontaktuje się z nami sporadycznie.

- Chcę ją poznać. Wiem, że poznałam ją, kiedy byłam mała, ale niczego nie pamiętam. Muszę spotkać się z nią znowu, porozmawiać z nią.

- I zapytać, dlaczego wyjechała?

- Tak, coś w tym rodzaju. - Erin usiadła na sofie i popatrzyła błagalnie na siostrę. - Wiem, że uważasz to za zły pomysł, ale muszę się z nią zobaczyć.

Kerry dała za wygraną.

- Mieszka całkiem niedaleko mamy i taty. Dość długo mieszkała z pewnym facetem i prowadzili razem schronisko młodzieżowe, ale splajtowali. W zeszłym roku przeprowadziła się. Mam jej adres.

- Widujesz się z nią czasami?

- Bardzo rzadko i na bardzo krótko. - Głos Kerry miał ostre brzmienie. Erin wiedziała, że była w stanie bez trudu usunąć siostrę ze swego życia. W przypadku Kerry istniała tylko jedna opcja: albo się było z nią, albo przeciwko niej. - Ostatnim razem próbowała się ze mną skontaktować, kiedy byłam w szpitalu. Rozmawiała z Peterem, a on jest zbyt porządnym człowiekiem, by zrozumieć naszą dziwną rodzinę. Sądził, że kiedy usłyszy o mojej chorobie, natychmiast popędzi do szpitala, by mnie odwiedzić. - Kerry prychnęła. - Płonna nadzieja. Od tamtej pory nie odzywała się do mnie, choć wiem, że mama przed Bożym Narodzeniem dała jej trochę pieniędzy.

- Jest splukana?

- Shannon zawsze jest i zawsze była splukana. Kiedy ją spotkasz, wyciągnie z ciebie kilka funciaków.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Szkoda po prostu, że nie wiedziałam tego wszystkiego - rzekła powoli Erin. - Wtedy mogłabym mieć w głowie właściwy obraz.

- Pewnie sądziłaś, że była osobą idealnie nadającą się na matkę, która po prostu nie mogła się tobą zająć z powodu przerastających ją okoliczności? - zapytała gorzko Kerry

- Nie bądź taka ostra - błagała Erin.

- Jeśli jestem ostra, kiedy o niej mówię, to dlatego, że sama do tego doprowadziła. Tak bardzo zraniła mamę swoim odejściem i to z jej powodu ty wyjechałaś.

- Wiem. Ale przecież nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie ona - dodała Erin.

- Masz rację - rzekła Kerry, a z jej twarzy zaczęła znikać gorycz. - Napijmy się herbaty, a potem pojedziesz do domu, okej?

Ruch nie był duży, gdy Erin ruszyła w powrotną podróż do Cork. Powinna jej zabrać jakieś dwie godziny Włączyła telefon komórkowy i zostawiła wiadomość na poczcie głosowej Grega. Powiedziała mu, że wszystko poszło dobrze i żeby do niej zadzwonił, kiedy będzie miał możliwość. Wcześniej zostawił już dla niej kilka wiadomości i uśmiechała się, gdy ich słuchała.

- Oddzwoń, jeśli będziesz zdenerwowana - powiedział w jednej z nich. - Jeśli wszystko będzie okej, nie musisz dzwonić. Wiem, że chcesz mieć czas, by porozmawiać spokojnie z Kerry, ale pamiętaj, kocham cię. I dzidzie.

Wszystko układało się tak dobrze, pomyślała, kiedy wyjechała na główną drogę pomiędzy Cork a Portlaoise. Spotkała się z Kerry i rozmawiała z ukochanymi rodzicami. Dziecko poruszające się delikatnie w jej brzuchu było zdrowe, a ona miała za męża człowieka, którego wprost uwielbiała. Ale nie miała wszystkiego. Gdzieś głęboko w jej wnętrzu krył się ból, twardy i zimny niczym grudka węgla. Nieważne, jak dużo miłości było w jej życiu, grudka węgla zawsze była obecna, przypominając jej, że prawdziwa matka ją zdradziła. Shannon ją porzuciła i nigdy nie wróciła. Mogła, ale nie chciała. Erin była pełna determinacji, by poznać tego powody.

Rozdział dwudziesty szósty

Lizzie wiedziała, że nie powinna szaleć ze szczęścia z powodu tego, że wybierała się na kolację z kimś, kogo znała zaledwie od kilku dni, ale nic nie mogła na to poradzić. Kiedy nazajutrz po skoku ze spadochronem Simon zadzwonił, by się z nią umówić, ogarnęła ją ogromna ekscytacja.

- To był świetny wieczór, prawda? - zapytał, a serce Lizzie fiknęło koziołka na myśl, że to nie tylko jej wyobrażenia, lecz naprawdę spodobała się Simonowi.

- Cudowny - odparła, zapomniawszy zupełnie o stresie towarzyszącym jej tego dnia.

Debra rozchmurzyła się dzięki wyprawie na zakupy, zakończonej kupnem kosztownych sandałów. Kiedy zadzwonił Simon, Debra była na górze i przymierzała je do wszystkich swoich ubrań. Głośno puszczone radio świadczyło o tym, że w jej świecie wszystko gra.

- Pomyślałem, że może miałabyś ochotę wyjść jeszcze raz na kolację, tym razem tylko ze mną.

- Tak - wyszeptała Lizzie, zupełnie zapominając o tym, że nowoczesne kobiety powinny grać trudne do zdobycia.
- Bardzo chętnie.

Ustalili, że zjedzą tę kolację w środę, ponieważ we wtorek Lizzie musiała zostać dłużej w pracy

- Dokąd się wybierzemy? - zapytała z entuzjazmem.

Długo się zastanawiali, w końcu zdecydowali się na restaurację serwującą owoce morza, gdzie w środy grał zespół jazzowy.

- Podjadę po ciebie o siódmej, może tak być? - zapytał Simon.

- Eee, nie, spotkamy się na miejscu - odparła Lizzie, myśląc o Debrze, która nie była przyzwyczajona do tego, że jej matka chodzi na randki.

- Kto dzwonił? - zapytała, schodząc na dół, nacieszywszy się już nowymi sandałami.

- Och, eee, pomyłka - skłamała Lizzie.

Spędziła wtorek i większość środy w stanie pełnego podekscytowania. Miała randkę! Dziewczyny, które napisały te „Rzeczy do zrobienia...”, na pewno nie pochwałyby takiego entuzjazmu.

„Każ mu błagać” stanowiłoby bez wątpienia ich radę, plus kilka pomocnych wskazówek, jak poprawić jego technikę w łóżku, tak by ona, kobieta, przeżywała lepsze orgazmy, zanim on w ogóle pomyśli o swoich. Lizzie wiedziała to wszystko, ponieważ ostatnimi czasy regularnie przeglądała czasopisma dla młodszych kobiet. Oczywiście w tajemnicy

Wiedziała także, że w tym niezwykle mało prawdopodobnym przypadku, gdyby wylądowała w łóżku z Simonem, byłaby zbyt świadoma własnej archaicznej techniki, by krytykować jego. „Nowoczesne kobiety są takie silne i wiedzą, czego chcą”, pomyślała z zazdrością. Były takie jak kot Clare Morgan, Tygrysek - powściągliwy i ostrożnie obdarzający swymi względami. Ona, z drugiej strony, miała charakter psa pasterskiego - tak uszczęśliwiona towarzystwem, że chętnie podbiegłaby i polizała twarz Simona. Cóż, może niezupełnie, ale z pewnością zachowałaby się równie radośnie.

Jedyną drobnostką psującą przyjemność była kwestia, co na siebie włożyć. Lizzie, która przez wiele lat wieczory spędzała w domu w tradycyjnym stroju składającym się z jakiejś ładnej bluzki i spódnicy lub spodni, nagle w ogóle nie miała ochoty na taki zestaw. Co byłoby odpowiednie? Po niefortunnym zakupie bluzki na przyjęcie u Richardsonów i jaskrawożółtej garsonki na ślub, nie miała odwagi, by iść i kupić coś nowego.

Debra wychodziła w środę z przyjaciółką Friedą na rundkę po klubach.

- Barry od dawna już mnie tłamsił. Tak długo nie byłam w klubie - oświadczyła swej matce. Planowała wrócić do domu po pracy po to tylko, by się przebrać.

„Super”, pomyślała Lizzie. To oznaczało, że będzie miała czas na przymierzenie wszystkich swoich ciuchów i paradowanie w nich przed lustrem na korytarzu.

Jednak kiedy wróciła do domu z pracy, Debra wciąż tam była i miała chmurną, i obrażoną minę.

- Frieda odwołała wyjście - oświadczyła. - A ja tak się nie mogłam doczekać tego wieczoru.

- Och. - Lizzie dokonała w myślach pospiesznych kalkulacji: skoro Debra była zła, że nie wychodzi z przyjaciółką, z pewnością będzie się spodziewać, że zastąpi ją jej matka. To oczywiste, że Lizzie nie nadawałaby się na wędrowną po klubach, ale kolacja byłaby jak najbardziej do zaakceptowania. Wiedziała teraz, na co jej córka i zięć wydawali wszystkie pieniądze: na jedzenie na mieście. Wyglądało na to, że Debra i Barry chodzili do restauracji przynajmniej dwa razy w tygodniu, często trzy albo nawet cztery Debra wyraźnie oczekiwała, że tak będzie także i teraz, a finanse Lizzie nie dawały temu rady - Wychodzę wieczorem - rzekła nerwowo.

- Dokąd? - zapytała ostro Debra, mierząc matkę spojrzeniem bazyliuszka.

- Do Erin - odparła Lizzie, modląc się, by nie uderzył w nią piorun za takie kłamstwa.

- Zadzwoń w takim razie do Mags i zobaczę, co ona dziś robi - westchnęła Debra, kiedy stało się jasne, że zostanie sama.

Zanim Lizzie była gotowa do wyjścia, Debra zdążyła już przeplanować swój wieczór i chciała, by mama podrzuciła ją do Cork, gdzie miała się spotkać z Mags i spędzić razem z nią szalony wieczór.

- Biorę taksówkę - rzekła Lizzie. Debra westchnęła teatralnie.

- W takim razie ja też będę musiała tak zrobić. Wystroiłaś się - dodała.

Lizzie, która na dnie szafy znalazła wyszczuplającą i seksowną czarną sukienkę z dżerseju z głębokim dekoltem w kształcie litery V, zarumieniła się.

- Wiesz, że lubię się czasem postarać - odparła.

Była zadowolona, że to zrobiła. Spóźniła się odrobinę do restauracji, ale jej wysiłki włożone w przygotowania zostały nagrodzone, kiedy w oczach Simona dostrzegła błysk podziwu.

- Świetnie wyglądasz - rzekł i było jasne, że tak właśnie uważał.

- Ty też - odparła.

I taka była prawda. Zwykła koszula rozpięta pod szyją nie była w stanie ukryć jego szczupłego, umięśnionego ciała i Lizzie przeszedł dreszczyk ekscytacji na myśl o tym, że umówił się z nią taki mężczyzna. Myles był przystojny, zgoda, ale brakowało mu tego czystego, męskiego magnetyzmu Simona.

- Nie sądziłem, że kobiety mówią mężczyznom, iż świetnie wyglądają - uśmiechnął się szeroko Simon.

- Nie zauważyłeś jeszcze, że nie jestem taka, jak większość kobiet? - zapytała Lizzie, a w jej oczach pojawiły się błyski.

Wcześniej martwiła się, że nie będzie wiedziała, co powiedzieć Simonowi, ponieważ minęło już tyle czasu, odkąd była na prawdziwej randce. Rozmawianie z nim okazało się jednak proste. Lizzie nie musiała udawać kogoś, kim nie była, i nie robił tego także Simon.

Przy pysznym jedzeniu, przy akompaniamencie świetnego zespołu jazzowego, grającego w tle, rozmawiali o życiu, miłości, rozwodzie, dzieciach (Simon miał dorosłego syna, który mieszkał w Belfaście), pracy i pogoni za przygodą.

- W porównaniu z tobą jestem nudna - rzekła Lizzie, kiedy Simon opowiedział o swojej pracy. Był instruktorem latania i współwłaścicielem ośrodka Santa Monica przez ostatnie dziesięć lat.

- Nie jesteś ani trochę nudna - odparł, a kiedy ich spojrzenia skrzyżowały się, poczuła przyspieszone bicie serca. - Nie czepiaj się samej siebie, Lizzie.

- Och, wolę to zrobić sama niż czekać, aż uczyni to ktoś inny - rzuciła lekko. Po czym umilkła.

Simon nie wyciągnął ręki nad stołem, ale miała uczucie, jakby nagle delikatnie ją dotykał.

- Nie powinnaś być dla siebie taka surowa - rzekł łagodnie. - Nie ma w tobie nic nudnego.

- Niełatwo się pozbyć starych przyzwyczajeń - odparła Lizzie.

Tym razem Simon rzeczywiście jej dotknął - jego palce przesunęły się po stole, by zetknąć się leciutko z czubkami jej palców. To był bardzo delikatny dotyk, jednak wprost naładowany elektrycznością. „Żaden pocałunek z językiem nie mógłby być tak czuły jak ten dotyk”, pomyślała ze zdumieniem Lizzie.

Kiedy pary zaczęły tańczyć na niewielkim, drewnianym parkiecie, Simon posłał jej pytające spojrzenie. Lizzie sprzed kolacji powiedziałaaby „nie”, ponieważ w żadnym wypadku nie można było o niej powiedzieć, że jest dobrą tancerką, a poza tym mógł wtedy dostrzec jej wielki tyłek. Siedząc, była w stanie go ukryć.

„Pokolacyjna” Lizzie uśmiechnęła się i wstała z krzesła.

- Mam dwie lewe nogi - wyszeptala mu do ucha, kiedy kierowali się w stronę parkietu.

- Stare przyzwyczajenia - mruknął Simon, przytulając ją do siebie.

- Nie, naprawdę - zaśmiała się Lizzie. - To nie żart, jestem naprawdę beznadziejna.

W przeciwieństwie do Simona Lizzie nigdy nie lubiła tańczyć z kimś, kogo nie znała, ale czując przy swoim ciele ciało Simona i otaczające ją ramiona, nagle nauczyła się poruszać. Opierając się o niego i cudownie się czując w jego ramionach, tańczyła tak, jak jeszcze nigdy w życiu, pozwalając, by jej ciało brał w posiadanie melodyjny jazz.

- Czemu mówiłaś, że nie umiesz tańczyć? - zapytał Simon.

- Bo nie umiałam, aż do teraz.

- Robiłaś to w takim razie z nieodpowiednim partnerem - stwierdził, a jego głos zabrzmiał w jej uchu nisko i chrapliwie.

W tych okolicznościach nie mogła odmówić, kiedy zaproponował, że odwiezie ją do domu. Postanowiła, że zaprosi go na kawę. Tylko kawę. Mogła to zrobić, ponieważ Debry nie było w domu i wróci jak nic dopiero za kilka godzin.

Gdy byli już w domu, Simon sprawiał wrażenie odprężonego i Lizzie pozwoliła sobie na to samo.

Przyjemnie było zaprosić mężczyznę na kawę, ufając mu i wiedząc, że nie ma zamiaru się na nią rzucić. Kiedy jednak siedzieli na przeciwnych końcach sofy, rozmawiając i śmiejąc się, Lizzie przyłapała się na tym, że wciąż myśli o tym, że byłoby miło, gdyby wydarzyło się coś więcej.

Wciąż przyglądała się, jak silne palce Simona trzymają kubek z kawą, i wyobrażała sobie, jak te palce przesuwają się kusząco wzdłuż dekoltu jej sukienki.

„Przestań, Lizzie”, nakazała sobie w myślach.

Była prawie dwunasta, kiedy Simon niechętnie rzekł, że powinien się zbierać.

- Muszę jutro wcześniej wstać - wyjaśnił.

- Tak, oczywiście - odparła Lizzie. Nie pamiętała już, kiedy tak szybko minął jej wieczór. Także odstawiła kubek i popatrzyła na swego gościa ponad Syberią, jaką stanowił środek jej sofy - Cóż, nie musisz jechać tak od razu.

- Powiniennem, Lizzie.

- Tak - rzekła zawiedziona.

- Jesteś zbyt kusząca w tej sukience - kontynuował.

- Już dawno nie miałam okazji jej nosić - odparła radośnie.

- Niewystarczająco często wychodzisz - uśmiechnął się szeroko Simon, wstając z sofy.

Lizzie także wstała i nie wiedziała, jak to się stało, ale nagle dotykali się i całowali. Było tak jak wtedy, gdy tańczyli, tyle że tym razem nie było wokół nich innych ludzi. Dłonie Simona przyciągnęły bliżej jej ciało, a ona przytuliła się, całując go tak, jakby zależało od tego jej życie. A potem siedzieli na sofie, Lizzie opleciona wokół niego, i zastanawiała się, czy nie włączyła przez pomyłkę ogrzewania, ponieważ było jej tak gorąco i...

- Mamo! Co ty u licha wyprawiasz?

Lizzie wyplątała się z objęć Simona niczym uczennica przyłapana za szopą na rowery. Obciążając pospiesznie sukienkę, zobaczyła, że w drzwiach stoi Debra, a na jej twarzy maluje się obrzydzenie.

- Kto to? - zapytała Debra, takim samym tonem, jakim spytałaby o pochodzenie kupy pod jej butami.

- Jestem Simon - odparł spokojnie, wstając z sofy. Lizzie podejrzewała, że spadochroniarstwo uczyło zachowywania spokoju bez względu na okoliczności.

- To Debra, moja córka - rzekła, mając nadzieję, że zwyciężą dobre maniery. Tak się jednak nie stało.

- Sprowadzasz do domu obcych mężczyzn! - oświadczyła z wściekłością Debra. - Co ty sobie myślałaś, mammo?

- Pójdę sobie - rzekł Simon, stając obok Lizzie. - Mogę też zostać, jeśli chcesz.

- Idź - odparła, czując się jak tchórz.

Nie mogła znieść obrzydzenia Debry wobec kogoś tak uroczonego jak Simon. Pocałował ją delikatnie w policzek, gdy tymczasem jej córka wydawała odgłosy świadczące o odrazie.

- Jutro do ciebie zadzwonię - rzekł, po czym wyszedł.

- Nie do wiary, że zrobiłaś coś takiego! - zapiszczała Debra, kiedy drzwi wejściowe zamykają się cicho.

- Przyprowadziłaś do domu obcego mężczyznę. Mógł się okazać gwałcicielem albo jeszcze gorzej. Jesteś głupia? Zupełnie postradałaś zmysły? I to w dodatku w twoim wieku!

- Mój wiek nie ma z tym nic wspólnego - odparła urażona Lizzie.

- Ależ ma - oświadczyła jej córka. - Kim jest ten człowiek? Gdzie go poznałaś?

Wydawała się taka zdenerwowana tym, że przyłapała matkę w domu z obcym mężczyzną, że Lizzie nie wiedziała, jak ją uspokoić.

- Poznałam go na kursie spadochroniarskim. Jest jednym z instruktorów. Jest miły - odparła.

- Miły! - zawołała drżąc Debra. - Nie wystarczy, że jest miły! Dopiero co go poznałaś. Niczego o nim nie wiesz! Mogłaś wyjść dzisiaj ze mną, ale tego nie zrobiłaś. To oczywiste, że nie byłaś u Erin. Dlaczego mnie okłamałaś? Skłamałaś, by spotkać się z tym facetem. Dlaczego musiałaś go tutaj sprowadzać? Nie mogę uwierzyć, że mi to zrobiłaś!

Lizzie nie wiedziała, dlaczego zaproszenie Simona na kawę miało być atakiem przeciwko Debrze, ale było jasne, że jej córka tak właśnie to odbierała. Lizzie porzuciła ją dla jakiegoś mężczyzny i ona nie mogła tego znieść.

- Nie chciałam cię okłamywać, kochanie.

- Ale to zrobiłaś - jęknęła Debra. - Myślałam, że mamy się nawzajem wspierać. Nigdy nie sądziłam, że mnie okłamiesz.

- Tak bardzo mi przykro, skarbie - rzekła Lizzie, powielając dobrze znany wzór. Widziała, jak w oczach Debry wzbierają łzy, i wiedziała, że kiedy jej córka czuje się zagrożona, ją samą wytrąca to z równowagi. - On już sobie poszedł - dodała bezradnie.

- Musisz być ostrożna, mamó - pociągnęła nosem Debra.

- Nie mów mi, że ten dzisiejszy Lothario nie postrzegł cię jako łatwego celu. Starsza kobieta, mieszkająca sama, rozwiedziona. Uznał cię za łatwą zdobycz, mamó.

- Nieprawda! - zaprotestowała Lizzie.

- Och, mamó, zejdź na ziemię. Chodzi mi o ciebie, wiesz? Ci dranie wybierają pewien typ starszych kobiet, taki jest właśnie przekręt. A ty się dałaś nabrać. Minąłby tydzień, a zaczęłyby od ciebie pożyczać pieniądze.

- Simon nie jest taki - odparła cicho Lizzie.

- A skąd możesz wiedzieć? I czy choć przez chwilę pomyślałaś o mnie, mamó, wracającej do domu, by ujrzeć własną matkę na sofie z obcym mężczyzną? Doznałam ciężkiego szoku. Co tata by sobie pomyślał?

- Jesteśmy rozwiedzeni - odrzekła Lizzie, ale uszła z niej cała para. Usiadła na sofie. Zbierało jej się na płacz.

- Och, mamó. - Debra wyglądała na skruszoną. - Naprawdę cię kocham. Martwię się o ciebie, to wszystko. Nie chcę patrzeć, jak cierpisz, a tak właśnie by się stało w tym przypadku: zostałaśby zraniona. Potrzebujesz kogoś, by się tobą zaopiekował, i to naprawdę cudownie, że masz mnie, a ja ciebie, prawda? Możemy się sobą nawzajem opiekować.

- Tak - rzekła cicho Lizzie.

Debra usiadła na sofie i otoczyła matkę ramionami.

- Same możemy wyjść i dobrze się bawić; niepotrzebni nam mężczyźni, prawda? - zapytała niczym mała dziewczynka.

- Tak - powtórzyła Lizzie.

- A mężczyźni jedynie komplikują życie, a tego akurat nam nie trzeba, prawda?

Jej matka potrząsnęła głową.

- Nie trzeba.

Miejsce pochówku Sally, położone w smagany wiatrem odległym rogu cmentarza Archaniola Gabriela, miało ten charakterystyczny wygląd świeżego grobu. Było zbyt wcześnie na nagrobek; ziemia nie zdążyła się jeszcze uleżeć na trumnie Sally. Na kopcu ziemi nie rosła trawa, choć małe, zadbane doniczki z kwiatami wokół niego świadczyły o tym, że Steve bywa tu regularnie.

Pomiędzy doniczkami znajdował się niewielki porcelanowy wazon z różami. Były czerwone - róże z ogrodu Sally - i zostały do niego wstawione zaledwie dzień lub dwa temu. Aby pękło serce, gdy wyobrażała sobie, jak Steve ostrożnie ścina pąki i wkłada je do wazonu w hołdzie swej ukochanej żonie.

Abby zastanawiała się smutno, czy ktoś dbałby z takim uczuciem o jej grób, gdyby odeszła. Pewnie nie. Żle się czuła z tym, że nad grobem przyjaciółki użala się nad sobą. Była zdrowa, nie zasługiwała na to, by się nad sobą litować.

Zamiast tego powinna współczuć Steve'owi. Dzwoniła do niego wielokrotnie, ale zawsze włączała się automatyczna sekretarka, a on nie oddzwaniał. Abby była rozdarta między pragnieniem uszanowania jego prywatności a poczuciem, że powinna sprawdzić, czy nie mogłaby mu jakoś pomóc.

Wiedziała, że potrzebny jest mu czas na żałobę, ale obiecała przecież Sally, że się nim zaopiekuje. Nawet tego nie potrafiła zrobić właściwie.

Zamknęła oczy i zmówiła kilka modlitw za Sally. Nie była na cmentarzu od dnia pogrzebu, ale dzisiaj, przejeżdżając obok niego w drodze za miasto, nagle ogarnęła ją chęć odwiedzenia miejsca spoczynku przyjaciółki.

Pomyślała, że spokojny, cichy cmentarz będzie doskonałym miejscem, by porozmawiać z Sally i zapytać ją, czy powinna błagać Toma o to, by spróbowali uratować ich małżeństwo. To było dziwne, ponieważ gdyby Sally żyła, Abby nie musiałaby zadawać jej tego pytania. Sally była zbyt świadoma wartości tego, co się posiadało w życiu, i zrobiłaby wszystko, by pogodzić swych przyjaciół.

Abby położyła przyniesione kwiaty obok róż Steve'a. Modliła się, by Sally była teraz w jakimś miłym miejscu, gdzieś, skąd mogła na nich wszystkich patrzeć, szczęśliwa, zadowolona i kochana, na co przecież tak bardzo zasługiwała.

Kiedy szła do samochodu, była w ponurym nastroju, pomimo wysiłków, by się ożywić przed spotkaniem z Tomem. Postanowili się umówić w jakimś neutralnym miejscu. W Lyonais mieliby spokój, ale dom był pełen złych wspomnień. Tom wybrał pub przy drodze między Cork a Dunmore i był już tam, kiedy Abby wjechała na parking.

Zaparkowała obok jego samochodu i udała się pospiesznie do pubu, wiedząc, że spóźniła się kilka minut.

- Witaj, Abby - odezwał się Tom. Siedział przy niewielkim stoliku z kuflem guinnessa i krzyżówką przed sobą. Nie znośił czekać, jeśli nie miał czegoś do czytania. Musiał siedzieć tutaj już dość długo, skoro przeczytał całą gazetę i zabrał się za krzyżówkę.

Abby przekonała się ze zdziwieniem, że jej mąż dobrze wygląda. Zawsze jej się wydawało, że kiedy mężczyźni wyprowadzali się z domu, by spać na kanapie u kumpla, nosili kiepsko wyprasowane koszule i mieli dziwne plamy na krawatach. Jednak Tom, który nigdy tak naprawdę nie ubierał się jakoś szczególnie sztywnie, wyglądał naprawdę dobrze w dżinsowej koszuli i czystych, idealnie wyprasowanych spodniach koloru khaki.

- Czego chcesz, Abby? - zapytał bez wstępu ani choćby zaproponowania jej czegoś do picia.

Nieco zaskoczona jego tonem usiadła i rozpoczęła przygotowaną wcześniej mowę.

- Nie przyjechałam, by rozmawiać z tobą o prawnikach, rozwodzie czy sprzedaży domu - zaczęła. - Przyjechałam tutaj, by się przekonać, czy nie moglibyśmy spróbować jeszcze raz. Proszę, wysłuchaj mnie, Tom. Uważam, że powinniśmy dać naszemu małżeństwu szansę dla dobra Jess. I mojego - dodała. - Tak bardzo mi ciebie brakuje, nie masz pojęcia jak bardzo. Zrobiłabym wszystko, bylebyśmy tylko spróbowali jeszcze raz.

Patrzył na nią ponad stolikiem, ale nie odezwał się ani słowem. Abby odebrała to jako sygnał zachęcający do dalszego mówienia.

- Moglibyśmy zapisać się na terapię - zaproponowała.

- Właściwie to nawet *powinniśmy* to zrobić, ponieważ wiem, że ciężko ci będzie pogodzić się z tym, co się stało, i trudno ci będzie mi zaufać. Ale to się już więcej nie zdarzy. - Teraz słowa, które ćwiczyła przed spotkaniem, wypływały z jej ust bez problemu. - To był tylko jeden raz, głupia, głupia chwila, kiedy nie myślałam o tobie ani naszym małżeństwie, ani o Jess czy też czymkolwiek innym... I jest mi naprawdę strasznie, ale to strasznie przykro, Tom, nie widzisz tego? - W jej oczach było błaganie i wyciągnęła rękę, by dotknąć jego dłoni. Jednak Tom zabrał ją ze stołu, nim zdążyła to zrobić.

- A więc dlatego tutaj przyjechałaś - rzekł z goryczą.

- Żeby mnie błagać, bym wrócił, by wszystko znowu było idealnie. Nie mogę uwierzyć, że w ogóle tego próbujesz, Abby Naprawdę sądzisz, że to takie proste? Naprawdę sądzisz, że może być znowu tak, jak kiedyś?

- Nie - odparła pospiesznie. - Wiem, że nie będzie tak jak kiedyś, ale możemy spróbować od początku. Od jakiegoś czasu nie działa się między nami dobrze, wiesz o tym, Tom. Oboje musielibyśmy nad tym pracować, ale nasze małżeństwo warto przecież ratować, prawda?

Na jego twarzy malowało się niedowierzanie.

- My musielibyśmy nad tym pracować? Co ty bredzisz, Abby? Ja nie zrobiłem nic złego. Nie przespałem się z nikim. Ty tak. Jeśli ktoś musi się postarać, to tą osobą jesteś ty, i osobiście nie sądzę, byś to potrafiła. Przypominasz ucznia z pierwszej klasy, stojącego w moim gabinecie i jęczącego, że wcale nie chciał uruchamiać alarmu przeciwpożarowego i że to się już nie powtórzy, naprawdę, proszę pana.

Jego głos był pełen ledwie powstrzymanego gniewu i Abby wiedziała, że tylko traci czas. Jednak musiała choćby spróbować. Nie byłaby w stanie żyć ze świadomością, że nie próbowała naprawić ich małżeństwa. Jego klęska była winą ich obojga. Owszem, to ona przespała się z Jayem, ale Tom także przyczynił się do tego. Teraz to wiedziała. Nikt nie szedł do łóżka z kimś innym, jeśli w jego związku wszystko było jak należy i Tom także musiał to wiedzieć. Spróbowała jeszcze raz.

- Tom, nie mówię, że to, co się stało, było twoją winą, ale że byliśmy partnerami w naszym małżeństwie i oboje sprawiliśmy, że źle się w nim działo. To ja dopuściłam się cudzołóstwa, ale to nie oznacza, że wszystko jest tylko moją winą, rozumiesz? Wiem, że ciężko się do tego przyznać, ale musisz...

- Muszę co? - zapytał ostro. - Muszę wziąć odpowiedzialność za to, że bzykałaś się z innym mężczyzną? Och, odpieprz się, Abby Nie przyjechałem tutaj wysłuchiwać tych bredni. Sądziłem, że chcesz porozmawiać o prawnikach i o tym, co zrobimy z domem. Nie mogę uwierzyć, że miałaś tupet, by przyjeżdżać tutaj i prosić mnie, żebym wrócił, a potem udawać, że to wszystko moja wina.

- Nie powiedziałam, że to wszystko twoja wina - zaprotestowała ze złością Abby. Naprawdę, on był taki wkurzający. Nie widział tego, że ona próbuje wszystko załagodzić, a nie zrzucić winę na niego.

Tom dopił szybko resztę guinnessa. Do tej pory niczego dla niej nie zamówił. Kiedyś czekałoby już na nią coś do picia: kieliszek białego wina był jego sztandarowym zamówieniem. Lubiła sobie żartować, że nigdy nie dawał jej szansy, by mogła zamówić coś innego.

- Jeśli tylko o tym chcesz dzisiaj rozmawiać, w takim razie ja się zbieram - warknął. - Nie mam czasu, by tu prześadywać. Mam inne życie, Abby, życie, do którego mnie popchnęłaś.

Wyszedł, nie mówiąc słowa więcej, a Abby siedziała przez chwilę w pubie, przyglądając się innym klientom, którzy śmiali się, żartowali i gawędzili z sobą, jakby nie mieli żadnych zmartwień. Gdyby tylko mogła być z powrotem taka jak oni; gdyby tylko mogła wrócić do swego dawnego życia, w którym była taka szczęśliwa i miała wszystko; gdyby tylko wcześniej to wiedziała.

W piątkowy rano Erin stała w kwaciarni obok supermarketu i wahała się nad kupnem aromatycznych lilii, egzotycznych arumów i żółtych frezji, które pachniały tak, że dech zapierało. Uznała, że mama nigdy nie przepadała za okazałymi, krzykliwymi kwiatami, i zdecydowała się na frezje. Gdy kwaciarka układała duży bukiet, Erin wyjrzała przez okno wystawowe i zobaczyła Lizzie Shanahan. Szła chodnikiem z wyrazem rozmarzenia na twarzy

- Lizzie! - zawołała, pospiesznie podchodząc do drzwi. - Witaj.

- Cześć - odparła radośnie Lizzie. - Co u ciebie? - Popatrzyła na brzuch Erin, ale nie dotknęła go, tak jak to robiło wielu ludzi. Lizzie miała dobrze rozwiniętą intuicję i widziała, jak Erin czuje się nieswojo, gdy inni to robią. - Jak tam dziecko?

- Kopie jak szalone - odparła z dumą. - To albo piłkarz, albo baletnica. Greg bardzo przeżywa, gdy także to czuje. A co u ciebie?

- Bardzo dobrze - odparła Lizzie, choć już nie tak radosnym tonem.

Debra jakoś przełknęła urazę związaną z tym, że jej matka chciała mieć własne życie i teraz dopiekała jej zjadliwymi uwagami o starszych kobietach i chłopakach. Najwyraźniej była przekonana, że Simonowi chodzi tylko o pieniądze. „Jakie pieniądze?”, chciała wiedzieć Lizzie.

Erin czuła, że coś jest na rzeczy, ale nie chciała być wścibska. Ruby podejrzewała, że Lizzie nie było łatwo mieszkać z córką, choć nie należała do osób, które lubią się skarżyć.

- Dlaczego tak sądzisz? - Erin zapytała Ruby, nie potrafiąc sobie wyobrazić, że ktoś związany z Lizzie nie byłby tak uroczy i ciepły jak ona.

- Poznałam jej córkę. To prawdziwa damulka - odparła Ruby - Nie sądzę, by w domu Lizzie było teraz zbyt wesoło. Wydaje mi się, że jej córka ma nad nią przewagę.

- Nieczęsto cię ostatnio widuję - rzekła Erin do Lizzie.

- Przepraszam. Kiepska ze mnie zastępcza mama - odparła Lizzie, ogarnięta wyrzutami sumienia. - Ja po prostu...

- Nie, nie przepraszaj - wtrąciła pospiesznie Erin. - Wszyscy jesteśmy zajęci. Mówię jedynie, że brakuje mi naszych spotkań przy kawie i pogawędek. Abby także jest bardzo zajęta: ostatnio tylko raz była w salonie, więc nie wiem także, co słyhać u niej. Musimy się razem spotkać, by porozmawiać o naszym zbieraniu funduszy na walkę z rakiem.

- Bardzo chętnie - odparła z wdzięcznością Lizzie. To właśnie było miłe w Erin. Nie była jedną z tych zaborczych przyjaciółek, które spuszczały nos na kwintę, gdy przez jakiś czas nie pamiętano o niej. - Ja już zrobiłam coś małego, jeśli chodzi o zbiórkę pieniędzy - dodała. - Skoczyłam ze spadochronem na cele dobroczynne.

- Fantastycznie! - Erin była pod wrażeniem. - Ja o tym tylko mówiłam, gdy tymczasem ty naprawdę coś zrobiłaś. Dobra robota! A ja też mam dla ciebie wiadomość - dodała z błyszczącymi oczami.

- Pani kwiaty są gotowe! - zawołała kwiaciarka.

- Zaczekaj chwilkę - rzekła Erin i cofnęła się do środka. Wróciła z bukietem. - Spotkałam się z moją siostrą, Kerry, a dzisiaj jadę do rodziców. Te kwiaty są dla mamy. Greg kończy dziś wcześniej pracę i jedziemy spędzić weekend z moją rodziną - uśmiechnęła się promiennie.

- To cudownie! - Lizzie była tak podekscytowana, że uściskała przyjaciółkę, nie zważając na kwiaty. - Wiedziałam, że będą uszczęśliwieni, kiedy się do nich odezwiesz. A nie mówiłam?

- Mówiłaś i miałaś rację - przyznała Erin. - Musiałam po prostu w to uwierzyć, by móc się z nimi skontaktować.

- Rodziny nigdy nie zapominają o ludziach, których kochają - rzekła ciepło Lizzie. - Zresztą jak mogliby zapomnieć kogoś takiego jak ty?

- Moja biologiczna matka o mnie zapomniała - odparła z żalem Erin. Mogła powiedzieć o tym Lizzie, gdyż wydawało się, że ona potrafi to zrozumieć.

- Założę się, że wcale nie zapomniała. Nie wiesz, jak wygląda jej życie. Musisz dać jej szansę.

Erin zastanowiła się nad tymi słowami. Lizzie tak bardzo wierzyła w ludzi. Dla niej nikt nie był złym człowiekiem. Jedynie okoliczności zmuszały ludzi do podejmowania niewłaściwych decyzji.

- Chciałabym być bardziej podobna do ciebie - rzekła z uśmiechem. - Ty naprawdę widzisz w ludziach to, co najlepsze. Przez całe lata czułam gorycz, myśląc o mojej matce i o tym, że mnie porzuciła, ale masz rację. Muszę jej trochę odpuścić.

Lizzie zarumieniła się z przyjemności, gdy usłyszała, że ktoś pokroju Erin chciałby być podobny do niej.

- Gorycz donikąd nie prowadzi - odparła. - Sama się o tym przekonałam.

- Lizzie, nie mogłabyś taka być, nawet gdybyś się starała.

- Ja też mam swoje słabości - przyznała Lizzie. - A więc jesteś podekscytowana?

- Muszę przyznać, że niesamowicie się denerwuję. - Pauza. - I jest mi też trochę smutno. Straciłam tak wiele z ich życia. Pewnie zawsze będę czuć smutek z tego powodu.

Spojrzenie Lizzie wydawało się odległe.

- Każdy z nas nosi w sercu trochę smutku, Erin. Dzięki temu jesteśmy wdzięczni za to, co mamy

Erin na początku uważała, że rodzina powinna się spotkać w hotelu Wexford, gdzie ona i Greg mieli się zatrzymać na weekend.

- Nie bądź głupia - oświadczyła otwarcie Kerry - Dlaczego mielibyśmy to zrobić? Mamie i tacie jest smutno, że nie mają wystarczająco miejsca, byście mogli nocować z nami wszystkimi, ale mają tylko trzy pokoje i uwierz mi, kiedy jesteśmy tam my i dziewczynki, to robi się straszny ścisk. Mama i ja zamierzamy w piątek przygotować kolację, więc przyjdziecie tutaj, a potem możecie wrócić do hotelu.

Nie było sensu protestować, kiedy Kerry była w takim nastroju. Tak więc Erin i Greg udali się do hotelu, zameldowali, po czym pojechali na południe do miasteczka na wybrzeżu, gdzie mieszkali jej rodzice. Podczas całej drogi Erin zachowywała się niczym kotka na gorącym, blaszanym dachu, choć naprawdę starała się uspokoić dla dobra dziecka.

- To biedne dziecko przyjdzie na świat znerwicowane - martwiła się po kolejnym napadzie rozważań w stylu: „Mam nadzieję, że się ucieszą na mój widok, ale co będzie, jeśli nie?”.

- Mała odziedziczy mój spokój - odparł Greg. - Moja matka jest spokojna, tata niesamowicie wyluzowany i ten zawarty w genach spokój będzie stanowił przeciwwagę dla wszystkich nerwic z twojej strony.

- Flynnowie nie są neurotykami - zaprotestowała Erin, dotknięta tą sugestią. - Kiedyś byłam spokojna, tylko po prostu dużo się teraz dzieje.

Greg zaśmiał się.

- Mówiłem ci, że wiem, jak ci poprawić nastrój - rzekł.

Erin odprężyła się.

- A poza tym, kto twierdzi, że to będzie dziewczynka? - zapytała.

- Te pełne determinacji kopnięcia - odparł Greg. - Przypominają mi ciebie, nie mogącą usiedzieć w miejscu, dlatego wiem, że to będzie dziewczynka.

Erin wyciągnęła rękę i oparła ją z tyłu jego szyi, głaszcząc czule. Nie odezwała się ani słowem; nie musiała.

Kiedy dojechali do domu rodziców, Erin była kłębkim nerwów

- Tak się cieszę, że to ty kierujesz, ponieważ ja nigdy bym tutaj nie trafiła i jeździłabym tylko w kółko - paplała, po raz chyba tysięczny przeglądając się w lusterku w osłonie przeciwsłonecznej.

Greg rozumiał ją wystarczająco dobrze, by nie komentować tego potoku słów, zapewnił ją jedynie, że wygląda ślicznie. Wszyscy musieli czekać przy oknach, ponieważ Greg jeszcze nie zdążył zaparkować samochodu przed ładnym, małym domkiem z kamienia, gdy drzwi się otworzyły na oścież i mieszkańcy wysypali się na dwór.

- O Boże, Greg, spójrz tylko, to tata i Kerry, i mama...

Greg przytomnie zatrzymał się tam, gdzie akurat się znajdował. Erin otworzyła gorączkowo drzwi i wysiadła prosto w ramiona ojca, i nagle jej matka też tu była, i Kerry, i Lianne, i wszyscy ściskali się i śmiali, i płakali w tym samym czasie.

- Niech no ci się przyjrzę - rzekła mama, ujmując w obie dłonie twarz Erin i patrząc na nią tak, jakby mogła wykasować stracone lata nauczeniem się na pamięć wszystkich nowych zmarszczek i piegów na ukochanej twarzy. - Jesteś piękna - oświadczyła.

- Zawsze była piękna - stwierdził tata, trzymając dłoń Erin tak mocno, jak tonący trzyma się łodzi ratunkowej.

Erin nie miała pojęcia, co jedli na kolację. Nie była w stanie skoncentrować się na czymś tak przyziemnym. Zamiast tego nieustannie posyłała spojrzenia rodzicom, zauważając, że z wiekiem mama wydawała się taka jakaś mniejsza i bardziej przygarbiona, a włosy taty z siwych zmieniły się w srebrne. Wyglądali starzej, co do tego nie było wątpliwości. Zrobiłaby wszystko, by cofnąć czas i być z nimi przez te utracone dziewięć lat, i wiedziała, że zawsze będzie ją dręczył poczucie straty. Jednak pomyślała o tym, co powiedziała Lizzie: „Każdy z nas nosi w sercu trochę smutku, Erin. Dzięki temu jesteśmy wdzięczni za to, co mamy”.

Lizzie miała rację. Lata spędzone z dala od rodziny sprawiły, że Erin doceniała ich wszystkich jeszcze bardziej. Tak wiele rodzin kłóciło się i obrzucało przez cały czas wyzwiskami, nie rozumiejąc, co naprawdę znaczą więzy rodzinne. Ona miała szczęście, ponieważ teraz wiedziała, czym jest rodzina.

Patrzyła, jak Kerry i Peter śmieją się z czegoś, co powiedział Greg. Peter był miłym człowiekiem, bardzo spokojnym, jak przystało na kogoś żyjącego z takim żywym srebrem jak Kerry, i bardzo przyjacielskim wobec siostry swojej żony. Było jasne, że uwielbia Kerry i ich dzieci, i Erin dostrzegła, jak bez przerwy dotyka z czułością Kerry, ściska mocno jej dłoń i głaszcze ją po ramieniu.

Mogli utracić także i ją, uświadomiła sobie Erin. Rak mógł zabrać jej siostrę tak samo, jak zabrał Sally. A Sally, niech spoczywa w pokoju, dokładnie wiedziała, jakie znaczenie ma rodzina.

Nagle Erin doznała olśnienia. Rodzina i Sally. Tak wiele razy Erin zastanawiała się, jak sobie radzą rodziny ludzi chorych na raka. Starając się grać odważnych, musieli skrywać własne lęki i płakać w samotności. Jednak gdyby było jakieś miejsce, gdzie wszyscy mówiliby o chorobie, gdzie dostępna byłaby terapia dla chorej osoby i dla jej rodziny, dzieci, wszystkich? Na to właśnie mogliby zbierać fundusze. Po kolacji Erin podzieliła się tym pomysłem z siostrą.

- Chodzi ci o coś takiego, jak ośrodek Życie kontra Rak? - zapytała Kerry z zainteresowaniem.

- A co to takiego? - zapytała Erin.

Kerry wyjaśniła, że ośrodek, w którym pracuje, powiązany był z ogólnokrajową organizacją dobroczynną, która zbierała fundusze na leczenie uzupełniające dla chorych na raka.

- To podejście holistyczne - oświadczyła Kerry. - Mają wykwalifikowanych terapeutów dla rodziny i osoby chorej na raka i oferują różne rodzaje terapii, od wizualizacji i medytacji do porad dietetycznych. Taka pomoc bywa także bardzo praktyczna. Na przykład ja pojechałam do ich ośrodka w Dublinie, by dobrać sobie perukę. Wiesz, naprawdę większość peruk jest beznadziejna, ale w ośrodku ŻKR w Dublinie mają specjalnie przeszkolone fryzjerki, które zajmują się tylko nimi. - Kerry dotknęła z namysłem swych krótkich włosów - Dzięki nim moja peruka wyglądała fantastycznie, naprawdę naturalnie, a kiedy jest się łysą, nie ma się brwi, a cera po chemii jest ziemista, potrzebna ci każda możliwa pomoc. Erin poczuła, jak wzbierają w niej emocje.

- W takim razie o to chodzi - oświadczyła zdecydowanie. - Na to właśnie będziemy zbierać pieniądze: na podobny ośrodek w Dunmore.

W sobotę Greg został w hotelu, żeby trochę popracować, zaś Erin pojechała do domu rodziców. Peter zabierał dziewczynki na całe przedpołudnie i mieli siedzieć, i rozmawiać tylko we czworo.

Przy pierwszym z wielu kubków herbaty Erin po raz pierwszy wysłuchała historii Shannon.

- Shannon była taka krnąbrna, kiedy była młodsza - wyjaśniła mama.

Przed nią stał na stole stary dzbanek do herbaty z białej porcelany, tak jak to pamiętała z dzieciństwa Erin. Ten dzbanek był niemal członkiem rodziny, i widząc ich wszystkich zgromadzonych wokół niego, Erin miała wrażenie, jakby czas stanął w miejscu. Oczywiście, na twarzy matki więcej było zmarszczek, a artretyzm zniekształcił jej dłonie. Jednak w jej niebieskich oczach nadal było obecne ciepło - w oczach, którym nic nie umknie.

- Nie znosiła szkoły, to pewne. Bałam się chodzić na wywiadówki, gdyż zawsze musiałam wysłuchiwać skarg na Shannon: a to opuściła jakieś zajęcia, a to nie zwracała sobie głowy odrabianiem pracy domowej.

Rodzice wymienili znaczące spojrzenia, przypominając sobie te czasy.

- Pójdę porąbać trochę drewna do pieca - rzekł tata, wstając.

W drodze do wyjścia poklepał Erin i Kerry po ramionach. Dzień był ciepły i z całą pewnością nie było potrzeby rozpalania ognia, ale Erin wiedziała, że jej ojciec czuł się niepewnie podczas tego typu rozmów. Pragnął w życiu prostych rzeczy: żeby w jego rodzinie dobrze się działo, żeby panował spokój i żeby nie było potrzeby zwoływania ponurych, rodzinnych konferencji.

Kiedy wyszedł, mama powróciła do opowieści.

- Wasz ojciec nigdy nie wiedział, jak postępować z Shannon - rzekła ze smutkiem. - Uwielbiał ją, ale jej nie rozumiał. W czasach naszej młodości ludzie cieszyliby się, mając szansę kształcenia się i pójścia na studia, ale dla Shannon nie miało to znaczenia. Nie mogła się doczekać, kiedy skończy szkołę i ruszy w świat.

- Na pewno strasznie się poczuliście, kiedy ja zapragnęłam zrobić to samo - wtrąciła Erin, krzywiąc się na myśl, że jej matka musiała doświadczyć uczucia déjà vu, gdy w prezencie na osiemnaste urodziny zażyczyła sobie pieniądze, by mogła podróżować.

- Ty byłaś inna - odparła ciepło mama. - Shannon pragnęła wyjechać i ratować świat, i nigdy nie wrócić; ty chciałaś jedynie doświadczyć nieco ekscytacji.

- No i widać, jak to się skończyło - rzekła powoli Erin.

- Ach, zejdź z krzyża, pani męczennico - mruknęła Kerry - Komuś innemu przyda się drewno.

Wszystkie trzy roześmiały się.

- A potem - mama pociągnęła łyk herbaty, która do teraz z pewnością była już zimna - pewnego wieczoru wróciła do domu i oświadczyła nam, że jest w ciąży. Nie była to wiadomość, którą pragnęliśmy usłyszeć, ale obiecaliśmy, że jej pomożemy. Kochaliśmy ją, cóż innego mogliśmy uczynić? Wasz ojciec powiedział, że możemy zrobić w domu dobudówkę z jeszcze jednym pokojem. Mieszkaliśmy wtedy w Raheny i dom był mały, prawdę mówiąc za mały dla nas czworga i jeszcze dziecka. Ale Shannon odparła, że nie ma mowy, że nie chce nawet o czymś takim słyszeć. Postanowiła, że odda dziecko do adopcji i nie pozwoli, by przywiązało ją do jednego miejsca.

Słyszac te słowa, Erin zrobiło się ciężko na duszy. Bolało słuchanie o tym, że nie było się chcianą, że jej matka planowała ją oddać.

- Wiem, że ciężko jest ci tego słuchać, skarbie - rzekła mama - ale chciałam powiedzieć ci prawdę, wszystko tak, jak było. Jestem ci to winna. Wcześniej sądziłam, że mogę cię chronić półprawdami, ale myliłam się, więc to jest prawdziwa, nieokrojona historia.

- Chcę usłyszeć prawdę. - Erin nie kłamała, ale nie sądziła, że to będzie aż tak bolesne.

- Jesteś pewna? - zapytała mama.

Erin kiwnęła głową i zerknęła na Kerry, która miała minę kogoś, kto już to wszystko słyszał i znał tę historię ze szczegółami.

- Wasz ojciec i ja nie mogliśmy znieść myśli, że zostaniesz oddana do adopcji, powiedzieliśmy więc Shannon, że my się zajmujemy twoim wychowaniem. Tak się zdarza, skarbie - dodała z powagą. - Wiele jest na świecie dzieci wychowywanych przez dziadków, sądzących, że ciocie i wujkowie są ich rodzeństwem. Chcieliśmy jedynie tego, co byłoby najlepsze dla was obu, i wydawało nam się, że tak właśnie będzie dobrze.

- Wiem - odparła Erin. - Byliście wspaniali, że to zaproponowaliście, mamó, naprawdę. Po prostu przeżyłam szok, kiedy się o tym dowiedziałam.

Niebieskie oczy jej matki zasnuły się mgłą.

- Powinnam ci była powiedzieć wcześniej. Bóg jeden wie, jak wiele na ten temat rozmawialiśmy. Ale robiłaś się coraz starsza i nie wiedziałam, jak poruszyć ten temat. A potem, kiedy poprosiłaś o paszport... To prawda, co mówią na temat tego, że wszystko się coraz bardziej komplikuje, kiedy zaczyna się oszukiwać.

Erin, nie chcąc, by jej matka zaczęła płakać, wyciągnęła rękę i ujęła jej dłoń.

- Przejdźmy dalej. Opowiedz mi o Shannon, jaka ona jest. Porozmawiajmy o dobrych czasach, a nie o tych złych.

Mogła rozmawiać dłużej o tym, jak Shannon zaszła w ciążę i kim był jej biologiczny ojciec, ale wiedziała, że to by rozstroiło jej matkę.

- Dobre czasy... - rzekła matka, cofając się myślami w przeszłość. - Pamiętam, jak ona i jej przyjaciółka Lorraine przystąpiły do Pierwszej Komunii Świętej i za zebrane od wszystkich sąsiadów pieniądze kupiły sobie całe mnóstwo słodyczy. Myślałam, że się pochorują, ale tak się nie stało. A Shannon schowała kilka tabliczek czekolady i powiedziała, że wyśle je biednym ludziom z Trzeciego Świata, ponieważ ich dzieci nigdy nie jedzą słodyczy - Twarz mamy rozpromieniła się na to wspomnienie. - Och, a raz wbiła sobie do głowy, że ojciec Ryan powinien włączyć się w kampanię na rzecz rozbrojenia nuklearnego, ponieważ był człowiekiem religijnym, i nie mogła zrozumieć, dlaczego nie robi razem z nią transparentów i nie przyłącza się do marszów. Miała wtedy piętnaście lat. Poznała chłopaka, który był kimś ważnym w tym ruchu antyzbrojeniowym, i wtedy właśnie zainteresowała się tymi wszystkimi kampaniami. Ktoś musi myśleć globalnie, tak często mówiła.

- Bardziej niż cokolwiek innego podobała jej się sama idea kampanii - wtrąciła Kerry. - Kiedy znudziło ją rozbrojenie nuklearne, przerzuciła się na coś innego. Pamiętasz tę grupę, która miała zamiar udać się do Stanów, by protestować przeciwko jakimś tajnym wojskowym testom na ziemiach Indian? Zainteresowała się tym, gdyż chciała jechać do Stanów. Gdyby miał to być biegun północny, nie byłaby taka chętna, prawda?

- Nie bądź dla niej aż taka surowa - prosiła ją matka. - Serce ma na właściwym miejscu. Jest idealistką, to wszystko.

Kerry posłała Erin cierpkie spojrzenie, które mówiło, że nie zgadza się z tym stwierdzeniem, ale nie ma zamiaru mówić o tym głośno i wszczynać kłótni.

Mama długo opowiadała, jaka dobra była Shannon, ale że zawsze wydawała się trochę z innego świata i nie należała do ludzi zbyt praktycznych. Dlatego właśnie wiedziała, że lepiej będzie, gdy to ona zajmie się Erin.

- Choćby miała nawet najlepsze chęci, musiałybyś mieszkać z obcymi w jakiejś przyczepie kempingowej w strefie protestów, gdybyśmy pozwolili jej zabrać cię z sobą.

- A więc jednak chciała mnie, kiedy była starsza? - zapytała z przejęciem Erin.

- Niezupełnie. - Odpowiedź mamy była wymijająca. Kerry nie mogła dłużej znieść tego okrajania przeszłości.

- Kiedy miałś osiem lat, spotykała się z facetem, który miał trzyletnią córkę, więc uznała, że mogłabyś z nimi zamieszkać i stanowić towarzystwo dla jego dziecka. Oto, jak bardzo cię chciała.

- Pamiętam ją właśnie z tego czasu - rzekła ponuro Erin.

- Tak, wróciła, ponieważ uznała, że możesz jej się przydać.

- Kerry! Nie mów tak - poprosiła mama.

- Taka jest prawda, mammo. - W głosie Kerry nie było słyhać skruchy. - Wróciła sześć lat temu, ponieważ miała nadzieję, że pożyczymy jej pieniądze na ten głupi hostel, i wiemy, gdzie teraz mieszka, tylko dlatego, że podoba jej się świadomość, iż w pobliżu znajduje się kurek z pieniędzmi. Mam nadzieję, że nie dajecie jej żadnych pieniędzy - dodała.

- Nie - odparła mama i zarówno Erin, jak i Kerry wiedziały, że kłamie.

- Tak u niej krucho z pieniędzmi? - zapytała Erin.

- Nie rozumie tego, że trzeba je zarabiać - odparła zjadliwie Kerry

- Och.

Przyjechał Peter z dziewczynkami i Kerry wyszła, by ich przywitać.

- Jest zła na Shannon za to, co zrobiła tobie i mnie - rzekła mama. - Ale nie chcę, byś źle o niej myślała; Shannon nie jest złym człowiekiem. Jest po prostu tym, co nazywają wolnym duchem; nie chce być niczym skrepowana. Pragnęłam, by była taka, jak córki moich wszystkich koleżanek: by chciała wyjść za męża, ustatkować się, mieć dzieci, ale ona nie była ulepiona z takiej gliny. To był jej wybór i nie powinniśmy jej wszyscy za to karać. Może to ja popełniłam błąd. Może powinnam ją była zmusić do tego, by zaopiekowała się tobą. Może to właśnie by ją zmieniło.

- Skoro tego nie chciała, to nie - odparła Erin. - Nie można nikogo zmusić do czegoś takiego.

- Wiem. I kochaliśmy cię tak bardzo, że wychowywanie cię było prawdziwą radością.

Twarz Erin rozjaśnił uśmiech. To było warte wszystkich opowieści o tym; jak to Shannon jej nie chciała: mama i tata chcieli i tylko to się liczyło.

Godzinę po opuszczeniu domu rodziców Erin znalazła się przed blokiem Shannon i pomyślała, że gdyby w telewizji zobaczyła program, gdzie jakaś kobieta robi coś tak durnego jak ona teraz, czym prędzej przełączyłaby kanał. No ale w końcu ta część jej życia, która miała związek z Shannon, charakteryzowała się otoczką nierzeczywistości, tak jak programy telewizyjne. Nazwała to efektem Shannon.

Wzięła jej adres od mamy i zamiast wrócić do hotelu do Grega, wyruszyła na poszukiwanie Shannon. Miała trochę wolnego czasu, jako że jej mąż z całą pewnością pracował jeszcze w hotelowym pokoju, zaś cała rodzina miała się spotkać ponownie dopiero o siódmej, na wspólnej kolacji. Wiedziała, że gdyby powiedziała Gregowi albo Kerry, że gdzie odszukać Shannon, chcieliby jechać razem z nią. Jednak akurat to musiała zrobić sama.

Shannon mieszkała w miasteczku Wexford w mieszkaniu w starym bloku, którego nazwa była bardziej imponująca niż sam budynek. Rectory Lodge* stał przy ruchliwej ulicy w otoczeniu sklepów i kafejek, i był walącym się, starym budynkiem, którego rozbiórka kosztowałaby więcej niż sam był wart. Erin stała przed łuszczącymi się czarnymi drzwiami i czytała nazwiska przy domofonie. „Shannon & William” napisane było zamasyżycie pod numerem sześć. Większość ludzi starała się ukryć za anonimowością inicjałów i Erin uznała, że takie publiczne ujawnianie imienia jest ze strony Shannon nieco naiwne. Jednak być może William, kimkolwiek by był, miał posturę obrońcy liniowego i chronił Shannon przed mężczyznami, próbującymi się do niej dostać. Erin nie wiedziała dlaczego, ale wcześniej wyobrażała sobie, że często tak się działo. Mężczyznom podobał się błysk w jej oku i nabierali śmiałości, kiedy ta ruda kobieta uśmiechała się do nich w znaczący sposób. I Shannon najpewniej całe życie powtarzała: „Ale ja się tylko do niego uśmiechnęłam, to wszystko. To była tylko zabawa”.

* Rectory lodge - ang. probostwo

Erin wcisnęła dzwonek. Był taki stary, że musiała wciskać go bardzo mocno, a i tak nie miała pewności, czy w ogóle działo.

- Jeśli szukasz Shannon, to nie ma jej - odezwał się jakiś głos i obok Erin przecisnęła się dziarsko dziewczyna w T-shircie i džinsach, z naręczem toreb z zakupami. - Możesz poczekać na jej piętrze, jeśli chcesz - dodała, dostrzegając brzuch Erin. - Nie ma tam co prawda żadnego krzesła, ale można usiąść na schodach.

- Nie, dzięki, zaczekam w którejś z kafejek - odparła Erin. - Nie wiesz przypadkiem, kiedy wróci?

Dziewczyna wzruszyła ramionami i z powodu ilości pakunków otworzyła drzwi nogą. Erin zdziwiła się, że w takich czasach drzwi wejściowe pozostawały otwarte.

- Nie wiem, kiedy wróci - odparła. - Ale wyszła w tym samym czasie co ja i chyba chciała kupić coś do jedzenia. Nie powinno jej to zająć dużo czasu. - Przyjrzała się z ciekawością Erin. - Jesteś do niej strasznie podobna. To twoja siostra czy ktoś w tym rodzaju?

- Ktoś w tym rodzaju.

W kafejce „A Go Go” po drugiej stronie ulicy pozwoliła sobie na bezkofeinową latte. Piła ją ze smakiem, myśląc o tych wszystkich przepysznych latte, które kupowała w kafejce niedaleko swojego biura w Chicago. Jak wiele razy przerwę na lunch spędziła na snuciu marzeń o tej właśnie chwili?

Jednym okiem patrzyła wciąż na Rectory Lodge, ale i tak mało brakowało, a przegapiłaby szczupłą postać, która przeszła przez ulicę i pomimo toreb z zakupami podbiegła lekko po schodach do czarnych drzwi. Kobieta była ubrana w długi, kremowy kardigan, który otulał ją całą. Erin nie widziała jej twarzy, ale miała rozpuszczone, rude włosy, które powiewały na wietrze. Wszędzie rozpoznalaby ten kolor. Był dokładnie taki jak jej. Dopijała kawę, zostawiła należność na stoliku i pospiesznie przeszła na drugą stronę ulicy. Otworzyła drzwi, ignorując stęchły zapach starej, wilgotnej wykładziny. Weszła na górę. Na pierwszym piętrze znajdowały się mieszkania numer trzy i cztery. Numery jeden i dwa musiały być na parterze, uznała, wchodząc jeszcze wyżej. Zapach stęchlizny na drugim piętrze okazał się jeszcze intensywniejszy, i gdyby Erin spojrzała pod nogi, zobaczyłaby, że wykładzina jest niesamowicie zniszczona. Jednak nie spojrzała. Wzrok miała utkwiony w numerze sześć, w zwykłych, zielonych drzwiach, które pozostały uchylone. Zatrzymała się, by złapać oddech, odczekała chwilę, po czym zapukała.

- Hej, Ciara, to ty? Drzwi są otwarte. Wchodź. Mam mleko.

Erin dotknęła drzwi, czekając na to, że się obudzi i przekona, że wszystko to sobie wyobraziła i że to tylko sen. Jednak drzwi były prawdziwe. Pchnęła je i znalazła się w dużym pomalowanym na zielono pomieszczeniu z wysokim sufitem. Otwarte drzwi prowadziły najpewniej do sypialni. Jedną ścianę ozdabiała pocztówki i plakaty informujące o różnych wiecach antywojennych i antyglobalizacyjnych, zaś głównym meblem była stara sofa przykryta sfatygowaną narzutą. Dwa otwierane pionowo okna z łuszczącą się farbą wychodziły na ulicę, a jedna część pomieszczenia została przekształcona w niechlujny aneks kuchenny, gdzie pośród kilku szafek pomalowanych na intensywnie zielony kolor stał stary piecyk. Obok ściany stał składany stolik, a przy nim trzy różne krzesła, na blacie zaś leżały rzucone dwie torby z zakupami. Niewielka kolekcja płyt winylowych stała na niskim regale obok adaptera tak starego, że według Erin musiało się go zaliczać do antyków. W jej oczach pokój wyglądałby jak tania studencka kawalerka, tyle że brakowało w niej nowoczesnego sprzętu, jaki posiadali w dzisiejszych czasach młodzi ludzie, takiego jak wysokiej klasy telewizory, odtwarzacze CD i błyszczące rowery. W porównaniu ze znanymi Erin studenckimi stancjami to pomieszczenie było tańsze niż tanie. W żadnym wypadku nie spodziewała się czegoś takiego. To nie mogło być jej mieszkanie, chyba że jej matka nie miała grosza przy duszy, a takie oczywiste ubóstwo nie pasowało do obrazu hedonistycznego, wolnego stylu życia Shannon. Mama i Kerry mówiły, że finansowo nie wiecie jej się dobrze, ale to niemożliwe, by była aż tak splukana. Kto zostawiłby rodzinę dla czegoś takiego?

Krzężanina w otwartych drzwiach sypialni powiedziała jej, że właśnie tam jest lokatorka, i ogarnął ją niepokój, że znajduje się w niewłaściwym miejscu. Już widziała, jak zostaje wyrzucona z mieszkania, a w uszach słyszy wołanie: „Policja!” i...

Z sypialni nagle wyłoniła się kobieta i myśli Erin na temat tego, że znajduje się w niewłaściwym miejscu, zniknęły

Stojąca z pytającym wyrazem twarzy osoba stanowiła lustrzane odbicie Erin. Takie same miedziane włosy, takie same migdałowe oczy, taka sama wąska twarz z pokaźnym nosem nad pełną górną wargą.

Erin uświadomiła sobie, że dziewczyna przed domem miała rację, kiedy sądziła, że są siostrami. Ta kobieta wcale nie wyglądała, jakby była już po czterdziestce. Można jej było dać maksymalnie trzydzieści sześć lat, ale nie więcej. Jej cera była bez zmarszczek, za to z delikatnymi piegami. „To dowód na to”, pomyślała z goryczą Erin, „że brak obowiązków stanowi najlepszą kurację przeciw starzeniu się”.

- Witam - odezwała się przyjacielskim tonem kobieta, z zadziwiającą beztroską odnosząc się do faktu, że w jej mieszkaniu znajduje się zupełnie obca osoba.

- Przepraszam, ale drzwi były otwarte - zaczęła Erin, po czym poczuła złość na samą siebie. Za co ona przepraszała? To Shannon powinna przepraszać. - Jesteś Shannon Flynn?

- Tak - uśmiechnęła się kobieta.

Erin nie zwlekała z oznajmieniem wielkiej nowiny.

- Jestem twoją córką, Erin. Uśmiech stał się jeszcze szerszy

- O rany! Naprawdę?

Z całą pewnością nie czegoś takiego się spodziewała.

- Nie jesteś zaskoczona? - zapytała.

- Wiedziałam, że pewnego dnia się zjawisz - odparła Shannon. - Herbaty? Właśnie miałam zaparzyć. Miętową dla siebie, a zwykłą dla Ciary z naprzeciwka.

- Tak, poproszę - odparła słabo Erin.

- Nie piję mleka, wiesz? - rzekła Shannon, przechodząc do aneksu kuchennego.

Nie powiedziała Erin, by usiadła, nie uściskała jej ani nic w tym rodzaju, ale w końcu nie trzeba być geniuszem, by widzieć, że konwenanse nie odgrywały w życiu Shannon większej roli. Erin sama więc usiadła.

- Pijesz mleko? - zapytała Shannon w równie nonszalancki sposób, jakby spotkały się na przystanku autobusowym i gawędziły, by zabić jakoś czas. - Ono naprawdę szkodzi. Soja to jest to.

Erin obserwowała krzątającą się Shannon. Mama była doskonałym przykładem na to, jak można jednocześnie parzyć herbatę, sprawdzać obiad w piecyku, prasować koszulę i zerkać czujnie na garnek na ogniu. Shannon z kolei zaparzała dzbanek herbaty w taki sposób, jakby brała udział w skomplikowanej ceremonii: całkowicie skupiając się na tym, co robi.

- Od nabiału można zachorować na raka - kontynuowała Shannon. - Czytałam o tym. Już wiele lat temu zastąpiłam go soją.

W myślach Erin zapaliła się iskierka gniewu.

- Kerry miała raka. Wiedziałaś o tym?

Uwaga Shannon pozostała skoncentrowana na torebeczkach z herbatą.

- Tak - odparła z roztargnieniem. - Ale teraz już wszystko okej, no nie?

- Nie odwiedziłaś jej nawet, prawda? - Erin zżerały wyrzuty sumienia, że nie była wtedy przy siostrze, ale usprawiedliwiała ją przynajmniej to, że nic nie wiedziała o jej chorobie. W przeciwieństwie do Shannon. - Dlaczego tego nie zrobiłaś? - zapytała, gdy tymczasem tak naprawdę chciała zapytać o to, dlaczego Shannon ją zostawiła, kiedy była niemowlęciem.

- Och, no wiesz, nie jestem jakoś specjalnie rodzinna - odparła lekko Shannon. - Zostawiłam to za sobą przed wieloma laty Powinno się tworzyć własną rodzinę, tak jak w komunie. - Na te słowa jej oczy rozbłyły. - Przez kilka lat mieszkałam w komunie, kiedy protestowałam przeciwko globalizacji. To było coś niesamowitego. - Niewłaściwie odczytując wyraz twarzy Erin, dodała: - Nigdy nie próbowałaś mieszkać w komunie? Och, na pewno by ci się spodobało.

- Skąd wiesz, co by mi się spodobało, a co nie? - zapytała Erin. Ton jej głosu był swobodny, ale Greg od razu rozpoznalby stal w jej słowach.

- Nie, naprawdę, można być sobą bez tych wszystkich nudnych struktur ustatkowanego, normalnego życia w bliźniaku. - Shannon wypowiedziała te słowa z odrazą.

- Czy dlatego właśnie opuściłaś dom, kiedy byłaś młoda? - zapytała Erin, i jakoś udało jej się nie dodać: „kiedy byłam małą”.

- Opuściłam go, żeby być wolną - odparła Shannon, odrzucając długie włosy w sposób, jaki Erin uważała do tej pory za swój. - Wiedziałam, że nie zniosę uwiązania, że oszalałabym, wiodąc takie życie. W takim świecie nikt nie ma żadnych zasad, wiesz? Ludzie chcą jedynie zarabiać pieniądze w jakiejś nudnej pracy i wieczorem wracać do domu. W nic nie wierzą.

Postawiła na stole dwa kubki. Jeden był wyszczerbiony. Erin miała ochotę zapytać, jakie życie Shannon otrzymała w zamian za porzucenie rodziny: nędzne mieszkanie, wyszczerbione kubki i wspomnienie dawnego życia w komunie nie wydawały się dobrym interesem.

- Włączę muzykę - rzekła Shannon, wyraźnie nieświadoma wiszącego w powietrzu napięcia.

- Hej - odezwał się głos przy drzwiach.

Zjawiała się w nich wysoka, anorektycznie chuda kobieta z kruczoczarnymi dreadami.

- Hej, Ciara, woda właśnie zdążyła się zagotować - odparła Shannon. - To Erin.

- Cześć, Erin - przywitała się nieśmiało Ciara, wślizgując się do aneksu, by zaparzyć własną herbatę.

- Och, uwielbiam tę muzykę - oświadczyła Shannon, kiedy z adaptera zaczęła płynąć jakaś piosenka Simona i Garfunkela. Na poparcie swych słów poruszyła rytmicznie biodrami.

- Jestem córką Shannon - rzekła Erin do Ciary, pełna determinacji, by wywołać w końcu jakąś reakcję.

- O rany - W obliczu takiej nowiny Ciara zapomniała o nieśmiałości. - Nigdy mi nie mówiłaś, że masz córkę.

Erin właśnie miała się napić herbaty, ale słysząc te słowa, odstawiła kubek na stół. Shannon nikomu o niej nie mówiła. Ale czegoż innego się spodziewała?

- Muszę iść - oświadczyła zimno.

- Nie idź - odparła Shannon. - Musimy nadrobić zaległości.

Erin przyglądała się jej. Dla niej była po prostu kolejną osobą, która zahaczyła o jej wędrowne życie. Przez pół godziny będą „nadrabiać zaległości”, próbując zmieścić całe życie Erin w jednej rozmowie, a potem będzie po wszystkim.

Shannon żyła w świecie hipisowskim, zawsze gotowa, by wskoczyć do autobusu i ruszyć na jakąś antywojenną demonstrację albo stać się częścią kampanii przeciwko wycinaniu drzew. Nie posiadała wiele, jedynie plakaty, które można było zrolować, przenośny adapter i tyle ubrań, ile była w stanie zmieścić do plecaka. Erin podziwiała ludzi, którzy potrafili bronić swych zasad, ale jeśli chodzi o Shannon, zastanawiała się, czy przypadkiem to nie towarzyszący tym zasadom styl życia stanowił dla jej matki pokusę. A co z zasadą matczynej miłości? Gdzie się podziewały tak bardzo okrzyczane zasady Shannon, kiedy była potrzebna córce? Drzewa były ważniejsze od Erin?

Erin nie chciała się denerwować, ale wściekłość zaczęła się w niej gotować niczym mleko w rondlu.

- Myślę, że mamy zbyt wiele zaległości do nadrobienia - oświadczyła z goryczą. - Dwadzieścia siedem lat, jeśli chodzi o ścisłość. Widzisz, Ciaro, jestem częścią życia Shannon, od której pragnęła uciec. Tą częścią, jak uważała, o którą nie warto walczyć. Nie tak jak antyglobalizacja albo drzewa. - Popatrzyła na plakaty, reklamujące demonstracje z całego świata. „Chrońmy ślimaki!”, napisane było na jednym z nich. - Tak, moją matkę bardziej interesowały zagrożone

ślimaki niż ja. Gdybym miała skorupę albo naklejony napis: „Własność sił zbrojnych USA”, czy wtedy bardziej by się mną interesowała?

Ciara wyglądała na niespokojną, jakby w życiu była świadkiem wielu gorzkich, rodzinnych kłótni i miała nadzieję, że mieszkanie w pojedynkę okaże się sposobem na ucieczkę od nich.

- To nie było tak - odparła spokojnie Shannon.

- A jak w takim razie? - zapytała ostro Erin. Shannon wzruszyła bezradnie ramionami.

- Byłam dzieckiem, pragnęłam czuć się wolna...

- Wolna od czego? - przerwała jej córka.

- No wiesz, struktur życia. - Dla Shannon wszystko było takie oczywiste. - Nie chciałam być uwięziona.

- Ale co ze mną?

Shannon ponownie wzruszyła ramionami.

- Mama się tobą zaopiekowała. Kochała cię. Wiedziałam, że to właściwe rozwiązanie.

- Ale jak mogłaś tak po prostu mnie zostawić i nigdy nie wrócić? - zapytała Erin. - Nigdy nie chciałaś mnie poznać?

- Mama zdecydowała, że powie ci, iż jesteś jej dzieckiem. Przeprowadzili się w inne miejsce i w ogóle, żeby nikt nie wiedział i żeby było ci łatwiej. Czemu miałam to wszystko niszczyć? Ludzie zadawaliby pytania. Boże, nie znoszę tego wszystkiego. Zaściankowego myślenia, pytania o to, kto jest ojcem, i tym podobne... Od tego właśnie pragnęłam uciec.

- Innymi słowy, od odpowiedzialności. - Głos Erin miał ostre brzmienie.

- Ty nie rozumiesz - odparła spokojnie Shannon.

- Rozumiem, że nastolatka mogła chcieć oddać swe dziecko, ponieważ była przerażona, ale nie rozumiem, jak dorosła kobieta mogła nigdy nie przyjechać, by spotkać się z tym dzieckiem, nigdy. - Jej głos drżał. - Nawet jeśli nie chciałaś mnie wychowywać, dlaczego nigdy nie miałaś ochoty mnie odwiedzić, przywitać się, zachowywać jak starsza siostra, którą przecież udawałaś? A przyjazd wtedy, gdy byłam małą, się nie liczy? Gdzie byłaś, gdy dorastałam?

- Och, jesteś dokładnie taka jak Kerry - odparła z rozdrażnieniem Shannon. - Zawsze marudzi na temat przeszłości. To było dawno temu.

Erin wyjrzała przez okno, z całych sił próbując powstrzymać łzy. Nie chciała, by to spotkanie tak właśnie przebiegało, ale te wszystkie lata zastanawiania się jakoś w niej w końcu eksplodowały Shannon musiała się dowiedzieć, co czuje Erin. Była jej matką, na miłość boską. Czy to nie miało żadnego znaczenia?

- Urodziłaś mnie - oświadczyła ostro. - Jestem twoim dzieckiem, twoim i tego anonimowego mężczyzny, z którym się przespałaś. Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

Po raz pierwszy na twarzy Shannon było widać zagubienie. Zagryzła wargę, a Erin przypomniała sobie, jak Kerry robiła to kiedyś dokładnie w taki sam sposób. Kerry miała rację: ostrzegła ją, że spotkanie z Shannon nie jest mądrym posunięciem. Co ona powiedziała? „Nie znajdziesz tego, czego szukasz, Erin. Nie w przypadku Shannon. Ona zawsze była inna niż my”.

Wstała, nie zwracając uwagi na to, że uderzyła w stół i rozlała herbatę.

- Do widzenia - rzekła i zostawiła Shannon, i Ciarę z szeroko otwartymi ustami.

Kiedy schodziła pospiesznie po schodach, nie czuła niczego oprócz gniewu. I bardzo dobrze. Strasznie byłoby płakać z powodu kogoś takiego jak Shannon. Już nigdy więcej, nie chciała jej widzieć. Jaki to miało sens?

Greg nie był jedyną osobą, która się domyśliła, gdzie Erin zniknęła na półtorej godziny. Kiedy wróciła, on, mama i Kerry czekali w holu hotelu.

- Nie przejmuj się - odezwała się mama, kiedy Erin zobaczyła ich wszystkich i jej twarz się wykrzywiła. - Ona wcale nie chce cię zranić, po prostu taka już jest.

- Nie usprawiedliwiaj Shannon - rzekła gniewnie Kerry. - Kto wie, co ta suka jej powiedziała.

Greg mocno przytulił Erin.

- Tak bardzo się martwiłem, kiedy nie wróciłaś. Kerry powiedziała, że najpewniej pojechałaś do Shannon. Zabiję ją, jeśli powiedziała coś, co cię zraniło.

- Niczego nie powiedziała - odparła Erin ze znużeniem.

- Nie była zainteresowana.

- Jak mogła nie być zainteresowana? - zapytał cicho Greg.

- Shannon interesuje się wyłącznie własną osobą - odparła Kerry - Mówiłam ci, żebyś nie jechała do niej sama.

- Musiałam się z nią zobaczyć. Musiałam z nią porozmawiać.

Co nie znaczy, by to coś pomogło. Kerry miała rację

- Shannon interesowała się wyłącznie sobą. Wszyscy inni byli jedynie aktorami w dramacie, który stanowiło jej życie.

Nagle poruszenie w jej wnętrzu sprawiło, że Erin dotknęła ręką brzucha. Ruchy dziecka za każdym razem ją fascynowały. W jej wnętrzu, bezpieczne i ciepłe znajdowało się jej dziecko. Ruszające się rączki i nóżki były sygnałem, że dziecko jest zdrowe, i Erin nie mogła się doczekać, by wziąć je w ramiona.

„Nigdy cię nie zostawię”, rzekła bezgłośnie do swego maleństwa. „Nigdy”.

Rozdział dwudziesty siódmy

Gdy nastał drugi tydzień sierpnia, miało się wrażenie, jakby wszyscy w Dunmore wyjechali na wakacje. Oczywiście z wyjątkiem Bartonów. Mając na uwadze wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku miesięcy, Abby jakoś nie myślała o wyjeździe. Absurdalne wydawało się myślenie o słońcu, sangrii i japonkach, kiedy ona i Tom się rozstali, Jess prawie się do niej nie odzywała, a jej kariera zdawała się chylić ku upadkowi. Jednak w końcu skusiły ją reklamy w oknach biur podróży. Za każdym razem, kiedy w drodze do supermarketu mijała biuro O'Callaghan's Travel, zauważała specjalne oferty wycieczek na Wyspy Kanaryjskie, niesamowitych wyjazdów do Stanów, obejmujących przelot samolotem i wynajem samochodu, oraz lotów na egzotyczny Daleki Wschód.

Gazety były jeszcze gorsze. Nie dało się otworzyć żadnego czasopisma, by nie natrafić na kolejny artykuł z cyklu „Dieta, dzięki której zmieścisz się w bikini” albo „Pomyślałeś o wakacyjnym ubezpieczeniu?”, opisujący wakacyjne katastrofy, gdzie ktoś musiał wydać tysiące w zagranicznym szpitalu, kiedy złamał nogę, tylko dlatego, że pożałował kilku funtów na wykupienie ubezpieczenia.

Podczas gdy część Abby pragnęła leżeć na plaży, czuć palące promienie słońca, czytać powieści i sączyć alkoholowe koktajle o niemożliwych do zapamiętania nazwach, ona tak naprawdę nie miała do tego serca. Każde miejsce przywoływało wspomnienia wcześniejszych, rodzinnych wypraw.

Francja na przykład zupełnie nie wchodziła w grę. Kiedy Jess była mała, spędzili tam niesamowity urlop na kempingu. Abby tak dobrze go pamiętała, choć minęło co najmniej piętnaście lat. Ona i Tom byli podekscytowani swym nowym życiem, posiadaniem dziecka i powodującym zawroty głowy poczuciem odpowiedzialności. Kto by się przejmował takimi drobiazgami jak to, że każdy owad w Rhône postanowił zawrzeć bliższą znajomość z Tomem albo że prysznic na polu kempingowym pozostawiały wiele do życzenia? To były niezapomniane wakacje po prostu dlatego, że znajdowali się wtedy w takim wspaniałym momencie życia.

To były wakacje, do których porównywało się każde następne, a akurat ten wyjazd będzie zupełnie inny. Tylko ona i Jess, dwoje ludzi na wakacjach, w których powinno uczestniczyć troje. Tom z całą pewnością poczyni własne plany i Abby nie miała pojęcia jakiego. Obecnie rozmawiali z sobą tylko o sprawach związanych z Jess.

Tom chłodno oświadczył, że w dniu szesnastych urodzin Jess, na początku sierpnia, chce ją zabrać do kina i na kolację, a Abby, choć wiedziała, że robi to po to, by ją ukarać, gdyż nie było powodu, dla którego nie mogliby pójść we trójkę, musiała się zgodzić. To była ich najdłuższa rozmowa od niepamiętnych czasów.

Od tego dnia, kiedy błagała Toma, by spróbowali jeszcze raz, w ogóle nie rozmawiali z sobą o rozstaniu. Dla Abby było to w pewien sposób łatwiejsze, gdyż nie musiała stawiać czoła gniewowi, który pojawiał się w oczach Toma, gdy z nią rozmawiał, jednakże równocześnie trudniejsze, ponieważ wiedziała, że jeśli Tom nie zmieni zdania, nie było nadziei na ich ponowne wspólne życie. Jedyny plus był taki, że przynajmniej nikt w Dunmore nie wiedział, że się rozstali. Ona i Tom prowadzili wcześniej osobne życie i nikt teraz nie komentował tego, że widzi ją samą. Jednak to nie mogło ciągnąć się w nieskończoność. Pewnego dnia ktoś domyśli się prawdy. A jeśli prawda o rozstaniu stanie się ogólnie znana, zainteresują się tym także dziennikarze z plotkarskiej prasy. Ta myśl napawała ją przerażeniem.

Wyjeżdżając pewnego dnia z Cork po zebraniu w Beech, którego celem było omówienie pierwszego montażu serii, Abby postanowiła chwycić byka za rogi. Zaparkowała przed O'Callaghan's Travel, wparowała do środka i chwyciła plik broszur. Potrzebowała odskoczni. Każdy by jej potrzebował po dzisiejszym zebraniu.

Abby udała się do siedziby Beech, spodziewając się czegoś w rodzaju poklepywania po plecach podczas oglądania pierwszego odcinka. Zamiast tego ogarnęło ją uczucie, jakby wyszarpywano dywan spod jej stóp.

Roxie była dla niej czarująca, co samo w sobie powinno stanowić ostrzeżenie przed tym, co miało nadejść.

- Cudownie cię widzieć - rzekła z uśmiechem, ukazującym ostre kły.

Abby uznała, że przypomina jej z tymi zębami lisa. A może wampira? Z całą pewnością jakiegoś paskudnego, krwiożerczego stwora.

Rolety w sali posiedzeń były opuszczone i Roxie włączyła kasetę. Choć Abby wiedziała, że to dopiero wstępny montaż i że niewątpliwie zostaną wprowadzone dodatkowe zmiany, i tak przeżyła szok, gdy go zobaczyła.

Tak ciężko pracowała nad tą serią, a było jasne, że Roxie kręciła się w montażowni, dopilnowując, by Abby została odsunięta na bok. To bliźniaczki były teraz gwiazdami programu. Abby nie była nikim więcej jak gościnnie występującą prezenterką - czy też tak właśnie to wyglądało. Sceny z jej udziałem zostały pocięte na kawałki, tak że na każdą jej minutę na ekranie Mitzi i Linzi otrzymały pięć. Jej porządkowanie wyglądało jedynie jak wstęp do ich występu. Była zdruzgotana.

- No i co o tym myślicie? - zapytała nerwowo Flora, kiedy po obejrzeniu całego odcinka usiedli wokół stołu.

- Co ja myślę? - zapytała Abby, wymawiając uważnie każdą sylabę. - A co u diabła sądzisz, że myślę? To kiedyś był mój program, ale już nie jest. Czy nazwiecie go teraz *Porządki z Linzi i Mitzi*, a moje nazwisko, jako gościnnie występującej prezenterki, napiszecie małymi literami na końcu wszystkich napisów? Czy też w ogóle nie będziecie zwracać sobie tym głowy?

Przyglądała się z wściekłością siedzącym przy stole ludziom. Czowała się zdradzona. Stało się dokładnie to, co przewidział Mike, jej agent. Częściowo miała nadzieję, że zatrudnienie go zmusi Briana i Roxie do zastanowienia się dwa razy, nim zrobią jej coś takiego, ponieważ Mike Horowitz był osobą liczącą się w tej branży, wyglądało jednak na to, że tak się nie stało. Roxie kreowała bliźniaczki na gwiazdy, zaś dla Abby nie było już miejsca w ekipie Beech.

Być może miało to związek z jej wiekiem, ale nie sądziła, by tak rzeczywiście było. Chodziło po prostu o to, że z jakiegoś powodu ta cholerna Roxie jej nie znosiła.

- Nie podoba ci się? - zapytała Roxie z paskudnym błyskiem w oku. - Wszyscy uważamy, że program jest świetny, prawda?

Rozglądała się po zgromadzonych na sali osobach, jakby rzucała im wyzwanie. Abby wiedziała, że tańczą dokładnie tak, jak im zagra. Co oznaczało, że ona straciła pracę. Czy też stanie się tak niedługo. Wstała, zadowolona z tego, że przynajmniej nie zwracała sobie wcześniej głowy strojeniem się i miała na sobie dopasowany biały T-shirt i wyblakłe dżinsy doświadczonej gwiazdy telewizyjnej, która miała wszystko gdzieś.

- Cóż, będziemy się musieli przekonać, co o tym wszystkim sądzi Mike - oświadczyła spokojnie, załując, że nie zatrudniła agenta na początku swej przygody z telewizją, gdyż wtedy nie znajdowała się w takiej sytuacji. Jej umowę z Beech trudno było nazwać kontraktem gwiazdorskim i miała marne szanse, gdyby firma producencka postanowiła odstać ją na boczny tor.

Mike poradził jej, by nie roztrząsała tej sprawy z kierownictwem Beech.

- Rozmawiałem z Brianem, wie, że wkroczyłem na scenę, a teraz przekonajmy się, co zrobią - rzekł. - Brian nie jest głupi. Nie będzie chciał zniszczyć relacji z tobą, bez względu na to, jak kiepska w rzeczywistości jest twoja umowa.

„Może Brian jest mimo wszystko głupi”, pomyślała Abby. Zdecydowała, że gdy tylko wyjdzie, zadzwoni do Mike'a.

- Do widzenia. - Obdarzyła wszystkich chłodnym uśmiechem, ponieważ postanowiła nie dać nikomu z nich satysfakcji dojrzenia, jak bardzo jest rozżłoszczona. Wyszła więc pewnie z sali posiedzeń, jakby w ogóle jej to nie obchodziło. Dopiero kiedy znalazła się w jeepie, pozwoliła sobie na uzewnętrznienie gniewu.

„Cholerne dranie”, wściekała się, uderzając pięścią w kierownicę. To ona wpadła na pomysł *Porządków*. To był jej program. Jak śmieli zrobić jej coś takiego? Drżały jej palce, kiedy wystukiwała numer prywatnego telefonu Mike'a. Nie miała pewności, co on był w stanie zrobić w obliczu takiej katastrofy, ale powinien się o niej dowiedzieć.

Mike'owi jakoś udało się ją uspokoić.

- Z prawnego punktu widzenia wolno im zrobić coś takiego - stwierdził spokojnie. - W ogóle nie powinnaś była podpisywać tej umowy bez zasięgnięcia fachowej porady, ale skoro już to zrobiłaś, musisz się jej trzymać, a Brian wyraźnie nie ma ochoty na renegocjacje. Jednak zachowuje się niezwykle krótkowzrocznie. Masz mnóstwo talentów, Abby, a to, że Roxie lubi w telewizji tylko dzieci, wcale nie oznacza, że widzowie przyznają jej rację. Muszę zobaczyć tę roboczą wersję, mieli mi ją przesłać.

- Wiedzieli, że lepiej tego nie robić - odparła z goryczą Abby.

- Nie panikuj - rzekł pogodnie Mike. - Kiedy załatwię ci wspaniałą, nową pracę w innej firmie, Brian będzie ronił rzewne łzy do swych porannych płatków, że nie docenił Abby Barton, gdy ją miał u siebie. Pozytywnym aspektem twojej beznadziejnej umowy jest to, że nie mają nad tobą władzy. W każdej chwili możesz odejść.

Abby miała ochotę zapytać dokąd, ale nie chciała sprawiać wrażenia pesymistki.

- Tak, jasne - odparła. - Dzięki, Mike. Dzięki tobie mimo wszystko czuję się lepiej.

Kiedy dojechała do Dunmore, utknęła na światłach tuż przed pasażem z biurami podróży. Kiedy odwróciła głowę, w polu jej widzenia pojawiły się olbrzymie plakaty, przedstawiające bawiących się na wakacjach ludzi. A co tam, wakacje może nie stanowią rozwiązania, ale z całą pewnością przydałyby się. Biednej Jess także dobrze by zrobiły po tych wszystkich przeprawach z egzaminami i rozstaniem rodziców.

W domu nie było śladu Jess. Nic nowego. Od miesiąca praktycznie mieszkała u Steph. A przynajmniej tak twierdziła. Powiedziała Abby, że nie może zbyt często spotykać się z Oliverem, ponieważ podczas wakacji pracuje on do późna w gospodarstwie warzywnym ojca. Poza tym pracował także dorywczo w rozlewni wody mineralnej, by zarobić na ubezpieczenie i móc jeździć samochodem matki.

Abby wiedziała, że rozlewnia pracuje przez całą dobę, tak że pragnący dorobić uczeń mógł rzeczywiście padać z nóg ze zmęczenia. Nikt nie mógł zarzucić Oliverowi lenistwa. Czuła, że to porządny chłopak, któremu zależy na Jess, ale to nie powstrzymało jej przed martwieniem się. Próbowwała poprosić grzecznie Jess, by dzwoniła do niej każdego dnia i mówiła, gdzie konkretnie jest, ale kiedy to nie poskutkowało, tupnęła nogą i uparła się, by Jess dzwoniła kilka razy dziennie.

- Jeśli nie zrobisz tego, zadzwonię do Olivera, a potem do Steph i tak długo będę cię nękać, aż się przekonam, że jesteś bezpieczna, jasne? - oświadczyła z wściekłością. Nie chciała kłótni z Jess, nie po tym wszystkim, co się stało, ale tak bardzo martwiła się o córkę. No więc Jess miała szesnaście lat, a Oliver był miłym chłopcem. W dzisiejszych czasach to jeszcze nic nie znaczyło.

Pod wpływem impulsu zadzwoniła na komórkę Jess, ale numer był zajęty. No dobrze, później spróbuje jeszcze raz.

Wyjęła z lodówki białe wino i naląła sobie kieliszek. Wiedziała, że pije znacznie więcej niż wtedy, kiedy ona i Tom byli razem. Wtedy wypijali na spółkę butelkę wina dwa razy w tygodniu. Teraz co wieczór piła przynajmniej dwa kieliszki. Nie była w stanie się powstrzymać. Cóż innego mogło jej pomóc w radzeniu sobie z tą fatalną sytuacją?

Postawiła chłodny kieliszek na kuchennym stole, usiadła i zaczęła przeglądać broszury z biura podróży. Nie miała ochoty oglądać tych, które reklamowały wyjazdy do Ameryki. To tam właśnie rodzina Bartonów planowała się wybrać, zanim wszystko się popsulo, zanim pojawił się Jay. Ona i Tom od wielu lat mówili o podróży przez całe Stany. To były ich wymarzone rodzinne wakacje, takie, na które pojechaliby, gdyby wygrali w totka.

Tom miał już nawet wytyczony plan podróży: poleciliby do Nowego Jorku, zwiedzili to miasto, po czym wynajęli samochód i udali się na południe, a potem na zachód, aż skończyłby im się czas albo pieniądze. Abby pragnęła zobaczyć San Francisco, natomiast Tomowi od dzieciństwa marzył się Wielki Kanion.

- To miejsce, które trzeba zobaczyć, zanim się umrze - oświadczył Abby. - Ależ by to była fantastyczna wyprawa, prawda? Ty, ja i Jess, oglądający wszystko, przeżywający amerykański sen...

Abby pamiętała doskonale, jak na nią wtedy patrzył, kiedy opowiadał o tym wszystkim, ten blask w jego ciemnych oczach. To był mężczyzna, w którym się kiedyś zakochała. W jego oczach ostatnio nie widywała już tego blasku. Teraz, kiedy przyjeżdżał po Jess, jego twarz była posępna, a spojrzenie miał smutne i przygaszone. To ona mu to zrobiła. Pełnego życia i pasji mężczyznę przekształciła we wrak człowieka, który stracił żonę na rzecz kogoś innego. Rzuciła broszury z Ameryką na podłogę. Później na nie zerknęła.

Może Europa byłaby dobrym pomysłem. Nie Francja, rzecz jasna. Cały czas miała w pamięci Rhône.

W takim razie Hiszpania. Nigdy nie byli w Hiszpanii. Zaczęła przerzucać strony broszurki zatytułowanej „Odkrywanie Hiszpanii”, czując, jak jej się poprawia nastrój. Były tam piękne wille w górach, fantastyczne apartamenty na południu i eleganckie hotele w dużych miastach, gdzie całymi dniami można było krążyć od galerii do galerii i podziwiać hiszpańską architekturę. Tyle że może Jess by to znudziło. Abby nie była pewna. Nie miała już pewności co do tego, co lubi Jess. To był kolejny problem.

A jeśli Jess nie miała ochoty jechać na wakacje razem z matką? Kiedy Abby była dzieckiem, nie istniało coś takiego jak rodzinne wakacje. A przynajmniej nie w jej rodzinie. Costellowie nigdy nie byli za granicą; cieszyli się, gdy mieli jedzenie na stole, a co dopiero mówić o pieniądzach na to, by wsadzić wszystkich w samolot i umieścić na tydzień w hotelu. A teraz, kiedy Abby wreszcie miała pieniądze, by zabrać ich wszystkich w jakieś egzotyczne miejsce, nie pozostał nikt z jej rodziny. Jej matka od dawna nie żyła: złożono ją do grobu niecały rok po mężu. Abby zawsze uważała, że to ostatnia tragedia życia jej matki: kiedy wreszcie uwolniła się od pijaka, który nigdy nie zajmował się odpowiednio nią i dwójką dzieci, zachorowała i zmarła. Nawet w obliczu śmierci to Frank Costello śmiał się jako ostatni.

Abby pozostawała w kontakcie z siostrą, Viv, która teraz mieszkała w Australii i nie miała ani czasu, ani chęci, by przyjechać do kraju. Jednakże nigdy nie były sobie zbyt bliskie. Ich dzieciństwo nie sprzyjało zacieśnianiu siostrzanych więzi.

Teraz rodziną Abby byli Jess i Tom. Czy też kiedyś tak było. Poproszenie Toma o to, by pojechali na wspólne wakacje, wydawało się obecnie nie do pomyślenia, zaś Jess może nie mieć na to ochoty

Siedząc przy stole w kuchni, w pięknym domu, na który tak ciężko pracowała, Abby Barton wybuchła płaczem. Na co było to wszystko?

Pięć kilometrów dalej Jess Barton była zajęta sprząaniem psich bud w schronisku dla zwierząt. Większość wolontariuszy nie znosiła tej niewdzięcznej pracy, ale Jess nigdy nie narzekała. Tak bardzo kochała zwierzęta, że pragnęła robić wszystko, by pomóc Jean. Ubrana w stare, wytarte dżinsy i zbyt duży fartuch, chroniący przed pobrudzeniem się, zgarniała brud łopata i szorowała, aż cała była mokra od potu. W sprząaniu po zwierzętach było coś dającego satysfakcję. To było takie proste zadanie. Nie wiązały się z nim żadne uczucia. Kiedy zgarniało się łopata psie kupy, nikt cię nie pytał, jak się czujesz albo czy jesteś smutna lub zmartwiona. Nikt nie obserwował cię ukradkiem, by się przekonać, czy jesteś wyrażona z równowagi rozstaniem rodziców. Nie, po prostu zgarniało się i szorowało, aż od smrodu psich kup robiło się niedobrze, a buda była w końcu czysta.

A potem Jean wychodziła z głównego budynku z tacą z domowymi ciasteczkami kokosowymi i puszkami coli. Jess uwielbiała przerwy na colę. Fajnie było rozmawiać z Jean i Olgą, która pracowała w schronisku na pełnym etacie, i słuchać ich planów dotyczących znalezienia zwierzętom nowych domów oraz zastanawiania się, któremu nazajutrz jest potrzebny weterynarz. Słuchając Jean i Olgi, Jess nie czuła się już jak uczennica liceum, lecz jak zwykła, pracująca osoba, z której zdaniem liczyli się inni.

Jess dobrze radziła sobie z psami i pierwsza zauważyła, że Lady, nerwowy półchart, kuleje. Opiekowała się Lady, kiedy zjawiał się weterynarz, i trzymając jej drżące, chude ciało, czuła się tak, jakby odnalazła swoje powołanie.

Tu było tak inaczej niż w domu. Jess pamiętała, że kiedyś w domu było fajnie i wesoło. Jednak nie teraz, kiedy tata się wyprowadził. Ten dom był zbyt duży tylko dla niej i mamy, i objęły się od ściany do ściany, samotne i nieszczęśliwe, udając przed sobą nawzajem, że wszystko jest okej. Ale nie było.

Kiedy dzwonił tata, było jeszcze gorzej. Jeśli to mama podnosiła słuchawkę, natychmiast oddawała ją Jess, jakby parzyła.

- Jak się masz? - pytał tata za każdym razem i wiedziała, że nie zniósłby, gdyby płakała czy coś w tym rodzaju.

- Dobrze, naprawdę - odpowiadała więc dziarsko. - Czytałam recenzję świetnego, nowego filmu. Moglibyśmy obejrzeć go w sobotę.

- Bardzo chętnie - odpowiadał tata z ulgą.

Oglądali teraz mnóstwo filmów, choć kiedy tata mieszkał w domu, praktycznie w ogóle nie chodzili razem do kina. Jednak siedzenie w ciemności, ze wszystkimi emocjami bezpiecznie skupionymi na wielkim ekranie, było prostsze niż jazda samochodem albo długie spacerowanie. Gdy chodzili albo znajdowali się w samochodzie, tata chciał rozmawiać, a Jess desperacko starała się tego unikać. Z mamą także nie chciała rozmawiać, mimo jej ogromnych wysiłków. Gdyby zaczęły rozmowę, Jess nie byłaby w stanie powstrzymać się od pytań w stylu: „Dlaczego się rozstaliście? Nie mogliście się bardziej postarać?”. A wiedziała, że to akurat nie byłoby mądre.

Oliver był jedyną osobą, której mogła się zwierzyć, a mimo to nawet jemu nie była w stanie powiedzieć wszystkiego, nie tak jak kiedyś Steph.

Steph była tak pochłonięta Zachem, że nieszczęśliwie docierało do niej, co się dzieje w życiu Jess. Nadal były przyjaciółkami - to jasne, zawsze nimi będą. Jednak było inaczej. Odkąd na scenie pojawił się Zach, Steph się zmieniła.

Wydawała się bardziej dorosła i nie była już tak skora do rozmawiania o wszystkich drobiazgach ze swoją niegdyś najlepszą przyjaciółką. Jess bardzo tego brakowało. Nie widywały się także tak często jak jeszcze niedawno, choć tego akurat Jess nie powiedziała mamie. Oszalałaby chyba, gdyby się dowiedziała, że ona i Oliver spędzają z sobą tyle godzin, kiedy on akurat nie pracował. Mama zdawała się sądzić, że każdy nabuzowany hormonami nastolatek myślał wyłącznie o seksie, tak więc prościej było powiedzieć, że przebywa ze Steph.

Jednak nie miała zamiaru iść z Oliverem na całość. Co nie znaczy, by ją o to prosił. On nie był taki. Gdzieś tam to było, czając się w tle, ale Jess wiedziała, że Oliver nie należy do chłopaków, którzy by naciskali.

Super się z nim rozmawiało o większości spraw, ale nie potrafiła całkowicie się przed nim otworzyć, opowiedzieć, że nocą słyszała płacz mamy i że tata zdawał się nie zwracać uwagi na oglądane przez nich filmy, ale jedynie wpatrywał się w ekran, błędząc daleko myślami.

Rodzina Olivera wydawała się taka ustabilizowana, jego rodzice tak dobrze się z sobą dogadywali, że nigdy by nie zrozumiał, jak to jest, kiedy mama i tata się rozstają. Wiedziała jedynie to, że odkąd tata się wyprowadził, wszystko było inaczej, i nienawidziła tego.

Przyjeżdżanie do schroniska i opiekowanie się zwierzętami stanowiło dla niej prawdziwą odskocznię. Lady, Duke, Marmalade, Oscar i Smudge pragnęli jedynie pieszczot, herbatników i rzucania im patyków. Nie było już Twigleta, jej ulubieńca. Jean trzymała go w schronisku tak długo, jak się dało, ale kiedy nadszedł czas, by je opuścił, Jess wiedziała, że w życiu jej rodziców zbyt wiele się dzieje, by wprowadzać w nie jeszcze psa.

Znalazł dobry dom, była tego pewna. Jean nigdy nie oddawała zwierząt, nim nie sprawdziła dokładnie, kto się nimi zaopiekuje. Jednak Jess ze smutkiem myślała o odejściu Twigleta, nawet jeżeli trafił do rodziny z dużym ogrodem.

- Jak leci?

W drzwiach stała Jean. Byстрыm spojrzeniem zarejestrowała fakt, że Jess wysprzątała to miejsce mniej więcej dwa razy szybciej niż inni wolontariusze. Nikt nie pracował ciężiej ani nie dawał z siebie więcej niż ta słodka, nieśmiała uczennica.

Jean wiedziała, że coś się dzieje w rodzinie Bartonów, choć Jess nigdy o tym nie mówiła. Zauważyła jedynie, że w ciągu ostatnich kilku tygodni Jess, o ile to było możliwe, stała się jeszcze cichsza. Na jej twarzy gościł smutek, którego nie było wcześniej. Jean bardzo by chciała porozmawiać o tym z jej rodzicami, nie wiedziała jednak, czy powinna się wtrącać. Na początku, kiedy Jess zaczęła tutaj pracować, zadzwoniła jej matka, by porozmawiać z Jean o tym, co to za miejsce i jaką pracę będzie wykonywać jej córka. Abby Barton wydała jej się bardzo miłą kobietą, mimo że pojawiała się w telewizji i w ogóle. Zadawała właściwe pytania i z całą pewnością interesowała się, czym zajmuje się jej córka po szkole i podczas weekendów. Jednak nigdy nie przyjechała do schroniska. Jean uznała to za nieco dziwne. Nie wiedziała natomiast o tym, że Jess ostro protestowała przeciwko próbom matki, by się tutaj wybrać.

- Nie jestem już dzieckiem, pamiętasz? - warczała. - To schronisko dla zwierząt. W gazecie znajdziesz zdjęcia, a tu masz ich ulotkę o zbiórce pieniędzy. To nie jest żadna narkomańska melina!

Mama wyglądała na zasmuconą tymi słowami i w głębi duszy Jess było przykro. Jednak nie chciała, by mama wdzierала się na jej teren i na dodatek opowiadała Jean o tym, co się dzieje. Już sobie wyobrażała tę rozmowę: „Ojciec Jess i ja rozstaliśmy się, więc martwię się o nią. Może mogłaby mieć ją pani na oku...”. Jess wzdrygnęła się na samą myśl o tym.

- Wykonałaś kawał fantastycznej roboty, Jess - oświadczyła z uznaniem Jean. - Chciałabym, żeby wszyscy potrafili pracować tak ciężko jak ty. Niektórzy ludzie oferujący pomoc zdają się uważać, że polega ona tylko na bawieniu się ze szczeniakami i kociakami, nie zaś na kąpaniu brudnych, dotkniętych parchem kotów i sprzątanu po psach. - Jess posłała jej szeroki uśmiech. - No więc - kontynuowała Jean - co słychać?

Pozwoliła wisieć temu pytaniu w powietrzu, mając nadzieję, że Jess odpowie na nie i może trochę się otworzy. Tak się jednak nie stało. Jess zaczęła wycierać ze ściany nieistniejący brud.

- Dobrze, wszystko dobrze - mruknęła. - Jak się goi łapa Lady?

Jean wiedziała, kiedy trzeba odpuścić. Nie należała do osób, które wściubiają nos w życie innych ludzi.

- Bardzo dobrze. Rano był weterynarz i twierdzi, że za kilka dni będzie zdrowa jak ryba. Chodź, Jess. Czas na przerwę. Inaczej Olga zje nam wszystkie ciastka. Przez godzinę kąpała tego kucyka szetlandzkiego, który dopiero co się u nas zjawił, i jest wykończona.

- Och, on wyglądał tak słodko - westchnęła Jess. Wcześniej dostrzegła w oddali kucyka, niewielkie zwierzę ze zmierną grzywą i ogonem, który pod warstwą brudu może i był w kolorze palomino blond.

- Słodki, kiedy się na niego patrzy - uśmiechnęła się szeroko Jean. - Ale nie taki słodki, kiedy trzeba go myć. Ten akurat potrafi całkiem mocno gryźć. Olga ma całe posiniaczone plecy, bo kucyk podgryzał ją za każdym razem, kiedy odwracała się do niego tyłem.

- Poprawię tylko posłania psom i już wychodzę - rzekła Jess.

Po jej wyjściu Jess ogarnęły wyrzuty sumienia. Wiedziała, że Jean starała się być po prostu miła, ale ona nie chciała rozmawiać o tym, co się z nią dzieje. Wolą zachować milczenie. Tak było prościej. Poza tym było coś miłego, o czym mogła myśleć. Spotykała się później w miasteczku z Oliverem i mieli iść razem na długi spacer wzdłuż plaży. Nie mogła być tam zbyt długo, ponieważ wtedy mama nabrałaby podejrzeń i zaczęłaby się martwić. Jess zastanawiała się, czy jej matka martwiłaby się tak bardzo o nią i Olivera, gdyby tata nie odszedł. Wtedy także by się przejmowała, ale tata wytłumaczyłby jej, że to normalne, iż dziewczyna w wieku Jess ma chłopaka. Mama wydawała się niespokojna z tego powodu, no ale ostatnio niepokoiła się dosłownie wszystkim... Taki był właśnie problem z ich rozstaniem. Miało to wpływ na wszystko. Mama uważała chyba, że Jess jest tylko dzieckiem, i martwiła się tym, że może w nocy płakać albo mieć koszmary dotyczące rozvodu rodziców.

To wszystko było bardziej skomplikowane. Po pierwsze nie była już dzieckiem, a tylko dziecko mogłoby mieć nadzieję, że jeszcze się zejda. Rozmawiali z nią o znaczeniu komunikacji, a nie dostrzegali tego, że przez ostatni rok w ogóle nie komunikowali się z sobą. Tata zawsze uważał, że ma we wszystkim rację, i nie akceptował innego punktu widzenia. Mama zawsze dolewała oliwy do ognia, rozmawiając o swojej pracy i nie uświadamiając sobie tego, że z jakiegoś powodu tata jej nie znosił. Naprawdę byli beznadziejni. Jess zastanawiała się, czy powiedzieć im to, co myśli, ale oni nigdy nie pytali jej o zdanie. Była przecież dzieckiem, no nie?

O wpół do szóstej wyjechała ze schroniska, by spotkać się z Oliverem. Jean przyglądała się, jak jedzie poślubioną koleinami ścieżką, która na dole wzgórza łączyła się z główną drogą. Martwiła się o nią. Już po raz drugi tego dnia zastanawiała się, czy nie powinna zadzwonić do matki Jess i porozmawiać z nią. Może jednak nie powinna. Jess była nastolatką, a to był trudny wiek. Jean miała nadzieję, że uda jej się porozmawiać z jej miłym chłopakiem. Oliver - tak chyba miał na imię. Kilka razy przyjechał do schroniska po Jess i sprawiał wrażenie sympatycznego. Jess może po prostu przechodzi burzę hormonalną; tak, na pewno o to chodziło. I Jean była pewna, że rodzinie Jess nie spodobałoby się, gdyby zaczęła się wtrącać. Cokolwiek by się działo w rodzinie Bartonów, z całą pewnością rozwiąże się to bez jej pomocy.

Kiedy Jess otworzyła drzwi, mama pojawiła się tak szybko, że wiadomo było, iż na nią czekała. Było wpół do dziewiątej i razem z Oliverem spędziła kilka cudownych godzin, spacerując po plaży, rozmawiając, śmiejąc się, trzymając za rękę i nie robiąc nic szczególnego.

- Cześć, kochanie, co słyhać? - Głos mamy był nieco zbyt radosny. Trzymała w dłoni kieliszek z winem. - Chciałabym o czymś z tobą porozmawiać.

- Tak? - zapytała niechętnie Jess, nie wiedząc, co nastąpi za chwilę.

Nie znosiła tych rozmów w stylu: „Jest coś, o czym muszę z tobą porozmawiać”. Zawsze oznaczały kłopoty. Coś jak: „Wylatujemy z kraju następnym samolotem i już nigdy nie zobaczysz swego ojca”. W tej chwili wszystko było możliwe.

- Wakacje, o tym właśnie chcę z tobą porozmawiać - rzekła pogodnie Abby. - Obie potrzebujemy wakacji. To znaczy ja tak i jestem pewna, że po tych wszystkich egzaminach ty także. A więc co o tym myślisz?

Wydawała się podekscytowana jak dziecko i Jess miała wrażenie, że role się odwróciły. To ona była osobą dorosłą, a jej matka dzieckiem. Problem jedynie w tym, że akurat dzisiaj wieczorem nie czuła się jak dorosła. Dzisiaj miała ochotę udać się do swego pokoju, położyć na łóżku, słuchać muzyki i myśleć o Oliverze.

- Jak chcesz - odparła.

Mama wyglądała na tak przybitą tą reakcją, że Jess poczuła się lekko winna.

- To znaczy możemy jechać na wakacje - dodała. - Ale wiesz, że bez taty nie będzie już tak samo.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Nie chciała, żeby tak to zabrzmiało. A teraz mama miała taką minę, jakby zaraz miała się rozplakać.

- Ja chciałam tylko... - rzekła z zakłopotaniem Jess. - Chciałam tylko powiedzieć, że to będą po prostu inne wakacje.

Jej matka wyglądała na zdruzgotaną.

- Przepraszam, Jess. Wiem, że jest ci ciężko. - Palce mamy, trzymające nóżkę kieliszka, wydawały się napięte. Jess zauważyła, że na paznokciach nie ma ani śladu lakieru. Mama zawsze tak bardzo dbała o paznokcie, a teraz w ogóle się nimi nie przejmowała. - To będą zupełnie inne wakacje, ale potrzebujesz odpoczynku i musimy w jakiś sposób zacząć nowe życie. - Skoro już zaczęła, najlepiej będzie mówić dalej. - Najprawdopodobniej niedługo będziemy musiały sprzedać dom i wyprowadzić się.

Jess nie odezwała się ani słowem.

- Wracając do wakacji, co myślisz o Hiszpanii? - zapytała mama przesadnie radosnym tonem.

Jess popatrzyła na nią tak, jakby Abby zaproponowała właśnie wycieczkę na Marsa bez zapasu tlenu.

- Hiszpania? - zapytała z pogardą. - Nie sądzę.

Pamiętała, jak cztery albo pięć lat temu Steph pojechała razem z rodziną do Hiszpanii. Wtedy Jess oddałaby wszystko, by tam jechać, ale nie teraz. Nie chciała nigdzie wyjeżdżać, ponieważ wtedy znajdzie się z dala od Olivera.

Po całym koszmarnym dniu Abby zaczęła ogarniać irytacja.

- W takim razie gdzie powinniśmy jechać? - zapytała, z trudem kryjąc zniecierpliwienie.

- Nie wiem - odparła zadzierzyscie Jess. - Czemu nie zapytasz o zdanie taty?

- Wiesz, że nie mogę tego zrobić - warknęła jej matka. - Te wakacje są dla ciebie i dla mnie, nie dla twego ojca.

Pociągnęła kolejny duży łyk wina, po czym wróciła do przeglądania leżących na kuchennym stole broszur. Z Jess naprawdę nie dawało się już wytrzymać.

- Skoro nie wiesz, gdzie chciałabyś jechać, dlaczego w ogóle musimy wybierać się gdziekolwiek? - Jess wpatrywała się przez chwilę w matkę, po czym odwróciła się i wyszła.

Abby słyszała, jak wchodzi głośno po schodach, po czym w znajomy sposób trzaska głośno drzwiami od swojego pokoju. Wzdychając, powróciła do broszur. Potrzebne jej były wakacje, i to jak najszybciej.

Wreszcie natrafiła na broszury reklamujące wycieczki na Florydę. Zwłaszcza jedna przykuła jej uwagę, połączenie miejskiego leniuchowania i szaleństw w Disneylandzie. Jess może i powie, że nie ma na to ochoty, ale w głębi duszy będzie zachwycona, uznała Abby. Tak jest, Floryda i już.

Kilka dni później wszystko było załatwione. Przesłano jej bilety, została zamówiona taksówka, która miała je zabrać na lotnisko, a Abby spakowała już większość ubrań. Jak na kogoś, kto się specjalizował w porządkowaniu domów innych ludzi, fatalnie sobie radziła z pakowaniem własnej walizki. Wiedziała, że na miejscu będzie miała dwie walizki z mnóstwem pogniecionych ciuchów, ale co tam. Zabierze z sobą żelazko.

Została jej tylko jedna rzecz do zrobienia przed wyjazdem. Niestety było to coś, czego nie znosiła.

Od Seliny z Beech dowiedziała się, że dziennikarka ze „Style” bardzo by chciała przeprowadzić z nią wywiad.

- Nazywa się Maria Carroll i uwielbia twój program - oświadczyła Selina. - To twarda sztuka i potrafi mieć jędrzowate pióro, ale chce cię poznać i naprawdę warto by było to zrobić, gdyż wszyscy czytają to, co ona pisze. Wiem, że zaraz wyjeżdżasz na wakacje, ale proszę, bardzo ładnie cię proszę, nie znalazłabyś dla niej chwili? To byłaby naprawdę świetna reklama dla programu, a nową serię musimy rozpocząć z impetem.

Abby chciało się wymiotować na myśl o programie, ale wiedziała, że robi to dla Seliny. I dla swej przyszłej kariery. Był jednak jeden problem. A jeśli dziennikarka zapyta o jej szczęśliwe życie rodzinne? Selina wiedziała, że wszystko to lipa i że Tom kilka tygodni temu wyprowadził się z domu, ale oprócz niej nikt nie miał o tym pojęcia i Abby bardzo bała się tego, że dziennikarski światek odkryje w końcu jej sekret. Już sobie wyobrażała tytuły: „Abby ukrywa złamane serce”. O Boże, czytała też w myślach artykuły, które opisywałyby szczegółowo jej drogę do sławy i to, jak na początku ona i Tom wszystko robili razem. Winą zostanie obarczony jej sukces i wiedziała, że rzeczywiście częściowo tak właśnie jest. W artykułach pojawiają się także spekulacje na temat jej przyszłości, tego, że ona i Tom najpewniej będą musieli sprzedać ich piękny dom. A co, jeśli będą robić także zakłady co do jej przyszłego życia uczuciowego, zamieszczając całą listę odpowiednich kawalerów do wzięcia? Nie byłaby w stanie znieść czegoś takiego.

- No dobrze, Selino - rzekła niechętnie. - Udzielę tego wywiadu, ale czy mogłabyś też być przy tym obecna? Po to tylko, by mieć pewność, że Maria Carroll nie będzie zadawać żadnych strasznych pytań. Może tak być?

Dostawszy to, czego chciała, Selina gotowa była zgodzić się na wszystko.

- Skarbie, bardzo chętnie będę tam z tobą - odparła wielkodusznie. - Ale wiesz, prasa pewnego dnia dowie się o tobie i Tomie, i wtedy będziesz musiała zacząć o tym mówić.

Abby wiedziała, że Selina ma rację, ale to wcale niczego nie ułatwiało. Rozstanie było wystarczająco trudne bez opisanie całej historii w gazetach. Tomowi nigdy nie podobała się jej kariera. Znienawidzi ją jeszcze bardziej, gdy ich życie stanie się pożywką dla prasy

- Zajmę się wszystkim, a ty będziesz musiała jedynie przybyć i uruchomić ten legendarny urok Abby Barton - rzekła radośnie Selina. - Jesteś profesjonalistką, Abby, i dlatego właśnie tak świetnie się z tobą pracuje.

- Jasne - odmruknęła. - Prawdziwa profesjonalistka to właśnie ja.

Dziennikarka ze „Style” była wytworną czterdziestokilkulatką, autorką felietonów o stylu życia, opisującą własne życie pracującej matki trójki dzieci. Abby nie znała Marii, ale zdarzało jej się czytać jej felietony i podejrzewała, że za zabawnymi anegdotami na temat rodzinnego życia i zbierania z sofy kociej sierści kryła się twarda karierowiczka z sercem ze stali. Abby uznała, że przed takim wywiadem przydadzą się posiłki, więc udała się do The Beauty Spot, by sobie zrobić makijaż i manikiur.

Dzięki temu będzie miała także okazję poplotkować z Erin i Ruby. Kiedy wchodziła do środka, uświadomiła sobie, że ostatnimi czasy nie można jej było nazwać stałą bywalczynią tego salonu. Po śmierci Sally to już nie było to samo. Ruby i Erin wykonywały naprawdę kawał dobrej roboty, ale kiedy Abby przejeżdżała i widziała te zawadiackie, różowe zasłonki z bawełny, zawsze przypominała jej się Sally i wracała myślami do tych czasów, gdy jej przyjaciółka żyła, kiedy Richardsonowie urządzali fantastyczne imprezy, kiedy ona i Tom byli jeszcze parą.

Starła się pozostawać w kontakcie ze Steve'em, ale od czasu śmierci Sally zrobił się prawdziwym samotnikiem. Przez telefon nie chciał rozmawiać dłużej niż chwilę, a kiedy zaglądała do niego do domu, widać było, że czuje się skrępowany. Tydzień temu odmówił, gdy zadzwoniła, by zaprosić na sobotni obiad jego, Delię i chłopców. Powiedział, że zatrudnił opiekunkę dla chłopców i chciał przebywać z nimi tak dużo, jak to tylko możliwe, gdyż był im potrzebny

- Odkąd zmarła Sally Daniel zrobił się bardzo przyklejony - wyjaśnił. - Za każdym razem, gdy wychodzę, sądzi, że już nie wrócę. Dom wnosi do ich życia nieco stabilizacji.

- Ale musicie wszyscy z niego wychodzić - rzekła Abby

- Nie potrafię - odparł Steve.

Dzisiaj w salonie nie było widać Erin, natomiast Ruby na widok Abby rozpromieniła się.

- Kopę lat! - zawołała.

Abby natychmiast ogarnęły wyrzuty sumienia. Gdyby była w stanie wyrzucić z siebie to całe gryzące ją poczucie winy i zastąpić je pewnością siebie, byłaby naprawdę fantastycznym człowiekiem.

- Tak, przepraszam, Ruby - odparła. - Od dawna nie mogłam się jakoś do was wybrać, ale dzisiaj jesteś mi potrzebna. Będę udzielać wywiadu do „Style” i chcę wyglądać oszałamiająco albo olśniewająco, albo i tak, i tak, o ile to możliwe.

Ruby uśmiechnęła się promiennie.

- Z olśniewającym wyglądem nie będzie żadnego problemu.

- Jest Erin?

- Nie, dzisiaj nie - odparła Ruby, po czym zniżyła głos. - Pojechała spotkać się z rodzicami i siostrą. Słyszałaś, że ich odnalazła, prawda?

Poczucie winy Abby przybrało na sile. Nie miała pojęcia, że Erin nawiązała kontakt z dawno utraconą rodziną. Obiecując sobie w duchu, że jak najszybciej się z nią skontaktuje, usiadła obok lustra przed Ruby.

- Ruby - rzekła. - Rób, co tylko będzie trzeba. A jeśli to będzie wymagać sprzętu do szlifowania, nie wahaj się go użyć.

Dwie godziny później wyszła z salonu, czując się jak zupełnie inna kobieta. Miała pięknie pomalowane paznokcie i perfekcyjny makijaż. A cera promieniała blaskiem, który mógł być wynikiem albo codziennego dokładnego oczyszczania, albo jednego z niesamowitych półgodzinnych zabiegów na cerę Ruby. W środku Abby może i nie czuła się jak gwiazda telewizji, ale zdecydowanie tak wyglądała.

Miała się spotkać z Seliną i Marią Carroll w stylowej restauracji blisko centrum Cork. Niedawno ją otworzono i natychmiast odniosła wielki sukces dzięki fantastycznemu jedzeniu, niebotycznym cenom i fascynującemu wystrojowi wnętrza. Tematem przewodnim był Hollywood lat dwudziestych i trzydziestych. Cała restauracja była udekorowana niczym scena z pełnego majestatu starego filmu. Abby jeszcze w niej nie jadła, ale wybrała ją głównie dlatego, że podobno było w niej bardzo ciemno i dziennikarka nie będzie widzieć jej twarzy, która zblednie za każdym razem, gdy Abby będzie musiała mówić o swym małżeństwie.

Dotarła tam jako pierwsza. Usiadła przy zarezerwowanym dla nich stoliku i zamówiła podwójne espresso, które, jak miała nadzieję, wyostrzy jej refleks, tak by była gotowa na nawet najtrudniejsze pytania.

Selina i Maria zjawiły się w tym samym czasie i oczywiście mnóstwo było okrzyków w stylu: „Kochana, cudownie cię poznać!”, całowania powietrza i udawanej serdeczności, czego Abby nie znosiła z całego serca. A jednak sama także zachowywała się w taki sposób. Wiedziała, że jeśli tego nie zrobiła, artykuł Marii z całą pewnością rozpocząłby się od czegoś w rodzaju: „Na ekranie jest pełna życia, jednak w rzeczywistości Abby Barton to jedna z bardziej mało-mównych prezenterek”, co by oznaczało, że na żywo była staroświecka i nudna, nie zaś ekspresyjna i energiczna.

Zamówiono szampana, ponieważ, jak stwierdziła Maria:

- Nie ma nic lepszego niż przeprowadzanie wywiadu i jednocześnie raczenie się bąbelkami, zwłaszcza kiedy ktoś inny, na przykład Beech, płaci rachunek.

Selina i Abby wymieniły znaczące spojrzenia. Zapowiada się długi lunch, pomyślała Abby. Jednak Selina była dobrze przygotowana na tego typu zachowanie. Wlewanie w ludzi szampana w zamian za dobrą reklamę było czymś, co wychodziło jej doskonale.

- Skarbie - rzekła do Marii - szampan to naprawdę wyśmienity pomysł.

Abby uśmiechnęła się, jakby zgadzała się z tymi słowami. Teoretycznie łatwiej będzie udzielać wywiadu komuś raczącemu się alkoholem, ale Maria raczej nie należała do osób, które po trzech kieliszkach Moët są pijane jak bela. Lata pracy w tej branży z pewnością podwyższyły jej poziom tolerancji i pewnie trzeba trzech butelek, by ją upić. Nawet wtedy pozostawała z pewnością zbyt czujna, by pozwolić, żeby coś jej umknęło.

Przez pierwsze dwadzieścia minut Maria, Abby i Selina rozmawiały niezobowiązująco o branży i dzieliły się najświeższymi plotkami. Gawędziły w taki sposób, jakby były przyjaciółkami, które umówiły się na pogaduszki i lunch. Jednak Abby pozostawała świadoma obecności niewielkiego dyktafonu Marii, leżącego na stole niczym wąż i mrugającego czerwonym okiem, sygnalizującego, że wszystko się nagrywa. Dla osób z zewnątrz mogło to wyglądać na przyjacielski lunch. Jednak Abby wiedziała, że każde wypowiedziane przez nią słowo może się znaleźć w artykule.

Kiedy pojawiło się pierwsze danie, zdążyło minąć pełne trzydzieści minut i Maria zabrała się za wywiad. Abby nie znośiła udzielać ich podczas lunchu - nigdy nie potrafiła się skoncentrować na tym, co mówi, kiedy próbowała przełknąć sałatkę albo wodę mineralną.

- Powiedz mi - zagruchała Maria - o najnowszych nabytkach w Beech. Nie poznałam osobiście bliźniaczek, ale podobno są fantastyczne. Dogadujecie się z sobą?

Abby zdążyła właśnie włożyć do ust ostatni kawałek posmarowanej masłem bułki.

- Cóż, tak - wymamrotała z pełnymi ustami.

- To znaczy nie dogadujecie się? - zapytała słodko Maria.

- Nie, nie, nie to mówiłam - odparła Abby, kiedy wreszcie udało jej się przełknąć. - Uwielbiam Mitzi i Linzi, przyjaźnimy się i myślę, że dogadujemy się po prostu fantastycznie. Ja po prostu jadłam.

Wiedziała, że ten wywiad będzie trudny, ale wcześniej nawet nie przyszło jej do głowy, że Maria będzie próbowała ją wrobić. Dziennikarka wkładała właśnie do ust ravioli z mozzarellą, wyraźnie czekając na właściwą odpowiedź. Abby zrozumiała, że nie naje się dzisiaj.

- Prawda jest taka, Mario, że uwielbiam bliźniaczki - oświadczyła z uśmiechem na twarzy, który Jess natychmiast rozpoznałaby jako fałszywy - Świetnie się z sobą dogadujemy Tak naprawdę to pomysł dodania do programu nowych prezenterek wyszedł ode mnie - skłamała. - Pomyślałam, że formuła *Porządków* nieco powszedniejsze, rozumiesz, o co mi chodzi?

Posłała Marii kolejny fałszywy uśmiech i modliła się, by ta kobieta jej nie przejrzała. Abby naprawdę uwielbiała bliźniaczki. Jednak na początku pomysł ich dołączenia do obsady uznała za beznadziejny

Prawdziwa historia, rozgrywająca się za kulisami, stanowiłaby dla Marii sensacyjny materiał, ale Abby nie miała zamiaru jej go dostarczyć.

- Są wprost stworzone do występowania w telewizji. Widziałas materiał filmowy? - zapytała niewinnie.

To akurat nie było kłamstwem. Abby naprawdę uważała, że Linzi i Mitzi są świetne na ekranie. Jednakże jasne było, że Maria spodziewała się, że Abby, wzgardzona starsza presenterka telewizyjna, będzie przez cały czas subtelnie

albo i nie obsmarowywać swe młodsze koleżanki z programu. Cóż, Abby nie miała zamiaru dać jej satysfakcji. Maria gdzie indziej będzie musiała zdobywać tego typu informacje.

- Nie, nie widziałam, ale pewnie taśma znajduje się już w drodze do mojego biurka - odparła Maria. - To naprawdę świetnie, że tak dobrze się dogadujecie - dodała ostro, jakby niezupełnie uwierzyła w to całe bratanie się z bliźniaczkami.

- Dogadujemy się? - Abby uśmiechnęła się do niej promiennie. - Tak naprawdę to tak dużo z sobą rozmawiamy, że reżyser na nas krzyczy, że nie dajemy mu dojść do słowa na planie! - Do głowy przyszło jej nowe, wyśmienite kłamstwo. - Niedługo jadę z córką na wakacje i kiedy wspomniałam o tym dziewczętom, też się do tego zapaliły!

Włóż to sobie do fajki i zapal, pomyślała z ponurym zadowoleniem. Jednak kolejne pytanie Marii sprawiło, że dotarło do niej, iż posunęła się o jeden krok za daleko.

- Ale co z twoim mężem? - zapytała z błyskiem w oku.

- Podobno ostatnio nie widuje się was razem. Osobno jeździecie na wakacje?

Abby poczuła, jak zaciskają się jej mięśnie gdzieś w splocie słonecznym.

- To babskie wakacje - wyjaśniła pospiesznie, starając się jednocześnie wykombinować, co może stanowić wyprawę tylko dla kobiet, która wymagałaby pozostawienia męża w domu. - A konkretnie ośrodek spa w Arizonie. Nie powinienam tego mówić, Mario - dodała, jakby to była absolutna tajemnica. - Cóż, mogę powiedzieć *tobie* - oświadczyła, sugerując tym samym, że Maria jest kimś szczególnym

- ale nie chcemy, by ta informacja pojawiła się w gazecie, tak by każdy mógł tam sobie jechać. To naprawdę ekskluzywne miejsce.

Selina, która jadła sałatkę i pozostawała poza linią wzroku Marii, uniosła idealnie wymodelowane brwi.

- Spa w Arizonie? Chyba nie to, do którego jeździ Sandra Bullock, to z uzdrawiającymi rytuałami Indian? - zapytała leniwie.

- Dokładnie to - odparła Abby - Jestem przekonana, że te uzdrawiające rytuały działają bardzo kojąco. W ofercie spa są także te błotne maski na całe ciało o świcie, które mają niesamowicie oczyszczające działanie. - Wymyślała to wszystko na poczekaniu, ale Maria wydawała się to kupować. - Mężczyźni nie znoszą czegoś takiego, więc to wyłącznie babska wyprawa, ale bliźniaczki są zbyt zajęte, by z nami jechać.

- Posłała spojrzenie Selinie, błagając ją bezgłośnie, by powiedziała Mitzi i Linzi o tym zmyślnym wyjeździe, tak by ich wersje pokrywały się z jej słowami.

Potem nastąpiła dyskusja na temat ośrodków spa. Maria wiele już ich odwiedziła, a Abby jakoś udało się ukryć fakt, że jeszcze nigdy w życiu nie zajrzała do żadnego z nich.

Następnie rozmowa przeskoczyła na temat trudności łączenia pracy z macierzyństwem, a Abby - która czuła się jak hipokrytka - dała radę opowiadać o trudnościach, nie ujawniając żadnego ze swych rzeczywistych problemów.

- Och, wiem, jakie to trudne, kiedy wraca się do domu po całym dniu w pracy, a trzeba zrobić pranie i całą resztę - westchnęła Maria.

Abby gotowa się była założyć o miesięczne dochody, że Maria miała zewsząd pomoc i nie miała pojęcia, jak w pralce nastawia się pranie w niskiej temperaturze, ale kiwnęła ponuro głową i rzekła, że owszem, to bardzo trudne. Ludzie po prostu nie doceniali pracujących kobiet.

Wtedy uderzyła ją myśl, że wcześniej była absolutnie pewna tego, iż Tom jej nie docenia, i proszę, jak to się wszystko skończyło.

Wreszcie wywiad dobiegł końca. Maria była lekko wstawiona po dwóch butelkach szampana, na twarzy Seliny malowało się zadowolenie, które mówiło Abby, że wszystko poszło dobrze, ona zaś czuła ulgę, że jakoś udało jej się uciec.

- Do zobaczenia - rzekła z odpowiednim żalem, jakby gotowa była zrobić wszystko, by móc spędzić z nimi cały dzień, sącząc szampana i wymieniając się ploteczkami.

Kiedy Abby wyszła z restauracji, zostawiła wiadomość na poczcie głosowej Mike'a Horowitza.

- Mike, muszę z tobą porozmawiać. Właśnie udzieliłam wywiadu magazynowi „Style”. Maria Carroll, znasz ją? Mało brakowało, by zaczęła zadawać pytania na temat mnie i Toma.

- Abby umilkła. Nie znośła o tym rozmawiać, nawet z Mike'em, który okazał się dla niej prawdziwym oparciem. - Boję się, że niedługo wszystko się wyda. Proszę, oddzwon. Muszę porozmawiać o tym, co teraz zrobimy. - Rozłączyła się.

To dziwne, jak szybko Mike stał się jej powiernikiem. Kiedyś, kiedy pojawiały się jakieś problemy, rozmawiała o nich z Tomem. To prawda, nie lubił jej pracy i z całą pewnością nie cieszył się z tego, że zarabiała więcej od niego, ale zawsze był gotów do spokojnej i rzeczowej rozmowy o tym, co ją gryzie. Czasami irytował ją swoim wyluzowanym podejściem.

- To tylko telewizja - mówił ze śmiechem. - Daj spokój, Abby, nie bierz tego tak poważnie; to jeszcze nie koniec świata.

Mike Horowitz doskonale się nadawał do rozmowy o show-biznesie, ponieważ siedział w tej branży od dawna i wiedział wszystko o wszystkich. Wiedział nie tylko to, gdzie zakopane były ciała, ale także był obecny przy ich zakopywaniu. Jednak taka branżowa wiedza to nie to samo co miłość. Tom rozmawiał z nią o tym wszystkim dlatego, że ją kochał.

Była w drodze do Dunmore, kiedy zadzwonił telefon. Mike.

- Hej, Abby - rzekł radośnie. - A więc dziennikarka ze „Style” krążyła niebezpiecznie blisko. Niechętnie to mówię, ale ostrzegąłem, że tak będzie.

- Mike, nie mów tego - jęknęła. - Proszę, nie mów. Wiedziałam, że to się pewnego dnia wyda, ale nie sądziłam, że tak szybko. Wydaje się, jakby ci dziennikarze wiedzieli dosłownie wszystko.

- Ale przecież ona nie wiedziała wszystkiego, prawda? - zapytał Mike z niezbitą logiką, kiedy już mu wszystko opowiedziała. - Ona jedynie cię podpuszczała. Nie wydrukują niczego, dopóki nie będą mieli niezbitego dowodu, że ty i Tom rozstałście się. Ale kiedy będą pewni, zadzwonią do ciebie i zapytają o to prosto z mostu. Musisz być na coś takiego przygotowana. Musimy powziąć działania dotyczące zarówno twojej kariery telewizyjnej, jak i osobistej reklamy. Musisz uczynić pierwszy krok, nim zrobi to Beech. Łatwiej się szuka nowej pracy, kiedy jeszcze ma się starą.

Abby westchnęła głośno.

- Och, Mike, w tej chwili zbyt wiele się dzieje. Nie chcę myśleć o odejściu z *Porządków* ani z Beech. Byli dla mnie dobrzy, naprawdę, byli...

- Nie, nie byli dla ciebie dobrzy - przerwał jej z mocą Mike. Prowadził negocjacje z Beech co do niepokojącego pomniejszenia roli Abby w nowej serii, ale uważał, że pójście na noże okazałoby się błędem. - Nie chcesz odchodzić w tak nieprzyjemnej atmosferze - rzekł.

W duchu Abby bardzo by chciała, by Mike powalczył z Roxie i Brianem, ale musiała zaufać jego ocenie.

- To ty byłaś dobra dla Beech - oświadczył teraz. - Dałaś im program, który okazał się hitem, a przecież był twoim pomysłem. Teraz są gotowi wyrzucić cię z niego, jeśli im na to pozwolisz. Zaufaj mi, Roxie nie sprowadziła do pro-

gramu bliźniaczek ot tak sobie, dla zabawy. A ta dziennikarka, która przeprowadzała dzisiaj wywiad, to przyjaciółka Roxie, prawda?

- Naprawdę? - zapytała Abby. - Skąd o tym wiesz? Prawie widziałam, jak Mike uśmiecha się do słuchawki.

- Jestem twoim agentem - odparł. - Wiem takie rzeczy. Abby, nie chciałem mówić ci o tym wcześniej, podobnie jak Selina. Nie chcieliśmy cię niepokoić.

- Wielkie dzięki - oświadczyła z wściekłością Abby. - Przecież mogłam się jej naprawdę podłożyć. Przeżyłam szok, kiedy zapytała mnie o Toma. Mogłam narobić niezłego bigosu i wyaplać, że się rozstaliśmy

- Ona niczego nie wiedziała - upierał się Mike. - Nikt nie wie tego na pewno, nawet Roxie. W przeciwnym wypadku nie pozwoliłbym ci iść na ten wywiad. To byłoby niczym rzucenie chrześcijanina lwom na pożarcie. Ale założę się, że Roxie poinstruowała ją, by cię zapytała, jak ci się pracuje z bliźniaczkami.

- Rzeczywiście zapytała mnie o to - przyznała Abby

- To byłoby w stylu Roxie - odparł Mike. - Chce ci podkopać opinię, a najlepiej zrobić to właśnie w prasie. Gdybyś wyszła w wywiadzie na zgorzkniałą, starą wiedźmę, wtedy łatwiej byłoby jej cię zwolnić. A tego akurat nie chcemy Beech Productions opuścić tylko wtedy, gdy będziesz miała lepszą ofertę pracy. To nie oni cię zwolnią.

- Jaką dokładnie lepszą pracę masz na myśli? - zapytała z przygnębieniem Abby.

- Badałem dyskretnie grunt i dowiedziałem się, że w Seven Two Seven Network mówi się o produkcji wieczornego talk-show - odparł spokojnie Mike. - Idealnie byś się do niego nadawała. Nie szukają dwudziestoletniej podfruwajki, ale dojrzałej i doświadczonej dziennikarki z wewnętrznym ciepłem i siłą przyciągania. Ty to masz.

- Nigdy w życiu nie przeprowadziłam z nikim wywiadu - rzekła zaszokowana Abby

- A co robisz za każdym razem, kiedy wkraczasz w *Porządkach* do czyjegoś domu i pytasz właścicieli, co chcieliby, żebyś zrobiła, aby żyło im się lepiej? - zapytał Mike. - Czy to nie jest właśnie przeprowadzanie wywiadu? Robisz to za każdym razem, gdy pojawiaasz się na ekranie, Abby Jesteś do tego stworzona. Po prostu nie zdajesz sobie z tego sprawy, ani ty, ani ludzie w Beech Productions - zachichotał. - Kiedy już skończę z twoją karierą, wpadną w szal, że pozwolili ci odejść.

Abby słyszała, co mówi, ale słowa niezupełnie do niej docierały Nigdy nie wierzyła, że posiada jakieś zdolności. Tak naprawdę to często uważała, że telewizyjna kariera przytrafiła jej się przez czysty przypadek, szczęśliwy traf i bycie we właściwym miejscu we właściwym czasie, nie zaś dzięki talentowi. Bycie dobrą w porządkowaniu domów innych ludzi trudno nazwać zdolnością. To jedynie coś, w czym była dobra i tyle.

To cudowne ze strony Mike'a, że mówił jej tyle miłych rzeczy, ale on naprawdę niczego nie rozumiał: gdyby znalazła się w programie telewizyjnym, w którym musiałaby na poważnie przeprowadzać wywiady, wszystko by się wydało. Ludzie zobaczyliby, że jest oszustką, że w żadnym wypadku nie jest w stanie przeprowadzić wywiadu, że nie jest stworzona do telewizji i że wcześniej po prostu dobrze udawała.

W jej myśli wdarł się głos Mike'a:

- Wiem, co teraz robisz - rzekł. - Sporządzasz w myślach długą listę powodów: dlaczego nie możesz się pojawić w innym programie telewizyjnym, dlaczego totalnie się nie nadajesz do przeprowadzania wywiadów i dlaczego w żadnym wypadku nie masz ochoty pójść na przesłuchanie.

- Wcale nie - zaprotestowała Abby. - Ja tylko... - Zamilkła, ponieważ miał zupełną rację. Robiła dokładnie to, co mówił. - A więc chcesz, bym udała się na przesłuchanie do tego nowego programu? - zapytała z niechęcią.

- Tak - odparł Mike. - W ciągu kilku ostatnich tygodni rozmawiałem z producentem i jest bardzo zainteresowany. Nie wspominałem ci o tym, ponieważ nie chciałem rozbudzać w tobie nadziei, ale myślę, że nadeszła właściwa pora, by cię wypróbować. Jesteś dokładnie taką osobą, jakiej szukają, Abby, uwierz mi. Uwierz w siebie.

- Łatwo ci mówić.

- Łatwo ci to także zrobić - zauważył spokojnie Mike.

- Jesteś gwiazdą, Abby, musisz jedynie uwierzyć w siebie.

- Ale za kilka dni wybieram się na wakacje - odparła niespokojnie. - To przesłuchanie nie może się odbyć przed moim wyjazdem, prawda?

- Ależ może. Jeśli zostawisz to na później, będziesz się tym zamartwiać przez cały wyjazd. Ustawię to na pojutrze. Możesz polecieć do Dublina rano i po południu wziąć udział w przesłuchaniu. A wieczorem zabiorę cię na fantastyczną kolację, i urzniemy się, i opowiemy sobie o wszystkich naszych problemach.

- Do Dublina? - zapytała Abby, czując się jak idiotka. Oczywiście, siedziba 727 Network mieściła się w Dublinie.

- Gdyby się udało, to musiałabym pracować w Dublinie, prawda?

- Program będzie emitowany raz w tygodniu - wyjaśnił Mike - musiałabys więc pewnie spędzać w Dublinie dwa dni w tygodniu, maksymalnie trzy. To oznacza dwie noce poza domem. Czy to stanowiłoby problem?

Czy to stanowiłoby problem? Sześć miesięcy temu odpowiedziałyby, że tak. Wtedy Tomowi nie podobałoby się to, że miałyby wyjeżdżać na dwie noce, i na pewno uznałyby, że jej kariera koliduje z życiem rodzinnym. Teraz było inaczej. Nie musiała myśleć o Tomie, ale jedynie o Jess i o tym, jaki to miałyby na nią wpływ. Gdyby, i to było naprawdę duże „gdyby”, dostała tę pracę, musiałaby załatwić to w taki sposób, by podczas jej nieobecności Tom opiekował się Jess. Jess może i uważała się za dorosłą, ale nią nie była, jeszcze nie. Nie mogła zostawać w domu zupełnie sama.

Wtedy w głowie Abby pojawił się kolejny pomysł. Ona i Jess zawsze się mogły przeprowadzić do Dublina. W Dunmore nic jej nie trzymało, już nie. Miała tam przyjaciół, to prawda, ale bez Toma czuła się tak, jakby z tego miejsca uszło całe życie. Kiedy sprzedadzą dom, nie będą jej tam trzymały żadne emocjonalne więzi. Jess z pewnością nie spodoba się pomysł zostawienia taty, Steph, Olivera i kolegów ze szkoły, ale mogłaby spędzać u Toma weekendy, a Steph przyjeżdżałaby do nich do Dublina. Abby nie sądziła, by znajomość Jess i Olivera była czymś poważnym. Jej córka znacznie więcej czasu spędzała ze Steph niż z nim. A poza tym Oliver w przyszłym roku planował wyjechać na studia.

Gdyby się przeprowadziły, ona i Jess mogłyby znaleźć sobie ładne mieszkanie, gdzieś w centrum, w pobliżu jakiejś dobrej szkoły i w końcu spodobałoby jej się tam.

Wiele par po rozstaniu przeprowadza się, i nagle, pełna podekscytowania, Abby stwierdziła, że coś takiego naprawdę ma sens. Im więcej o tym myślała, tym bardziej podobał jej się ten pomysł: przeprowadzka do Dublina, ucieczka od wspomnień życia z Tomem w Dunmore. Jedyne, co teraz musiała zrobić, to dobrze wypaść podczas przesłuchania do tego nowego programu.

- Zgoda - rzekła do Mike'a. - Wezmę udział w tym przesłuchaniu. I być może masz rację. Może naprawdę muszę odciąć się od Beech. I od Dunmore - dodała.

- Nikt nie powiedział, że musisz się przeprowadzać - odparł łagodnie Mike.

- Wiem - rzekła Abby. - Ale nieoczekiwanie coś takiego wydaje mi się całkiem dobrym pomysłem. Nowa praca i nowy początek. I pewnie teraz muszę po prostu dostać tę pracę.

- Kiedy cię zobaczą, będą tobą zachwyceni - odparł pewnym głosem Mike. - Zaufaj mi.

Abby roześmiała się ponuro.

- Dlaczego tak jest, że kiedy ktoś mi mówi: „Zaufaj mi”, ja akurat wcale nie mam na to ochoty?

- Dlatego, że w tej chwili twoje postrzeganie świata jest zaprawione żółcią - odparł spokojnie. - Potrzebne ci wakacje, to pewne.

W wieczór poprzedzający przesłuchanie Abby i Jess ostro się pokłóciły. Zaczęło się, jak to najczęściej bywa z kłótniami, od czegoś absurdalnie błędnego. Jess była ze Steph, zaś Abby spędziła dzień na sprzątanii domu. Uznała, że

skoro mają zamiar go sprzedać, powinna doprowadzić go do idealnej czystości. To niesamowite, że choć właścicielką była kobieta z programu o usuwaniu śmieci z domów, w Lyonais było tak wiele zbędnych rzeczy: szafki pełne różnych drobiazgów, szuflady wypełnione po brzegi gwarancjami i instrukcjami obsługi różnych sprzętów, o których Abby nie miała pojęcia, że w ogóle je posiadają.

Jako że Tom nadal mieszkał w domu Leo, nie zabrał jeszcze z Lyonais swych rzeczy. Wziął ubrania, a przynajmniej ich większość. Jednak półki w jego szafie były pełne różności, a na dole stały duże pudła z dokumentami, zdjęciami i kto wie czym jeszcze. Abby nie uważała za właściwe wyrzucanie jego rzeczy, więc na podeście schodów ułożyła wielką stertę rzeczy z zamiarem przeniesienia ich do szafek w wolnym pokoju. Pewnego dnia, kiedy sprzedadzą dom, będą mieli wystarczająco dużo pieniędzy, by kupić sobie po małym domku i wtedy Tom będzie mógł wszystko zabrać. Na razie musi to tutaj zostać. To była smutna praca, ale Abby zacisnęła zęby i zmusiła się do niej. W drobiazgach Toma znalazła naprawdę niesamowite rzeczy. Nie miała pojęcia, że należy on do osób przechowujących stare kartki urodzinowe i pamiątki; zawsze był taki dobry w wyrzucaniu wszystkiego. Jednak myliła się, tak jak myliła się co do wielu innych spraw

W dużym segregatorze z napisem: „szkolny fundusz planowania” znalazła każdą widokówkę i list, jaki wysłała mu przez te wszystkie lata. Znajdowały się tam nawet kartki walentynkowe. Pamiętała, jak się kłócili o walentynki - Tom nigdy nie uważał tego święta za niezbędną część ich życia, gdy tymczasem Abby uwielbiała dostawać sentymentalne kartki i małe bukietiki kwiatów. Nie uwierzyłaby, gdyby ktoś jej powiedział, że jej mąż przechowywał wszystkie otrzymane od niej kartki. Może nie były przewiązane romantyczną, czerwoną wstążką, ale jednak znajdowały się tutaj.

Nie przeczytała żadnego listu ani pocztówki. To byłoby zbyt bolesne. Zamiast tego położyła segregator na samym dnie sterty koło schodów. Być może Tom uświadomił sobie, że je widziała. Nie zdążyła przenieść jego rzeczy do wolnego pokoju, kiedy zabrzmiał dzwonek i musiała pobiec na dół i stracić mnóstwo czasu na rozmowę z osobą zbierającą datki na cele dobroczynne. Kiedy skończyła, była już prawie szósta i Abby uznała, że przygotuje coś na kolację. Właśnie przekopywała się przez zamrażarkę, szukając wegetariańskiej lazanii, kiedy usłyszała, że otwierają się drzwi wejściowe.

- Witaj, kochanie! - zawołała pogodnie.

Przekonała się, że obecnie to najlepszy sposób na utrzymywanie kontaktów z Jess: sprawianie wrażenie radosnej i pogodnej, bez względu na to, jak niechętnie lub monosylabicznie otrzymywała odpowiedzi. Nie zawsze było to proste. - Jak ci minął dzień, Jess? - zawołała, starając się, by nie zabrzmiało to tak, jakby wypytywała córkę o to, co robiła. Brak odpowiedzi. Abby westchnęła. Kolejny wesoły wieczór. Czy była jedyną matką na tej planecie, która nie umiała komunikować się ze swą szesnastoletnią córką? Czy też inni mieli ten sam problem? Gdyby tylko знаła odpowiedź na to pytanie.

- Hej, mamo.

Jess pojawiła się w drzwiach kuchni. Wyglądała na wykończoną i Abby natychmiast poczuła wyrzuty sumienia z powodu swych wcześniejszych myśli.

- Wszystko w porządku? - zapytała z niepokojem, łamiąc postanowienie, że nie będzie jej przepytawać.

- Tak, wszystko w porządku - odparła, mimo że po jej minie było widać, że wcale tak nie jest.

Abby bała się zbyt wiele pytać, by Jess przypadkiem nie odsunęła się od niej. Instynkt nakazywał jej pytać, ale przecież gdyby coś było nie tak, Jess powiedziałaby jej o tym. Ciekawskie matki nie dowiadywały się niczego, podczas gdy te interesujące się, ale nie dociekliwe na siłę wiedziały o wszystkim.

- Wyglądasz na zmęczoną, Jess - rzekła Abby z wahaniem.

To chyba zabrzmiało dobrze. Nie wydawała się wścibska, ale jedynie zatroskana.

- Tak, trochę jestem - odparła Jess. - Steph i ja byliśmy na długim spacerze - dodała.

To było kłamstwo. Steph nigdy nie przepadała za długimi spacerami, a już na pewno nie teraz, kiedy wydawała się dosłownie przyklejona do Zacha. Jess tak naprawdę odbyła kolejny długi spacer z Oliverem, ale nie chciała o tym mówić. Gdyby jej mama wiedziała, jak dużo czasu spędza z Oliverem, wtedy z całą pewnością przeraziłaby się, że Jess uprawia seks. A nie miała na to najmniejszej ochoty. Wystarczy, że Steph wypytywała ją trzy razy dziennie o to, czy ona i Oliver już to zrobili.

- Długi spacer może być fajny - rzekła przyjaźnie jej matka. Jess poczuła lekkie wyrzuty sumienia, gdy spojrzała na jej twarz. - A więc to był długi spacer? - kontynuowała mama. - Daleko poszłyście?

Wyrzuty sumienia przybrały na sile. Naprawdę nie powinna była kłamać. To nie było fair wobec mamy.

- Zrobiłyśmy jakieś siedem kilometrów - odparła i odwróciła się. - Chyba pójdę na górę i wezmę przed kolacją gorącą kąpiel, dobrze?

Jej mama wydawała się taka zadowolona, że Jess poczuła się jeszcze paskudniej. Ostatnio zachowywała się jak prawdziwy wrzód na tyłku. To nie było fair. Mama starała się, jak mogła, to po prostu ona nie radziła sobie z jej nieustanną uwagą.

- Zobaczę, czy uda mi się znaleźć lazanie - rzekła z entuzjazmem mama. - A jeśli nie, to może zamówię pizzę?

- Super - odparła Jess.

Pobiegła na górę i wtedy to zobaczyła: rzeczy taty Wszystkie te stare pudła na dokumenty, które zawsze planował uporządkować, kilka książek i gazet, które trzymał w swoim pokoju. Jess przyglądała się temu z przerażeniem. Co to wszystko robiło koło schodów? Nie, dobrze wiedziała, co robiło - jej matka miała zamiar wyrzucić wszystko do śmieci, w taki sam sposób, w jaki wcześniej wyrzuciła tatę. Tata nie był już tutaj mile widziany, więc musiał odejść, a teraz jego rzeczy także musiały zniknąć. Gdy Jess im się przyglądała, w jej oczach wzbierały kłujące łzy. Minęła je i weszła do swego pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Jak mama mogła to zrobić? Jak mogła udawać miłą i przyjacielską, a jednocześnie szykować rzeczy taty do wyrzucenia? Jess była wściekła. Rzuciła plecak na łóżko i myślała o tym, by już nigdy nie zejść na dół. To pokazałoby mamie, co o niej sądzi. Jednakże to nie było właściwe zachowanie. Mama musiała się dowiedzieć, co dokładnie myśli o tym wszystkim Jess. Wybiegła jak burza z pokoju i zbiegła po schodach do kuchni.

- Jak możesz robić tacie coś takiego? - warknęła. Abby podniosła głowę znad zlewu.

- Ale co? - zapytała. - O czym ty mówisz, kochanie?

I wtedy dotarło to do niej: nie skończyła przynieść rzeczy Toma do innego pokoju. O Boże, jak to musiało wyglądać w oczach Jess?

- Kochanie, nie rozumiesz. Ja jedynie sprzątałam...

- Ależ rozumiem - przerwała ostro Jess. - Wszystko rozumiem. Chcesz na zawsze wyrzucić tatę z naszego życia. Ale to mój tata i nie uda ci się to, ty głupia jędzo. - Ponownie odwróciła się na pięcie i pobiegła na górę, po czym trzasnęła drzwiami.

Abby osunęła się na podłogę i oparła o zamrażarkę, wyciągając przed siebie nogi. Niczego nie potrafiła zrobić dobrze. Mąż chciał się z nią rozwieść, a córka jej nienawidziła. Być może o tym właśnie powinna była opowiedzieć Marii podczas wczorajszego wywiadu. To dopiero byłby artykuł. Jednakże Abby nie chciała, by w gazetach ukazywały się wspaniałe historie jej życia. W tej chwili zamierzała się skupić na odbudowaniu swych relacji z Jess i ustabilizowaniu kariery zawodowej.

Myśl, że kiedy wcześniej wszystko było w jej życiu jak należy, ona tego nie doceniała, nie stanowiła żadnego pocieszenia.

Nazajutrz Abby odwiozła wczesnym rankiem Jess do domu Steph. Postanowiła pozwolić jej zostać na noc u rodziny przyjaciółki, podczas gdy ona będzie w Dublinie na przesłuchaniu. To wydawało się rozsądniejszym pomysłem niż pozwolenie dziewczętom na to, aby zostały same w Lyonais, co sugerowała Jess.

W drodze do domu państwa Anderson w samochodzie panowała cisza. Jess wyglądała tak, jakby poprzednia noc była dla niej równie ciężka jak dla jej matki. Abby wierciła się i przekręcała z boku na bok, prawie nie zmrużywszy oka, gdyż martwiła się Jess i Tomem, i tym bałaganem, którym stało się jej życie. Oczy Jess były równie podpuchnięte, była blada i wymizerowana.

Abby włączyła głośno radio, wdzięczna didżejowi za nedorzeczne poranne żarciki, co oznaczało, że ona i Jess nie musiały z sobą rozmawiać. Od wczorajszej kłótni nie odezwały się do siebie ani słowem. Jess przez cały wieczór nie wyszła ze swojego pokoju, dopóki Abby nie udała się do łóżka. Wtedy usłyszała, jak drzwi się otwierają, a jej córka schodzi na dół do kuchni. Abby próbowała pocieszyć się myślą, że Jess przynajmniej coś zje. Kiedy wreszcie po półtorej godzinnej jeździe w korkach dotarła do Gartland Avenue, uznała, że lepiej coś powie, by złagodzić napięcie.

- Przykro mi, że wyjeżdżam i zostawiam cię na noc, kochanie - rzekła z wahaniem Abby - I... - Zamilkła na chwilę. - Przykro mi z powodu zeszłego wieczoru. Nie wyrzucałam rzeczy taty. Ja je tylko porządkowałam, tak by mógł przyjechać i je zabrać, kiedy będzie gotowy.

Bez względu na to, w jakie słowa to ubrała, i tak fatalnie to brzmiało. Nie istniał prosty sposób na powiedzenie nastoletniej córce, że jej ojciec nieuchronnie gdzie indziej stworzy sobie dom i że naprawdę nie było nadziei na to, że wróci i będą żyli razem długo i szczęśliwie.

Może na to właśnie liczyła Jess, może właśnie dlatego tak się zdenerwowała, kiedy zobaczyła obok schodów rzeczy Toma. Wyglądało na to, że wciąż żywi nadzieję, iż Abby i Tom wrócą do siebie.

Serce Abby krwawiło. Naprawdę nie chciała ranić Jess, ale musiała powiedzieć jej prawdę.

- Jess, wiesz przecież, że tata będzie musiał kupić sobie inny dom i że będziemy musieli sprzedać Lyonais, prawda? Rozumiesz to, tak? - Odwróciła się, by spojrzeć na profil Jess. Nawet pod takim kątem widziała wyczerpanie na twarzy córki, jej podpuchnięte oczy i zaciśnięte usta.

- Tak - mruknęła Jess. Wolałaby, żeby jej matka dała sobie spokój z tymi pseudoszczerymi i wzruszającymi przemowami. Nie znosiła ich. Wolałaby, żeby odbyły na ten temat normalną, dorosłą rozmowę, ale wyglądało na to, że to niemożliwe.

Jess przyglądała się ludziom przemierzającym Gartland Avenue: zwykłym ludziom spieszącym do pracy, wyprowadzającym psy. Mamy ciągnące za sobą dzieci do przedszkoli. Wszyscy wyglądali na normalnych, szczęśliwych, wiodących normalne, szczęśliwe życie. Nie tak jak jej okropna, popieprzona rodzina.

Abby zatrzymała się przed domem Andersonów.

- Proszę, Jess, nie smuć się tak - błagała. - Przecież za kilka dni lecimy na Florydę. Fajnie będzie, prawda? - Popatrzyła z nadzieją na córkę, błagając ją w duchu, by dała jej jakiś znak, że ich życie nie jest zupełnie beznadziejne, że pewnego dnia jej wybaczy Jednak Jess patrzyła gniewnie przed siebie. - No, Jess - Abby spróbowała jeszcze raz. - Fajnie będzie na Florydzie, no nie?

Odpowiedzią Jess było odpięcie pasów. Sięgnęła na tylne siedzenie jeepa po wypchany plecak.

- Taa, jasne, mamó - odparła sarkastycznie. - Wakacje naprawdę wszystko rozwiążą w tym naszym cholernym, popieprzonym życiu.

Abby wpatrywała się w nią ze zdumieniem. Jess nigdy tak nie przeklinała, a już z całą pewnością nie przy niej. Jednak zanim zdążyła coś powiedzieć, Jess otworzyła drzwi i już jej nie było. Bez słowa pożegnania zatrzasnęła za sobą

drzwi. Abby ze smutkiem przyglądała się, jak idzie w stronę domu Andersonów. Jej córka miała rację. Wakacje nie rozwiążą ich problemów.

Zazwyczaj Abby lubiła latać. Uwielbiała siedzieć z przodu samolotu - odkąd została prezenterką telewizyjną, do pracy podróżowała w klasie biznes - i otrzymywać od sympatycznych stewardes herbatę, kawę lub nawet szampana. Lubiła uczucie, że jej ciężka praca dała jej prawo do pozostawienia za sobą klasy ekonomicznej. Dzisiaj jednak mogła lecieć do Dublina przywiązana do skrzydła samolotu i nie miałyby to dla niej żadnego znaczenia.

Siedziała w fotelu i patrzyła tępo przez okno na pakowane do samolotu bagaże. Nawet kiedy stewardesa ją rozpoznała - „Dzień dobry, pani Barton. Cudownie panią znowu gościć na pokładzie” - Abby nie rozchmurzyła się. Jakie znaczenie miało to, że jest się rozpoznawaną, skoro życie to jedna wielka katastrofa? A poza tym dzisiaj wcale nie miała ochoty być rozpoznawaną. Nie miała rano czasu, by się pomalować, użyła jedynie odrobiny tuszu i szminki, wiedziała więc, że wygląda blado i mizernie. Od stewardesy wzięła jedynie kawę i gazetę, za którą natychmiast się schowała. Wiedziała, że powinna się psychicznie nastrajać na późniejsze przesłuchanie, ale w gruncie rzeczy miała to gdzieś. No i co jeśli jej karierę będzie można splukać razem z wodą w toalecie? Resztę jej życia także.

Na lotnisku w Dublinie w hali przylotów czekał na nią kierowca z 727 Network i po raz pierwszy tego dnia Abby nieco się ożywiła. Kierowca, o rany. Beech nigdy nie wysyłało po nią kierowcy. Jeśli miała szczęście, to zamawiano dla niej taksówkę. Zazwyczaj jednak sama musiała zadbać o transport z lotniska i z powrotem. W tej nowej firmie było jednak inaczej.

- Pani Barton, cudownie panią widzieć - rzekł kierowca, natychmiast odbierając od niej jej niewielką walizkę.

Na tylnym siedzeniu samochodu - eleganckiego, czarnego mercedesa - Abby zabrała się za robienie makijażu. Nie planowała nakładać go zbyt dużo, gdyż wiedziała, że w charakteryzatorni i tak ładnie ją umalują, nie chciała jednak wejść do studia, wyglądając niczym wujek Fester z *Rodziny Addamsów*.

Skończyła właśnie niełatwe nakładanie eyelinera, kiedy zadzwonił Mike Horowitz.

- Jak się ma moja ulubiona klientka? - zapytał pogodnie.

Po raz pierwszy tego dnia Abby się roześmiała.

- Wiesz, nie znoszę, kiedy wciskasz mi tego typu kit, Mike zbeształa go. - To nieszczerze i doskonale o tym wiesz. Jeśli ja jestem twoją ulubioną klientką, to co w takim razie mówisz całej reszcie? „Witaj, moja druga ulubiona klientko, witaj, moja trzecia ulubiona klientko”? Wątpię. Pochlebstwo nigdzie cię nie zaprowadzi - zakończyła. Mike się roześmiał.

- Nie zaprowadzi mnie nigdzie, jeśli chodzi o ciebie - przyznał. - Ale dlatego właśnie cię lubię: jesteś bardzo szczerą i nie chcesz, by dziesięć razy mówiono, jaka jesteś wspaniała. W naszej branży stanowi to miłą odmianę.

Siedząc w samochodzie w otoczeniu kosmetyków do makijażu, Abby pozwoliła sobie na smutny uśmiech. Bycie szczerą także nigdzie nie prowadzi. Rano starała się być szczerą wobec Jess i nie odniosło to pożądanego skutku.

- Jaki jest plan? - zapytała.

Mike odparł, że spotka się z nią w siedzibie 727 Network, gdzie najpierw porozmawiają z producentami programu i ogólnie będą przełamywać lody, a potem odbędzie się przesłuchanie. Wszystko miało być naprawdę na luzie.

- To nic więcej jak prosty odcinek pilotowy - wyjaśnił.

- Nikt nie spodziewa się cudów, będzie naprawdę kameralnie i spokojnie. Zaproszono dwóch gości, z którymi przeprowadzisz wywiad. Jak wiesz, jako gości mieli zamiar wykorzystać własny personel, ale nie uważam, by coś takiego zdawało egzamin, więc mamy dwóch prawdziwych gości, jeden z nich to aktor, a drugi to pisarka. Wiedzą, że to odcinek pilotowy, ale chętnie się zgodzili wziąć w nim udział. Pod warunkiem, rzecz jasna, że jeśli program rzeczywiście ruszy, znajdą się w gronie pierwszych zaproszonych do niego osób.

Abby była zaszokowana.

- Co masz na myśli, mówiąc, że to odcinek pilotowy? - zapytała z niepokojem. - Sądziłam, że to po prostu próbne zdjęcia, by mogli się przekonać, jak wypadam na ekranie.

- Ale moja asystentka przesłała mailem wszystkie szczegóły twojej asystentce - odparł ostro Mike.

Abby pomyślała o długiej wiadomości, którą na jej poczcie głosowej zostawiła Katya. Z całą pewnością mówiła coś o sprawdzeniu skrzynki odbiorczej, ale Abby od kilku dni nie miała głowy do tego, by choćby włączyć komputer.

- Wiedzą, jak wyglądasz na ekranie; widzieli twój program - oświadczył Mike. - Muszą sprawdzić, jak reagujesz, kiedy nalezycie przeprowadzasz z kimś wywiad.

- O Boże - jęknęła Abby. - Wiedziałam, że ten dzień to będzie katastrofa. Nie jestem gotowa na coś takiego, Mike. Nie spałam zeszłej nocy... - jej głos zaczął się stawać coraz wyższy - i miałam ostre starcie z Jess...

- Nie przejmuj się niczym - przerwał jej spokojnie Mike. - Wszystko będzie dobrze.

- Tak, będzie dobrze - powtórzyła Abby, jakby te słowa były mantrą i miały pomóc jej przejść przez ten dzień.

Po wszystkim Abby już sama nie wiedziała, czy to z powodu stresu, czy też pomimo niego, ale pilotowy odcinek programu wyszedł naprawdę świetnie. Kiedy włączono kamery, jakoś udało jej się odprężyć, choć do tej pory nie miała pojęcia jak.

Nagle do niej dotarło, że nagranie tego odcinka tak naprawdę nie ma wielkiego znaczenia w porównaniu ze wszystkim innym, co działo się w jej życiu. Mogła jedynie starać się wypaść jak najlepiej.

Wolna od nerwów, zazwyczaj towarzyszących jej podczas ostatnich chwil przed nagraniem, była w stanie skupić się na gościach zamiast na sobie i fryzurze. Nie miała ani chwili na zastanawianie się, czy w tym stroju wygląda grubo. Czekala na nią po prostu praca do wykonania i już. Miała przeprowadzić wywiad z dwiema osobami i planowała uruchomić całą swoją empatię i ciepło. Aktor okazał się przemiłym, lecz skrytym mężczyzną po sześćdziesiątce, który przez ponad dwadzieścia lat występował w telewizyjnej operze mydlanej, po czym został bezceremonialnie zwolniony. Abby wiedziała, jak się wtedy czuł. Roxie także najchętniej pozbyłaby się jej w taki właśnie sposób.

I ta wiedza pozwoliła jej odkryć, w jaki sposób rozmawiać z tym człowiekiem. Siedząc w dwóch miękkich fotelach, ona i aktor gawędzili z sobą, jakby znali się od dawna.

- To, że twoja kariera w tym serialu zakończyła się w taki właśnie sposób, musiało być dla ciebie trudne - rzekła łagodnie. - Zwłaszcza że osobiście przyczyniłeś się do jego sukcesu.

- Tak - przyznał. - Czulem, że wyrzucono mnie z powodu mego wieku. I że już nigdy w niczym nie zagram. Nie wyobrażasz sobie, jakie to paskudne uczucie - dodał.

- Myślę, że wielu ludzi na świecie rozumie, co wtedy czuleś - wtrąciła z uśmiechem Abby.

Aktor uśmiechnął się cierpko.

- Nie jest to łatwe, no nie? - rzekł. - Człowiek tkwi całym sobą w tym, czym się zajmuje zawodowo. Przez dwadzieścia lat grałem Colina w *Rodzinie i przyjaciółach*, i w jednej chwili wszystko się rozpadło. Muszę powiedzieć, że byłem zdruzgotany.

- I to ma wpływ nie tylko na ciebie, prawda? - zapytała współczująco Abby. - To dotyka wszystkich wokół, zwłaszcza twoją rodzinę.

- Och, powinnaś porozmawiać z moją biedną żoną - odparł aktor. - To był dla Eleanor koszmar, ponieważ musiała sobie radzić z moją depresją, a mimo to próbowała trzymać głowę wysoko dla nas obojga.

- Eleanor także zaczynała jako aktorka - rzekła Abby, cofając się myślami do krótkich notek biograficznych, jakie przejrzała tuż przed rozpoczęciem nagrania. - Podczas całej twojej kariery zapewniała ci ogromne wsparcie.

- Nie wiem, co zrobiłbym bez niej - westchnął, a potem kontynuował opowiadanie o żonie i o tym, jak razem udało im się przetrwać trudne chwile.

Przekonał się, że łatwo mu się rozmawia z Abby: nie była nachalna ani nie wyciągała z niego niczego na siłę, była natomiast taka ciepła i miła, i sprawiała wrażenie, jakby rozumiała wszystko, co on mówi.

Po drugiej stronie kamery producenci i Mike wymienili pełne zachwyty spojrzenia. Abby Barton to miała - nie było co do tego żadnych wątpliwości. Potrafiła wydobyć uczucia z kamienia. Producenci w ostatniej chwili znaleźli tego aktora i sądzili, że będzie z nim ciężko przeprowadzić wywiad, gdyż nie lubił zbytnio opowiadać o sobie. Jednak dzięki łagodnemu podpytywaniu Abby otwierał się tak, jak nigdy dotąd, no i powstawał fantastyczny program.

Mike przyglądał się swej klientce z niekłamana radością. Abby mogła sobie mówić, że nie była jego ulubioną klientką, ale gdyby rzeczywiście miał sporządzić taką listę, znalazłaby się na niej całkiem wysoko. Uwielbiał jej szczerość, poczucie humoru i to, że naprawdę nie przepadała za tym całym show-biznesowym schlebaniem. Jako profesjonalista lubił w niej także to, że była niesamowicie utalentowana, choć - co stanowiło rzadkość w tej branży - nie uświadamiała sobie tego. Teraz będzie musiała w to w końcu uwierzyć. Ten pilotowy odcinek z całą pewnością zapewni programowi zielone światło, a z Abby Barton uczyni większą gwiazdę niż do tej pory. Miał tylko nadzieję, że jego klientka gotowa jest na to, co wiąże się z byciem gwiazdą.

Abby nie była świadoma wielkich planów czynionych za kamerami. Koncentrowała się na przeprowadzeniu możliwie jak najlepszego wywiadu z tym człowiekiem, którego było jej żal. Pamiętała, jak oglądała go w tym serialu i nie przepadała za niesympatyczną postacią, którą kreował. Jednakże teraz, na żywo, wydawał się taki jakiś łagodny i bezbronny, i to ją do niego ciągnęło. Pragnęła dowiedzieć się, co go nakręcało, jak to było cieszyć się przez tyle lat wielką sławą, a potem widzieć, jak odpływa ona w siną dal. Rozmawiali o sławie, o tym, że wystarczą dwa sezony poza ekranem i nikt już nie pamięta twego nazwiska. Żartowali na temat robienia zakupów w supermarkecie i tego, że uśmiechają się do ciebie zupełnie obcy ludzie. Powiedział jej, że nikt nigdy nie pamiętał jego prawdziwego nazwiska, za to wszyscy mówili na niego Colin. Tak miał na imię grany przez niego bohater.

Następnie rozmawiali o jego rodzinie: dzieciach i trójce wnucząt. Teraz po raz pierwszy w życiu miał czas na zabawę z wnukami i niesamowicie mu się to podobało.

- A więc gdyby cię poproszono, byś wrócił do *Rodziny i przyjaciół*, zrobiłbyś to? - zapytała ostrożnie Abby
Roześmiał się.

- Nikt wcześniej nie ośmielił się zadać mi tego pytania - odparł.

Abby zobaczyła, że kierownik studia pokazuje jej, by kończyła wywiad.

- Pytam dlatego, że wydaje mi się, iż znam odpowiedź - rzekła przebiegle.

Aktor uśmiechnął się do niej szeroko:

- Odpowiedzią byłoby „nie” - odparł. Zbyt wiele odkrył innych rzeczy, którymi mógł się cieszyć.

Abby nachyliła się ku niemu i ciepłym gestem poklepała jego dłoń.

- Wiedziałam, że tak powiesz.

Ekipa zaczęła bić brawo, kiedy kamery przestały pracować, a aktor uściskał Abby na pożegnanie.

- Myślę, że jeszcze nigdy tak miło nie udzielało mi się wywiadu - oświadczył otwarcie. - Naprawdę mi się podobało. Musisz dostać tę pracę, Abby

Zarumieniła się. Jednak zanim zdążyła mu powiedzieć, by nie opowiadał głupstw, zniknął, a na jego miejscu pojawiła się powieściopisarka.

Wszystko było gotowe do rozpoczęcia filmowania drugiej części i po raz kolejny Abby nie miała czasu na to, by się denerwować. Z pisarką szło jej nieco trudniej. Abby zaczęła rozumieć mądrość zawartą w słowach reżysera, kiedy próbowała przebrnąć przez pierwszy etap wywiadu. Przed nagraniem przyznała mu się do tego, że z powodu problemów

komunikacyjnych nie wiedziała wcześniej o wywiadach, a jej całe przygotowanie to szybkie rzucenie okiem na biografie gości podczas pobytu w charakteryzatorni.

Reżyser odparł, że jej tajemnica jest u niego bezpieczna, i dodał, że najpewniej lepiej sobie poradzi, kiedy po prostu będzie podążać za instynktem, nie zaś pamiętać o liście pytań, od której nie będzie miała ochoty odstąpić.

- Nie ma nic gorszego niż dziennikarz, który nie jest w stanie podążać w kierunku, w którym prowadzi go wywiad - oświadczył. - Popatrz na to w ten sposób: jeśli będziesz w stanie przeprowadzić z kimś wywiad po zaledwie dziesięciominutowych przygotowaniach, wtedy będziesz wiedzieć, że jesteś w stanie to zrobić w każdych okolicznościach. O to przecież chodzi w telewizji na żywo: spodziewanie się nieoczekiwanego. Musisz być przygotowana, jeśli gość pojawi się pijany albo naćpany, albo nie będzie chciał mówić o czymś, na co wcześniej wyraził zgodę. To doświadczenie ekstremalne. Powodzenia - zakończył.

Ten wywiad z pewnością taki właśnie był, pomyślała teraz Abby Tym razem wcale dobrze jej nie szło. Gorączkowo szukała w myślach tematu, który mógłby jej pomóc nawiązać cieplejszy kontakt z tą kobietą. Rozmawianie o literaturze nie odniosło tego skutku, ponieważ wyglądało na to, że pani pisarce nie mieści się w głowie, iż Abby nie pochłonięła jej książek z uczuciem bliskim rozkoszy. Już więcej nie popełni tego błędu, jeśli rzeczywiście zatrudnią ją do programu. Wreszcie przyszedł jej do głowy pewien temat: dzieci. Jakoś udało jej się odciągnąć tę kobietę od omawiania problemów związanych z wyjazdami promocyjnymi za granicę.

- W przeszłości wiele opowiadałaś o rodzinie - rzekła Abby, podejmując duże ryzyko, jako że z biografii pisarki pamiętała coś o dzieciach, natomiast miała mgliste pojęcie na temat ich ilości i wieku.

Przez chwilę wydawało jej się, że pisarka oświadczy, iż nie rozmawia o swym prywatnym życiu, ale potem tak szybko, jakby Abby włączyła w niej jakiś przycisk, zaczęła mówić. Tak, miała dzieci, nastolatki, i - o Boże - życie z nimi bywało naprawdę trudne. Jej najmłodsza latorośl właśnie pisała małą maturę i wszyscy zachowywali się niczym kotka na gorącym, blaszanym dachu, kiedy myśleli o wynikach, które zostaną ogłoszone we wrześniu. Abby poczuła przyływ ulgi. W końcu znalazła się na bezpiecznym terenie. Wywiązała się między nimi rozmowa na temat programu nauczania i egzaminacyjnego stresu. Zniknęła gdzieś lodowata intelektualistka, a na jej miejscu siedziała pracująca matka z dokładnie tymi samymi problemami, jakie mieli inni rodzice, którzy będą oglądać ten program.

Zanim wywiad dobiegł końca, były najlepszymi przyjaciółkami, a ekipa za kamerami ponownie uśmiechała się od ucha do ucha. Po następnym uścisku na do widzenia Abby udała się do miejsca, gdzie siedział Mike. Jego twarz rozjaśniał szeroki uśmiech.

- Abby, nie muszę ci mówić, że byłaś fantastyczna - oświadczył.

I Abby widziała, że naprawdę mówi to, co myśli.

- Nielatwo było, zwłaszcza podczas tego drugiego wywiadu - przyznała. - Ale wydaje mi się, że poszło dobrze.

- Poszło dobrze? - zapytał Mike. - Poszło doskonale. Pokochali cię. Nie wiem, co zrobiłaś tym ludziom, ale wydobylaś z nich dosłownie wszystko.

- To właśnie robię, kiedy porządkuję czyjś dom - wyjaśniła Abby - Nie można wkroczyć w cudze życie i wyrzucać najbardziej cenne pamiątki, jeśli się nie wie, co jest dla danej osoby najważniejsze. To właśnie starałam się dzisiaj zrobić: zrozumieć ludzi, z którymi przeprowadzałam wywiad.

- Abby! - rozległ się jakiś głos. Kierownik produkcji zatopił ją w swych objęciach. - Co za kobieta! Byłaś niesamowita - oświadczył. - Ten program zapowiada się na hit w najlepszym czasie antenowym.

Abby zaśmiała się.

- Sądziłam, że my tylko rozmawiamy o kręceniu talk-show. Nie wiedziałam, że ktoś postanowił naprawdę go robić.

- Po dzisiejszym dniu - odparł producent - z całą pewnością go zrobimy. A ty jesteś gwiazdą. - Odwrócił się do Mike'a. - Musimy porozmawiać o szczegółach kontraktu i sprawdzić, na co pozwala ci twój rozkład zajęć. Chcemy się po prostu do ciebie dostosować - dodał do Abby - Cokolwiek będzie ci odpowiadać, zrobimy to.

- Cudownie - rzekł reżyser, ściskając dłoń Abby - Jeśli tak właśnie pracujesz po dziesięciu minutach przygotowania - wyszeptał do jej ucha - to nie mogę się doczekać, by zobaczyć, jak odpalasz wszystkie cylindry!

Przez chwilę Abby pławiła się w tych miłych słowach. To było przyjemne uczucie, zwłaszcza po ostatnich kilku tygodniach.

- Dziękuję wam - odparła szczerze. - Możecie porozmawiać z Mike'em o szczegółach, ale najpierw - uśmiechnęła się szeroko - czy mogłabym prosić o filiżankę kawy?

Rozdział dwudziesty ósmy

Na Florydzie można się było ugotować. Abby nie umiała sobie wyobrazić, jak ludzie potrafili przez cały czas żyć w takiej temperaturze. Fale gorąca odrywały się od chodnika i kotłowały w powietrzu na wysokości kostek. Choć miała na sobie cienkie, lniane spodnie i sandały, czuła, że cała się rozplywa, a biała koszulka z bawełny przyklejała się do jej spoconego ciała. Jess postanowiła zawiesić zimną wojnę i matka z córką wspólnie narzekały teraz na skwar.

- Nie mogę uwierzyć, że jest aż tak gorąco - oświadczyła Jess, kiedy wysiadły z taksówki przed ich hotelem w Miami.

- Jak my tutaj wytrzymamy?

- Dzięki klimatyzacji z turbodoładowaniem, mam nadzieję - odparła jej matka, wachlując się dłonią. - W najgorszym wypadku możemy po prostu przez cały czas siedzieć w hotelu.

Minęła ich piękna niczym gwiazda filmowa blondynka na rolkach, ubrana w mikroskopijne żółte szorty. Jej długie opalone nogi poruszały się bez wysiłku. Zarówno matka, jak i córka odwróciły się, by na nią popatrzeć.

- Może jednak przyzwyczaimy się jakoś do tego upału - rzekła Jess, przyglądając się z zazdrością dziewczynie.

- Chciałabym się opalić i pojeździć na rolkach. Myślisz, że to będzie możliwe?

Abby uśmiechnęła się szeroko.

- Tak, razem możemy to zrobić. Zawsze chciałam spróbować jazdy na rolkach. Choć jeśli wrócę do domu z pokrytymi strupami kolanami i łokciami, to będzie twoja wina, jasne?

- O nie, mam - zaśmiała się Jess. - Nie wezmę cię z sobą na rolki. Muszę myśleć o swojej reputacji! - żartowała.

Po raz pierwszy, odkąd wysiadły z samolotu, Abby pozwoliła sobie na to, by się odprężyć. Ten wyjazd może się jednak okazać udany.

- Jutro sprawdzimy rolki - obiecała - ale dzisiaj chodźmy po prostu do hotelu, odpocznijmy w chłodzie klimatyzacji, rozpakujmy się, a potem wybierzmy się w jakieś absolutnie fantastyczne miejsce na kolację. Co ty na to?

- Super - odparła Jess. - Może oprócz tej części z rozpakowywaniem. Myślałam, że będziemy po prostu żyć na walizkach.

Abby popatrzyła na elegancki hotel.

- Nie w takim miejscu - odparła. - Zresztą pewnie i tak mają tu pokojówki, które zajmują się rozpakowywaniem.

Westchnęła na myśl o swoich fatalnie spakowanych walizkach. A zresztą na kim próbowała zrobić wrażenie? Tutaj, w Ameryce, nie musiała już udawać Abby Barton, pani z telewizji - mogła być po prostu Abby Barton, normalną matką, kobietą, która nie wiedziała, jak się pakować. To będzie dla niej znacznie bardziej relaksujące.

Ich hotel nie był jednym z tych okazałych budynków w stylu art déco, z których słynęło Miami. Ten potężny nowoczesny kompleks oferował wszystkie znane kobiecie luksusy, począwszy od markowych butików na parterze, aż po olimpijskich rozmiarów basen i spa na najwyższym piętrze. Kiedy po zameldowaniu się Abby przeczytała w broszurce o spa, zaśmiała się sama do siebie, myśląc o tym, jak nabrała Marię Carroll, że wybiera się do wspaniałego ośrodka spa w Arizonie. Akurat w tym hotelu nie było żadnej wzmianki o indiańskich rytuałach, ale można było zamówić każdy możliwy masaż, łącznie z terapią gorącymi kamieniami i intensywnym owijaniem całego ciała, które obiecywało przynajmniej pięć centymetrów mniej w udach. Pięć centymetrów! Abby postanowiła, że z całą pewnością podda się temu zabiegowi. Dwa razy.

Jess była zafascynowana ogromnym kinem domowym w ich pokoju. No i mogła oglądać filmy, które jeszcze nie pojawiły się w Irlandii.

- O rany, mamó - rzekła, patrząc na wyświetloną na ekranie listę filmów w płatnym hotelowym systemie telewizyjnym. - To niesamowite. Steph i ja mówiliśmy o tym, że pójdziemy razem na ten film, ale w naszych kinach pojawi się dopiero za kilka miesięcy, a tutaj mogę obejrzeć go od razu. Steph zzielenieje z zazdrości!

- Cieszę się, że ci się tutaj podoba. - Abby podziwiała łazienkę, marmurową oazę z ręcznikami tak puszystymi, że chyba przez miesiąc musiały być moczone w płynie do zmiękczenia tkanin.

Jednak Jess zdążyła już porzucić kino domowe i zatopić się w hotelowym przewodniku, zawierającym spis wszystkich wielkich centrów handlowych w okolicy

- Tylko popatrz, mamó - rzekła, wyraźnie pod jeszcze większym wrażeniem. - W tym centrum handlowym jest wszystko od Versace do DKNY.

- A więc jeśli dodać do siebie rolki i zakupy, i oglądanie filmów, będziemy miały całkiem udane wakacje, nie sądzisz?

Jess uśmiechnęła się do Abby tym słodkim uśmiechem, którym kiedyś często obdarzała matkę. Kiedyś, zanim wszystko się pochrzaniło.

- Tak - odparła. - Będziemy miały fajne wakacje.

I tak właśnie było. „Wyjazd z Irlandii i Dunmore okazał się naprawdę doskonałym pomysłem”, myślała Abby wielokrotnie podczas ich dziesięciodniowych wakacji. W dusznej atmosferze Miami zimna wojna naprawdę dobiegła końca.

Było jak za dawnych czasów. Rankiem budziły się wcześniej i zamawiały do pokoju śniadanie, po czym delektowały się leniwie owocami, o których nigdy wcześniej nie słyszały, i niskokalorycznymi drożdżówkami z siedmiu zbóż, które tak bardzo polubiła Jess.

Upałowi stawiały czoło, smarując się obficie emulsją do opalania i nakładając modne okulary przeciwsłoneczne, a także dołączając do tych wszystkich nieznośnie modnych mieszkańców Miami, przechadzających się po plaży. Oczywiście było zbyt gorąco na długie spacery, nieuchronnie więc lądowały w klimatyzowanych sklepach, gdzie Abby odrzucała zdrowy rozsądek i wyjmowała kartę kredytową. Co nie znaczy, by Jess była nieobliczalnym bądź zachłannym zakupowiczem. Nie, nigdy nie oczekiwała, że Abby będzie jej kupować niesamowicie drogie rzeczy, i to nie uległo zmianie.

- Mamó - rzekła pewnego dnia, zszokowana tym, że Abby ma właśnie zamiar wybulić osiemdziesiąt dolarów na wyjątkowo piękne okulary przeciwsłoneczne Calvina Kleina - nie możesz mi ich kupić! Przez cały czas tylko bym się o nie martwiła. A gdybym je zgubiła albo połamała, albo coś innego...

Z jakiegoś powodu Abby zachciało się płakać. Pomimo wszystko Jess nadal była takim dobrym, słodkim dzieckiem i kochała ją. To nie wina Jess, że te koszmarne nastoletnie hormony i rozstanie Abby i Toma tak pogmatwały jej życie.

- Posłuchaj, Jess, mam ochotę kupić ci coś ładnego, a w tych okularach wyglądasz naprawdę świetnie - oświadczyła. Później będzie się przejmować rachunkiem za kartę kredytową. A poza tym, jeśli ten talk-show w 727 Network wypali, pieniądze nie będą już takim problemem.

Przez cztery dni spędzone w Miami jadały w restauracjach usytuowanych na uboczu i starały się doświadczyć nieco autentycznej miejscowej kultury zamiast chodzić w miejsca oblegane przez turystów.

Obie próbowały tańczyć salsę, choć Jess czuła się nieco skrepowana, kiedy jako partnera dostała młodego, bardzo przystojnego Kubańczyka. Abby jednak była zachwycona. Tom nigdy nie przepadał za tańcem i niezwykle przyjemnie było wirować po parkiecie z kimś, kto naprawdę rozumiał, czym jest rytm.

Natomiast w kwestii rolek ekspertem była Jess. Abby okazała się beznadziejna i poddała się po przerażających dwudziestu minutach, podczas których non stop panikowała, że wpadnie na jakąś drobną staruszkę albo przewróci się i coś sobie złamie. Jess jednak uwielbiała rolki. Niesamowicie jej się podobało, gdy morska bryza odgarniała jej włosy z twarzy, kiedy jechała płynnie wzdłuż plaży.

- Kupię je sobie, kiedy wrócę do domu - oświadczyła мамie. - Super będzie, no nie? Mogłabym jeździć na nich do szkoły, zamiast dojeżdżać pociągiem.

Abby ogarnęły wyrzuty sumienia. Nie wspomniała na razie o jej planie przeprowadzki do Dublina. Gdyby się przeprowadziły, możliwe, że Jess także będzie mogła jeździć do szkoły na rolkach, ale nie będzie w niej Steph ani innych kolegów i koleżanek. Ta rozmowa musiała jednak poczekać - Abby postanowiła, że na razie nic na temat nie wspomni.

- Koniecznie musimy ci kupić rolki - rzekła jedynie.

Wieczorami nigdy nie przesiadywały zbyt długo, ponieważ po porannym wstawaniu obie były zmęczone. Cudownie jednak było wracać powolnym spacerkiem do hotelu pełnymi życia ulicami, nasiąkając atmosferą zabawy.

- Miami jest odlotowe - oświadczyła pewnego dnia Jess, a Abby przyznała jej rację.

Smutno im było wyjeżdżać, kiedy nadszedł czas na przelot do Orlando. Ponowne pakowanie walizek było koszmarem, ponieważ w jakiś dziwny sposób okazało się, że mają znacznie więcej rzeczy. Jess musiała nawet usiąść na walizce Abby, by ta dała się zamknąć.

Disney World był zupełnie inny niż Miami. Abby uznała, że ten bajkowy świat rozweseliłby nawet największego ponuraka na świecie. To wcale nie było miejsce tylko dla dzieci, lecz dla wszystkich.

Jess, która przed wyjazdem z Irlandii twierdziła, że jest zbyt stara, by jeździć głupią kolejką górską, nagle okazała się niezwykłą amatorką najbardziej niebezpiecznych kolejek w parku rozrywki. Cierpiąca na lęk wysokości Abby pozwoliła jej jeździć samej.

- Posiedzę sobie na dole i zaczekam na ciebie - rzekła. Czasami robiło jej się niedobrze od samego patrzenia.

Jess najbardziej podobał się Wodny Świat, natomiast Abby zachwyciła się safari. Tak naprawdę głównym problemem okazało się to, że doba miała za mało godzin, by wszystkiego porządnie spróbować. Tydzień minął nie wiadomo kiedy

Praktycznie w ogóle nie przebywały w hotelowym pokoju, a kiedy nadchodziła pora na obiad, miały sobie tak wiele do opowiedzenia o tym, co widziały danego dnia, że nie było czasu na głębsze rozmowy.

Abby miała wcześniej nadzieję, że uda jej się odbyć z córką dorosłą rozmowę od serca. Było tak wiele spraw do omówienia: rozstanie, sprzedaż domu, nowy program telewizyjny i ewentualna przeprowadzka do Dublina. Wiedziała, że Jess nade wszystko pragnie być traktowana jak osoba dorosła, więc właściwym posunięciem byłoby zwierzenie się jej i opowiedzenie o wszystkich tych planach. Jednak nigdy nie było odpowiedniej chwili na tego typu rozmowę.

Ostatniego wieczoru udały się do restauracji o średniowiecznym wystroju, która znajdowała się w ich hotelu, i po raz kolejny zamówiły pizzę. Nie było zbyt wielkiego wyboru, jeśli chodzi o dania wegetariańskie, i odkryły, że najpro-

ściej po prostu zamówić pizzę; jadły ją więc praktycznie co wieczór. Kiedy już złożyły zamówienie, Jess oparła się o krzesło i rozejrzała po restauracji. Jak zwykle pełno w niej było wyglądających na wykończonych rodziców i rozradowanych dzieciaków. „To naprawdę idealne miejsce dla małych dzieci”, pomyślała z ukłuciem w sercu Abby, wiedząc, że sama już nigdy nie będzie ich miała. Kolejna oznaka starzenia się, uznała, ze zdumieniem uświadamiając sobie, że tęskni za czasami, kiedy opiekowała się maleństwem.

Wtedy to nie wydawało się zbyt przyjemne. Pomiędzy drugim a trzecim rokiem życia Jess była naprawdę trudnym dzieckiem, a jej napady złości przewyższały wszystko, co opisywano w podręcznikach wychowania. Bieganie wokół niej stanowiło pracę na pełen etat. Abby miała wrażenie, że jeśli spuści ją choć na chwilę z oka, wydarzy się kataklizm. A jednak Jess i tak udało się zdobyć kolekcję wszystkich dziecięcych urazów, takich jak guzy na głowie i podrapane kolana. „To dziwne”, pomyślała Abby, „wracać do tych czasów z tak wielką nostalgią”. Jednak tak już w życiu było. Nostalgia pojawiała się wtedy, kiedy pamiętało się tylko dobre rzeczy, wyrzucając z pamięci te smutne.

Może tym właśnie było to całe wspomnianie - nostalgia. Wciąż patrzyła wstecz i myślała o tym, jaką idiotką była, że to wszystko popsuła, ponieważ naprawdę było świetnie. Ale jeśli jednak nie było wcale tak świetnie? A jeśli związek jej i Toma był naprawdę straszny i tylko z powodu nostalgii wydawał jej się teraz taki cudowny?

- Już nigdy więcej nie zjem pizzy - oznajmiła Jess. - Można by sądzić, że będą mieć więcej wegetariańskich dań. Dałabym się pokroić za burgera warzywnego. Albo wegetariańską kielbaskę - dodała marzycielsko.

Abby roześmiała się w głos.

- Zawsze twierdziłaś, że nie znosisz tych wegetariańskich kielbasek, które ci kupuję - rzekła.

- Obiecuję, że już nigdy nie powiem na nie złego słowa - przysięgła Jess.

Pojawiły się ich napoje: cola dla Jess i dietetyczna cola dla Abby. Kiedy wróci do domu, jak nic będzie musiała przejść na dietę. Te olbrzymie amerykańskie porcje z pewnością dodały kilka centymetrów do jej talii, pomimo odchudzających zabiegów w spa, a nie chciała promować nowej serii *Porządków* z grubym brzuchem.

Dwoje małych dzieci przy sąsiednim stoliku było wyraźnie znudzonych i zaczęło płakać, by wyciągnąć je z wysokich krzesełek. Wokół nich panował hałas i w tle ledwo było słychać śpiewającą Britney Spears. Może i było tu hałaśliwie, ale to miejsce równie dobrze jak każde inne nadawało się do przeprowadzenia z Jess poważnej rozmowy. Abby przygotowała się na to, co miało nadejść.

- Musimy porozmawiać, Jess - rzekła.

W oczach jej córki natychmiast pojawiło się udręczenie.

- Porozmawiać o czym? - zapytała.

- Porozmawiać o przyszłości i o tym, co się stanie - odparła powoli Abby

Paskudnie się czuła, poruszając ten temat, ale musiała. Nie po raz pierwszy żałowała z całej duszy, że przespała się z Jayem. Była matką i jej głównym zadaniem było chronienie jej rodziny. Idąc do łóżka z Jayem, rozbiła tę rodzinę, a wynikiem końcowym było to, że musiała siedzieć w restauracji w otoczeniu szczęśliwych rodzin i rozmawiać z ukochaną córką o sprzedaży ich domu, rozwodzie z jej ojcem i przeprowadzeniu się z dala od jej znajomych.

- Mam wyrzuty sumienia - rzekła teraz - ponieważ nigdy nie porozmawiałam z tobą szczerze o tym, co się stało, i tym, co się wydarzy w przyszłości. Chyba traktowałam cię jak dziecko, którym już przecież nie jesteś, prawda?

Jess zwalczyła odruch, by opuścić spojrzenie na leżącą przed nią matę. Skoro jej matka miała zamiar porozmawiać z nią jak z osobą dorosłą, tak właśnie będzie się zachowywać. Spojrzała na twarz matki, w jej niebieskozielone oczy, tak bardzo podobne do jej własnych. Oliver uwielbiał oczy Jess: zawsze powtarzał, że są takie piękne. Kiedy to mówił, Jess tak naprawdę nigdy nie pomyślała o tym, że odziedziczyła je po matce. Jedynie czuła się z nich dumna. Jednak teraz,

kiedy patrzyła ponad stolikiem na swoją matkę, poczuła się dziwnie świadoma łączącej je więzi. Jej mama nie była złym człowiekiem, po prostu popełniała błędy, tak jak wszyscy

- No więc - odezwała się Jess - o czym chcesz porozmawiać?

Abby wzięła głęboki oddech. Teraz albo nigdy.

- Wiem, że to niemożliwe, byś zrozumiała, dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam, i jeśli mam być szczerą, nie potrafię ci tego wyjaśnić ani usprawiedliwić się. Kocham twojego tatę. Przez całe życie powtarzałam ci, jak ważna jest miłość i że trzeba szanować innych. A potem... - Abby opuściła ze smutkiem spojrzenie na swoją matkę. - Wszystko zepsułam, ponieważ nie uszanowałam twego taty. Na chwilę zapomniałam o nim i myślałam jedynie o sobie. Nigdy nie przestanę tego żałować; nigdy nie przestanę żałować, że skrzywdziłam twojego tatę i że skrzywdziłam ciebie. - Spojrzała błagalnie na Jess. - Zrobiłabym wszystko, gdybym tylko mogła cofnąć czas, ale nie mogę, i dlatego właśnie musimy iść do przodu. Twój tata chce rozwodu.

- Powiedział ci o tym? - zapytała Jess.

- Nie - przyznała Abby - ale ma taki zamiar. Czuje się zraniony i zdruzgotany tym, co zrobiłam. Mężczyźni i kobiety różnią się od siebie, to fakt - dodała cierpko. - Wydaje mi się, że kobiety bardziej są w stanie wybaczyć romans niż mężczyźni. Kiedy zostanie zraniona ich duma, nie ma dla nich powrotu. Tak właśnie stało się z twoim tatą i ze mną. Niczego bardziej nie pragnę niż tego, by do mnie wrócił. Chcę, byś to zrozumiała. Gdybyśmy znowu mogli być rodziną, zrobiłabym wszystko, by nam się udało.

Oczy Jess wypełniły się łzami i odwróciła głowę, nie chcąc, by jej matka zobaczyła, jak bardzo jest wytrącona z równowagi. Niczego na świecie nie pragnęła bardziej niż tego, by jej rodzice znowu byli razem, ale tak się nie stanie.

Wyglądało na to, że Abby nie dostrzegła łez wzbierających w oczach córki. Ona także wpatrywała się w dal, starając się znaleźć właściwe słowa, by wytłumaczyć Jess, że jej rodzina rozpadła się na kawałki i nie da się jej już posklejać.

- Muszę brać pod uwagę taką możliwość, że tata pozna inną kobietę i będzie chciał się z nią ożenić - powiedziała powoli.

Ta kwestia przerażała ją, ale musiała ją poruszyć. W przeciwnym wypadku nie byłoby to fair. A gdyby Tom rzeczywiście poznał kogoś innego i jedynym, co powstrzymałoby go przed wejściem w poważny związek, byłaby dezaprobata nastoletniej córki, wciąż mającej nadzieję na to, że jej rodzice się zejdą? Abby była winna Tomowi wolność, jeżeli tego właśnie pragnął. Kurczowe trzymanie się go nie było fair, skoro to ona była odpowiedzialna za rozstanie. I musiała mieć pewność, że Jess rozumie, iż życie jej ojca będzie płynąć dalej.

- Będziemy musieli sprzedać dom - kontynuowała Abby

- Wiem, że w ogóle nie chciałaś się przeprowadzać do Dunmore, więc przynajmniej nie będziesz tęsknić.

Jess pomyślała o Oliverze. Przez wiele miesięcy nienawidziła Dunmore, nienawidziła faktu, że nie ma tam żadnych przyjaciół i że codziennie po szkole musi wracać z Cork pociągiem. Przez długi czas Dunmore wydawało się pustkowiem na końcu świata, gdzie nie znała absolutnie nikogo. A potem zakochała się w Oliverze: Oliverze, który mieszkał w Dunmore. Nie odezwała się ani słowem.

- Z pieniędzy, jakie dostaniemy ze sprzedaży domu, tata kupi sobie pewnie nowy dom, gdzie możesz z nim mieszkać. Ty i ja będziemy miały własny dom: ty, ja i Wilbur. - Uśmiechnęła się do Jess, mając nadzieję, że ona też się uśmiechnie na wzmiankę o ukochanym przegowanym kocie.

- Więc czasami mieszkałabym z tatą, a czasami z tobą? - zapytała powoli Jess.

W głowie Abby pojawiła się straszna myśl. A jeśli Jess nie będzie chciała z nią mieszkać? Jeśli zdecyduje się zamieszkać z Tomem?

- Sądziłam, że będziesz chciała mieszkać ze mną - rzekła z wahaniem. - Tak się najczęściej dzieje, że dzieci zostają z mamą. Co nie znaczy, byś była małym dzieckiem, o nie... - Urwała ze smutkiem. Dzieci może i chciały zostać z mamą, jeśli ich mama nie była złym człowiekiem i nie rozbiła małżeństwa. W tym przypadku może być inaczej.

- Nie, w porządku. Będę mieszkać z tobą - odparła Jess.

- Dziwnie po prostu będzie mieć dwa domy. Jak myślisz, gdzie zamieszkamy?

Kelnerka, przebrana za średniowieczną dziewczynę, przyniosła dwie pizze.

- Wegetariańska dla ciebie - rzekła pogodnie, stawiając olbrzymi talerz przed Jess - a cztery pory roku dla pani. - Postawiła równie wielką pizzę przed Abby. - Życzą sobie panie coś jeszcze?

Abby popatrzyła na olbrzymią pizzę i zastanowiła się, jak w ogóle ma ją zjeść. Zupełnie straciła apetyt. Jednakże górę wzięła uprzejmość.

- Nie, dziękujemy, wystarczy. Mamy wszystko, dziękujemy bardzo.

Przyłapała się na tym, że na Florydzie jeszcze częściej niż zwykle mówi „dziękuję”, a to z tego powodu, że wszyscy obsługujący ich ludzie byli tak niesamowicie grzeczni. Grubiaństwem wydawało się nieodpowiadanie im równą uprzejmością. Kelnerka oddaliła się, a obie panie Barton przyglądały się swej kolacji.

- Czujesz czasami, jakbyś zamówiła zbyt dużo? - zapytała Jess.

- Podczas każdego posiłku - odparła ponuro jej matka.

Jess się roześmiała.

- Steph naprawdę nie znosiłaby tego typu posiłków - rzekła lekko. - Ostatnio cały czas jest na diecie. Co wcale nie znaczy, by musiała się odchudzać, jest przecież i tak chuda jak patyk, ale ciągle nudzi o swojej wadze.

- Ty się nie martwisz swoją wagą, prawda? - zapytała z niepokojem Abby, bojąc się, że także i Jess dotknie syndrom nastoletniego odchudzania się.

Potrząsnęła głową.

- Nie mogę się doczekać, kiedy mi zdejmą z zębów aparat, i bardzo bym chciała mieć, no wiesz, prawdziwe pierśsi. - Zarumieniła się lekko. - Ale z ręką na sercu mogę powiedzieć, że nie uważam się za grubą. Choć jestem pewnie jedyną dziewczyną w klasie, która nie jest przekonana, że powinna schudnąć - dodała z namysłem.

- Dzięki Bogu - odparła Abby, wdzięczna chociaż za to.

- Hej, kiedy będę starsza, najpewniej będzie mi potrzebna terapia, by pomóc mi pogodzić się z tym, że nosiłam aparat i okulary - oświadczyła Jess, po czym roześmiała się, by pokazać, że tylko żartuje.

Próbowały zjeść trochę pizzy i zaczęły rozmawiać o kobietach, które uważają, że są za grube, i ludziach takich jak Steph, będących permanentnie na diecie. To była miła rozmowa i Abby miała chwilami wrażenie, jakby rozmawiała z przyjaciółką, a nie z córką. Jess była naprawdę bystra i można z nią było rozmawiać o wszystkim. To zabawne, że jako jej matka nie uświadamiała sobie tego wcześniej.

Jess nie była już dzieckiem, lecz młodą kobietą. Jadły, rozmawiały, śmiały się i Abby uznała, że na razie nie poruszy kwestii wyprowadzki z Dunmore.

Przecież nic jeszcze nie zostało postanowione. To, że dobrze jej poszło podczas przesłuchania do nowego programu, nie oznaczało jeszcze, że dostała tę pracę. Poczekaj i przekonaj się. Na razie wystarczy to, o czym udało jej się porozmawiać z Jess.

Kiedy skończyły posiłek i ruszyły w stronę pokoju, była prawie dziesiąta. Musiały dokończyć pakowanie się przed jutrzejszym, porannym lotem.

Abby wiedziała, że nie zaśnie - zawsze tak było przed podróżą. Bała się, czy obudzi się na czas i czy będzie pamiętać o paszportach i biletach.

- Chyba wezmę jeszcze kąpiel - rzekła przyjacielsko Jess, kiedy wsiadły do windy

- Dobry pomysł - odparła jej matka. - I tak wieki całe potrwa, nim się spakuję, a potem możemy spróbować się trochę przespać.

Gdy dojechały na ich piętro, wysiadły z windy i zaczęły iść w kierunku pokoju.

- Mamo - zaczęła ostrożnie Jess - czy sądzisz, że tata wie o tym, że przyjąłabyś go z powrotem i chciałabyś, żeby wszystko było tak jak wcześniej, gdyby tylko zapomniał o tym, co się wydarzyło? Sądzisz, że on wie, iż chcesz o wszystkim zapomnieć i spróbować jeszcze raz?

W oczach Abby pojawiły się łzy. Och, biedna, biedna Jess.

- Tak - odparła powoli. - Myślę, że wie. Z całą pewnością, powiedziałam mu o tym. Ale nie sądzę, bym mogła prosić go, żeby wrócił do mnie i pozostał moim mężem, jeśli on tego nie chce. Rozumiesz to?

Pragnęła powiedzieć Jess, że próbowała, ale że Tom nie był tym zainteresowany. Jeśli chodziło o niego, to był koniec. Abby wcześniej miała nadzieję, że to duma przemawiała przez niego tego dnia, kiedy poprosiła go, by ponownie się zastanowił nad zakończeniem ich małżeństwa. Jednak gdy mijał czas, a on nie uczynił żadnego kroku w stronę ewentualnego pogodzenia się, stawało się jasne, że się myliła. Tom podjął decyzję i nie chciał już być mężem Abby.

- Nie zmusi się kogoś do tego, by cię kochał, jeśli już tak nie jest, prawda? - zapytała ze smutkiem.

Jess kiwnęła głową. Bała się odezwać. Abby otworzyła drzwi i weszły do pokoju. Jess natychmiast udała się do łazienki i odkręciła wodę w wannie, tak że hałas wody uniemożliwiał jakąkolwiek dalszą rozmowę.

- Poleżę trochę w wannie! - zawołała.

- Dobrze - odpowiedziała Abby.

Jess zamknęła drzwi do łazienki, usiadła na skraju wanny i wreszcie pozwoliła sobie na płacz. W pokoju jej matka siedziała na skraju łóżka i robiła dokładnie to samo.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Abby, wypoczęta i zrelaksowana po wakacjach, w niedzielę przyleciała do domu, by znaleźć się w samym oku cyklonu. W jakiś sposób wieści o przesłuchaniu w 727 Network dotarły do uszu Roxie, która była wściekła. Co gorsza, Brian także. Rankiem na automatycznej sekretarce Abby Roxie zostawiła jedną, zaś Brian trzy pełne oburzenia wiadomości. Warczał, że gdyby Beech nie wpadł na pomysł jej programu, byłaby dzisiaj nikim. Abby przez kilka minut słuchała perorowania dyrektora zarządzającego Beech, po czym skasowała wszystkie wiadomości. Niech sobie Brian wścieka się i oburza, postanowiła. Życie nie polegało wyłącznie na pracy. Podczas wyjazdu jej i Jess udało się odbudować odrobinę wcześniejszej bliskości i to było znacznie ważniejsze niż głupia praca. A przecież nie wściekał się, kiedy Roxie wprowadziła do programu dwie nowe prezenterki. Ona przez cały ten czas zachowywała się jak profesjonalistka, a w nagrodę musiała wysłuchiwać przez telefon Briana, piszczącego niczym jakiś przerośnięty uczeń.

Włączyła z powrotem automatyczną sekretarkę i wystukała numer komórki Mike'a Horowitza. Była niedziela, ale to przecież nie mogło czekać. Mike, który akurat przebywał służbowo w Paryżu, nie przejął się zbytnio wściekłością Briana. No ale w końcu nie był typem faceta, który zamartwia się, gdy firma telewizyjna ma muchy w nosie.

- Nie przejmuj się Brianem - oświadczył. - Przejdzie mu. I tak pewnego dnia by się o tym dowiedział. Poza tym ludzie z Seven Two Seven Network naprawdę się zapalili i wieści najwyraźniej się rozeszły.

- Ale nic nie zostało jeszcze uzgodnione - zaprotestowała Abby. - Nikt nie pokazał nam kontraktu. To nie jest tak, że mam już zaklepaną tę pracę.

- To prawda - przyznał Mike. - Ale tak się akurat składa, że wiem, iż przesłuchiwali jeszcze trzy osoby i żadna z nich nie okazała się choćby w połowie tak dobra jak ty Informacje poufne - dodał radośnie. - Rozmawiali nawet z tą Candy jak jej tam, choć osobiście uważam, że jest beznadziejna. Zbyt oschła.

Abby nie mogła powstrzymać pełnego satysfakcji uśmiechu. A więc Candy starała się o tę samą pracę i kiepsko jej poszło? Matka Abby może i uczyła ją, że nie należy cieszyć się z cudzych niepowodzeń, ale dzisiaj nic nie była w stanie na to poradzić.

- Zamierzają nam w takim razie złożyć propozycję? - zapytała Mike'a.

- Jutro, kiedy wrócę, spotykam się na lunchu z producentem i kierownikiem produkcji, i jeśli nie złożą nam wtedy propozycji, udam się do sklepu z kapeluszami i zjem wszystko, co mają na składzie - odparł Mike. Wydawał się słusznie usatysfakcjonowany. - Możemy zażądać całkiem sporych pieniędzy.

Abby pomyślała o tym, dokąd w przeszłości zaprowadziły ją pieniądze. Przeniosły jej rodzinę z Gartland Avenue, gdzie mimo wszystko byli szczęśliwi. Kupiły im ten wspaniały, stary dom - dom, w którym teraz byli nieszczęśliwi i który zamierzali sprzedać. Rodzinie Bartonów pieniądze nie przyniosły nic oprócz zmartwień. Choć może to jednak nie pieniądze - posiadanie ich jedynie uwypukliło problemy, które były obecne już wcześniej. Tak czy inaczej pieniądze niczego nie rozwiązywały.

- Posłuchaj, Mike, ja wcale nie chcę wielkich pieniędzy. Jeśli Tom i ja się rozwiedzimy, to oczywiście, że będę musiała dobrze zarabiać. Ale nie jestem Ivaną Trump. Nie potrzebuję fortuny, którą mogłabym wydawać w markowych butikach.

Wyczuła przez telefon wahanie Mike'a. - Abby, nie zapominaj, że w twoim małżeństwie to ty więcej zarabiasz. Tom miałby prawo dochodzić od ciebie alimentów i spłacenia go.

Abby roześmiała się ze smutkiem.

- Mike, nie poznałeś Toma i jest jasne, że naprawdę niewiele o nim wiesz - rzekła. - Tom wolałby mieszkać w kartonie niż wziąć ode mnie choćby pensa.

- Przepraszam. Nie miałem zamiaru się wtrącać. To wasza sprawa.

Nazajutrz był poniedziałek i pomimo że powinna odczuwać zmęczenie po przylocie z Florydy, Abby obudziła się wcześniej. Wstała, przygotowała sobie koktajl owocowy, a potem udała się na siedmiokilometrowy spacer, słuchając po drodze radia z discmana. Wróciła o wpół do dziewiątej pełna energii, spodziewając się, że ujrzy wychodzącą z sypialni zaspaną Jess. Jej córka zdążyła już jednak wstać i nie wyglądała na ani trochę śpiącą.

- Tata dzwonił do ciebie - rzekła ponurym tonem.

Abby nie wiedziała dlaczego, ale miała przeczucie, że to nie jest dobra wiadomość.

- Co się stało? - zapytała z niepokojem.

- Przed chwilą zadzwoniła do niego jakaś dziennikarka, by skomentował wasz rozwód - odparła Jess. - Tutaj też ktoś dzwonił, ale pozwoliłam, by nagrał się na sekretarkę.

Serce Abby zamarło. Tylko tego jej było trzeba. Gotowa się była założyć o miesięczne zarobki, że stała za tym Roxie. Zemsta kobiety wzgardzonej była niczym w porównaniu z zemstą reżysera prowadzącego, który widział, że prezydentka telewizyjna ma go gdzieś. Kto jeszcze mógł ujawnić mediom to, co się dzieje w jej małżeństwie? Roxie może i nie miała całkowitej pewności co do ich rozstania, ale była wystarczająco rozwścieczona, by oprzeć się na plotkach. Ujawnienie tych informacji prasie byłoby dokładnie w jej stylu.

- Tata uważa, że sama dałaś im cynk, ponieważ zbliża się początek nowej serii i szukacie reklamy - dodała powoli Jess.

Abby była przerażona.

- To nie tak, Jess - odparła. - Wiesz, że nie zrobiłabym niczego, by skrzywdzić twego tatę. Zanim wyjechałyśmy, udzieliłam wywiadu pewnej dziennikarce i tak się bałam, by wieści o naszej separacji nie wyszły na jaw, że kłamałam jak najęta. Nie chcę, by inni wiedzieli więcej od taty

Czuła się strasznie, gdy na twarzy Jess widziała ten udręczony wyraz. Zniknęły zadowolenie i otwartość. Wróciła rzeczywistość. Westchnęła. Rozmowa z Jess będzie musiała poczekać. Zaczęła wystukiwać numer Toma.

Odebrał telefon po pierwszym sygnale. Wydawał się rozszokowany i natychmiast przystąpił do ataku:

- Jak śmiałaś opowiadać wszystkim bez wyjątku o naszym prywatnym życiu? Podejrzewam, że desperacko starasz się rozreklamować swój głupi program, ale nie życzę sobie, by wciągać w to mnie. Ani Jess. Możesz sobie znaleźć jakiś inny sposób na pojawienie się w gazetach. A tak w ogóle, to skąd mieli mój numer?

Jeśli Abby była zszokowana ilością sączącego się z jego słów jadu, nie pokazała tego po sobie. Wiedziała, że Tom nie może wybaczyć jej tego, że rozbiła ich małżeństwo, nie dziwiła się więc, że zamierzał obwiniać ją za wszystko złe, co wydarzy się w przyszłości.

- Nikomu nie powiedziałam o separacji i nie wiem, skąd mieli twój numer telefonu - odparła spokojnie, choć nie spodziewała się, że jej uwierzy Roxie musiała znaleźć numer Toma w szczegółach dotyczących umowy Abby - Ja także cenię prywatność i jeśli sądzisz, że rozgłoszenie wszem i wobec tego, że się rozstaliśmy, stanowi dla mnie korzyść, to się mylisz.

- Mylisz? - zapytał gniewnie. - Powiem ci, kiedy się myliłem, Abby. Myliłem się, kiedy wierzyłem ci przez te wszystkie lata. Myliłem się, kiedy sądziłem, że rzeczywiście cię znam. Tak naprawdę w ogóle cię nie znałem. Jesteś po prostu głodna sławy i masz gdzieś mnie i Jess.

Abby miała właśnie odpowiedzieć, że to niesprawiedliwa krytyka, ale się powstrzymała. A może jednak była sprawiedliwa. No więc nie powiedziała nikomu o ich separacji i zrobiła wszystko, co tylko mogła, by wieści o niej nie przedostały się do prasy. Jednak przecież przespała się z innym mężczyzną; to ona ponosiła odpowiedzialność za rozstanie. Wszystko sprowadzało się właśnie do tego.

- Nikomu nic nie powiedziałam - rzekła - ale skoro uważasz, że to zrobiłam, masz prawo do własnego zdania. Nie musisz udzielać żadnych komentarzy do gazet. Każę się tym zająć moim ludziom od reklamy.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, wiedziała, że mówienie o ludziach od reklamy było błędem. Nagle nie brzmiała już jak Abby Barton, porzucona żona Toma, lecz jak jakaś hollywoodzka gwiazda filmowa, dokładnie taki typ, jakiego on nie znosił. *Jej ludzie od reklamy.*

Zatoczyli pełne koło. Bez względu na to, jak bardzo temu zaprzeczała, Tom i tak będzie przekonany, że reprezentuje sobą wszystko to, czego nienawidził.

- Przykro mi z powodu tego wszystkiego, Tom - rzekła. - Postaram się jakoś to załatwić, ale na pewno coś pojawi się w prasie. - Zawahała się. Teraz albo nigdy - W tym tygodniu skontaktuje się z tobą mój prawnik. Musimy omówić kwestie formalne, takie jak finanse, sprzedaż domu, widzenie się z Jess.

- Świetnie - odwarknął.

Rozłączyła się i zobaczyła, że trzęsą jej się ręce. Telefon ponownie zadzwonił. Zignorowała go. Usłyszała na automatycznej sekretarce przypochlebny głos dobrze znanej dziennikarki z gazety plotkarskiej i cieszyła się, że nie odebrała. Donośnie zabrzmiał sygnał jej komórki. Rozpoznała na wyświetlaczu numer swojej asystentki.

- Cześć, Katya. Co się dzieje? - zapytała, mimo że dobrze знаła odpowiedź.

Katya wydawała się zakłopotana.

- Cóż, Abby, eee... chodzi po prostu o to, że przed chwilą dzwoniło do mnie paru ludzi i nie chciałam zawracać ci głowy, gdyż wiem, że dopiero co wróciłaś z wakacji, ale... cóż... wydają się wiedzieć, że ty i Tom rozstałście się, i chcą o tym napisać. Nie wiedziałam, co zrobić.

Mimo że sama była w fatalnym nastroju, zrobiło jej się żal Katyi. Wydawała się taka zagubiona.

- Kto dzwonił? - zapytała, otwierając duży notes. - Co dokładnie wiedzą?

Powoli Katya zaznałomiła ją ze wszystkimi szczegółami. Jako następna zadzwoniła Selina i słychać było, że nie może rozmawiać zupełnie swobodnie.

- Co u ciebie słychać? - zapytała. - Dużo telefonów od rana?

- Nie możesz rozmawiać, tak? - zapytała cicho Abby.

- Niezupełnie - odparła enigmatycznie Selina. - Bardzo bym chciała spotkać się z tobą na kawie. Mogłabyś zadzwonić do naszego wspólnego znajomego i uzgodnić szczegóły?

Mike.

- Dobrze - odparła Abby

Kiedy wreszcie udało jej się dodzwonić do Mike'a, dotarło do niej w końcu, że to nie jest jedynie zły sen. Zarówno Katya, jak i Selina dzwoniły do niej z kolejnymi nazwiskami zainteresowanych dziennikarzy, a jednemu czy dwóm udało się nawet w jakiś sposób zdobyć jej numer domowy. Nadal w stroju sportowym siedziała w gabinecie z telefonem leżącym przed nią i wpatrywała się w długą listę nazwisk wypisanych w notesie.

Mike, który właśnie zdołał wysiąść z samolotu z Paryża, powiedział, że zna jedną z najlepszych osób od PR w tym kraju, Nadię Wilson. Skontaktuje się z nią i poprosi, by zajęła się wszystkimi pytaniami prasy i spróbowała pokazać separację w korzystnym świetle.

„Jak można przedstawić rozwód w korzystnym świetle?“, zastanawiała się pośpiesznie Abby. Jednak Mike powiedział jej, by nie była taką pesymistką.

- To także minie - rzekł tonem wszechwiedzącego guru, który w swoim życiu widział więcej rozstań niż prawnik specjalizujący się w rozwodach. - Dbaj o siebie, Abby - poradził. - To coś więcej niż przedstawienie prasie twojej wersji historii. Musisz dbać o siebie i Jess. To będzie dla niej bardzo trudne, kiedy zobaczy artykuły w gazetach. Dla ciebie zresztą także. A może wybrałabyś się do terapeuty albo psychologa, by pomógł ci przez to przejść?

Mike zawsze ją zaskakiwał. Jego naprawdę obchodziło jej samopoczucie, a nie tylko dwadzieścia procent jej zarobków

- Jesteś dobrym człowiekiem - rzekła, wdzięczna za jego wsparcie.

- Chcesz powiedzieć: dobrym człowiekiem jak na agenta - zażartował. - Jestem rekinem, dobrze o tym wiesz, Abby. Spójrzmy prawdzie w oczy: jeśli przeżyjesz załamanie nerwowe, to ile będzie wynosiło dwadzieścia procent z niczego?

Kończąc rozmowę, oboje się śmiali. Jednak wesołość Abby zniknęła natychmiast, gdy weszła do kuchni. Przy stole siedziała Jess i wpatrywała się pośpiesznie w nietkniętą miskę z płatkami.

- Wiem, że jest to dla ciebie trudne... - zaczęła Abby

- Trudne dla mnie? - zawołała Jess, nie pozwalając jej skończyć. - Nie masz pojęcia, jakie to dla mnie trudne. Ani trochę tego nie rozumiesz. Ani jak bardzo trudne jest to dla taty. Wiesz, jaki jest dumny i jak na to będą patrzeć wszyscy w jego szkole, kiedy przeczytają, że ty i on się rozstałście, ponieważ go zdradziłaś. - Jej głos się załamał.

- Nikt się tego nie dowie - odparła z przerażeniem Abby. - Wiedzą jedynie, że się rozstałście. Nie powiemy im przecież dlaczego.

Jednakże Jess miała rację. To był nowy powód do zamartwiania się - że jakiś dociekliwy dziennikarz wywącha, że to cudzołóstwo położyło kres rzekomo idealnemu małżeństwu Bartonów. Co gorsza, może się zdarzyć też i tak, że Jay wyjdzie z ukrycia i oświadczy, że to on jest trzecią stroną tej historii. Abby zbladła na tę myśl. Spojrzała na Jess i przekonała się, że córka wpatruje się w nią z napięciem, jakby dokładnie wiedziała, jakie myśli kotłują się w głowie matki. Na jej twarzy malowała się odraza.

- Nie nienawidź mnie, proszę, Jess - błagała Abby. - Proszę, nie nienawidź mnie. Musimy trzymać się razem i jakoś przez to przejść. Nie chciałam, by to się stało, wiesz o tym dobrze. Proszę, spróbuj choć trochę zrozumieć...

Jess wstała, wyrzuciła zawartość miski do kosza i wrzuciła pustką miskę i łyżkę do zmywarki. Wybiegła z kuchni, a Abby wiedziała, że nie ma sensu iść za nią. Chwilę później usłyszała trzask zamykanych drzwi wejściowych.

Abby uświadomiła sobie, że telewizja działa w naprawdę tajemniczy sposób. Zamiast zaniepokoić się tym, że prywatne życie ich niedoszłej gospodyni talk-show pojawi się w gazetach wraz z paskudnymi szczegółami dotyczącymi rozpadu jej małżeństwa, ludzie w 727 Network jeszcze bardziej chcieli mieć Abby w swojej ekipie.

- To element ludzki - wyjaśniła Nadia Wilson, wysoko ceniąca swe usługi specjalistka od PR, którą zatrudnił Mike, by zajęła się Abby w tym trudnym czasie. Nalegała na natychmiastowe spotkanie i rozmowę z nową klientką. - Będziesz miała teraz właściwy poziom empatii. Ustawi się kolejka ludzi chcących wystąpić w twoim programie, ponieważ sama przeżyłaś piekło. Gwiazdy lubią udzielać wywiadów osobom, które przeszły swoje w życiu. Dlatego właśnie Seven Two Seven Network nie chce zatrudnić dziewiętnastoletniej supermodelki, która nigdy nie była zakochana, nie ma dzieci i nie przeżyła niczego ważnego. Chcą ciebie: Abby Barton, prawdziwą kobietę, matkę i wkrótce rozwódkę. Wszystko, co przeżyłaś, dodaje patosu i ludzkich uczuć do tej całej historii. I - uśmiechnęła się szeroko Nadia - reklama nie zaszkodzi temu programowi. Spójrzmy prawdzie w oczy, wszyscy się teraz o nim dowiedzą. To znaczy o tym talk-show.

Nadia w niczym nie przypominała osoby, której się spodziewała Abby. Sądziła, że wybitna specjalistka od PR, organizująca kampanie reklamowe dla sławnych i bogatych, będzie szorstką damusią z grubymi kreskami na powiekach, długimi, pomalowanymi szponami, odzianą w eleganckie, markowe garnitury. Nadia była natomiast pogodną kobietą tuż przed czterdziestką, która nie potrzebowała makijażu, by podkreślić bystre, ciemne oczy, i która wyglądała tak, jakby wpadła na chwilę w drodze z supermarketu. Jej strój składał się z dżinsów, prostej białej koszuli, butów na płaskim obcasie i męskiego zegarka. Długie ciemne włosy miała związane w kucyk.

- Oszczędza to czas rano - wyjaśniła Nadia swój nieskomplikowany strój. - Po prostu wstaję, zakładam dżinsy i kolejną koszulę. Proste.

Bezpośrednie podejście Nadii do życia miało zastosowanie także i w promocji. Poradziła Abby, by udzieliła jednego dużego wywiadu, w którym opowie o rozpadzie swego małżeństwa.

- Pozornie rozmowa będzie na temat *Porządków* i odejścia z Beech, a także nowego talk-show. Ale musisz wspomnieć o rozstaniu - poradziła jej. - Nie za wiele, ale wystarczająco, by dziennikarze przestali ci deptać po piętach. Jeśli udzielimy tego wywiadu jakiejś porządnej gazecie, pozwolą nam zobaczyć tekst, nim pójdzie do druku. Autoryzacja jest bardzo ważna. Wszyscy inni będą cytować cię po tym wywiadzie, ale przynajmniej przedstawiś swoją wersję.

Abby, z oczami podkrążonymi z powodu braku snu, wpatrywała się w Nadię.

- No a co z Tomem? - zapytała. - Kiedy on przedstawi swoją wersję?

Tak bardzo niesprawiedliwe wydawało się to, że ludzie będą chcieli słuchać jej, ale nie Toma. Nie znaczy, by Tom miał ochotę opowiadać komukolwiek o swoim życiu prywatnym, ale nie o to przecież chodziło.

Nadia była rzeczowa.

- Nie przedstawi. To ty jesteś sławna, to twoja historia. Może to i niesprawiedliwe, ale tak już jest. Wiem, że nie chcesz zrobić niczego, by go zranić, więc twoja historia nie będzie zbyt w niego godzić.

- Raczej nie - odparła Abby. Pomyślała o tym, co powie: jak bardzo kochała swojego męża, jak zaczęli się od siebie oddalać. Wszystko z wyjątkiem tego, że w grę wchodził ktoś trzeci. - Więc część wywiadu, w której mówię o moim związku, nie będzie zbyt obszerna? - zapytała.

- Nie będzie to główna część wywiadu, ale najpewniej główna część artykułu - odparła Nadia, która wyznawała zasadę, że jej klienci muszą znać prawdę, jakkolwiek bolesną. - Mów zwięźle i słodko. Daj im po prostu wystarczająco dużo informacji, by czuli, że mają o czym pisać. Kiedy już będziesz wiedziała, co chcesz powiedzieć, przećwiczmy to kilka razy, by mieć pewność, że nie ujawnisz zbyt wiele. - Nadia wzięła do ręki aktówkę, szykując się do wyjścia. - Nie zadręczaj się tym zbyt, Abby - dodała. - Nie jesteście pierwszą rozstającą się parą i z całą pewnością nie ostatnią. Za miesiąc życie kogoś innego stanie się *cause célèbre* i wszyscy zapomną o twoim.

Kiedy Nadia wyszła, Abby usiadła przy stole w kuchni i rozplakała się. Jess nie wróciła jeszcze do domu i nagle, kiedy umilkły telefony, w domu było przeraźliwie cicho. Abby czuła się taka samotna. Nie wiedziała z kim porozmawiać. Bardzo potrzebowała przyjaciółki. Gdyby tylko Sally żyła...

Sally zrozumiałaby ją. Rozumiałaby, że kocha Toma. Była realistką i wiedziała, że czasami w małżeństwach źle się dzieje. Nie było wielu ludzi takich jak Sally: ludzi, którzy wysłuchaliby twojej historii bez prawienia morałów. Choć trzeba przyznać, że Lizzie Shanahan też w pewnym sensie była właśnie taka.

Lizzie była jedną ze szczerze życzliwych osób, które same doświadczyły wystarczająco dużo bolesnych przeżyć, by wiedzieć, że nic nie jest proste. Jednak Abby nie rozmawiała z Lizzie już od całych wieków. Tak bardzo była pochłonięta własnymi zmartwieniami, że nie starała się z nią zobaczyć ani z Erin. A teraz płaciła za to, że zaniedbała przyjaciółki.

Pomyślała o siostrze, Viv, która mieszkała w Australii. Nie rozmawiały z sobą od miesiący. Abby nie powiedziała jej, że ona i Tom żyją w separacji. Miała nadzieję, że może w ogóle nie będzie musiała o tym mówić, uciepiona próżnej nadziei, że do siebie wrócą. Nie mogła teraz zrzucić na nią tego wszystkiego.

Jednak naprawdę potrzebowała kogoś, z kim mogłaby porozmawiać. Przytaszczyła książkę telefoniczną i zaczęła przeglądać spis terapeutów. To smutne, że musiała zapłacić komuś, by wysłuchał jej wersji całej historii.

Choć pierwsze, co rano zrobiła Abby, było pełne strachu przejście gazet, niczego nie znalazła. Nadia jej wyjaśniła, że wyszedł na jaw seks skandal z gwiazdą boysbandu w roli głównej, i tym wszyscy byli zainteresowani.

Jess nadal prawie się do niej nie odzywała i Abby nie widziała, co było gorsze: bycie ignorowaną czy wysłuchiwanie krzyków rozwścieczonej córki.

Nadia ustawiła na piątek wywiad dla „Sunday Sentinel” i Abby czekała na niego ze strachem. Z niemal równie wielkim strachem, jak na czwartkowe spotkanie z terapeutą. Kiedy umawiała się na wizytę, czuła ogromną chęć wyrzucenia z siebie tego, jak się czuje, ale im bliżej było czwartku, tym większym przerażeniem napawał ją pomysł rozmawiania z zupełnie obcą osobą o rozpadzie jej małżeństwa. Czy w jej życiu nie pozostało już ani odrobiny prywatności?

W czwartek Jess i Steph pojechały na cały dzień do miasta. Abby miała wyrzuty sumienia z powodu tego, że ucieka się do starej taktyki poprawiania humoru córce poprzez danie jej pieniędzy na przyjemności, ale w obecnej chwili wydawało się to całkiem dobrym pomysłem. Dzięki temu Jess wyjdzie na trochę z domu i miło spędzi czas ze Steph. Od poniedziałku nie była nawet w schronisku, tylko siedziała za zamkniętymi drzwiami swego pokoju i słuchała głośnej muzyki. „Gdyby tylko zechciała ze mną porozmawiać”, myślała ze smutkiem Abby. Jednak wyglądało na to, że Jess z nikim nie ma zamiaru rozmawiać o tym, co czuje. Skoro teraz tak się zachowywała, co będzie, kiedy w gazecie pojawi się wywiad z jej matką? Za tydzień rozpoczynała się szkoła, a za dwa ogłaszano wyniki egzaminów, co dodatkowo potęgowało napięcie.

W ulubionym magazynie Abby zamieszczono artykuł na temat stresu związanego ze szkołą dla nastolatków, wraz z radami, jak sobie poradzić z oczekiwaniem na wyniki egzaminów.

„Nastolatki muszą wiedzieć, że w pełni ich wspierasz, bez względu na to, jakie będą ich wyniki” - radził artykuł.

„Wyniki egzaminów to najmniejsze ze zmartwień”, pomyślała ponuro Abby. Jess mogła wszystko oblać, a ona i tak nie powiedziała jej złego słowa. Ostatnimi czasy życie przypominało chodzenie po linie w butach na obcasach.

Tom nie był zbyt miły dla Abby, kiedy zadzwoniła, by porozmawiać z nim o wywiadzie.

- Nie chcę o tym wiedzieć - warknął. - Nie rozumiem, dlaczego musisz cokolwiek na ten temat mówić.

Abby próbowała mu wytłumaczyć, że dziennikarze nie dadzą jej spokoju, dopóki o tym nie opowie, ale Tom nie wydawał się zainteresowany. Chciał jedynie mówić o wyjechaniu na tydzień razem z Jess, dopóki wszystko nie ucichnie.

- Dla jej dobra, i mojego także - oświadczył ostrym tonem.

- Oczywiście - odparła Abby

Teraz siedziała w poczekalni u psychologa i zdążyła już przeczytać wszystkie plakaty na ścianach, które traktowały o terapiach rodzinnych, rozpadach małżeństw i mediacji. Wyglądało na to, że mediacja była obecnie kluczem do rozwiązywania kryzysów rodzinnych. Wyszukoleni mediatorzy spotykali się z walczącymi parami i pomagali im podzielić rzeczy, pieniądze i opiekę nad dziećmi.

„Rozmowa jest dobra dla rodzinnego szczęścia” - głosił jeden z plakatów.

Abby wpatrywała się w niego takim wzrokiem, jakby osobiście był odpowiedzialny za całe to bagno, w którym tkwiło jej życie. Była jedyną osobą w poczekalni, i kiedy przyglądała się przypadkowo zebranym meblom, uznała, że w filmach nie w taki sposób ukazuje się rozstania. W kinie następowało bum, bum, dziękuję pani i w mgnieniu oka wszyscy wiedli nowe życie, mieli nowe domy, a jedyną sporną kwestią było to, komu przypadnie cenna kolekcja płyt. W prawdziwym życiu było inaczej. To pomieszczenie opowiadało o prawdziwym życiu, prawdziwych rodzinach, które siedziały na tych niedopasowanych krzesłach i próbowały poukładać to, co się dzieje w ich życiu. W powietrzu wisiało wspomnienie łez i zaciekłych kłótni oraz ledwie wyczuwalny zapach papierosowego dymu. Abby w myślach widziała ludzi z zaczerwienionymi oczami, którzy ignorując zakaz palenia, zaciągali się dymem, by choć nieco uspokoić nerwy.

To był ten drugi koniec szlaku małżeńskiego, tak daleki od pełnego nadziei podekscytowania towarzyszącego zaręczynom i przyjęciu weselnemu. Czy ludzie tak ochoczo stawaliby przed ołtarzem i pobierali się w otoczeniu czterystu najbliższych przyjaciół, gdyby wiedzieli, gdzie to wszystko może się skończyć: w tym ponurym pomieszczeniu z posępnymi plakatami?

Dokładnie o pierwszej drzwi gabinetu otworzyły się i pojawił się poprzedni pacjent.

Paul Doherty, psycholog, uśmiechnął się do Abby i zaprosił ją do środka. Kiedy weszła do wygodnie urządzonego gabinetu, uświadomiła sobie, że zbyt dużo naoglądała się serialu *Frasier*. Po latach oglądania wygłupów braci Crane częściowo sobie wyobrażała, że wszyscy terapeuci są tacy jak oni - kulturalni intelektualiści, wdający się w długie dyskusje na temat tego, ile aniołów może tańczyć na główce od szpilki.

W przeciwieństwie do nich Paul Doherty wyglądał zupełnie jak lekarz rodzinny: zmęczone oczy i lekko potargane włosy. W gabinecie znajdowało się duże biurko, ale nie siedział za nim; zamiast tego usiadł na fotelu naprzeciwko Abby z notesem na kolanach.

- Witaj, Abby Chcesz mi opowiedzieć, dlaczego się tutaj zjawiłaś? - zapytał niskim, łagodnym głosem.

Abby przez chwilę kusilo, by powiedzieć, że nie bardzo, ale wiedziała, że w ten sposób marnowałyaby czas ich obojga. Zaczęła więc opowiadać historię swego małżeństwa z Tomem: jak podzieliła ich jej praca i zarobki; jak czuła się samotna i niekochana. Nie mogła w tym przypadku zwolnić Toma z odpowiedzialności; wiedziała, że jego zachowanie z całą pewnością przyczyniło się do pogorszenia relacji w ich małżeństwie. Jednak kiedy przyszła pora na mówienie o Jayu

i o tym, jak dzięki niemu się czuła, i że zdradziła z nim męża, jej głos łamał się. Wina leżała tylko i wyłącznie po jej stronie.

- Tak naprawdę to nie wiem, dlaczego tutaj jestem - rzekła nagle, przerywając opowiadanie. - Nie powinnam szukać pomocy bądź rozgrzeszenia, ponieważ to wszystko moja wina. To moja wina, że zostawił mnie mąż, i to moja wina, że córka się do mnie nie odzywa. Zrobiłam to. Jeden głupi czyn i cały domek z kart runął. - Czekala, by Paul coś powiedział.

Jednakże on milczał i jedynie patrzył na nią z wyrazem wyczekiwania na twarzy

- To ja muszę tutaj mówić, tak? - zapytała Abby Na ustach psychologa zaigrał uśmiech.

- Obawiam się, że to rzeczywiście ty musisz mówić przez większą część czasu - odparł. - Tak to właśnie działa. Słowa potrafią nam ulżyć. Nie twierdzę, że opowiadając o tym, co się wydarzyło, będziesz w stanie naprawić to wszystko w jakiś cudowny sposób. Nic tego nie uczyni. Ale jeśli zrozumiesz, dlaczego zrobiłaś to, co zrobiłaś, możesz wyciągnąć z tego wnioski i ruszyć do przodu.

„To ma sens”, uznała Abby Pragnęła jedynie, by to się stało szybko, tak by nie musiała przechodzić przez całe bolesne samobiczowanie. Pogodzenie się z tym, co zrobiła, rozciągało się przed nią niczym pustynna droga bez odrobiny wody w zasięgu wzroku. Podłożyła sobie poduszkę pod plecy, by było jej wygodniej, i zaczęła mówić.

Wywiad dla „Sunday Sentinel” okazał się prawdziwym koszmarem. Dziennikarka była urocza, zupełnie inna od bystrookiej Marii Carroll, która bez pardonu wdzieriała się w prywatne życie Abby. Jednak dla niej i tak było to bolesne przeżycie.

Przynajmniej mogła mówić z optymizmem o swojej karierze i nowych, zbliżających się możliwościach. W telewizji właśnie wyemitowano pierwszy odcinek nowej serii *Porządków* i spodobał się on zarówno krytykom, jak i widzom. Podobała się nowa formuła, podobało się włączenie do obsady bliźniaczek i nadal podobała się Abby.

- Abby Barton to i tak najmocniejszy punkt tego programu - stwierdził jeden z krytyków telewizyjnych.

Dziwne, ale ten dowód uznania nie uszczęśliwił Abby tak, jakby to miało miejsce kiedyś. Życie polegało na czymś więcej niż na pochlebnych recenzjach w prasie. Jednak przyznać trzeba, że poczuła ulgę. I spokojnie odpowiedziała na pytania dotyczące plotek o jej przejściu do nowego talk-show. „Nic nie zostało jeszcze podpisane”, odparła zgodnie z prawdą, choć bardzo by chciała znaleźć się w tym programie. Dodała, że lubi nowe wyzwania.

Wiedziała także, że dobrze wygląda. Nerwy pomogły jej w zgubieniu tych kilku dodatkowych kilogramów, których zawsze desperacko próbowała się pozbyć. Teraz ubrania leżały na niej jeszcze lepiej niż wcześniej. Dzięki kolejnemu magicznemu zabiegowi Ruby jej cera wyglądała młodo i była pełna blasku, a tuż przed wywiadem dała sobie zrobić nowe pasemka.

Jednak to wszystko były kwestie powierzchowne. Abby wiedziała teraz, że tak naprawdę nie są to liczące się aspekty życia, i bardzo jej było trudno ukrywać wstrząs wywołany rozpadem jej rodziny przed kimś, kto delikatnie, aczkolwiek stanowczo starał się nakłonić ją do ujawnienia w wywiadzie najgłębiej skrywanych sekretów. Kiedy było po wszystkim, Abby czuła się totalnie wyczerpana.

W niedzielę, w dniu ukazania się artykułu w druku, Abby obudziła się wczesnym ranem. Było jeszcze zbyt wcześnie, by udać się do kiosku, a poza tym nie chciała kupować gazety w lokalnym sklepie. Pojechała więc na całodobową stację benzynową tuż za miastem, gdzie, jak wiedziała, można dostać najświeższą prasę.

Siedząc w samochodzie na parkingu na stacji, wzdrygnęła się, gdy ujrzała na pierwszej stronie nagłówek zachęcający do przeczytania artykułu: „Bolesna tajemnica kryjąca się za pogodnym uśmiechem Abby Barton, czytaj o tym na stronach 6 i 7”. Przerzucała strony gazety, aż dotarła do właściwych.

Nadia nalegała na autoryzację i wczoraj wieczorem przeczytała jej artykuł przez telefon. Istniała jednak różnica pomiędzy usłyszeniem go a zobaczeniem w druku, z dołączonymi fotografiami jej i Toma.

Trzęsły jej się dłonie, gdy czytała. To był wyważony artykuł, który opisywał jej sukces zawodowy, wspominający jedynie o niedawnym rozpadzie jej małżeństwa. Wszystkie jej słowa zostały przytoczone w taki sposób, w jaki je wypowiedziała, ale w oczach Abby to i tak wyglądało na horror.

Tom zabrał Jess na weekend do Londynu, ale z pewnością jakaś życzliwa osoba zachowa dla niego egzemplarz tej gazety i tak ją zobaczą, kiedy wrócą, i poczują się zranieni. Abby ruszyła w stronę domu. Była zbyt smutna, by płakać. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak samotna, jak właśnie w tej chwili.

Lizzie kupiła niedzielne gazety w drodze z mszy o dziesiątej. Ostatnio czuła się dość przygnębiona i miała nadzieję, że godzina w obecności Boga podniesie ją nieco na duchu i oderwie jej myśli od Simona, tak się jednak nie stało. Zamiast łączyć się duchowo z siłą wyższą, zafascynowało ją dwoje małych dzieci w ławce przed nią. Dwie zachwycające bliźniaczki przez całą godzinę bawiły się z rodzicami w „idzie rak nieborak”, tak że Lizzie nie była w stanie skupić się na mszy. Kiedy się zorientowała, był już koniec i dręczyły ją teraz straszne wyrzuty sumienia, że poszła tam z zamiarem modlitwy i nic z tego nie wyszło. Co się z nią działo? Nie była w stanie się skoncentrować. Obiecała sobie, że pójdzie do kościoła w ciągu tygodnia, by to jakoś nadrobić. Tyle modliła się do Boga o jego pomoc w rozwiązaniu problemu z Debrą i Barrym, że mogła chociaż posłuchać, kiedy znajdowała się w Jego domu.

Gdy dotarła do domu, położyła na stole w kuchni torbę z gazetami i produktami na śniadanie dla Deby Debra bardzo lubiła jeść porządne śniadania i Lizzie, która zazwyczaj rano zadowalała się tostem i herbatą, przygotowywała je dla córki, częstując przy okazji także siebie. „Cały ten bekon i jajka pozostawały bez wpływu na figurę Deby”, pomyślała z żalem Lizzie. Nadal była chuda jak patyk i w ogóle nie przybierała na wadze. Lizzie żałowała, że nie może powiedzieć tego samego o sobie. Wkrótce będzie musiała powrócić do odchudzania się.

Kiedy produkty na śniadanie zostały umieszczone w lodówce - Lizzie nawet nie śmiała niczego przyrządzić, nim Debra nie postanowiła wstać - usiadła przy stole i przejrzała szybko „Sentinela”.

- O nie - jęknęła, kiedy natrafiła na dwustronicowy artykuł o Abby Barton. Biedna Abby. Jej serce wyrывało się do niej.

Lizzie nigdy nie zapomni bólu i traumy związanej z rozpadem jej małżeństwa - a gdyby jeszcze musiała o tym mówić dziennikarzom? Powróciła myślami do pierwszego razu, kiedy tak naprawdę rozmawiała z Abby, tego wieczoru, kiedy Sally i Steve Richardsonowie urządzili przyjęcie. Nawet wtedy dało się zauważyć rozdźwięk pomiędzy nią a jej mężem.

„Być może w ich małżeństwie już od lat źle się działo”, pomyślała ze smutkiem. Nigdy nic nie wiadomo, jeśli chodzi o związki innych ludzi. Na zewnątrz wszystko mogło wydawać się idealne, a tak naprawdę stanowiło przykrywkę dla nienawiści i wzajemnych żali.

Bywało też na odwrót - weźmy na przykład jej małżeństwo. Zakładała, że wszystko jest idealnie, gdy tymczasem wszyscy inni zdawali sobie sprawę z tego, że wcale tak nie jest. Lizzie postanowiła położyć kres temu uzalaniu się nad sobą. „Wystarczy wracania do przeszłości”, nakazała sobie. „Ruszyłaś do przodu, masz nowe życie i nie będziesz się rozklejać na myśl o swoim małżeństwie, jasne?”

Jednak zastanawiała się, czy rzeczywiście ruszyła z miejsca.

Ponownie przejrzała artykuł, krzywiąc się, gdy czytała opis Abby: „Na ekranie Abby Barton jest rozgadana, pełna życia i wydaje się być twoją najlepszą przyjaciółką. Zaufałoby się jej, zarówno jeśli chodzi o wprowadzenie ładu w domu, jak i w życiu. Ale na żywo jest znacznie spokojniejsza, a w jej oczach maluje się smutek. Zrobiła karierę, o jakiej

marzy każda kobieta, jednak musiała za to zapłacić wysoką cenę. Od kilku miesięcy Abby i jej mąż, nauczyciel Tom Barton, zastępca dyrektora w szkole dla chłopców w Cork, żyją w separacji.

Jak nam powiedziała Abby, to nie było niczyją winą. Oboje byli zdruzgotani rozpadem ich małżeństwa. Ale Abby Barton jest realistką i wie, że kiedy coś się kończy, to naprawdę jest to koniec".

Lizzie czytała dalej. Dziennikarka opisywała nowe perspektywy zawodowe Abby i nawet zamieściła kilka jej zabawnych słów na temat tego, jak trudno jest być ulubioną porządną w kraju, a mimo to być beznadziejną, jeśli chodzi o porządkowanie własnych papierów. Lizzie wyobrażała sobie, jak koszmarnie trudne musiały być dla Abby te żarty, kiedy z pewnością czuła się strasznie.

Kierowana impulsem podniosła słuchawkę i wystukała numer Abby. Gdyby się nad tym dłużej zastanawiała, na pewno straciłaby odwagę. Abby z pewnością miała miliony przyjaciół, którzy otaczali ją w chwilach takich jak ta, oferując wsparcie i pocieszenie. Ale Lizzie też mogła dołożyć swoją cegiełkę.

Włączyła się automatyczna sekretarka, więc zostawiła wiadomość.

- Cześć, Abby, z tej strony Lizzie Shanahan. Dzwonię po to, by ci powiedzieć, że jeśli nieszczególnie się czujesz po ukazaniu się tego artykułu, cóż, jestem w pobliżu, gdybyś miała chęć na kawę lub coś innego. Biedactwo, wystarczająco ciężko jest, kiedy małżeństwo kończy się, a co dopiero wtedy, gdy musisz o tym opowiadać. - W głowie Lizzie pojawiła się nagle pewna myśl. A jeśli Abby pomyśli sobie, że dzwoni do niej, by wściubić nos w nie swoje sprawy? - Och, Abby, nie dzwonię dlatego, że chcę się wszystkiego dowiedzieć, naprawdę - wyjąkała. - Pomyślałam po prostu, że jeśli będziesz chciała pogadać, to chętnie cię wysłucham. Też to przecież przeżyłam. Pa.

Odłożyła słuchawkę, nie wiedząc, czy zrobiła to, co należy. Ale tak przecież w jej życiu było od zawsze.

Kiedy Greg i Erin przeprowadzili się do Dunmore, często w niedzielę rano chodzili na długie spacery, przemierzając uliczki i podziwiając ich piękne, nowe miejsca zamieszkania. Kupowali niedzielne gazety i wpadali do kafejki na drugie śniadanie. To było przyzwyczajenie jeszcze z Chicago. Jednak będąca w zaawansowanej ciąży Erin, pomimo chodzenia na basen cztery razy w tygodniu, nie miała już energii na długie spacery, więc ostatnio jeździli samochodem do miasta, parkowali i udawali się spacerkiem całe piętnaście metrów do Molly's Coffee Shop, kafejki, która należała do ich ulubionych. Greg zamawiał kawę, Erin zaś kilka filiżanek herbaty. Kiedy oboje wgrzyzali się w wielkie muffiny, Greg ekspresowo czytał gazety, przeglądając dodatki i odkładając je potem na wolne krzesło. Erin wołała czytać wolniej i spokojniej, naprawdę zagłębiając się w artykuły i delektując frazami ulubionych dziennikarzy.

To Greg wydał nagły okrzyk zdumienia.

- Jest tutaj wywiad z Abby - oświadczył. - Piszą o jej małżeństwie. Nie wiedziałem, że ona i Tom się rozstali... - Przebiegł szybko wzrokiem cały artykuł.

- Pokaż mi go - zażądała Erin.

Przeczytała uważnie cały artykuł, współczując Abby całym sercem. Już od dawna podejrzewała, że w rodzinie Bartonów źle się dzieje, ale Abby nie puściła na ten temat pary z ust.

- Powinnam do niej zadzwonić - rzekła zdecydowanie Erin.

- Jesteś pewna? - zapytał Greg. - Nie sądziłem, że to twoja bliska znajoma.

- Na początku nie była - przyznała. - Ale to miła kobieta. Lubię ją. A poza tym założę się, że wszyscy boją się dzisiaj do niej odezwać, a przecież potrzebne jej wsparcie.

Greg popatrzył z podziwem na żonę. Miała w sobie tyle odwagi i energii. Uwielbiał ją za to. Ktoś inny mógł nie odważyć się zadzwonić akurat dzisiaj do Abby, ale nie Erin. Rozumiała bardziej niż większość ludzi, że czasami trzeba usłyszeć przyjazny głos.

Erin była właśnie w połowie nagrywania wiadomości, kiedy Abby podniosła słuchawkę.

- Och, witaj, Abby, a więc jesteś - rzekła ze zdziwieniem Erin.

- Tak, jestem - odparła ze znużeniem Abby. - Boję się wyjść, na wypadek gdyby ktoś mnie zauważył na ulicy, pokazał palcem i rzekł: „To ta kobieta z telewizji, która rozstała się z mężem”.

Erin zaśmiała się głośno, dzięki czemu Abby też miała odwagę to zrobić.

- Wiem - jęknęła Abby - To brzmi absurdalnie, prawda?

- Wcale nie absurdalnie - odparła Erin. - Gdybym była tobą, czułabym pewnie dokładnie to samo i zastanawiałabym się na jaki kolor ufarbować włosy, tak by nikt mnie nie rozpoznał. Sława, no nie? Wcale nie taka przyjemna, jak by się mogło wydawać.

- Święte słowa.

- No więc - kontynuowała Erin - masz w takim razie chęć gdzieś wyjść? Mogłybyśmy wprawić wszystkich w zakłopotanie, wychodząc razem na ulicę. Chyba że jesteś zajęta - dodała.

Abby była tak wzruszona, że przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie słowa. Otrzymała wiadomości, w których słyhać było zarówno współczucie, jak i wsparcie, od naprawdę wielu osób, włączając w to Selinę, Nadię, Mike'a i, co ją zaskoczyło, matkę Steph Anderson, Lisę. Jednak nikt tak naprawdę niczego jej nie zaproponował. To znaczy oprócz Lizzie Shanahan.

- Nic nie robię - zaczęła Abby - Jess jest z Tomem, ale jestem pewna, że zazwyczaj spędzasz niedziele z Gregiem.

- Greg poradzi sobie beze mnie przez jedno popołudnie - odparła pogodnie Erin. - Ma dość patrzenia na mnie i na mój wielki brzuch i tego, że musi biegać o różnych porach po lody i gotowane kolby kukurydzy, tak bym mogła jeść je jednocześnie.

Greg, który przysłuchiwał się rozmowie, roześmiał się na te słowa.

- Nie zapomnij opowiedzieć jej o nocnych wyprawach na stację benzynową - wtrącił się. - Ludzie ze stacji nie rozumieją, jak mogę nie cierpieć na wrzody żołądka po tych wszystkich dziwacznych kombinacjach jedzenia, jakie kupuję.

- Słyszałaś to? - zapytała Erin. - Naprawdę, faceci! No dobrze, Abby, gdzie się wybierzemy i co będziemy robić?

Abby nie wiedziała.

- Lizzie zostawiła mi wcześniej wiadomość i zaproponowała, że mogłybyśmy umówić się na kawę, więc może tak właśnie zrobimy

- Mam lepszy pomysł - oświadczyła z entuzjazmem Erin. - A może zajedziemy po Lizzie i wybierzemy się wspólnie na lunch? Będę robić za kierowcę, a wy dwie możecie ubzdryngolić się koktajlami i zgorszyć potem wszystkich sąsiadów Co o tym myślisz?

- Brzmi super - odparła Abby i poczuła ze zdumieniem, że ma łzy w oczach.

Lizzie była właśnie w trakcie przygotowywania śniadania dla Debry, kiedy zadzwoniła Abby. Od razu spodobał jej się ich plan.

- Fantastyczny pomysł. Piszę się na to, a ty wyjdiesz przynajmniej z domu, Abby Nie ma nic gorszego niż siedzenie w taki dzień w domu i rozmyślanie o przeszłości.

- Erin przyjedzie po mnie za pół godziny, a potem podjedziemy pod twój dom - rzekła Abby. - Pasuje ci?

- Świetnie - odparła Lizzie. - Dzięki temu będę miała czas na upiększenie się.

Debra nie była zbyt zachwycona tą zmianą porannej niedzielnej rutyny. Lubiła jeść spokojnie śniadanie razem z mamą, wiedząc, że jeśli będzie miała ochotę na jeszcze jedno smażone jajko lub tost, mama natychmiast jej go zrobi. Czowała się tak, jakby ponownie była dzieckiem, i było jej z tym dobrze.

Nieznacznie się ożywiła, kiedy się dowiedziała, że jedna z pań to Abby Barton, ta sama Abby Barton, o rozpadzie małżeństwa której pisali dzisiaj w „Sunday Sentinel”.

- Myślisz, że zdradzi nam wszystkie pikantne szczegóły? - zapytała z podekscytowaniem Debra.

Jej matka wpatrywała się w nią bez słowa.

- Oczywiście, że nie miałam zamiaru powiedzieć tego, mamie - zaprotestowała. - Ja tylko myślałam na głos, no wiesz, skoro to twoja przyjaciółka i w ogóle, to mogłaby nam opowiedzieć, co wydarzyło się naprawdę. Założę się, że najciekawsze rzeczy zawsze zostawia się dla siebie.

- Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałaś, Debro - oświadczyła gniewnie Lizzie. - Mówimy tutaj o rozpadzie małżeństwa. Ty akurat powinnaś wiedzieć, jak bardzo jest to poważne i rozstrajające.

Debra jedynie wzruszyła ramionami.

- Cóż, skoro ja mogę przeboleć Barry'ego, ona przeboleje Toma, czy też jak mu na imię, no nie?

Lizzie zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę jest jakaś przyszłość dla Barry'ego i Debry. Wcześniej miała nadzieję, że wszystko da się naprawić, ale sądząc po chłodnym sposobie, w jaki o nim mówiła, było jasne, że dla niej rozstanie jest definitywne. Lizzie zaszokowana była tym, jak bardzo bezduszną potrafiła być jej córka wobec mężczyzny, którego tak bardzo pragnęła poślubić. Czy Debra jedynie udawała twardą, by ukryć fakt, że jej serce krwawi, czy też naprawdę nie czuła nic do Barry'ego? Najbardziej przerażające byłoby to, gdyby rzeczywiście nie żywiła wobec niego żadnych uczuć.

Po raz pierwszy w życiu Lizzie zaczęła się zastanawiać, czy podczas wychowywania Debry nie popełniła jakiegoś błędu. Jej własna matka, choć kochająca, była dla swych córek tak bardzo surowa, że Lizzie desperacko starała się nie być tego typu rodzicem. Uważała, że najważniejsze jest wspieranie dzieci. Wiedziały, że są kochane, i codziennie słyszały, że są bystre i utalentowane.

Ta metoda sprawdziła się w przypadku Joego, który był inteligentny i zabawny, a jednak udało mu się być także uprzejmym. Jednak z Debrą nie poszło tak dobrze, uznała Lizzie. Tak naprawdę to im więcej czasu razem spędzały, tym bardziej Debra przypominała Lizzie jej własną matkę: zawsze gotową powiedzieć to, co myśli, bez względu na to, jak bolesne mogło się to okazać dla słuchacza.

- Debro, jest wielka różnica pomiędzy rozstaniem się po siedemnastu latach małżeństwa a rozstaniem się po kilku miesiącach - rzekła spokojnie. Miała ochotę dodać, że nie wyglądało na to, by ona jakoś szczególnie rozpacziała po rozstaniu z Barrym, ale ugryzła się w język.

- Pewnie tak... - przyznała Debra, smarując masłem tost. - Założę się, że ta Abby wyrwie kupę kasy od swego męża, no nie? Mają też ten wielki dom na Briar Lane. Wart jest pewnie miliony

- Nie sądzę, by w tej chwili najważniejsze były dla niej pieniądze - oświadczyła zimno Lizzie.

Bardzo rozczarowana swoją córką, udała się na górę, by się przygotować.

- Erin, to naprawdę doskonały wybór - rzekła z zachwytem Lizzie, kiedy weszły do hałaśliwej, eleganckiej restauracji pełnej stylowych ludzi, przy których czuła się fatalnie ubrana. Mimo że Erin była w kraju dopiero od sześciu miesięcy, jakoś udało jej się wytropić najlepsze miejsce w Cork na niedzielny lunch.

Pomysłem Lizzie na odświętny niedzielny lunch byłby duży hotel w Dunmore, gdzie siedziało się w otoczeniu statecznych portretów i ciężkich, brokatowych zasłon, i spożywało formalny posiłek, rozmawiając przyciszonymi głosami, gdy tymczasem obsługa wyglądała tak, jakby nie wiedziała, w jaki sposób rozciąga się usta w uśmiechu. To miejsce sprawiało wrażenie znacznie weselszego: przyjacielscy kelnerzy i kelnerki śmigali pomiędzy stolikami i było słychać szum ożywionych rozmów. Wyglądający jak dzieło sztuki wspaniały bufet z owocami morza wydawał się znacznie bardziej ekscytujący niż tradycyjna pieczeń wołowa i brokuły w restauracji hotelu w Dunmore.

- Greg i ja przyjeżdżamy tutaj czasami - rzekła Erin. - Jest tu fajnie i mają pyszne jedzenie. Pomyślałam sobie, że dzisiaj dobrze będzie wyjechać z Dunmore.

- Mam tylko nadzieję, że Greg nie ma nic przeciwko temu, że zabieramy mu ciebie - rzekła Abby

- W żadnym razie - odparła Erin. - Ma mieszkanie dla siebie i przez całe popołudnie może oglądać w telewizji sport. Jest uszczęśliwiony

- Dobrze jest sobie dogadzać w niedzielę - stwierdziła Lizzie, przeglądając menu. - Zazwyczaj w ten dzień jem lunch w domu.

- Ty i Debra powiniście przyjechać tutaj - rzekła ostrożnie Erin. - To smutne, co się stało z nią i Barrym, ale pewnie miło jest mieć ją teraz w domu.

Lizzie przez chwilę milczała. Czy miło jest mieć ją teraz w domu? Z całą pewnością nie tego się spodziewała. Lizzie zdążyła się już przyzwyczaić do mieszkania w pojedynkę, do bycia własnym szefem i robienia tego, co chce i kiedy chce.

Jednak nie mogła powiedzieć o tym nikomu, nawet Erin i Abby, wobec których w innych kwestiach zawsze była bardzo szczerą.

- Tak - zgodziła się lojalnie. - To cudownie mieć Debrę przy sobie.

Abby przysłuchiwała się rozmowie, ale prawie nie brała w niej udziału. Była tak bardzo świadoma tego, że to miejsce publiczne i że wiele obecnych tutaj osób z pewnością ją rozpoznaje. Co sobie myślała? Że rzeczywiście nie była z niej bezwstydnica, wychodząc beztrąsko na lunch w dniu, w którym wiadomości o rozpadzie jej małżeństwa pojawiły się w prasie?

Zrobiła, co się dało, by dobrze wyglądać, ale wiedziała, że jej twarz jest blada i udręczona, zarówno z powodu stresu, jak i braku snu.

- Co słyhać u Jess? - zapytała Lizzie.

Natychmiast się zorientowała, że zadała niewłaściwe pytanie, gdyż na twarzy Abby pojawił się wyraz udręczenia. Gorączkowo zastanawiała się nad zmianą tematu, ale Erin miała lepszy pomysł. Uświadomiła sobie, że to dla Abby bardzo ważne, by mogła porozmawiać o tym, co się stało, i wyrzucić to w końcu z siebie.

- Założę się, że jest naprawdę rozstrojona tym wszystkim

- rzekła.

- To prawda - przyznała Abby. - Tom zabrał ją stąd na weekend. Zamartwia się wpływem, jaki to, co się wydarzyło, ma na jej ojca i będzie zdruzgotana tym, że o wszystkim napisano w gazetach i, och... czuję się jak okropna matka - oświadczyła z nieszczęśliwą miną.

- Ty? Okropną matką? - zapytała z niedowierzaniem Erin. - Nie opowiadaj głupstw, Abby, jesteś świetną mamą. To po prostu sytuacja przejściowa: zwykle, popaprane życie wdiera się do świata fantazji, w którym, jak wszyscy sądzimy, powinniśmy żyć. Jesteś dla siebie zbyt surowa. Wszystkie pewnie jesteśmy. Wciąż myślę, że będę złą matką, ponieważ robię coś nie tak w ciąży i nie spożywam wystarczającej ilości wapnia albo jem za dużo tuńczyka. Ale według mojej siostry Kerry na tym właśnie polega macierzyństwo: na ciągłym poczuciu winy

Lizzie zaśmiała się głośno na te słowa.

- Masz absolutną rację - oświadczyła. Według spoczywającego w głowie Lizzie podręcznika dla rodziców, to jej wina, że jej córka była taka ostra, nie Debry.

- W każdym razie - kontynuowała Erin - jeśli chcecie porozmawiać o dysfunkcyjnych matkach, pozwólcie, że opowiem wam o mojej.

Kiedy więc czekały na pojawienie się zamówionych dań, Abby i Lizzie słuchały zafascynowane opowieści Erin o jej pierwszym spotkaniu z biologiczną matką.

Erin opowiedziała to w sposób rzeczowy, bez rozczulania się nad sobą, ale choć się starała nie sprawiać wrażenia, jakby winiła Shannon za to, co się wydarzyło, nie dała rady Przecież to właśnie Shannon należało winić. Erin bardzo by chciała ponownie się z nią spotkać, po to tylko, by wygarnąć jej wszystko, co siedziało w niej od czasu tego pierwszego spotkania.

- Jest po prostu inna - zakończyła, próbując przekonać zarówno swe towarzyszki, jak i siebie. - Nie potrafię inaczej tego wytłumaczyć. Nie jest taka jak żadna znana mi mama, i pewnie w ogóle nie powinnam się była tego spodziewać.

„To naprawdę niesamowita historia”, pomyślała Abby, „warta wielu artykułów w gazetach”. W porównaniu z nią jej żaloszny rozpad małżeństwa wydawał się banalny Słuchając Erin, Abby poczuła się bardziej normalna. Wszyscy mieli tajemnice i trupy w szafie, tyle że w przypadku większości ludzi nie dowiadywała się o nich reszta świata.

Lizzie czuła się wyróżniona tym, że Erin im się zwierzyła.

- Nie martw się - zapewniła ją. - Nie piśniemy o tym nikomu ani słowa.

Jednak Erin nie czuła już potrzeby zachowania tajemnicy

- Mówienie o tym działa na mnie jak katharsis - przyznała. - Przez tyle czasu to była tajemnica i nie powiedziałam o tym nikomu, kiedy mieszkałam w Ameryce. Ale teraz, wybaczenie, że zabrzmiało to jak kiepska reklama sieci telefonicznej, dobrze jest o tym porozmawiać. Duszenie wszystkiego w sobie nie jest dobrym rozwiązaniem.

- Byłam u psychologa, by porozmawiać o rozstaniu - odezwała się nagle Abby

Popatrzyły na nią, chcąc, by mówiła dalej, ponieważ wiedziały, że otworzenie się dobrze jej zrobi.

- I co powiedział? - zapytała Erin.

- W ogóle niewiele mówił. To ja prawie cały czas mówiłam. Jeśli mam być szczerą, to nie tego się wcześniej spodziewałam. Nie poszłabym do niego, ale mam tak ogromne wyrzuty sumienia odnośnie do wszystkiego, zwłaszcza Jess i tego, jak trudne musi to być dla niej. Opowiedziałas nam, jak fatalnie się zachowała twoja biologiczna mama - kontynuowała Abby - ale ja okazałam się równie złą matką.

- Nieprawda - odparła z mocą Erin. - Koniec małżeństwa nie przenosi cię natychmiast z grupy dobrych matek do tych złych.

Abby pomyślała ze smutkiem, że gdyby te dwie kobiety знаły prawdziwy powód rozpadu jej małżeństwa, wcale by tak nie myślały.

- Nie powinnam krytykować Shannon - ciągnęła Erin, choć dokładnie na to miała ochotę. - To nie fair. Ona nie chciała zostać matką, ale co w tym złego? Mnóstwo ludzi nie chce być rodzicami i nie miesza się ich za to z błotem. To, że nie chcesz mieć dzieci, nie czyni cię złym człowiekiem, ale - opuściła spojrzenie na talerz - przez tyle lat byłam przekonana, że nieobecna matka równa się złemu człowiekowi, a to nie było czymś właściwym. - Erin miała nadzieję, że jeśli będzie to powtarzać wystarczająco często, sama w końcu w to uwierzy

- Była bardzo młoda, kiedy cię urodziła - wtrąciła się łagodnie Lizzie. - Kiedy zaszłam w ciążę, miałam tylko dwadzieścia dwa lata i muszę przyznać, że byłam przerażona. Przez kilka dni, zanim komukolwiek o tym powiedziałam, czułam się tak, jakby nastąpił koniec świata. Człowiek czuje się wtedy taki samotny Rozumiem, że twoja mama pragnęła uciec od tego wszystkiego.

- Masz rację - przyznała Erin. - Muszę wybaczyć Shannon i ruszyć do przodu. - „Uda mi się to”, powiedziała sobie w duchu, „uda”. - Nie ma co płakać nad przeszłością - dodała. - Powinnam patrzeć w przyszłość.

- Wiecie, dokładnie coś takiego powiedziałyby Sally - oświadczyła Abby

W panującym w restauracji gwarze milczały przez chwilę, myśląc o przyjaciółce i o tym, co wniosła do ich życia.

Lizzie wiedziała, że próbowała ruszyć do przodu, zwłaszcza po tym, jak Myles odnalazł nową miłość z Sabine, ale wszystkie jej plany na nowe, ulepszone życie niezupełnie wypaliły. Nadal przez cały czas siedziała w domu, myśląc o życiu, jakie mogłaby prowadzić, gdyby tylko ruszyła swój tłusty tyłek i coś z nim zrobiła. I co ją powstrzymywało przed wyjściem z domu i zajęciem się tym życiem?

Debra - oświadczył cichy głos w jej głowie. Debra cię powstrzymuje przed ruszeniem do przodu. Chce, żebyś była tą samą, dawną mamą, jakby nic się nie zmieniło, jakby nadal chodziła każdego dnia do szkoły i wracała do domu, do szczęśliwej rodziny, ugotowanych obiadów i mamy, która każdego wieczoru siedzi w domu. Mężczyźni tacy jak Simon nie istnieli w wyobrazeniach Debry.

Wszystko w rodzinie zmieniło się, wszyscy stali się starsi, ale Debra zdawała się tego nie dostrzegać, a ponieważ Lizzie nie chciała jej ranić, nie chciała jej także zmuszać do zobaczenia prawdy. Zresztą, jak mogła to zrobić? Debra potrzebowała jej i Lizzie wiedziała, że musi być dla niej oparciem. Matki nigdy nie mogły zawieść swych córek.

Abby pamiętała, że kiedy poznała Sally, ta traktowała ją trochę jak starszą siostrę i prosiła o radę. W późniejszych latach mądrość Sally stała się oczywista dla wszystkich i to ją inni prosili o radę. Ale jakiej rady Sally udzieliłaby jej teraz?

Sally i Tom byli przyjaciółmi, nim przedstawił ją Abby. Czy wzięłaby teraz jego stronę i w przyszłości była przyjaciółką Toma, nie Abby? Miała nadzieję, że nie. Z całą pewnością Sally starałaby się pozostać w przyjaznych stosunkach z obojgiem.

Pomimo swej całej wrodzonej dobroci, a może właśnie dzięki niej, Sally nie należała do osób prawiących morały albo zachowujących stronniczość. Była realistką, doceniającą szczęście, które ją spotykało w życiu. Czy gdyby nadal była wśród nich, udałoby jej się nakłonić Toma i Abby do tego, by z sobą porozmawiali, czy stałaby się pośrednikiem, starającym się, by do siebie wrócili? Kto to wie?

- Lizzie, pytałaś nas kiedyś o pomysły na upamiętnienie Sally - odezwała się powoli Erin. - Cóż, myślałam o tej zbiórce pieniędzy, jaką przeprowadziłaś w imieniu Sally. Kiedy byłam u rodziców, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Właściwie to podrzuciła mi go Kerry moja siostra. Pracuje w ośrodku zdrowia, gdzie chorzy ludzie korzystają z terapii komplementarnych, takich jak masaże. Jest on powiązany z organizacją Życie kontra Rak, choć opiekują się tam nie tylko ludźmi chorymi na raka.

- Och - rzekła z podekscytowaniem Lizzie. - To właśnie z nimi rozmawiałam, kiedy chciałam zebrać pieniądze na cel charytatywny i skoczyć ze spadochronem!

- W takim razie wiesz o tej organizacji - odparła z entuzjazmem Erin. - Kerry sama miała raka piersi i w taki właśnie sposób trafiła do tego ośrodka. Nauczyła się medytować i poddawała się regularnym masażom, i twierdzi, że naprawdę pomogło jej to przez wszystko przejść. Powiedziała, że nigdy nie zapomni tego, że świetnie było móc gdzieś iść i porozmawiać z innymi ludźmi, do miejsca, gdzie czuła się normalna, a nie jak jakieś dziwadło. - Lizzie i Abby patrzyły na nią z zainteresowaniem, więc kontynuowała: - To mnie zmusiło do myślenia. Wyobraźcie sobie, że mamy coś takiego w Dunmore, ośrodek poświęcony każdemu, kto ma raka, i może także rodzinom tych osób, gdzie ludzie mogliby poddawać się masażom, uczyć medytacji, brać udział w terapii, cokolwiek. To nie ma zastąpić normalnego leczenia, w żadnym wypadku, ale mogłoby pomóc przejść przez to wszystko. - W jej głosie słychać było entuzjazm. - Kiedy Sally była chora, nie wiedziałyśmy, w jaki sposób z nią rozmawiać, ale chodzenie do takiego ośrodka naprawdę mogło jej pomóc. I wciąż się zastanawiałam, jak sobie teraz poradzi Steve i co byłoby ze mną, gdyby to Greg zachorował, albo jak on by się czuł, gdybym ja była chora, i do kogo byśmy się udali po wsparcie. Kerry powiedziała, że ludzie po prostu nie wiedzą, w jaki sposób z tobą rozmawiać: albo zupełnie unikają tematu, albo traktują cię jak jakąś tragiczną ofiarę, a przecież nie

chcesz tego, kiedy starasz się walczyć z chorobą. Tak więc wtedy przyszedł mi do głowy ten pomysł. Kerry mówi, że Życie kontra Rak zajmuje się badaniami, ale założyli także kilka komplementarnych ośrodków zdrowia w całym kraju i chcą ich otworzyć o wiele więcej. Mogłybyśmy podłączyć się pod nich i dowiedzieć, jak to zrobić. Okej, będzie to wymagać czasu, ponieważ jestem pewna, że na prowadzenie takiego ośrodka potrzeba dużo funduszy, ale mogłybyśmy się tym zająć, prawda?

Oczy Lizzie błyszczały

- Fantastyczny pomysł! - zawołała. - Kiedy zbierałam pieniądze na skok, zdumiało mnie to, jak wielu ludzi pamiętało Sally i bardzo chciało pomóc. Jest w nich tyle dobrej woli, i to wszystko dzięki niej. Jestem pewna, że mogłybyśmy zainteresować tym pomysłem wielu ludzi, ważnych ludzi, ludzi, którzy mają kontakty, ludzi, którzy mogliby zdobyć dla nas dotacje od państwa. Mogłybyśmy otworzyć w Dunmore filię Życia kontra Rak.

- A ja mogłabym użyć moich kontaktów w gazetach i magazynach - wtrąciła Abby - Mogłybyśmy w ten sposób zrobić sobie całkiem dobrą reklamę, ponieważ, spójrzmy prawdzie w oczy, po tym weekendzie cały kraj wie, kim jestem - dodała ze smutkiem.

- I byłoby fantastycznie, gdyby udało nam się zaangażować w to trochę Steve'a - dodała Erin. - Wiem, że teraz musi być mu strasznie ciężko, ale na pewno chciałby uczynić coś w imieniu Sally, coś, co pomogłoby innym ludziom, którzy muszą przechodzić przez to co ona, prawda?

Nagle nie było śladu po letargu. Rozprawiły z ożywieniem o nowych planach. Jak zawsze świetnie zorganizowana

Erin miała w torebce notes i zaczęła sporządzać listę rzeczy do zrobienia. Najpierw oczywiście musiały porozmawiać ze Steve'em, a potem z ludźmi z ŻkR, by przedstawić im swoją propozycję.

- Na pewno wielu ludzi chciałoby oddać skok ze spadochronem na cele charytatywne - oświadczyła Lizzie. - To naprawdę przemawia do młodych ludzi: jednoczesna zabawa i robienie czegoś dobrego. Zaprzyjaźniłam się z osobami, które prowadzą ośrodek spadochroniarski, i jestem pewna, że nam pomogą, na przykład poświęcając jeden weekend wyłącznie na skoki charytatywne. - „I będę musiała ponownie porozmawiać z Simonem”, pomyślała z radością.

Znajoma Abby pracowała w organizacji dobroczynnej wspierającej walkę z autyzmem i mogłaby udzielić im wskazówek, jakie są najlepsze sposoby na zbieranie funduszy Erin powiedziała, że nie wie zbyt wiele na ten temat, ale za to jest dobrą organizatorką.

- Tylko sobie wyobraźcie, że Dunmore mogłoby mieć swój własny ośrodek Życia kontra Rak. Byłoby fantastycznie, prawda? Byłoby to przyjazne miejsce, zapewniające wsparcie i wszechstronną pomoc - entuzjazmowała się Erin.

- I miejsce, gdzie ludzie mieliby dostęp do prawdziwych informacji, by nie czuli się na początku tak bardzo przerażeni - dodała Lizzie, przypominając sobie państwa Pender i to, jak bardzo się wystraszyli, kiedy u pana Pendera zdiagnozowano raka prostaty. - Widzę to często w przychodni. Ludzie tak bardzo boją się słowa „rak”, że często nie sprawdzają nawet statystyk wyzdowień i tego, jak wiele sukcesów odnosi współczesna medycyna. A to już przecież połowa walki, prawda? Pozytywne myślenie i świadomość, że naprawdę jest nadzieja.

- Kerry by nam pomogła - rzekła Erin. - Zadzwońię do niej, jak tylko wrócę do domu, i poproszę o radę.

- Tak - odparła z entuzjazmem Abby - a ja zadzwonię do mojej znajomej od autyzmu, aby też nam pomogła. Muszę także udzielić kilku wywiadów związanych z *Porządkami* i byłoby super, gdybym w ten sposób mogła zapewnić nieco reklamy Życiu kontra Rak.

Erin i Lizzie uśmiechnęły się szeroko, słysząc entuzjazm w głosie przyjaciółki. Piętnaście minut temu była zagrożona w rozpacz. Teraz była pełna życia i wigoru.

- To Sally - stwierdziła Erin. - Nadal ma na nas wpływ, prawda?

Po raz pierwszy od śmierci Sally Abby nie miała poczucia straszliwej straty i bezsilności, kiedy myślała o przyjaciółce. To było coś, co mogły zrobić, by w imię Sally świat uczynić lepszym.

- Powinnyśmy nadać temu jej imię - zaproponowała. - Ośrodek Zdrowia im. Sally Richardson lub coś w tym rodzaju. Musi mieć w nazwie imię Sally Robimy to przecież dla niej.

Abby popatrzyła na swoje towarzyszki, które zgodnie pokiwały głowami.

Rozdział trzydziesty

Jess nie zносиła jeździć do cioci Caroline i wujka Phila. Nie mogła jednak powiedzieć tego tacie: musiał gdzieś wyjechać i zapytał, czy nie pojechałaby razem z nim. Artykuł o rozstaniu jego i mamy miał się ukazać w niedzielę i tata powiedział, że nie chce tutaj być, kiedy to się stanie.

- Weekendowy wyjazd to zalecenie lekarskie - rzekł do Jess, starając się, by zabrzmiało to pogodnie, choć ona wiedziała, że wcale tak nie jest. - Pojedziemy do Caroline i Phila. - Oświadczył to takim tonem, jakby odwiedziny u siostry i szwagra w Kent były wspaniałą nagrodą. - Fajnie będzie, prawda?

Jess nie miała serca powiedzieć mu, że nie, z całą pewnością nie będzie fajnie. Nie była pewna, jak taka wizyta może im pomóc, wiedząc, że ciocia Caroline nie należy do osób działających uspokajająco, ale tata jej potrzebował i zamierzała go wspierać.

Czasami Jess zastanawiała się, jak to by było mieć rodzeństwo, ludzi, którzy podaliby ci rękę, gdy masz kłopoty, i rozumieliby wszystko, co dzieje się w twojej głowie, ponieważ byli wychowywani w taki sam sposób.

Posiadanie rodzeństwa wcale nie było takie fajne - wiedziała to od Olivera. Miał młodszego brata i siostrę, ale to były jeszcze dzieci, oboje mieli mniej niż dziesięć lat, i choć byli w porządku, nie dało się z nimi tak naprawdę porozmawiać.

A Steph miała młodszą siostrę, Nataszę, która miała trzynaście lat, i przez cały czas się kłóciły Steph twierdziła, że nie wyobraża sobie, by mogła powiedzieć Nataszy cokolwiek. Jeśli miała być szczerą, Jess także nie była w stanie wyobrazić sobie, że tata zwierza się cioci Caroline.

Ciocia w ogóle nie była podobna do taty. Była trzy albo cztery lata starsza i mieszkała w Kent, odkąd Jess sięgała pamięcią. Czasami ciocia Caroline i wujek Phil przyjeżdżali do Cork, ale nigdy nie zatrzymywali się u nich, lecz u babci i dziadka Barton, dopóki nie umarł najpierw dziadek, a po nim babcia.

Jess nie widziała się z nimi od pogrzebu babci Barton, czyli niemal od dwóch lat. Wujek był w porządku, ale z ciocią ciężko jej się dogadywało. Mama także jej nie lubiła, Jess wiedziała o tym, ale przez te wszystkie lata jakoś udało jej się to ukrywać przed tatą, ponieważ nie chciała go zranić.

Jess sama robiła wiele rzeczy, byle tylko tata nie poczuł się urażony - ten wyjazd był szczególnie irytującym tego przykładem. I źle się czuła z tym, że zostawia mamę, choć nie była w stanie jej tego powiedzieć.

Jess nie wiedziała, jak to się dzieje, ale czasami, kiedy chciała powiedzieć mamie coś pocieszającego, po prostu nie była w stanie tego zrobić. A potem miała wyrzuty sumienia, że nie zapewnia jej wsparcia. Wyglądała na taką smutną, kiedy odwiozła ją w piątek do taty, tak jakby zaraz miała się rozplakać, a kiedy odjechała, Jess ogarnęło przemożne pragnienie zadzwonienia do niej na komórkę i powiedzenia: „Naprawdę mi przykro, wiem, że jesteś smutna, ale musiałam jechać w ten weekend z tatą. Niedługo wrócę”. Nie zrobiła tego jednak. A potem, kiedy weszła do taty, on zachowywał się tak rzeczowo, sprawdzając ich dokumenty podróżne, że szansa na zadzwonienie przepadła.

Lecieli samolotem do Londynu, a potem mieli wynająć samochód i udać się do Kent. Tata uwielbiał organizowanie wakacji, załatwianie biletów i obliczanie kosztów. Mama zaś była w tym beznadziejna. Dlatego właśnie ich wakacje we trójkę tak bardzo się zawsze udawały - tata zajmował się nudnymi rzeczami, jak na przykład biletami, a mama i Jess mogły się po prostu dobrze bawić. Jednak tak się już nigdy więcej nie zdarzy

W samolocie tata przeglądał ofertę sklepu wolnocłowego.

- Chciałabyś stąd coś? - zapytał Jess.

- Tato, tylko dlatego, że ty i mama się rozstałiście, nie musicie mi ciągle czegoś kupować - odparła. - Na Florydzie mama kupiła mi naprawdę drogie okulary, a teraz ty chcesz mi kupić coś innego. Nie jestem głupim dzieciakiem, wiesz? Rozumiem, że rozwód może być kosztowny

Jej ojciec wyglądał na przybitego.

- Nie chciałam, by tak to okropnie zabrzmiało - ciągnęła Jess. - Chodzi po prostu o to, że mam szesnaście lat i znam się na pieniądzach. Wiem, że nie mamy ich aż tak dużo.

- Nie martw się o pieniądze - rzekł tata. - Obiecuję, że będziemy ich mieć wystarczająco wiele.

Jess przewróciła oczami. On w ogóle jej nie słuchał, prawda?

Podróżowanie jest męczące, uznała wieczorem, kiedy wlekli się w korku na autostradzie, który wydawał się długi na setki kilometrów. Czy też może było męczące wtedy, kiedy jechało się gdzieś, gdzie się nie miało ochoty. Podobała jej się podróż na Florydę, ale jazda do ciotki Caroline była zdecydowanie wyczerpująca, choć tata był radosny przez cały czas, jakby to wszystko było fajną zabawą.

- Świetnie jest wyjechać na weekend - rzekł, wyraźnie nieporuszony faktem, że samochód porusza się z prędkością niecałych dziesięciu kilometrów na godzinę. - I dobrze nam zrobi spędzenie trochę czasu razem - dodał.

Jess pomyślała, że najpewniej w ogóle nie będą mieli czasu tylko dla siebie - ciocia Caroline miała tendencje do monopolizowania taty, kiedy tylko miała taką okazję.

- Tak się zastanawiam, czy chłopcy będą w domu na weekend - rzucił tata w przestrzeń. Mówił o Davidzie i Rosie, kuzynach Jess. Obaj byli od niej sporo starsi, mieli już po dwadzieścia kilka lat, i nie znała ich zbyt dobrze. - Choć wydaje mi się, że Caroline wspominała coś o tym, że ich nie będzie - dodał.

„Dzięki chociaż za to”, pomyślała z ulgą Jess. Nie byłoby nic gorszego od konieczności spędzania weekendu w towarzystwie kuzynów, od których oczekiwano, że przez cały czas będą się nią zajmować.

Ciocia Caroline i wujek Phil mieszkali w starym domu szeregowym w tętniącym życiem miasteczku tuż przy zjeździe z autostrady. Tata zaparkował samochód i razem z Jess przeciągali się po długiej podróży, kiedy z domu wybiegła ciocia Caroline i otoczyła ramionami najpierw Jess, a potem tatę. Była równie wysoka jak tata, ale na tym kończyły się podobieństwa. Potężna i energiczna, nosiła okropne ciuchy, które Jess nazywała babciowatymi, a jej ciemne włosy przytrzymywała aksamitna opaska.

- Jak się czujecie? - zawołała, jakby dopiero co uratowano ich z jakiegoś strasznego wypadku. - Tak się o was dzisiaj martwiłam. Wchodźcie, wchodźcie. Kolacja gotowa, choć może nieco się wysuszyła w piekarniku. Och, moje biedactwa. Koszmarne korki, prawda?

Jess przypomniała sobie, co było tak bardzo irytującego w ciotki Caroline. Nigdy nie wiedziała, kiedy się przyknać. Chciała dobrze, ale nieustający potok słów był niesamowicie wnerwiający.

W domu nastąpiły kolejne uściski i ostrożne pytania w stylu: „Jak się czujesz, Tom?”, po czym Caroline zaprowadziła jego i Jess do ich pokoi.

Łóżko Jess znajdowało się w niewielkim pokoju, po którym widać było, że jest używany także jako gabinet, jako że w rogu stało biurko i komputer. Położony był na samej górze domu, nieco na uboczu. Wdzięczna za to Jess zamknęła drzwi i rzuciła się na łóżko.

Nareszcie spokój. Ale nie na długo. Ledwo zdążyła przebrać T-shirt, kiedy Caroline ryknęła z dołu, że kolacja na stole i dziewczynki, które mają na nią ochotę, powinny zbiec szybko na dół i umyć ręce. Jess wykrzywiła się do swego odbicia w wiszącym na ścianie lustrze. Czy ciocia sądziła, że ona ma nadal dziesięć lat? Dziewczynki, które chciały zjeść kolację, powinny umyć ręce, dobre sobie!

Wcześniej nie miała zamiaru zwracać sobie głowy makijażem, ale teraz namalowała grube, brązowe kreski eyelinerem, który otrzymała na urodziny od Steph, a rzęsy pociągnęła tuszem, by pokazać ciotce, że ta dziewczynka zdążyła już dorosnąć.

W wielkiej kuchni tata siedział na wygodnym krześle z kieliszkiem wina w dłoni, wujek Phil kroił właśnie pieczeń, a ciocia Caroline zajmowała się warzywami, sosem do mięsa i dodatkami. Naprawdę nie była podobna do taty Wyglądała na osobę z zupełnie innego pokolenia, z tymi swoimi długimi kardiganami, jedwabnymi bluzkami, perłowymi kolczykami i upodobaniem do długich, plisowanych spódnic. Jess pomyślała o mamie, która nosiła modne, nowoczesne stroje i w ogóle nie wyglądała na swój wiek. Mama wykorzystałaby beżową, jedwabną bluzkę cioci Caroline do wycierania kurzu.

Usiadła na krześle i Caroline postawiła przed nią duży talerz z pieczenią wołową.

- Nie jem mięsa, ciociu - rzekła grzecznie Jess.

- Nonsens - odparła jej ciotka. - Dorastająca dziewczyna potrzebuje czerwonego mięsa. Jedz, w tym domu nie ma tych wegetariańskich śmieci.

Jess spojrzała na tatę, szukając u niego pomocy, gdyż nie chciała być niegrzeczna. Nie jadła mięsa od prawie trzech lat i nie miała zamiaru robić tego także i teraz. Jednak tata posłał jej przeproszające spojrzenie, jakby mówił: „No dalej, zjedz, nie denerwuj cioci”.

Jess opuściła wzrok na talerz. Nie była w stanie zjeść mięsa i nie chciała jeść warzyw, które je dotykały Dlaczego tata nie powiedział nic cioci? Mama by to zrobiła: mama powiedziała by jej to bez chwili namysłu.

Jess była głodna, ale skubała jedynie warzywa, które nie znajdowały się obok pieczeni. Ciocia Caroline co rusz posyłała jej pełne dezaprobaty spojrzenia, a usta miała zaciśnięte w wąską linię. By czymś zapełnić żołądek, Jess zjadła dużo pieczywa czosnkowego. Jeśli ciocia Caroline odezwie się na ten temat choć słowem, Jess powie jej stanowczo, że nie je mięsa i kropka.

Na szczęście Caroline nie skomentowała nietkniętego jedzenia na talerzu bratanicy Zamiast tego rozmawiała głównie z tatą, co Jess jak najbardziej pasowało, gdyż to oznaczało, że nie musiała odpowiadać na pytania. Główna część rozmowy dotyczyła tego, co Caroline nazywała „sam wiesz czym”.

Jess wywnioskowała, że to oznacza rozwód lub separację. Wyglądało to tak, jakby Caroline nie chciała wypowiadać tych słów w obecności Jess. Czy uważała, że ma sześć lat zamiast szesnastu?

- To nie koniec świata i musisz patrzeć w przyszłość z optymizmem - powtórzyła kilkakrotnie. - Wielu ludzi żyje dalej i są bardzo szczęśliwi, Tom.

Często poklepywała tatę po ramieniu. „Rano będzie miał siniaka”, pomyślała Jess. Ciocia Caroline była potężną kobietą.

Jess pomogła posprzątać ze stołu, a potem ciocia przyniosła z lodówki duże „coś”, co wyglądało jak deser ze śmietanki ubitej z winem i żółtkami. Bładoróżowe i błyszczące, drżało w misce i Jess pomyślała, że zwymiotuje, jeżeli będzie musiała to zjeść.

- Nie przepadam za deserami - odezwała się pospiesznie, na wypadek, gdyby ktoś ją próbował zmusić do jedzenia.

- No dobrze - odparła ciocia Caroline takim tonem, jakiego się używa, gdy chce się rozbawić trudne dzieci. - Masz może ochotę pooglądać telewizję?

Wdzięczna za chwilę wytchnienia, Jess zignorowała protekcyjny ton ciotki i uśmiechnęła się.

- Tak.

Zapytała, czy mogłaby wziąć z lodówki szklankę soku pomarańczowego, po czym udała się do salonu. Siedząc w wielkim, wygodnym fotelu słyszała szmer odbywającej się w kuchni rozmowy i wiedziała, że ciocia Caroline rzeczywiście mówi teraz o rozwodzie.

Czasami do salonu docierały przez korytarz całe fragmenty rozmowy.

- Zawsze wiedziałam, że nie powinienes się był z nią żenić - oświadczyła ciocia Caroline. - Zawsze wiedziałam, że to nie jest kobieta dla ciebie. Matka także to wiedziała, ale czy nas posłuchałeś? Nie.

Jess pstrykała pilotem od telewizora, aż znalazła coś wartego obejrzenia. Podkreśliła dźwięk. Nie chciała słuchać, jak ciocia Caroline obsmarowuje jej mamę. I nie słyszała, by tata choć odrobinę jej bronił. Jess wiedziała, że to mama ponosi winę za ich rozstanie. Wiedziała, że mama zrobiła coś strasznego, ale bardzo tego żałowała. Bardzo by chciała, by tata do niej wrócił. Jednak on nie dał jej szansy.

Pomimo głośnej telewizji słyszała urywki ich rozmowy Teraz Caroline perorowała na temat kariery mamy i tego, jak zniszczyła ich rodzinę. „To niesprawiedliwe”, pomyślała Jess. Mama naprawdę ciężko pracowała i jej pieniądze miały dla rodzinnego budżetu duże znaczenie. No więc tacie trudno się było pogodzić z tym, że zarabiała więcej od niego, ale mężczyźni ogólnie byli dziwni, jeśli chodzi o pieniądze - Jess wiedziała o tym, gdyż czasami czytała „Cosmopolitan” - jednak ludzie jakoś musieli sobie z tym przeciwieństwem radzić. Ważne było to, by rodzina jako całość zarabiała na utrzymanie, a nie kto przynosił do domu więcej pieniędzy. I Jess była dumna z mamy i tego, co zrobiła ze swym życiem. Żadna z mam jej koleżanek nie osiągnęła tego, co ona. Jess powtarzała często, że posiadanie znanej matki to nic nadzwyczajnego, ale to nie znaczyło, że w skrytości ducha nie była z niej dumna.

I tata musiał to zrozumieć. Jess obiecała sobie, że mu to powie, jeśli będą mieli w ten weekend szansę, by porozmawiać.

Jeszcze bardziej pogłośniła telewizor. Ciocia Caroline pewnie będzie marudzić, ale miała to gdzieś. Z tego, co słyszała, całkiem dobrze szło im w kuchni picie wina, więc niedługo pewnie nie będą słyszeć samych siebie, nie mówiąc o telewizorze.

Nazajutrz po śniadaniu na jej komórkę zadzwoniła Steph.

- Jak leci, mała? - zapytała dziarsko.

- Nie pytaj - odparła Jess.

Ciocia Caroline na śniadanie zaserwowała jej Coco Pops, co z jednej strony było miłe, gdyż oznaczało, że próbuje być troskliwa, ale z drugiej irytujące, ponieważ zupełnie nie trafiła.

- Nadal uważają mnie za dziecko - rzekła gniewnie do Steph. - Dziwię się, że ciocia Caroline nie kupiła mi książeczek z obrazkami i nie zostawiła mi ich w pokoju razem z kredkami i łamiągówkami w stylu „połącz kropki”.

- Coco Pops, nie jest dobrze - stwierdziła Steph. - Powinnaś była pożyczyć mój stanik Wonderbra i czarny, szaryfonowy top. Wtedy by zobaczyli, że już nie jesteś dzieckiem.

Jess się roześmiała.

- Wiesz, że nie mam co włożyć w ten twój stanik, więc wyglądałabym na jeszcze większą ofiarę, po prostu jak ktoś, kto chce cycki, ale ich nie ma.

- No to może wyjdź z domu, kup papierosy i popalaj w ogrodzie z posępną miną - zasugerowała Steph. - Tak właśnie robię, kiedy ktoś z moich krewnych próbuje traktować mnie jak dziecko. To go szybko przekonuje, że jestem kobietą. - Zaakcentowała ostatnie słowo. - To i przezroczysta, szyfonowa koszula.

Jess uśmiechnęła się na tę myśl.

- Ciocia Caroline wezwałaby najpewniej pracowników socjalnych, gdybym zjawiała się z paczką fajek. I kazałaby aresztować osobę, która mi je sprzedała. Nienawidzę być tutaj - dodała ponuro. - Przez cały czas czyni paskudne uwagi na temat mamy. Wczoraj przynajmniej zaczekała, aż wyjdę z kuchni, ale dziś rano mówiła to wszystko przy mnie, a to naprawdę bolało.

- Ja tego po prostu nie rozumiem - oświadczyła jej ciotka, kiedy przygotowywała śniadanie dla brata. - Jaka matka może spokojnie spać, wykorzystując rodzinę do taniej reklamy jakiegoś beznadziejnego, plotkarskiego programu telewizyjnego? Dla mnie to skandal.

Jess czekała, aż tata stanie w obronie mamy, jednak na próżno.

- Nie wiesz, o czym mówisz, ciociu Caroline - odezwała się zimno. - Mama nie jest taka. Nie chciała z nikim rozmawiać o tym, co się stało. Gazety się nią interesują, ponieważ jest sławna. Jeśli chcesz obrabiać jej tyłek, nie rób proszę tego w mojej obecności.

Wyszła z kuchni tak zagniewana, że ledwie była w stanie rozsądnie myśleć. Wiedziała, że ciocia będzie na nią wkurzona przez resztę weekendu i tata najprawdopodobniej też, ale miała to gdzieś. Abby była jej matką i spodziewała się, że Caroline to uszanuje.

- Starzy ludzie są pozbawieni wrażliwości - zgodziła się Steph, kiedy wysłuchiwała, co się stało. - Po prostu ignoruj tę jędzę. Jest pewnie zazdrosna, bo twoja mama jest pełna energii, a ona to stara wiedźma. Co to w ogóle za miasto? Nie mogłabyś iść na zakupy i przez cały dzień ich ignorować?

- Dobry pomysł - rzekła Jess.

Kiedy wychodziła, specjalnie trzasnęła drzwiami. Miała to gdzieś. Niech wiedzą, że była wkurzona. Poszła w stronę głównej ulicy i zaczęła wędrowkę po sklepach z ciuchami, żalując, że nie ma z nią teraz Steph. Nikt nie potrafił robić zakupów tak jak ona. Jess miała przynajmniej trochę pieniędzy. Mama jej dała przed weekendem, mówiąc, że wie, iż Jess może mieć ochotę wymknąć się gdzieś sama. No i miała rację. Nie było jej w domu od godziny, kiedy zadzwonił tata.

- Cześć, Jess, wszystko w porządku? - zapytał niespokojnie.

- Tak - odparła chłodno.

- Posłuchaj - rzekł z wahaniem. - Przykro mi z powodu tego, co się stało. Caroline wcale nie miała na myśli tego wszystkiego, co mówiła o mamie...

- A właśnie, że miała - przerwała mu ostro Jess. - A jeszcze gorsze jest to, że ty jej nie poprawiałeś. Nie przyjechałam tutaj, by wysłuchiwać przez cały czas, jak obsmarowuje się mamę. Sądziłam, że oboje będziecie się zachowywać jak dorośli.

Przez chwilę na drugim końcu linii panowała cisza.

- Okazuje się, że ty jedna zachowujesz się w tej całej sytuacji jak osoba dorosła - rzekł w końcu ze smutkiem tata. - Przepraszam, Jess. Caroline naprawdę chce dobrze. Staje po mojej stronie w jedyny sposób, w jaki potrafi. Ale nie powinna mówić przy tobie czegoś takiego o twojej mamie.

- Nie powinna - odparła Jess.

Szła, rozglądając się za jakąś kafejką.

- Co robisz?

- Idę na kawę.

- Mogę do ciebie dołączyć? - zapytał.

Jess zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Okej - rzekła. - Idź główną ulicą, aż miniesz Mango i Tesco. Znajdziesz tam małą kafejkę z dużym zielonym szyldem. Nazywa się „Zrób sobie przerwę”. Będę czekać w środku.

Zjawił się po dziesięciu minutach. Na szczęście był sam. W głowie Jess zdążyła już się pojawić przerażająca wizja cioci Caroline, towarzyszącej mu i gotowej, by przeprosić, po czym proponującej, że kupi Jess na zgodę loda i nową lalkę.

- Chcesz jeszcze jedno cappuccino? - zapytał tata.

Jess kiwnęła głową. Przy Oliverze naprawdę polubiła kawę.

- Przepraszam za wcześniej - powtórzył tata, kiedy wrócił z kawami.

- Obsmarowywanie mamy jest niezgodne z zasadami - poinformowała go Jess. - Jako dziecko rozwodzących się rodziców nie powinnam brać niczyjej strony, a ty nie powinieneś obgadywać mamy w mojej obecności. Ona także nie powinna obgadywać ciebie. I jeśli chcesz wiedzieć, to nie robi tego.

Jej ojciec wyglądał tak, jakby mu było trochę wstyd.

- Przepraszam - powtórzył. - Nie chciałem tego robić. Nie powinienem był tak się zachowywać.

- Cóż, to nie ty obgadywałeś mamę - przyznała Jess. - Ale ciocia Caroline jak najbardziej, a ty nie wzięłeś mamy w obronę. Wiem, że mama zrobiła straszną rzecz, ale to nie znaczy, że jest złym człowiekiem i że musisz jej do końca życia nienawidzić. Mam zamiar mieszkać z mamą i ciebie także odwiedzać, więc wy dwoje musicie spróbować jakoś się dogadać, inaczej będzie to dla mnie koszmar.

- Skąd my cię wzięliśmy? - zapytał ojciec, potrząsając głową. - Myślałem, że jesteś moją małą dziewczynką, a tu się okazuje, że jesteś najbardziej dorosłą z nas wszystkich.

- To te nowe zajęcia w szkole ze stosunków międzyludzkich - wyjaśniła Jess, uśmiechając się, by pokazać, że żartuje. - Mam zamiar je studiować. A tak na poważnie, to dużo rozmawiamy o różnego rodzaju relacjach i to jest dobre. I w gazetach jest pełno artykułów na ten temat, nie da się więc tego przeoczyć. Natomiast chłopcy mają problem: nigdy nie czytają o związkach i uczuciach, nie wiedzą więc, jak postępować z dziewczynami ani jak się komunikować.

To nie była do końca prawda. Oliver nie należał może do osób czytających kobiece magazyny, ale był całkiem dobry, jeśli chodzi o komunikowanie się. Był z natury wrażliwy i obdarzony intuicją. Jess знаła swojego tatę wystarczająco dobrze, by przyznać, że jakkolwiek pochlebnie mogłaby go opisać, „wrażliwy” nie należało do słów, których by do tego celu użyła.

- Powinniśmy porozmawiać o przyszłości, wiesz? - rzekła Jess. Tata wyglądał na zaskoczonego, lecz kontynuowała:

- Czy ty i mama zamierzacie wziąć rozwód? Nie staram się być wścibska, ale chciałabym to wiedzieć. Mama mówi, że ty chcesz rozwodu, ale że ona spróbowałaby od nowa, gdybyś tylko chciał.

Tom skrzywił się.

- To nie takie proste, Jess - rzekł.

- Dlaczego? Zawsze mi mówisz, że pozornie najbardziej skomplikowane problemy są tak naprawdę tymi najprostszymi.

- No tak - odparł tata. - Ale w tym przypadku jest...

- Inaczej? - zapytała Jess z nutką sarkazmu w głosie.

- Wcale nie jest inaczej. Dlaczego nie możecie tego naprawić? Dogadywaliście się z sobą i kochaliście się, no dobrze, więc czasem się kłóciliście i złościłeś się, kiedy mama wyjeżdżała do pracy, ale możecie to odbudować. Wiem, że nie podobało ci się także to, że zarabiała dużo pieniędzy, ale możecie to jakoś rozwiązać.

Trzeba było widzieć twarz Toma, kiedy spojrzał na córkę.

- Co masz na myśli, mówiąc o pieniądzach? - zapytał z wahaniem.

- Mówię o tobie i mamie, i jej pieniądzach. Czytałam w „Cosmo”, że mężczyznom jest trudno pogodzić się z tym, że ich żony zarabiają więcej od nich, ale powinniśmy być dumni z mamy i tego, co osiągnęła.

- Jestem dumny, jestem dumny - zaprotestował Tom. - I wcale nie było problemu z pieniędzmi - dodał.

- Och, daj spokój, tato. - Jess wydawała się nieco zirytowana. - Nie jestem dzieckiem, pamiętasz?

- Nie powiedziałem, że jesteś.

- Tak uważasz i traktujesz mnie, jakbym nim była. Nie zapominaj, tato, że byłam świadkiem tego, jak się kłóciliście z mamą wtedy, kiedy kupiła jeepa. Pamiętam, że powiedziałaś, iż nasza rodzina wcześniej doskonale sobie radziła dzięki tylko twojej pensji i że niepotrzebna nam duża, krzykliwa terenówka. Słyszałam. Potem mama powiedziała, że to jej pieniądze i że zrobi z nimi to, na co ma ochotę. I słyszałam też, jak się kłóciliście o ten nowy dom w Dunmore. - Jess westchnęła. - Wiem, nie chciałam się przeprowadzać i ty także. Ja nie chciałam mieszkać daleko od Steph, ale ty nie chciałeś się przeprowadzić po prostu dlatego, że kupowaliście go głównie za pieniądze mamy Nie możesz więc mówić, że nie kłóciliście się o pieniądze.

Po latach Tom będzie się cofał myślami i próbował sobie przypomnieć, kiedy dokładnie poczuł, że Jess dorosła, i pomyśli o tej właśnie chwili. Nagle mówiła jak osoba dorosła, młoda, ale dorosła.

Była w stanie przyjrzeć się małżeństwu rodziców, zastanowić się nad tym, co się dzieje, i wyciągnąć wnikliwe wnioski. Tom z zawstydzieniem uświadomił sobie, że jemu to się nie udało. Tak bardzo zajęty był obwinianiem Abby za wszystko, co poszło nie tak w ich małżeństwie, że nie dostrzegał, że to także i jego wina. Uświadomienie sobie tego było dla niego niczym oślepiający błysk światła. On także miał się czego wstydzić. Nie przespał się z nikim, ale istnieją przecież różne rodzaje zdrady

Jess powiedziała, że jest dumna ze swej matki i z tego, co udało jej się osiągnąć, ale Tom wiedział, że on w głębi duszy był zazdrosny o sukcesy Abby. Nigdy wcześniej nie przyznał się do tego - nawet przed samym sobą. Jednak taka była prawda. Kiedy pracowała dorywczo, dobrze się czuł ze świadomością, że to on jest żywicielem rodziny i jej głową. Jednak kiedy przyszedł sukces Abby, zaczęły się kłopoty Na studiach świetnie sobie radził: wszyscy jego znajomi podziwiali go, uważali, że Tom Barton to bystry facet. Dzięki swej inteligencji znalazł całkiem niezłą pracę. Był dobrym zastępcą dyrektora, choć uważał, że byłby jeszcze lepszym dyrektorem. Jednak potem w ułamku sekundy kariera Abby zepchnęła jego pracę na drugi plan.

Był mądrzejszy, ale to ona zarabiała więcej pieniędzy i widział tego efekty każdego dnia. Lepsze ubrania, lepsze jedzenie, droższe butelki wina: wszystkie te subtelne drobiazgi, które wdarły się do ich życia.

- Nie pozwól, by to cię zmieniło - ostrzegwał Abby Jednak to nie ona się zmieniła, lecz on. To on poczuł się zlekceważony

Pelen wyrzutów sumienia, cofnął się myślami do rocznicowej imprezy Beech, kiedy pozwolił tym dwóm dziewczynom bezwstydnie z nim flirtować. Abby była wściekła, widział to, ale miał to gdzieś. Nie znosił chodzić na przyjęcia jako jej małżonek, nie Tom Barton, szanowany zastępca dyrektora szkoły, lecz Tom Barton, mąż tej sławnej Abby.

- Sądzisz, że odepchnąłem twoją matkę od siebie? - zapytał nagle Jess.

To było pytanie, którego przed dniem dzisiejszym nigdy by jej nie zadał. Uważał ją za dziecko i nawet mu się nie śniło, by pytać ją o zdanie w sprawie ich małżeństwa. Jednakże teraz widział, że Jess była nie tylko osobą dorosłą, ale także najważniejszym świadkiem rozpadu ich związku. Jeśli ktokolwiek wiedział, co się stało, to tylko ona.

Jess wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Wydaje mi się, że mama była nieszczęśliwa i dlatego zrobiła to, co zrobiła. Ale ona nie zrzuca winy na ciebie, ona wini siebie.

Tom wiedział, że to prawda. Wiedział, że Abby wzięła na siebie cały ciężar winy, ponieważ taka już właśnie była. Niektórzy obwiniali siebie za wszystko; inni obwiniali zawsze innych ludzi. Ona należała do tej pierwszej kategorii, natomiast on do drugiej. Jednak on także odegrał swoją rolę w rozpadzie ich związku. Abby winiła siebie także za to, że nie była w stanie porozumieć się z Jess, i Tom wiedział, że niczego jej nie ułatwiał. Pamiętał z poczuciem winy, jak warczał na Abby tak wiele razy i mówił jej, że nastolatki są po prostu trudne, sprawiając, że brzmiało to tak, jakby to on był ekspertem dzięki płynącemu z pracy doświadczeniu, ona zaś nie wiedziała niczego.

- Chciałbyś poznać kogoś innego? - zapytała Jess.

- Nie, nie opowiadaj głupstw - odparł szybko Tom. Zawsze zdumiewała go prędkość, z jaką Jess przeskakiwała z jednego tematu na drugi. - Nie dlatego odszedłem.

I wtedy uświadomił sobie z bolesną jasnością, dlaczego tak naprawdę odszedł - ponieważ czuł, że pozostaje w cieniu Abby, a ona, idąc do łóżka z innym mężczyzną, wbiła ostatni gwóźdź do trumny.

Krótką lekcją na temat tego, jak pozbawić swego męża męskości - przespać się z kimś innym. Nawet jeśli stało się to tylko raz, twój mąż będzie zdruzgotany, bo skoro nie jest najlepszy w seksie, w takim razie w czym jest najlepszy?

- Nie chcę poznać nikogo innego - powtórzył Tom. - Twoja mama i ja długo razem byliśmy. Nie rozstaliśmy się dlatego, że oboje chcieliśmy być z kimś innym.

- Dlaczego w takim razie nie wróćcie do siebie? - zapytała Jess takim tonem, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. - Moglibyście iść na terapię i porozmawiać o waszych problemach - zasugerowała.

Tom uśmiechnął się do córki. Jak mógł myśleć o niej, że to jeszcze dziecko?

- A więc takich rad udzielają w „Cosmo”? - zapytał.

- Rozmowa jest dobra przy rozwiązywaniu problemów - oświadczyła wyniośle Jess. - Gdybyś był nowoczesnym mężczyzną, rozumiałbyś to, ale widzę, że ty jesteś starodawnym mężczyzną... - przekomarzała się.

- Możesz nauczyć starodawnego mężczyznę nowych sztuczek? - zapytał Tom.

- Nie wiem - odparła Jess. - Ale zawsze możemy spróbować.

Tom pomyślał o Abby w ich domu w Dunmore, samej i próbującej sobie radzić z efektami ubocznymi artykułu w gazecie. Był wobec niej niesprawiedliwy, kiedy próbowała z nim o tym porozmawiać. W głębi duszy wiedział, że Abby nie jest osobą, która sprzedałaby swoją prywatność prasie: wiedział, że została przyciśnięta do muru i musiała coś powiedzieć. Jednak ponieważ był urażony i zagniewany, ponieważ chciał się na niej odegrać, udawał, że uważa ją za typ plotkary. Kiedy wróca, przeprosi ją za to. Nawet jeśli było za późno, by uratować ich małżeństwo, zawsze mógł jej powiedzieć prawdę i przyznać, że wina leżała także po jego stronie. Nie zaprowadzi ich to do miejsca, w którym znajdowali się wcześniej, ale zawsze będzie stanowić jakiś początek.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Erin zawsze uważała, że praca charytatywna stanowi domenę znudzonych gospodyń domowych. Teraz, kiedy osobiście była zaangażowana w zbieranie funduszy, przekonała się, że jest dokładnie na odwrót - że to bardzo ciężka praca, wymagająca mnóstwa zmysłu organizacyjnego i oddania. Zaczęła od dowiedzenia się, w jaki sposób zgodnie z prawem założyć instytucję dobroczynną. Następnie skontaktowała się z ludźmi z Życia kontra Rak - byli zachwyceni jej pomysłem. Poinformowali ją, że to, co ona planuje, to projekt długoterminowy i że ich doświadczenie pokazuje, iż nim utworzą taki ośrodek, może minąć od osiemnastu miesięcy do dwóch lat - zakładając oczywiście, że zbieranie funduszy będzie szło bez większych przeszkód.

Następnie należało omówić ten pomysł z rodziną Sally Abby powiedziała, że w ciągu lata rzadko widywała Steve'a, gdyż sprawiał wrażenie, jakby naprawdę nie miał ochoty z nikim rozmawiać.

- Może chodzi mu po prostu o mnie - dodała. - Może mnie nienawidzi za to, że rozstałam się z Tomem.

- Bzdury - oświadczyła stanowczo Erin. - Pomyśl o tym, przez co przeszedł. Jestem pewna, że nie jest w stanie zmierzyć się ze światem i że nie ma to nic wspólnego z tobą i Tomem. Greg spotyka Steve'a codziennie w pracy i twierdzi, że według niego tak właśnie się dzieje. Zaprosił go do nas kilka razy, ale on zawsze odmawia. Czy my na jego miejscu nie zachowywałybyśmy się dokładnie tak samo?

- Pewnie tak - przyznała Abby

Erin jakoś udało się umówić ze Steve'em na spotkanie podczas jego przerwy na lunch.

- Nie mam dużo czasu - rzekł, kiedy spotkali się w pubie niedaleko biura.

Erin przyjrzała się jego wychudzonej twarzy i pełnym udręki oczom, i zalała ją kolejna fala współczucia. Gdyby ona musiała przejść przez to, co Steve, z całą pewnością także nie miałaby ochoty na kontakty ze światem.

- Jak się mają Jack i Daniel? - zapytała, wiedząc, że nie ma sensu pytać, jak on się czuje. To było oczywiste: odczuwał ból nie do opisania.

- Dobrze - odparł Steve, a jego twarz na krótką chwilę opuściło napięcie. - Mam cudowną nianię, Andree, i chłopcy ją uwielbiają. Delia wprowadziła się do nas na trochę po... no wiesz, ale teraz z powrotem się wyprowadziła. Chciałem, żeby wszystko było na tyle normalne, jak to możliwe, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Erin kiwnęła głową. Naprawdę czuła się tak, jakby się zaraz miała rozpląkać. Ostatnimi czasy byle drobiazg doprowadzał ją do łez.

- Daniel przez cały czas mówi o Sally, ale Jack nie - ciągnął Steve. - W nocy śnił mu się koszmary. Nie sądziłem, że małe dzieci mogą mieć koszmary, ale wygląda na to, że tak. Wciąż zadaję sobie pytanie, czy to był dobry pomysł, że zabrałem ich do kościoła na pogrzeb. Chciałem, by mogli się pożegnać i by pamiętali o tym, gdy będą starsi, ale teraz... - Wpatrywał się gdzieś w dal. - Przepraszam - rzekł. - Chciałaś o czymś ze mną porozmawiać, tak?

- Chciałam ci przedstawić pewien pomysł - odparła, przetykając ślinę.

Nie mogła się teraz rozpląkać. Zaczęła wyjaśniać, czym są ośrodki Życia kontra Rak, i opowiedziała o planie zbiórki pieniędzy na stworzenie takiego miejsca w Dunmore i nadaniu mu imienia Sally. Steve nie odzywał się ani słowem i na początku Erin sądziła, że popełniła straszny błąd i że w ogóle nie spodobał mu się ten pomysł.

- To tylko taka myśl - wyjąkała. - Nie chciałam cię denerwować.

- Nie zdenerwowałaś. - Steve uśmiechnął się i przez chwilę wyglądał jak przystojny mężczyzna, o którym opowiadała Sally podczas ich pierwszego spotkania. - To cudowny pomysł. Dziękuję ci, Sally byłaby zachwycona.

- Nie oczekujemy od ciebie pomocy - rzekła pospiesznie Erin z wyraźną ulgą. - Wiemy, że masz dużo na głowie. - Jak na przykład wychowywanie dwóch małych chłopców pozbawionych matki.

Steve kiwnął głową.

- Chciałbym się w to zaangażować na jakimś etapie, ale nie teraz. Jest dla mnie jeszcze za wcześnie.

- Rozumiem. Steve wstał.

- Przepraszam, muszę wracać - rzekł. - Mamy dużo pracy.

Pożegnał się i wyszedł. Zjadł mniej więcej jedną czwartą kanapki. Erin popatrzyła na swoją. Ona też nie była głodna.

W następnej kolejności porozmawiała z Abby i jej znajomą, próbując wykombinować, jakie rodzaje imprez dobroczynnych zadziałają w ich przypadku, a jakie nie. Odwiedziła Kerry i przyjemnie spędziły czas, śmiejąc się i rozmawiając o dzieciństwie. Wysłuchała także rad siostry na temat tego, co naprawdę potrzebne jest chorym na raka.

Greg z radością widział ją tak podekscytowaną, zwłaszcza że od spotkania z Shannon była dość przygaszona. Ale martwił się, że za dużo bierze na siebie, będąc w tak zaawansowanej ciąży

- Nie chcę, żebyś przeholowała, skarbie - rzekł. - Wiem, że w twoim słowniku nie istnieje słowo „odpoczywać”, ale musisz to robić chociaż przez kilka godzin dziennie.

- Nie martw się o mnie - odparła Erin. - Lubię być zajęta. Obecnie pracuję w salonie tylko przez dwa dni w tygodniu, więc potrzebuję czegoś jeszcze. W przeciwnym wypadku wydám wszyściutkie nasze pieniądze na ubranka dla dziecka.

Miała ich już całkiem sporo - wszystkie białe, ponieważ nie znali płci dziecka - i zarówno mama, jak i Kerry robiły jak szalone na drutach. Myśl o Kerry z drutami niesamowicie rozbawiła Erin.

- Po prostu nie umiem sobie ciebie wyobrazić z wełną i drutami - rzekła ze śmiechem pewnego dnia, kiedy rozmawiały przez telefon i Kerry jej powiedziała, że jest już w połowie maleńkiego, białego kaftanika.

- A jednak! - odparowała Kerry - Oczywiście, że to potrafię. Musisz wiedzieć, że to, iż pamiętasz mnie jako dzieki zwierzę imprezowe sprzed dziesięciu lat, nie oznacza wcale, że nie wiem, jak się wykonuje różne domowe czynności. Umieję też piec i dbać o ogród - dodała z oburzeniem.

- Mówisz to takim tonem, jakbyś była jedną z Waltonów - zachichotała Erin. Wcześniej nie zdawała sobie sprawy z tego, jak brakowało jej siostry przez te wszystkie lata. - Dobrze być z powrotem, Kerry - rzekła pod wpływem impulsu.

- Naprawdę dobrze. Dziękuję ci, dziękuję za wszystko.

- Możliwe, że mi nie podziękujesz, kiedy zobaczysz ten kaftanik - odparła powątpiewająco Kerry - Niby potrafię zrobić na drutach, ale nie jestem w tym mistrzynią, a rękawki są naprawdę trudne...

- Nie mówiłam o kaftaniku - odparła Erin.

W następny weekend cała rodzina przyjeżdżała do Dunmore, by spędzić nieco czasu z Gregiem i Erin. Zarezerwowała im już nocleg w przytulnym pensjonacie w pobliżu.

- Ktoś musi dopilnować tego, byś wystarczająco dużo odpoczywała - oświadczyła przez telefon mama. - Wiem, że zaangażowałaś się w ten cały projekt Życia kontra Rak, Erin, ale musisz odpoczywać. Dzieci potrzebują wypoczętych matek. Kiedy urodzi się dziecko i będziesz się ślaniać na nogach, gorzko pożałujesz tego, że nie spałaś więcej, kiedy miałaś jeszcze taką możliwość.

- Och, mam, a ty i Kerry nie przyjedziecie mi pomóc, kiedy dziecko przyjdzie na świat? - zapytała przebiegle Erin. - Wiesz przecież, że nie będę miała o niczym pojęcia. Nie mam zamiaru nawet ruszyć palcem, wy dwie możecie się zająć wszystkim!

Matka się roześmiała. Był to radosny, melodyjny dźwięk, o którym Erin niemal zapomniała.

- Niezłe z ciebie ziółko, Erin Flynn - oświadczyła pogodnie. - Jestem za stara, by opiekować się kolejnym dzieckiem.

- Nigdy nie będziesz za stara, mamó - odparła czule Erin.

Żadna z nich nie wspomniała o tym, że to będzie czwarte pokolenie Flynnów. Nie musiały Dziecko Erin będzie równie kochanym członkiem rodziny, bez względu na to, czy to będzie wnuk czy prawnuk.

- A więc jazda mi do łóżka - poleciła mama. - Naprawdę musisz poleżeć trochę z nogami w górze.

- Tak, mamó - odparła posłusznie Erin. Było jak za dawnych czasów i niesamowicie jej się to podobało.

Czwartek był dniem pracy Erin w The Beauty Spot. Siedziała za biurkiem w recepcji, uważnie przeglądając notes z rezerwacjami i próbując znaleźć wolny termin dla klientki, która zadzwoniła, błagając, żeby zrobiono jej depilację bikini przed wyjazdem na wakacje. Interesy szły dobrze i salon nie uskarżał się na brak klientek.

Dzisiaj miejsce to tętniło życiem i wszystkie gabinety były zajęte. Ruby, która miała właśnie wolną chwilę z powodu odwołanej wizyty, wyskoczyła po popołudniową kawę i ciastko, i lada chwila powinna być z powrotem. Erin nie mogła się doczekać. W ostatnich tygodniach gwałtownie wzrósł jej apetyt i czuła się tak, jakby jadła za troje, a nie tylko za dwoje. Oddzwoniła do wdzięcznej pani od woskowania, by powiadomić ją o terminie wizyty, i właśnie przeglądała plik dokumentów, by znaleźć rachunki, którym chciała się przyjrzeć później, kiedy drzwi salonu otworzyły się. Erin podniosła głowę i otworzyła usta ze zdumienia. To nie była Ruby ze znajomymi torbami z kafejki.

W drzwiach stała Shannon. Długie miedziane włosy związane miała w luźny kucyk, a na dzinsy założoną tunikę w odcieniach żółci. W jednej ręce trzymała duży, brezentowy plecak, w drugiej karton soku.

Na widok Erin twarz Shannon rozpromieniła się.

- Witaj. Nie wiedziałam, czy tutaj będziesz, czy nie - odezwała się tak swobodnym tonem, jakby ona i Erin były przyjaciółkami, zaglądającymi czasem do siebie do pracy

Po chwili Erin powróciła zdolność mówienia.

- Co ty tutaj robisz? - zapytała ostro.

- Chciałam się z tobą zobaczyć - odparła Shannon z dziecięcą prostolinijnością. Postawiła plecak na podłodze. - Marnie się czułam z powodu ostatniego razu. Kerry mi powiedziała, że się zdenerwowałam.

Erin popatrzyła ze zdumieniem na kobietę, której tak bardzo brakowało normalnej intuicji, że trzeba było drugiej osoby, by jej powiedziała, że ich spotkanie nie przebiegło dobrze. Tylko ktoś taki jak Shannon, ktoś z zupełnie innej planety, mógł sam tego nie zauważyć.

- Kiedy rozmawiałaś z Kerry? - zapytała Erin.

- Któregoś dnia. To był dla mnie szok, kiedy cię zobaczyłam i to, że jesteś dorosła. I w ciąży - dodała, pokazując na brzuch Erin, niemal tak, jakby dopiero teraz go dostrzegła.

Drzwi do salonu brzęknęły, oznajmiając przybycie Ruby z pachnącą torbą pyszności.

- Ta herbata ziołowa dla ciebie śmierdzi jak stare skarpetki - oświadczyła, stawiając przed nią plastikowy kubek. - A oto drożdżówka z jagodami. Wiem, że wprost umierałaś z pragnienia, by ją zjeść - ciągnęła Ruby, po czym urwała, nagle świadoma pełnej napięcia atmosfery

- Ruby, to jest... - Erin zawahała się - moja krewna, która zajrzała, by się ze mną spotkać. Wskoczę na chwilę na herbatę. Będziesz miała czas, by rzucić na wszystko okiem podczas mojej nieobecności?

Nawet jeśli Ruby uznała za dziwne to, że Erin: a) nie przedstawiła jej krewnej z imienia i b) posiadała krewną, która wyglądała tak niezwykle jak Shannon, była zbyt dobrze wychowana, by coś powiedzieć.

- Jasne, dziewczyno - odparła lekko. - Jestem wolna przez najbliższe trzy kwadransy.

Trzy kwadransy z całą pewnością wystarczą, pomyślała Erin, gdy wzięła torebkę i poprowadziła Shannon do drzwi, a następnie do kafejki po drugiej stronie ulicy. W gruncie rzeczy trzy kwadransy to nawet za dużo czasu. Ciekawa była powodu wizyty Shannon. Dunmore leżało dość daleko od Wexford, zwłaszcza jeśli nie miało się samochodu i mu-

siało się korzystać z transportu publicznego. Dlaczego więc tutaj przyjechała? Erin miała nadzieję, że nie po pieniądze - Kerry twierdziła, że Shannon jest zawsze splukana i żyje poniekąd na cudzy koszt. Dla Erin byłoby to ostatnią kroplą przelewającą czarę.

- Czego chcesz? - zapytała, kiedy stały przy ladzie w kafejce, mając świadomość tego, że jej głos ma nieco ostre brzmienie.

Shannon długo zastanawiała się nad odpowiedzią, przyglądając się szyldowi za ladą, gdzie przedstawiono wszystkie rodzaje herbat i kaw. W końcu zdecydowała się na herbatę o smaku czarnej porzeczki i jabłka. Erin poprosiła o zwykłą herbatę, zapłaciła, po czym usiadły przy niewielkim stoliku w kącie, tak daleko od ludzi, jak to możliwe.

Erin postanowiła dać Shannon szansę pierwszej mówić, ale ona nie wykazywała chęci mówienia czegokolwiek - zamiast tego siedziała z zadowoleniem i rozglądała się wokół, jakby ta kafejka była najbardziej interesującym miejscem, w jakim zdarzyło jej się być. Erin nie należała do osób, które każdą chwilę milczenia musiały zapełniać paplaniem, ale mimo to czuła się nieswojo w obliczu milczenia Shannon.

- Co tutaj robisz? - zapytała wreszcie.

- Och, mam przyjaciół, którzy mieszkają w zachodniej części Cork i pomyślałam sobie, że do nich zajrzę - odparła.

- Mają śliczny domek i trochę ziemi i jest tam jak w raju. Potem pomyślałam, że ty mieszkasz przecież w Dunmore, i uznałam, że fajnie będzie wpaść i cię odwiedzić, poznać cię nieco lepiej.

Uśmiechnęła się do Erin promiennie, jakby to był najsprytniejszy plan, jaki udało jej się wymyślić w całym swoim życiu. „Jadę odwiedzić przyjaciół, czemu by nie wpaść po drodze do dawno niewidzianej córki i nie upiec dwóch pieczeni przy jednym ogniu”, pomyślała z goryczą Erin.

- O której godzinie spodziewają się ciebie ci przyjaciele?

- zapytała, podejrzewając, że zna już odpowiedź na to pytanie.

Na młodzieńczej twarzy Shannon malowała się beztraska.

- O żadnej konkretnej - odparła. - Mogę pojawić się u nich, kiedy tylko będę chciała. Pomyślałam sobie, że mogłabym przenocować u ciebie. Masz pewnie jakieś wolne łóżko albo starą sofę, na której da się przekimnąć?

Shannon chętnie zaczęła w samochodzie, podczas gdy Erin pomknęła do supermarketu, by kupić coś na kolację. Kiedy pchała między alejkami niewielki wózek, zadzwoniła do Grega.

- Co my teraz zrobimy? - syknęła. - Spodziewa się, że ją przenocuję. O czym my będziemy rozmawiać?

Wrzucała do wózka różne niepotrzebne produkty, nie zastanawiając się nad tym, co robi. Greg wydawał się nieporuszony

- Przecież chciałaś ją lepiej poznać - oświadczył rozsądnie.

- Tak, ale nie spodziewałam się, że pojawi się tutaj ni z tego, ni z owego i oświadczy, że ma zamiar zostać na noc - odparła Erin. - Tego raczej nie można nazwać normalnym zachowaniem.

- Z tego, co mi opowiadałaś, nie wydaje mi się, żeby Shannon była zupełnie normalna - zauważył Greg. - A poza tym spędzenie razem nieco czasu może się okazać dobre dla was obu. Mogę się wieczorem ulotnić...

- Ani mi się waż - odparła ostro Erin. - Nie chcę z nią zostać sama.

Następnie zadzwoniła do Kerry

- Zapytała, gdzie mieszkasz, i wiedziałam, że w końcu tam pojedzie - odparła Kerry. Wydawała się mało zaskoczona tym faktem, jakby nagłe pojawianie się Shannon było czymś zupełnie naturalnym. I pewnie było, dla Shannon.

- Ale ja nawet nie wiem, o czym z nią rozmawiać, jak z nią rozmawiać - zaprotestowała Erin, wrzucając do wózka kilka gotowych dań.

- To ty chciałaś ją lepiej poznać.

- Tak, ale zanim rzeczywiście ją poznałam - odparła Erin.

- Sądziłam, że możemy nawiązać nic porozumienia. Nie wiedziałam, że okaże się hipiską z piekła rodem.

- Cóż, nawiąż z nią nic porozumienia dzisiejszego wieczoru - rzekła Kerry - Posłuchaj - dodała. - Zapomnij, że cię urodziła. Wyobraź sobie, że to twoja siostra, bardzo ekscentryczna siostra, której długo nie widziałas i której nie znasz zbyt dobrze. To ten matczyzny element miesza ci w głowie. Spróbuj zapomnieć, że to twoja biologiczna matka, i wyobraź sobie, że to po prostu znikowana Shannon, zapomniana siostra, która uciekła wiele lat temu. Ponieważ tak przecież w gruncie rzeczy jest.

- Pewnie tak - odparła powoli Erin. Była tak rozstrojona nagłym pojawieniem się Shannon, że nie wiedziała, co ma myśleć. Jednak może Kerry miała rację: powinna traktować Shannon jak dawno niewidzianą siostrę i przestać zadreżczać się tym, że tak naprawdę jest jej matką, która wiele lat temu porzuciła ją. - Jasne - rzekła z pewnością siebie, której tak naprawdę nie czuła. - Tak właśnie zrobię. Zadzwoń do ciebie jutro i opowiem ci, jak poszło.

Kiedy dojechały do domu, Greg już tam był i Erin powitała jego obecność z prawdziwą ulgą.

- Dzięki Bogu, że tu jesteś - wyszeptła, kiedy przytulał ją na powitanie.

- Jesteś pewna, że nie chcesz, bym poszedł sobie i zostawił was same? - wyszeptał w odpowiedzi.

- W żadnym razie - syknęła Erin.

Shannon wydawała się zadowolona na widok Grega, uściśliła uprzejmie jego dłoń, po czym weszła do przestronnego salonu.

- O rany, ale tu ładnie - rzekła, obchodząc go wokół, przyglądając się z podziwem obrazom, książkom i bibelotom.

Erin poczuła, jak węzeł w jej żołądku zaciska się. Nie wiedziała, jak zareagować, ale co takiego powiedziała jej Kerry? Wyobraź sobie, że to twoja ekscentryczna, starsza siostra, której nie znasz zbyt dobrze. Siostra, w porządku. Mogła spróbować.

- Podobają ci się te malachitowe tarcze? - zapytała, widząc, że Shannon przygląda się dwóm zielonym, rzeźbionym tarczom, które wisiały na jednej ze ścian. - Kupiliśmy je w Meksyku, kiedy pojechaliśmy tam na wakacje. Przejechaliśmy samochodem przez Nogales, a potem udaliśmy się w głąb kraju, spędziliśmy tam kilka dni i kupiliśmy właśnie te tarcze. Miło jest mieć potem pamiątki z miejsc, w których się było na wakacjach, prawda?

- Tak. - Shannon wydawała się rozmarzona. - Nigdy nie byłam w Meksyku. Zawsze tego chciałam, bo ja i kilka innych osób z naszej grupy mieszkaliśmy przez jakiś czas w Nowym Meksyku, ale nigdy nie udało nam się przedostać przez granicę.

- Och - rzekła pogodnie Erin. - A dlaczego? Shannon wyglądała na lekko zakłopotaną.

- Jakies problemy z dokumentami, no wiesz...

Erin potrafiła się domyślić, co się stało. Ona i Greg wymienili znaczące spojrzenia. Jeśli przyjaciele Shannon regularnie protestowali przed bazami wojskowymi, być może niektórzy z nich popadli w konflikt z prawem, a wjazd do innego kraju wiązałby się z ujawnieniem tożsamości. „Pora na zmianę tematu”, uznała Erin.

- Ty też z pewnością poprzywoziłaś różne fantastyczne pamiątki ze swoich podróży po całym świecie. Opowiedz nam, gdzie byłaś?

To było właściwe pytanie. Ze szklanką wody przed sobą - Shannon nie piła alkoholu, powiedziała, że nie chce zanieczyszczać swego ciała - opowiadała o miejscach, w których była, zaczynając od antynuklearnych protestów w Ameryce. Przemierzyła całkiem spory kawałek świata. Erin i Greg zdumieni byli ilością odwiedzonych przez nią miejsc, a Erin szczególnie zaskoczył poruszający sposób, w jaki Shannon opowiadała o różnych protestach, w których brała udział.

Jasne było, że taki styl życia bardzo podobał się Shannon: normalne zobowiązania, takie jak płacenie czynszu czy rachunków za prąd nie miały znaczenia dla grupy ludzi, z którą podróżowała po świecie. Ale widać było także, że szczerze wierzyła w to, o co walczyli. Nie było wątpliwości co do tego, że gdy Shannon opowiadała o zagrożeniach, jakie niosła z sobą wojna, naprawdę tak myślała.

Kiedy mijał wieczór, Erin wiedziała, że nie dałaby rady ciągnąć tej rozmowy bez pomocy Grega. Obecność Shannon byłaby dla niej zbyt trudna, gdyż nigdy nie zwracała się do Erin tak, jakby łączyła je jakaś większa więź. Nie było żadnych wspomnień typu „kiedy byłaś mała”, żadnych wzmianek o rodzinie Flynnów. I dla Erin coś takiego było bolesne.

Shannon jako rodzinę traktowała ludzi, z którymi podróżowała, wielką grupę przyjaciół, których poznała na przestrzeni tych wszystkich lat, a którzy teraz mieszkali we wszystkich zakątkach świata, tak jak ci ludzie w zachodnim Cork, do których jechała w odwiedziny

- A jak podczas tych wszystkich podróży dawaliście sobie radę finansowo? - Grega autentycznie to interesowało. Shannon uśmiechnęła się pogodnie.

- Zajmowaliśmy się wszystkim po trochu - wyjaśniła. - Zdarzało się, że pracowaliśmy na farmie. Kiepsko mi szło. Nie byłam wychowywana w otoczeniu zwierząt i to było dla mnie trudne. W niektórych miejscach mieliśmy trochę ziemi i uprawialiśmy warzywa, żeby się wyżywić i zarobić trochę pieniędzy. Gdzie indziej pomagaliśmy rolnikom, i w taki właśnie sposób jakoś udało nam się przetrwać.

Erin pomyślała o swych wcześniejszych fantazjach na temat życia Shannon. Shannon żyjąca na obczyźnie w małej wiosce we Francji, tak bardzo pasująca do tego miejsca i tak biegle posługująca się francuskim, że miejscowi ludzie zdążyli już zapomnieć, że nie jest stąd. Albo Shannon mieszkająca gdzieś w Ameryce, opowiadająca tęsknie o Irlandii, ale mocno zakorzeniona wśród miejscowej społeczności.

- A czasami zajmowaliśmy się różnymi pracami domowymi, no wiecie, na przykład sprzątanie w hotelach - kontynuowała Shannon. - Najgorsze było prasowanie. Mieszkaliśmy kiedyś nad prasownią i pracowaliśmy w zamian za zwolnienie z płacenia czynszu. Nie znosiłam prasowania, ale musieliśmy to robić, by jakoś się utrzymać.

- Kiedy się dowiedziałam, że jesteś moją matką i że opuściłaś dom, by podróżować, zupełnie inaczej wyobrażałam sobie to wszystko - odezwała się nagle Erin. - Sądziłam, że to musi być coś wspaniałego i że dlatego właśnie nigdy nie wróciłaś, by mnie odwiedzić. Nigdy nie myślałam, że aby zarobić na życie, prasujesz albo uprawiasz warzywa. Taki obraz w ogóle nie pojawił się w mojej głowie.

- Przepraszam za wtedy - rzekła Shannon. - Wtedy, kiedy do mnie przyjechałaś i pojawiła się Ciara. Byłam trochę w szoku, to wszystko. Wiedziałam, że pewnego dnia w końcu mnie znajdziesz, nie spodziewałam się po prostu, że będziesz taka dorosła. - Na jej twarzy ponownie zagościł niewinny uśmiech. - Zawsze myślałam o tobie jako o dziecku, a oto zjawiała się kobieta oczekująca własnego dziecka. Erin nie chciała, by tym razem gniew wszystko popsuł.

- Ale musiałaś przecież wiedzieć, że zdążyłam już dorosnąć - rzekła. - Mam dwadzieścia siedem lat, Shannon; minęło dwadzieścia siedem lat, odkąd mnie urodziłaś.

- Czas płynie bardzo szybko - odparła bezradnie Shannon. - A kiedy byliśmy w drodze i miałam przyjaciół z dziećmi, lubiłam sobie wyobrazić, że jesteś małym dzieckiem w domu i że mama się tobą opiekuje. Byłam szczęśliwa, kiedy o tym myślałam. Była dobrą matką i wiedziałam, że dobrze się tobą zajmie.

- I dlatego mnie właśnie zostawiłaś, tak? - zapytała Erin. - Ponieważ wiedzieliś, że lepiej mi będzie z mamą niż z tobą?

- Pewnie tak - odparła powoli Shannon. - Kiedy zaszłam w ciążę, na początku cię nie chciałam. Byłam przerażona, Erin. A potem, kiedy byłam starsza, cóż, lepiej było ci tam, gdzie byłaś.

- Kto wybrał dla mnie imię? - zapytała Erin. Dziwnie się poczuła, kiedy Shannon po raz pierwszy powiedziała do niej po imieniu. Nie wyszło ono gładko z jej ust, nie brzmiało jak słowo, nad którym w przeszłości długo się zastanawiała.

- Och, mama tak cię nazwała - odparła Shannon. - Czy to nie oczywiste? Uwielbia te wszystkie irlandzkie imiona: Shannon, Kerry, Erin. Mnie osobiście podobało się imię Wiosenny Kwiat, ale mama powiedziała, że nie można nazwać tak dziecka, że to by było głupie.

Erin i Gregowi nie udało się ukryć rozbawienia. Greg wybuchnął głośnym śmiechem.

- Och, Shannon - rzekł. - Daj spokój, Wiosenny Kwiat? Nie można nazwać dziecka Wiosennym Kwiatem.

Shannon także się roześmiała.

- Wielu ludzi nadaje dzieciom szalone imiona. To było jeszcze całkiem ładne. Znam kobietę, która ma na imię Kurkuma. To dopiero jest koszmar.

- Wiosenny Kwiat Flynn - powiedziała na głos Erin. - Nie. Cieszę się, że mama zdecydowała się na Erin.

Kiedy nadeszła pora kolacji, Shannon zaskoczyła ich pytaniem, czy nie mogłaby pomóc.

- No cóż - rzekła Erin. - Prawdę mówiąc, miałam po prostu zamiar wrzucić do piekarnika któreś z tych gotowych dań. Jestem trochę zmęczona i na koniec dnia nie bardzo mam ochotę gotować.

- Zostaw to mnie - odparła Shannon. - Uwielbiam gotować i nieczęsto zdarza mi się to robić w tak ładnej kuchni jak wasza. W większości miejsc, w których mieszkałam, nie było zbyt wielkiego wyboru sprzętów kuchennych ani piekarników.

Erin uświadomiła sobie, że mówiąc te słowa, wcale nie oczekiwała współczucia. Nie było to niczym więcej jak stwierdzeniem faktu. Shannon wybrała sobie taki właśnie styl życia i wcale tego nie żałowała. Może i nie dysponowała okazałym kontem w banku, ale wydawała się szczęśliwa. Erin usiadła przy stole i przyglądała się jej. Widać było, że gotowanie relaksuje Shannon, i kiedy to robiła, opowiadała o różnych miejscach, w których mieszkała, i przepisach, które stamtąd przywiozła. Mówiła, jak się gotuje, mając do dyspozycji najmniejszy z możliwych budżet - jak na przykład przygotować klopsy dla trzydziestu osób z niewielkiego kawałka wołowiny i warzyw, które sami uprawiali. Opowiadała także o ucztach, jakie wyprawiali, gdy grupa miała akurat więcej pieniędzy i chciała sobie wynagrodzić ciężkie czasy

- Tak naprawdę do tego potrzebne są świeże zioła - rzekła, przygotowując kolację z wprawą telewizyjnego szefa kuchni. - Ale wystarczy nam to, co masz.

- Powiedz mi, jest w twoim życiu ktoś szczególnie? - zapytała Erin, kierując rozmowę na inny temat. - Widziałam, że na domofonie w Wexford masz napisane „Shannon i William”.

- Prawdziwy William i ja nie byliśmy razem zbyt długo - odparła Shannon. - Rozstaliśmy się sześć miesięcy temu, ale potem zamieszkał ze mną beański kot i nadałam mu także imię William. William drugi. Choć on także nie mieszkał u mnie długo - dodała z namysłem. - Chyba nie mam szczęścia do Williamów. Pewnie tak właśnie jest. Powinam była nadać mu inne imię, jak na przykład... - Skoncentrowała się na tym tak, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie.

- Michael - zasugerowała Erin, starając się okazać pomocna w wymyśleniu imienia dla kota.

- O nie, Michael to nie jest dobre imię dla kota - odparła poważnie Shannon. - Spotkałaś kiedyś kota, który miałby na imię Michael?

Erin pomyślała, że nie było także zbyt wiele kotów reagujących na imię William, ale nic nie powiedziała.

Dziwnie rozmawiało się z Shannon. Jej umysł nie pracował w konwencjonalny sposób. Nie interesowała ją rozmowa na temat jej pracy - by zarobić na czynsz, pracowała na pół etatu w pralni. Nie miała też ochoty rozmawiać o rodzinie. Tylko raz, na początku, wspomniała o ciąży Erin. Erin zrozumiała, że to do niej należy podtrzymanie rozmowy

- Chcesz, żebym ci opowiedziała o dziecku? - zapytała.

- O tak, proszę - odparła Shannon takim tonem, jakby wprost umierała z ciekawości, by poznać wszystkie szczegóły wiążące się z ciążą Erin, ale nie śmiała sama o to pytać.

Tak więc Erin opowiedziała jej wszystko i nawet przyniosła zdjęcia z USG. Shannon trzymała w dłoni ziarniste, czarno-białe zdjęcia z czymś, co bliskie było podziwu, a palcami przesuwiała po skulonym kształcie dziecka.

- Cudowna jest, prawda? - zapytał z dumą Greg. - Uważam, że to będzie dziewczynka, choć nie wiemy tego na pewno.

- Twój wnuk - rzekła łagodnie Erin. - Wnuk albo wnuczka.

Shannon popatrzyła na nich, a w jej oczach widać było takie zdumienie, jakby wcześniej ta myśl w ogóle nie przyszła jej do głowy To dziecko uczyni z niej babcie.

- O rety. - Wciągnęła głośno powietrze. - Ale nie trzeba mnie będzie nazywać babcia, prawda?

Kolacja okazała się niezwykle udana. Kurczak po meksykańsku był gorący, pikantny i przepyszny Erin wreszcie poczuła się swobodnie w towarzystwie Shannon. Kerry miała rację: łatwiej było ją traktować jak dawno niewidzianą krewną niż zadreć się faktem, że tak naprawdę jest jej matką.

Shannon nie była stworzona do bycia czyjąkolwiek matką. Sama zbytnio przypominała dziecko: połączenie egoizmu, zainteresowania samą sobą i entuzjazmu odnośnie do zaangażowania się w jakiś wielki projekt mający uratować świat. Ratowanie samej siebie nigdy nie przyszło jej do głowy

O wpół do jedenastej Greg pościelił dla niej sofę w salonie.

- Nie wiem, czy będzie ci na niej wygodnie, Shannon - rzekła Erin. - Jeszcze nikt na niej nie spał. Jest nowa.

- Musiałabyś zobaczyć niektóre z miejsc, w których przyszło mi spać - odparła pogodnie Shannon. - To łóżko jest naprawdę królewskie, dzięki - dodała.

Nagle nachyliła się i objęła Erin, którą niesamowicie zaskoczył ten gest. Shannon nigdy wcześniej jej nie dotknęła.

„Przytula mnie moja matka”, pomyślała Erin. Objęła ramionami talię Shannon i także ją uściskała. Nie, uznała, to nie jest jej matka, nie naprawdę. Shannon nosiła Erin przez dziewięć miesięcy, ale niech lepiej pozostanie jej starszą siostrą. Erin miała już mamę.

Erin dobrze spała tej nocy, a rano obudziła się z dziwnym uczuciem lekkości. Czowała się tak, jakby zdjęto z niej wielki ciężar. Przeciągnęła się leniwie w łóżku i właśnie zastanawiała się, gdzie podział się Greg, kiedy pojawił się z tacą z herbatą, tostem i sałatką ze świeżych owoców

- A więc obudziłaś się wreszcie, śpioszku - rzekł wesoło, stawiając tacę na łóżku.

- Wiem, to nie do pomyślenia - odparła, zerkając na zegarek. Za pięć ósma. - Już dawno tak długo nie spałam. Shannon już wstała?

- Tak - odparł. - Wstała jeszcze przede mną, a teraz medytuje na balkonie.

- No i bardzo dobrze - stwierdziła Erin, siadając, tak by Greg mógł postawić tacę na jej kolanach.

- Pa, skarbie, zmykam do pracy - rzekł, całując ją czule w usta. - Poradzisz sobie sama?

Erin kiwnęła głową.

- Będzie dobrze.

Po śniadaniu wzięła prysznic, a potem udała się do Shannon.

- Dzień dobry - rzekła pogodnie. - Jakie masz plany na dzisiaj?

Uznała, że to najlepszy sposób postępowania z Shannon - dać jej szansę robienia tego, na co ma ochotę, i nieoczekiwania od niej, że będzie przebywać tam, gdzie nie ma ochoty. Prawdę mówiąc, Erin miała dzisiaj czas dla siebie,

gdyż nie był to jeden z jej dni w The Beauty Spot i wcześniej planowała najwyżej kilka telefonów w sprawie ich projektu dobroczynnego i może jeszcze małe zakupy Jednak nie powiedziała o tym Shannon, gdyż nie chciała wywierać na nią presji.

- Cudowny dzień, prawda? - rzekła Shannon. - Tak sobie myślę, że ruszę dzisiaj do zachodniego Cork. Jazda samochodem w taki dzień będzie bardzo przyjemna.

- Och, chcesz, żebym cię tam zawiozła? - zapytała ze zdziwieniem Erin.

Shannon potrząsnęła głową. Wyglądała świeżo i młodzieńczo w luźnych spodniach i prostej, Inianej koszuli.

- Złapię stopa. Nie znoszę autobusów i pociągów. Podróżowanie autostopem jest super: ma się okazję poznać nowych ludzi i przy okazji zobaczyć trochę kraju.

- Autostop jest niebezpieczny. - Erin była przerażona myślą, że ktoś chce to robić w czasach seryjnych zabójców i świrów.

- Wcale nie jest niebezpieczny - odparła Shannon. - Nie uwierzyłabyś, jakie przeżyłam przygody podczas podróżowania właśnie w taki sposób.

- O tak, z pewnością. Nie wierzę, że nadal to robisz.

- Na tym polega życie - wyjaśniła Shannon. - Dostaje się to, co daje się od siebie.

Tego argumentu Erin nie była w stanie zbić. W końcu przystały na kompromis. Erin podwiezie ją do niewielkiej wsi, gdzie będzie mogła złapać jakiś samochód do zachodniego Cork. Erin nadal była przekonana, że autostop to absurdalny sposób podróżowania, ale Shannon się uparła. Nie mieściło jej się w głowie, by miała wsiąść do autobusu albo pociągu, skoro po kraju jeździ tylu kierowców, chętnych, by porozmawiać z kimś nowym.

Kiedy wyjeżdżały z Dunmore, zaczęło padać i Erin miała nadzieję, że Shannon porzuci swój bezsensowny plan i zdecyduje się jednak na autobus. Jednak nie, Shannon była dobrze przygotowana. Miała z sobą błyszczący płaszcz przeciwdeszczowy, stary i dziurawy w niektórych miejscach, który pamiętał wiele marszów protestacyjnych. Gdy dojechały do niewielkiej wsi, Erin zatrzymała się i poszły do pubu, by się czegoś napić. Erin czuła już, jak Shannon oddala się od niej: to było niemal namacalne, jak gdyby zaczęła oddalać się w chwili, gdy postanowiła ruszyć w dalszą drogę. W taki właśnie sposób żyła - wszystko miało swoje miejsce, przyjaciele w jednym pudełku, rodzina w drugim. Shannon potrafiła zamknąć jedne drzwi i zaraz potem otworzyć kolejne. Kto wie, kiedy Erin znowu się z nią zobaczy

Zrozumiała, że jeśli miały pozostać w kontakcie, w taki właśnie sposób to się będzie odbywać, z Shannon zawsze gotową do przemieszczenia się w inne miejsce, na następną imprezę, następny protest. Spokojnie zostawi wszystkich za sobą, wiedząc, że zawsze może do nich wrócić. Najpewniej dlatego właśnie była w stanie zostawić Erin dwadzieścia siedem lat temu, bo wiedziała, że jest bezpieczna, a także że jeśli ona będzie potrzebować miejsca do zamieszkania, zawsze będzie mogła wrócić do domu, do rodziny.

Jak mądrze powiedziała mama, jeśli chciało się zachować bliskie kontakty z Shannon, trzeba było zaakceptować sposób, w jaki ona żyła. Erin zrozumiała to teraz.

Musiała tylko zadać jeszcze jedno pytanie i zrobiła to, kiedy siedziały w niewielkim pubie, gdy tymczasem barman krzątał się i sprzątał stoliki, szykując miejsce na przybycie prawdziwych amatorów piwa.

- Opowiedz mi o moim ojcu - rzekła Erin. - Chcę wiedzieć, kim był.

Shannon nie wydawała się zaskoczona tym pytaniem, ale nie była także szczególnie zadowolona.

- Miałam nadzieję, że nie zapytasz mnie o to - odparła z lekką irytacją, jakby Erin zadała jej właśnie jakieś płytkie pytanie w stylu „czy farbuje włosy”.

- To rozumiałe, że chciałabym to wiedzieć. - Erin nic nie mogła poradzić na to, że w jej głosie pojawił się ostry ton.

- Wiem - rzekła Shannon. - Ale to przecież przeszłość...

- Daj spokój. - Erin rzadko wpadała w złość, ale teraz się na to zanosilo. - Tylko dlatego, że moje poczucie nastąpiło na skutek jednonocnej przygody z kimś, kogo ledwie pamiętasz, nie oznacza, że nie mam prawa o tym usłyszeć. - Niemal wypluła z siebie te słowa, a Shannon po raz pierwszy, odkąd się poznały, sprawiała wrażenie, jakby została wyrwana ze swego zwyczajowego rozmarzenia.

- To nie było tak - zaprotestowała. - To nie była przygoda na jedną noc. Byliśmy przyjaciółmi.

Erin oparła się, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję.

- Mów dalej - rzekła.

- Był moim przyjacielem. Razem dorastaliśmy, razem chodziliśmy do szkoły - kontynuowała Shannon. - Nie był moim chłopakiem i wiedział, że nie zostanę w Kilbarrett zbyt długo. Byliśmy po prostu dobrymi kumplami.

Erin, która zawsze zakładała, że jej ojciec był jednym z antywojennych lub antynuklearnych protestujących, z którymi Shannon trzymała się w tamtym czasie, nie odezwała się ani słowem, jedynie słuchała.

- Miał na imię Paul. Paul Whelan. Chciał studiować sztukę, ale nie było go na to stać. Jego tata miał sklep mięsny, więc zaczął w nim pracować. Zawsze byliśmy przyjaciółmi. Nie dziewczyną i chłopakiem, po prostu przespaliśmy się z sobą kilka razy. Wiesz, jak to jest. A potem każde z nas odeszło do własnego życia. On pracował w sklepie i zaczął się spotykać z dziewczyną, która także tam pracowała. Ja miałam inne rzeczy na głowie, a potem przekonałam się, że jestem w ciąży. Nie mogłam mu tego powiedzieć.

- Więc on się nigdy nie dowiedział, że będziesz miała dziecko? - zapytała cicho Erin.

- W końcu się dowiedział - odparła Shannon. - Byłam wielką niczym szafa trzydrzwiowa, i kiedy mnie zapytał, powiedziałam mu, że to nie jego dziecko. Tak było najprościej. Jego matka była bardzo religijna; zabiłaby go. Nie musiał wiedzieć. Powiedziałam mu, że ktoś inny jest ojcem.

- Czy potem jeszcze kiedyś się z nim spotkałaś?

- Nie - odparła beztrząsco Shannon. - Był bardzo bystry. Powinien był pójść na studia, to pewne. Gdyby tylko nie problem z pieniędzmi, gdyby tylko jego ojciec nie uważał, że studia to kiepski pomysł. Teraz najpewniej ma całą sieć sklepów mięsnych, kto to wie.

Nagle na twarzy Shannon pojawił się niepokój.

- Chyba nie masz zamiaru odnaleźć go i powiedzieć mu, że jest twoim ojcem, co? - zapytała.

Erin wiedziała, że nie ma sensu próbować jej to wyjaśniać. Mama i tata byli jej prawdziwymi rodzicami: to oni byli przy niej, kiedy dorastała. Jednakże to nie znaczyło, że nie czuła palącej potrzeby odnalezienia także swego biologicznego ojca. Nigdy nie zająłby miejsca jej starego, kochanego taty, ale Erin musiała wiedzieć, jakie są jej korzenie.

- Cała rodzina znała tego chłopaka, Paula? - Erin wymówiła po raz pierwszy jego imię. - Dlaczego nie powiedziałas im, że to on jest ojcem?

- Ponieważ rodzice chcieliby, żebym zrobiła to, co uważali za rozsądne, spróbowała z nim być i wspólnie cię wychowywać. Nie chciałam tego; to nie był sposób, w jaki pragnęłam żyć. Nie możesz mnie za to winić. Poza tym i tak nie byłabym zbyt dobrą matką. Dałam ci najlepszy start, jaki byłam w stanie, prawda?

Bardzo chciała, by jej wybaczone, i Erin wiedziała, że nie ma sensu jej tego odmawiać. Pomyślała o tym, jak mogłoby wyglądać jej życie, gdyby wychowywała ją Shannon - ciągle podróże, zero poczucia bezpieczeństwa, brak pieniędzy i Shannon miotająca się, by utrzymać siebie i dziecko. To nie byłoby dobre życie, Erin wiedziała o tym. Bez względu na to, jakie motywy kierowały Shannon, kiedy porzuciła Erin, wyszło jej to tylko na dobre.

- Tak, zrobiłaś to, co należało - rzekła teraz. - Mama i tata byli świetnymi rodzicami.

Shannon uśmiechnęła się do niej promiennie i Erin wreszcie także odpowiedziała jej uśmiechem.

- Zrobiłaś to, co należało - powtórzyła.

Rozdział trzydziesty drugi

Minęły trzy tygodnie od rozstania Deby i Barry'ego i Lizzie zaczęła opuszczać nadzieję, że tych dwoje jeszcze do siebie wróci. Raz czy dwa rozmawiali z sobą przez telefon, ale zawsze kończyło się to wykrzykiwaniem wzajemnych oskarżeń. Sytuacja była patowa.

Co nie znaczy, by Debra była przygnębiona - o nie, wydawała się całkiem zadowolona, ciesząc się wolnością i tym, że w domu skacze wokół niej mama. Odkąd Lizzie oświadczyła córce, że nie interesują jej mężczyźni - w domyśle Simon - stosunki między nimi były doskonałe. Gwen twierdziła, że to dlatego, iż Lizzie zapewniła córce nieograniczony dostęp do swej karty kredytowej.

Lizzie przez długi czas nie mówiła siostrze o awanturze z Simonem. To było zbyt upokarzające i nie zniosłaby, gdyby Gwen była zachowaniem Lizzie równie zniesmaczona jak Debra. Poczowała ulgę, kiedy okazało się, że siostra ją rozumie. Simon zadzwonił do niej dzień po ich spotkaniu, ale Lizzie, mając w pamięci obraz zeszłej nocy, wyjaśniła mu, że Debra przechodzi trudny okres, i zapytała, czy nie mogliby trochę odczekać, nim ponownie się spotkają.

- Dobrze - odparł spokojnie Simon. - Bardzo chciałbym ponownie się z tobą zobaczyć. Zadzwoni do mnie, kiedy wszystko się uspokoi.

Lizzie nie zadzwoniła. Tak było łatwiej, gdyż Debra zachowywała czujność, czy przypadkiem nie dzwoni jakiś mężczyzna, a poza tym może miała rację: mężczyźni rzeczywiście potrafili wszystko komplikować.

Przynajmniej łatwiej mieszkało się z Debrą - o ile tylko Lizzie nie czyniła żadnych innych planów na wieczór. Jednak martwiła się, że jeśli rozstanie potrwa dłużej, nie da się już tego naprawić, a nie chciała myśleć o tym, co wtedy zrobi z córką.

Wydawało jej się, że problem polega na tym, iż jej córka nadal była przekonana, że Barry wróci do niej na kolanach, błagając o wybaczenie i prosząc, by spróbowali jeszcze raz. Jednak z każdym mijającym dniem scenariusz ten stawał się coraz mniej prawdopodobny.

Wtedy Myles wpadł na pomysł spotkania z udziałem obu rodzin, aby Debra i Barry mieli szansę porozmawiania na neutralnym gruncie.

- Być może jeśli zobaczy nas wszystkich, wróci jej zdrowy rozsądek i dotrze do niej, czym jest rodzina i małżeństwo - rzekł z nadzieją.

Lizzie wyczuwała w tym rękę Sabine. Nie bardzo wierzyła w to, że Myles sam wpadłby na tego typu pomysł. Joe uznał pomysł rodzinnego spotkania za absurdalny.

- Jeśli Debra postanowiła nie wracać do Barry'ego, nie zmieni zdania tylko dlatego, że ty, tata i rodzice Barry'ego zbierzecie się razem, by o tym porozmawiać - oświadczył przez telefon.

- Tak, ale musimy chociaż spróbować - odparła Lizzie.

- Mamo, jedyne, co musicie spróbować, to w końcu przestać traktować Debrę jak dziecko. Jest dorosła i jeśli chce zostawić Barry'ego po pięciu minutach małżeństwa, to jej sprawa.

- Wiem, że to jej sprawa - zaprotestowała Lizzie, ale Joe jej przerwał.

- W takim razie dlaczego nie zostawicie jej w spokoju, by sama to wszystko rozwiązała? Gdyby naprawdę zachowywała się jak osoba dorosła, musiałaby znaleźć sobie jakieś mieszkanie i próbować ułożyć sobie życie. Nie musi tego robić, ponieważ ty i tata ją rozpieszczacie. W każdej chwili może pobeć do któregoś z was.

„To akurat nie było tak zupełnie prawdą”, pomyślała Lizzie. Debra nie mogła już pobiec do Mylesa, o czym się przekonała tej nocy, kiedy Lizzie wróciła ze skoku spadochronowego. Debra popędziła do mieszkania ojca, a i tak następnego dnia wróciła do matki. Wpływ Sabine zmienił jego relacje z córką. Myles traktował teraz Debrę bardziej jak osobę dorosłą, a nie jak małą, ukochaną córeczkę, i wyraźnie oczekiwał od niej, że sama się zajmie swoim życiem, tak jak on zajmował się swoim. Debra naturalnie odbierała jego zachowanie jako odrzucenie na rzecz innej kobiety i nagle już ani trochę nie lubiła Sabine.

- Nie wiem, dlaczego w ogóle zaprosiłam ją na wesele - oświadczyła. Nie mogła wybaczyć Sabine tego, że tamtej nocy w mieszkaniu ojca dała Debrze jasno do zrozumienia, że nie pochwała jej niedojrzałego zachowania.

Lizzie ugryzła się w język, gdy już chciała zapytać, jakie ma znaczenie, kto był na weselu, skoro małżeństwo i tak się rozpadło. Stała się mistrzynią gryzienia się w język. Joe jako jedyny zdawał sobie sprawę z tego, co się naprawdę dzieje. Wszyscy inni uważali, że nowożeńcy przechodzą początkowe problemy i że dopóki ich nie rozwiążą, to cudownie, że Debra i Lizzie mieszkają razem. Najwyraźniej sądzili, że Lizzie była znudzona i samotna, i że mieszkanie z córką stanowiło dla niej prawdziwą nagrodę.

- Mamo, musisz jej kazać się wyprowadzić - oświadczył Joe. - Już wystarczająco długo się nią opiekowałam.

Lizzie nie powiedziała synowi o Simonie. Nadal wzdrygała się na myśl o tym wieczorze. Zakłopotanie prześladowało ją nawet w środku nocy.

W głębi duszy wiedziała, że Joe ma rację. Przebyła długą drogę od czasu rozvodu, mimo że wcześniej nie uświadamiała sobie tego. Jednak przyzwyczała się do mieszkania w pojedynkę i braku potrzeby podporządkowywania swego życia innej osobie. Być może to był kolejny powód, dla którego nie szukała romansu.

- Nie mogę kazać jej się wyprowadzić, Joe. To nie byłoby właściwe. Jestem jej matką.

- Musisz to zrobić, mamo, inaczej ona zdominuje twoje życie. Poza tym nie chodzi mi tylko o ciebie, mamo, ale o nią także.

- Cóż, w takim razie sam jej to powiedz - oświadczyła Lizzie z irytacją. Miała dość tego, że wszyscy jej mówią, jak powinna się zachowywać. Dlaczego nikt nie mógł porozmawiać o tym z Debrą?

- Dobrze, zrobię to - odparł Joe. - Daj mi ją do telefonu.

Lizzie nie wiedziała, co dokładnie miał zamiar powiedzieć siostrze, ale kiedy po wszystkim Debra weszła do kuchni, na jej ładnej twarzy malowała się wściekłość.

- Za kogo u diabła uważa się Joe?

- Co się stało? Co ci powiedział? - zapytała Lizzie, nie znosząc samej siebie za to, że zachowuje się jak tchórz, udając, że nie ma o niczym pojęcia.

- Powiedział, że albo powinnam wrócić do Barry'ego, albo się wyprowadzić - odparła z wściekłością Debra. - Powiedział, że jeśli Barry i ja rzeczywiście postanowiliśmy się rozstać, to powinniśmy sprzedać dom i wziąć rozwód, i że nie powinnam mieszkać tutaj, ponieważ masz własne życie. Akurat wie, o czym mówi!

Zapaliła papierosa. Lizzie nie lubiła, gdy paliła w domu, ale nie było sensu jej tego mówić. Debra robiła to, na co miała ochotę.

- Powiedziałam mu, że podoba ci się to, że tutaj jestem, że dobrze ci z tym, że masz do kogo wracać wieczorem po latach spędzonych samotnie - oświadczyła Debra. - Nie mam racji?

- Tak - odparła słabym głosem Lizzie, uważając się za jeszcze większego tchórze niż przed chwilą.

- A potem... - Debra zaciągnęła się papierosem - powiedział, że co zrobię, jeśli będziesz miała faceta, jak wtedy będzie to wyglądać. Odparłam mu, że to absurdalny pomysł, że mama nie kochała nikogo z wyjątkiem taty

Lizzie uświadomiła sobie, że jednym z powodów, dla których Debra wpadła w taką wściekłość tej nocy, kiedy nakryła Lizzie i Simona razem, było to, że nie mogła znieść myśli, iż jej matka mogłaby być z kimś innym niż jej ojciec. Wystarczająco trudno jej było zaakceptować to, że w życiu Mylesa pojawiła się inna kobieta. Debra może i miała dwadzieścia kilka lat, ale kiedy chodziło o jej mamę, nadal była dzieckiem. Mamy nie powinny mieć facetów.

Ostatecznie to matka Barry'ego, Flossie, wzięła sprawy w swoje ręce. Pewnego dnia zadzwoniła do Lizzie do pracy i oświadczyła, że muszą coś zrobić z dziećmi.

Lizzie doznała lekkiego szoku, kiedy usłyszała głos Flossie, częściowo dlatego, że nie była pewna, czy uważa, że winę za rozstanie ponosi Debra. Lizzie nie była przygotowana na taką konfrontację.

Jednakże okazało się, że Flossie jest daleka od obwiniania kogokolwiek. Pragnęła jedynie, żeby Barry był szczęśliwy, a przecież teraz tak nie było.

- Siedzi sam w tym domu, smutny bez Debry, przychodzi czasem do nas na obiad. Musimy ich zmusić, by rozwiązyali ten problem, Lizzie - oświadczyła Flossie. - Biedny Barry cały jest rozstrojony. Serce mi krwawi, gdy widzę go w takim stanie. Sęk w tym, że są po prostu zbyt młodzi i nie wiedzą, w jaki sposób radzić sobie z małżeńskimi problemami.

- To prawda - przyznała Lizzie, myśląc o własnym małżeństwie i o tym, że ona także tego nie potrafiła. Gdyby było inaczej, całkiem możliwe, że nadal byłaby żoną Mylesa. - Myles wpadł na pomysł rodzinnego spotkania - rzekła. - Nie będą przecież krzyczeć na siebie w naszej obecności.

- Świetny pomysł - odparła z entuzjazmem Flossie. - Są po prostu zbyt uparci, by się spotkać i porozmawiać. To ich największy problem: upór.

Plan był taki: Lizzie zabierze Debrę do konkretnej restauracji o konkretnej godzinie w następną niedzielę, gdy tymczasem Flossie zrobi to samo z Barrym. Jeśli młodym podaruje się taką sposobność, z pewnością jakoś dojdą do porozumienia, prawda?

Tylko Joe i Gwen uważali, że to kiepski pomysł, no ale przecież Debra nigdy nie dogadywała się zbyt dobrze z ciotką. Gwen uważała siostrzenicę za sprytną damulkę, troszczącą się tylko o siebie. Debra z kolei twierdziła, że jej ciotka jest staromodna i apodyktyczna, nie tak jak jej łagodna, dobra mama.

- Pewnie bez względu na to, co się stanie, i tak to ty będziesz musiała zapłacić za obiad - oświadczyła Gwen, kiedy dowiedziała się o planie.

- Nie chodzi o pieniądze ani o to, kto zapłaci za obiad - odparła ze zniecierpliwieniem Lizzie.

- Pozwalam sobie mieć odmienne zdanie - rzekła Gwen.

- Według mnie chodzi właśnie o pieniądze. Pomyśl, ile ty i Myles wydaliście na to cholerne wesele. Gdyby Debra od początku wiedziała, że ona i Barry są niekompatybilni, nie musielibyście całkowicie się splukiwać, by urządzić najdroższe przyjęcie, jakie kiedykolwiek widziało hrabstwo Cork.

- Och, na miłość boską! - zawołała Lizzie, w końcu tracąc cierpliwość. Najpierw Joe mówił jej, w jaki sposób powinna żyć, a teraz także i Gwen. - Chciałabym, żeby wszyscy dali mi wreszcie święty spokój.

- To nie na mnie powinnaś się wściekać, Lizzie - zauważyła Gwen - ale na Debrę. Ta twoja córeczka potrzebuje usłyszeć kilka słów prawdy i w najbliższych dniach zamierzam się tym zająć - dodała z ponurym zadowoleniem.

Jako miejsce na wielkie pogodzenie się wybrano dużą, rodzinną restaurację w Dunmore. Wyboru dokonała Flossie, twierdząc, że i tak będzie tam hałas, więc nikt nie zwróci uwagi, jeśli przy stoliku rodzin Shanahan i Cronin rozlegnie się podniesiony głos. Na myśl o tym wszystkim Lizzie była cała w nerwach. To ona musiała się zająć tym, by Debra ślicznie wyglądała i pojawiła się w tej restauracji. Oświadczyła, że zasługują na wysmienity niedzielny obiad, i proponowała, że może obie się na niego wystroją.

- Wyśmienity niedzielny obiad? Tutaj? - zapytała Debra z niedowierzaniem, kiedy zatrzymały się przed restauracją. „Głodny Myśliwy” rzeczywiście nie służył z wyrafinowanego stylu, był natomiast miejscem, gdzie małe dzieci mogły rzucać frytki na podłogę, a kelnerzy nie zwracali na to uwagi.

- Eee, no wiesz, w niedzielę przychodzi tu inna klientela - skłamała Lizzie, przerażona tym, że Debra mogłaby się wycofać. - No chodź, będzie fajnie.

Niechętnie weszła za matką do restauracji. Lizzie liczyła na to, że pozostali już tam są, ponieważ jeśli kelnerka zaprowadzi je do stolika nakrytego dla sześciu osób, Debra z całą pewnością wyczuje pismo nosem. Kiedy dostrzegła Barry'ego i jego rodzinę, ogarnęło ją uczucie ulgi. Ona wykonała swoją robotę; reszta należała do nowożeńców

Zastanawiała się, jakim podstępem dał się zwabić tutaj Barry Pił piwo i wydawał się całkiem zadowolony. Nie było jednak widać Mylesa. Lizzie miała nadzieję, że po prostu chowa się, czekając na odpowiedni moment. I tak właśnie było.

- Lizzie! Debra! - Myles wyskoczył zza filaru, objął ramieniem córkę i zaczął ją prowadzić w stronę stołu, przy którym siedział Barry

- To zasadzka - oświadczyła z wściekłością Debra, wpatrując się w męża.

Mimo to usiadła naprzeciwko Barry'ego, posyłając mu jednocześnie kolejne groźne spojrzenie.

- To był twój pomysł? - zapytała ostro.

- Miałem zamiar zapytać cię o to samo - zripostował Barry - Powiedziałem ci podczas naszej ostatniej rozmowy, że nie mam zamiaru cię przeproszać, ponieważ nie zrobiłem nic złego, rozumiesz?

- Co to znaczy, że nie zrobiłeś nic złego? To wszystko twoja wina! - zapiszczała Debra tak głośno, że pozostali klienci restauracji podnieśli głowy znad talerzy

Nagminnie spotykało się tutaj krzyczące na cały głos dzieci, ale zachowujący się tak samo dorośli nie zdarzali się zbyt często. Zawsze ciekawie było posłuchać kabaretu na żywo, więc goście zaczęli nasłuchiwać uważnie tego, co się dzieje przy stoliku Shanahanów.

- A więc w taki sposób masz zamiar to rozegrać, tak? - zapytał Barry, równie nieświadomy jak Debra rzucanych im zaciekawionych spojrzeń. - Panienska ja-nigdy-nie-robię-nic-złego.

Lizzie zastanawiała się, czy warto w ogóle siadać, ale ostatecznie klapnęła ze znużeniem obok Flossie. Wymieniły pełne współczucia spojrzenia. To spotkanie nie przebiegało zgodnie z planem.

Myles popatrzył na nią bezsilnie i załapała ją fala gniewu. To w końcu był jego pomysł, a teraz, kiedy wszyscy się tutaj zjawili, nic nie robił, by powstrzymać kłótnię Debry i Barry'ego.

Zrobił to ojciec Barry'ego.

- Posłuchajcie, wy dwoje - oświadczył stanowczo Stan tonem osoby przyzwyczajonej do posłuchu. - Natrudziliśmy się, żeby was tutaj ściągnąć, ponieważ uważamy, że jesteście dla siebie stworzeni. Nie chcemy patrzeć na rozpad waszego małżeństwa. Jesteście dopiero sześć tygodni po ślubie. Musicie zrozumieć, że mąż i żona nie rozstają się za każdym razem, kiedy coś idzie nie tak. Gdyby tak właśnie było, nikt z nas nie trwałby w związku małżeńskim!

Flossie posłała Lizzie spojrzenie pełne zakłopotania, jakby chciała przeprosić za to, że jej mąż zapomniał, iż ona i Myles są rozwiedzeni. Jednak Stan coraz bardziej się rozkręcał i nie zwracał sobie głowy taktem.

- Małżeństwo to podróż - oświadczył. - To rejs, niczym wielki liniowiec przecinający fale oceanu...

- Jak „Titanic” - odpowiedział cierpko Barry

- Nie jak „Titanic” - odparł Stan. - Nie możecie nabierać wody za każdym razem, kiedy natraficie na problem.

- Założę się, że im powiedziałeś, że to moja wina - rzekła wściekle Debra do Barry'ego, przerywając Stanowi.

- Nie, ale powiedziałem, że jesteś zepsutą jędzą - odparł Barry - No bo jesteś. Nie wiem, dlaczego w ogóle pojawiłem się tamtego dnia przed ołtarzem. Gdyby ojciec mnie do tego nie zmusił, gdyby mi nie oświadczył, że matka się załamie, jeśli cię wystawię, w ogóle nie pokazałbym się w kościele.

Wtedy zapadła cisza: cisza tak namacalna, że nawet ludzie przy pozostałych stolikach siedzieli w bezruchu, nasłuchując. Choć były chwile, kiedy Lizzie miała ochotę wymierzyć Debrze policzek i zmusić ją do uświadomienia sobie co odrzuca, w tym momencie strasznie jej było żal córki. Usta miała otworzone i wpatrywała się z niedowierzaniem w Barry'ego.

- Co takiego?

Lizzie starała się ją uspokoić.

- Chodź, Debro, czas na nas. Nie ma sensu klócić się tutaj na całego. Ty i Barry musicie to załatwić na osobności. To był błąd...

Jednakże Debra nie dała się ruszyć z miejsca. Wpatrywała się w męża.

- Nie chciałeś się ze mną ożenić?

- A jak myślisz? - warknął w odpowiedzi Barry. - Żałuję, że posłuchałem taty. Pomyśl o pieniądzach, które mogliśmy zaoszczędzić.

Kiedy z twarzy Debry odpłynęła cała krew, Lizzie po raz kolejny spróbowała odciągnąć ją do wyjścia.

- Chodź, Debro...

- Wiedziałem, że nie powinniśmy brać ślubu - warknął Barry. - Tylko że ty przez cały czas naciskałaś i naciskałaś, ponieważ to kolejny etap, skoro tak długo byliśmy razem. Najwyższe zaangażowanie, tak to nazwałaś. Nie masz pojęcia, na czym polega zaangażowanie, Debro Shanahan. Jesteś największą egoistką, jaką znam. W twoim przypadku liczy się tylko „ja, ja, ja”. Nic, cokolwiek bym zrobił, nie było dla ciebie wystarczająco dobre, prawda?

- Nie mów do mnie w taki sposób - wyszeptala z udręczeniem Debra.

- Podczas miesiąca miodowego wszystko robiłem nie tak, kiedy wróciliśmy do domu, było tak samo, więc jaki był sens w pozostawaniu razem? - zapytał z goryczą. - Nie pragnęłaś mnie, Debro. Chciałaś po prostu męża, jakiegokolwiek męża, a ja okazałem się durniem, który znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Przebrała się miarka. Przez te wszystkie lata czułem się tak, jakbym nie był ciebie wart, jakbym miał szczęście, że w ogóle cię zdobyłem. Teraz już wiem, że jestem dla ciebie zbyt dobry!

Lizzie wolałaby dziesięć razy przeżyć własny rozwód, byle tylko nie widzieć tego bólu w oczach Debry.

- Chodź, Debro! - zawołała, pełna desperacji, by zabrać ją stamtąd.

Tym razem nie oponowała. Wyprowadziła ją z restauracji. Stały na dworze i Lizzie przytuliła ją do siebie. Debra była wyraźnie w stanie szoku i na początku trudno było zrozumieć, co mówi.

- Dlaczego? - jęczała Debra. - Dlaczego powiedział to wszystko? Kocham go, nie chciałam go zranić. Ja po prostu nie chciałam, by brał moją miłość za pewnik, tak jak to było w przypadku taty i ciebie. Gdybyśmy zaczęli w taki sposób, po dwudziestu latach porzuciłby mnie, tak jak tata porzucił ciebie. A ja nie chciałam tego.

Milczała przez całą drogę do domu i to było chyba jeszcze gorsze niż gdyby wściekała się na Barry'ego i przeklinała go. Wtedy przynajmniej Lizzie by wiedziała, że Debrze przejdzie. Tymczasem na jej twarzy było widać ból i przeżyty smutek.

Lizzie wiedziała, co czuje jej córka. Debra myślała, że jest kochana, i ta miłość dała jej siłę - siłę, by zostawić Barry'ego, wiedząc, że on będzie chciał jej powrotu i w końcu przystanie na wszystkie żądania. To ona dzierżyła stery ich związku. I nagle wszystko się zmieniło. Barry przyznał, że wcale nie chciał się z nią żenić, a teraz ona musiała stawić

czoło prawdzie - że nie kochał ją wystarczająco mocno, że był w stanie żyć bez niej. Bajkowe małżeństwo skończyło się i Lizzie dręczyło poczucie winy, że przyczynił się do tego dysfunkcyjny związek jej i Mylesa.

Gdy dojechały do domu, właśnie dzwonił telefon, ale Lizzie nie odebrała. To pewnie Myles, Stan albo Flossie, chcący się dowiedzieć, jak czuje się Debra. Nikt nie mógł nie dostrzec pełnego szoku przerażenia na jej twarzy; nikt nie mógł mieć wątpliwości co do szczerości słów Barry'ego. To był koniec.

- Przepraszam, mam, chyba pójdę na górę się położyć - rzekła cicho Debra, jakby czymś najzupełniej normalnym było kładzenie się do łóżka w niedzielę w porze obiadowej.

- Chcesz może, żebym przyniosła ci herbatę albo coś innego? - zapytała z niepokojem Lizzie.

Jednak Debra potrząsnęła głową.

- Dzięki, chcę trochę pobyć sama.

Lizzie pomyślała, że może zadzwoni do Joego, by opowiedzieć mu o tym, co się wydarzyło. Wyglądało na to, że tylko on w rodzinie Shanahanów miał wystarczająco dużo zdrowego rozsądku. Widział, że Debra i Barry zupełnie do siebie nie pasują. Lizzie, Myles i sama Debra okazali się idiotami, uważając, że wszystko może się ułożyć. „A przecież powinniśmy to byli przewidzieć”, pomyślała gniewnie Lizzie.

Jak nikt inny powinna wiedzieć, że to małżeństwo nie wypali. Pomyślała ze smutkiem, że powinna była wyciągnąć wnioski z własnego małżeństwa. Co takiego okropnego powiedziała Debra? Że nie chciała, by Barry brał jej miłość za pewnik tak, jak Myles brał uczucie Lizzie. „Cóż za spadek przekazany córce”, pomyślała.

Uroczymy magnesy na lodówkę twierdziły, że dzieciom powinno podarować się dwie rzeczy: korzenie i skrzydła. Ona dołożyła od siebie coś jeszcze: spaczony obraz małżeństwa. Dobra robota, Lizzie.

Wzięła do ręki słuchawkę i wystukała numer syna. Jedną z jego dobrych cech było to, że nigdy nie powiedział: „A nie mówiłem?”.

Rozdział trzydziesty trzeci

Początek września był pełen słońca i Jess Barton wcale dzięki temu nie było łatwiej wrócić do szkoły. Przez ostatni tydzień wakacji lało jak z cebra, a teraz, kiedy musiała nałożyć mundurek i wlec się do szkoły, by czekać na wyniki małej matury, słońce świeciło tak mocno jak na jakiejś greckiej wyspie.

Jess jakoś dawałaby sobie radę ze wszystkim, łącznie z faktem, że matka była permanentnie smutna - tata najwyraźniej nie porozmawiał z nią po przemowie Jess, zagrzewającej go do boju - gdyby nie wiadomość o tym talk-show. Nie znaczy to, że Jess wcześniej nie wiedziała, że coś takiego jest na tapecie. Problem w tym, że mama zaczęła poważnie mówić o przeprowadzce z Dunmore do Dublinu.

- I tak będziemy musiały wyprowadzić się z Lyonnais. - Jess podsłuchiwała pewnego wieczoru, jak rozmawia z kimś przez telefon. - Myślę, że nowy start w nowym mieście może się okazać strzałem w dziesiątkę. Za moją część pieniędzy ze sprzedaży tego domu ja i Jess możemy znaleźć coś ładnego w Dublinie, może mieszkanie, ponieważ dość mam zajmowania się ogrodem.

Jess nie wierzyła własnym uszom. Nie wiedziała, z kim mama rozmawia, ale ta osoba otrzymywała więcej informacji na temat przyszłości Jess niż sama zainteresowana.

- Tak, Mike, mogę się wstrzymać na czas twoich negocjacji, wcale się nie spieszę z podpisywaniem umowy - kontynuowała jej matka. - Nadal nie wiem, czy to właściwa decyzja. Jess może wcale nie mieć ochoty wyjeżdżać z Cork, nigdy nic nie wiadomo. Bardzo się teraz stresuje, gdyż niedługo ogłoszą wyniki egzaminów, i wiem, że skupia się właśnie na tym.

Jess poczuła, że ogarnia ją wściekłość. Skąd mama mogła wiedzieć, czy chciałyby wyjechać z Cork, czy nie, skoro jej o to nie zapytała?

- No dobrze - zakończyła jej matka. - W przyszłym tygodniu mogę jechać się z nimi spotkać i może obejrzeć parę mieszkań, by się przekonać, na co nas stać. Koniecznie w pobliżu dobrych szkół. Nie, nie chcę nikomu o tym wspominać, a przynajmniej dopóki nie podejmiemy ostatecznej decyzji co do programu.

Jess czekała, aż matka poinformuje ją o tym planie przenosin, tak się jednak nie stało. Stres egzaminacyjny był niczym w porównaniu ze stresem towarzyszącym oczekiwaniu, by się przekonać, czy się przeprowadzą.

Jednak tym, co naprawdę niszczyło kruchą pewność siebie Jess, było zachowanie Saffron Walsh.

Saffron wróciła z wakacji mocno opalona („Solarium”, prychnęła zjadliwie Steph) i pełna determinacji, by toczyć kampanię przeciwko Jess.

- Nie wybaczyła ci tego, że na angielskim powiedziałaś, iż ma osobowość owcy - westchnęła Steph pierwszego dnia, kiedy Saffron i jej przyjaciółeczki po kolei przemaszerowały obok Jess w szatni, mrużąc pod nosem „wstrętna suka”.

- A co mnie to obchodzi? - zapytała Jess. Ale jednak obchodziło.

Może i nie miała już na zębach aparatu - niemal ucałowała ortodontę, kiedy orzekł, że można go zdjąć - i chodziła z przystojnym Oliverem z szóstej klasy, ale wciąż była łatwym celem dla pałającej żądzą zemsty Saffron.

Nie miało znaczenia to, że Steph oświadczyła, iż Saffron żyje tylko na tych, przez których czuje się zagrożona.

- Czemu miałyby się czuć zagrożona przeze mnie? - warknęła Jess.

- Jesteś od niej bystrzejsza, spotykasz się z fajnym chłopakiem, świetnie wyglądasz bez aparatu na zębach i masz sławną matkę. Nie wspominając o tym, że pewnie fatalnie poszło jej na egzaminach. W oczach Saffron stanowisz zagrożenie, więc cię nienawidzi.

Jess była w stanie sobie z tym poradzić - szczególnie dużo myśli poświęcała Saffron. Nie mogła sobie natomiast poradzić z nagłą falą wysyłanych na jej komórkę paskudnych SMS-ów, wszystkich z numeru zastrzeżonego. „Myślisz, że jesteś wyjątkowa - gówno prawda!” było najłagodniejszą wiadomością. A potem z szafki obok sali gimnastycznej wyciągnięto jej nowe adidas i pomalowano lakierem do paznokci. Jess nie wiedziała dlaczego, ale widok nowych, niebiesko-białych butów umazanych paskudnym, czerwonym lakierem naprawdę ją rozstroił. Bolało ją nie tyle to, że buty zostały zniszczone, ile fakt, że ktoś mógł nienawidzić jej na tyle, by zrobić coś takiego.

- Wiesz, że to suka Walsh - oświadczyła Steph po incydencie z adidasami. - Zgłoś to do Docker. - Wszyscy uczniowie mówili tak na dyrektorkę szkoły, panią Doherty

- Nie mogę - odparła Jess. - Nie będzie miała dowodu, a Saffron naprawdę się wtedy na mnie uweźmie.

- No to powiedz Oliverowi albo jeszcze lepiej mamie.

Jednak Jess uparcie odmawiała powiedzenia o tym Oliverowi. Odkąd stał się uczniem szóstej klasy, zrobił się naprawdę poważny i zasadniczy.

- Za dziewięć miesięcy matura, to najważniejszy rok w moim życiu - powtarzał niespokojnie. - Czekam na naprawdę dużo nauki, Jess. Nie będziemy mieli dla siebie zbyt dużo czasu.

- Wiem - odparła lekko, starając się ukryć, jak bardzo się czuje urażona jego słowami.

Jess wiedziała, że Oliver jest ambitny i musi dobrze wypaść na maturze, by dostać się na studia, ale nie rozumiała, dlaczego tak to ciągle podkreślał podczas pierwszego tygodnia szkoły.

Kropłą, która przelała czarę, okazała się wielka impreza, którą w pierwszy weekend po wakacjach organizował kolega Zacha. Jess była naprawdę podekscytowana. Miała nadzieję, że ona i Oliver będą się tak dobrze bawić, że on zrozumie, iż w szóstej klasie zabawa nie jest wcale niezgodna z prawem.

To była także pierwsza impreza, na której miała się pojawić z Oliverem od czasu wizyty u ortodonta. Po raz pierwszy w życiu czuła, że wygląda naprawdę dobrze.

- Będziesz wyglądać olśniewająco - oświadczyła Steph po przekopaniu się przez szafę w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego dla Jess. W końcu zdecydowały się na džinsy Jess i srebrny, siatkowy top z czarną haleczką z pasków pod spodem. Matka Steph miała rozpinany sweter, który wyglądał na naprawdę markowy, i Steph pożyczyła go Jess „na wypadek gdyby było zimno, kiedy będzie się obcałowywać na dworze”.

- Nie będziemy się obcałowywać na dworze - uśmiechnęła się szeroko Jess. - Równie dobrze możemy to robić w domu. Tylko tacy poszukiwacze dreszczyku emocji jak ty i Zach czują potrzebę robienia tego na przystankach autobusowych i na ławkach w parku.

- Tylko dlatego, że nie mamy gdzie pójść - zaprotestowała Steph. - Gdybyśmy przez cały czas mieli wolną chatę, tak jak ty, robilibyśmy to w środku.

- Wcale nie mam wolnej chaty i wcale tego nie robimy - odparła Jess.

- Jesteście w takim razie jedynymi, którzy tego nie robią - rzekła wyniośle Steph. - To jest naprawdę fantastyczne - dodała.

- Nie będziesz tak mówić, kiedy skończy się to ciąża.

- Przystaniesz krakać? - Steph wzdrygnęła się.

- Nie powinnaś się była spieszyć - ciągnęła Jess. Wiedziała, że Zach bardzo naciskał na Steph, by poszła z nim do łóżka. - Nie znoszę tych bzdur w stylu: „Zrobiłabyś to, gdybyś mnie kochała”.

- Och, daj mi spokój. Mam wystarczająco dużo lat - odparowała Steph. - Oboje mamy. Nie jesteśmy już przecież dziećmi. W dawnych czasach wychodziło się za mąż w wieku szesnastu lat.

- I myślisz, że to było dobre? - zapytała ze złością Jess. - Kobiety traktowano wtedy jak własność mężczyzny. Nie mogły głosować ani niczego posiadać, były po prostu jak cholerne krowy. Tego właśnie byś chciała?

- Ja tylko mówię... - zaprotestowała Steph. Spojrzała z ukosa na przyjaciółkę i ugryzła się w język. - Jesteś całkiem dobra z historii jak na osobę, która nie mogła się doczekać, by skończyć ten przedmiot.

- Bardzo śmieszne - warknęła Jess.

- Założę się, że gdyby Oliver poprosił cię, byś uprawiała z nim seks, nie odmówiłabyś mu - dodała Steph.

- Wiem, że powiedziałabym „nie” - odparła Jess, po czym wybuchnęła śmiechem na widok niedowierzania malującego się na twarzy przyjaciółki.

- Zdzira - oświadczyła Steph, po czym sama także zaczęła się śmiać.

Prawda była taka, że Jess nie wiedziała, co by zrobiła, gdyby Oliver ją o to poprosił. Była pewna, że nigdy nie próbowałby z nią szantażu emocjonalnego w stylu Zacha. Oliver był na to zbyt szczery. A więc gdyby rzeczywiście poprosił ją, by się z nim przespała, zrobiłby to dlatego, że ją kocha i naprawdę tego pragnie, i Jess nie wiedziała, jak by wtedy zareagowała.

Wszystko tak bardzo się zmieniło w ciągu tego lata. Czasami nadal nie mogła uwierzyć w to, że z nim chodzi. Mógł mieć każdą dziewczynę ze swojego roku, a jednak wybrał ją.

Z jednej strony niesamowicie jej to schlebowało, z drugiej jednak bała się trochę, że pewnego dnia nadejdzie koniec. Jednakże ten niepokój nie oznaczał wcale, że zgodziłaby się, gdyby chciał z nią uprawiać seks.

Steph powiedziała swojej mamie, że po imprezie zostanie na noc u Bartonów w Dunmore. To było kłamstwo. Tak naprawdę ona i Zach należeli do dużej ekipy, która miała zostać na noc w domu, w którym odbywała się impreza. Chłopak, który ją organizował, powiedział, że jego rodzice wyjechali i jeśli tylko muzyka nie będzie zbyt głośna, nikt nie wezwie glin i wszyscy będą bezpieczni.

- Mama tego nie sprawdzi - oświadczyła pewnym głosem Steph. - Mówi, że tak paskudnie czuje się z tym, że twoi rodzice się rozstali, że nie wie, w jaki sposób ma rozmawiać z twoją mamą.

- To całkiem wygodne - odparła Jess, czując się coraz bardziej jak marudna starsza siostra. Wcześniej nie mogła doczekać się imprezy, ale teraz, kiedy Steph zaplanowała wielkie oszustwo, miała uczucie, jakby wszystko wymykało się jej spod kontroli. A jeśli pani Anderson zadzwoni następnego ranka i będzie chciała rozmawiać z córką? Jess widziała oczami wyobraźni, jak robi się cała czerwona i duka beznadziejne kłamstwo, że Steph bierze właśnie prysznic.

- Tak właśnie jej powiedz - rzekła Steph. - A potem zadzwoń do mnie na komórkę, a ja zaraz do niej oddzwonię.

- A jeśli mi nie uwierzy? - zapytała ostro Jess. - Albo jeśli to moja mama podniesie słuchawkę?

- Boże - jęknęła Steph. - Chcę po prostu jednej nocy z Zachem. Improvizuj! Wyłącz telefon z gniazdka dopóki nie zadzwonię do ciebie na komórkę i nie powiem, że już rozmawiałam z mamą.

- No dobrze - odparła niechętnie Jess. Nie wiedziała dlaczego, ale miała złe przeczucia.

Co gorsza, Zach dowiedział się, że na imprezie zjawi się Ian Green i jego ekipa, co oznaczało, że Saffron też tam będzie.

Abby podrzuciła Jess i Olivera na imprezę, oświadczając mu surowo, że się spodziewa, iż Jess znajdzie się w domu przed wpół do dwunastą.

- Nie ma sprawy, pani Barton - odparł Oliver. - Dużo wcześniej zamówię taksówkę.

- To dobrze - rzekła Abby. - I nie jedźcie z nikim, kto choć trochę pił. Już lepiej zadzwońcie po mnie. Przynajmniej siedemdziesiąt pięć procent wszystkich wypadków śmiertelnych jest spowodowanych przez młodych, niedoświadczonych kierowców...

- Mamo! - przerwała jej Jess. - Weźmiemy taksówkę, okej?

Miała tylko nadzieję, że jej mama nie wpadnie gdzieś przypadkiem na mamę Steph.

Jess niepotrzebnie się martwiła. Było już po dziesiątej i impreza trwała w najlepsze, kiedy pojawili się Zach i Steph z połową butelki wódki i sześciopakami piwa. Od obojga było czuć mieszaninę papierosów i whisky, niewątpliwie zwędzonej z barku taty Steph.

Zach wyjął na dodatek z kieszeni dżinsowej bluzy dwa pięknie zrolowane skręty z marihuaną.

- Czyż to nie miły chłopiec? - zagruchała Steph, przytulając się do swego chłopaka.

- Steph, co ty wyprawiasz? - syknęła Jess. - Jeśli zostaniesz przyłapana...

- Kto ma mnie przyłapać? Przecież jest wolna chata na całą noc.

Jess wiedziała, że Steph ma rację, ale i tak martwiła się o przyjaciółkę. Normalnie się tak nie zachowywała.

Steph nie była jedyną osobą, która nie zachowywała się normalnie. Oliver przez cały wieczór sprawiał wrażenie dziwnie spokojnego, a kiedy Jess zapytała go, co się dzieje, odparł, że musiał wysłuchać kazania od ojca o znaczeniu tego roku, i tego, że musi się dużo uczyć, i że nie wyglądało dobrze to, że dopiero zaczęła się szkoła, a Oliver już chodzi na imprezy

- Twój tata nie może na ciebie wywierać takiego nacisku - zaprotestowała Jess. - Egzamin są dopiero w czerwcu, a nikt przecież nie pracuje tak ciężko jak ty

- Tak, cóż, mój tata mówi, że muszę dostać się na studia za pierwszym podejściem, bo nie będzie go stać na to, bym miał powtarzać egzamin. Gdyby nie udało mi się teraz, musiałbym zapisać się na jeden z tych intensywnych kur-

sów, a one są strasznie drogie. Nie stać go na to. - Oliver wyglądał na zestresowanego. - Zapowiada się superrok. - Wstał gwałtownie. - Chyba się jeszcze napiję. Też chcesz?

Potrząsnęła głową i przyglądała mu się, jak idzie w stronę stołu zastawionego puszkami i butelkami.

Natychmiast zbliżyła się do niego dziewczyna w kusym topie z odkrytymi plecami i w króciutkiej spódnicy. „Jedna z przyjaciółeczek Saffron, prawdziwa mała o imieniu Sherry”, pomyślała gorzko Jess. Oliver nie wydawał się speszony jej uwagą. Wkrótce rozmawiał z Sherry i nie wyglądało to tak, jakby narzekał na szkołę.

Poirytowana Jess ruszyła na poszukiwanie Steph. Znalazła ją w drodze do łazienki, gdzie chciała poprawić makijaż i fryzurę. Steph nie szła zbyt prosto i Jess wiedziała, że jej przyjaciółka jest pijana.

- Dobrze się czujesz? - zapytała z niepokojem. - Jesteś trochę wstawiona. Jesteś pewna, że nie chcesz jechać do domu?

- Wyluzuj - odparła Steph. - Nie musisz mnie niańczyć, Jess.

Kiedy była w takim nastroju, nie było sensu z nią dyskutować, więc Jess skierowała się z powrotem ku schodom. Po drodze spotkała wchodzącą na górę Saffron. Jak zwykle wyglądała na dwadzieścia lat w wyszywanym cekinami topie i dzinsach biodrówkach. Była sama.

- Witaj, dziewczynko - uśmiechnęła się szyderczo. - Mamusia pozwoliła ci wyjść?

- Odpieprz się, Saffron - odparła Jess, próbując ją wyminąć.

- Ooch, coś za język - drwiła Saffron. - Z tego, co słyszałam, to o pieprzeniu jedynie mówisz. Ponieważ w rzeczywistości tego nie robisz. Boisz się, dziewczynko? Boisz się seksu?

- Daj mi spokój - rzuciła z konsternacją Jess. Skąd Saffron wiedziała, że ona i Oliver nie uprawiają seksu?

- A tak przy okazji, to wiedz, że on cię rzuci. Olivera nie interesują dzieci takie jak ty - syknęła Saffron. - Skoro jesteś zbyt dziecinna, by uprawiać seks, po coś innego miałby się z tobą spotykać?

Wpatrywała się w Saffron. Oliver nie powiedziałby o tym nikomu, nie mógłby...

Jednak Saffron miała iście diabelski szósty zmysł, jeśli chodzi o tok myślenia Jess.

- Myślisz, że nie powiedziałby o tym, co? Oni wszyscy o tym mówią, nie rozumiesz? Faceci lubią seks i myślą o nim średnio co dziesięć sekund. I bez przerwy o nim mówią. Oliver to fajny facet. Potrzebuje kogoś, kto go rozumie.

Jess odzyskała głos.

- Na przykład ciebie? Oczy Saffron błyszczały.

- Nie, ja mam mężczyznę, dziewczynko. Ale bardzo lubi moją przyjaciółkę Sherry. Był razem z nią na imprezie w sierpniu, kiedy ty wyjechałaś z mamusią na wakacje. Nikt ci o tym nie wspomniał?

Jess wpatrywała się w Saffron szeroko otwartymi oczami. Ona na pewno kłamała, na pewno. Saffron miała w ręku wszystkie atuty

- Tak. On wie, że twoja przyjaciółka Steph zostaje tu na noc z Zachem, i nie rozumie, dlaczego ty nie zrobisz tego samego. Wzór wszelkich cnót nie zrobiłby czegoś takiego, prawda? Myślisz, że jesteś taka mądra, skoro twoja mama jest gwiazdą telewizyjną, ale wszyscy potrafimy cię przejrzeć. Jesteś po prostu głupim dzieciakiem.

Jess zbiegła po schodach, by poszukać Olivera. Kiedy wyszła, znajdował się w pobliżu odtwarzacza CD, teraz natomiast stał w przejściu pomiędzy kuchnią a pokojem, śmiejąc się i rozmawiając z kimś. To Ian Green, chłopak Saffron. Obaj byli niesamowicie rozbawieni. Oliver odrzucił do tyłu głowę i ryczał ze śmiechu. Sherry była z nimi i także się śmiała, i przesuwając dłońmi w górę i w dół po swej króciutkiej spódnicy, tak by każdy zwrócił uwagę na jej długie, nagie nogi.

Drań! Jess nie miała nawet ochoty na konfrontację, tak bardzo go nienawidziła. Chwyciła więc sweter i w ciągu kilku sekund znalazła się przy drzwiach. Kiedy płacząc szła chodnikiem, wysłała do Olivera SMS-a: „Poszłam do domu. Nie idź za mną. Już nigdy”.

Dwadzieścia minut minęło, nim udało jej się zatrzymać taksówkę, i przez cały ten czas Oliver nie zadzwonił ani nie napisał - dowód na to, że Saffron miała rację i że nie był nią zainteresowany. Najpewniej obściskiwał się teraz z tą paskudną Sherry, uszczęśliwiony, że Saffron odwalila za niego brudną robotę i pozbyła się Jess.

Ocierając kłujące łyzy, Jess siedziała na tylnym siedzeniu taksówki i czuła się tak, jakby pękało jej serce. Wyłączyła telefon. Nie chciała z nim teraz rozmawiać, nawet gdyby rzeczywiście zadzwonił.

W domu nie mogła zasnąć. Nawet kiedy poukładała sobie wygodnie poduszki i przyniosła z kuchni czekoladę, przez cały czas leżała w ciemności i myślała. Mama chciała się przeprowadzić i nawet nie raczyła powiedzieć jej o tym; Oliver chciał z nią zerwać i wybrał tchórzliwe rozwiązanie; Saffron zatruwała jej życie i nikt tego nie dostrzegał. Nawet Steph nie było teraz przy niej, pomyślała Jess i zrobiło jej się żal samej siebie. Była zupełnie sama.

Skulona w pozycji embrionalnej, płakała, dopóki wreszcie nie zasnęła.

Miała spędzić niedzielę z tatą, więc wstała wcześniej i zadzwoniła do niego. Tata wydawał się uradowany, słysząc jej głos, ale powiedział, że planowany wcześniej długi spacer musi zostać przełożony.

- Mam mnóstwo roboty z tą szkolną dobudówką - wyjaśnił przepraszająco. - Przyjadę po ciebie i możesz oglądać telewizję albo coś na wideo, a kiedy skończę, to pójdziemy coś zjeść albo do kina, dobrze?

Jess czuła się zbyt wyczerpana po niemal bezsennej nocy, by iść na spacer, powiedziała więc, że tak, jej to odpowiada. Chciała wyjść z domu na cały dzień, tak by nie musiała rozmawiać ze Steph ani z Oliverem, ani z nikim innym, i równie dobrze mogła go spędzić z ojcem. Na wypadek gdyby ktoś próbował się z nią skontaktować, zostawiła telefon w domu. Skoro nikt nie chciał z nią rozmawiać wieczorem, to teraz nie będzie miał takiej możliwości.

Tata tak długo ślęczał nad dokumentacją od architekta i raportami inżynierów, że zrobiło się zbyt późno na film, który chciała zobaczyć Jess.

- Możemy zamówić coś na wynos - zaproponował z nadzieją.

- Tak, super - odparła Jess, jeszcze bardziej żałując samej siebie. Czy oczekiwanie, że chociaż dla niego jest najważniejsza, to zbyt wiele?

Pomysł ucieczki przyszedł jej do głowy, kiedy siedziała w pociągu w poniedziałek rano, z nosem przyklejonym do brudnej szyby. Przyglądała się mijanym krajobrazom, które zalewały strugi deszczu. Żałowała z całej duszy, że nie jedzie teraz gdzieś indziej, z dala od Dunmore, z dala od domu, z dala od prześladowania w szkole - i, co najważniejsze, z dala od upokorzenia, jakie czuła, wiedząc, że już nic nie znaczy dla Olivera. Pojechała nawet późniejszym pociągiem, byle nie wpaść na niego po drodze. A teraz musiała w szkole stawić czoła Saffron. Kto wie, jakie nowe niespodzianki trzymała dla niej w pogotowiu? Wysypana na podłogę cała zawartość szafki czy kolejne paskudne SMS-y?

Dałaby sobie radę ze wszystkim innym, przyzwyczajona była do tego, gdyby nie Oliver.

Wiedziała, że do niej dzwonił: sprawdziła w telefonie i jego numer pojawiał się wiele razy od sobotniej nocy i niedzieli, ale nie odsłuchiwała jego wiadomości. Pękłoby jej serce, gdyby słuchała, jak mówi jej to, co już wiedziała - że to koniec. Wykasowała więc wszystko. „Tak jak on wykasował mnie ze swego życia”, pomyślała z wściekłością.

Steph zadzwoniła w niedzielę po południu i przez telefon sprawiała wrażenie skacowanej. Jess nie oddzwoniła. Wiedziała, że rozplakałaby się, gdyby rozmawiała z przyjaciółką, a poza tym nie chciała słuchać, co się działo na imprezie po tym, jak uciekła.

Nikt by za nią nie tęsknił, gdyby rzeczywiście uciekła. Rodzice tak naprawdę już jej nie dostrzegali. Zbyt pochłonięci byli własnym nieszczęściem.

Mama funkcjonowała tak, jakby jej mózg został zastąpiony przez robota. Na autopilocie rozmawiała z Jess, a potem jechała do pracy. Ożywia ją nieco tylko ten projekt charytatywny, w który była zaangażowana. Jednak nawet wtedy bez przerwy mruczała, że to straszne, iż biedna Sally odeszła, gdy tymczasem inni ludzie, którzy nie doceniali tego, co mieli, pozostali przy życiu.

Tata nie był o wiele lepszy Jess uznała, że słowa prawdy, które usłyszała od niej u cioci Caroline, były pełnym marnowaniem czasu. Zamiast spotkać się z mamą, pytał z nieszczęśliwą miną Jess, jak się ona ma, jakby chciał, ale nie miał odwagi, by samemu zadzwonić. Wczoraj zapytał sztywno o mamę, a kiedy Jess warknęła w odpowiedzi: „Czemu sam jej o to nie spytasz?“, zamilkł.

Jej rodzice zdawali się nie zauważać tego, że ona tkwi pośrodku i próbuje jakoś radzić sobie z własnym życiem. Cóż, miała tego wszystkiego serdecznie dosyć.

Pola zamieniły się w przedmieścia. Kiedy pociąg wlokł się naprzód, Jess marzyła, że zatrzyma się, zanim dojedzie na stację, tak by już nigdy więcej nie musiała iść do szkoły i spotykać się z tą suką Saffron. Na myśl o sobotnim wieczorze czuła się spięta i zdenerwowana jak Wilbur przed burzą. W szkole wszyscy nauczyciele z niecierpliwością czekali na wyniki małej matury i z tego samego powodu uczniowie pogrążeni byli w otchłani rozpacz.

Kłopoty z egzaminami, kłopoty z chłopakami, kłopoty z rodzicami, kłopoty ze szkolnymi jędzami - Jess odczuła je wszystkie na własnej skórze.

Jednak dlaczego jedynie zatrzymanie się pociągu miałooby ją powstrzymać przed pójściem do szkoły? Pomysł był tak zdumiewający w swej prostocie, że zastanawiała się, jak to możliwe, że nie wpadła na niego wcześniej. W ogóle nie pójdzie do szkoły. Wszyscy zachowywali się paskudnie, więc ona też.

Pojedzie gdzieś i pozwoli wszystkim rozwiązywać ich głupie problemy, ponieważ nikomu na niej nie zależało. Jess jeszcze nigdy nie wagarowała. Ale dzisiaj to się zmieni. Na stacji wysiadła z pociągu, by kupić sobie w kiosku coś do picia, a potem, kiedy już był pusty, wsiadła do niego ponownie i pozwoliła, by zawiózł ją z powrotem do Dunmore. Weszła po cichu do domu, choć wiedziała, że mamy nie ma.

W drodze powrotnej do Dunmore wpadła na pomysł dokąd się uda. W schronisku czytała o fantastycznym, nowym ośrodku dla zwierząt niedaleko Galway, gdzie ludzie, którzy pragnęli związać się zawodowo ze zwierzętami, mogli przechodzić szkolenia. Jess pamiętała, że było tam napisane, że nie trzeba mieć zdanych wielu egzaminów - wystarczyło jedynie kochać zwierzęta i nie bać się ciężkiej pracy. Tam właśnie pojedzie, by się dowiedzieć, czy w przyszłości mogłaby tam znaleźć pracę. Wszyscy inni troszczyli się o własną przyszłość - więc Jess też tak uczyni. Pojedzie tam i zapyta, czy mogłaby pracować po skończeniu szkoły albo może na pół etatu podczas ferii i wakacji. Nikogo jakoś szczególnie nie obchodziło, co porabia podczas wakacji - wszyscy mieli tak dużo innych zmartwień, że ochoczo ją ignorowali.

Mama mogła jechać sobie do Dublina, tata mógł mieć obsesję na punkcie tej swojej ważnej dobudówki, a Oliver, Saffron i Sherry mogli iść do piekła.

Jess nie pamiętała wszystkich szczegółów dotyczących tego nowego ośrodka, ale wystarczy kilka minut w Internecie i będzie wiedziała wszystko, a poza tym sprawdzi, gdzie mogłaby przenocować. Nie miała zbyt wiele pieniędzy, więc to musiał być hostel albo jakiś tani pensjonat, gdzie mogłaby spędzić kilka dni. Jeśli będzie trzeba, Jean przekaże im przez telefon referencje. Na pewno chętnie zaproponują jej pracę na przyszłość, ponieważ była młoda, pełna entuzjazmu i tania.

Nie musiała długo szukać w Internecie schroniska i hostelu w jego pobliżu. Zadowolona ze zdobytych informacji, wrzuciła kilka rzeczy do plecaka i przebrała się ze szkolnego mundurka w dżinsy, sweter i nową sztruksową marynarkę. Steph twierdziła, że wygląda w niej przynajmniej na osiemnaście lat. To dobrze, musiała wyglądać na starszą, jeśli jej plan miał wypalić.

Portfel, karta bankomatowa, komórka i notes z adresami, i to wszystko. Pod wpływem impulsu dorzuciła także brązową maskotkę, którą miała od dawna. Była wyblakła i nieco brudna, ale spokojnie mogła być jej towarzyszem podróży

Wilbur leżał na ręczniku na kaloryferze w głównej łazience. Zaprotestował, kiedy Jess podniosła go z jego ciepłego gniazdka. Przytuliła go mocno i powiedziała, że wyjeżdża, ale niedługo wróci.

- Będiesz za mną tęsknił, prawda, Wilbur? - wymruczała w jego ciepłą sierść. W odpowiedzi kot wyrwał się z jej objęć, wbijając po drodze pazury w ramię. - Choć raz mógłbyś być dla mnie miły - powiedziała płaczliwie Jess.

Z kuchni wzięła dwie małe butelki soku pomarańczowego, kilka batoników musli i trzydzieści euro z drewnianego pudełka po herbacie, w którym mama trzymała drobne.

Następnie napisała krótki liścik. Oni nie raczyli informować jej o różnych rzeczach, jak na przykład o rozwodzie, pomyślała ponuro, ale przynajmniej ona zachowa się właściwie. Oparła kartkę o terminarz mamy, po raz ostatni omiotła spojrzeniem przytulną kuchnię i wyszła tylnymi drzwiami, w ostatniej chwili zabierając starą, lekką wiatrówkę i parasolkę. Za pół godziny był następny pociąg i chciała dojechać na miejsce przed zmrokiem.

Dzwonił telefon, kiedy po południu Abby wróciła do domu z prywatnego zlecenia. To była Katya, która chciała omówić kilka spraw. Choć Abby zauważyła, że mruga światelko automatycznej sekretarki, nie sądziła, by było to coś pilnego. Kiedy skończyła rozmawiać z Katyą, włączyła sekretarkę i udała się do kuchni, aby nalać sobie szklanek wody. Następnie ustawiła piecyk na kolację i wróciła, by wysłuchać wiadomości. Ostatnia ją zaskoczyła.

- Pani Barton, z tej strony Rebecca Tierney z Liceum Bradley. Jest południe w poniedziałek i dzwonię, ponieważ Jess nie zjawia się dzisiaj w szkole. Jeśli uczeń jest chory bądź z innego powodu nie może przyjść do szkoły, szkolna polityka jest taka, że rodzic dzwoni, by nam o tym powiedzieć, tak żebyśmy mogli odkreślić go jako „nieobecnego usprawiedliwionego” lub „chorego”. Wdzięczni bylibyśmy za przestrzeżenie tej polityki. - Głos wyrecytował numer telefonu, po czym rozłączył się.

Abby musiała ponownie odtworzyć wiadomość, by go spisać. Drżała jej ręka, gdy zapisywała na kartce cyfry. Wystukała pospiesznie numer, ale nikt nie podnosił słuchawki. Nie było także możliwości zostawienia wiadomości.

Cholera. Spojrzała na zegarek. Było po piątej i w szkolnym sekretariacie najpewniej nie było już nikogo. Zadzwoiła na komórkę Jess, ale była wyłączona.

- Jess, tu mama. Czy możesz do mnie zadzwonić, kiedy to odsłuchasz, skarbie?

Chwyciła ze stolika na korytarzu książkę telefoniczną, odszukała spis numerów w szkole Jess i wystukała każdy po kolei, ale nikt nie odbierał. Abby poczuła, jak wzbiera w niej panika.

W swoim notesie z adresami znalazła numer komórki Steph, ale nagrany głos powiedział jej, że numer, pod który dzwoni, został zmieniony. Zadzwoiła więc do domu Steph. Odebrała Lisa Anderson, która wyraźnie sądziła, że Abby zadzwoniła, by pogadać.

- Właściwie to chodzi o Jess - przerwała jej Abby. - Martwię się o nią. Nie było jej dzisiaj w szkole, ma wyłączoną komórkę, a kiedy zadzwoniłam pod numer Steph, okazało się, że numer jest zmieniony. Ma nowy telefon? - Kiedy wypowiadała te słowa, poczuła się znowu, jakby zawiodła na całej linii. Nie знаła nawet numeru telefonu najbliższej przyjaciółki córki.

- Zamorduję je obie, jeśli poszły na wagary - oświadczyła Lisa. - Choć to do nich niepodobne. To dobre dziewczyny, naprawdę. No cóż, teraz nie widujemy już tak często Jess, no i jest tak bardzo zaangażowana w pracę w tym schronisku dla zwierząt, prawda? Steph mówi, że Jess uwielbia tam jeździć. Wychowałeś dobre dziecko, Abby. Nikt nie może o niej powiedzieć, że obchodzi ją tylko czubek własnego nosa albo że twoja sława i pieniądze ją zmieniły.

Abby poczuła mdłości na myśl o tym, że Jess się nie zmieniła, ale ona owszem. Lisa wyrecytowała nowy numer Steph.

- Zadzwoń do mnie, jeśli nie będziesz mogła ich złapać - kontynuowała Lisa. - Steph męczyła mnie o pieniądze na nowe spodnie, więc stawiam dziesięć do jednego, że obie są teraz w mieście i przekopują każdy sklep na Patrick Street. Znajdziemy je.

Abby rozłączyła się. Od ich powrotu z Florydy była nieustannie w tak fatalnym nastroju, że nawet nie miała pojęcia, czy Jess potrzebne są jakieś nowe ubrania.

A dlaczego była w fatalnym nastroju? Z wielu powodów, które wydawały się błahe w porównaniu ze zniknięciem córki.

Czuła się fatalnie, ponieważ Tom nadal rozmawiał z nią przez telefon tak, jakby mogła go przez słuchawkę czymś zarazić, i ponieważ nie było nadziei dla jej małżeństwa i w końcu musiała przyjąć to do wiadomości. Czuła się fatalnie, ponieważ teraz, kiedy było niemal pewne, że Abby odchodzi, Roxie w Beech zachowywała się jak pierwszorzędną suką. Abby nie poczuła się lepiej nawet wtedy, gdy Mike dokonał przecieku kontrolowanego do prasy, mówiąc, że do Beech zbyt późno dotarło to, że źle traktowali swoją gwiazdę. Brian, poznawszy kilka złośliwych komentarzy ze stron krytyków telewizyjnych, że to Abby jest prawdziwą gwiazdą *Porządków*, gorączkowo próbował wszystko odkręcić i ją odzyskać, ale było za późno. Poza tym Brian był hipokrytą: z jednej strony był dla niej milutki, a z drugiej nie powstrzymywał Roxie przed wystrzeliwaniem w stronę Abby swojego jadu.

Jednakże żadna z tych spraw nie miała tak naprawdę znaczenia.

Jakież egoizm kazał jej sądzić, że jej własne problemy są ważniejsze niż komunikowanie się z Jess - Abby raz po raz zadawała sobie to pytanie. Była tak pochłonięta karierą zawodową i małżeńskimi problemami z Tomem, że zapomniała o córce.

Steph rzeczywiście wędrowała po sklepach na Patrick Street, ale sama.

- Nie, Jess nie przyszła dzisiaj do szkoły i wysłałam jej chyba z dwadzieścia SMS-ów z pytaniem, gdzie jest - odparła z oburzeniem - ale na żaden mi nie odpisała. Pomyślałam, że pewnie zaszyła się w swoim pokoju i jest chora, bo wczoraj także do mnie nie oddzwoniła.

- Nie jest chora. - To Abby zrobiło się teraz słabo.

- Nigdy się tak nie zachowywała, nigdy. - W głosie Steph nie było już słycać oburzenia, ale jedynie niepokój. - Myśli pani, że to z powodu Saffron? Mówiłam jej, żeby powiedziała komuś o tym, ale Jess twierdziła, że nauczyciele są ślepi na znęcanie się w szkole.

- Znęcanie się? - Abby cieszyła się, że stoi blisko schodów, ponieważ miała na co się osunąć, kiedy nogi odmówiły jej posłuszeństwa. - Ja... ja nie wiedziałam. Jakie znęcanie się, Steph?

Słyszała wahanie w przeciąganym przez Steph słowie:

- Cóż...

- Proszę, powiedz mi. To ważne. Jess zaginęła, to poważna sprawa.

- Jess wkurzyła Saffron przed wakacjami, a teraz sama z jakiegoś powodu jest w naprawdę jędzowatej formie. Odkąd się zaczęła szkoła w zeszłym tygodniu, Jess dostaje na komórkę wstrętne SMS-y i ktoś wylał lakier do paznokci na jej nowe adidas. Jesteśmy pewne, że to Saffron, i wydaje mi się, że wyżywała się na Jess także na tej imprezie w sobotę. Wstrętna suka. - Steph dowiedziała się pocztą pantoflową, że Saffron kłóciła się z Jess, ale nikt nie wiedział, czego dotyczyła ta kłótnia. Dowiedziała się jednak na temat Saffron kilku interesujących rzeczy Steph uznała, że nadeszła pora, by kłamliwa panna Walsh dostała wreszcie za swoje. Przysięgła sobie, że kiedy Jess wróci, rozprawią się z nią raz na zawsze.

- Co było w tych SMS-ach? - zapytała Abby, czując wzbierającą w niej wściekłość.

- Różne wyzwiska i na przykład to, że niepotrzebnie zajmuje przestrzeń. Mówiłam jej, że powinna powiedzieć o nich Docker, to znaczy pani Doherty - odparła Steph. - Ale Jess powiedziała, że nie może niczego udowodnić, bo Saffron zablokowała swój numer w SMS-ach, no a poza tym uważała, że Saffron w końcu się znudzi. Ja bym się jej postawiła, ale Jess taka nie jest. Nie znosi konfrontacji. Nie powiedziała pani nic o tym, pani Barton?

- Nie. Szkoda, że tego nie zrobiła. Steph, Jess nie zrobiłaby sobie niczego, prawda?

- O kurwa, nie! - odparła Steph. - O Boże, przepraszam, pani Barton, nie chciałam przeklinać, ale Jess nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. Zresztą, zostawiłaby przecież list, prawda?

Abby pobiegła na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. W pokoju Jess na łóżku leżał jej szkolny mundurek, ale poza tym nic nie wyglądało inaczej. Nie widać było żadnego listu. Zajrzała do swojego pokoju, ale w nim także niczego nie znalazła. Zbiegła na dół, do kuchni i omiotła ją gorączkowym spojrzeniem. Obok jej terminarza znajdowała się złożona kartka papieru.

„Mamo, wyjeżdżam na kilka dni. Nie martwcie się o mnie, nic mi nie będzie. Mam pieniądze i telefon. Zadzwoń. Jess”.

Od Olivera dowiedziała się jedynie, że zaszło jakieś nieporozumienie i że Jess nie oddzwoniła do niego, choć zostawił jej mnóstwo wiadomości na komórce.

Schronisko dla zwierząt - Abby pomyślała, że to pierwsze miejsce, dokąd udałaby się Jess, gdyby naprawdę chciała wyjechać.

Kiedy tam jechała, znowu zaczął padać deszcz i Abby pomyślała o Jess, najpewniej mokrej i nieszczęśliwej zamiast bezpiecznej i suchej w domu. Kiedy zgodnie z drogowskazem skręciła w drugą ulicę w lewo, napotkała niesamowitą ilość błota. Old Farm Road była jednym wielkim błotem i Abby zastanawiała się, jak ktoś bez napędu na cztery koła - nie mówiąc już o rowerze - może dojechać do schroniska. Piąta brama po lewej stronie, tak jej powiedział mężczyzna wyprowadzający psa. Nie miała problemu z dostrzeżeniem jej, nawet w zapadającym zmierzchu.

Drewniany znak z napisem „Schronisko dla zwierząt w Dunmore” wisiał raźnie na słupku. Brama była zamknięta i Abby musiała użyć sporej siły, by ją otworzyć.

Napis „Proszę zamykać bramę” brzmiał bardziej jak polecenie niż prośba. Szczekanie psów wywołało na zewnątrz kobietę, która uważnie przyglądała się Abby. Była wysoka, bardzo szczupła, dobiegała pięćdziesiątki i miała na sobie stary płaszcz nieprzemakalny. Włosy miała schowane pod dużym, wełnianym beretem, zakrytym przezroczystą folią na głowę, jaką Abby po raz ostatni widziała jeszcze za życia swej babci.

- Witam - odezwała się kobieta.

- Jestem Abby Barton. Szukam Jess.

- Jean - rzekła kobieta, wyciągając rękę. - Nie ma jej tutaj.

- O nie! - zawołała Abby i wybuchnęła płaczem.

Jess dotarła do hostelu w Galway o czwartej po południu. Jechała najpierw pociągiem, później autobusem, a na koniec musiała iść pół godziny pieszo, by tu się dostać, ale teraz zastanawiała się, czy to naprawdę dobre miejsce, by się w nim zatrzymać. Na stronie internetowej reklamowano je jako przyjazne, z nowoczesnym umeblowaniem i pokojem rekreacyjnym dla mieszkańców. W rzeczywistości pokój, do którego ją zaprowadzono, był nędzny, a piętrowe łóżka można było praktycznie nazwać zabytkowymi. Jednak nie przyjechała tutaj przecież na luksusowe wakacje. Ten hostel był użyteczny, ponieważ znajdował się jedynie półtora kilometra od Ośrodka dla Zwierząt Galway Bay.

Zadzwoiła z hostelu do ośrodka i połączono ją z bardzo miłym panem, który powiedział, że zawsze szukają opiekunów, ale że w tej chwili mają komplet i że tak samo było już z najbliższą przyszłością.

- Możliwe, że za rok będziemy mieli wolne miejsce na wakacje, ale jeśli nadal chodzisz do szkoły, to nie będzie miejsce odpowiednie dla ciebie - rzekł. - A może zadzwonisz do schroniska w Kildare? Słyszałem, że szukają tam pracowników na wakacje.

- Ale... ja już tutaj przyjechałam - wyjąkała Jess, myśląc o tym, jak długą przebyła podróż.

- Przykro mi, powinnaś była najpierw zadzwonić - odparł mężczyzna.

Nie to miała nadzieję usłyszeć. Po całej tej drodze potrzebowała innego przyjęcia. Nie mogą odrzucić jej oferty, nie porozmawiawszy z nią. Może wtedy przekonaliby się, jak bardzo kocha zwierzęta i jak bardzo nadawałaby się do pracy tutaj w przyszłości.

- Proszę, czy mogę do was przyjść i porozmawiać? - zapytała błagalnie. - Naprawdę dobrze umiem zajmować się zwierzętami, i gdyby zwolniło się miejsce podczas ferii zimowych, chętnie je zajmę.

Mężczyzna zawahał się.

- Zadzwon jutro, to porozmawiasz z Kennym. On jest tu kierownikiem. Niczego nie mogę ci obiecać, ale Kenny może będzie mógł cię wpisać na listę oczekujących.

- Super - odparła Jess. Jednak kiedy odłożyła telefon, pomyślała, że może to jednak wcale nie był taki świetny pomysł.

To był jeden z najtrudniejszych telefonów, jakie Abby musiała wykonać. Jean zaproponowała jej herbatę, ale ona podziękowała. Musiała wrócić do domu i czekać, na wypadek gdyby Jess zadzwoniła. I musiała powiedzieć ojcu Jess o tym, co się stało.

Wystukała numer Toma. Odebrał po drugim sygnale.

- Jess zaginęła. Nie wiem, gdzie jest, i zostawiła list, ale nigdzie nie ma po niej śladu. Steph nie ma pojęcia, gdzie ona jest, i nie odbiera komórki - wyrzuciła z siebie Abby.

- Zaczekaj - odparł Tom, próbując wyłapać najistotniejsze informacje. - Od kiedy nie ma Jess? Jesteś pewna, że nie poszła po prostu na wagary albo nie pojechała do tego schroniska dla zwierząt?

- Nie - rzekła Abby drżącym głosem. - Byłam tam i nie widzieli jej. Z całą pewnością zniknęła. Rozmawiałam ze Steph i powiedziała mi, że Jess nie była dzisiaj w szkole. Zadzwonili ze szkoły, by mnie o tym poinformować, w taki właśnie sposób dowiedziałam się o tym. Nie było jej przez cały dzień, a ja nie miałam o tym pojęcia. Rozmawiałam z matką Olivera i dała mi jego numer. Jest w szkole, ale wydaje mi się, że on i Jess posprzeczali się. Nie widział jej od sobotniej imprezy i wydawał się naprawdę zdenerwowany. Mówi, że dzwonił do niej w niedzielę wiele razy, ale nie odbierała komórki.

- Skontaktowałaś się z policją? - zapytał Tom, natychmiast zachowując się jak zawodowy nauczyciel.

- Nie. Najpierw chciałam zadzwonić do ciebie i powiedzieć ci o wszystkim.

- Zadzwonię na policję, a potem przyjadę do ciebie - oświadczył zdecydowanie Tom.

Pół godziny później w kuchni w Lyonnais znajdował się zarówno Tom, jak i sympatyczna policjantka, Anna Dunne.

Gdy tylko pojawił się Tom, Abby rzuciła mu się w ramiona, jednocześnie przytulając się do niego i płacząc.

- To wszystko moja wina. Gdybym tu była, wiedziałabym, że nie pojechała dzisiaj do szkoły, i moglibyśmy rozpocząć poszukiwania wcześniej i, o mój Boże, Tom, *wszystko* mogło jej się przytrafić.

„Jest tak, jakbyśmy w ogóle się nie rozstali”, myślał Tom, trzymając ją mocno w ramionach. Głaskał ją po włosach i szeptał do ucha uspokajające słowa.

- Już dobrze - rzekł. - Już dobrze. Znajdziemy ją. Nie mogła odjechać zbyt daleko. Wie, że kochamy ją i że będziemy się niepokoić. Zadzwoni.

W pracy miewał już do czynienia z uciekinierami, ale to zupełnie coś innego, gdy ucieka twoje własne dziecko.

Podane przez policjantkę statystyki, dotyczące ilości nastolatków, którzy uciekają, a później szybko zostają odnalezieni, nie wydawały się zbytnio pocieszające, kiedy chodziło o własną nastoletnią córkę.

Jako że Jess była niepełnoletnia, należała do kategorii wysokiego ryzyka, wyjaśniła sierżant Dunne. Pozytywnym aspektem było to, że zostawiła list, ale i tak zostaną przeprowadzone zwyczajowe policyjne procedury.

- Jeśli zgodzą się państwo na upublicznienie sprawy, można spróbować pokazać dziś wieczorem zdjęcie Jess w wiadomościach. W gazetach jej opis i informacja o tym, że zaginęła, mogłyby się pewnie ukazać jutro.

Abby ścisnęła dłoń Toma. To wszystko było takie przerażające.

- Tak - odparła. - Chcemy upublicznienia. Cokolwiek, byle ją znaleźć.

- Pokłócili się państwo z Jess? - zapytała sierżant Dunne, sporządzając notatki.

Abby potrząsnęła głową.

- Nie dzisiaj ani wczoraj. - Chciała powiedzieć, że na przestrzeni ostatnich kilku miesięcy w tym domu miało miejsce tak wiele kłótni, że nie można było uzależniać tego, co zrobiła Jess, od tylko jednej. - Tom i ja jesteśmy w separacji - westchnęła. - I to było dla niej bardzo trudne. Ale pracowaliśmy nad tym i jakoś nam wychodziło. Wydaje mi się, że Jess pokłóciła się ze swoim chłopakiem. W sobotę wieczorem byli na imprezie i wróciła wcześniej do domu, i od tamtej pory nie odezwała się do niego. Prześladowano ją także w szkole - dodała.

Tom wyglądał na przerażonego.

- Prześladowano ją w szkole? - zapytał. Abby kiwnęła głową.

- O tym także nie wiedziałam - wyznała policjantce. - Jej najlepsza przyjaciółka, Steph, powiedziała mi dzisiaj o wszystkim. Jedna z dziewczyn z jej klasy uwzięła się na nią, wysyłała SMS-y i ogólnie zachowywała się wrednie. Steph powiedziała, że nie miały dowodu na to, kto wysyła te SMS-y, ale domyśliły się, że to ta dziewczyna. Nie wiem, czy to właśnie pchnęło Jess do ucieczki, czy też Oliver.

Abby zaczęła płakać i Tom ponownie ją przytulił. Pomyślał o tych razach, kiedy w jego szkolnym gabinecie znajdowali się rodzice, którzy ze zdumieniem i szokiem dowiadywali się od niego, że ich synowie byli prześladowani albo sami byli prześladowcami. Tom zawsze się zastanawiał, jak to możliwe, że nie wiedzieli, co się dzieje w życiu ich dzieci, ale teraz rozumiał to zbyt dobrze. Tak bardzo pochłonęły go własne problemy, że zaniedbał Jess. Spędził z nią niedzielę i wszystko wydawało się być w porządku - była trochę milcząca, zgoda, ale nie dostrzegł niczego więcej. I nie licząc weekendu w Kent, kiedy zaskoczyła go swym dojrzałym podejściem do tego, co działo się między nim a Abby, tak naprawdę nie zapytał jej, jak się czuje. Zakładał, że była w stanie poradzić sobie ze wszystkim, jednak nie miał racji.

Anna Dunne spędziła z nimi godzinę, rozmawiając o wszystkich przyjaciółkach Jess, miejscach, w których bywała, o tym, co robiła w wolnym czasie. Abby opowiedziała jej o schronisku.

- Nigdy tam nie byłam - zaszlochała Abby. - Kiedy zaczęła tam pracować, zadzwoniłam i porozmawiałam z Jean, ale Jess nie chciała, żebym tam jechała. Chciała, żeby to było tylko jej miejsce. Powinno dotrzeć do mnie wtedy, że coś jest nie tak.

- Fakt, że nie chciała, aby pani pojechała do schroniska, wcale jeszcze niczego nie oznacza - rzekła spokojnie policjantka. - Pracowała tam jako wolontariuszka i nie ukrywała tego przed państwem. Nastolatki zawsze zaznaczają granice. Chcą mieć coś swojego z dala od rodziców i tak właśnie mogło być w przypadku Jess. Ale prześladowanie w szkole jest czymś, czemu musimy przyjrzeć się uważniej, i będziemy musieli rozmawiać z jej przyjaciółmi i chłopakiem.

- Zabiję tę sukę Saffron Walsh, kiedy ją dorwę - oświadczyła Abby. - Jak śmiała zrobić Jess coś takiego?

- To się często zdarza - rzekła sierżant Dunne. - Prześladowanie telefoniczne jest czymś powszechnym. Wiele dzieciaków jest prześladowanych i nie mówi o tym rodzicom. Szkołom niełatwo jest z tym walczyć i wielu rodziców nie chce uwierzyć, kiedy się dowiadują, że ich dzieci są prześladowcami.

Tom miał właśnie powiedzieć, że jego szkoła ma całkiem dobry program zwalczający coś takiego, ale ugryzł się w język. Jaki miało sens opowiadanie wszystkim, jak świetnie radził sobie w szkole z tym problemem, gdy tymczasem jego córka osobiście się z nim borykała, a on niczego nie zauważył?

Sierżant Dunne wzięła od nich zdjęcie Jess i powiedziała, że wieczorem skontaktują się z ogólnokrajowym i regionalnym radiem i prasą, choć to od poszczególnych redakcji zależało, czy nagłośnią tę sprawę, czy nie. Ona zaś będzie z Tomem i Abby w stałym kontakcie.

- I oczywiście proszę o telefon, jeśli Jess się z państwem skontaktuje.

Kiedy wyszła, Tom i Abby siedzieli razem w kuchni i trzymali się za ręce, tak jakby tak bliski kontakt mógł ich w jakiś sposób ustrzec przed złymi wiadomościami.

- Ona nie należy do osób, które uciekłyby tylko po to, by nas przestraszyć - odezwała się Abby. - Nie mogę znieść myśli, że jest sama... - Nie była w stanie dokończyć zdania. Świat pełen był chorych i wynaturzonych ludzi. Gdyby tylko Jess zadzwoniła. - Jak mogłam nie wiedzieć, że jest prześladowana? - rozpaczła Abby. - Powinnam to była zauważyć. Od zeszłego weekendu była taka milcząca, a ja sądziłam po prostu, że to z powodu ciebie i mnie, rozwodu i ogólnie wszystkiego. Dlaczego jej nie zapytałam?

- Dlaczego ja jej nie zapytałam? Skoro w sobotę pokłóciła się z Oliverem, to w niedzielę musiało jej być smutno z tego powodu, a ja w ogóle tego nie zauważyłem.

Tom i Abby Barton nie spali tej nocy. Leżeli w ubraniach na dużym łóżku, które kiedyś dzielili, i trzymali się za ręce, by choć w ten sposób pocieszyć się nawzajem. Rozmawiali o tym, jak to było, kiedy Jess była mała, o różnych śmiesznych rzeczach, które robiła, jak bardzo ją kochali i jak szybko dorosła. Nie było nawet mowy o zaśnięciu.

O wpół do szóstej Tom wstał i zszedł na dół, by zrobić herbatę. Abby, wykończona z powodu braku snu, weszła do pokoju Jess i położyła się na jej łóżku.

- Gdzie jesteś, Jess? - Zamknęła oczy, jakby się modliła. - Wiem, że jest ci źle, ale błagam cię, wróć do nas. Tęsknimy za tobą i tak strasznie się martwimy.

Wiele kilometrów dalej, na niewygodnym piętrowym łóżku w hostelu, Jess leżała rozbudzona i słuchała chrapania dziewczyny śpiącej na łóżku pod nią. Zaciskała mocno dłoń na telefonie. Obudziła się pół godziny temu i nagle się przestraszyła, gdyż nie wiedziała, gdzie się znajduje. Wtedy przypomniała sobie o ucieczce i pozostawionym liście, i o tym, że nie przejmowała się, jak inni mogą to odebrać. A teraz, zbyt późno, zaczęło ją to martwić. Pomyślała o mamie, która znalazła list i na pewno się przeraziła; pomyślała o tacie. Zawsze ją ostrzegał przed obcymi mężczyznami, którzy próbowali zwabić do samochodu nastoletnie dziewczęta.

- Tato - mówiła zawsze ze złością. - Takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach.

Uważała, że za bardzo się o nią martwił. Jednak wiedziała, że tata wierzy w takie rzeczy i mógł sobie pomyśleć, że właśnie coś takiego jej się teraz przytrafiło. Powinna była zadzwonić.

I pomyślała o Oliverze. Nie wiedziała dlaczego, ale miała wyrzuty sumienia. Nie dała mu szansy, by porozmawiał z nią i wszystko wyjaśnił. W sobotni wieczór była tak wściekła i zraniona, że działała pod wpływem impulsu, teraz jednak dotarło do niej, że Oliver, którego opisała Saffron, nie był Oliverem, którego ona знаła. Saffron była przebiegła. Przekreśliłaby każdy fakt, byle tylko dokuczyć Jess. Włączyła telefon, lekko dotykając palcami przycisków. Aparat zapisał głośno, informując, że ma wiadomości, ale Jess nie chciała ich odsłuchiwać. Możliwe, że jedna z nich była od

Olivera, a nie zniosłaby jego głosu. I mama na pewno też dzwoniła, najpewniej więcej niż raz. Jess z całą pewnością nie chciała teraz tego słuchać.

Jednakże mogła wysłać SMS-a, by dać rodzicom znać, że nic jej nie jest, no ale wtedy chcieliby tutaj po nią przyjechać i byliby na nią źli. Jess miała już dość kłótni - zbyt wiele ostatnio ich przeżyła.

Jej wzrok przyzwyczaił się do ciemności, więc rozglądała się po niewielkim pokoju. Może to wcale nie byłby taki głupi pomysł, gdyby po nią tutaj przyjechali. To miejsce trudno było nazwać Ritzem. Powinna była zadzwonić do tego schroniska dla zwierząt, zanim tutaj przyjechała - niezbyt mądre okazało się wskoczenie do pociągu bez sprawdzenia, czy są jakieś wolne miejsca. Oliver najpierw sprawdziłby właśnie to. Tęskniła za nim. Żałowała, że usunęła jego wiadomości, bo wtedy mogłaby posłuchać jego głosu. Wcisnęła jakiś przycisk w telefonie i wyświetlacz podświetlił się, pokazując godzinę: za kwadrans szósta. Było zbyt wcześnie, by pisać albo dzwonić. Wszyscy jeszcze śpią. A poza tym wiedzieli, że Jess nie robi przecież nic niemądrego. Poczeka jeszcze trochę, a dopiero potem zadzwoni.

Tom wszedł do pokoju Jess z dwoma kubkami herbaty. Nie przyniósł nic do jedzenia, bo nie było sensu. Ani on, ani Abby nie byli w stanie niczego przelknąć.

- Usiądź i napij się herbaty - rzekł łagodnie do Abby. Dodał do niej mleko i cukier. Musiała czymś się wzmocnić.

- Sądziłam, że bardzo spodoba jej się ten pokój - rzekła Abby lekko nieobecny tonem. - Pamiętasz, jak oglądaliśmy ten dom po raz pierwszy? Pomyślałam wtedy, że Jess spodoba się ten pokój, bo przez okno widać wiśnie. Pomyślałam, że wygląda jak pokój z jednej z tych książek, które czytałam jako dziecko. Zawsze chciałam taki mieć.

Tom przypomniał sobie rodzinny dom Abby Nie był tam często - ostatni raz, kiedy jej matka była umierająca i przyjechali, by zabrać ją do szpitala. To był mały, nędzny dom bez żadnych luksusów. Ojciec Abby przepijał zawsze wszystkie pieniądze i nie stać ich było na nic lepszego. Z okna pokoju, w którym dorastała, nie było widać wiśni. Poczuł falę współczucia wobec żony. Tak bardzo się starała, by dać Jess to, czego sama nie miała jako dziecko, a jedyne, co on robił, to karał ją za te wysiłki. Tak bardzo się cieszyła, że mogła zarobić tyle pieniędzy, by kupić ten piękny dom, a on w duchu przez cały czas miał o to do niej pretensje.

- Przepraszam, Abby - rzekł i naprawdę myślał to, co mówił. - Niezbyt dobry był ze mnie mąż, co? Ty się starałaś, jak mogłaś, by nas wszystkich uszczęśliwić, a ja tak bardzo byłem zazdrosny, że tego nie dostrzegałem. Przepraszam, tak bardzo cię przepraszam.

- To nie twoja wina - odparła tym samym nieobecny tonem. - Powinnam była widzieć, jak to na ciebie wpływa. Uważałam, że to super, że zarabiam więcej pieniędzy, że mogliśmy jeździć na lepsze wakacje i mieć większy dom, i w ogóle. Ponieważ nie miałam tego wszystkiego, gdy byłam dzieckiem, uważałam, że to ważne, ale to nieprawda. My byliśmy ważni; rodzina była ważna.

- Ale mogliśmy mieć przecież wszystko - odparł Tom.

- Kto powiedział, że nie mogliśmy być szczęśliwą rodziną i wieść wygodniejsze życie? To ja sobie z tym nie radziłem, nie ty. - Ujął jej dłoń i uściśnął ją mocno. - Moglibyśmy spróbować jeszcze raz, Abby. Jess byłaby uszczęśliwiona. W ten weekend, kiedy pojechaliśmy do Kent do Caroline i Phila, zapytała mnie, dlaczego nie możemy do siebie wrócić. Gdybym tylko powiedział jej wtedy, że możemy - rzekł z bólem - może nie musielibyśmy przeżywać tego, co teraz.

Abby spojrzała na niego zmęczonymi oczami.

- To nie ty zniszczyłeś nasze małżeństwo - rzekła.

- Ale to przecież nic nie znaczyło, prawda? - zapytał Tom.

Pomimo bólu i strachu, jakiego teraz doświadczała, Abby wiedziała, że jest to pytanie, na które musi udzielić poważnej odpowiedzi.

- Nie - odparła szczerze. - To nie miało żadnego znaczenia. Mówiłam ci już o tym i ty mi nie uwierzyłeś, ale taka jest prawda. I kocham cię, Tom. Zawsze cię kochałam. Podejrzewam, że trochę o tym zapomniałam, kiedy przechodziliśmy trudny okres i byliśmy zbyt głupi, by to dostrzec.

- Ja byłem zbyt głupi, by to dostrzec - zaprotestował Tom - ale ja też cię kocham, Abby. Może nam się udać, prawda?

Popatrzyła na niego ze smutkiem.

- Najpierw musimy przetrwać to, co teraz się dzieje, a dopiero potem będziemy myśleć o innych rzeczach. - Ale jej dłoń pozostawała w dłoni męża.

I pomyśleć, że tak przejmowała się tym, że ludzie wiedzą o rozstaniu jej i Toma. To była jedynie kropla w morzu w porównaniu z bólem, jaki czuła na myśl o Jess, samotnej i przerażonej. Najgorszy był strach przed nieznanym.

- Zrobić ci śniadanie? - zapytał Tom. - Mogę ci przygotować koktajl owocowy.

Abby uśmiechnęła się do niego.

- To miłe z twojej strony - rzekła. - Ale nie jestem w stanie nic przełknąć.

- Wiem. Ze mną jest tak samo, ale powinniśmy coś zjeść, żeby się wzmocnić.

- Chyba wyjdę na dwór - rzekła Abby

Nie wiedziała dlaczego, ale nagle ogarnęła ją chęć wyjścia do ogrodu. Był piękny słoneczny poranek i ściany tego domu zdawały się zamykać wokół niej. Może na zewnątrz poczuje się lepiej.

Usiadła na schodkach prowadzących na patio, a Tom przysiadł obok niej. Siedzieli ramię w ramię i patrzyli na ogród. Na trawie błyszczały krople rosy, przez co ogród wydawał się cały obsypany diamentami. Abby pomyślała o tych wszystkich porankach, kiedy patrzyła na to przez okno w kuchni i nie doceniała wszystkich dobrych rzeczy w swoim życiu.

- Jesteśmy złymi rodzicami? - zapytała Toma. Potrząsnął głową.

- Nie - odparł. - Straciliśmy czujność, ponieważ tak bardzo pochłonęły nas własne problemy.

- Gdybyśmy tylko mogli cofnąć czas - westchnęła Abby.

Tom objął ją ramieniem i mocno przytulił.

- Musimy mieć nadzieję - oświadczył. - Nie ma jej dopiero niecałą dobę. Możliwe, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Musimy po prostu mieć nadzieję.

- Tak właśnie mówiliśmy w przypadku Sally - rzekła powoli Abby.

Przez drzwi na patio wyszedł Wilbur i zatrzymał się przed nimi, strosząc puszysty ogon, a jego duże szare oczy zdawały się pytać: „Co się tutaj dzieje?”. Abby ledwie była w stanie patrzeć na kota. Tak bardzo przypominał jej o Jess.

- Chciała, żebyśmy pozwolili jej wziąć tego szczeniaka ze schroniska. Uznałam, że to będzie zbyt duży kłopot i że w końcu się nim znudzi, i wtedy ja albo ty będziemy się musieli nim opiekować, więc odmówiłam. Och, Tom. - Odwróciła się i z płaczem wtuliła twarz w jego pierś. - Dlaczego się nie zgodziłam?

Szlochała tak głośno, że ledwie usłyszał dźwięk SMS-a, który przyszedł na jej leżącą w kuchni komórkę. Zerwali się na równe nogi i popędzili do kuchni. Chwyciła telefon drżącymi rękami.

- O mój Boże! - zawołała. - O mój Boże, Tom. To Jess.

„Cześć, mamoo” - napisane było w wiadomości. - „Przepraszam, że wyjechałam. Nic mi nie jest. Musiałam po prostu to zrobić. Zadzwoni do mnie, to porozmawiamy. Buziaki, Jess”.

- Och, Tom - rzekła Abby drżącym głosem.

- Daj mi go. - Wziął od niej telefon i szybko wystukał numer komórki Jess.

Odezwał się zaspany głos.

- Jess - rzekł, starając się trzymać telefon w taki sposób, by Abby także słyszała.

- Cześć, tato - odparła. Poczula się lepiej, kiedy wysłała SMS-a, i pomyślała sobie, że może jeszcze się zdrzemnie. - Co się dzieje, że do mnie dzwonisz?

Tom się roześmiał.

- Kochanie, nic ci nie jest? - zapytała z niepokojem Abby.

- Nie, mam, wszystko w porządku - odparła Jess. - Przepraszam, że wyjechałam. Potrzebowałam po prostu po-
być sama i...

- To nie ma znaczenia - przerwała jej matka. - Nic nie ma znaczenia, jeśli tylko tobie nic się nie stało. Gdzie je-
steś? Chcemy po ciebie jechać.

Tom przyciągnął telefon z powrotem do siebie.

- Och, mogę wrócić autobusem do Cork, a stamtąd do Dunmore. - zaproponowała Jess. - Tak właśnie się tutaj
dostałam.

- Nie ma mowy Mama i ja przyjedziemy po ciebie. Powiedz mi, gdzie jesteś.

- Nie będziecie na mnie źli? - zapytała Jess drżącym głosem.

Tom, który od bardzo dawna nie płakał, poczuł, jak do oczu napływają mu łzy.

- Nie, skarbie, nie będziemy na ciebie źli. Jesteśmy szczęśliwi, że nic ci nie jest.

Po kilku godzinach beztróskiego snu Jess zadzwoniła w czasie przerwy między lekcjami do Steph.

- Moi rodzice zamordowaliby mnie, gdybym wycięła taki numer - oświadczyła jej przyjaciółka, kiedy Jess opo-
wiedziała o wszystkim. - Przecież zaangażowana była w to policja i w ogóle. I - zrobiła pauzę - zabijesz mnie za to, Jess,
ale powiedziałam twojej mamie o Saffron i tych SMS-ach.

- Szkoda, że to zrobiłaś - westchnęła Jess.

- Myślałam, że może dlatego uciekłaś.

- Nie. Chodziło o dużo rzeczy, ale tak naprawdę przyczynił się do tego Oliver i impreza. Saffron mi powiedziała,
że chodzi ze mną tylko dlatego, że się nudzi, i że uważa mnie za dziecko, ponieważ nie chcę uprawiać z nim seksu, i
zapytała, czy nie wiedziałam o tym.

- Och, Jess, ty beznadziejna kretynko - oświadczyła gniewnie Steph. - Powinnaś wiedzieć, że nie należy słuchać
Saffron. Jest o ciebie zazdrosna. Zach się dowiedział, że zawsze podobał jej się Oliver, ale on nigdy nie był nią zaintere-
sowany. Wydaje mi się, że zaczyna jej się trochę nudzić uroczy Ian, głównie dlatego, że jest głupi jak but. Jestem pewna,
że pomyślała sobie, iż jeśli doprowadzi do waszego rozstania, będzie miała u niego szansę.

- Chyba nie mówisz poważnie? - zapytała Jess i poczuła przypływ nadziei.

- Czy zapytałaś o to Olivera, zanim dałaś nogę z imprezy? Czy też od razu uwierzyłaś słowom Saffron?

Jess musiała ze wstydem przyznać, że uwierzyła słowom Saffron. Dlaczego uwierzyła jej, dziewczynie, która ją
prześladowała, zamiast Oliverowi?

- Paranoja to straszna choroba - orzekła ponuro Steph.

- Są lekarstwa dla ludzi takich jak ty, wiesz?

- Czuję się jak idiotka - jęknęła Jess. - I rodzice naprawdę powiadomili policję? Dlaczego? Przecież im zostawi-
łam list i w ogóle.

- List? Opuzczasz dom, wagarujesz, nie mówiąc nikomu, dokąd się udajesz, i spodziewasz się, że ucieszy ich
krótki list? Jess, halo! Wczoraj wieczorem zjawili się u nas w domu gliniarze. Moja matka się wściekła, kiedy się dowie-
działa o Saffron i wiadomościach. Oświadczyła, że obie powinnyśmy być powiedzieć twojej mamie o tym, co się dzieje.
Odparłam, że nie mogłyśmy jej przecież powiedzieć *wszystkiego*, bo jeszcze dostałaby zawału.

Jess zachichotała.

- Chyba tego jej nie powiedziałaś, co? - zapytała.

- Cóż, byłam zdenerwowana - zaprotestowała Steph.

- Martwiłam się o ciebie. Przez cały dzień dzwoniłam, a ty nie odbierałaś. A tak w ogóle, to gdzie jesteś?

Jess opowiedziała jej, dokąd się wybrała.

- I rodzice przyjadą tam po ciebie?

- Tak - odparła Jess. - Masz pewnie rację. Zabiją mnie albo dadzą mi szlaban na resztę życia.

- Zadzwoń do Olivera? - zapytała Steph.

- Jak mogłam to zrobić po tym wszystkim?

- Skoro policja była wczoraj w moim domu, na pewno zjawili się także u Olivera, więc wie, że zaginęłaś, i na pewno także martwi się o ciebie.

Jess się wzdygnęła.

- Nie przyszło mi to do głowy - przyznała. - Zostałam list, by uniknąć tego całego zamieszania - dodała. - Napisałam, że wyjeżdżam na kilka dni. Nie sądziłam, że zrobią taki raban.

- Zadzwoń teraz do Olivera - poradziła jej Steph. - Bo kiedy dorwą cię mama i tata, na pewno skonfiskują ci telefon i już nigdy nie będziesz z nim mogła porozmawiać i przeprosić. Tak sobie myślę, że kupię ci gołębia, bo to będzie jedyny sposób, w jaki będziesz mogła komunikować się ze światem.

- To wcale nie jest zabawne.

- Po to właśnie ma się przyjaciół - stwierdziła radośnie Steph. - Muszę lecieć, jest już po dzwonku.

Jess знаła plan lekcji Olivera równie dobrze jak własny. W tej właśnie chwili miał matematykę. Zadzwoń do niego, zakładając, że będzie miał wyłączony telefon i zostawi mu wiadomość. Nie była pewna, co mu powie, ale z pewnością bardzo przeprosi.

Ku jej zdziwieniu Oliver odebrał po drugim sygnale.

- Jess!

- Eee... cześć, Oliver - wyjąkała z zaskoczeniem. - Myślałam, że nie odbierzesz. Masz teraz matkę, prawda?

- Jak mogę siedzieć na matmie, skoro ty zaginęłaś? - zapytał ostro.

- Już się odnalazłam - odparła Jess. - Ja tylko wyjechałam na trochę sama. - Kiepsko to zabrzmiało. - Przepraszam, Oliver. Przepraszam za tamten wieczór. Byłam głupia, wiem.

- Ale nic ci nie jest, co?

- Nie, wszystko okej. Czy u ciebie także była wczoraj wieczorem policja?

- Tak. I gdybyś nadal pozostawała zaginiona, jestem pewien, że by wrócili i przeszukali dom. I gdyby znaleźli ten zakrwawiony kij do baseballa, wtedy dopiero miałbym kłopoty - zażartował.

- Och, Oliver, tak bardzo mi przykro. - Przez tę całą ucieczkę sporo się musiała teraz naprzeczować. - Wynagrodzę ci to. No cóż - dodała - zrobię to, jeśli w ogóle pozwolą mi wyjść jeszcze z domu. Steph twierdzi, że moi rodzice albo mnie zamordują, albo dadzą mi szlaban na zawsze.

- Założę się, że nie - odparł Oliver. - Będą szczęśliwi, że mają cię z powrotem w domu. Tak jak i ja - dodał.

Jess zarumieniła się z radości.

- Będziesz się cieszył z mojego powrotu mimo tego wszystkiego? - zapytała.

- A jak myślisz? Tak czy inaczej będziesz musiała mi opowiedzieć o tym, co się zdarzyło tamtego wieczoru. Odrobiłem od zmysłów, kiedy nie mogłem cię znaleźć, i jedyne, co miałem, to ten durny SMS. Wsiadłem do taksówki i

pojechałem do ciebie, ale wszystkie światła były zgaszone i nie chciałem dzwonić do drzwi i wszystkich budzić. Nie wiedziałem, co zrobić, tak bardzo się martwiłem, że nie dotarłaś bezpiecznie do domu.

- Przyjechałeś w sobotę pod mój dom?

- Tak.

- Och, Oliver. - Ścisnęło jej się gardło. - To takie słodkie. Nie mogę się doczekać, żeby cię zobaczyć.

Przy bramie przed wjazdem do hostelu znajdował się stary pniak, na którym zaskakująco wygodnie się siedziało. Jess czekała na przyjazd rodziców. Wcześniej przygotowała sobie w obskurnej kuchni śniadanie i uznała, że poczeka na zewnątrz. „Steph miała rację: na pewno mnie zabiją”, pomyślała. Jak mogła im wyjaśnić, że wcale nie miała zamiaru przestraszyć ich ucieczką i że po prostu w tamtym momencie było koszmarnie, a wyjazd wydawał się jedynym rozsądnym pomysłem? Ani mama, ani tata tego nie rozumieją.

Steph wciąż przysyłała jej SMS-y: „Dojechali już?”, „Bądź dzielna. Napisz do mnie po wszystkim”, „Rozmawiałaś już z Oliverem?”.

Żadna z tych wiadomości nie dodawała Jess otuchy. Policja odwiedziła w domach jej przyjaciół, by sprawdzić, czy wiedzą, gdzie ona jest. Wyobrażała sobie, jak bardzo rodzice musieli być zdesperowani, skoro zaangażowali w to policję.

Jednak pomimo to czuła się szczęśliwa - Oliver jej wybaczył i nie mogła się doczekać, by się z nim spotkać. Czuła się jak idiotka, kiedy myślała o tej imprezie i o tym, jak szybko wyciągnęła niewłaściwe wnioski. Steph miała rację: jedyny sposób na typy takie jak Saffron to ignorowanie ich.

Jess właśnie była zajęta myśleniem o tym, że będzie traktować Saffron jakby była niewidzialna za każdym razem, gdy napotka ją na swojej drodze, kiedy się zorientowała, że zbliża się jeep mamy

- O Boże, jak ja to przeżyję? - mruknęła do siebie. - Jak nic mnie zabiją.

Jeep zatrzymał się tuż przy niej. Tata prowadził i jeszcze nie zdążył wyłączyć silnika, a drzwi od strony pasażera otworzyły się na oścież i z samochodu wyskoczyła mama.

- Och, Jess! Dzięki Bogu, że nic ci nie jest. Tak bardzo się o ciebie martwiliśmy. Chodź tutaj, niech ci się przyjrę. Wszystko w porządku? Jesteś pewna, że nic ci nie jest?

Zarzuciła ramiona na szyję Jess i mocno ją przytuliła. Jess poddała się uściskowi mamy i nagle, czując jak jej mama cała drży z emocji, zdała sobie sprawę z wagi tego, przez co kazała przejść rodzicom.

- Bardzo przepraszam, mamó - rzekła i rozplakała się. - Nie chciałam cię zranić. Musiałam po prostu wyjechać na trochę sama z powodu... z powodu wielu rzeczy.

Nagle tata też przy nich był, otaczając ramionami zarówno mamę, jak i Jess.

- Przepraszamy cię, Jess - rzekł, a jego głos wydawał się dziwnie ochryply. - Przepraszamy cię za to, przez co musiałaś przez nas przejść. Byliśmy tacy egoistyczni, myśląc tylko o sobie, ale powinnaś była powiedzieć nam o tym, co czujesz, i powinnaś była powiedzieć nam o prześladowaniu w szkole.

- Tak - przerwała mu gorączkowo Abby. - Jeśli dorwę tę całą Saffron, zamorduję ją! Właściwie to pojedziemy teraz do jej domu, by porozmawiać sobie z nią i jej rodzicami, tak jest!

- Nie - odparła pospiesznie Jess. - To nie z powodu Saffron uciekłam. To po prostu... wszystko. Wszystko się na to złożyło.

- No cóż, zamierzamy zająć się tym wszystkim - rzekła stanowczo mama, wycierając oczy.

- Ale policja... - zaczęła Jess, zastanawiając się, w jak wielkich znalazła się kłopotach.

- Cieszę się, że jesteś cała i zdrowa - odparł Tom. - Zadzwoniliśmy do nich po twoim telefonie. Powiedziałem im, że nie chciałaś powodować takiego zamieszania i że porozmawiamy z tobą.

- Przepraszam, przepraszam. - Jess czuła się teraz jeszcze gorzej.

- Była nawet wzmianka o tobie w gazetach - rzekł tata - ale ostatecznie nie pojawiłaś się we wczorajszych wiadomościach w telewizji.

- W telewizji? - zapytała zaszokowana Jess.

- Zniknęłaś - wyjaśniła jej matka. - Policja potraktowała to bardzo poważnie, dzięki Bogu.

- Ale dlatego właśnie zostawiłam list - jęknęła Jess. - Napisałam ci, że nic mi nie będzie i że zadzwonię.

- Jesteś niepełnoletnia - rzekł jej ojciec. - To wystarczy, by policja zaczęła cię szukać, i cieszę się, że to robili. Nie wiem, jak twoja matka i ja dalibyśmy sobie radę bez ich wsparcia.

- Tak bardzo przepraszam - powtórzyła.

- Wszyscy przepraszamy - rzekł tata. - Wiemy, że jesteś pod ogromną presją i to także nasza wina. - Włożył plecak

Jess do bagażnika i wszyscy wsiedli do jeepa. - A może pojedziemy coś zjeść? - zaproponował. - Jestem głodny jak wilk. Mama i ja w ogóle nie byliśmy w stanie jeść.

- Fantastyczny pomysł - stwierdziła Jess. Ona także była głodna, gdyż wcześniej z nerwów prawie nic nie zjadła na śniadanie.

- Dokąd? - zapytała radośnie mama.

Siedząca z tyłu Jess ze zdumieniem przyglądała się, jak jej tata ujmuje dłoń mamy i ścisną ją.

I wymienili taki rodzaj spojrzenia, jakiego Jess już dawno u nich nie widziała. Oparła się i nie odezwała ani słowem, przestraszona, że mogłaby zniszczyć tę magiczną chwilę. Czy to możliwe, że mama i tata znowu byli razem? Ledwie śmiała mieć nadzieję. Znaleźli niedrogą i wesołą restaurację niedaleko hostelu i weszli do środka. Natychmiast poczuli zapach frytek. Usiedli we trójkę i Jess zauważyła, że dłoń jej mamy odnalazła pod stolikiem rękę taty. Musiała coś powiedzieć.

- Wiem, że jestem w paskudnych tarapatkach, i pewnie będę miała szlaban na resztę życia i obietnicie mi kieszonkowe, i przykujecie do kaloryfera - zażartowała - ale czy moglibyście potraktować mnie jak wystarczająco dorosłą, by mi o czymś powiedzieć? - Popatrzyła znacząco na złączone dłonie rodziców.

Abby drugą ręką ujęła dłoń córki.

- To my byliśmy głupi, Jess - rzekła. - Nie ty. Ty jedynie uciekałaś, kiedy wszystko stało się zbyt trudne. My uciekaliśmy o wiele dłużej. Ciebie nie było tylko dwadzieścia cztery godziny. Twój tata i ja uciekaliśmy od siebie i od rzeczywistości od wielu miesięcy.

- I uświadomiliśmy to sobie dzięki tobie, Jess - dodał poważnie tata. - Dużo myślałem o tym, co usłyszałem od ciebie u Caroline. Nie można powiedzieć o mnie, że byłem idealnym mężem, prawda?

Abby słuchała w milczeniu.

- Powiedziała mi kilka oczywistych prawd - kontynuował, mówiąc teraz do Abby - o tym, jak miałem ci za złe twoją karierę. Ty też mi to mówiłaś i obie miałyście rację. Tak właśnie było, i przepraszam. Pracowałeś dla nas wszystkich, by lepiej nam się żyło, a ja potrafiłem być tylko zazdrosny.

Spojrzał na Abby i Jess była uszczęśliwiona, kiedy się przekonała, że jest to spojrzenie pełne uczucia, tak jak kiedyś. Przez tak długi czas rzucali sobie jedynie ostre spojrzenia - mama laserowe, tata zaś odpowiadał gniewnym wzrokiem, z wyrazem napięcia na twarzy. Teraz było inaczej - teraz wyglądał tak, jak przed laty Wyglądał, jakby znowu kochał mamę.

- A więc wszystko dzięki mnie? - zapytała impertynencko Jess.

Mama roześmiała się głośno. Tego dźwięku Jess także już dawno nie słyszała.

- To wszystko dzięki tobie. Ale nie myśl sobie, że twój wybryk ujdzie ci płazem, moja panno - dodała, w udawany sposób grożąc jej palcem. - Nie masz pojęcia, jak bardzo się o ciebie zamartwialiśmy. Pomyśl tylko: za kilka godzin mieliśmy zamiar zaalarmować wszystkie programy nadające wiadomości, że zaginęłaś.

Jess wzdrygnęła się na tę myśl.

- Nie chciałam, żebyście tak się martwili, powiadamiali policję i w ogóle.

- Wiem, że nie chciałaś - odparła jej matka - i wiem, że masz szesnaście lat i potrafisz się o siebie zatroszczyć, ale jeszcze nigdy nie wyjechałaś sama w taki sposób, nie mówiąc nam dokładnie, dokąd się wybierasz, więc się martwiliśmy, bardzo się martwiliśmy. Proszę, nie rób nam już nigdy czegoś takiego.

- Nie zrobię, obiecuję - oświadczyła Jess - ale tylko wtedy, jeśli wy mnie nie będzie stresować!

- Spokój, spokój - błagał Tom. - Złóżmy zamówienie.

Jednak Jess chciała mieć pewność, że wszystko wróciło do normalności.

- Wprowadzisz się z powrotem do domu, tato? - zapytała otwarcie. - Nie rozwiedziecie się?

Jej rodzice popatrzyli na siebie. Podczas tego czasu, który spędzili razem, zamartwiając się o Jess, tak naprawdę nie rozmawiali o powrocie Toma do domu ani o rezygnacji z usług prawników. Tej nocy wystarczyło, że znowu byli sobie bliscy, że rozmawiali w taki sposób jak kiedyś. Abby czekała na to, co powie Tom. Pamiętała, jak zachował się wcześniej, kiedy poprosiła go, by wrócił. Nigdy nie zapomni, jak ją to wtedy bolało. Odrzucił jej propozycję. Powiedział, że prędzej piekło zamarznie, nim on wróci. Co gorsza, odmówił wzięcia na siebie jakiegokolwiek odpowiedzialności za problemy w ich małżeństwie.

Aż do teraz. Ledwo wierzyła własnym uszom, kiedy przyznał się do winy, ale kolejny krok także należał do niego. Pokazała mu, że go kocha i że bardzo by chciała naprawić ich małżeństwo. Jednakże on musiał mieć świadomość tego, że trzeba dwojga, by zniszczyć małżeństwo - i dwojga, by je odbudować.

Abby zobaczyła, że kelnerka mierzy ich wzrokiem. Za chwilę się tu znajdzie i czar prysnie.

- Bardzo chciałbym wprowadzić się z powrotem - oświadczył Tom, dodając z lekkim wahaniem - jeśli twoja mama się na to zgodzi. Zgodzisz się, Abby? - zapytał cicho.

- Mogę przyjąć zamówienie? - zapytała kelnerka.

Abby popatrzyła na męża i córkę, a na jej wyczerpanej twarzy pojawił się pełen szczęścia uśmiech.

- Tak - rzekła z głębi duszy

- Co więc w takim razie życzą sobie państwo? - ciągnęła kelnerka, z długopisem uniesionym nad notesem.

Troje członków rodziny Barton uśmiechnęło się do siebie szeroko. Jess uświadomiła sobie, że jej rodzice są zbyt wzruszeni, by się odezwać, zrobiła więc to za nich.

- Frytki dla wszystkich - oświadczyła. - I trzy wegetariańskie pizze.

Rozdział trzydziesty czwarty

Z Debrą wcale nie mieszkano się łatwiej. Od czasu tego katastrofalnego spotkania dwóch rodzin nie było już żadnej nadziei na jej pogodzenie się z Barrym i Lizzie przekonywała się na własnej skórze, że łyzy pojawiały się na samo wspomnienie o nim.

- Uważam po prostu, że powinnaś się z nim spotkać, tyle ci radzę - mówiła kojąco. - Co nie znaczy, by to on miał rację, a nie ty.

- Ty nie rozumiesz - szlochała Debra. - On mnie okłamał. W dniu naszego ślubu mówił mi, że mnie kocha, a teraz okazuje się, że w ogóle go nie chciał. Nie umiem mu tego wybaczyć. Zdradził mnie, i to w dodatku publicznie. Jak możemy teraz to wszystko cofnąć? No jak?

Jej matka nie знаła odpowiedzi na to pytanie.

Jedynie zakupy i wieczory poza domem poprawiały Debrze humor. Spodziewała się, że jej matka, choć zazwyczaj zmęczona po pracy w przychodni i w tej dobroczynnej organizacji, którą założyła z Erin ku pamięci Sally, zapewni jej zarówno rozrywkę - mógł to być pub, restauracja albo po prostu coś na wynos i wideo - jak i fundusze. Po niedługim czasie Lizzie się przekonała, że jej konto w banku jest w stanie doprawdy opłakanym. Sprzedaż kosmetyków w trakcie wieczornych przyjęć wydawała się jedynym sposobem na to, by związać koniec z końcem - albo sprzedaż kosmetyków, albo sprzedaż jej ciała, a jakoś nie mogła sobie wyobrazić, by to drugie mogło się okazać szczególnie lukratywnym przedsięwzięciem.

Co gorsza, zbliżały się jej pięćdziesiąte urodziny, które obchodziła pod koniec września, a nie zrobiła prawie żadnej z „Rzeczy do zrobienia...”, co wcześniej planowała. A więc to by było na tyle, jeśli chodzi o zagadywanie mężczyzn dla samej tylko przyjemności czy zrobienie czegoś szalonego. Skok spadochronowy był jednorazową dawką ekscytacji i nie wróciła tam. Simon pomyślałby, że wtedy tylko się z nim drażniła. Wiedziała, że powinna do niego zadzwonić, ale nie mogła się zebrać na odwagę. Miałaby zresztą święte prawo rzucić słuchawką, skoro przez tyle czasu ona zupełnie go ignorowała. A jaki miało sens dzwonienie do niego, by przeprosić i spróbować wszystko naprawić, skoro Debra nadal jej potrzebowała? Tak więc starała się w ogóle o nim nie myśleć, bo jeśli wspominała, jak dobrze się z sobą dogadywali i jak bardzo jej się podobał, ogarniało ją dojmujące poczucie straty.

Po latach myślenia, że nigdy nie pozna mężczyzny, który jej się spodoba i któremu spodoba się ona, to marzenie się spełniło, a ona wszystko schrzaniła.

- Mogłybyśmy wybrać się dzisiaj do tej nowej restauracji na Castle Street - zaproponowała Debra w czwartkowy wieczór, kiedy Lizzie wyjątkowo długo pracowała i pragnęła jedynie wyciągnąć się na sofie i oglądać seriale. - Podobno mają tam fantastyczne jedzenie.

- Dobrze - odparła jej matka, wchodząc do domu po ekspresowej wyprawie po pracy do supermarketu. Włożyła do lodówki udka kurczaka, które kupiła na kolację, i wypakowała resztę zakupów, zastanawiając się, jak jej się uda wcisnąć stopy z powrotem w buty Rano listonosz przyniósł dwa rachunki: niebotycznie wysoki za telefon i ostre w tonie wezwanie do zapłaty za prąd.

Zadzwoił telefon i Debra rzuciła się w jego kierunku. Ostatnio rzadko dzwonił ktoś do Lizzie, więc zdziwiła się lekko, kiedy usłyszała:

- Ciocia Gwen do ciebie!

„Gwen nie ma zwyczaju dzwonić dwa razy tego samego dnia”, pomyślała Lizzie - rozmawiała już dzisiaj z siostrą, gdy była w pracy Ostatnimi czasy dobrze rozmawiało jej się z Gwen. Nie było między nimi tego ciężkiego milcze-

nia, jak z Debrą, kiedy Lizzie ważyła każde słowo, na wypadek gdyby miała powiedzieć coś niewłaściwego. Jeśli rzeczywiście powiedziała coś nietaktownego, jej siostra śmiała się jedynie i nigdy nie obrażała.

- Shay ma dziś pokerowy wieczór i pomyślałam sobie, że zajrzę do was, by zobaczyć, co słyhać. Mówiłaś, że nigdzie nie wychodzicie.

- Cóż, jednak wybieramy się na kolację do miasta - odparła Lizzie, nie znosząc siebie za to, że jest takim mięczakiem. Wcześniej powiedziała Gwen o tym, jak bardzo jest wyczerpana i o zabójczych rachunkach.

Po drugiej stronie panowała cisza, którą po czterdziestu dziewięciu latach praktyki Lizzie potrafiła bez problemu rozszyfrować: „Jesteś zmęczona, jesteś splukana, a teraz wychodzisz, ponieważ Debra tego chce, a ty jej nie odmówisz”.

- Mogłabym wybrać się z wami - oświadczyła Gwen. Lizzie pomyślała z jękiem, że znalazła się między młotem a kowadłem. Tylko tego jej było trzeba.

W tej nowej restauracji wszystkie stoliki okazały się zajęte, więc Gwen zaprowadziła je do sąsiedniego pubu, „Rock's Tavern”, lokalu z wystrojem w stylu amerykańskiego rancza, gdzie kelnerki były ubrane w stroje kowbojek, a w tle rozbrzmiewała muzyka country.

- Cóż za urocze miejsce - rzekła Gwen, rozsiadając się radośnie przy jednym ze stolików. Następnie zrobiła coś, co w oczach Debry stanowiło dwie olbrzymie towarzyskie gafy: po pierwsze wysunęła zmęczone stopy z butów na płaskim obcasie i oparła je o sąsiednie krzesło, a po drugie zamówiła kufel portera.

Debra, której obecna obsesja na punkcie butów oznaczała, że na cześć wyjścia do nowej restauracji założyła kolejne niedawno kupione sandaalki, przyglądała się ciotce z przerażeniem. Ona by nigdy nie zamówiła czegoś takiego jak piwo Murphys, a jeśli chodzi o wystawianie lekko spuchniętych, niewypielęgowanych stóp na widok publiczny, cóż... była zbulwersowana.

Jednakże Gwen nie wydawała się dostrzegać niezadowolenia siostrzenicy - a jeśli nawet, miała je gdzieś.

- To jest życie, no nie? - westchnęła Gwen, opierając się o krzesło i pociągając duży łyk piwa. - Niewystarczająco często wychodzę wieczorami z domu, wiecie, dziewczyny? Może powinnam wziąć przykład z ciebie, Debro, i zostawić biednego, starego Shaya, tak żebym mogła sobie wychodzić na babskie wieczory.

Lizzie prawie się roześmiała na myśl o porzuconym Shayu i Gwen wiodącej życie singla. Debra z kolei wyglądała, jakby odrazą napawała ją myśl o jej ciotce, zastanawiającej się nad prowadzeniem życia dwudziestokilkulatki.

Gwen i Lizzie zamówiły frytki i kielbaski, ale Debra nie znalazła w menu niczego, na co by miała ochotę. Chętnie jedząca smażone śniadania w domu, podczas wyjść wołała zdrowsze, bardziej modne jedzenie.

- Nie mają tu nic, co lubię - oświadczyła z lekkim rozdrażnieniem, gdy przebiegła wzrokiem po kanapkach ze smażonym mięsem i pieczonych na głębokim tłuszczu potrawach z frytkami. - To wszystko pływa w cholesterolu - poskarżyła się. - Nie wiem, czemu musiałyśmy przyjść tutaj, zamiast iść do przyzwoitej restauracji.

Gwen pociągnęła kolejny łyk piwa.

- To miejsce dalekie jest od wyrafinowanych restauracji, do których jesteś przyzwyczajona. Czy ty to ta sama osoba, która oczekuje, że matka przygotowuje jej w każdy weekend wielkie, smażone śniadanie?

Lizzie przełknęła ślinę. Nie miała zamiaru skarżyć się Gwen na to, że Debra po dziecinnemu upiera się przy takich śniadaniach, ale chyba tak jednak zrobiła. Teraz Debra się obrazi i wieczór będzie zepsuty

Jednakże Debra była wystarczająco sprytna, by ze strony ciotki przyjąć więcej krytyki niż ze strony matki.

- Raz w tygodniu można jeść takie śmieci - rzekła lekko.

- A więc będziesz jeść smażone jedzenie, jeśli twoja biedna matka kupi je i na dodatek przygotowuje dla ciebie, ale jesteś zbyt wytworna, by jeść je na mieście, tak? - zapytała ostro Gwen.

- Nie - zaczęła Debra.

- A skoro już jesteśmy przy temacie kupowania jedzenia - kontynuowała Gwen, nie dając sobie wejść w słowo - kiedy masz zamiar zacząć płacić matce za to, że z nią mieszkasz? Karmi cię, a masz całkiem niezły apetyt jak na to całe utyskiwanie na cholesterol.

Lizzie skrzywiła się, ale nie było sensu zatrzymywać siostry, kiedy już nabrała rozpędu.

- Płaci rachunki za prąd, rachunki za ogrzewanie, hipotekę i co tam jeszcze, a ty mimo to oczekujesz od niej, że wstanie z łóżka w niedzielny poranek, by przygotować ci śniadanie. Kiedy to się w końcu zmieni, Debro?

- Och... ja... - wyjąkała Debra.

- Cóż, możesz sobie mówić „och” i „ja” - odparowała Gwen. - Czas najwyższy, by ktoś ci to powiedział, moja panno. Wstydzilibym się za ciebie, gdybyś była moim dzieckiem. Wykorzystujesz swoją biedną matkę, a ona jest splukana. Czy wiesz, że zastanawia się, czy nie podjąć drugiej pracy, by związać jakoś koniec z końcem? I dlaczego? - Gwen uczyniła dramatyczną pauzę. - Dlatego że każdego pensa wydała na to twoje cholerne wesele, a teraz pozwala ci się doić, choć sama całkiem nieźle zarabiasz.

Lizzie zmusiła się, by zerknąć na córkę. Debra wyglądała tak samo, jak podczas tego straszego obiadu pojedynkowego Croninów i Shanahanów.

- Gwen, nie mów już nic więcej - błagała Lizzie siostrę.

- Jesteś dla niej zbyt miękka, Lizzie - oświadczyła ostro Gwen. - Mówię to wszystko także dla twojego dobra. Od kilku miesięcy gryzłam się w język, ale coś trzeba w końcu z tym zrobić. Spójrz tylko na nią, siedzi sobie tutaj jak wielka dama i nawet nie sięgnie do portfela, by kupić nam coś do picia, a potem kręci nosem na tutejsze jedzenie.

- Nieprawda - zaprotestowała Debra.

- Ależ tak. Jesteś rozpieszczona, Debro, taki jest z tobą problem. Jesteś smutna z powodu Barry'ego i chcesz, by wszyscy inni też tacy byli. Czy dlatego właśnie wpadłaś w szał, kiedy twoja biedna matka przyprowadziła do domu swego nowego mężczyznę?

Lizzie wstrzymała oddech, czekając na atak Debry i pytanie, skąd Gwen o tym wie. Jednak jej córka milczała.

- Nie powinnam była tego robić - przyznała powoli.

- Nie, oczywiście, że nie powinnaś - warknęła Gwen. - Jak śmiesz wtrącać się do życia matki? Nie zasługuje na choć odrobinę szczęścia?

- Byłam rozstrojona i martwiłam się...

- ... o siebie. Gdyby twoja mama miała mężczyznę, nie byłabyś już w jej życiu numero uno, o to właśnie chodzi - oświadczyła Gwen. - Czas najwyższy dorosnąć, Debro. Twoja matka nigdy ci się nie sprzeciwia i ty ją wykorzystujesz. To się musi skończyć. A jeśli wrócisz do Barry'ego? Założę się, że pobiegłabyś do niego, nawet nie myśląc o tym, że zostawiasz matkę samą i że zmarnowała ona szansę na życie z tym mężczyzną.

- Ja nie... - zaczęła Debra.

- Jak to jest, że wszystkie twoje zdania rozpoczynają się od „ja”? - zapytała chłodno Gwen. - Ja, ja, ja. Nigdy nie myślisz o innych.

- Przepraszam, mam - rzekła Debra, zaczynając płakać.

- Wytrzymaj te łzy - ostrzegła Gwen. - Przestań traktować matkę jak wycieraczkę albo będziesz miała ze mną do czynienia.

- Ale jest mi przykro.

- W byciu przykro chodzi o coś więcej niż o wypowiedzenie tych słów - odparła jej ciotka. - Musisz pokazać, że tak jest naprawdę.

- Ale mama nigdy nic mi nie powiedziała - ciągnęła Debra.

- Ponieważ cię kocha i nie chce cię zranić. A jako że ty kochasz tylko siebie, pozwalasz jej na to.

- Przykro mi, mamu, naprawdę mi przykro. Nie pomyślałam o tym - zaszlochała Debra i choć raz brzmiało to szczerze. - Kocham cię i nigdy nie chciałabym cię zranić. - Wstała. Po jej ładnej twarzy spływały łzy. - Idę do toalety.

Lizzie zaczęła wstawać, by iść razem z nią, ale Gwen ją przytrzymała.

- Niech idzie - rzekła. - Nie możesz chronić jej przed wszystkim, Lizzie, zwłaszcza nie przed nią samą. Musi dorosnąć i zdać sobie sprawę z tego, że innych ludzi trzeba traktować z szacunkiem.

Lizzie westchnęła.

- Byłaś dla niej zbyt ostra - rzekła.

- Nie byłam. To ty jesteś dla niej zbyt łagodna, Lizzie. Niech nasza biedna matka spoczywa w pokoju, ale sporo w tym jej winy. To przez nią tak się bałaś, by nie być ostrą, że pozwalałaś Debrze na wszystko. To jest tak samo złe jak zbyt-
nia surowość. Trzeba znaleźć złoty środek.

- Jest taka załamana - rzekła ze smutkiem Lizzie.

- Debra jest znacznie silniejsza niż sądzisz. Jest jeszcze na tyle młoda, by się zmienić, a jeśli nie nauczy się tego teraz, już nigdy tak się nie stanie. Jeśli będzie bezkompromisowa i egoistyczna przez całe życie, czy to ją uczyni szczęśliwą?

- Nie - przyznała Lizzie.

Po kilku minutach Debra wróciła do stolika, a na jej policzkach nadal widać było ślady łez.

- To nie będzie zbyt przyjemny babski wieczór, jeśli będziemy się z sobą kłócić - odezwała się drżącym głosem.

Uścisnęła dłoń matki i jakoś udało jej się uśmiechnąć do ciotki. - Jesteście gotowe na następną kolejkę?

- Ty stawiasz? - zapytała Gwen.

Debra miała na tyle przyzwoitości, by się zaczerwienić.

- Tak - odparła.

Życie kontra Rak odniosło się bardzo pozytywnie do pomysłu Lizzie dotyczącego zachęcenia ludzi do oddawania skoków spadochronowych na cele dobroczynne, więc Erin umówiła się na spotkanie z koordynatorem na lotnisku ośrodka „Santa Monica”, by wszystko zorganizować.

Miała w planach jechać tam w środę razem z Lizzie, która bardzo denerwowała się możliwością wpadnięcia na Simona, ale w ostatniej chwili musiała się wycofać.

- Tylko troszkę podskoczyło mi ciśnienie - oświadczyła przez telefon - więc nie wiem, dlaczego lekarz chce, bym została w łóżku.

- Mam zadzwonić do Grega i powiedzieć mu, by przybił koldrę gwoździami do podłogi, żeby jakoś cię tam utrzymać? - przekomarzała się Lizzie, zdając sobie sprawę, jak ciężko jest Erin spokojnie usiedzieć w jednym miejscu.

- Mam tyle do zrobienia - jęknęła, myśląc o stercie dokumentów, nad którymi tak sumiennie pracowała, i wszystkich planach wymagających naprawdę wiele uwagi. Na szczęście znaleziono kogoś, kto ją zastąpi w salonie piękności, więc przynajmniej tym nie musiała już sobie zaprzętać głowy

- Ten ośrodek to projekt na dłuższą metę - przypomniała jej Lizzie. - Fakt, że kilka dni musisz leżeć w łóżku, nie stanie mu na przeszkodzie.

- Wiem, ale zostawiam tak dużo na twojej głowie.

I to była prawda. Poziom energii Erin oznaczał, że raczej wykonywała telefony niż chodziła po różnych instytucjach w Dunmore, próbując nakłonić je do wsparcia Ośrodka im. Sally Richardson. A odkąd do Lyonnois wrócili zarówno Jess, jak i Tom, było zrozumiałe, że Abby dużo czasu spędzała z rodziną.

- Niedługo wrócę i będę pomagać, obiecuję - przyrzekła Erin i Lizzie. - Ale potrzebujemy tego czasu jako rodzina. Tak cudownie jest budzić się rano i wiedzieć, że oboje są ze mną.

Abby nie była jednak zbyt zajęta, by nie pomóc Erin w organizowaniu przyjęcia z okazji pięćdziesiątych urodzin Lizzie, które miało być dla jubilatki niespodzianką. O tych planach oczywiście, nie wspomniała Lizzie. Poza tym trudno organizowanie przyjęcia nazwać ciężką pracą, a zarówno Tom, jak i Jess podsuwali jej różne fajne pomysły.

Lizzie w pełni rozumiała to, że Abby ma teraz inne rzeczy na głowie. „Dbanie o rodzinę - bez względu na to, co to dokładnie oznaczało”, pomyślała Lizzie, przypominając sobie Gwen rozprawiającą się z Debrą, „jest kwestią priorytetową”.

To, że Erin i Abby były pochłonięte czymś innym, oznaczało, że lwia część pracy spadła na Lizzie. Na szczęście bardzo ją lubiła.

W tej pracy ogromnym atutem okazywały się jej naturalna zdolność empatii i serdeczność. Nikt nie potrafił patrzeć w ciepłe oczy Lizzie, słuchając, jak opowiada o planach powstania ośrodka, a potem powiedzieć, że jego firma nie chce się w to zaangażować.

- Kiedy już wsuniesz nogę w drzwi, Lizzie, nie potrafia ci odmówić - oświadczyła radośnie Abby, gdy Lizzie opowiedziała jej o spotkaniu z legendarnym, nieustępliwym kierownikiem Hotelu Wiktoriańskiego w Dunmore. Stało na tym, że otrzymała obietnicę, iż Ośrodek im. Sally Richardson otrzyma siedemdziesięciopięcioprocentową zniżkę na wynajęcie sali balowej podczas ich pierwszej wielkiej imprezy.

- Jak udało ci się tego dokonać? - zapytała z podziwem Erin. - Ten facet jest podobno twardy jak skała. Radzono mi, żeby nie traciła czasu na rozmowę z nim i zamiast niego udała się do innych hoteli.

- Lizzie ma urok, oczy, którym nikt nie potrafi odmówić, no i jest olśniewająca - przekomarzała się Abby. - To jej sekret.

- Przestań - odparowała pogodnie Lizzie.

- Wszyscy do niej wzdychają, Erin - kontynuowała Abby - Żaden z tych rekinów biznesu nie może uwierzyć własnym oczom, kiedy zjawia się przed nim uroczą Lizzie. Sprzedaliby własne babcie, byle ją zadowolić.

- Nieprawda - rzekła Lizzie. Schlebiało jej to, że ktoś tak wyrafinowany jak Abby w ogóle coś takiego pomyślał, ale nawet przez chwilę nie wierzyła w to, że jej sukces podczas zbiórki pieniędzy miał coś wspólnego z nią osobiście.

- Ja się tylko przekomarzam - dodała Abby - Ale ten facet w hotelu to naprawdę ciężki przypadek, więc dobra robota. Jesteś fantastyczna w przekonywaniu ludzi, aby nam pomogli.

Lizzie uśmiechnęła się. W żadnym wypadku nie miała zamiaru powiedzieć dziewczynom, że ten mężczyzna przy pożegnaniu trzymał jej dłoń nieco dłużej niż było to konieczne oraz że oświadczył znacząco, że miło by było, gdyby pewnego dnia zajrzała do hotelu na kolację, tak by mogli porozmawiać o tej imprezie.

Ani trochę nie była nim zainteresowana. Westchnęła. Był tylko jeden mężczyzna, z którym miała ochotę ponownie się spotkać, i miała nadzieję, że tak właśnie się stanie, kiedy wybierze się do szkoły latania „Santa Monica”.

W środę strasznie długo przygotowywała się do wyjścia. To w końcu było spotkanie biznesowe, ale stwierdziła, że nie stanie się nic złego, jeśli będzie wyglądać przy tym ładnie. Założyła różowy, miękki sweter i wąskie, granatowe spodnie, mając nadzieję, że wygląda w ten sposób profesjonalnie i przystępnie. Jednak trochę puszyły jej się włosy - przydałby się jej teraz któryś z kosmetyków Debry do ich prostowania.

W pokoju Debry stos niemal spakowanych walizek i karton pełen różnych drobiazgów stanowił dowód, że jej córka w weekend planowała się wyprowadzić. Współlokatorka jej przyjaciółki Friedy wyjeżdżała na pół roku do pracy za granicę, więc Debra miała na ten czas zająć jej pokój.

Piękny dom Debry i Barry'ego miał zostać wynajęty. To było rozsądniejsze wyjście, jako że na jego sprzedaży w chwili obecnej nic by nie zarobili, może zaś stanowić dla nich obojga inwestycję na przyszłość.

- Poza tym nie chciałabym się go pozbywać. Głupie to, prawda? - stwierdziła Debra, kiedy opowiedziała matce o ich planie.

Lizzie potrząsnęła głową. To miało sens. Była dumna ze sposobu, w jaki Debra obecnie radziła sobie ze wszystkim, ale nadal miała cichą nadzieję, że czas i odległość pomogą jej córce i Barry'emu przezwyciężyć nieporozumienia.

Barry zjawił się nawet pewnego wieczoru, by porozmawiać o wynajmie domu, i atmosfera towarzysząca jego wizycie była oddalona o lata świetlne od tej, jaka panowała podczas ostatniego spotkania jego i Debry. Debrze udało się być wobec niego grzeczną i rzeczową, choć po jego wyjściu wyplakiwała się w ramię matki.

- Przepraszam, mamó - rzekła, ocierając łzy - Nie chciałam zawieść ciebie i taty tym wszystkim. Tak bardzo mi przykro.

Widząc, jak wiele bólu sprawia to córce, Lizzie czuła złość na siebie za to, w jaki sposób przez te wszystkie lata obchodziła się z Debrą. Gdyby tylko ona i Myles tak bardzo jej nie rozpieszczali, może wszystko wyglądałoby teraz inaczej. Szkoda, że Debra musiała dorosnąć dopiero teraz, w wieku dwudziestu trzech lat. Ostre uwagi Gwen nie podziały na nią druzgocąco, jak spodziewała się Lizzie. Zamiast tego jej córka usiadła i poważnie przemyślała swoje dotychczasowe zachowanie.

- Nie zmieni się w ciągu jednej nocy - rzekła Gwen, kiedy Lizzie oświadczyła jej, że od tamtego wieczoru w „Rock's Tawern” z Debrą mieszka się znacznie łatwiej. Tak czy inaczej nowa, ulepszona Debra nie dawała się porównać z jej humorzastą, dziecinną wersją z kilku ostatnich miesięcy.

W wielkiej kosmetyczce, która stała na toalecie Debry, Lizzie znalazła fluid do włosów i spróbowała wprowadzić nieco ładny do swej puszystej fryzury

Nałożyła błyszczący, który komponował się z kolorem swetra, po czym go starła, bojąc się, że będzie to zbyt ostentacyjne.

Możliwe, że w ogóle nie spotka tam Simona, ale gdyby tak się stało, chciała wyglądać ładnie - choć nie tak, żeby było widać, że za bardzo się starała.

Gwen zadzwoniła w chwili, gdy Lizzie kierowała się ku drzwiom.

- Cześć. Co porabiasz?

- Wybieram się na spotkanie w sprawie ośrodka - odparła nieco wymijająco.

- A dokąd? - zapytała z zainteresowaniem Gwen. Zafascynował ją ten cały ich plan i zdążyła już zaoferować swoją pomoc.

- Eee... Jadę rozmawiać z ludźmi z ośrodka spadochroniarskiego o poświęceniu jednego weekendu wyłącznie na cele dobroczynne - przyznała się Lizzie, wiedząc bardzo dobrze, że Gwen doda zaraz dwa do dwóch.

- Och - rzekła Gwen z nutką nieprzyzwoitości w głosie. - Czy to nie tam właśnie pracuje ten apetyczny Simon? Jesteś cała zwarta i gotowa?

- Przestań, Gwen - ostrzegła Lizzie, ciesząc się, że siostra jej teraz nie widzi. Jej twarz zrobiła się różowa, pasując kolorystycznie do swetra. - To po prostu znajomy. Dzisiejsze spotkanie ma charakter czysto służbowy A poza tym - dodała, jakby było to czynnikiem decydującym - jestem zbyt stara, by umawiać się na randki.

- To mówi Debra czy Lizzie? - zapytała Gwen.

- To mówi zdrowy rozsądek - odparła ze złością Lizzie, żałując, że w ogóle powiedziała siostrze o Simonie i ich nieudanej randce.

- Schowaj sobie w tyłek zdrowy rozsądek - oświadczyła zwięźle Gwen.

Lizzie była zdumiona. Gwen nie należała do kobiet, które używały takiego języka.

- Dlaczego kobieta w twoim wieku nie może umówić się na randkę? - zapytała ostro. - Jesteś w pełni władz umysłowych, masz wszystkie zęby, i z tego co mi wiadomo, nie masz jeszcze zaklepanego łóżka w domu starców. Co nie znaczy, by to stanowiło przeszkodę - dodała. - Popatrz tylko na Myrę, która kiedyś mieszkała obok mnie. Udała się do „Cienistych Sosen” cała nieszczęśliwa z powodu śmierci biednego Howarda i jęcząca, że niedługo też odejdzie za nim z tego świata, a właśnie się dowiedziałam, że w przyszłym miesiącu wychodzi za mąż za Oswalda, którego poznała na zajęciach z wyplatania koszy Nigdy nie jest się zbyt starą - zakończyła swe kazanie.

- Cieszę się razem z Myrą - rzekła Lizzie. - Muszę wysłać jej kartkę z życzeniami.

- Nie pozwól, by opinie Debry przysłoniły twoje - kontynuowała Gwen. - A poza tym, skoro jest teraz zupełnie inną kobietą, jest wystarczająco duża, by zająć się sobą i pozwolić ci prowadzić własne życie.

- No bo jest - zaprotestowała Lizzie. - W najbliższy weekend wyprowadza się i przeprosiła za wszystko. Naprawdę rozpoczęła nowy rozdział w życiu.

Gwen prychnęła.

- Mam nadzieję, w przeciwnym wypadku otrzyma ode mnie następny wykład. Czy ten cały Simon będzie tam dzisiaj?

- Wątpię - odparła nonszalancko Lizzie, tak jakby wcale nie wystroiła się w nadziei, że go spotka.

- Cóż, jeśli go spotkasz, przeproś go za to, że nie oddzwoniłaś, i umów się z nim.

- Umówić się z nim? - Cały świat stanął na głowie, uznała Lizzie, skoro jej porządna siostra każe jej się umawiać z mężczyznami. - Nie mogę tego zrobić - dodała. - Po czym przypomniała sobie o „Rzeczach do zrobienia...”, nadal leżących gdzieś na dnie jej torebki. Umówienie się z mężczyzną znajdowało się na tej liście. No i co z tego, kupienie sobie samej biżuterii także, a jakoś nie udało jej się tego zrobić. Podejrzewała, że może i jakoś udałoby jej się zaprosić go na randkę, ale najpewniej nie byłby zainteresowany. Wcześniej był chętny, ale zniszczyła to wszystko, wycofując się. Wątpliwe, by w ogóle miał ochotę z nią rozmawiać.

Kiedy zajechała na parking przed szkołą latania, stały tam dwa samochody do przewozu ludzi z firmowym logo i autobus. „Pewnie firmowy wyjazd integracyjny”, uznała. Z wielkiego hangaru dochodził spory hałas, a tam właśnie uczono się, jak skakać w uprząży. Co kilka chwil rozlegały się pełne zachwyty krzyki, kiedy kolejna osoba zeskakiwała z platformy, zawieszanej dziesięć metrów nad ziemią, ćwicząc właściwy sposób układania kolan i łagodzenia upadku. Lizzie poczuła ukłucie zazdrości - czeka ich niezwykle przeżycie, jakim jest pierwszy skok ze spadochronem. Nigdy nie zapomni tego magicznego uczucia unoszenia się na wietrze niczym ptak. Bardzo chciałaby to powtórzyć. Simon powiedział, że mogą razem wykonać skok tandemowy, ale to było przed żenującym spotkaniem z Debrą. Jaki facet przy zdrowych zmysłach chciałby wiązać się z kobietą, której życie rodzinne było tak popaprane, że nie potrafiła się nawet postawić córce?

Kiedy weszła do biura, za biurkiem siedział drobny, łysiejący mężczyzna, którego nie знаła. Przedstawił się jako Trevor, a Lizzie wyjaśniła, dlaczego nie mogła zjawić się Erin.

Trevor był bardzo rzeczowy i przy filiżance kawy wytłumaczył jej, w jaki sposób ośrodek obsługuje grupy oddające skoki na cele dobroczynne. Okazał się bardzo użyteczny i po półgodzinie Lizzie miała już wszystkie informacje, których potrzebowała. Nie było jednak ani śladu po żadnym jej znanym instruktorsze.

- Dzięki, Trevor - rzekła, kiedy odprowadził ją do samochodu. - Będziemy w kontakcie, jeśli chodzi o tekst na kartach dla sponsorów, i ustalimy datę, która będzie nam wszystkim pasować.

Pożegnali się. Lizzie z przygnębieniem wsiadła do samochodu i zapięła pas. A więc to by było na tyle, jeśli chodzi o wysiłek włożony w wystrojenie się. Jeśli przeznaczenie maczało w tym palce, to oznaczało, że nie miała już więcej spotkać Simona.

Ktoś zapukał w jej szybę i podniosła głowę. Spodziewała się, że to Trevor z jakąś dodatkową informacją, jednak obok samochodu stał Simon.

Wyglądał dokładnie tak, jakim go zapamiętała: szczupły, uśmiechnięta twarz i oczy, w których błyszczało rozbawienie. Lizzie opuściła szybę.

- Cześć - odezwał się Simon.

- Witaj, jak się masz? - odparła Lizzie bez tchu.

- Świetnie. Nie oddzwoniłaś.

- Przepraszam - rzekła ze skruchą. - To po prostu...

- Trudna sytuacja? - zapytał. - Dało się wyczuć. Twoja córka nie była chyba zbyt ucieszona na mój widok.

- Nie - przyznała Lizzie. - Nie była.

- Mam nadzieję, że nie narobiłem ci kłopotów

- Nie - zaprotestowała. Było jej wstyd, bo to nie Simon narobił jej kłopotów lecz Debra. Jednakże dlatego, że sama nie miała odwagi postawić się córce, zaważyła sprawę z tym uroczym mężczyzną. - To wszystko moja wina. Debra nie radziła sobie z rozwodem moim i jej ojca, a potem nie mogła znieść myśli, że mogłabym się z kimś spotykać. Co nie znaczy, bym spotykała się z kimkolwiek innym - dodała pospiesznie, żeby Simon nie pomyślał sobie, że przez jej dom przez cały czas przepływał strumień obcych mężczyzn.

Na ustach Simona zadrżał uśmiech. „Na jego seksownych ustach”, pomyślała Lizzie, a w brzuchu poczuła dziwne, nieznanne jej uczucie.

- Tak czy inaczej - kontynuowała, nim zdążyła ją opuścić odwaga - naprawdę przepraszam cię za to, że nie zadzwoniłam. To nie tak, że nie chciałam, po prostu byłam pochłonięta problemami rodzinnymi. Teraz jest już znacznie lepiej, ale krępowałam się dzwonić do ciebie po tak długim czasie.

- Rozumiem - rzekł lekko. - Nie chciałem dzwonić i cię zamęczać.

Uśmiechnęła się do niego promiennie.

- A ja myślałam, że postawiłeś na mnie kreskę - rzekła, przekomarzając się.

Potrząsnął głową i popatrzył jej prosto w oczy

- W żadnym wypadku.

- Przyjechałam tutaj, by porozmawiać o grupowych skokach na cele dobroczynne - ciągnęła Lizzie. - I muszę przyznać, że miałam nadzieję cię tutaj spotkać. - Proszę bardzo, udało się: powiedziała mu prawdę.

Simon oparł się swobodnie o jej samochód.

- Właśnie miałem odjeżdżać - rzekł. - Masz ochotę wpaść jeszcze raz do Jimmy's Seafood Shack", by coś szybko przekąsić?

- Z największą przyjemnością - odparła Lizzie. - A może pojedziemy moim samochodem?

W drodze do restauracji Lizzie uznała, że winna jest Simonowi nieco więcej wyjaśnień.

- Debra sporo przeszła - westchnęła. - Rozstała się z mężem, Barrym, i nie chciałam zbyt mocno na nią naciskać i wprowadzać do domu mężczyzny. Trafiłeś w sam środek, Simon. Bardzo cię przepraszam.

- Hej, nie musisz mnie za to przepraszać. My też mieliśmy problemy, z Adamem, moim synem... W rodzinach nie zawsze jest wszystko proste.

- Tak - rzekła Lizzie.

Zapewniła go, że z Debrą już wszystko w porządku. Podobało jej się w Simonie to, że potrafił po prostu słuchać i nie udzielał nieproszonych rad odnośnie do tego, co powinna zrobić z Debrą, ze swym życiem, z czymkolwiek. Miał syna i pewnie sam mógłby co nieco opowiedzieć o dzieciach i rozwodzie, ale wydawało się, że wyczuwa, iż Lizzie ma dość wysłuchiwania opinii innych ludzi.

- Łatwo się z tobą rozmawia - rzekła, kiedy dojechali do „Jimmy's Seafood Shack”. - Nie mówisz mi, co mam robić, tak jak wszyscy inni.

- Lubisz, jak ludzie mówią ci, co masz zrobić? - zapytał.

- Nie - odparła Lizzie. - Tak naprawdę to nie. Przez całe życie tak było, ale nie mogę tego znieść.

- W takim razie w porządku - odparł. - Powinniśmy się świetnie dogadywać.

W restauracji mimo tak wczesnej pory było pełno ludzi, ale Jimmy osobiście znalazł dla Lizzie i Simona miejsce w przytulnym kącie.

- Jesteś stałym klientem? - zapytała od niechcenia Lizzie, zastanawiając się, czy Simon przyprowadzał tutaj wiele kobiet.

- W prawie każdy weekend przychodzimy tutaj całą bandą z klubu - odparł, wyraźnie rozumiejąc, o co jej chodzi.

- Jeśli Jimmy tak ci się przygląda, to dlatego, że nigdy wcześniej nie byłem tutaj sam z kobietą.

- A ja sądziłam, że udało mi się być subtelną - zaśmiała się Lizzie.

- Subtelność jest przereklamowana - odparł, uśmiechając się do niej.

Wtedy zadzwoniła komórka Lizzie.

- Przepraszam - rzekła, szukając jej w torbie. Spojrzała na wyświetlacz: Debra.

- Halo?

- Cześć, mamó, tak się po prostu zastanawiałam, gdzie jesteś. Pojechałam do supermarketu i kupiłam trochę pasty grzybowej, którą tak lubisz. Pomyślałam, że możemy zjeść obiad, który dla odmiany przygotuję ja.

- Obawiam się, że nie będzie mnie w domu - odparła, patrząc na Simona. - Jestem właśnie na obiedzie z Simonem, pamiętasz, tym z ośrodka spadochroniarskiego.

Przez chwilę panowała cisza.

- Baw się dobrze, mamó - rzekła Debra.

Napięcie zniknęło z twarzy Lizzie, a jej oczy błyszczały, kiedy spojrzała na Simona.

- Dzięki, skarbie - odparła.

Rozdział trzydziesty piąty

W dniu przyjęcia urodzinowego Lizzie Erin zaczęła się martwić, że imprezie zabraknie tej iskry, jaką miały legendarne przyjęcia Sally i Steve'a.

- Ruby wciąż mi o nich z nostalgią opowiada - rzekła do Abby - To, na którym wszyscy tańczyliście kongo i wezwano policję, wydaje się super. Niektórzy ludzie mają dar urządzania fantastycznych imprez bez żadnego wysiłku. Ja ciągle budzę się w nocy, martwiąc się o wszystko. Nie powinniśmy lepiej zdecydować się na zwykłą kolację, a nie tę wielką imprezę tutaj? Co nie znaczy, by chodziło mi o dom, Abby, o nie, jest olśniewający, ja tylko... po prostu się niepokoję.

Zrobiły sobie właśnie krótką przerwę w kuchni w Lyonnais, gdzie przez całą sobotę dzięki połączeniu talentów Abby, Toma, Erin, Grega, Jess, Steph, Olivera, Ruby i Gwen udało się udekorować cały dół domu balonami i lampkami. Wisiał też olbrzymi plakat (namalowany przez Steph, która miała najwięcej zdolności plastycznych z nich wszystkich) z różowymi literami tworzącymi napis: „Wszystkiego najlepszego, Lizzie!”. Taras także miał służyć gościom, ale jako że nie można było polegać na późnowrzesniowej pogodzie, Abby wybłagała od znajomych grzejniki i zadaszenie. Tom odpowiadał za napoje i traktował pomieszczenie gospodarcze jako swój własny teren. Znajdowała się tam pożyczona zamrażarka z lodem, baryłka piwa, kartony z winem oraz cała skrzynka szampana, którą zafundował syn Lizzie, Joe, przylatujący po południu z Londynu ze swoją dziewczyną.

- Bzdura, Erin - odparła spokojnie Abby. - Jeśli się martwisz, to zapewniam cię, że to tylko wina ciąży Nic dziwnego, że nie możesz spać, skoro gdy tylko się położysz, dziecko zaczyna się wiercić jak szalone. Wszystko będzie dobrze i to będzie niezapomniane przyjęcie.

I naprawdę tak uważała. Od czasu tej całej traumy wiążącej się z ucieczką Jess Abby odkryła, że jej tendencja do zamartwiania się w cudowny sposób uległa zmniejszeniu. Jakby przerażenie, które czuła na myśl o zaginięciu córki, pokazało jej, czym jest prawdziwy niepokój.

Z Tomem było tak samo. Niczym ludzie uratowani z katastrofy potrafili docenić każdą chwilę spokoju i nie zamartwiali się już tym, co może się zdarzyć. Było jasne, że atmosfera spokoju była w dużym stopniu wynikiem pogodzenia jej i Toma.

Nic nie wyglądało tak jak wcześniej, ale przecież wtedy też nie było idealnie, co teraz w końcu docierało do Abby. Ich związek był głębszy, silniejszy i bardziej szczerzy niż przez ostatnich kilka lat. Naprawdę rozmawiali teraz o tym, co czują.

Ona i Tom udali się razem na wizytę do jej psychologa, i tym razem, kiedy Abby miała przy sobie męża, poczekalnia z plakatami o rodzinnej mediacji nie wydawała się już smutnym, beznadziejnym miejscem.

Ku jej ogromnemu zdziwieniu Tom podszedł do tej rodzinnej terapii z entuzjazmem. Po pierwszych dwóch wizytach, podczas których siedział sztywno, jakby wrywano mu ząb mądrości bez odrobiny znieczulenia, zaczął się otwierać, a potem nagle zachowywał się tak, jakby to on sam zaproponował chodzenie na terapię.

- Robi się z ciebie Woody Allen - przekomarzała się z nim pewnego wieczoru po wizycie, kiedy chciał kontynuować temat jego własnej rodziny: głęboko tradycyjny, pracujący ojciec, opiekująca się domem matka. Był przekonany, że to właśnie stworzyło w jego głowie obraz tego, jak powinno wyglądać małżeństwo.

- Mam więcej włosów niż Woody Allen - odparł z zadowoleniem Tom.

- A jeśli Simonowi nie uda się przywieźć tutaj Lizzie na czas albo jeśli Lizzie wszystkiego się domyśli i niespodzianka będzie zepsuta? - zapytała teraz Erin, nie znosząc siebie za to, że ciągle tak narzeka.

Cały plan zaskoczenia Lizzie opierał się na delikatnym dopracowaniu szczegółów. Uzależniony był od serii wydarzeń, których kulminacja nastąpi wtedy, gdy Simon i Lizzie w drodze na kolację w niewielkim gronie rodziny i przyjaciół wpadną do Lyonnais, by zobaczyć nowego szczeniaka Jess, małego teriera wabiącego się Kim. „To może się nie udać”, pomyślała Erin.

Nigdy wcześniej się tak nie zachowywała. Była wysoko opłacaną specjalistką od zasobów ludzkich i przez większość czasu świetnie zorganizowaną kobietą, z wojskową precyzją planującą zbieranie funduszy na otwarcie w Dunmore ośrodka Życia kontra Rak. Od kilku dni była roztrzęsiona i niespokojna. Posprzeczała się z Gregiem o fugi pod prysznicem, które zrobiły się szare, choć Erin dzień wcześniej wyszorowała je starą szczoteczką do zębów

- To nowe mieszkanie - oświadczyła, zmęczona po sprzątanu. - To po prostu wstyd.

- Erin, skarbie, nie musisz tego robić - próbował powiedzieć jej Greg. - Ja się tym zajmę - dodał, choć tak naprawdę nie dostrzegał różnicy pomiędzy rzekomo brudnymi fugami a tymi wyszorowanymi.

- Nie, ja to zrobię - odparła stanowczo Erin.

- Okej.

Greg przeczytał w ich podręczniku rozdziały o ostatnim miesiącu ciąży, ale i tak nie czuł się przygotowany na to, jak wielki wpływ może mieć ciąża na kobietę. Rozmawiał o tym z Kerry, ponieważ bardzo martwił się o swoją nową, humorzystą Erin, ale ona kazała mu wyluzować i oświadczyła, że ta ciągła irytacja wchodzi w skład pakietu ciążowego.

- Poczekaj, aż dziecko przyjdzie na świat i zaczniesz się karmienie o trzeciej w nocy - rzekła uspokajającym tonem Kerry

- Wtedy będzie łatwiej? - zapytał z nadzieją Greg. Kerry się roześmiała.

- Nie, osiołku, gorzej. Ale szczęście wynagrodzi ci wyczerpanie, brak snu i poczucie, że wszystko robisz nie tak.

- Dzięki, Kerry - jęknął Greg. - Tylko ty wiesz, jak mnie pocieszyć.

- Usiądź i popilnuj Kima - poleciła jej teraz Abby, wkładając w jej ramiona malutkiego, wiercącego się szczeniaczka. - Ćwicz uspokajanie go.

- Dzieci nie wiercą się tak jak szczenięta - zaprotestowała Erin, kiedy Kim za wszelką cenę starał się podgryzać jej uszy

- Ależ tak - zaśmiała się Abby

- Czarny stanik czy różowy? - zapytała Steph, obracając się, by przejrzeć się w lustrze Jess.

Jess, siedząca po turecku na łóżku i malująca paznokcie u stóp, podniosła głowę i przyjrzała się krytycznie przyjaciółce.

- Różowy jest fajniejszy, czarny trochę zdirowaty. Obie przyjrzały się, jak wygląda różowy stanik pod różowym, obcisłym topem.

- Okej, ty możesz założyć czarny, a ja różowy - zaproponowała Steph. - Zach jest przyzwyczajony do oglądania mnie w pełnej krasie, ale Oliverowi dobrze zrobi, gdy zobaczy twoją gorącą i seksowną stronę.

- Wcale nie - odparowała Jess, ale mimo to przymierzyła czarny stanik.

Oliver poszedł do domu, by się przebrać przed przyjęciem, i w sumie byłoby fajnie, gdyby pokazała mu bardziej dorosłą wersję siebie. Jednak nie była gotowa na nic więcej i on o tym wiedział.

- O co chodzi z tym talk-show, do którego chcą zatrudnić twoją mamę? - zapytała Steph, widząc, że Jess nie chce rozmawiać o sobie i Oliverze.

- Mama mówi, że przyjmie tę pracę tylko wtedy, jeśli ja i tata się zgodzimy

- Super. A więc zgodzicie się?

- Tak, byłyby w niej naprawdę dobra - odparła Jess. - Tyle że nie chce zostawiać mnie i taty tutaj na trzy dni w tygodniu, które będzie musiała spędzać w Dublinie.

- Mnie by to odpowiadało - rzekła marzycielsko Steph. - Wyobraź sobie tylko tego typu program telewizyjny. Byłaby wtedy naprawdę bardzo sławna.

- W życiu liczy się nie tylko sława - oświadczyła Jess.

- A co jeszcze? Rozległ się dzwonek.

- To pewnie pierwsi goście - rzekła Jess, zeskakując z łóżka i pędząc do drzwi. To ona miała mieć dyżur przy drzwiach, nim nie pojawią się Oliver i Zach. - Pewnego dnia opowiem ci o tych milionach rzeczy, które są ważniejsze niż sława.

- I tak ci nie uwierzę! - zawołała za nią Steph. - Sława jest najważniejsza - westchnęła.

Otwierając drzwi, Jess uśmiechnęła się szeroko. Nigdy nie zapomni lojalności przyjaciółki. Zanim Jess wróciła do szkoły, Steph udała się do dyrektorki i opowiedziała wszystko o zachowaniu Saffron Walsh. Pani Doherty była wściekła, zwłaszcza że to prześladowanie doprowadziło do ucieczki Jess i powiadomienia policji, i teraz kariera szkolna Saffron wisiała na cienkim włosku, uzależniona od jej przyszłego dobrego sprawowania. Jeszcze niedawno nietykalna Saffron była tym wszystkim naprawdę wstrząśnięta, i kiedy przeprosiła Jess, sprawiała wrażenie naprawdę szczerzej.

„Steph jest wspaniałą przyjaciółką”, pomyślała Jess, „ale czasami ma szalone pomysły. Jeśli sądzi, że sława jest najważniejsza, to musi się jeszcze dużo nauczyć”.

Debra zauważyła pierścionek na lewej dłoni Niny, kiedy dziewczyna jej brata objęła na lotnisku Mylesa, by się z nim przywitać. Trzy diamenty osadzone w białym złocie - delikatnie piękne, idealnie pasujące do równie delikatnej dłoni Niny.

- Zaręczyliście się! - wykrzyknęła Debra, która jeszcze musiała popracować nad tym, co ciotka Gwen zjadliwie nazywała zwyczajem mówienia, a dopiero potem myślenia.

- Marnujesz się w branży okiennej, siostra - rzekł cierpko Joe, przytulając ją na powitanie. - Z twoim zmysłem obserwacji powinnaś pomyśleć o wstąpieniu do policji.

Debra dała mu żartobliwego kuksańca w ramię.

- Witaj, starszy bracie. Przepraszam, nie chciałam popsuć niespodzianki - dodała.

Powoli uczyła się nie traktować siebie tak poważnie i zwracać większą uwagę na uczucia innych.

- Gratulacje! - rzekł z zachwytem Myles, przytulając jeszcze mocniej Ninę. - Pokaż pierścionek. Och, jest piękny, po prostu piękny. Tajemniczy z ciebie człowiek - dodał z dumą, patrząc na syna.

- Nie chcieliśmy mówić niczego dzisiaj, ponieważ to święto mamy - odparł Joe.

- Zdejmę pierścionek na czas przyjęcia, ponieważ to byłoby okropne, gdyby wszyscy tylko na to zwracali uwagę - rzekła szybko Nina. Miała zamiar zdjąć go w samolocie, lecz zapomniała. Zdumiewało ją to, że po zaledwie tygodniu ten pierścionek i to, co sobą reprezentował, wydawały się być nierozzerwalną jej częścią.

Myles potrząsnął głową.

- Nie rób tego - rzekł. - Lizzie nie jest taka. To najmniej damusiowata i najbardziej kochająca osoba, jaką znam. Będzie uszczęśliwiona, gdy się o tym dowie.

Joe i Nina wzięli się za ręce i uśmiechnęli do siebie promiennie.

Debra zdusiła w sobie ukłucie bólu. To nie ich wina, że tak namieszała w swoim małżeństwie. Cofnęła się myślami do zaręczyn i ślubu z czymś więcej niż lekkie wyrzuty sumienia: jej nigdy by nie przyszło do głowy, by zdjąć pierścionek w takiej sytuacji. Pomyślała także o tym, jak zaprosiła Sabine na przyjęcie weselne. Dla jej matki musiało to być bardzo trudne, ale dla dobra Debry jakoś z tym sobie poradziła.

Wszyscy w wielkim korytarzu w Lyonnais wstrzymywali oddech, wszyscy z wyjątkiem Kima, który nie rozumiał, dlaczego nie może radośnie szczekać. To, że Tom i Abby witali Lizzie i Simona przy głównym wejściu, nie oznaczało wcale, że on nie może sobie trochę pohłasować, no i dlaczego ci wszyscy ludzie stali w ciszy, ze wzrokiem przyklejonym do drzwi na ganek?

- Cii - rzekła cicho Jess, całując mięciutki łepok Kima. Uwielbiała jego aksamitne, brązowe uszy. Kiedy leżał na plecach, wyglądał jak niegrzeczny, mały nietoperz, z psotnymi, błyszczącymi ślepkami i zwisającymi uszami.

Oliver poślaskował brzusek Kima i szczeniak zapiszczał z radości.

Obok Jess stali Jack i Daniel Richardson. Obiecano im, że będą się mogli zaopiekować Kimem, kiedy już będzie po niespodziance i przyjęcie zacznie się na dobre.

Na ramieniu Jacka spoczywała dłoń Steve'a. Przy jego boku stała Ruby, pełna determinacji, by nie opuszczać go przez cały wieczór. „Przyjęcia muszą stanowić dla niego piekło”, oświadczyła Erin i Abby. „Jestem to winna kochanej Sally”.

- To naprawdę miłe z jego strony, że przyszedł - przyznała Erin. Wiedziała, że Steve próbował trochę wychodzić i że przyjęcie urodzinowe Lizzie było dla niego pierwszym wypadem do rzeczywistego świata od czasu śmierci Sally.

- Ty, Lizzie i Abby jesteście takie wspaniałe, że zakładacie ten ośrodek ku czci Sally - oświadczył Erin, kiedy zaprosiła go na przyjęcie. - Wpadnę z chłopcami. Nie zostaniemy pewnie długo, ale...

- Zostaniecie tak długo, jak będziecie chcieli - rzekła Erin. - Swoją obecnością sprawicie nam wszystkim mnóstwo radości.

- Słyszysz coś? - wyszeptał Greg do ucha żony. Przez szklane drzwi oddzielające ganek od korytarza wszyscy widzieli wysokie sylwetki Toma i Simona.

- Gdzie jest Lizzie? - zapytała Clare Morgan, zakładając okulary, by zerknąć przez szklane drzwi.

- Chyba za nim. Przygotujcie się - wyszeptała Erin.

- ... i to po prostu przesłodka mały łobuz - mówił właśnie Tom, kiedy drzwi na ganek otworzyły się i nagle Lizzie, i Simon znaleźli się w korytarzu, a przynajmniej sześćdziesięciu ludzi wołało na cały głos: „Wszystkiego najlepszego, Lizzie!”.

Lizzie zaniemówiła. Poszukała dłoni Simona i odwróciła się ze zdumieniem do Abby, a potem popatrzyła na uśmiechnięte twarze jej wszystkich przyjaciół i rodziny. Unosili w górę kieliszki. Korytarz był udekorowany balonikami, lampkami i wielkim plakatem.

- Och, jest po prostu cudownie - rzekła bez tchu. - Idealnie.

Przyjęcie urodzinowe z okazji pięćdziesiątych urodzin Lizzie Shanahan można było zaliczyć do wyjątkowo udanych, co powiedziałyby każdy mieszkaniec Dunmore, który nie został na nie zaproszony, gdyby zajrzał przez okna do pełnego śmiechu Lyonnais. I pomimo głośnej muzyki, śmiechu i dużych ilości różnego rodzaju drinków wszystko odbywało się bardzo kulturalnie.

Naprawdę trzeba było podziwiać Shanahanów za to, jak Mylesowi i Lizzie udało się przejść od nieudanego małżeństwa do nowych związków, a mimo to pozostać oddanymi swojej rodzinie. Ponieważ o to właśnie chodziło: rodzina, łączenie nowych rodzin ze starymi. Myles pojawił się ze swoją nową partnerką, Sabine, i ona, i Lizzie rozmawiały z sobą długi czas, śmiejąc się, gdy tymczasem nowy mężczyzna Lizzie, wysoki, przystojny Simon, uciął sobie przyjazną pogawędkę z synem Lizzie, Joem. Oczywiście szkoda, że małżeństwo Debry z Barrym Croninem nie przetrwało, ale wszystkie rodziny mają swoje problemy, a z pewnością Joe Shanahan wydawał się bezgranicznie szczęśliwy z tą śliczną dziewczyną z Londynu pracującą w galerii sztuki.

Gwen Hoban, siostra Lizzie, zawsze pierwsza do tego, by nazywać rzeczy po imieniu, informowała przemiłą doktor Morgan, że Debra bardzo się zmieniła od czasu ślubu, i dodała, że nie zdziwiłaby się, gdyby ona i Barry jeszcze się z sobą zeszli. - Nie sprzedali swojego domu - rzekła Gwen, pukając się w nos, jakby to stanowiło najważniejszą wskazówkę odnośnie do tego, co może przynieść przyszłość.

Nie tylko Shanahanowie świetnie się dzisiaj bawili. Greg i Erin Kennedy siedzieli na jednym fotelu i Erin mówiła Gregowi płaczliwie, że bardzo go przeprasza za to, że była taką sekutnicą, i że nie wie, co ją naszło. Z całą pewnością za-domowili się tutaj na dobre po powrocie z Chicago. Gregowi dobrze szło w firmie telekomunikacyjnej i cały personel nie mógł się go nachwalić, gdy tymczasem Erin odnalazła się w tutejszej społeczności, pomagając w The Beauty Salon, kiedy odeszła biedna Sally Richardson. A teraz z energią zaangażowała się w otworzenie w mieście ośrodka ku czci Sally i jakoś udało jej się wszystkich innych zarażać swoim entuzjazmem.

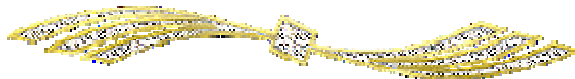
Wydawała się bardzo amerykańska, kiedy tutaj przyjechali, ale okazało się, że jest Irlandką z krwi i kości. Jej rodzina często przyjeżdżała do niej z Wexford i Portlaoise.

Spacerowała po nabrzeżu z kobietą, która wyraźnie była jej siostrą, i dwiema dziewczynkami. Jedna, z prostymi, czarnymi włosami, miała jakieś sześć lat i skakała, trzymając rękę cioci i paplając trzy po trzy. Druga to mały aniołek w wózku z błyszczącymi ciemnymi oczami w maleńkiej twarzy. Erin niedługo będzie pchała własny wózek - była wielką szafa trzydrzwiowa i nie mogła chodzić zbyt długo, więc siostra sadzała ją ze starszym dzieckiem, gdy tymczasem ona chodziła z małą, by ją uspić.

I Bartonowie, cóż, sporo się o nich mówiło w miasteczku. W gazetach pojawiły się jakieś informacje o ich rozstaniu, ale patrząc na sposób, w jaki stali ramię w ramię, rozmawiając z tym miłym Steve'em Richardsonem, trudno było uwierzyć, że dziennikarze mieli rację. Ich małżeństwo było solidne jak skała: wszyscy to widzieli.

Ich córka to naprawdę miła dziewczyna i podobno bardzo dobrze poszło jej na egzaminach. Opiekowała się małymi Richardsonami, wyprowadzając ich do ogrodu, by mogli pobawić się ze szczeniakiem, a towarzyszył im wysoki, uśmiechnięty chłopak.

Tak, zdecydowanie wyglądało to na przyjęcie roku w Dunmore, imprezę, podczas której nikt niczym się nie przejmował. Szkoda, że nie było tutaj tej biednej Sally Richardson, by mogła wszystko zobaczyć: zawsze potrafiła urządzić fantastyczne przyjęcie i na pewno siedzi teraz gdzieś na chmurce i uśmiecha się do nich wszystkich czule, każąc innym aniołom pospieszyć się z nektarowym ponczem i niebiańskim chórem. Jeśli była na świecie kobieta, która знаła wartość śmiechu i cieszenia się życiem, to była nią właśnie Sally.



Posłowie

Pisząc tę książkę, miałam bolesną świadomość tego, że bohaterka, która zachorowała na raka piersi, umrze, i bardzo nie chciałam, by rozstroiło to osoby, które walczą właśnie z tą chorobą. Jako że raka piersi wykrywa się u mniej więcej jednej kobiety na jedenaście, każdy z nas zna odważne kobiety, którym udało się go zwalczyć. Zaawansowanie raka Sally jest bardzo rzadkie i stanowi najgorszy możliwy scenariusz. Faktem pozostaje, że zdecydowana większość (75%) kobiet z rakiem piersi z przerzutami wciąż żyje po pięciu latach od postawienia diagnozy i ich liczba z każdym rokiem wzrasta.

Życie kontra Rak to dzieło mojej wyobraźni, ale istnieje, oczywiście, wiele prawdziwych organizacji dobroczynnych walczących z nowotworem, które zasługują na nasze wsparcie.

Dziękuję Lucy Kelly i Deborah Hutchings z Cancer Research UK za ich rady. To ja jestem winna ewentualnym pomyłkom, które mogły pojawić się w tekście.

TLR